

25-28

1847
k. 25

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

4767/55

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

5211-7
1847.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXV.



WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1847.

Od redakcyi.

Pismo czasowe potrzebom czasu służy, opinią społecznym kształci, działanie jej jednoczy, i wywołanych przez siebie skutków samo wpływu doznaje. Żyjąc w czasie, musi się starać czas swój zrozumieć; ulegając jego sądowi, samo za sobą przynosi świadectwo. Nie posłuży mu żadna obrona, nie usprawiedliwią najlepsze zamiary, żadna wymówka nie okryje nagości w której staje przed trybunałem opinii.

Winniśmy przecież sobie i drugim zdać sprawę z czynów naszych, winniśmy to uczynić publicznie, jeśli działanie nasze publiczném było. Bo myśl która się czynem wypowie, nie przestaje dlatego być myślą; oddzielnie od czynu może być ona i bywa sądzoną. Skutek nie dochodzi nieraz założenia, czasem je przesięga, a zwykle przewidzieć go nie zdołamy, choć ze świadomością przystępujem do dzieła. Burze wstrząsają wątłą ręką ludzkiej budowę, a grom uderza i w spokojnego około skromnej niwy pracownika i w tego, co sam wichry do walki wyzywa.

Rok upłyniony zastał nas i zostawił przy zwykłych około podjętej pracy zabiegach. Nie on nie zmienił ani w układzie naszego pisma, ani w warunkach jego istnienia; a trwanie Biblioteki i jakakolwiek z niej dla ogółu korzyść, dowiodły raz jeszcze (jeżeli tego dowodu potrzeba było), że tylko na rozwadze i ucieźwiwej pracy oparte działanie, pożyteczny owoc wydać jest zdolne.

Biblioteka Warszawska w roku upłynionym, najwięcej liczyła artykułów w oddziale nauk ekonomicznych. Nie tu miejsce oceniać szczegółowie ich zalety i niedostatki. Jakakolwiek przecie może być względna ich wartość, redakcyja wyznaje, że najchętniej w piśmie swoim

te z nich zamieszczała, które interesów materialnych kraju się dotyczą. Uchną prędko teoretyczne pojęcia samym sobie zostawione, jak schnie odcięta z drzewa gałązka, jeżeli się w lato rośl rodzinna nie wszezepi, życia swego z jej życiem nie złączy, i rozrosłszy się i wzmógłszy, sama nowém nie stanie się drzewem.

Pracowitość Niemców, ich duch systematyczny, nie zdołały przecież postawić nauk ekonomicznych w Niemczech na stopie, na jakiej są w Anglii i Francyi. Napróżno ich uczeni wartowali obce dzieła, na podstawie cudzych spostrzeżeń swoje wznosili systemata: martwa było praca, pozostała bez znaczenia, bez poważania u postronnych. Dopiero kiedy związek celny zjednoczył materialnie Niemcy, a ocknione interesa przychodząc do samopoznania, staranniejszj zaczęły domagać się pieczy, nagły ten zwrot od oderwanych pojęć do praktyki, wpłynął na rozwinięcie teoryi, i wnet imię Fryderyka Lista, stało się głośnem u obcych, równie jak u swoich.

Nie doszła jeszcze do tego nasza literatura, aby pod materialnym przynajmniej względem, ogół, jako taki, pojęła, i raz postawiwszy się w jego stanowisku, stosunki jego rozpoznać, potrzeby wypowiedzieć i o ile w jej mocy zaradzić im umiała. Co jednak w tym kierunku działa-

ném zostało, w znacznej części pismu naszemu należy się, a samo uznanie celu, już nas do niego zbliża.

Od sfery materyalnych zabiegów człowieka, przechodząc do najwyższych ducha jego potrzeb, którym filozofia zaspokojenie nieść winna, musielibyśmy ze względem na stan tej nauki w piśmie naszym, powtórzyć nieledwie dosłownie to, cośmy w zeszłoroczném sprawozdaniu powiedzieli. Lecz jeśli w tym zawodzie mieć nam innej zasługi nie wolno, niech przynajmniej ta nam zostanie, że żadne wsteczne dążenie przystępu do kart naszego pisma nie znalazło, żeśmy stale odsuwali wszystkie męty pojęć, którymi niewytrawne umysły bryzgać około siebie usiłują.

Rozstrzelone w różnych kierunkach prace historyczne, nie dadzą się z łatwością pod jeden ogólny ująć widok. A przecież nauka dziejów krajowych więcej może niż inna do systematycznej uprawy wzywa, i w obfitości materyałów pod ręką leżących, środki do tego podaje. Blask bijący z łona przeszłości wtedy dopiero przyszość oświeci, gdy zebrane w jedném ognisku promienie wiedzy historycznej, horyzont jój rozwidnią.

Badania historyczne miejscowe, do których każda niemal okolica kraju naszego sposobność

nastęcza, czekają na miłośników rzeczy krajowych; ich prace zawsze z chęcią w piśmie naszym umieszczane będą.

Skutkiem, nie wiemy, czy trafu, czy skierowania umysłów w tę stronę, większa nierównie część artykułów prawnych w ubiegłym roku w piśmie naszym umieszczonych, odnosi się do prawa kryminalnego. Rozwijając one w części teorią naszego kodexu, w części zaś zapoznając nas z postępami nauki, nie pozostały bez korzyści. Kilka prac odnoszących się do dziejów dawnego naszego prawa, jak z jednej strony miłym były upominkiem, tak z drugiej wskazują, jak wiele jeszcze na tém polu do działania zostaje. Wreszcie o nowych zjawiskach w literaturze prawnej, ile zakres Biblioteki dozwalał, dawaną była wiadomość.

Winniśmy istotną wdzięczność współpracownikom, którzy nas wiadomościami na drodze postępu nauk przyrodzonych, tak skwapliwie i wytrwale zasilają. Biblioteka jedynem jest u nas podobno pismem, z którego jakożkolwiek z postępami tych nauk obeznać się można. Zawsze przecież liczba prac samoistnych pozostaje jeszcze nader szczupłą, a rzadko nadsyłane prostrzeżenia, do których wezasy wiejskiego życia tyle dawałyby sposobności, świadczą o mało jeszcze upowszechnionem w tych naukach zajęciu.

Inne gałęzie umiejętności, redakcya starała się, ile w jej mocy było, uwzględnić.

Rok 1846 w upływie swoim zmienne przynosząc z sobą dla nas koleje, dotknął nas i zasmucił zgonem zasłużonych mężów, którzy radą i piórem pomoc piśmiu naszemu nieśli. Życie przestali w tym roku: Jan Wincenty Bandtkie, Alfons Brandt, Juliusz Brinken, Karol Frankowski, Jerzy Bogumił Pusch, Alexander This. Kilka kart pisma naszego poświęciliśmy na uczczenie pamięci pierwszego i ostatniego ze zmarłych; o życiu i zasługach reszty, dać wiadomość, będzie naszym staraniem.

Naturalnym i najistotniejszym może żywiołem pisma czasowego jest krytyka. Onato ścierając się bezpośrednio z zjawiskami czasu, szkodliwe odrzuca, pożyteczne wygłasza, wszystkim właściwe naznacza miejsce, kierunek umysłów wskazuje i od zboczeń je ostrzega. Nigdy niezaspokojona, zawsze lepszego pragnąca, krytyka z natury swój przedstawia w dzienniku element ruchu. W niej się mieszczą przyszłości płodne zarody; jej upadek, upadkiem literatury grozi. W roku zeszłym było naszym staraniem, aby kronika Biblioteki ważniejsze tylko zjawiska na polu literatury obejmowała, dając spokojnie tonąć w niepamięci piśmom, które los ten od urodzenia zasłużenie spotyka.

Cztery tylko w tym roku umieściliśmy powieści; zato jedna z nich obszerniejszego jest rozmiaru. Treść wszystkich z przeszłości wzięta żałować każe, że życie obecne społeczeństwa nie znalazło malarza, któryby je na płótno obrazu swego chciał przenieść. Ani z przeszłością zrywać, ani terażniejszości zaniedbywać nie należy. Te widoki dzielając redakcyja, ile zresztą dokłada starania o dobór powieści w piśmie swoim, dowiodła ogłoszeniem w zeszytzie styczniowym r. z. zamieszczoném.

Warszawa dnia 1 stycznia 1847 roku.

WYBÓR I KORONACYA PAPIEŻÓW,

A W SZCZEGÓLNOŚCI PIUSA IX.

PRZEZ

Edwarda hr. Lubieńskiego.

Mówią, że pewien Anglik przedstawiony Grzegorzowi XVI i zapytany czy widział już wszystkie ciekawości Rzymu, rzekł: że już wszystko oglądał, tylko ciekawy jest jeszcze widzieć *Conclave*. „Bardzo dziękuję” odpowiedział Ojciec Święty. My nie pragnęliśmy na wzór tego wyspiarza być świadkami obrzędów smutnych, potem radosnych, jakie sprowadza śmierć każdego papieża i wybór jego następcy: ale gdy wbrew woli naszej, zarządzenie Opatrzności zatrzymało nas w mieście siedmiogórnym w czasie, kiedy Grzegorz XVI schyłony latami i zmartwieniem żyć przestał, a na jego miejsce wstąpił Pius IX w sile wieku i blasku nadziei; gdy mówię w tej tak ważnej dla chrześcijańskiego świata chwili, byliśmy w Rzymie jedynymi z podróżujących i piszących Polaków; sądzimy więc obowiązkiem naszym, dać o tém, oddalonym ziomkom piśmienną i szczegółową wiadomość. A gdy tu w Rzymie obok młodej nowości, ciągle sterczy staroży-

tność; gdy pośród zielonych roślin, bielą się wszędzie siwe marmury, gdy każdy zwyczaj sięga kilku, nawet kilkunastu wieków; uznaliśmy potrzebném podać początek dziejowy głównych praw i zwyczajów, o ile tego obręb krótkiej rzeczy pozwala. A zatem opis nasz będzie utkany z podwójnej nici, i kraśny wątek codziennych wypadków, przeplatać będzie złota nić dziejów, sięgająca do Boga-Człowieka i do Piotra zastępcy jego na ziemi.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, 21 maja roku 1846, Grzegorz XVI dawał jeszcze błogosławieństwo ludowi z ganku kościoła św. Jana Lateraneńskiego, nie wiedząc zapewne, że w tym dniu wiosennym, pełnym słońca i nadziei, przeżegnaniem pożegnał tłumy ludu swojego, przelotny rój cudzoziemców, i te stepy zielone, i te błękitne góry co się rozciągają przed obliczem Lateraneńskiej świątyni. Już w święto Filipa Nereusza założyciela zgromadzenia Filipinów, do kościoła tych księży nowym zwanego, podług zwyczaju jechać nie mógł dla słabości zdrowia. O chorobie jego różne są zdania lekarzy; zdaje się, że róża zapicniła się w gangrenę przy wpływie późniejszej starości i zmartwieniach, miał bowiem lat 84; inni zaś mówią, że książka hrabiego Azeglio o wypadkach w Romanii, skróciła jego życie. Czuł, że doczesne rządy jego państwa szły coraz gorzej; długi kraju wzrastały przez nieumiejętne rządy pół-księży; Romaniale to jest mieszkańcy Bononii i państwa papieżkiego wzdłuż brzegów Adryatyku, nie korzystając w niczem z nadużyć które bogaciły rzymskich urzędników, obciążeni byli podatkami i pozbawieni dawnych przywilejów. Niechęć tego kraju wzrastała, pomimo trzech groźnych zamków napełnionych więźniami stanu, pomimo licznych wygnańców i liczniejszej siły zbrojnej.

Dnia 31 maja w sobotę, papież już gwałtownie cierpiący, spowiadał się podług zbawiennego zwyczaju, a nazajutrz przyjął Ciało Pańskie; szczęśliwy, że miał zwyczaj spowiadania się co tydzień, bo nie będąc ostrzeżonym o ciężkim stanie swoim, nie byłby już miał sposobności do przygotowania się na ostatnią przepawę. 31 maja w dzień uroczysty Zielonych Świątek, kardynałowie odbyli mszę papieżką w kaplicy Sytyńskiej, bez papieża: głuche przecucie śmierci rozeszło się już w tym dniu po mieście, jakoż nazajutrz 1 czerwca, o godzinie 8ej z rana, w drugi dzień świąt którego tu nie obchodzą uroczystie, Grzegorz XVI żyć przestał. Stał on przed straszliwym sądem tego, którego był zastępcą na ziemi, i zdawał sprawę z rządów swoich, jak to sam przepowiadał przed kilkoma miesiącami w rozmowie z najpotężniejszym cesarzem na ziemi.

Papież umarł samotny, jeden tylko kardynał Lambruschini był przytomnym jego śmierci. Kardynał dziekan Mikara, którego obowiązkiem było dawać papieżowi ostatnie pomazanie, nie był uwiadomiony o ciężkości choroby, ani przez lekarza, ani przez kardynała Lambruschini, za co na obu sprawiedliwie się gniewał. Przedajne ręce służących opuściły pana swego w tej ostatniej chwili z obrzydłym samolubstwem, w nieochędźtwie i głodzie, i rozszarpali rzeczy konającego tak dalece, że cztery koszule tylko po nim znaleziono. Widząc to nie można się dziwić, że niektórzy papieże otaczali się osobami swój familii, gdyby tylko ich nie byli zbyt kosztownym krajem bogacili.

Skoro głowa kościoła żyć przestaje, podług odwiecznego zwyczaju, kardynał kamerling, dziś książe Riario Sforza, jedzie w osieroczone mury Watykanu, odziany

w szaty fioletowe, które oznaczają żałobę kardynałów i królów; wchodzi do sypialni umarłego i woła go trzykrotnie po imieniu, stukając w głowę złotym młotkiem. Skoro się przekonał o śmierci i rozpoznał ciało zmarłego, rozkazuje notaryuszom spisać akt zgonu; odbiera z rąk mistrza dworu pierścień z pieczęcią rybaka, o którym później, potem rozdziela klerykom pokojowym straż pałacu i rozsyła pierwsze rozkazy potrzebne dla bezpieczeństwa miasta. Dopiero daje na piśmie rozkaz uderzenia w wielki dzwon Kapitolu, który oznajmuje miastu zgon Ojca Świętego. Żałobnemu dźwiękowi tego dzwonu, odpowiadają jakoby chórem odgłosy dzwonów wszystkich kościołów; ich brzmienie przeciągłe, przerywane, powolne, wzywa wiernych do modlitwy za duszę tego, co klucze nieba dzierżąc, sam sobie wrót tych otworzyć nie może. Wreszcie kamerling idzie do straży szwajcarskiej która przed nim broń rzuca i dziękuje za służbę, jako płatna od zmarłego papieża. Znane jest przysłowie: nie ma pieniędzy, nie ma on i Szwajcara. Lecz kamerling zapewnia im zapłatę, i otoczony tą malowniczą strażą w starożytnie ubiory podług rysunku Michała-Anioła odzianą, wraca do swego pałacu. Najwyższa władza przez ten czas spoczywa w ręku kamerlinga, i na znak onój, bije pieniądze bezkrólowia (*sedia vacante*) ze swoim herbem, albo godłem przez siebie obraném.

Nie czekając na uroczysty odgłos dzwonu Kapitolu, wiadomość o śmierci Grzegorza XVI rozeszła się po mieście od rana, lecz przyjęta była z obojętnością. Lud płakał po śmierci Piusa VII, bo w prześladowaniu go pokochał; radował się po zgonie Leona XII, z powodu że ten światły papież, kazał zamknąć sklepy wina, i wódki, i przez kratę tylko na ulicy stojącym pijakom, po-

zwoił sprzedawać gorące napoje. Grzegorz XVI nie dokuczył rzymskiemu pospólstwu: wady rządów jego ciążyły raczej na oświecenijszej części narodu, której sama przyzwoitość nie dozwalała okazywać radości z końca niemiłych im rządów. Ludzie dalej widzący, korzyli się przed niedościgłemi wyrokami Opatrzności, że w czasie właściwym daje kościołowi różnych pasterzów, aby niezmienną naukę kościoła różnie do czasowych okoliczności stosowali, to łagodnych, to surowych środków używając do poprawy ludzkości; a potem przez anioła śmierci bierze ich z tego świata, skoro sposób ich myślenia nie zgadza się z potrzebami czasu.

Mówiliśmy, że Grzegorz XVI konając, smutnemi był obarczony myślami; lękał się aby ludzie niespokojni nie korzystali ze śmierci jego dla wstrząśnienia państwem kościelném, i dlatego zalecił kardynałom ostatnią wolą, żeby się śpieszyli z wyborem następcy. Wszelako te obawy były płonne, bo stronnicy wolności postanowili czekać na sposób myślenia przyszłego papieża, a złoczyńcy trzymani byli na wodzy przeważną siłą zbrojną. Zresztą bezkrólewie było wszędzie polem otwartém do rozruchów, a w Rzymie osobliwie winowajcy korzystali z téj pory. Naprzykład po śmierci Grzegorza XV, nie było dnia ani nocy bez pogłosek o jakich zabójstwach lub zbrodniach; na wielu miejscach znajdowano ciała bez głowy tak mężkie jak i niewieście. Tyber je także nieraz wyrzucał z głębin swoich. Domy były gwałtem w nocy otwierane i łupione, kobiety złośliwie gwałcone lub uprowadzone. Żołnierze dla straży panów i książąt użyci, sami najgorsze popełniali bezprawia, a mianowicie żołnierze kardynała Sabaudyi.

Przyczynia się do tego zapewne zwyczaj wypuszczania więźniów. Już przed śmiercią papieża przenoszą większych zbrodniarzy i zabójców do zamku św. Anioła, bo skoro jęczy dzwon Kapitolu, kapitan Capotorów, czyli naczelnik miejskiego obwodu, idzie na czele żołnierzy swoich otworzyć więzienia, i wypuszcza wszystkich za małe winy karanych. Na dowód poprawy, ostatni wychodzący kradnie sznur z więzienia, i stróż musi jemu się opłacić aby ten sprzęt napowrót odzyskać. Podobnie magistrat miasta, czyli senator i konserwatorowie rzymscy, na dowód władzy swój, otwierają więzienia Kapitolu, gdzie siedzą po większej części zatrzymani za długi, a chcąc spokojność miasta zabezpieczyć, zbierają wojsko miejskie. Straż miejska i wojska obsadzają odwachy i mniej bezpieczne ulice, odbywają patrole, a w razie nocnego rozruchu, mieszkańcy obowiązani są otwierać okna.

Ze zgonem głowy stanu i kościoła ustaje trybunał roty, i inne sądy świeckie i duchowne. Datorya apostolska przestaje bulle wydawać, tylko kardynał penitencyarz może pełnić obowiązki swoje w przedmiotach świeckich i mieszanych, podług bulli Piusa IV i Klemensa XII, bo wrota przebaczenia nie powinny być zamknięte. Wspominany wyżej kardynał kamerling sprawuje swą władzę przez cały czas bezkrólewia, a do pomocy ma wybrane trzy głowy z rzędu kardynałów biskupów, kardynałów księży i dyakonów.

We dwadzieścia cztery godzin po śmierci papieża, ciało jego bywa balsamowane; dawniej poprzestawano na tém, że usta tylko napełniano mirrą i wonnościami a twarz mazano balsamem; ale ten sposób nie był dostateczny. Alexander VI Borgia, ów papież co zgorsze-

niem zarażał trzodę sobie powierzoną, po śmierci także wczesném ciała zepsuciem zarażał przytomnych. Twarz jego zczerniała, nos przedłużony, język wywieszony, sprawiały sprzeczność z wielką liczbą świętych jego poprzedników, którzy anielski wyraz po śmierci zachowując, wonią napełniali powietrze. Juliusz II kazał, by ciało jego dla lepszego balsamowania było otworzone; odtąd stało się to zwyczajem. Sposób Tronchiny i Gaunala wtłaczania w żyły rozczyntu arsenikowego, nie używa się jeszcze w mieście nieskorém do zmiany. Grzegorz więc XVI balsamowany był starym sposobem przez otwarcie ciała. Wnętrznosci i serce jego podług zwyczaju wprowadzonego przez Benedykta XIV, zamiast spoczywać razem ze zwłokami, przewiezione zostały w karecie i cichaczem do kościoła św. Wincentego i Atanazego na placu Trewi, jako do parafii Kwirynalu. Nie udało się balsamowanie, bo ciało popsute gangreną zczerniało, i musieli później twarz maską woskową powlekać.

Następnie ciało papieżkie odziewa się w szaty codzienne, i jeżeli śmierć nastąpiła w Kwirynale, przenosi się do Watykanu. Idzie naprzód koń papieżki czarną kapą odziany, potem straż szwajcarska i szlachecka, słudzy z pochodniami zapalonemi i penitencyarze św. Piotra mówiący modlitwy za umarłych: za nimi toczy się dział siedm, przy których idą kanoniery z lontami zapalonemi, a cały orszak przypomina raczej pogrzeb hetmana niż zaś biskupa. Tych przenosin tą razą nie było, bo Grzegorz XVI wbrew przyjętemu zwyczajowi, ostatnie lato przepędzał w zimowym pałacu Watykanu, a nie w letniem papieżów siedlisku na górze Kwirynalskiej czyli Monte-Cavallo.

Skoro zwłoki papieżkie złożone są w kaplicy Sykstyńskiej, penitencyarze św. Piotra ubierają je w szaty ko-

ścielne, i kładą mitrę złocistą na głowę. Umarły przez dzień spoczywa w téj posepnej kaplicy, gdzie główną ścianę zupełnił pędzel Michała-Anioła obrazem sądu ostatecznego. Penitencyarze nie odstępują go, lecz mówią kolejno i ciągle modlitwy za duszę co go niedawno ożywiła. W téj saméj kaplicy przed dwoma niespełna miesiącami, widziałem tegoż papieża, kiedy siedząc na tronie pod baldahinem, otoczony szkarłatnym senatem kościelnym, przy anielskim śpiewaków chórze, pośród obłoków kadzidła, sprawował najświętszą ofiarę w dni poświęcone pamięci śmierci Zbawiciela. Wtedy jako największy kapłan Jehowy, miał w sobie coś nadludzkiego, dziś leżał trup śmiertelny i nadpsuty: tak chwala święta przechodzi.

Nazajutrz przenoszą się zwłoki papieżkie do kościoła św. Piotra z uroczystą processyą. Zapewniała nas osoba bliżej stojąca, że z licznego grona kardynałów obsypanych dobrodziejstwami zmarłego, płakał jeden tylko minister sekretarz stanu do spraw zagranicznych, Lambruschini. Rysy niesionego na marach, przybrały surowy wyraz wieczności; wycisnęło się na nich spiżowe piętno nieodmienne: już wyszedł z krainy życia i odmiany; jakim był, takim będzie na sądzie ostatecznym i przez całą wieczność. Papięż złożony został w kaplicy Najświętszego Sakramentu, za kratą zamkniętą; nogi jednak wystawały nieco za kratę, aby lud mógł je całować. W tém miejscu leżał trzy dni wystawiony, i tam tłumy ludu co dzień go odwiedzały. Pogrzeb papieża sprowadzał zawsze tłumy ciekawéj ludności Rzymu; już w roku 1522, panie rzymskie miewały w kontrakcie ślubnym wymówione pozwolenie wychodzenia w te dni dla ucałowania nóg papieżkich, dziś złagodzone ich zamknięcie po-

zwala im tém bardziej zadość uczynić ich nabożeństwu i ciekawości.

Trzeciego dnia wieczorem, otwierają grób tymczasowy, leżący na lewo przy wejściu do kaplicy kanoników, w którym leżą zwłoki poprzednika aż do śmierci jego następcy. Trumnę poprzednika składają do grobu dla niej przygotowanego. Zwłoki następcy kładą w trumnę tymczasową, z niemi w jedwabnym woreczku, medale złote, srebrne i miedziane, na pamiątkę czynów zmarłego co rok bite, których tyle jest ile lat panował. Potém kardynał synowiec nieboszczyka, jeżeli się taki znajduje, kładzie na twarz stryju białą zasłonę, a całe ciało zakrywa się zasłoną karmazynową. Trumnę cyprysową pieczętują i zamykają w ołowianej, dobrze zalutowanej i pieczęciami opatrzonej, ta nareszcie umieszcza się jeszcze w trzecią zamkniętą. Trumny te składają się do tymczasowego grobu, i zostają tam jako groźba śmierci, dla następnego papieża.

Od wniesienia zmarłego do św. Piotra, nabożeństwo żałobne trwa dziewięć dni. Co dzień jeden z kardynałów biskupów śpiewa mszę żałobną w kaplicy kanoników, słuchaną przez całe zgromadzenie kardynałów; mały katafalk stoi po środku kaplicy. Trzy dni ostatnie obchodzą się z osobliwą uroczystością; w te dni, ogromny katafalk stojący pośród głównej nawy, wnosił się aż pod sklepienie kościoła. Budowniczy sadzi się na rysunek téj nie-trwałej ciesiołki, powleczonej płótnem i papierem udającym siwy marmur, ozdobionej gipsowemi wyciskami i posągami. Podczas kiedy budowali ten katafalk, posąg religii stojący na szczycie spadł i potłukł się; co uważali niektórzy za godło strat poniesionych przez kościół

w ciągu tego panowania. Katafalk miał kształt świątyni opartej na 8 kolumnach i 4 filarach; oświetać go powinno tysiąc świec jedno-funtowych, i 20 pochodni cztero-funtowych. Po skończonej mszy, kardynałowie biskupi celebrujący zbliżają się do katafalku, by dać absolucyę. W ostatnim dniu kaznodzieja wybrany, ma jedyną mowę pogrzebową. Koszta pogrzebu podług ceremoniału spisane go na rozkaz Grzegorza XV, nie mogą przenosić 10000 dukatów.

Oto zmarły papież, zamknięty już w progach wieczności! lecz nie może kościół pozostać wdową. Francuzkiemu przysłowiu: król umarł, niech żyje król! odpowiada włoskie, na pociechę po stracie używane: umarł papież, będzie drugi. Jeżeli ziemskie królestwa cierpią na bezkrólewiu, to kościół od Boga także na jedynowładztwie utwierdzony, potrzebuje tém bardziej widocznej głowy. Rozbierzmy zatem, kto może obierać następcę Piotra świętego, i kto być może na ten najwyższy urząd obranym; dopiéro opowiemy sposób, jakim się ten wybór uskutecznia.

Wiadomo, że pierwszy pastérz trzody Chrystusowej, przez samego Boga-człowieka mianowany został na ten najwyższy stopień słowami: „Ty jesteś Piotrem czyli opoką, a na téj opoce zbuduje kościół mój, i bramy piekielne przeciwko niemu nie przemogą.” I znowu: „Paś owieczki moje, paś baranki moje.” I znowu: „Dam ci klucze królestwa niebieskiego, i cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie, a cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie.”

Święty Piotr mianował dwóch wikaryuszów: Lina w mieście, i Klemensa na przedmieściu; za następcę podobno ś. Klemensa naznaczał, ale ten odmówił go-

dnosc papieżką, pragnąc, aby biskup rzymski był drogą wyboru wyniesiony. Wtedy obrany został ś. Lin; po nim ś. Klet, po nich dopiero został ś. Klemens. Na tym przykładzie opierając się, ś. Hilaryusz nakazał, by żaden papież następcy swego nie mianował. I rzeczywiście władza ta Chrystusowi właściwa, którą pierwsi jego zastępcy mogli jeszcze bez obawy wywierać, mogłaby w późniejszych czasach zrodzić wiele nadużyć: bo niejedyn wolalby naznaczyć częstokroć raczej jakiego z swych krewnych, przyjaciół lub rodaków, niż mężów najgodniejszych piastowania tak wysokiej godności. Zakaz ś. Hilaryusza nigdy nie był przestąpiony. Wprawdzie Bonifacy II lękając się żeby najazd Gotów nie przerwał porządku w obiorze, mianował następcą w r. 530 Wigiliusza; ale później się rozmyślił, i w przytomności duchowieństwa i senatu, cofnął swoje postanowienie jako przeciwne prawu. Nigdy więc papież nie mianowali następców swoich, chociaż zdarzało się czasem, że ich zalecali wyborcom. Tak Grzegorz VII polecał Dezjeryusza opata Monte-Casino, który też był obrany pod imieniem Wiktora III; Klemens VII Medyceusz, zalecał umierając, Alexandra Farneze, obranego pod imieniem Pawła III. Niezawsze jednak wyborcy względu mieli na podobne zalecenia, i tak napróżno Innocenty XI zalecał powiernika swego kardynała Cibo. Rzadko też papież pozwolali sobie wpływać tym sposobem na wolny wybór następców: Pius III acz proszony usilnie, czynić tego nie chciał. Pius IV zakazał bullą, aby papież nie wybierali koadjutorów, i zakaz ten nawet za pozwoleniem kardynałów przestąpiony być nie może.

Wybór jest zatem jedyną drogą do osiągnięcia godności papieżkich. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa

odbywał się bez kształtu przepisanego. Duchowieństwo rzymskie obierało papieża, a lud go potwierdzał okrzykami radości; ale w tém nie było stale przepisanego porządku, bo kiedy duch Boży wszystkich ożywia, nie jest trudno o zgodę i niéma potrzeby praw ściśle opisanych. Duch może się obejść bez kształtu, ale kształt bez ducha jest martwy; i najlepsze prawa braku cnoty nie zastąpią. Są jednak prawa potrzebne, ale głównie dla społeczeństwa średniej cnoty. W piérwszych czterech wiekach chrześcijaństwa, prześladowanie z małemi przerwami srożyło się na młodociany kościół; pałacem papieżów, ich kościołem i cmentarzem wiernych, były podziemne pieczary czyli katakumby. Wtedy urząd papieżki był stopniem do męczeństwa, a ludzie dumni nie kusili się o dostąpienie tak niebezpiecznego zaszczytu. Rząd jawnie kościołowi przeciwny, zostawiał mu większą wolność i nie mieszał się do świętej sprawy obioru. Lecz kiedy po trzech wiekach walki, chrześcijaństwo wywróciło budowę cesarskiego pogaństwa, dusząc jak Herkules węża w kolébee; kiedy Konstantyn zwyciężył pod znakiem krzyża, kościół wyzwolony stał się mniej wolnym. Naprózno pobożny cesarz ustąpił wieczne miasto wiecznej władzy, przenosząc stolicę swoją nad brzegi Bosforu; nie odjął przez to świeckiej władzy żądzy mieszania się w sprawy duchowne. Już w roku 418 po wyborze ś. Bonifacego I, mała liczba upornych obrała antypapę (przeciw-papieża czyli fałszywego papieża) Eulaliusza, pod wpływem Symmaka prefekta rzymskiego. Z téj okoliczności papież rozkazał, aby wybór dział się nadal porządnie i jednomyślnie. W roku 483, Odoakr król Herulów, aryaniu, zabronił wybierać papieżów bez swego pozwolenia, albo bez potwierdzenia swego pre-

fekta, udając, że to czyni na prośbę zmarłego papieża Symplicyusza: sobór zaś rzymski, roku 499, za Symmaka papieża, ogłosił, że królowie ani inne świeckie osoby nie mają prawa mieszać się do wyboru. Jednak Teodoryk król włoski, który wspierał Symmaka przeciw antypapie Wawrzyńcowi, mieszał się do wyboru ś. Felixa IV. Cesarzowie Wschodni za Justyniana zdobywszy Exarchat, przywłaszczyli sobie wpływ na wybory, i kazali sobie płacić za udzielenie potwierdzenia. Wybrawszy ś. Grzegorza I Wielkiego, księża musieli dać pieniądze Maurycemu urzędnikowi cesarskiemu, aby otrzymać potwierdzenie. Konstanty Pogonat zrzekł się tak niesłusznego haraczu. Później Karol Wielki dzierżył prawo potwierdzenia z wdzięczności kościoła. Otton cesarz niemiecki przywłaszczył je sobie będąc przywołany na pomoc przeciw Berengerowi królowi włoskiemu, ale ś. Mikołaj II, odjął to prawo cesarzom, a po nim Grzegorz VII był ostatni papież potwierdzony przez cesarzów. Teraz pozostało dworom chrześcijańskim jedynie i to niepotrzebne prawo wyłączenia jednego z kandydatów w chwili wyboru. Ten przywilej miały cztery dwory: francuzki, austriacki, hiszpański i portugalski; dziś służy tylko dwóm pierwszym, i to łatwo go w niwecz obrócić. Aby mocarstwo mogło na wyłączenie swój wpływ wywierać, powinno powierzyć jednemu z kardynałów w którym ma większe zaufanie, imię sobie nieprzyjemne; może nawet kilka osób wymienić, ale raz tylko tego prawa wyłączenia może użyć. Ztąd wynika, iż kardynałowie starają się wywiedzieć imię wykluczonych; jeżeli między nimi jest ten, którego chcą wynieść na tron papieżki, dają głosy innemu również wykluzonemu, a gdy ten wybór wyłączeniem się niweczy, dopiero wtedy nie-

podlegli są w wyborze. Trafiało się, że kardynał podobnym zleceniem dworu obarczony, zdrzymnie się w samą porę liczenia głosów, a skoro już wybór za zezwoleniem obranego potwierdzony, zniweczyć go nie można. Mówią, że podobnym sposobem pozostało bez skutku wyłączenie Austrii przy wyborze Grzegorza XVI, jednak uległość świętej pamięci papieża dowiodła, jak mało są sprawiedliwe podobne przedwczesne obawy.

Trzeba się już raz było zabezpieczyć nie tylko od przemożnych cesarzów, ale jeszcze od niestałej fali ludu. Wpływ ludu nigdy nie był stanowczy, ale miał on bez wątpienia niegdyś większy udział niż teraz w obwołaniu papieżów. I nic dziwnego; lud nieliczny, pobożny i wybrany, księży swoich blisko znający, mógł okrzykiem swoim większą mieć powagę w radzie duchownych niż teraz; wtedy podług przysłowia, głos ludu, był głosem Bożym: dziś przeciwnie, wszyscy chrześcian noszą nazwisko, ci nawet, co pogańskim bożyszczom przez swe namiętności hołdują. Żądać żeby głos ludu był dziś w tej mierze równie przeważny, byłoby chcieć, żeby w pierwszych czasach kościoła, poganie głosowali razem z chrześcianami. Prócz tego lud rzymski mógłby się łatwo uwodzić raczej swoją doczesną korzyścią, niżeli powodować dohrem powszechnego kościoła: z tych powodów kościół oddzielał coraz bardziej wyborców z motłochu; żądał od nich coraz większych rękojmi, cnoty i nauki. Ztąd wzrosła świetna instytucya kardynałów, którzy byli z początku proboszczami rzymskich kościołów, i pozostali ich opiekunami nosząc jeszcze tytuły głównych świątyń, lecz razem są księżętami kościoła, czyli senatem kościelnym. Są zatem oborcami papieżów mężowie schyleni wiekiem, których białe włosy, spo-

dziewać się całą duszy oczyszczonej od rdzy namiętności; mężowie oświeceni długą pracą i nauką, otaczający stolicę nieomylności. Nie powiemy o nich co Liwiusz o rzymskich senatorach, że zdawali się raczej podobni do bogów, niż do ludzi; lecz nie bez powodów uważać ich możemy za zgromadzenie świętych, którzy szkarłatne szaty swoje we krwi męczenników ubarwili. Nie tu miejsce zastanawiać się bliżej nad tą radą kościelną; dosyć będzie dodać, że wspomniany Mikołaj II postanowił, by kardynałowie biskupi, papieża obierali, potem do tego kardynałów księży używali, a nakoniec duchowieństwo i lud zezwalali na to i przystępowali do ich wyboru. Alexander III, już wyłączny wpływ kardynałów zapewnił, stanowiąc na soborze Laterańskim III, powszechnym XI, żeby papież był mianowany większością $\frac{2}{3}$ głosów kardynałów, bez udziału ludu i duchowieństwa, wyklinając każdego, któryby bez tej większości śmiał się zwać papieżem, a to dla uniknięcia schizmy, nieszczęścia zbyt częstego w dziejach kościoła. Syxtus V, powiększył liczbę kardynałów do 70, pomniąc na te słowa ksiąg Mojżesza: „Zgromadź mi siedemdziesiąt mężów ze starców Izraela.... aby podnosili z tobą ciężar ludu, abyś sam nie był obciążony!”

Nieprzyjaciele kościoła, oskarżający go o możnowładztwo, dlatego, że kardynałom wyłącznie powierzył prawo wyboru, niech wspomną, że to jest możnowładztwo nie urodzenia ani majątku, ale wieku, światła i cnoty; jestto wyższość potrójna i prawdziwa, której czas ani zaburzenia nigdy nie zatrą. Sam papież wybierany bywa w najrozmaitszych klasach towarzystwa. Święty Piotr był rybakim, zanim dusze ludzkie poławiał. Święty Celestyn był włościaninem z Terra di Lavoro, Benedykt XI

synem praczki z Trevigi, Benedykt XII synem francuzkiego młynarza, Syxtus V synem włościanina z okolic Montalto w Marchii ankońskiej. Wreszcie że tyłu innych pominę, ostatni papież Grzegorz XVI był synem piekacza z Belluno w stanach weneckich.

Jeżeli kościół poważa ubóstwo urodzenia, widząc Boga swego urodzonego w stajence, wychowanego w małym domku ubogiego cieśli, to ceni tém więcej ubóstwo dobrowolne i ściślejsze wypełnianie rad i przykładów Zbawiciela. Z cienia tych pokornych klasztorów, gdzie zakonnicy ślubują ściśle posłuszeństwo, występowali częstokroć jedynowładzcy chrześcijańskiego świata. Bo któż najlepiej umie rozkazywać, jeżeli nie ten, co chętnie jest posłuszny? nikt lepiej nie zdoła stosować wolę do prawa Boskiego jak ten, co własnej wyrzekł się woli. Najlepiej szafuje skarbami kościoła ten, co ślubował ubóstwo i dobrowolną jedyną wolną wspólność dóbr z braćmi. Z liczby tych miłośników czystości, co w samotności celi i klauzury, i w towarzystwie pobożnych braci, nieufni sobie, szukali i znaleźli tysiączne rękojmic od pokus świata; co postem i czuwaniem podbili zbuntowane ciało, a modlitwą, czytaniem i rozmyśleniem podnieśli ducha, wychodziły częstokroć świeczniki, godne jaśnieć nadprzyrodzonym blaskiem pośród namiętnej nocy świata. Sam zakon Benedyktynów dostarczył 25 papieżów, z których ostatni był Pius VII. Tęże reguły Cystersów 4 było papieżami, Kluniaków 4, między nimi Grzegorz VII. Z zakonu Kartuzów papieżów było 2, Karmelici podobnie 2 papieżów zpośród siebie liczyli. Dominikanie 4, między nimi święty Pius V. Franciszkanie 5, prócz tego 3 papieżów w sukni świętego Franciszka grzebać się kazało. Kanoników regularnych Lateranen-

skich 30 było papieżami. Jezuity nie było żadnego, chociaż kardynał Belarmin miał wiele głosów, a Lainez trzeci ich generał, ucieczką się od téj godności ratował.

Przez długi czas kościół téż nie miał względu na narodowość papieży, i wybierał ich ze wszech ludów chrześcijańskich, chociaż naturalnym biegiem rzeczy, wybór najczęściej padał na Włocha, a zwłaszcza na Rzymianina. Jednak Wiktor I i Melchiadel byli rodem z Afryki, Kajus i Jan IV ze Słowiańskiej Dalmacyi. Niemców było papieży 6, z których 2 Sasów i 2 Bawarów. Syryjczyków 6, Francuzów 16, Greków 14, 2 Portugalczyków, 2 Hiszpanów z rodziny Borgia, Anglik 1, Adrian IV; Polak Hozyusz, prezes soboru trydenckiego odmówił godności papieżkiej. Francuzi co najwięcej po Włochach papieży liczyli w swoim narodzie, przez zbytne przywiązanie do ziemi rodzinnej, zagroździł niemal cudzoziemcom drogę do papieństwa, bo Klemens V Francuz z rodziny de Got, arcybiskup miasta Bordeaux, będąc obrany papieżem, do Rzymu nie przyjechał, lecz w Lyonie koronowany, stolicę do Avinionu przeniósł, roku 1305. Podobnież pięciu następców jego Francuzów z Avinionu Rzymem rządziło. Wprawdzie piąty z nich Urban V odwiedził Rzym, wylądowawszy w Kornecie żądał od kardynała Egidyusza sprawy z jego rządów, na co Egidyusz odpowiedział mu, przywołując wóz kluczyów miast odzyskanych. Jednak odwiedziwszy swe biskupstwo i przyjąwszy tam odwiedziny cesarza Karola IV, Piotra króla Cypru, i Joanny Neapolitańskiej, Urban V wrócił do ojczyzny swojej. Już w tym czasie wszyscy niemal kardynałowie byli Francuzi, a ci co nie należeli do tego narodu, przyzwyczajali się do łagodnego powietrza Francyi południowej. Wybrali więc na nowo Francuza

Grzegorza XI, ale ten papież, czyto na prośby ludu rzymskiego, czy dla nalegania świętej Katarzyny Senen-skiej i świętej Brygidy, postanowił powrócić do prawdziwego siedliska swego. Mówią, że ganiąc pewnego biskupa że nie przebywa w swój diecezyi, usłyszał od niego przykrą odpowiedź, że papież także na stolicy swojej nie siedzi. Poruszony tą przymówką, tém bardziej śpieszył się z powrotem, chociaż musiał swój wyjazd kardynałom taić. Płynął Rodanem i morzem, nocował w kościele świętego Pawła za murami, i tam mszę odprawiwszy z rana wjechał do Rzymu. Na przyjęcie jego stali uradowani mieszkańcy ze świecami, od zamku św. Anioła do kościoła św. Piotra. Tym sposobem kościół był owdowiały przez panowanie 7 papieżyw i przez lat 70. Przez ten czas Rzym osierocony cierpiał od wojen domowych i nieładu zwykłego w średnich wiekach: kościoły św. Jana Lateraneńskiego i św. Piotra były spustoszone. Po śmierci Grzegorza XI, jak mówi Wietrowski (Historia magni sismatis Occidentalis) i Bzowski Dominikan Polak, który pisał dalszy ciąg dziejów kościelnych Baruniusza, lud rzymski smutném nau-czony doświadczeniem tej prawdy, że pańskie oko konia tuczy, chciał koniecznie papieża Rzymianina wołając: *Romano lo volemo*; kardynałowie odpowiedzieli, że wybiorą najgodniejszego, i byłiby pewno jeszcze Francuza obrali, gdyby stronnictwo Limuzynów innych Francuzów nie zniechęciło. Wybrany został arcybiskup Barski ze stanów neapolitańskich, lecz że nie był Rzymianinem, kardynałowie bojąc się ludu, posadzili na tronie tymczasem kardynała św. Piotra in Vimoli, który miał udawać papieża i przyjmować hołd ludu, póki jego towarzysze nie ukryją się w miejscu bezpieczném; ale sprzykrzywszy so-

bie tę niewdzięczną rolę, wyznał z płaczem, że papieżem nie jest. Lud rozgniewany oblegał kardynałów w zamku świętego Anioła, ale ci oświadczyli, że papieża raz obranego odmienić nie mogą, i wysłali Agapita Kolonne, żeby umysły uspokoił. Łatwo się uśmierzyli Rzymianie dowiedziawszy się kto był obranym, ale niektórzy z kardynałów obruszeni na papieża zebrali się w Anagni, obrali tam antypapę Klemensa VII, i ujechali z nim do Avinionu. Ta schizma opłakana trwała lat 29, i wstępował antypapież jeden po drugim, dopiero na soborze konstancyjskim papież Jan XXIII złożył władzę, przeciw-papież Benedykt XIII i Grzegorz XII złożeni zostali, a na stolicę Piotra wyniesiony został Marcin V Colonna. Działo się to w przytomności Zygmunta cesarza, który przysiągł posłuszeństwo rozkazom biskupów, i sam wymógł od nich przysięgę, że za dziesięć dni papieża obiorą. W tym wyborze miało udział 6 biskupów angielskich, 6 francuzkich, 6 hiszpańskich, 6 niemieckich i 6 włoskich. Rycina koronacy Marcina V, znajdowała się w kodyksie księgozbioru Żaluskich, przy opisie Ebercharda Dahera, sporządzonym na rozkaz elektora saskiego. Od tego czasu rzadko cudzoziemcy wybierani byli na rzymskich biskupów; ostatni był Adryan VI, rodem z Utrechtu w Belgii, roku 1522. Tkwiło zawsze w uszach kardynałów zdanie francuzkich papieżów: że kiedy Kamillus był w Wejach, tamże był Rzym; a pewien polski kardynał nie większą pokazał gotowość poświęcenia dla dobra kościoła osobistego przywiązania do ziemi rodzinnej, wyznając nieroztropnie, że jeśli będzie papieżem, Kraków będzie Rzymem. *Si ego Papa, Cracovia Roma.* Nie masz warunku obieralności co do wieku, i kilku było papieżów 20 lub 30letnich. Jednak po większej

części wynoszą na tę najwyższą godność samych sędziwych starców. Myśl tajemna kardynałów, którzy pragną przeżyć papieża aby nawzajem mogli być obranemi, zgadza się w tej mierze z przystojnością i potrzebą kościoła. Każdy bowiem przyzna, że jeżeli starość ludzi zepsutych bywa częstokroć niedoleżna, to sędziwość mężów pracowitych, zdrowych i cuotliwych, jest najpiękniejszą porą życia, jest pogodną jesienią po burzliwem lecie, niosącą błogie owoce pracy i żniwa nauki. Zwłaszcza w rzeczach kościelnych, gdzie więcej znaczy starożytność podań i nieodmienność wyznania, niż ruchoma fala codziennych myśli i wypadków; korzystna jest dla najwyższego pasterza starość, rękojmia stałości w cnocie, nauki i mądrości.

Raz się zdarzyło, że człowiek świecki był rzymskim biskupem obwołany, i po wyborze dopiero pierwsze święcenia otrzymał. Ale Stefan IV zakazał podobnych nadużyć; bo jakże arcykapłan nie ma być brany z rządu kapłanów, z duchownego pokolenia Levi? Jakże stróż najwyższej nauki Chrystusowej, nie byłby powołany ze stanu przeznaczonego na pilnowanie téjże nauki, i na sprawowanie Najświętszych Sakramentów poświęconego? Rzeczony Stefan IV na soborze rzymskim w roku 769 przeciw antypapie Konstantynowi zebrany, postanowił, aby papież był obrany z liczby kardynałów; ale ten rozkaz nigdy wyłącznie spełniony nie był, i liczymy potem 15 papieżów niekardynałów. Ostatni z nich był Urban VI roku 1378. Od tego czasu wszysey papieże wybrani, należeli wprzód do grona kardynałów; jednak na konklawie Adryana VI i Klemensa VII, wiele miał głosów Mikołaj Leonbergh Dominikan, a na konklawie Benedykta XIV ksiądz Barberini był generał Kapucy-

nów, oba niekardynali. Kardynał Lambertini później papieżem obrany pod imieniem Benedykta XIV, uczy nas w pismach swoich, że kardynałowie powinni wybrać między sobą jeżeli znajdą godnego, jeżeli nie, to w kościele rzymskim szukać powinni, a gdyby w liczbie księży rzymskich nie znaleźli godnego, powinni obrać cudzoziemca. I zapewne, oprócz rękojmi większej znajomości rzeczy, kardynałowie znani są powszechnie ze swoich cnót lub przywar, a zwłaszcza znają się między sobą; łatwiej więc światły wybór między nimi uczynić, niżeli błąkać się między ludźmi nieznanymi jeszcze, ukrytymi w ciemnościach skromnego położenia, lub we mgle odległości.

Wyczerpawszy warunki wymagane od oborców i obranych, przejdziemy do sposobu jakim się wybór odbywa, a tym jest tak nazwane *Conclave*. Ten łaciński wyraz, znaczy miejsce zamknięte na klucze, i może się przetłumaczyć polskim wyrazem: *zakłuczenie*. Dla ludu, który nie chciał się nawet zamykać w murach miasta przy wyborze króla swego, ale na szczerém i nieprzejrzaném błoniu, w prawdziwym żywiole swoim, wolę swoją poznawał; może ciekawy będzie kształt elekcji zupełnie odmienny, nie na króla jednego kraju, ale na prymasa całej Rzeczypospolitej chrześcijańskiej.

Przed trzynastym wiekiem, wyniosłe grono wyborców nie bywało zakłuczone; każdy mieszkał w swoim domu i co dzień zjeżdżali się lub schodzili w kościele Watykańskim albo Lateraneńskim. Zdarzyło się, że po śmierci Klemensa IV, roku 1268, kardynałowie zbrali się w mieście Witerbo w celu obrania następcy, ale żadną miarą zgodzić się nie mogli. Było ich wtedy 18, zakłuczenie trwało 2 lata i 9 miesięcy. Nie mogły ich skłonić do zgody próśby Filipa III króla francuzkiego, Karola neapolitań-

skiego i św. Bonawentury przytomnego wtedy w mieście Witerbo. Z rady tego sługi Bożego, lud zamknął kardynałów w miejskim ratuszu, a gdy i to nie pomogło, zdjął dach téj budowy, aby ich swary dęszcz gasił, a słońce do zgody zagrzewało. Nareszcie wybrali 6 kardynałów na kompromis i zgodzili się, że za papieża tego wszyscy mieć będą, kogokolwiek oni obiorą. Ci 6 obrali papieżem Teobalda Visconti, archidyakona leodyjskiego, niekardynała, który przybrał imię Grzegorza X. Ten papież chcąc zapobiedz nadal tak niebezpiecznemu zgorzeniu, i przymusić kardynałów do prędkiej zgody, użył doznanego lekarstwa, i postanowił roku 1274 na soborze lyońskim prawo o zakluczeniu. Prawo to Grzegorza X jest dotychczas podstawą zakluczenia, chociaż w niektórych szczegółach złagodzone; treść jego była następująca: W dziesięć dni po śmierci papieża, w pałacu gdzie umarł, zgromadzają się kardynałowie, biorąc z sobą tylko po jednym słudze. Wszyscy muszą razem mieszkać bez przegród i przedziałów, zamknięci ze wszech stron żeby nikt nie mógł wejść do nich. Posłuchania tylko za zezwoleniem wszystkich i publicznie przyjmują; listu żadnego odbierać ani pisać nie mogą; to wszystko pod karą wyklęcia. Jeść im przynoszą przez okno zakratowane, ale po trzech dniach tylko jedną potrawę; po 8 dniach pościć muszą o chlebie i wodzie. Nie mogą przez czas zakluczenia pobierać dochodów papieżkich ani własnych. Urzędy wszystkie prócz kamerlinga i penitencyarza ustają. Kardynałowie niezamknięci w *Conclave* głosować nie mogą. Wszyscy powinni zaniechać osobistych widoków i mieć tylko na celu dobro kościoła. Nie można dla wyboru nie dawać, obiecywać, prosić, ani brać. Mia-

sto gdzie zakluczenie się obchodzi, winno je strzedz pod karą wyklęcia i utraty biskupstwa.

Prawo to jak mówiliśmy, było w zbyt surowych przykazach złagodzone. I tak: Klemens VI pozwolił mieć dwóch, a nawet chorym trzech konklawistów, czyli dworzan kardynalskich, którzy przez samą bytność w zakluczeniu są uszlachceni, i doznają jeszcze wiele innych przywilejów udzielonych im przez Klemensa VIII, XII i innych papieżów. Rzeczony Klemens VI, pozwolił przegradzać cele dywanami, i losem je ciągnąć; także jeść jednę potrawę na obiad, drugą na wieczerzę, nie licząc w to wędlinę, salate, sér i owoce. Klemens VII rozkazał, by wybór papieża nie odbywał się w miejscu śmierci poprzednika, ale zawsze w Rzymie. Dał ten rozkaz jadąc do Bononii na koronację Karola V cesarza, i znowu jadąc do Wiedni w Francji, by zawrzeć pokój z cesarzem i królem francuzkim Franciszkiem I, a syna jego z Katarzyną de Medicis ożenić.

Jak dalece prawo Grzegorza X było skuteczne, dowiodło zaraz zakluczenie po śmierci jego, trwające tylko jeden dzień. Adryan V Fieschi, zawiesił to prawo, ale umarł w 38 dni po wstąpieniu na tron, nieświęcony nawet na księdza. Jan XXI także je zawiesił, ztąd wybory papieżów znowu długo trwały; wybór Celestyna V, trwał 2 lata i 3 miesiące. Dopiero ten święty papież powtórném doświadczeniem nauczony, prawo Grzegorza X odnowił, Bonifacy VIII zapisał je w księdze dekretaliów, a Klemens V na piętnastym sohorze powszechnym w Wiedni potwierdził i zakazał kardynałom one tłumaczyć podług ich upodobania.

Niemniej ważną jest bulla Juliusza II o przekupnym wyborze, *De Simoniaca electione*, w Rzymie r. 1505 wy-

dana. Według niej, papież przekupstwem obrany, nie ma być uważany za apostolskiego następcę Piotra, lecz owszem za apostatę i kacerza. Wybór jego nawet przez koronacyą nigdy nie może być potwierdzonym. Wolno kardynałom, całemu duchowieństwu, ludowi, rządcom miast i stanów kościelnych wyłamać się zpod posłuszeństwa papieżowi tak obranemu, chociażby przysięgę posłuszeństwa już wykonał. Kardynałowie mogą wzywać przeciw niemu pomocy świeckiej. Wymienia dalej bulla kary spadające na kardynałów przedajnych. Nie-splamieni przekupstwem, mają zebrać nowe *Conclave* i wybrać prawdziwego zastępcę Chrystusa Pana. Bulla ta potwierdzoną była przez sobór Lateraneński V, powszechny XVII i przez Pawła IV papieża. Szczęściem, nie okazała się nigdy potrzeba zastosowania tak surowego lecz sprawiedliwego prawa.

Pius IV potwierdził i pomnożył prawa Grzegorza X w roku 1562 i dodał do nich przepisy, z których najważniejsze są: że kardynałowie mogą rozporządzać skarbem stanu do wysokości 10,000 skudów; trzy głowy kardynałów biskupów, kardynałów księży i kardynałów dyakonów co dzień się zmieniające, pomagają kamerlingowi do ułatwiania bieżących spraw państwa.

Bulla Grzegorza XV jest najzupełniejsza w tej mierze: wyszła roku 1621, i zaczyna się od słów *Aeterni Patris*; lecz nie będziemy rozbiierać jęj treści by nie utrudzić czytelników, tém bardziej, że ją później w zastosowaniu poznamy, przy opisaniu porządku zakluczenia. Z tegoż powodu wspomnimy tylko ceremoniał z rozkazu Grzegorza XV napisany, i od niego potwierdzony, tudzież bulle Urbana VIII i Klemensa XII *Apostolatus officium*, z roku 1732, jako téż postanowienie tegoż wy-

znaczące płace miesięczne lekarzom, pisarzom i całemu dworowi zakluczenia; z nich najwyższe nie przenoszą 100 skudów czyli 1,000 złotych polskich na miesiąc.

Stosownie do praw powyższych, kardynałowie przed zakluczeniem, w czasie żałobnego 9dniowego nabożeństwa, odbywają dziewięć posiedzeń czyli kongregacyj. Na piérwszém posiedzeniu czytają rzeczone prawa Grzegorza X, Juliusza II, Pawła IV, Grzegorza XV, Urbana VIII i Klemensa XII i przysięgają im posłuszeństwo. Potém kruszy się pierścień rybaka i pieczęć ołowiana. Pierścień rybaka jestto mniejsza pieczętka wyrażająca Piotra w łodzi, ciągnącego sieci. Ten pierścień używał się aż do czasów Kalixta III, do listów osobistych papieża; późniéj użyty został do listów urzędowych zwanych *breve*, piszących się zwyczajném pismem na cienkim pergaminie; pieczętuje się na laku czerwonym. Pieczęć ołowiana zawieszona na sznureczku, wystawiająca ś. Piotra i Pawła, przykłada się w sprawach ważniejszych, na bullach, które piszą się głoskami gotyckimi od czasu pobytu papieżów w Awinione, na grubym pergaminie; a jako uroczysta wola najwyższej władzy duchownej, zasługują na najgłębsze poszanowanie u ludzi bogobojnych. Do listów poufałych, papieże używają herbu swój rodziny, albo jeżeliby który nie był z pomiędzy szlachty, własnego herbu przybranego. Na témże posiedzeniu składają kardynałom szkatułkę prośb zaległych w datoryi i szkatułkę brewów. Poczém wybiera się albo potwierdza gubernator Rzymu, i naznacza się dwóch kaznodziei: jeden do mowy pogrzebowej po zmarłym papieżu, drugi ma powiedzieć kazanie sejmowe przy mszy

do Ducha świętego. Wreszcie wyznaczają się trzej kardynałowie dla dozoru nad urządzeniem zakluczenia.

W następnych posiedzeniach odbywają się mniej ważne czynności, lecz konieczne trzeba je załatwić przed zakluczeniem. I tak potwierdzają się urzędnicy miasta i stanu. Wybięra się spowiednik zakluczenia, lekarz, chirurg, aptekarz i cyrulik. Potwierdzają się konklawiści kardynałów, i pozwala się proszącym wziąć trzecięgo. Wyznaczają się mistrze obrzędów, murarz i ślusarz. Te wszystkie osoby, potrzebne do usługi w zakluczeniu, licząc w to 35 posługaczy, obowiązane są do ścisłej tajemnicy i składają na to dwakroć przysięgę.

Na dziesiątym i ostatniem posiedzeniu, kardynałowie niemający jeszcze stopnia dyakona, okazują osobiste pozwolenie papieżkie, bez czego nie mieliby prawa do głosowania. Ale od ostatniego papieża, nie odziewają się szkarlatem kardynalskim mężowie nieświęceni jeszcze na dyakonat. Na témże posiedzeniu przypuszczani bywają do posłuchania posłowie zagraniczni, chcący okazać żal dworów swoich po stracie papieża, i zachęcić kardynałów do wybrania godnego następcy. Czasem także jeden z kardynałów ma sobie powierzone podobne posłannictwo; tak przed wyborem Innocentego XII, kardynał Barberini wyraził życzenia króla polskiego, podczas kiedy książe Lichtenstein poseł austriacki, ubolewał nad ciosami temu państwu przez Turków zadaniem. Posłowie wchodząc do *Conclave* klękają trzykroć na jedném kolanie, ponieważ jak mówią kardynałowie, papież jest między nimi, acz nieobrzany i nieznany: *internus est*.

Ukończywszy nabożeństwo żałobne i posiedzenia przygotowawcze, kardynałowie słuchają mszy do Ducha

świętego, śpiewanej w kaplicy kanoników w kościele świętego Piotra, przez kardynała dziekana; przytém wybrany kaznodzieja stosownie mówi kazanie. Tegoż dnia po południu zebrali się w kościele świętego Sylwestra na Monte-Cavallo i po odśpiewaniu hymnu *Veni Creator*, processyą po dwóch przeszli do blizkiego pałacu Kwirynalu, pośród tłumów ciekawego ludu.

Wiadomo, że w Kwirynale odbywa się *Conclave* od czasu Piusa VII. Dawniej zakluczeni byli kardynałowie zazwyczaj w pałacu Watykańskim; czasem także w klasztorze Dominikanów na Minerwie, i po innych miejscach, ale budowa zakluczenia była za każdą razą kosztowna i mozolna: za każdą razą trzeba było urządzać cele drewniane, przegradzać je dywanami i makatami, a pomimo całego trudu, było tam ciasno i niewygodnie. Często też kardynałowie chorowali i umierali; i tak, przed wyborem Urbana VIII, umarło czterech kardynałów i wielu konklawistów. Przypisywano to po części złemu powietrzu panującemu w Rzymie letnią porą; często śmierć papieżów podczas letnich upałów wydarzona, w tymże czasie sędziwych kardynałów zwolywała. Sąsiedztwo cmentarza, i wycięcie lasów, pogorszyło zły wpływ gorączkowych wyziewów na Watykanie. Przeciwnie pałac Kwirynalski jest w najzdrowszem położeniu z całego miasta, bo stojąc na wyniosłym miejscu, chłodzony jest wiatrem od morza wiejącym, i czyste przynosi powietrze. Ten pałac, stojący otworem dla ciekawych przed zakluczeniem, zaczęty został przez Grzegorza XIII podług rysunku budowniczego Flaminio Pouzio Lombardo; skończonym dopiero został przez Pawła V Borghese. Tenże papież zbudować kazał kaplicę pałacową, dwupiętrową narożną, a Pius VII ozdobił ją

malowidłami szaro-złotemi, naśladowującemi ozdoby budownicze i snycerskie. Posągi 12 apostołów, malowane są przez najlepszych artystów z początku tego wieku, na wzór Rafaela, znajdujących się w kościele św. Wincen-tego i Atanazego. Drzwi z kaplicy otwierają się na salę królewską, służącą za przedpokój, zkąd idzie się do zakrystyi, do zakratowanych sal posłuchania, i do korytarzów trzypiętrowych, na 457 palm długich, nakoniec wchodzi się do cel, czyli małych pomieszczeń kardynał-skich. Długie skrzydło Kwirynalu mieszczące te cele, zbudowane było dla dworu papieżkiego przez Alexan-dra VII, a skończone przez Klemensa XII. Za życia pa-pieża mieszkają tam urzędnicy i słudzy dworscy, a po śmierci jego ustępują miejsca kardynałom.

Szli kardynałowie parami do Kwirynalu, poprzedzeni krzyżem przy śpiewie: „Przybądź Duchu Twórczo!” a z li-cznych widzów tego pochodu, jedni łączyli się w duchu z modłami kościoła, drudzy ciekawością zdjęci pytali się o imiona przechodzących starców, obarczonych w téj chwili niesłychaną władzą. Ale pomiędzy temi blademi, zmarszczonemi twarzami, próżno szukali siwój brody kar-dynała Mikara, Kapucyna; wyprzedził ich i zawczasu zamknął się w Kwirynale, pod pozorem słabości zdro-wia; prawdziwie zaś dlatego, aby uniknąć oklasków lu-du. Lud kochał tego najstarszego z kardynałów dla zna-nój jego oszczędności i surowości względem nadużyć pół-duchownego rządu. Mikara wyniesiony z pokornego zakonu ojców Kapucynów, tych Demostenesów ludu, jak ich Lacordaire nazywa, pozostał wierny ubóstwu i pro-stocie klasztornej. W klasztorze, nie w pałacu mieszkał w Rzymie, na dworskich obrzędach i na tajnych ra-dach konsystorza rzadko się pokazywał, bo wiedział, że

słowa jego nieobwijane w bawełnę, niemile brzmiały w uszach niektórych kardynałów. Gdy radził zbytek zmniejszyć, a pieniądze kościelne oszczędzać, odpowiadało mu, że nie wszyscy przywykli jak on, żywić się bobem. Lud przywiązany do Kapucynów, lubił tém bardziej widzieć ich, i swoje przymioty uświęcone w tak wysokim księżęciu kościoła, życzył go zatem widzieć papieżem, i zatrzymał go nawet przed kilkoma dniami samotnego za Tybrem, prosząc o błogosławieństwo. Ale mówi przysłowie: że kto wchodzi papieżem w zakłuczenie, wychodzi kardynałem; pośród licznych dowodów tego pewnika przytoczyć można wybór Kalixta III Borgia, kiedy wszyscy myśleli że będzie wyniesiony uczony Grek kardynał Bessarion. Tak téż imię Mikary naprózno było po wszystkich ulicach, we wszystkich ustach słyszane. Wiedział sędziwy starzec, że miał przeciw sobie zbyt wiele niechętnych, powiedział to wyraźnie w krótkiej lecz gorliwej przemowie przy wstępie do zakłuczenia, zachęcając kardynałów do zgody. Poczém zemdlały na siłach, zamknął się w celi swojej; a że cela jego losem wybrana była zbyt oddalona od kaplicy, dlatego pobożny kardynał Akton ustąpił mu swoją. Ta cela była jedyna zamknięta, inne były jeszcze otwarte tego wieczora odwiedzającym znajomym kardynałów. Każdy z nich przyjmował w swojej celi, mając u drzwi swoich czterech służących w liberyi z zapalonymi świecami. Po długich chodnikach Kwiryntu cisnął się tłum posłów zagranicznych, wojskowych wyższych stopni, księży i urzędników. Stosownie do większego lub mniejszego prawdopodobieństwa że będą obrani, cele kardynałów były napchane tłumem albo próżne. Lecz we trzy godziny po zachodzie słońca, za odgłosem dzwonka wszyscy obcy

muszą się oddalić, zostają się tylko sami kardynałowie i osoby należące do zakluczenia.

Zamykają się na dwa zamki z trzaskiem drzwi żelazne kratowane; klucz wewnętrzny bierze kardynał kamerling, zewnętrzny książę Chigi, dziedziczny marszałek zakluczenia. Przed nim przywilój ten miała wygasła rodzina książąt Lavelli. Marszałek nie otwiera drzwi nikomu, tylko kardynałom którzy się spóźnili z przybyciem ze stron dalekich, albo chorym co chcą wychodzić z zakluczenia, albo wreszcie posłom zagranicznym, którzy otrzymali posłuchanie od zgromadzenia. Słudzy pańscy zakluczeni jak apostołowie w wieczorniku, czekają w skupieniu myśli póki Duch święty oświecić ich nie raczy. Chwilowe i dobrowolne więzienie, równie jak post lub inne umartwienia, są doskonałym sposobem do przypieszenia łaski Bożej; jestto śmiem się wyrazić przy mus czyniony niebu, stosownie do słów Zbawiciela: „Królestwo Boże gwałt cierpi i gwałtownicy je porywają.” Od téj nocy milczące mury Kwirynalu, zawierają całą nadzieję chrześcijaństwa, równie jak Arka Noego zachowywała pośród potopu plemię rodzaju ludzkiego.

Skoro zamknięte podwoje pałacu dzieli Kwirynal od świata, patrzajmy co się zewnątrz i wewnątrz zakluczenia dzieje.

W mieście księża modlą się gorliwie o łaskę Ducha świętego i w tym celu zgromadzają się co dzień w kościele św. Wawrzyńca in Damazo i ztąd processyą śpiewając litanie do Wszystkich Świętych, idą do pierwszego podwórza Kwirynalu i śpiewają mszę do Ducha świętego, o wybór papieża. Podobna msza ofiarowana jest po wszystkich kościołach miasta i świata wiernego. Po kościołach rzymskich wyznaczonych przez kardynała wi-

karyusza, wystawia się Najświętszy Sakrament jak na czterdziesto-godzinne nabożeństwo, i bywa odwiedzany przez bractwa pobożne. Dwa razy na dzień przed południem i przed wieczorem, zbierają się tłumy ciekawe na Monte-Cavallo i oglądają niespokojnie na mury Kwirynału. Jeżeli widzą że rozwała się okno, a raczej drzwi szklane zamurowane na czas zakluczenia a idące na ganek budowy Berniniego, to znak, że już papież obrany i wkrótce będzie ogłoszony. Jeżeli przeciwnie pokazuje się dym z pewnego kominka, to dowód, że głosy niezgodne się palą i że głowa kościoła jeszcze niewybrana. Później koło południa, słudzy kardynałów niosą obiad swoim panom i podają go przez koła na wzór klasztornych umyślnie w tym celu urządzone, od czasu mistrza obrzędów Parysa de Grastis, który po śmierci Juliusza II pierwszy podobne koła zastosował. Takich kół jest cztery: przy pierwszym stoją zewnątrz zakluczenia konserwatorowie ludu rzymskiego, to jest sędziowie, którzy pod przewodnictwem senatora rzymskiego, zasiadają na Kapitolu w sądzie zwanym senatem; zbyt wielkie imię dla małej władzy! Drugiego koła pilnują patriarchowie, arcybiskupi i biskupi, dowód jak wysoką cenę przywiązuje kościół do zerwania stosunków zakluczenia ze światem; trzecie koło strzegą mistrz pałacu apostolskiego, i audytorowie roty czyli sądu duchownego; czwarte wreszcie prałaci, klerycy i pokojowi papieżcy. Ci wszyscy pod karą zawieszenia i krzywoprzysięstwa mają sobie przykazane od Piusa V, żeby rewidowali jak najściślej potrawy i inne przedmioty kardynałom przynoszone, aby w nich nie znajdowały się żadne listy, ani posyłki.

Ale wewnątrz zakluczenie przedstawia widok ciekawszy i uroczystszy. Od rana odgłos dzwonka zgromadza

kardynałów do kaplicy, gdzie słuchają najprzód mszy Ducha świętego i przyjmują Najświętszy Sakrament z rąk kardynała dziekana. W kaplicy urządzone są krzesła dla kardynałów pokryte baldahinem, który sznurkiem się opuszcza skoro papież obrany; krzesła i baldahiny kardynałów mianowanych przez ostatniego papieża są fioletowe, zielone zaś tych, co poprzednikom jego winni swe wyniesienie; pierwsze mają barwę żałoby, drugie nadziei: dwie barwy zgodne z sobą. Po mszy odczytują się raz jeszcze prawa papieżów wyżej wspomnianych i rozpoczyna się wybór. Dawniej wybór dział się przez cztery różne sposoby, to jest: natchnienie czyli okrzyknięcie, kompromis, głosowanie, albo przez przystąpienie.

Natchnieniem zowie się, kiedy oborcy jednogłośnie, jakby Duchem świętym zapaleni, papieża obwoływali. Podobnie w starożytności rzymscy żołnierze okrzykami obierali cesarzów, i kiedy im mówca dowodził, że trzeba mieć za cesarza męża uczciwego, *virum probum*, oni Probusa cesarzem okrzyknęli. Takim sposobem był okrzyknięty papieżem święty Fabian, dlatego, że gołąb zlatując z nieba usiadł na jego głowie, roku 238. Podobnie Grzegorz VII kiedy u świętego Jana spokojnie pogrzebem zmarłego papieża się trudził, nagle papieżem obwołany został, przy okrzykach ludu: „święty Piotr obiera Hildebranda”. Grzegorz XV obostrzył ten sposób warunkami, a mianowicie jednomyślnością; teraz już wyszedł z użycia.

Kompromis jest wtenczas, kiedy kilku kardynałów wybranych, na papieża jednomyślnie głosuje, i kiedy wszyscy inni się zgodzą zawczasu na potwierdzenie ich zdania. Ten sposób użyty przy wyborze Grzegorza X, dziś już także nigdy zastosowanym nie bywa.

Teraz wybór odbywa się tylko przez głosownie i przystąpienie. Głosowanie odbywa się dwa razy na dzień w murach Kwirynalu; rano i po południu odgłos dzwonka zbiera kardynałów do kaplicy Pańskiej, w której mistrzowie obrzędów przygotowali zawczasu ceduły czyli kartki do zapisywania głosów. Kartki te są podłużne, mają dłoń czyli palmę długości, a pół dłoni szerokości. U góry są drukowane słowa: „*Ego Cardinalis*”..... niżej miejsce na pieczęć, potem „*Eligo in Summum Pontificem Reverendum Dominum meum Cardinalem*”..... i znów miejsce dla pieczęci, a jeszcze niżej miejsce na dewizę czyli godło. W kartkach osobnych do przystąpienia, jest wszystko takie same, tylko że zamiast wyrazu *eligo* jest *accedo*. Aby nie korzystać z przezroczystości papieru, na grzbiecie tych kartek ozdoby drukarskie nie pozwalają przeczytać imienia ani godła kardynałów. Przed zaczęciem głosowania, wyciągają się losem trzej kardynałowie wyznaczeni do zbierania głosów, i tak nazwane infirmiery, którzy idą zbierać głosy chorych kardynałów. Poczem głosujący wzięwszy kartkę ze stołu, zbliżają się po jednemu do stolików na których jest kałamarz, pióra i lak, i w miejscu gdzie wydrukowane na kartce: „Ja kardynał”..... pisze swoje imię, składa górną część kartki i pieczętuje: niżej gdzie wydrukowane: „Wybiéram na najwyższego kapłana przewielebnego pana mego pana kardynała”..... wpisuje imię tego, kogo chce mieć papieżem. Wreszcie u spodu kartki pisze godło z pisma świętego wyjęte, i pieczętuje znowu. Pieczętunki, jedna na górze, druga na dole, pozwalają rozłożyć kartkę by przeczytać imię osoby na papieża, tylko zasłaniają imię i godło kardynała. Pieczętują nie zwykłym swoim herbem,

ale przybraniem na ten czas umyślnie głoskami. Głosowanie na papieża jest zatem tajne, aby osobista bojaźń ani nadzieja nie miała wpływu na wydanie głosu.

Napisawszy głos swój, każdy kardynał niesie złożoną kartkę do ołtarza, i tam kładzie ją do kielicha, umyślnie na to sporządzonego za czasów Grzegorza XV, z wizerunkiem Duchy świętego, który bywa używany także czasem do mszy papieżkiej. Ale nim włoży kartkę, każdy składa następującą przysięgę: „*Testor Christum Dominum qui me judicaturus est, me eligere quem secundum Deum judico eligi debere; et quod idem in accessu praestabo.*” „Świadcę się na Chrystusa pana który mnie sądzić będzie, że wybieram kogo sądzę przed Bogiem że powinien być obrany, i toż samo w przystąpieniu uczynię.” Potem kładzie kartkę na patynę i wpuszcza w kielich, a klękawszy przed krzyżem, wraca na swoje miejsce. Jeśli który wstać z miejsca dla wieku i słabości nie może, jeden z wyznaczonych bierze jawnie kartkę z rąk jego i składa w kielich. Chorym niosą szkatułkę ze szparą jak w skarbonie; otwierają ją wprzód dla przekonania się że jest próżną i zostawiają klucz na ołtarzu. Jeżeli chory nie może sam kartki zapisać, obiera sobie zastępcę, który mu przysięga tajemnicę.

Po głosowaniu następuje rozbiór głosów. Pierwszy z wyznaczonych kardynałów miesza kartki w kielichu i liczy je, a jeśli liczba kartek nie równa liczbie kardynałów, wszystkie się palą. Jeżeli zgodna, otwierają się kartki w ten sposób: pierwszy z wyznaczonych rozkłada nie tykając się pieczętek i obaczywszy imię zapisane na papieża podaje drugiemu, drugi obaczywszy je podaje trzeciemu; trzeci czyta głośno żeby każdy kardynał mógł głos ten krótką naznaczyć na arkuszu, gdzie są

drukowane wszystkie imiona kardynałów, potem liczą się kréski i zapisuje się ile kto miał głosów.

Jeżeli jedna osoba ma już za sobą dwie trzecie części głosów, to wybór już skończony; jeżeli nie, zaczyna się wtedy przystąpienie i odbywa się tym samym porządkiem, z tą tylko różnicą, że kto zdanie odmienia, pisze na kartce imię inne, kto nie odmienia, wpisuje *accedo nemini*. Nie wolno bowiem dawać przystąpienia temuż samemu co głos, nie godzi się także przystępować do tych kardynałów, co żadnych głosów za sobą nie mieli. Przy ołtarzu kładąc kartkę nie składa się nowój przysięgi, bo pierwsza już obejmowała przystąpienie. Przy rozbiorze otwierają się godła, dla przekonania się, czy kto nie powtórzył głosu swego w przystąpieniu. Zwyczaj ten naśladowany jest od senatu rzymskiego; senator zbliżał się do tych, których zdanie dzielił, albo też z miejsca mówił że przystępuje: *Accedo ad idem*.

Jedno głosowanie, a po niém jedno przystąpienie, odbywa się dwa razy na dzień, rano poprzedzone mszą do Ducha świętego, wieczorem pieśnią *Veni Creator*, aż dopóki dwie trzecie części kardynałów nie zgodzą się na jednego papieża. Jeśli liczba głosów nie przewyższa $\frac{2}{3}$, otwiera się głos wybranego żeby się przekonać, czy sam sobie głosu nie dał, który w tym razie byłby nieważny; kartki palą się na kominku za ołtarzem, a dym daje poznać ludowi, że papież jeszcze nieobrany.

Wdzieliśmy szczegółowo kształt wyboru, uchyłmy podobnież zastłonę co do ducha ożywiającego wyborem. Tu nam wypadnie wyznać dwie prawdy, obie nas ludzi, upokorzyć mogą: pierwsza, że kardynałowie dawali się niestety częstokroć uwodzić duchem stronnictwa, idąc za popędem przeważnych rodzin, albo zagranicznych

dworów, tém bardziej, że Włosi są z urodzenia do wszelkich podstępów przebiegli i zręczni; druga prawda, że te mozolne zabiegi zazwyczaj żadnego nie miały skutku, i w końcu obrany był papieżem prawie zawsze ten, o którym nikt pierwój nie myślał, i który sam tego się nie spodziewał. W téj mierze autor dzieła pod tytułem: *Histoire des Conclaves*, drukowanego w Kolonii r. 1694 kościołowi niezbyt przyjazny, opisywał szczegółowo aż do znudzenia wszystkie zachody Austrii, Francyi, Hiszpanii, tudzież rodzin i stworzeń papieżkich. Stworzeniami czyli kreaturami papieża zowią się kardynałowie przez niego mianowani. Otoż pisarz dowiódł tego, czego nie myślał: że zwykle jakaś niewidzialna siła, śmiejąc się z ludzkich zabiegów, podług swój woli wszystko układa. Z licznych przykładów téj prawdy, przytoczę następujące: Pius II Piccolomini, poeta znany pod imieniem Eneas Silvius, był biskup Tryestu i kardynał Sieny obrany został papieżem w Minerwie roku 1464 pomimo intryg kardynała rueńskiego. Król polski nie był rad z jego wyniesienia, lękając się by Austrii nie sprzyjał. Święty Pius V Dominikan, wybrany został papieżem pomimo stronnictw Medyceuszów, Farnezów i Boromeów w roku 1566. Klemens VIII Aldobrandini, na którego elekcyi był przytomny kardynał Radziwiłł, a nie jawił się kardynał Batory, został papieżem pomimo zabiegów na korzyść kardynała Severino czynionych, w roku 1592; nie pragnąc téj godności, i nie myśląc o niej, kiedy mu kładli białą szatę papieżką, postrzegł, że brewiarz jego i różaniec pozostały w kieszeni od starój sukni i kazał ją sobie podać. Na zakluczeniu poprzedzającym wybór Leona XI Medyceusza i Pawła V Borghese, wszystkie niemal głosy były podzielone między uczo-

nemi kardynałami Baroniuszem, ze zgromadzenia Filipinów, i Bellarminem Jezuitą. Co więcej, oba ci sławni mężowie sprzyjali sobie wzajemnie. Jednakowo kardynałowie bojąc się surowości pierwszego, świętości drugiego, woleli obrać innych o których piérwój nie myśleli, to jest Leona XI, a po nim Pawła V; Leon bowiem XI Medyceusz żył tylko na tronie 25 dni, skarżąc się, że ta nowa godność pali go jak jasny płomień i że nie może znieść jój ciężaru. Krótkie życie wielu innych papieżów dowodzi, że ciężar władzy papieżkiej przechodzi siły śmiertelnego, i że upada pod nim kto nie jest osobliwą łaską Wszehmocnego wsparty. Alexander VIII Chigi, obrany został podobnież r. 1653 wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu; pewien kardynał zawałował po jego wyniesieniu: „Czyż widziano kiedy co dziwniejszego? Hiszpanie chcą papieża nie szukając własnej w tém korzyści; Francuzi osobę piérwój przez nich wyłączoną, młodzi kardynałowie męża prawego, starzy czerstwego, Medyceusze Sieneńczyka, Barberini nie ich stworzenie.” Te słowa wyrażają treściwie zarówno intrygi ówczesne, jak ich bezskuteczność. Toż samo Innocenty XI Odeschalchi wstąpił na tron niechcący, pośród stronnictw przeciwnych hiszpańskiego i francuzkiego, będąc obu przyjemnym: królowi hiszpańskiemu jako poddany jego bo rodem z Lombardyi, francuzkiemu dlatego, że pożyczał pieniędzy Janowi Kazimiérzowi królowi polskiemu, którego żona była z Francyi rodem. Papięż ten był przyjacielem Polaków, oni téż jaśnieli w dziejach ówczesnych, i pod królewską bulawą Sobieskiego odgnali zwyciężkich Turków od niewdzięcznych murów Wiednia. Bawiący wtedy w Rzymie poseł królewski ksiądz Kazimiérz Denhof, Polak z Prus, mianowany został

kardynałem z woli papieża a nie życzenia królewskiego, bo król prosił o kapelusz czerwony dla biskupa Forbin, byłego posła francuzkiego w Polsce. Wiadomo, że Innocenty XI nie bogacił swęj rodziny, owszem, z własnego majątku łożył 600 skudów na swoje utrzymanie, ale cesarz niemiecki darował synowcowi jego księciu Livio Odeschalchi obszerne włości w Austrii i Węgrzech, a w kilka pokoleń później, tegóż imienia książę Livio Odeschalchi, poślubił piękną i pobożną córkę bogatęj polskięj rodziny. Wyżęj wymienione osoby, znajdujemy znowu na zakluczeniu przed wyborem Alexandra VIII Ottoboni; tojest Denhofs kardynałem, a Liwiusza Odeschalchi generałem całego wojska.

Wybór Alexandra VIII ma to w sobie szczególnego, że sprawdził znaną przepowiednię, tojest nie wróżbę astrologa, który jadącemu na nauki do Rzymu przepowiedział, że nie będzie nawet kardynałem, ale jednę z owych znanych przepowiedni św. Malachiasza, o których wspomnięć tu powinienem. Proroctwo o nim było zawarte w słowach: *Poenitentia gloriosa*, pokuta chwalebna; i rzeczywiście zbyt może ulegający przemożnej władzy Ludwika XIV, przed śmiercią zebrał kardynałów i oświadczył im swój żal z tego, potępił cztery propozycye kościoła gallikańskiego i wydał bullę w tę mierze gotową oddawna, ale zawieszoną w nadziei zgody.

Proroctwa przypisywane świętemu Malachiaszowi, arcybiskupowi miasta Armagh w Irlandyi, zmarlemu w roku 1148, były ogłoszone piérwszy raz przez Arnolda Vion Benedyktyna roku 1595, lecz ten pisarz nie mówi zkąd je otrzymał. Święty Bernard w życiu św. Malachiasza nie o nich nie wspomina, chociaź przytacza inne proroctwa tegóż świętego. Baroniusz w Rocznikach

kościół i rodak nasz Bzowski jego dalszy ciąg piszący, lekceważą te przepowiednie. Jezuita Menestriez dowiódł, że były one wymyślone na zakluczeniu przed wybraniem Grzegorza XIV, przez stronników kardynała Simoncelli, którzy chcieli pod wróżbą „*de antiquitate urbis*” oznaczyć swego kandydata, urodzonego w Orvietto (*Urbs vetus*). Ale nie udało się im sztuka, bo ani na tém zakluczeniu, ani na innych, kardynałowie nie mieli względu na te wieszczę wyrazy. Twierdzenie powyższe o początku tych proroctw, popiera uwaga, że przed Grzegorzem XIV dosyć się sprawdzają, ale od niego począwszy trudno je nakreślić. I tak przed Grzegorzem XIV były wróżby: o Celestynie II, *ex Castro Tiberis*; z Casteli miasta nad Tybrem leżącego, roku 1143. O Kalixcie III obranym roku 1455: *Bos pascens*; dom Borgia z którego ten papierz pochodził ma w herbie wołu.

Po Grzegorzu XIV proroctwa są zaraz mniej trafne, bo trudniej przyszłość zgadnąć, niżeli przeszłość określić. Naprzykład: o Klemensie XI Altieri „*de flumine magno*”, co nie mogli inaczej wytłumaczyć jak przez konstellacją sześciu gwiazd plejad w herbie jego błyszcząca, która wielkie powodzie sprawia. Z téj sposobności jeden z przeciwników jego napisał te trzy wiersze:

Altieri, le tue stelle sono fisse o erranti? Altieri, gwiazdy twe błędne czy stałe?
Se son erranti non ti diran il vero; Jeżeli błędne, nie pokażą prawdy;
Se sono fisse non andaran avanti. Jeżeli stałe, nie postąpią naprzód.

Na tę słów igraszkę, stronnicy jego lepiej odpowiedzieli wierszami cechującemi władzę razem stałą i postępową papierzów:

Schioccol le mie stelle non sono erranti; Szalony! gwiazdy moje nie są błędne;
E mi diran il vero; sono fisse Powiedzą prawdę; a chociaż są stałe,
E col moto del ciel andaran avanti. Z obrotem nieba postępują naprzód.

O Pawle V proroctwo: „*gens perversa*” przypomina chyba orła i smoka, drapieżne zwierzęta na herbowej tarczy

Borghezów przybite. Oprócz powyższych historycznych uwag zdaje nam się, że gdyby duch święty komu tajniki przyszłości objawić raczył, proroctwa takowe stosowałyby się raczej do cnót i przymiotów głowy kościoła, albo do losów szczęśliwych lub smutnych całego chrześcijaństwa, nizeli do herbu familijnego papieżów. Ztąd widać, że te mniemane wyrażenia przyszłości, pisane były w czasie, kiedy do możnowładnego herbów znaczenia większą niż przystoi przywiązywano wartość.

Jednak nie wierząc tym wróżbom, myślimy, że godzi się ciekawość czytelników zaspokoić, podając listę papieżów od Grzegorza XIV panować mających. Grzegórz był setnym z porządku przepowiedzianych papieżów, i powiedziano o nim: *de Balneis Etruriae*, co tłumaczy w sposób: że św. Romuald założył w Etrurji zakon Kamedulów, z którego ów papież pochodził. Po nim następuje: 101, *Cruz de Cruce*, Pius IX. 102, *Lumen de Coelo*. 103, *Ignis ardens*. 104, *Religio depopulata*. 105, *Fides intrepida*. 106, *Pastor Angelicus*. 107, *Pastor et nauta*. 108, *Flos florum*. 109, *De medietate lunae*. 110, *De labore Solis*. 111, *Gloriae Olivae*. 112, *In persecutione extrema Sanctae Romanae Ecclesiae sedebit Petrus Romanus (vel Secundus) qui pascet aves in multis tribulationibus, quibus transactis civitas septicollis diruetur et Judex tremendus judicabit (vel vindicabit) populum suum. Amen.*

Zatém podług téj przepowiedni ma być już tylko dwaście papieżów, licząc w to teraz panującego. Wiadomo jak panowanie ich bywa krótkie, w przecięciu jednak 7 lat trwać może. Podług téj rachuby, światby się skończył za 84 lata, to jest około roku 1930 po Chrystusie Panie, i nie jeden z żyjącej młodzieży mógłby mieć

nadzieję lub obawę, że dożyje straszliwej chwili opisanęj przez ogniste wyrazy Apokalipsy. Co zaś oznacza wróżba krzyż z krzyża o nowym papieżu, czy prześladowanie kościoła? czy wojnę krzyżową? albo jedno z dwojga? to domysłom ciekawych zostawiam; w herbie albowiem nie da się wyrocznia zaspokoić. Ma się rozumieć, że kardynałowie nie kierują wyborów swoich stosownie do proroctw św. Malachiasza, ale mniej jeszcze na ich zdanie wpływa wola obranego. Jest rzeczą niesłychaną, że kiedy przystęp na wszystkie ziemskie godności ułatwiony bywa przez ludzkie zabiegi; kiedy dumni senatorowie rzymscy płaszczyli się w dzień wyborów u nóg ludu; kiedy dziś chcąc być wybranym posłem trzeba się popisywać ze swoim imieniem, przyjmować warunki, dogadzać wyborcom, czasem ich nawet przekupstwem jednać; kiedy obieralny król polski musiał podpisywać podobne *pacta conventa*, i tą samą pełznąć drogą; sama najwyższa godność na ziemi wyłączona jest od powszechnego prawa. Rzadko ją osiągnęli ci, co się o nią starali, a jeśli kiedy do tego przyszło, było to zwykle ich nieszczęściem; jak Klemens VII Medyceusz świadek okropnej rzezi Rzymu spalonego przez wojsko cesarskie; jak opłakany Alexander VI Borgia, któremu dlatego może Opatrzność papieżem być pozwoliła, aby dowieść, że przy zepsutych nawet obyczajach, żaden papież nie skaził czystości wiary świętej. Jeżeli kardynał z możnej rodziny prowadził intrygę, to zwykle nie dla siebie. Zazwyczaj jak mówiliśmy, obierali mężów, którzy się wcale o tę godność nie starali i o niej nie myśleli. Owszem mamy pewną wiadomość o kilkudziesięciu papieżach, że wbrew ich woli, gwałtem ich musieli do papieztwa przymusić.

Krótki zakres pracy, pozwala nam niektórych tylko przytoczyć. Już św. Cypryan pisze o św. Kornehuszu że był przymuszonym. Liberyusz Bogiem się świadczy, że niechętnie przyjął władzę. Św. Grzegorz I Wielki, całemi siłami opierał się swemu wyborowi, prosił Maurycyusza prefekta rzymskiego, żeby go nie potwierdzał w imieniu cesarza, a nie otrzymawszy tój łaski, przebrany uciekł z miasta i schował się do jaskini; ale wydany słupem ognistym, gwałtem został przywieziony do kościoła św. Piotra i poświęcony. Benedykt III płakał i świadczył się Bogiem i świętymi, że niegodzien tego urzędowania. Św. Mikołaj czynił co mógł by nie być obranym, i krył się chcąc szukających uniknąć. Leon IX po trzech dniach namysłu spowiadał się publicznie, aby poznawszy grzechy jego nie obierali go za papieża. Wiadomy opór Grzegorza VII. Następcą jego Wiktor III, już poświęcony uciekł, i zostawiwszy w Terracynie oznaki swój biskupiej godności, w Monte-Casino w klasztorze swoim się zamknął; próżno biskupi jeździli go prosić, odpowiadał, że woli pieszo pielgrzymować, niż siedzieć na stolicy Piotra; po roku dopiero na prośby soboru w Kapui dał się namówić. Innocentemu II wyklęciem kardynałowie grozić musieli aby go nakłonić do przyjęcia papieztwa; św. Pius V Dominikan mówił, że póki był w klasztorze, miał w Bogu dobrą nadzieję o swoim zbawieniu; biskupem i kardynałem będąc, zaczął się obawiać, wybrany będąc na papieża, prawie rozpaczał. Urban VIII i inni prosili Boga aby ich wnet śmiercią uprzedził gdyby mieli być złemi papieżami. Klemens X gniwał się gdy mu o jego wyborze powiedzieli, mówiąc, że w jego wieku potrzebny odpoczynek, i z płaczem odpychał szaty, które mu kardynał Medyceusz podawał. Klemens XI przez trzy dni

plakał i chorował, błagając kardynałów by go nie obierali i grożąc im sądem Bożym: radził się wreszcie czterech teologów, którzy go do przyjęcia naklonili. Ale już lekamy się naprzykrzyć czytelnikom przytaczając tak częste dowody téj prawdy oczywistój, że gdy pokora chrześcijańska zwyciężała wrodzoną dumę ludzką, papieże rzadko się ubiegali o najwyższą władzę, zwykle niechęcący, a często wbrew własnej woli bywali wynoszeni na stolicę św. Piotra. Jestto drugie twierdzenie naszej piérwszém zarówno dowiedzioném jest, że zwykle tajemne działanie Ducha świętego, szysząc z ludzkich stronniectw i zabiegów, czyniło namiestnikiem Chrystusowym człowieka od Opatrzności na to przeznaczonego. *Il wox*

Widzieliśmy zatém jak papieże w ogólności są obierani, pozostaje nam dodać w krótkości, jak był podług tych praw odwiecznych obrany pan nasz Pius IX. Zakłuczenie trwało tak krótko, jak nie pamiętają od czasów Grzegorza XIII, to jest od roku 1572; bo trwało tylko dwa dni, kiedy zwykle ciągnie się przez trzy miesiące. Z początku wiele miał głosów znany sekretarz stanu byłego papieża, kardynał Lambruschini; w piérwszym dniu nawet 15 głosów liczył, lecz zgubił go pośpiech stronników jego; bo ci którzy obawiali się tego wyboru, połączyli głosy swoje na kardynała Mastai-Feretti, który otrzymał żadaną większość głosów drugiego dnia w wieczór. Idąc wtedy do kaplicy, kardynałowie widzieli gołębicę nade drzwiami. Przypadek zrządził, że kardynał Mastai-Feretti był jednym z wyznaczonych do rozbioru głosów, ale widząc ich wiele za sobą, prosił o pozwolenie wstania, ukląkł na swoim miejscu i modlił się z płaczem. Kardynał Patrici go zastąpił; wtedy młodzie ze szkarłatnych wyborców spuściwszy baldahiny, zawo-

łali: „*Adoremus pontificem*”; ale ich starsi zatrzymali, aby rozbiór głosów był porządnie dokończony, a tym sposobem okazała się lepiej pewność wyboru. Spytano się wybranego czy przyjmuje godność papieżką; on prosił o noc do namysłu; tymczasem spalono trochę papieru na kominku aby lud do domów odesłać.

Pytając się o zezwolenie wybranego, zwyczaj jest pytać się razem o imię jakie przybrać zechce. Zwyczaj zmiany imienia jest bardzo dawny w kościele, i pierwszy Chrystus Pan odmienił imię Szymona na Piotra, ale nie wiadomo z pewnością, kto pierwszy po nim przybrał inne nazwisko. Marcin, Polak, przypisuje to Sergiuszowi II, zwanemu piérwój Świnia morda: Baroniusz owszem utrzymuje, że to Sergiusz IV uczynił przez pokorę i uszanowanie dla imienia księcia apostołów, które piérwój nosił. Godzi ich Muratori mówiąc, że ów Sergiusz mógł mieć imię Piotra a przezwisko Świnia morda; piérwszego nie śmiał, drugiego nie chciał nosić. Jednak i przed nim Oktawian przybrał imię Jana XII, dla wuja swego Jana XI; po nich zwyczaj ten nie był koniecznym prawem, bo Adryan VI i Marcelli II zachowali imiona swoje chresne. Czasem kardynałowie układali sami imię: tak Fryderyka Lotaryńskiego nazwali Stefanem, a Hildebranda, Grzegorzem VII, nie chcąc dzikością niemieckich imion, włoskie uszy obrażać. Zresztą księża, zakonnicy także, imię zmieniać zwykli wchodząc w nowe powołanie swoje, aby pomnieli, że nowemi są ludźmi.

Jednak już 16 czerwca wieczorem, rozeszła się po mieście pogłoska, że papież jest obrany. Bo w Rzymie jeśli dzienniki dotychczas mało znane, jeśli z urzędowego *Diario* niczego ani o kraju włoskim, ani o innych do-

wiedzieć się nie można; zato nowiny biegają po mieście szybkością błyskawicy, powtarza je każdy znajomym i nieznanym w domu i na ulicy, w mgnieniu oka całe miasto wie o nich, jak w jednej chwili kopuła świętego Piotra bywa oświetlona: i co dziwnego, że przy podobnym stanie dziennikarstwa, bardzo mało jest plotek? Lecz nie wiedziało miasto kto był obrany; tylko z małej miary obstalowanych trzewików wniósł ktoś, że papieżem został kardynał Gizzi, i za pewne rozgłosił. Na zajutrz rano poznali błąd, więc tłumy ludu zaległy plac Kwirynta, by wiedzieć z pewnością imię nowego pana swojego, nowego władcy ziemi chrześcijańskiej. Ale zamiast czekać z niemi na skwarze dnia gorącego, wprowadzę znowu czytelników w tajniki zakluczenia. Tam kardynał Mastai-Feretti oświadczył kardynałom: że gdyby się radził ochoty swojej, nie przyjąłby władzy papieżkiej, ale zważając na szczególny sposób jakim był wybrany, widzi w tém zrządzenie Opatrzności. Przez zobopólne zezwolenie, zawarty już jest ślub papieża z kościołem; wielki ów podług Pawła świętego sakrament. Spisuje się zatem akt uroczysty wyboru przez protonotaryuszów apostołskich. Odtąd wybrany staje się papieżem, to jest ojcem; nazwa ojca, *papa*, służyła dawniej wszystkim księżom i biskupom; potem sami tylko papieże zaczęli ję używać, a mianowicie ś. Siricus I, roku 385, a po nim ś. Leon Wielki roku 440. Na soborze pawijskim zakazano Arnolfowi biskupowi medyolańskiemu zwać się papieżem medyolańskim, na skargę Grzegorza V. Odtąd zdobi prawych synów kościoła nazwa papistów, na obelgę im dana przez królewsko-angielskich kacerzy. Służy także papieżom tytuł najświętszy, wasza świętość, i najwyższy kapłan, ale ich najulubieńszy tytuł, przybrany przez ś. Grzegorza Wielkiego wtenczas, kiedy Jan patry-

archa carogrodzki przywłaszczył sobie nazwę biskupa powszechnego, jest sługa sług Bożych.

Po zezwoleniu papieża, kardynałowie odziewają go w szaty godności jego właściwe; to jest: kontusz zwykłym księży krojem, jedwabny, z białej mory, znamię niewinności, peleryna czerwona karmazynowa, w lecie gładka, w zimie axamitna, podszyta gronostajami białemi, czapeczka kapłańska biała lub czerwona, w zimie podobnie gronostajem podszyta, kapelusz z szerokim brzegiem z mory czerwonej, stuła u szyi złotem haftowana, wreszcie trzewiki z sukna czerwonego, na których krzyżyk złotym galonkiem haftowany zwykli wierni całować.

Krzyżyk ten już od roku 590 przez ś. Grzegorza Wielkiego jest wprowadzony przez pokorę, aby zdawało się, że wierni nie nogi człowieka, lecz znak Zbawiciela całują. Zwyczaj całowania nóg papieżom trwa od czasów apostolskich. Nogi św. Piotra całował św. Klemens, i św. Korneliusz setnik w Cezarei; Prepedigna żona Klaudyusza cesarza upadła do nóg świętego Kaja i całowała je podług zwyczaju, prosząc aby ją do wiary przyjął. Konstantyn cesarz całuje nogi ś. Sylwestra, Justynian św. Agapetha, Karol Wielki Adryana I, Fryderyk Barborussa Adryana VI, Karol V cesarz Klemensa VII i Pawła III. Jednakowo komuby się to nie podobało, może się rad dowieć, że Wasil car moskiewski ganił już także zwyczaj noszenia krzyża na nodze w urzędowej rozmowie z Jezuitą Possewinem. Na co mu ksiądz Antoni Possewin nuncyusz papieża Grzegorza XIII odpowiedział: że papieże przez skromność to czynią, by chrześciance krzyż a nie nogę całowali, pomniąc, że od krzyża zbawienie, jak i władza papieżka pochodzi, i że Izaiasz przepowiedział w rozdziale 49 wierszu 22: „*Et*

erunt Reges nutriti tui et Reginae nutrices tuae, vultu in terram demisso adorabunt te et pulverem pedum tuorum lungeni"; co do Chrystusa i następców jego się stosuje. Pewien Saracen w Paryżu upadł do nóg Alexandra III, jako Boga chrześciana, lecz papież go napominał: „wstań, bo ja sam człowiekiem jestem.” A gdy Franciszek I król francuzki całował nogi Leona X w Bononii, mówiąc, że raduje się widząc twarz w twarz arcykapłana, zastępcę Jezusa Chrystusa, papież odpowiedział: „to wszystko na Boga przenosząc i Bogu oddając”; i wyraził w tych słowach prawdziwego ducha całej okazałości dworu papieżkiego, która tylko chwałę Chrystusa Pana i ozdobę kościoła małżonki jego ma na celu.

Gdy papież ubrany, prowadzą go kardynałowie do ołtarza kaplicy i posadziwszy na krześle, całują nogi, rękę i twarz papieżką. Kamerling oddaje mu pierścień rybaka, ten pierścień ślubny papieża z kościołem walczącym, podobny jest do ślubnej obrączki doży weneckiego z burzliwem morzem. Poczém kardynał dziekan poprzedzony krzyżem idzie do okna zamurowanego, każe je rozwalić i występując na ganek mówi głośno do ludu: „*Annuntio vobis gaudium magnum*;" oznajmiam wam radość wielką, inamy papieża kardynała Mastai-Feretti, który sobie przybrał imię Piusa IX.

Na te uroczyste słowa, zagrzmiały działa świętego Anioła, a lud przez okrzyki i poklaski radośne, używa dawnego prawa potwierdzania papieżów; powiększyły się okrzyki kiedy papież sam stanął na ganku i z płaczem dał ludowi błogosławieństwo.

Wszelako radość ludu była jeszcze niezupełna, bo chociaż nikt nie miał nic do zarzucenia nowo obranemu papieżowi, jednak świetne jego zalety skromnością po-

kryte, nie mogły być jeszcze tak powszechnie wiadome. Wkrótce wiedziano, że rodzina Mastai jest dawną szlachtą z miasta Sinigaglia nad morzem Adryatyckim, blisko Ankony leżącego. Sam papież rodem z tego miasta, miał wstąpić do straży szlacheckiej w czasie Piusa VII, ale wielka choroba nie pozwoliła mu postępować w zawodzie wojskowym. Uleczony cudem Matki Boskiej Loretańskiej, przez wdzięczność ku téj królowej naszej, postanowił być księdzem. Był naczelnikiem wielkiego szpitalu ś. Michała w Rzymie, potem towarzyszył nuncyuszowi papieżkiemu w Chili, ale był ztamtąd dla stałości od rządu rzeczypospolitej oddalony, piérwszy papież, co zwiedzał tak odległe, a jednak sobie podległe ziemie nowego świata. Chciał być przy kościele ś. Piotra, ale go kanonicy przyjąć nie chcieli; takto wiele zawodów próbował bez szczęścia, i powiedzić o nim można co pismo święte do Pana naszego Chrystusa stosuje: „Kamień który odrzucili mularze, położę za węgiel domu mojego.” Wreszcie Pius VII znając dobrze zasługi jego, wyniósł go na arcybiskupstwo Spoleto, a potem na swoje dawniejsze biskupstwo Imola. W roku 1840 Grzegórz XVI mianował go kardynałem, ale kardynał Mastai otrzymawszy czerwony kapelusz, wrócił do biskupstwa swego, i nie wdając się w dworskie zabiegi, pilnował trzody sobie powierzonój, i dawał cichy przykład cnót apostołskich. Był on od kardynałów wysoko poważany, chociaż pospólstwu rzymskiemu i cudzoziemcom mniej znany; czekał więc lud z wybuchem radości póki z piérwszych czynów nowego pana, nie pozna jego sposobu myślenia.

Ogłoszenie papieża wypadło jak mówiliśmy 17 czerwca 1846 r. we środę; nazajutrz wieczorem szedł już za

processyą u świętego Piotra w oktawę Najświętszego Sakramentu. W niedzielę 21 czerwca, nastąpiła uroczystość koronacyi papieżkiej w kościele świętego Piotra. Z tym obrzędem połączona bywa konsekracya wtenczas, kiedy papież obrany, biskupem jeszcze nie jest, najwięcej bowiem papieży wstępowało na tron z rzędu księży albo dyakonów; ci ostatni przez czynności i obowiązki swoje będąc dawniej więcej w styczności z ubogim ludem i więcej wiernym znani, więcej też częstokroć głosów na najwyższą władzę liczyli. Przywilój poświęcenia jak mówi jeszcze święty Augustyn, dierży sąsiedni biskup Ostyi, w assystencyi biskupów Porto i Albano.

Chociaż papież zazwyczaj w kościele mitrę biskupią kładzie na głowę, jednak do koronacyi innój używa oznaki, która się zowie *tiara triregnum* czyli trzyczępek. Dawniej ta ozdoba jedną tylko koroną była uwieńczona; darował ją Konstantyn cesarz świętemu Sylwestrowi papieżowi na oznakę władzy doczesnej, czy też podług innych, sam ś. Sylwester przyjął ten kształt frygijjskiej czapki, która wolność w Rzymie oznaczała, dla okazania, że kościół jest odtąd wyzwolony i oswobodzony od jarzma nieprzyjaciół. Mikołaj II, czy też Bonifacy VIII, drugą dodał koronę na znak podwójnej władzy duchownej i doczesnej, a Urban V lub podług innych Benedykt XII dodał trzecią koronę. Jest zatem trzyczępek zarówno znamieniem wolności i władzy; przypomina, że władza kościoła przysła uwolnić ludzkość z niewoli grzechu i z niewoli towarzyskiej ciężającej nad wielką częścią ludzkości za czasów pogańskich, a dziś daleko słabszej, ale niezupełnie jeszcze zniesionej. Jakaż ziemska korona lub wieniec łączy podobnie oba te godła!

Dziwny jest kształt trzycządu; niby sklepienie czoła niezmiernie podniesione dochodzi do najwyższego szczytu gienialnej potęgi. Czytamy, że za Bonifacego VIII, bogaty trzycząd zakończony był na szczycie drogim rubinem. Ten rubin zginął przy koronacyi Klemensa V w Lyonie, kiedy runący mur papieża zwałił i kilka osób przy nim jadących zabił, jakby grożąc mu za to, że miasto Rzym opuścił, i stolicę do Francyi prznosił. Tyara Sylwestra posłana przez Eugeniusza IV z Awinionu do ś. Jana Laterańskiego, w tymże kościele skradzioną została. Klemens VII, jak pisze Benvenuto Celini będąc zamknięty w zamku ś. Anioła i uciekając przebrany, dwie tyary ze psuł i klejnoty do szat swoich wszyć kazał. Pozostałe cztery trzycządy po Juliuszu II, po Pawle III, po Klemensie VIII i Urbanie VIII, Pius VI papież bogato klejnotami i dłutem złotnika Sartori ozdobił. Strzeżone w zamku świętego Anioła, równie jak mitry ś. Piusa V i Pawła V, wydawane bywają major-domowi i marszałkowi dworu papieżkiego za kwitem urzędowym.

W wilią koronacyi rozdaje się ubogim jałmużna po paule czyli po złotemu każdej głowie, licząc w to dzieci małe i nawet zawarte w łonie matek; korzystają z tego żebraczkami a nawet baby mające z czego żyć, i nie wstydzą się dzieci pożyczyc a suknie podaszki wypychać. Dawniej w dzień koronacyi rzucały się pieniądze ludowi, ale ten zwyczaj zniesiony został przez ś. Piusa V, bo rozrywając jałmużnę, ludzie się częstokroć kaleczyli.

W uroczystym dniu koronacyi, papież w zwykłej odzieży udaje się do izby w pałacu Watykańskim, zwanej łozem stroju, na pamiątkę, że dawniej papieże piechotą chodząc, przy sędziwym wieku znużeni przychodzili do kościołów; była więc izba z łóżkiem żeby odpo-

cząc i nogi umyć mogli. W tej komnacie czekają już kardynałowie, i gdy papież staje przy łożu dywanem przykrytém, dwóch kardynałów dyakonów zdejmują mu czapeczkę czerwoną, a kładą białą, poczem ubierają go w szaty kościelne, które równie jak ubiór arcykapłanów starego testamentu, mają swoje mistyczne znaczenia. Przepasując lnianą komżę kapłańską, białą na znak niewinności, wspomina na słowa Chrystusa pana, że go zaprowadzą tam, gdzie nie będzie chciał. Na wierzch zarzucają mu *pluviale* czyli płaszcz biały jedwabny, złotem haftowany, spięty na piersiach racyońcem. Wiadomo, że arcykapłan nosił na piersiach racyoń złożony z dwunastu drogich kamieni, na pamiątkę dwunastu pokoleń Izraela. Papież ma dwa napierśniki, jeden płaskorzeźby Benvenuta Celini z czasów Klemensa VII, przedstawia Boga ojca unoszonego przez aniołów, na dyamencie 136 karatów; drugi darowany Celestynowi V przez Kosmę I, kiedy był ogłoszony księciem toskańskim, wyobraża Adama i Ewę pożywających jabłko, tudzież imię Chrystusa pana drogiemi kamieniami w gotyckich głoskach napisane. Rzecz godna uwagi, że Klemens VII i Pius VI, którzy się oba w klejnotach kościelnych kochali, pokutowali za ten zbytek w więzieniu.

W sali książęcój papież siada na krzesło niesione przez dwunastu sług, ubranych w suknie adamaszkowe lub axamitne, i poprzedzony licznym duchowieństwem orszakiem, udaje się do kościoła świętego Piotra. Niosą przed papieżem krzyż, tę chorągiew królewską walczącego kościoła, już od czasów św. Klemensa i św. Sylwestra, aby niewidomych nieprzyjaciół rotę przed nim rozprasał. Oblicze krzyża zwrócone jest ku papieżowi; niosą także mitry i tyary, tudzież siedm świeczników Apokalipsy

Idą przed nim różnych imion prałaci, księża nadworni, i urzędnicy duchowni, potem kardynałowie po dwóch, zaczynając od młodszych; za nimi arcybiskupi, biskupi, niektórzy z brodą poważną, należący do wschodnich kościołów połączonych z jednością powszechną: proto-notaryusze opaci infułą ozdobieni, wreszcie generałowie 9ciu zakonów. Ale w tym tłumie możnowładztwa i stopni duchownych, każdy widzi zdaleka przeważną osobę papieża, bo niesiony na wysokiem krześle, widziany jest od wszystkich, i wszystkich widzi kiedy otarłszy łyż z oka modlitwą ku niebu zwróconego, spojrzy na trzode swoje, i udziela jój skarb nieoceniony swego błogosławieństwa. Wszyscy mogli widzieć twarz piękną, pełną słodyczy i siły Piusa IX, czoło wypukłe, nos orli, rysy wyrobione, łagodne i myślące; piękność tej poważnej głowy pierwszą była przyczyną przywiązania ludu, zanim tylu innych sobie zjednał, i zewsząd słychać było cichy szmer podziwienia. Rzeka ludzka wpłynęła do świątyni Piotra. Sztab główny walczącego kościoła wszedł do głównej kwatery swojej, do tego kościoła, który jeden tylko zdaje się być godnym namiotem hetmana Chrystusowego. Pod wyniosłym sklepieniem złocistém, pośród marmurowych ścian, słupów i posągów, pośród żywych obrazów wielkich mistrzów uwiecznionych mozaiką, pośród kości apostołów i papieżów, tém więcej czyniło wrażenia oblicze Piusa IX, ożywione łaską Wszechmocnego. Aby zasłonić poczęści jego majestat, niosą przy papieżkiem krześle dwa wielkie wachlarze z białych piór pawich. Dawny to zwyczaj, że przy mszy dyakon wachlarz trzymając, natrętne muchy, jak próżne myśli i pokusy odganiał; urząd ten św. Atanazy sprawował. Dotychczas się to zachowało

na Wschodzie u Ormianów. Mogą téż oczy pawie ozna-
czać tysiące ocz argusowych ludu na pastérza zwrócone,
i tysiąc ocz jemu potrzebnych, by w niczém zbawienia
dusz ludzkich nie zaspiał.

Odebrawszy u drzwi kościelnych pokłon kapituły,
a sam uklękawszy przed kaplicą Najświętszego Sakra-
mentu, odbiera hołd duchowieństwa w kaplicy świętego
Grzegorza i kończy sam przybory swój odzieży: myje
ręce, do czego dawniej posłowie zagraniczni wodę po-
dawali, ale ten zwyczaj ustał dla sprzeczek o pierwszeń-
stwo; zdejmuje pluwiale i stułę; bierze pas złoty, krzyż
na piersi, chustkę lekką z jedwabiu czterech kolorów, po-
dobną do Ephad arcykapłanów izraelskich, gdzie cztery
barwy znaczyły cztery żywioły: ziemię, powietrze, ogień
i wodę; rękawiczki z krzyżem, pierścien, dalmatykę, i inne
szaty których nie wyliczamy, bo nazwiska nawet nie mają
w mowie naszej. Poczém zbliża się do wielkiego ołtarza
a przed nim kardynał dziekan dyakonów niesie laskę fe-
rulą zwaną. Pastorału papieża nie noszą, czyto dla te-
go że św. Piotr posłał swój świętemu Eucherowi pier-
wszemu biskupowi trewirskiemu dla wskrzeszenia na-
stępcy jego św. Materna, czy téż że pastorał jest oznaką
władzy ograniczonej.

Jest zwyczaj palić przed papieżem pakuły mówiąc:
„*Sancte pater, sic transit gloria mundi;*” ale niema zwycza-
ju śpiewać mniemane prorocstwo: „*Non videbis annos Pe-
tris.*” Wszelako doświadczenie zastępuje miejsce pro-
roctwa, bo żaden papież nie panował tak długo jak św.
Piotr, to jest 25 lat, chociaż kilku było papieżów bar-
dzo młodych i dwudziestoletnich, jak Alexandor I, Jan
XI, Jan XII, Benedykt IX, wszyscy jednak po kilka lat
zaledwie żyli, a trzydziestoletni Innocenty III, dożył lat

22 1/2. Jeden tylko antypapa Benedykt XIII, żył od wyboru lat 28, ale téż papieżem nie był.

Już przy ołtarzu na stolikach gotowe są święte sprzęty i naczynia; pomiędzy złotymi kielichami jeden bieli się platynowy, z pierwiastków tego metalu z Ameryki przywieziony i za Urbana VIII wykuty. Już orkiestra na wyniesionym ganku stojąca, niewymownym głosów wdziękiem, zanuciła poważne starożytne Gregoryuńskie śpiewy. Już zaczyna się uroczysta ofiara mszy świętej: cud miłości Stwórcy ku stworzeniu. Przy stopniach ołtarza papież otrzymuje pallium przy słowach: „przyjmij święte pallium pełność pontyfikalnego obowiązku na cześć Boga Wszechmocnego i chwalebnej Maryi Panuy matki jego, i świętych apostołów Piotra i Pawła i całego świętego rzymskiego kościoła.” Ewangelia śpiewana bywa po łacinie i po grecku; dawniej w obu tych mowach śpiewana téż była w Carogrodzie, dla okazania jedności szczęśliwej kościoła. Po paciérzu Ojcie nasz, nie odpowiada się amen, na pamiątkę, że raz aniołowie przy mszy amen odpowiedzieli. Tak samo św. Grzegorzowi, gdy mówił: *Pax Domini sit semper vobiscum*, anioł miał odpowiedzieć: *Et cum spiritu tuo*.

Po mszy papież odbiera 25 pieniążków giulii zwanych za mszę dobrze śpiewaną, dla pokazania zapewne, że wolno kapłanowi żyć z ołtarza i przyjmować wiernych serdeczne ofiary. Od tak pokornego uczynku przechodzi do szczytu chwały, bo niesiony na ganek świętego Piotra, otrzymuje trzyrząd z rąk kardynała dziekana biskupa Ostyi, który wymawia te słowa: „Przyjmij tyarę trzema koronami ozdobioną, i wiedz, że jesteś ojcem książąt i królów, rządcą świata, na ziemi zastępcą Zbawiciela

naszego Jezusa Chrystusa, któremu cześć i chwala na wieki wieków." Patrzyło na ten czyn uroczysty niezliczone mnóstwo ludu pieszo i powozami zgromadzonego na olbrzymim placu świętego Piotra, pomiędzy lasem kolumn, temi dwoma ramionami przysionków, co zagarnęła świat cały, naokoło granitowego obelisku dźwigającego teraz zwyciężkie znamię krzyża. A kiedy papież podniosłszy ręce ku niebu błogosławieństwo ztamtąd zciągnięte magnetycznie na lud przytomny, na miasto i świat rozszerzył, upadły tłumy na kolana, jak zboże powiewem wiatru pochylone. My także byliśmy w liczbie przytomnych, my niegodni posłannicy zponad brzegów Wisły, pragnęliśmy aby błogosławieństwa odpustowa łaska nie ginęła przechodząc przez nasze szczupłe naczynie pełne nieprawości, lecz aby rozlała się z blaskiem zorzy na liczną i drogą rodzinę, na ziemię ukochaną i nieprzejrzane jęj pola, lasy i stepy!

Odgłos: „niech żyje Pius IX!" zagłuszył szum srebrnych wodotrysków rzesistych, ozłoconych tęczą, dzień i noc igrających przed świątynią Pańską. Jednak okrzyki ludu nie zdawały się dość głośne papieżowi; jako czuły ojciec postrzegający zaraz cierpienia dziecięcia, spytał się o przyczynę tej oziębłości. Odpowiedzieli mu, że lud miał nadzieję przebaczenia dla więźniów stanu. Leży to w przymiotach wysokich panującego, że postanowienia wspaniałomyślnej duszy swojej najprzód bierze pod dojrzałą rozwagę, dopiero potem z nieugiętą stałością wykonywa. Zebrał więc radę stanu złożoną z kardynałów Lambruschini, Mattei, Machi, Bernetti, Gizzi i Amat, żeby zastanowiła się nad przebaczeniem i nad innemi ważnemi sprawami państwa. Głosy rady były podzielone; doświadczeni ministrowie przeszłego papieża, a zwła-

szcza kardynał Lambruschini działający pod wpływem Austrii, byli przeciwni przebaczeniu, owszem stronicy nowych postępowych zasad, a na ich czele kardynał Gizzi, radzili papieżowi by usłuchał głosu serca swojego. Tym ostatnim Pius IX przyznał zupełne zwycięstwo, bo kardynała Gizzi mianował sekretarzem stanu do spraw zagranicznych i wewnętrznych, a Lambruschiniemu wyjechać pozwolił choćby do Ameryki. W skutek czego w miesiąc po wstąpieniu na tron wydał papież brewe, w której ubolewając nad losem rodzin pozbawionych pociechy domowej w czasie powszechnego wesela, i litując się nad młodzieżą uwiedzioną raczej w polityczne zamieszki niż uwodzającą, udzielił przebaczenie wszystkim więzniom stanu i wygnańcom, pod warunkiem żeby słowem honoru obowiązali się, że nadal tej łaski nie nadużyją, lecz owszem będą wiernymi poddanemi. Wyłączeni są z tej amnestyi tylko wojskowi i księża, których obowiązki nakazywały ściślejszą ku władzy wierność, ale tych liczba była tak mała, że można przebaczenie uważać za powszechne. Nie przestając na wypuszczeniu z więzienia winowajców stanu, papież obsypał ich dobrodziejstwami, dając jednym odzież i pieniądze na drogę, innym opatrując miejsca aby mieli przyzwoite zatrudnienie i utrzymanie, a nakoniec aby zupełnie zagoić rany ich serca, pozwolił im przystąpić razem do stołu Pańskiego. Najznakomitszych pomiędzy nimi raczył przypuścić do tajnego posłuchania, i rozmawiać z nimi o sprawach krajowych. Taka zupełna łaska, była krajowi niewymownie przyjemna, bo widziano w niej rejokmię przyszłych rządów; a jak od innych rządów panujących we Włoszech przyjęta była z oburzeniem i skargą, tak od całego narodu włoskiego a mianowicie od

Rzymian z najwyższem uniesieniem radości. Przebaczanie było podpisane 16go lipca, drukowane i przyklepione na ścianach po mieście 17go przed wieczorem, i zaraz czytane od mnóstwa ludzi zgromadzonych po rogach ulic. Tłumy wdzięcznego ludu napelniały plac Kwirynalu wrzeszcząc: „niech żyje Pius IX!” Krzyki ludu przewyższały łoskot fali morskiej w czasie najgwałtowniejszej burzy; inni przychodzili z muzyką, chorągwiami i pochodniami, i trwał ten wybuch radości do późnej nocy. Papiież wychodził na ganek by dawać ludowi błogosławieństwo. Miasto było rześisto oświecone. Te same oznaki radości powtarzały się nazajutrz wieczorem. Trzeciego dnia w niedzielę papiież jechał do kościołka Missyonarzy z powodu święta ś. Wincentego a Paulo założyciela tego zgromadzenia; ulice gdzie przejeżdżał były pełne ludu, a okna ubrane w bogate makaty, zewsząd rzucano przed nim kwiaty wołając: niech żyje! Kiedy wracał, wyprzęgli konie z poszóstnej karety na placu Monte-Citorio, i ciągnęli powóz przez plac Colonna, ulicę Korso aż do Kwirynalu. Dzień był pogodny a niebo tak błękitne jak we Włoszech tylko być może, i miło się od tego błękitu odbijały karmazynowe adamaszki z okien wywieszane, i barwy herbu hrabiów Mastai, który po wszystkich domach rządowych i książęcych na tarczy drewnianej przybity, mieści dwa lwy na krzyż w polu błękitném i dwa pola czerwone z białém paskowane. Szczęśliwy kto widział ten dzień pogodny, kiedy tysiące ust brzmiało jednym odgłosem, tysiące rąk chustkami powiewało, a oczy wszystkich, oczy czarne i zapalone Włochów, jak niebieskie i zachmurzone północnych cudzoziemców, zroszone były jednemi łzami rado-

ści. Niechaj opis dnia tego oświeci rzymskim blaskiem tych, co siedzą w cieniu śmierci; niech zapali południowym skwarem tych, co marzną pośród śnieżnej pustyni.

Lecz papież cierpiąc na tych zbytecznych oznakach radości, ogłosić kazał, że życzy sobie aby się radość ludu umiarkowała, a wie że jego życzenia są dla Rzymian rozkazem. I wnet okazując posłuszeństwo miłości, wróciło morze znów do granic swoich; plac Kwirynału już był tego wieczora głuchy i milczący. Ale na pokazanie jak trwałe są jego uczucia, lud wzniosł znowu łuk tryumfalny na placu Del Popolo w dzień 8 września, kiedy papież obchodząc narodzenie Matki Boskiej jechał do kościoła ś. Maryi-Ludu, i miasto bogato ustroił, a wieczorem rżęsto oświecił.

O KONGRESIE POKUTNYM

odbytym w Frankforcie nad Menem
w końcu września 1846 r.

PRZEZ

Fryderyka hr. Scharbka.

Kongres pokutny, *Congrès pénitentiaire*, taką nazwę przybrało zgromadzenie które się pierwszy raz zebrało w roku bieżącym, w zamiarze rozprawiania nad najlepszym sposobem uwięzienia winowajców i wydania stanowczych uchwał w tym przedmiocie. Niezbyt odległe są od nas te czasy, gdzie nikt nie myślał o ludziach za zbrodnie i występki do więzień wtrąconych; uchodzili oni za straceniów których losem zajmować się niewarto, i nikt nie pytał co się dzieje z człowiekiem z towarzystwa wykluczonym, a każdy stronił od niego gdy po wysiedzeniu kary do tegoż towarzystwa powracał. Howard zwrócił pierwszy uwagę rządów i ludzi myślących na więźni, bo pierwszy odważył się zwiedzić te siedliska nędzy i zepsucia, nietylko w swoim ale i w obcych krajach, a oburzenie i miłosierdzie jakie opisem tego co widział wzbudził, dały powód do tego, iż odstępując od jednej osta-

teczności chwycono się drugiej. Dobroczynne zajęcie się losem więźni miało ten skutek, iż więzienia przestały wzbudzać wstręt i obawę w przestępcach, i że liczba tychże rosła w miarę większych wygód i osłodeń kary więzienia. Uznano wkrótce potrzebę powściągnięcia szlachetnych lecz błędnych usiłowań zle zrozumianej filantropii, i zaprowadzenia takiego zarządu więzień, któryby przy zachowaniu zasad ludzkości utrzymał więźni w surowej karności, wzbudził w nich obawę kary więzienia, i wrócił to przekonanie, że pobyt w takim zakładzie dla nikogo pożądanym być nie może.

Ta rozsądna i potrzebą towarzystwa usprawiedliwiona dążność objawiła się najprzód w Ameryce, gdzie uznano, że więzienie każde do tego zmierzać powinno, ażeby osądzony winowajca uczuł silnie wymierzoną karę, i aby przez czas pobytu swego stał się jeżeli można lepszym, a przynajmniej nie stał się gorszym, jak nim był przed wejściem do więzienia. To połączenie kary, żalu i poprawy w zamiarach uwięzienia, dało początek zasadom zarządu więziennego pokutnym *pénitenciaire* zwanego, który pod postacią dwóch oddzielnych i zupełnie różnych systematów, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej w wykonanie wprowadzony został. Jeden z nich znany pod nazwiskiem *Auburnskiego*, od miasta w którym pierwsze więzienie podług zasad jego wystawione zostało, zamierza osiągnąć cel kary i poprawy winowajców za pomocą odosobnienia więźni nocną porą i przymuszonego milczenia przy spólnej robocie we dnie, obok udzielania zgromadzonym więźniom nauk religijnych i moralnych. Drugi zwany *Filadelfskim* od więzienia w Filadelfii wystawionego, poczytuje zupełne odosobnienie więźni dniem i nocą za jedyny środek wymierza-

nia kary na winowajcach i ochronienia ich od dalszego zepsucia.

Auburnski systemat, największą zrazu znalazł więźność w Europie; był czas, że wielką w nim pokładano ufność, i że wszyscy obstawali za zaprowadzeniem przymuszonego milczenia w tych nawet więzieniach, gdzie nie było możliwości odosobniania więźni nocną porą. Szczególniej ludzono się długo nadzieją, że nauki religijne i moralne zgromadzonym więźniom udzielane, obok ojcowskiego obchodzenia się z nimi, zdołają ludzi przewrotnych powrócić na drogę uczciwości. Obok tego odstręczała zbyt uczciwa surowość ciągłej samotności i zupełnego wyłączenia więźni od wszelkiego społeczeństwa, zasadą systematu filadelfskiego będąca, tak dalece, że się zdawało iż zdania filantropów Europy skłaniać się będą za przyjęciem systematu auburnskiego. Lecz obok tych ludzi z najszlachetniejszych pobudek zajmujących się losem winowajców zamkniętych w więzieniach, i sądzących o nich to z powieści, to z odwiedzin niekiedy w tych zakładach odbywanych, przypatrywali się bliżej więźniom osobiście i codziennie ci ludzie, którym nadzór nad więzieniami różnych krajów był poruczony, i którzy będąc w ciągłej styczności z więźniami, mieli sposobność zbadania natury ludzkiej zbrodnią skażonej i sprawdzenia skutków osiągniętych za pomocą milczenia, ojcowskiego obchodzenia się i nauczania więźni w zakładach podług auburnskiego systematu urządzonych. Tacy ludzie, których należy uważać za biegłych w tym zawodzie, doszli po kilkunastu latach doświadczenia do zupełnie odmiennego przekonania od filantropów z ogólnych pobudek ludzkości losem więźni zajętych. Oni bowiem przekonali się, że przymuszone milczenie, które

tylko za pomocą najsurowszych i nieludzkich środków utrzymane być może, jątrzy więźni, żywi w nich ciągłą zawziętość przeciw położonym i całej społeczności, i nie zapobiega temu, aby się między sobą nie porozumiewali; że ojcowskie obchodzenie i najzbawienniejsze nauki, napotykają na same tylko niewdzięczne serca, i obłudę w zasadę charakteru więźni zamieniają, i że zapowiedziane skutki zbawienne tego systematu nie uiszczyły się, bo się nie zmniejszyła liczba powracających do więzienia przestępców, których jako poprawionych z niego wypuszczano, a ogólna liczba winowajców do więzień odsyłanych, rosła ciągle w stosunku zastraszającym i groźnym dla bezpieczeństwa społecznego.

Za wpływem i radą tych praktycznych ludzi, odstąpiono w wielu krajach europejskich, od łudzkiej teorii przyjaciół ludzkości, którzy zbyt wielką siłę wpływowi moralnemu na poprawę winowajców przypisywali, i zaczęto polegać więcej na odosobnianiu więźni, aby się jedni przez drugich nie psuli, jak na moralnym poprawianiu zespanych przez prawych i bogobożnych ludzi. Powstały w wielu odległych od siebie krajach budowy więzienne do filadelfskiej podobne; czyniono przez lat kilkanaście doświadczenia które przekonały zarazem o wyższości tego systematu nad wszelkimi innymi, i o potrzebie zaprowadzenia zmian i udokładnień, które systematowi odosobnienia dniem i nocą piętno doskonałości nadać mogą.

Po latach prób i doświadczeń nadszedł czas wyrzeczenia stanowczego w tym przedmiocie tak ważnym dla społeczeństwa, i ustalenia zasad systematu pokutnego. Ci sami mężowie, którzy wśród więzień i pomiędzy uwięzionymi pobierali nauki doświadczenia, postanowili zebrać

się razem, wezwać do zgromadzenia swego przeciwników systematu za którym ich przekonanie przemawiało, odbyć w otwartych szrankach zbawienną walkę zdań, udzielić sobie nawzajem uwag i dostrzeżeń każdy w swoim zawodzie czynionych, i po ścisłym zbadaniu i zgłębieniu całego przedmiotu wyrzec stanowczo: jakich zasad trzymać się należy w krajach europejskich, aby więzienia były zawsze karą a nigdy szkołą zepsucia; aby w tych zakładach pogodzony był ścisły wymiar sprawiedliwości karzącej ze wszelkimi względami ludzkości.

Tym sposobem zawiązał się tak zwany Kongres pokutny, który w bieżącym roku odbył pierwsze posiedzenie swoje w Frankforcie nad Menem w dniach 28, 29 i 30 upłynionego miesiąca września.

W listach zapraszających na toż zgromadzenie oświadczone: iż dlatego obrano miasto Frankfort na miejsce zebrania, że w dniu 24 września ma się zebrać w témże mieście kongres prawników, historyków i filologów niemieckich; że ścisły związek zachodzący między nauką prawa a teorią pokutnego uwięzienia, nastreczył myśl uzupełnienia działań tego głównego kongresu przez połączenie z nim kongresu specjalnego, wyłącznie reformie więziennéj poświęconego. Nim przeto przystąpię do rozbioru czynności tego ostatniego zebrania, za użyteczne sędzę wspomnieć, jak dalece zamiar powyższy do skutku doprowadzony został.

Główny kongres prawników, historyków i filologów niemieckich, przybrał ogólną nazwę kongresu *Germanistów*, co już oznaczało dążność jego wyłącznie niemiecką. Jakoż okazało się na pierwszym posiedzeniu, że polityczne sprawy które zajmowały całe Niemcy, przemogły nad badaniami naukowemi za cel zebrania

naznaczonemi, bo ta pierwsza sessya była wyłącznie zajęta rozprawianiem nad sprawą Szleswiko-Holsztyńską, która była właśnie najżywiej całe Niemcy zajmującym przedmiotem. Przy takim kierunku czynnościom kongresu Germanistów nadanym, musiały badania naukowe ustąpić miejsca rozprawom politycznym, a celem głównym tych rozpraw było objawienie się dążności do ujednostajnienia ducha narodowego Niemiec, dla której osobne wymyślono nazwisko: *das Deutschthum*.

Nie tutaj miejsce rozwodzić się nad tą dążnością, to tylko uważać można, iż sprawy obecnej chwili które zajmują mówców parlamentowych i polemikę pism periodycznych, nie powinnyby być przedmiotem rozpraw uczonych w naukowym zamiarze zebranych. Sąto bowiem kwestye niewyrobite jeszcze i niedojrzałe do badań historycznych, o których ludzie codziennymi sprawami i praktyczném życiem zajęci lepiej sądzą jak uczeni, którzy wtedy powołaniu swemu jako historycy najgodniej odpowiedzieć mogą, gdy zamiast czynnego udziału w sprawach czasowych, umieją patrzeć z rozwagą na rozwijające się przed nimi wypadki, aby je w całym świetle bezstronnej prawdy, do dziejów społeczności zapisać.

Nie było nawet myśli o tém aby kongres pokutny miał odnieść jakie korzyści z rozpraw uczonych prawników do Germanistów należących, bo ci poszli za ogólnym popędem, rozprawiali o potrzebie ujednostajnienia prawodawstwa niemieckiego, i nie mogli się tém samym specjalnemi kwestyami zajmować. Nie ziściło się przeto zapowiedzenie zwyż przytoczone, bo żaden z tych uczestników kongresu pokutnego, który się wyłącznie swoim zajmował przedmiotem, nie mógł między Germa-

nistami nic takiego usłyszeć coby dla niego nauką lub korzyścią było, a niektórzy Germaniści co mieli następnie udział w naradach nad reformą więzienną, przynieśli z sobą do tych tak spokojnych i obcych wszelkim politycznym względom narad, pewien rodzaj exaltacji i gorączki wymagań czasowych, który był nawet śmieszny obok zimnych rozpraw nad środkami zastłonienia społeczności od skutków przewrotności zbrodniarzy.

Spółczesne odbywanie się tych dwóch kongresów, wpłynęło na skład tego zgromadzenia, które się wyłącznie reformą więzienną zajmować miało, i spowodowało wejście do niego wielu krajowców, którzy się tym przedmiotem nie zajmowali i tém samém za znawców uchodzić nie mogli; a mimo to głosem swoim na uchwały pokutnego kongresu wpływali.

Do listy uczestników tego zgromadzenia zapisano osób 74, między któremi było: Niemców 44, Anglików 9, Szwedów 6, Holendrów 5, Francuzów 4, Szwajcarów 2, Belgijczyk 1, Duńczyk 1, Amerykanin 1, z królestwa polskiego 1. W téj liczbie było właściwych znawców, to jest takich którzy piastowali urzędy w związku ze służbą więzienną będące, należeli do towarzystw uczonych reformą więzienną zajętych, lub znani byli z pism swoich w tym przedmiocie, w ogóle osób 31; między któremi wymienić należy znakomitszych, jako wpływających powagą zasług i doświadczenia swego na uchwały kongresu pokutnego.

Whitworth Russel inspektor jeneralny więzień Wielkiej Brytanii, który spólnie z p. Crawford drugim podobnymże inspektorem, wprowadził w wykonanie postanowienia rządu angielskiego tyczące się reformy więzien-

nój. Ci dwaj inspektorowie zdają parlamentowi sprawę o stanie więzień nietylko w własnym lecz i we wszystkich innych krajach, i ogłaszają takowe drukiem wraz z planami wszelkich znakomitych zakładów tego rodzaju (1). Pisma te obszerne i kosztowne, niemało się przyczyniły do ustalenia zasad systematu pokutnego, a zwłaszcza téż od czasu wybudowania w Pentonville więzienia karnego, które stało się wzorem dla Europy. Ten projekt tego zakładu karnego ułożony przez pp. Whitworth Russel i Crawford i przez nich lordowi John Russel przedstawiony (2), otrzymał sankeyą parlamentu i wszedł w wykonanie w r. 1840, a dwa lata później to jest 21 grudnia r. 1842 załudniono 520 cel Pentonwilskiego więzienia głównie przeznaczonego dla winowajców na deportacją skazanych, którzy przed spełnieniem wyroku, lat dwa i więcej w krajowych więzieniach przepędzić winni.

P. Russel ogłosił drukiem i przypisał frankfortskiemu zgromadzeniu oddzielny raport o stanie więzień angielskich.

Doktor *Julius* z Berlina, znany od lat wielu z niezamordowanych prac swoich w zawodzie reformy więziennój, wstępując w ślady Howarda, odbył on jako prywatny człowiek, dalekie podróże w celu zwiedzenia

(1) W jednym z takich raportów z r. 1839 był obszerny opis i plan głównego domu badań w Warszawie, z chlubną wzmianką o tym zakładzie.

(2) P. Russel wyznał przy kilku członkach frankfortskiego kongresu, iż to przedstawienie poparł przed ministrem przykładem rządu królestwa polskiego, w którym już w r. 1835 było więzienie celowe i okazaniem planu głównego domu badań w Warszawie, i przypisywał poczęści téj okoliczności dobre przyjęcie swojej propozycyi.

zakładów karnych i dobroczynnych tak w Europie jako i w Ameryce (3). Ulegając podobnie jak wielu innych filantropów temu złudzeniu, że za pomocą ojcowskiego obchodzenia z więźniami i udzielania im nauk, można nawrócić winowajców w towarzystwie jedni z drugimi trzymanych, zmienił zupełnie przekonanie swoje przy zwiedzaniu więzień amerykańskich, i wydał obszerne dzieło o tych zakładach, w którém, przekonawszy się na miejscu o szkodliwości i bezskuteczności systemu auburnskiego, wyznaje się być zwolennikiem zasady odosobnienia więźni.

Doktor *Grzegorz Varrentrapp* lekarz naczelny głównego szpitala w Frankforcie, znany jest z pism swoich w obronie systemu pokutnego wydanych. Wydaje on wraz z doktorem Julius pismo peryodyczne wyłącznie temu przedmiotowi poświęcone, wychodzące w miesięcznych poszytach p. t. *Jahrbücher der Gefaengnisskunde*, którego głównym jest redaktorem. Konkursowa rozprawa jego o wpływie samotnego uwięzienia na zdrowie więźni, uwieńczoną została przez towarzystwo lekarskie w Bordeaux.

Moreau - Christophe inspektor generalny więzień paryzkich, jest głównym reprezentantem i obrońcą systemu pokutnego we Francyi, i wydaje w obronie zasad odosobnionego uwięzienia pismo peryodyczne p. t. *Revue pénitentiaire*.

Ducpétiaux inspektor generalny więzień i zakładów dobroczynnych Belgii, prócz nader czynnego zajmowania się służbą więzienną jako urzędnik, znany jest z licznych

(3) W roku 1840 przybył umyślnie do Warszawy aby zwiedzić tutejszy główny dom badań.

pism swoich w przedmiotach reformy więziennój; ostatnie p. t. *Mémoire à l'appui du projet de loi sur les prisons présenté à la Chambre des représentans de Belgique* &c. jest zebraniem dokładném wiadomości i dat statystycznych, tudzież dyskusyj tyczących się systematu pokutnego i zawiera praktyczny wykład wad i niedostateczności systematu auburnskiego i zalet odosobnionego więzienia.

Suringar jest prezesem holenderskiego towarzystwa więziennego, który jako prywatny człowiek, bez żadnego urzędowego powołania, poświęcił całą zdolność i część majątku swego ulepszaniu losu winowajców w więzieniach osadzonych i z nich wychodzących, i wpływał przez liczne pisma swoje, na ustalenie zasad systematu pokutnego. Dzieła jego w tym przedmiocie wytłumaczone zostały na język francuzki i niemiecki, i przyczyniły się niemało do upowszechnienia zasad odosobnionego uwięzienia, którego p. *Suringar* jest bardzo gorliwym stronnikiem.

Pastor *Ferrière* od lat kilkunastu kapelan więzienia w Genewie, odznaczył się poświęceniem z jakim nauki religijne w tym zakładzie więźniom udziela i niezmiordowaném usiłowaniem o poprawę moralną winowajców. Pomimo wpływu jaki przez wiele lat wywierał na ich ulepszenie, powziął ten godny kapłan to przekonanie: że spółnictwo więźni i przemoc złego przykładu, zacięra ślady zbawiennych nauk religijnych, i doświadczył, iż daleko więcej dobrego jako nauczyciel ewangeliczny wyświadczać może, gdy więźnie samotnie osadzeni, za natchnieniem żalu i pokuty postępować mogą.

Obermajer dyrektor więzień w Bawaryi a mianowicie w Kayserslautern, zaszczytnie znany z właściwej sobie

zdolności wywierania wpływu moralnego na więźni pod jego zwierzchnictwem zostających. Zasadą postępowania jego jest ojcowskie obchodzenie się z więźniami, wzbudzenie w nich bezwarunkowej ufności w przełożonym i poświęcenie mu nawet przywiązania, które jest rekojmią ich uległości i spokojnego zachowania się. Zwiedzanie zakładów karnych pod jego zarządem zostających, mogłoby wzbudzać nadzieję o możliwości prowadzenia i poprawiania występnych ludzi, za pomocą dobroci i nau czania, gdyby ta metoda nie była wyłącznym wpływem jego osobistości, gdyby więcej podobnych Obermajerów znaleźć można było. Lecz jak dobrze powiedziano wśród narad kongresu, że jego sposób postępowania nie stanowi oddzielnego systematu więziennego, ale jest nim samym i w jego osobie, i że on poniekąd za magnezytora winowajców uchodzić może.

Podobnym do niego, lecz nie tyle szczęśliwym w osiągniętych rezultatach, jest *Lindpaintner* dyrektor domu poprawy w Eberbach, który dzieli z nim chwalebne w dążności lecz niepraktyczne przekonanie, o możliwości zapobieżenia zepsuciu więźni, i nawet osiągnięcia ich poprawy bez odosobnionego zamykania.

Posiedzenia kongresu pokutnego odbywały się publicznie, za kartami wejścia do sali obrad słuchaczom udzielanemi, a to począwszy od dnia 28 września przez dni trzy, po dwa razy na dzień. P. Varrentrapp jako miejscowy członek zgromadzenia, który głównie się zajmował zaproszeniem i urządzeniem kongresu, zagaił posiedzenie powitaniem przybyłych na zgromadzenie cudzoziemców, i odczytaniem listy tych, którzy mimo zapowiedzenia i chęci przybyć nie mogli: zakończył wnioskiem, aby zgromadzenie przystąpiło do wyboru prezesa.

Wybór ten był naprzód umówiony i padł na osobę prezesa izby niższej badenińskiej p. Mittermajer, niegdy profesora prawa w Heidelbergu, człowieka wymownego, który przy dyskusyi prawa karnego badenińskiego okazał się przeciwnikiem systematu odosobnionego uwięzienia, pomimo że ten systemat w księstwie badenińskim w skutku uchwały stanów w obowiązujące prawo zamieniony został.

Obrany prezes powołał z grona obradujących pana Den Text, członka izby deputowanych w Holandyi na vice prezesa, p. Varrentrapp na sekretarza i pp. Apia i Malz na pomocników, i ustanowił następujący porządek w obradowaniu:

1) Aby zaczęto od zdania sprawy o stanie obecnym więzień w różnych krajach.

2) Aby obok ustnych sprawozdań, złożono na piśmie raporta w tym przedmiocie, celem ogłoszenia ich drukiem.

3) Aby następnie przystąpiono do rozbiórania i za-decydowania kwestyj objętych programatem, który wszystkim członkom zgromadzenia wcześniej udzielony został; i

4) nakoniec aby każda kwestya po ukończeniu dyskusyi przez głosowanie rozstrzygniętą została.

Zdając sprawę o więzieniach krajów do których należeli, mówili kolejnie następujące osoby:

1) Doktor Julius znany z podróży i z dzieł swoich w przedmiocie więziennym o stanie więzień w państwach pruskiem i austryackiem. Co do pierwszego doniósł, że król pruski będąc w Anglii na chrzcinach ks. Walii, po-wziął zamiar urządzenia więzień swego kraju na wzór angielskich, w skutku czego zaczęto w r. 1844 budowę

więzienia w Berlinie na wzór angielskiego w Pentonville, w Kolonii, dodano skrzydło z celami do starego więzienia; rozpoczęto budowy celowych więzień jednego w Prusach wschodnich, trzech w Szląsku, mianowicie: w Brunn, w Wrocławiu i w Raciborzu, w Pomeranii i Westfalii przygotowane są projekta do miast Münster i Akwisgranu. W ogóle jest 26 więzień dawnych, z których 8 w prowincjach nadreńskich i 13682 więźni na 15,500,000 ludności. Co do Austrii oświadczył mówiący, iż dotąd nic nie zrobiono w przedmiocie reformy więziennój; przedstawione są wszakże cztery plany nowych więzień cesarzowi.

2) P. Jageman urzędnik sądowy z Karlsruhe zdając sprawę o zaczętej reformie więziennój w księstwie badenickim, mówił o nowém prawie karném tego kraju, które zawiera zasadę odosobnionego więzienia stosując ją tylko do mężczyzn i z ograniczeniem trwania kary do lat sześciu; dłużej zaś skazany, tylko na własne żądanie pozostać może w celi, w którymto razie dwa miesiące odosobnienia liczą się za trzy miesiące kary. Opisał w końcu budujące się w Bruchsal celowe więzienie ze 416 celami, które ma kosztować 500,000 złotych reńskich.

3) Lindpaitner dyrektor więzienia w księstwie nasauickim, mówił obszernie o zakładach karnych w tym kraju a mianowicie o dawnych zakładach które zostały poprawione, nowe celowe dopiero są w projekcie.

4) Na wezwanie prezydującego zdałem następnie sprawę o tém, co rząd Jego Cesarskiej Mości dotąd w królestwie polskiem dla reformy więziennój uczynił. Mówiłem iż trzymając się téj zasady, że tę reformę zacząć należy od urządzenia domów badań na zasadach od-

osobnionego zamykania uwięzionych, rozpoczęto jeszcze w r. 1830 a ukończono w r. 1835 budowę głównego domu badań w Warszawie, i że następnie wybudowane zostały trzy nowe domy badań w Kaliszu, Płocku i w Siedlcach, w których zaprowadzono ulepszenia przez doświadczenie i postęp budownictwa więziennego wskazane. W końcu przytoczyłem uwagi jakie nastęrczyło dziesięcioletnie zawiadywanie domem badania warszawskim, a mianowicie wpływ zbawienny odosobnienia na stan zdrowia uwięzionych i na utrzymanie porządku wewnętrznego.

5) P. Dawid z Kopenhagi oświadczył: iż podobnie jak w królestwie polskiem zaczęto w Danii reformę od więzień inkwizycyjnych, że za cztery lata wszyscy inkwizyci będą w celach, że lubo dziś żadne więzienie nie jest jeszcze skończone, w roku 1852 będzie wszakże 1,120 cel w domach badań już ukończonych.

6) P. Moinichen z Norwegii przedstawił: iż dawne więzienia tego kraju są wszystkie złe, ilość więźni wielka, to jest: jeden na 720 ludności. Od roku 1837 wyznaczona kommissya do reformy więzień oświadczyła się już za systematem odosobnienia; budują więzienie z 240 celami w bliskości Chrystyanii, które skończone będzie w roku 1849. Nowe prawo karne Norwegii znosi wszelkie kary hańbiące i uświęca zasady odosobnienia.

7) Hr. Sparre ze Szwecyi, mówił o złym stanie dawnych więzień szwedzkich, że król zajmuje się bardzo ich reformą a stany rozbiórając projekt do nowego prawa karnego, przeznaczyły fundusze na budowę nowych więzień, których kilka już rozpoczęto podług systematu celowego.

8) P. Metzel ze Szwecyi dodaje, iż przy przyjęciu zasady odosobnienia postanowiono: że więźnie tylko na lat 2 mogą być skazani na odosobnienie; że gdy siedzą dłużej aż do lat 6, mają sobie odpuszczoną piątą część kary.

9) P. Dupétioux inspektor więzień Belgii utrzymuje: że systemat auburnski był dawniej zaprowadzony w Gandawie i w Willarord jak w Ameryce, lecz wnosi ztąd że rząd miał dłuższą sposobność przekonania się o szkodliwości i nieskuteczności tego systematu. Przytacza zdania wszystkich dyrektorów więzień w Belgii, którzy się oświadczają przeciw wspólnym więzieniom i obstają za odosobnionem uwięzieniem. W roku 1835 było już więzienie celowe w Gandawie i w Brugge. W roku 1845 przyjęto projekt do prawa stanowiący odosobnienie dla mężczyzn; jest przedstawiony królowi projekt na budowę więzienia z 500 celami, który już przyjęty został.

10) P. Den Text z Holandyi oświadcza: iż lubo nie masz jeszcze krajowego prawa karnego, przyjęto już systemat odosobnienia, i że w stanach podczas dyskusyi nie było ani jednego głosu przeciw celom; lecz że ta uchwała dlatego dotąd w prawo zamienioną nie została, iż nie chciano oddzielnie lecz razem z całym prawem karnym rzecz tę postanowić. W Amsterdamie jest celowy dom badań. Ograniczono karę celową więzienia do lat 6.

11) Suringar z Amsterdamu dodaje do zdania ziomka swego, iż liczba więźni w 10 latach pomnożyła się o 43 na sto, a w dwunastu o 72 na sto. Powstaje przeciw klasyfikacyi więźni, utrzymuje że w Holandyi nie masz już dwóch zdań w tym przedmiocie, lecz że jeżeli postępują zwolna, to dlatego, że nie chcą ani systematu

mieszanego ani półśrodków, tylko wykonać i do całego kraju przyjęte zasady zastosować.

12) P. Witworth Russel inspektor więzień Anglii napisał, kazał wydrukować i złożył zgromadzeniu oddzielny raport o więzieniach angielskich temuż frankfortskiemu zgromadzeniu przypisany, mówił o rezultatach otrzymanych w więzieniu celowém w Pentonville. Po odbyciu kary są więźnie wysyłani do osad; dawniej obawiano się tych deportowanych, teraz zaś okazują więźnie wychodzący z zakładu w Pentonville taką poprawę, iż doszło do rządu żądanie z osad przysłania 2,000 więźni z powyższego więzienia wychodzących.

13) David z Kopenhagi popierając zdanie poprzednika oświadcza: iż zwiedzał więzienie w Pentonville, że badał 100 więźni w tym zakładzie, którzy wszyscy wyznali, iż ulepszenie swego bytu i poprawę swoją są winni odosobnieniu; że zdanie jego jako cudzoziemca w Anglii nie może być podejrzane o przesadę.

14) P. Ardit naczelnik sekcji więzień w ministryum spraw wewnętrznych w Paryżu utrzymuje, iż od 10 lat przyjęto odosobnienie dla badanych we Francyi, tylko niedostateczność funduszów wstrzymuje wykonanie tego środka. Potrzeba bowiem tak dla badanych jako i osądzonych więźni 18400 cel w całej Francyi, a jest ich dotąd dopiero w 32 więzieniach 2,416 z których 1,200 w Paryżu.

15) P. Durasco z Amsterdamu zastępując hr. Perro czytał zdanie sprawy o więzieniach Lombardyi. Kongres higieniczny dał pochoop do żądania ogólnej reformy celowej.

16) Prezes Mittermajer uzupełnia wiadomości o więzieniach włoskich które sam zwiedzał; oświadcza iż we Włoszech nie są za systematem celowym, lecz za au-

buruskim z modyfikacyami; w Turynie założono osadę dla młodszych przestępców na wzór osady Mettray. Ogólny jest brak i dobrych ustaw karnych i systematycznych więzień. W Sycylii obrano pustą wyspę, na którą odsyłają przestępców, chciano im przesłać ładunek kobiet, czemu się arcybiskup sprzeciwił.

17) P. Dwight sekretarz bostońskiego towarzystwa więziennego, stronnik auburnskiego systematu, zamiast wystąpienia w obronie tegoż systematu, mówi w ogólności o więzieniach amerykańskich.

18) Pastor Ferrière, z więzienia Genewy zajmuje całe zgromadzenie przytoczeniem faktów, które zmieniły jego i wszystkich w Genewie przekonanie o systemacie celowym, któremu przyznaje niezaprzeczoną wyższość nad auburnskim dotąd w Genewie chwalonym, o którego niedostateczności przekonano się po kilkunastu latach doświadczenia. Wystawione obok dawnego nowe celowe więzienie w tém mieście, następczyło następujące porównawcze spostrzeżenia czynione w ciągu ostatnich trzech lat w tych dwóch więzieniach obok siebie położonych. W nowém więzieniu było mniej powrotnych jak w dawném; kary są ustawicznie wymierzone w dawném, żadne prawie w nowém; w dawném są wszyscy więźniowie hipokrytami, w nowém wszyscy są otwarci i okazują się takimi jak są w istocie; było kilkanaście przypadków obłąkania w dawném, żadnego w nowém. Kobiety które osadzone są tylko na 6 miesięcy w celach, chciały wszystkie pozostać dłużej, oświadczając że przy wspólnej pracy i zamknięciu nigdy się poprawiać nie mogą, bo mają zawsze powody do niechęci i drażliwości. Co do milczenia przyznali wszyscy, że nakaz onegoż jest niezdolny, i że pomimo niego wszyscy

się rozumieją i rozmawiają z sobą; w dawném więzieniu są wszyscy w ciągłej irytacyi, w nowém wszyscy uspokojeni i wszyscy żądają jako łaski przeniesienia do celi.

Po ukończeniu tych sprawozdań o obecnym stanie reformy więziennój w krajach europejskich, przystąpiono do dyskusyi piérwszej kwestyi programu: jaki rodzaj uwięzienia jest najwłaściwszy dla obwinionych?

PP. Welker i Mittermajer z pobudek politycznych silnie powstawali przeciw zastosowaniu srogości odosobnienia do obwinionych; przyznawali wszakże, iż oddzielenie ich od spółwinnych powinno być zasadą, od której przypuścić należy wyjątki na żądanie uwięzionego a za przyzwoleniem sędziego. Jeden z obecnych proponował aby ustanowić osobne jury do uznania czy kto ma odpowiadać z więzienia lub z wolności. P. Moreau-Christophe odpiéra te wnioski, dowodzi potrzebę odosobnienia obwinionych tak dla dobra towarzystwa jak dla ich własnego dobra. Zgromadzenie przyjmuje jednomyślnie następującą uchwałę:

I. Obwinieni dla badania sądowego zatrzymani, ulegać mają odosobnionemu uwięzieniu w taki sposób, aby nie mieli żadnych stosunków ani między sobą ani z innymi współuwięzionymi, wyjąwszy przypadku w którymby na żądanie samego uwięzionego sąd badaniem jego zajety uznał za właściwe, dozwolnić mu pewnych stosunków w granicach prawem określonych.

Drugie a zarazem najważniejsze zagadnienie do dyskusyi podane było następujące:

Jaki systemat więzienny należy uznać za najlepszy jako karę dla przestępców osądzonych?

Prezydujący poleca odczytać list p. Aubanel, dyrektora więzienia w Genewie, który nie mogąc przybyć na zgromadzenie, przesyła na piśmie propozycyą swoje

w tym przedmiocie, a mianowicie: aby przyjmując zasadę odosobnienia dla osądzonych, ograniczyć trwanie takiej kary tylko do lat dwóch, a po ich upływie przeprowadzać więźni dłużej skazanych do więzienia wspólnego, na zasadach auburnskiego systematu urządzonego. W skutku téj propozycji podaje prezes trzy systemata więzienne do dyskusyi, to jest: *piérwszy*, odosobnionego zamknięcia dniem i nocą; *drugi*, odosobnienia nocną porą a spólnéj pracy przy milczeniu w ciągu dnia; i *trzeci* mieszany przez p. Aubanel podany.

P. Welker który mówił przeciw odosobnianiu obwiniętych, przemawia z mocą za zastosowaniem tego systematu do winowajców osądzonych, utrzymując, iż przy spólném ich zamykaniu podług systematu auburnskiego, nie można wykonać przepisów więziennych bez wywierania na więźniach srogości i nawet okrucieństw przeciwnych ludzkości i niezgodnych z cywilizacją. Że kara więzienia powinna być moralną, że taką jest odosobnione zamknięcie dniem i nocą, które zarazem jest najlepszym środkiem zapobieżenia wszelkiemu zepsuciu więźni, że tém samém nie masz innego racjonalnego i nawet możliwego systematu jak ten za którym obstaje. Prezes chcąc słyszeć obrońców systematu auburnskiego, powołuje na mównicę p. Moser dyrektora więzienia tego rodzaju w St. Gallen w Szwajcaryi, który tylko skreśla historią zakładu swego, wyznaje że liczba powracających więźni dochodzi do 50 na sto, że śmiertelność w niém jest wielka t. j. 9 na sto, ale nie broni bynajmniej zasad powyższego systematu.

P. Ducpétiaux rozbiéra obszernie trzy systemata do dyskusyi podane, dowodzi faktami z więzień Belgii więźniami, jak dalece są złe wszelkie więzienia wspólne. Wy-

jaśnia że przez odosobnione zamknięcie tak jak je obecne zgromadzenie pojmuje, nie należy rozumieć zupełnej samotności będącej zasadą systematu filadelfskiego, lecz że ono zależy głównie i prawie jedynie na oddzieleniu więźnia od innych współwięzionych, że idzie tylko o to aby winowajca do więzienia odesłany nie uległ wpływowi szkodliwemu gorszego od siebie przestępcy i aby nie zabierał w więzieniu znajomości, które się dla niego zgubnymi stać mogą po wyjściu z więzienia. Że tak pojęty system odosobnienia dopuszcza nawiedzanie więźni przez osoby do służby i opieki nad więzieniem należące, widywanie się jego z krewnymi i znajomymi w sposób przez prawo określony i wszelkie osłodzenia do których dobre sprawowanie się osadzonego i przepisy prawa upoważniają mogą.

Hrabia Sparre ze Szwecyi i baron Closen z Bawaryi, przemawiają za sposobem prowadzenia więźni łagodnością i wpływem moralnym, jakiego trzyma się z pomyślnym skutkiem p. Obermajer dyrektor więzienia w Monachium i w Kayserlautern. PP. Mittermajer i Suringar oddając zasłużone pochwały postępowaniu p. Obermajer, utrzymują, że ono nie może stanowić oddzielnego systematu ani przemawiać za wspólnymi więzieniami, bo polega jedynie i wyłącznie na indywidualności p. Obermajera, który ma szczególną zdolność wzbudzania ufności w więźniach i działania na nich za pomocą własnej siły moralnej.

Po kilku jeszcze zdaniach za odosobnieniem dniem i nocą, i po powzięciu przekonania że zgromadzenie temu systematowi niezaprzeczenie pierwszeństwo przyznaje, przystąpiono do głosowania na następującą uchwałę, która obejmuje modyfikacye systematu filadelfskiego

i poniekąd nową zasadę względem sposobu wykonywania kary więzienia, i przyjęto takową jednomyślnie:

II. *Odosobnione więzienie ma być zastosowane do osądzonych więźni w ogólności ze wszystkimi obostrzeniami i złagodzeniami, które stosownie do rodzaju przestępstwa i wydanego wyroku, tudzież do indywidualności i sprawowania się więźnia, dopuszczone być mogą; z zastrzeżeniem aby każdy więzień zatrudniany był użyteczną pracą, używał codziennie ruchu na świeżem powietrzu, otrzymywał nauki religijne, moralne i szkolne, miał udział w nabożeństwie, aby odbierał odwiedziny duchownego swego wyznania, przełożonego więzienia, lekarza i członków komitetu lub rady opiekuńczej więzienia, oprócz innych odwiedzin które stosownie do przepisów porządku wewnętrznego samego zakładu, dozwolone być mogą.*

Po tej uchwale zgromadzenia przynajmniej bezwarunkowe pierwszeństwo systematowi odosobnienia więźni dniem i nocą, upadły same przez się kwestye położone w programacie, a prezes ogłosił inny poczet zagadnień, które teraz pod rozstrzygnięcie zgromadzenia przyjść miały, a mianowicie:

Czy odosobnione zamknięcie ma być zastosowane do krótkich kar więzienia?

W tym przedmiocie zabrałem ja pierwszy głos i oświadczyłem, iż doświadczenie wzbudziło we mnie przekonanie, że odosobnienie w więzieniu najmocniejsze czyni wrażenie na tych, którzy pierwszy raz tej kary doznają, a zwłaszcza na młodych ludziach; że dla dobra tak towarzystwa jako i samych przestępców, obstawiać za tém należy, ażeby najłżejsze nawet i najkrótsze kary więzienia, nieinaczéj jak przy odosobnianiu

więźni wymierzone były, tak dlatego, aby poczynającego przestępcę odstraszyć od dalszego brojenia przez silne wrażenie przykrości więzienia, jako też aby ochronić od zgubnego wpływu, jakiby na zepsucie jego znajomość ze współwięzionami wyrzec musiała, co jedno i drugie konieczne na zmniejszenie liczby przestępców wpływać powinno. Zdanie to poparte przez panów Suringar, Moreau-Christophe i Ducpétiaux nie znalazło przeciwników, i zgromadzenie przyjęło jednomyślnie następującą trzecią uchwałę:

„Zasada odosobniania osądzonych przestępców, ma być mianowicie stosowana do krótkotrwałych uwięzień.”

Następowała odwrotna kwestya: czy też samą zasadę należy zastosować do długotrwałych uwięzień? która więć nastąpiła wątpliwość a to témbardziej, że prawodawstwa niektórych krajów, ograniczyły czas odosobniania więźni. Prezes odczytał artykuł prawa karnego badeńskiego, który stanowi: że odosobnione zamknięcie ma być ograniczone do lat 6ciu, wyjąwszy gdyby więzień na dłuższe lata skazany, życzył sobie pozostać dłużej na osobności.

Pierwszy zabrał głos p. Suringar i oświadczył, iż poświęciwszy połowę życia i część majątku swego niesieniu pomocy więźniom w więzieniach i wspieraniu ich po odzyskaniu wolności, ma prawo obstawać przy tém co się najbardziej z dobrem samych więźni tyczy, i że w tym celu najmocniej jest przeciwnym wszelkiemu ograniczeniu czasu trwania odosobnienia. Przyznając że długotrwałe kary więzienia są niepotrzebne i niestosowne przy systemacie odosobnienia, uważał że dopuścić aby więzień ulepszony i uspokojony pod względem moralnym, mógł powrócić po pewnym czasie do spólnego więzienia, jest

obalać samochcący zbawienne dzieło reformy pokutnej i skazywać na nowe zepsucie człowieka ulepszanego, i niweczyć tém samém w jednej chwili prace kilkuletnich usiłowań i owoc błogich skutków pokuty na samotności odbytej. Dlatego obstaje z mocą przy tém zdaniu: że systemat odosobnienia ogólnie, bezwarunkowo i bez żadnego wyjątku w całej obszerności swojej do osądzonych choćby na dłuższe kary stosowany być winien, skoro to więzienie, podług zasady przez kongres przyjętej, dopuszcza wszelkie rodzaje złagodzenia i osłodzenia pobytu w więzieniu, i zapewnia wszelkie środki zachowania zdrowia i życia więziennego.

P. Dietz urzędujący jako dyrektor i lekarz w dwóch zakładach księstwa badenkiego, mówi za ciąglém odosobnieniem przy dłuższych karach, żąda tylko wyjątku dla niewidomych, dla kalek i dla tych więźni, których stan chorobliwy umysłu lub ciała tego wymaga. P. Julius popiera z mocą zdanie p. Suringar; wspomniawszy że dla niewidomych, kalek i innych chronicznych chorych więźni, potrzeba oddzielnych zakładów a nie spółnictwa ze zbrodniarzami, które jest dla nich bezużyteczne i niezdnośne, przytacza przykłady wzięte z więzień w Millbank w Anglii i w Wirginii w Ameryce, w których przenoszono już do spółnych więzień winowajców poprzednio przez lat kilka na osobności trzymanych, i gdzie się okazało, że ten powrót do spółnictwa zatarał wszelkie ślady poprawy na osobności otrzymanej, i spowodował wrócenie wszystkich więźni do dawnej przewrotności.

P. Jageman broni ustawy badenkiej, ograniczającej odosobnienie do lat 6ciu.

Inny niemiecki urzędnik utrzymuje przeciwnie, iż nie pojmuje, jakim sposobem kwestya o ograniczeniu trwania odosobnienia, może przychodzić do dyskusyi po przyjęciu głównej zasady, bo skoro odrzucono systemat mieszanego uwięzienia, oświadczenie się za tém ograniczeniem, byłoby przyjęciem tegoż odrzuconego systematu.

P. Witworth Russel obstaje z mocą za niedopuszczeniem żadnych ograniczeń czasu w odosobnioném uwięzieniu i popiera to zdanie licznemi faktami o szkodliwości powrotu do spółnictwa więźni przez pewien czas odosobnionych.

P. doktor Varrentrapp uważając rzecz pod względem lekarskim, przytacza fakta z ostatniego raportu przez lekarza więzienia w Filadelfii sobie nadesłanego, które obejmują wypadki z lat 17 istnienia tego zakładu. Z tego się okazuje: że między więźniami na 6 do 8 lat kary skazanemi, śmiertelność równała się 17 na sto, a między tymi co na krótsze kary osądzeni byli, dochodziła do 30 na sto; że między pierwszymi ani choroby są częstsze ani śmiertelność większa jak między drugimi; że owszem największa śmiertelność okazuje się w dwóch pierwszych latach zamknięcia; że nakoniec wychodzący z więzienia po długoletniej karze, nie okazywali większego osłabienia ani władz umysłowych, ani sił fizycznych jak ci co krótkie kary odbyli.

P. Ducpétiaux uważał, iż długoletnie kary więzienia nie są stosowne przy systemacie odosobnienia, i że będą musiały ustąpić z prawodawstwa karnego w miarę upowszechnienia tego systematu, co tém pewniej nastąpi, że to zapowiada znaczne zmniejszenie wydatków skarbowych na utrzymanie więźni; lecz obok tego utrzymuje, że choćby to nie nastąpiło, kara odosobnionego więzienia

określona w sposób oznaczony drugą uchwałą kongresu, nie jest bynajmniej tak srogą, aby jej do dłuższych skazań stosować nie można. W rozwinięciu téj myśli, wylicza mówca wszystkie sposoby złagodzenia kary i osłodzenia samotności które dopuszczone być mogą, i wnosi ztąd, że odosobnienie może się stać daleko mniej przykrém jak spólny pobyt z innymi więźniami.

Vice-prezes Den Text obstaje za ograniczeniem trwania odosobnionego uwięzienia, tak jak je oznacza projekt do prawa karnego w Holandyi.

P. Lindpaitner chce tylko jednorocznego odosobnienia i powstaje przeciw dłuższemu uwięzieniu tego rodzaju.

Po zamknięciu dyskusyi przystąpiło zgromadzenie do głosowania i bardzo znaczną większością przyjęło następującą czwartą uchwałę:

„Odosobnione uwięzienie ma także mieć miejsce przy długo trwałych karach więzienia i natenczas ze wszystkimi stopniowo następującemi złagodzeniami, które się nie sprzeciwiają utrzymaniu zasady ścisłego oddzielenia winowajców między sobą.”

Zgodzono się następnie jednomyślnie i bez dyskusyi na piątą uchwałę téj treści:

„Gdy cielesny lub umysłowy stan chorobliwy uwięzionego tego wymagać będzie, może władza zawiadująca więzieniem obchodzić się z takim więźniem w sposób jaki jej zdawać się będzie najbardziej odpowiadający jego położeniu, i nawet osłodzić los jego przez dozwolenie przebywania ciągle w jakimś towarzystwie; z tém wszakże zastrzeżeniem, aby go w tym razie nigdy z innymi więźniami nie łączyła.”

Poczém przystąpiono do rozważenia ważnego przedmiotu zapewnienia i urządzenia służby bożej w więzieniach celowych. Ksiądz *Laroque* kapelan inwalidów paryżkich, obstawał za tém, aby obmyśleć środki wykonywania w całej rozciągłości obrządków religijnych w więzieniach, a mianowicie dania duchownym sposobności przemawiania w duchu religijnym do zgromadzonych więźni. *P. Moreau-Christophe* uważał, iż nie można wymagać tego, aby w więzieniach obrządki religijne wszystkich wyznań w całej rozciągłości swojej mogły być wykonywane, że ograniczać się należy na tém, aby zapewnić więźniom możność uczęszczania na nabożeństwo właściwego wyznania, prócz nauk religijnych które im na osobności udzielane będą.

Zgromadzenie nie mogąc wchodzić w szczegóły tyczące się sposobu sprawowania obrządków różnych wyznań w więzieniach, zgodziło się jednomyślnie na następującą uchwałę obejmującą najogólniejsze zasady, ściągające się do tego przedmiotu:

„Więzienia celowe mają być tak budowane, aby każdy więzień mógł być obecnym przy odbywaniu nabożeństwa właściwego sobie wyznania, a to w taki sposób, aby mógł widzieć i słyszeć duchownego obrządek religijny odprawiającego, i być od niego widzianym; z tém wszakże zastrzeżeniem, aby główna zasada oddzielenia więźni jednych od drugich, w niczém nadwierzona nie została.”

W związku z czwartą uchwałą zgromadzenia i w uzupełnieniu zasady przyjętej względem dłuższych uwięzień, uznało zgromadzenie za stosowne, uchwalić na wniosek p. *Ducpétiaux* co następuje:

„Skrócenie kar więzienia przez dziś obowiązujące prawa karne naznaczanych, powinno być bezpośrednim

skutkiem przyjęcia systematu odosobnionego zamknięcia w miejscu spólnego więzienia winowajców.”

Nakoniec dla zapewnienia skutku uchwały drugiej, zawierającej zasady i zastrzeżenia odosobnionego uwięzienia osądzonych winowajców, które przy dziś obowiązujących ustawach karnych i urządzeniach więziennych, wykonać się nie dały, wydaje zgromadzenie na wniosek p. Dupétioux następującą ostateczną uchwałę:

„Przejrzenie i stosowne zmodyfikowanie ustaw karnych, zaprowadzenie przez ustawę organizacji służby więzienną i komitetów nadzorczych, tudzież ustanowienie opieki nad winowajcami z więzień wychodzącymi, są poczytane za konieczne uzupełnienia reformy więzienną.”

Czyniono jeszcze wnioski względem potrzeby wyrzeczenia, że kary hańbiące nie dadzą się pogodzić z zasadami pokutnego systematu, które jako przedwczesne, pominięte zostały. Poczém prezes zamknął posiedzenia publiczne i wezwał członków zgromadzenia aby się zebraли na prywatną konferencyą, celem porozumienia się względem drugiego zebrania w roku następnym.

P. Whitworth Russel uczynił wniosek, aby protokół narad i uchwał frankfortskiego zgromadzenia, wraz z głosami pojedynczych członków, został ogłoszony drukiem w języku francuzkim i niemieckim, i wezwał obecnych, aby dla pokrycia kosztów druku zapisali się niezwłocznie na pewną ilość exemplarzy: co przyjętém i wykonaném zostało.

Ja z mojej strony zamówiłem dla rządu dziesięć exemplarzy tego pisma, które oddane zostaną na ręce JW. Oubril ministra Jego Cesarskiej Mości w Frankforcie.

Na ostatniem zebraniu postanowiono, że drugie posiedzenie kongresu odbędzie się w Bruxelli w miesiącu wrześniu r. 1847, w zamiarze uzupełnienia dyskusyj nad reformą więzienną w roku bieżącym prowadzonych.

Ze przedmiotami narady będą:

1) Organizacya służby wewnętrznej więzień pokutnych.

2) Budowa tych zakładów stosownie do zasad przyjętego już systematu.

3) Urządzenie opieki nad więźniami uwolnionemi.

4) Ustanowienie domów i osad poprawczych dla młodych winowajców.

5) Rozbiór zmian jakieby w prawodawstwie karném zaprowadzić należało przy zaprowadzeniu reformy więziennej.

6) Rozważenie przyczyn pomnażania się liczby przestępców i środków ich usunięcia.

ŁZA W NIEBIE.

Fantazya.

PRZEZ

Józefa Ję. Horaszewskiego.

Było to w niebie.

A pewien jestem że nieba nie znacie: filozofowie wam je wykreślają omackiem, serce przeczuwa czy przypomina, myśl nabranemi z ziemi farby maluje i złoci, lecz któż nam opowie co niebo? Niebo, ku któremu tęsknim wszyscy żyjąc na ziemi, którego konający spodziewają się i szukają za żywotem doczesnym, niebo dla wszystkich mgłą zakryte i niedostępne.

Kto w niem był nawet myślą, marzeniem czy duszy zachwytem, jak je opisać potrafi, jak opowie widzenie straszne, cudne, niepojęte, wyrazami tyłą, a tak mdłemi gdzie jednegoby tylko a tak potężnego potrzeba! Nadto słów jest w języku, zamało myśli w głowach naszych, usta niemieją wśród poczętej mowy i nic pajęcza myśli się zrywa.

Było to w niebie.

Tam panuje cisza i spokój wieczny wśród wiekuistego żywota; niezmienny byt, byt pełny, byt jedyny, w któ-

rzym drga wszystko co żyje. Albowiem w niebiosach *łączy się z Bogiem*: tam całość, tam jedność. Wszystkie barwy zbiegły się w jedną barwę niezgasłego światła, wszystkie dźwięki w jeden śpiew harmonijny, wszystkie linie w najcudniejsze kształty, wszystkie myśli w jedną ogromną myśl żywota wiecznego. Tam każdy pojedynczo żyje we wszystkich, wszyscy w każdym, duch wszelki jest ogółem i jest sobą, a myśl rodzi się jedna wszędzie i obiega koło duchów, jak dźwięk rozlewa się w powietrzu.

W pośrodku niebios króluje Bóg.

Pod nim kołami różnobarwnymi jaśnieją duchy nieśmiertelne; doskonałość do jakiej doszły, daje im miejsce bliższe lub dalsze od bóstwa, jak ciężar ciał ziemskich zawiesza je lub zanurza w wodzie. Sam tu każdy swym sędzią, bo gdy dusza wynijdzie z ciała, leci i staje gdzie ją skrzydła doniosą własne: im szersze i silniejsze skrzydła, tém wyższe miejsce.

Stopniami, stopniami od ogniska ciemnieją koła duchów aż utonęły w ciemnościach, na których dnie leżą i jęczą w bezdnie ci, co żyli ciałem tylko a zabili w sobie nieśmiertelności pierwiastek. Najbliżej Boga stoją aniołowie niepokalani; promienie jego korony.

Wśród uroczystego milczenia słyhać powołań harmonią, zawsze jedną, coraz różną, będącą jakby oddechem żywota niebieskiego: ta pieśń złożyła się z tysiąca, a brzmi jednogłośnie. Każde usta dorzucają do niej słowo, a w głębi wszystkich wyrazów tak rozmaitych jak liście drzew naszych, drży myśl jedyna.

Z wyżyny niebios co za spojrzenie na światy! Miliony światła biegną i złotem migają kręgami: jedno gasną, powstają drugie, rozłamują się inne i złotem warkocza-

mi piszą w sinych ciemnościach głoski nieodgadnione dla nas — znikomości ciała. Złamtąd przecież, z niebios głoski to czytelne i pojęte łatwo dla mieszkańców nieśmiertelności przytulonych do łona Bożego.

Tu i owdzie błyska słońce nieruchome, wokoło którego slizgają się kule ogniste powolnie zbliżając ku niemu. Niektóre z nich jakby z dwóch domostw nosiły wieści, chodzą od słońca do słońca miotając za sobą grzywę rozrzuconą, płomienistą, po eterycznych głębiach.

Tam rodzi się niemowlę — gwiazdeczka, blada, słaba, drgająca z początku, skupia w sobie siły, rozpala się, jaśnieje, porusza, wzlatuje, zawraca młodym tańcem i zagasa wśród biegu — na wieki. Ostygle członki światka rozlatują się w przestrzenie bezdenne, rozsypują się w proch, w pył, w lekkie pary i — w nicość; duch co je ożywiał, uleciał.

Poniżej, ciemne tylko przepaści, kędy śpią duchy zapomniane. A karą im ich samotność wiekuista, ich odcięcie od jedności; bo na całą wieczność pozostaną same z sobą, odepchnięte od wielkiej całości. Jęki ich boleści nie dochodzą do sfery duchów żyjących i tłumią w bezpowietrznej czczości.

A w niebiosach taki spokój, takie wesele! Patrzcie jak jasne oblicza błogosławionych, jak połączone dłonie, serca, dusze tych, co nie żyli tylko sobie i dla siebie, co nie obawiali się myśli, pracy i cierpienia.

W sercu Ojca odbija się myśl ich każda, a żywotem jego żyją duchy, pod szatami przedwiecznego spoczywające. Wszyscy są jednem, każdy czuje siebie w całości, całość w sobie. I niema tam tajemnic, bo myśl rodzi się tu widomie, dotykalnie, wzlatuje nad promien-

ną głową, obiega wszystkie sfery i niema tam zmiany, bo niema nic drugiego i walki; miłość spaja złotym łańcuchem każde ogniwo nieśmiertelnej całości.

Z krain spokoju czemuż wzrok aniołów obraca się tak często na ziemie czarne, i spoczywa na drobnych zaludniających je istotkach? — Bo tam nisko widzą próby życia które zwycięzko skończyli, a serce ich boleje, lituje się i w pomoc braciom leci modlitwą serdeczną.

Jeden z duchów niepokalanych spojrział na światek mały i patrzył nań długo, długo, aż zachmurzyła mu się skroń, aż zaciemniały oczy, aż łza litości razem i zgrozy spadła z szafirowego oka na szatę białą jak śnieg.

Łza ta puściła z siebie skrzydła i wleciała niemi w wyższe kręgi, padając u progu Bożego. Wszystkie duchy zapłakały tą łzą zgrozy i politowania i jak własne prowadziły ją dziecię.

A Ojciec poruszył ramiony świąty dźwigającemi i ozwał się głosem co złał się z harmonią światów:

— Łzo zgrozy i oburzenia, z kąd wleciałaś aż do mnie?

— Urodziłam się niżej Ojcze, święte uczucie matką moją, a anioł mi rodzicem.

Wtém obróciły się oczy i twarze duchów ku Ojcu i rzekły:

— Ciężkie jest życie na ziemi, ciężkie próby ciała, przecież dałeś im siły a nie walczą, dałeś im skrzydła a nie wzlatają. I oto jeden znów upadł na wieki!

A Ojciec odrzekł:

— Nie potępiajcie, nie oburzajcie się, albowiem i to dzieci moje nawet w upadku grzechu.

— Dałeś im siły, dałeś im moc a nie używają ich, przeto płaczemy i dziwim się! Możeż człowiek czują-

cy się nieśmiertelnym, sprzedawać za chwilę, możeż liczyć za życie co jest tylko stopniem ku niemu wiodącym? Zapłakaliśmy, bośmy widzieli upadek, a pojąć go nam trudno!

— Nie potępiajcie i nie sądźcie, albowiem wszyscy zarówno dziećmi mojami są! Nie potępiajcie, rzekł głos z góry. Ten co upadł azali się podnieść nie może? azali jeden z was nie upadłby także na miejscu człowieka?

— Nie! nie! śpiewały duchy, bo chwilą ziemskie życie i snem przelotnym tylko.

Zamilkli, a ten który pierwszy zapłakał ze zgrozy, płonił się zawstydzony, poglądając ku Ojcu.

— Dziecię, rzekł Bóg, potępiasz bo nie pojmujesz upadku, boś nie walczyło nigdy. Dusza moja rozpromieniła się w was i nie byliście w ciele i na ziemi, tylko czuciem, litością i wejrzeniem. Nie oburzaj się, albowiem grzech maż pokuta, a za nią idzie grzechu odpuszczenie.

— Nie! nie! Ojcze, rzekł duch wejrzeniem. Nastalo milczenie, a lza leżąca u tronu Boga szeleściła skrzydły srebrnymi u podnóża.

— Znijdź więc; probuj i żyj! rzekł głos wielki, abyś pojął żywot próby.

Zaledwie słowo to wyrzeczone zostało, kręgi się rozstąpiły i anioł zsuwać się począł ku ziemi. A za nim nieodstępnym towarzyszem zbiegł drugi, skinieniem Bożem zesłany, aby mu w pielgrzymce towarzyszył, aby czuwał nad nim.

I znowu niebo jaśniało spokojne, a oczy wszech duchów zstąpiły śledzić żywot wygnanego na chwilę brata.

Złotowłose dziecko igrało na zielonym trawniku i zadumane głęboko sparło główkę na ręce matki.

— Aniolku mój, co ci to jest? spytała kobieta.

— Matuniu, zadzwieczał głoszek miły, nie wiem co mi to, ale niepokój mnie ogarnia, chciałbym zasnąć. We śnie widzę drugie lepsze życie i jaśniejszy świat, ku któremu serce mnie ciągnie. Tu chłodno, tu ciemno, tu pusto.

— Przy mnie? spytała matka.

— A nawet przy tobie.

— Dziecię moje, aniolku drogi, nie świat to snów i marzeń, ale świat życia ci się uśmiecha, chcesz odlecieć ode mnie i nie powrócić więcej.

— O nie! o nie! matuniu. Boję się oddalić od ciebie i nie pragnę nic, tylko marzyć, a spać sny mojemu.

— Biedne dziecko. I zapłakała matka, ale nie nad niem, nad sobą.

Złotowłosy synek stulił powieki, usnął, i znalazł się w niebie ojczystém.

— Jak ci jest na ziemi? spytały go duchy tuląc główki do niego.

— Smutno i ciężko bracia, bo jeszcze młoda dusza wciąż ku wam się zrywa. Tak tam długie chwile, gdy nasza wieczność tak krótka i szybka!

— I już, już zbrukane masz skrzydła! zawołali bracia wystraszeni.

— Tak mi one ocięzały! westchnął wysłaniec, le dwiema niemi ku wam doleciał. Rozgrzejcie mnie proszę, rozgrzejcie.

Otuliły go, owiały ciepłym tchnieniem niebios anioły, aż sen się przerwał i duch znowu na ziemię powrócił musiał. Zbudził się by ujrzeć jeszcze płynące łzy matki.

Serce ciągnęło go ku niej, a ciało odrywało do bijącej młodemi obietnicami rozkoszy natury. Od łez matki pobiegło dziecię do wonnych kwiatów, do zabawek; do towarzyski ich czarnookiej.

I bawiły się dzieci a matka płakała.

A bawiły się bardzo długo, długo, aż bawiąc się podrosły i zabawa ich zamieniła się w życie.

Naówczas stanęli przeciwko sobie ciągnieni siłą niepojętą wzajemnie i rzekli w uniesieniu: — myśmy jedno we dwojgu.

W miłości ziemskiej anioł uczuł jakby oddźwięk i wspomnienie niebieskiej, i bytu swego pierwiastkowego, a łzy matki wciąż płynęły, płynęły, aż rzeką szeroką jak morze rozdzieliły dwoje kochanków, których dłonie napróżno wyciągały się jeszcze ku sobie.

Spojrzał anioł na rzekę łez i rzucił się w nią, przepłynął ją namiętny!

A gdy usnął i obudził się w niebie, spytały go duchy, poglądając na zczerniałe od łez skrzydła jego:

— Co się stało?

On milczał a głos z góry wyrzekł:

— Pierwszy raz upadł w grzechu, nie potępiajcie go jednak, nie oburzajcie się, politowania! politowania dla niego!

Duch wygnaniec znalazł się z nim na ziemi. Wyschła rzeka łez szeroka, a zazieleniał grób: matka nie żyła. Ich dwoje pozostało z dłonią w dłoni, sami z sobą jak chcieli.

Czemuż im tak siebie mało, tak brak jeszcze wiele? Czemu uczuł anioł że mu nie dostawało całego szczęścia które marzył, na które rachował? Upadł, a upadł napróżno. Oczy towarzyski jego biegły po ziemi, gdy źrenice jego szły ku niebiosom. Nie rozumieli się i nie byli

jednym jak chcieli. Dwa serca były w dwojgu piersi, nie jedno. On podwójny dźwigał ciężar: swojego skalanego ciała i towarzyski swój, nad którą już litował się tylko.

Lecz litość nie ratuje.

— Rozstańmy się! Rozstali, spojrzeli, zapłakali, odeszli.

Anioł spojrział w szeroki świat na ludzi i na towarzyski ich, serce poczynalo mu bić nieraz, ale zrenica widziała już lepiej przyszłość, nie marzył o miłości i zjednoczeniu dla szczęścia, bo w nie na ziemi nie wierzył.

— Tu niema dwojga jak jedno serce! zawołał z boleścią. Zjednoczmy się nie z jedną znikomą istotą, ale z duszą świata.

I dłonią ogrzaną jeszcze ręką kobiety, wziął w rękę księgę.

Księgi nie nauczyły go nie krom tego co przeczuwał. azabiły w nim wiedzę wrodzoną i wiarę. Rozum podnosił go do bóstwa, lecz razem czynił omylniejszym niż zwierzę. I zachwiał się zapominając swój przeszłości, mówiąc w sobie: — Jestem istotnie niebios wystawnem? jestem duchem? Nie ciałożto myśli i żyje we mnie tylko samo? nie zginęz ja z ciałem?

Im dalej szedł w nauce, tém ciemniej stawało mu się i błędniej. Chwilami jak błyskawicą ogromną rozjaśniał się świat; aż zagasał znowu w pomrokach.

Gdy we śnie zaleciał do nieba, nie poznał się w niém, zwątpił azali przeszłość istotną była przeszłością, nie snem uludnym tylko, azali nie marzył iż był aniołem!

A bracia duchowie pytali go naprózno, bo im nie odpowiadał tylko jękiem lub bolesnym zwątpienia i rozpaczny śmiechem.

Wielkie a bezbrzeżne jest nauki morze, a przepłynąć je bezpiecznie tylko ten potrafi, kto się na nie puszcza ze

światłem, co je przyniósł z nieba; ci co zgasili je w sobie, płyną bijąc się z falami a nigdy nie ujrzą brzegu chyba ich wiatry nań wyrzuca.

Na suchym, kamienistym piasku leżał rozbitek długo, nim do siebie powrócił i oczy otworzył, odetchnął. Wody zielone niezgłębione oceanu jeszcze mu obmywały stopy: rzucił na nie wzrokiem tęsknym i powstał osłabły.

A w niebiosach głos wyrzekł:

— Upadł w grzechu po raz drugi! nie potępiajcie upadku!

Czemuż serce aniołów i serce ludzkie tak zawsze, tak ciągle pragnie miłości i zjednoczenia? — Bo to uczucie mówi mu o niebieskiej ojczyźnie, ono wyraża nieśmiertelność, połączenie wszystkiego, zlanie się w całość! — ona jest iskierką w nas Bożką, na obraz Ojca stworzoną. Bój pochodzi z ciała, miłość z ducha.

Zraniony i złamany anioł położył rękę na sercu, podniósł oczy w niebo i spytał siebie:

— Gdzie się obróćę? dokąd pójdę?

Stróż z niebios mu dodany, wyciągnął palce i wskazał na tłumy ludzi, ku nim go zwracając.

— Tak, pójdę do nich, zawołał anioł i zjednoczę się z nimi, pokocham ich sercem całym wszystkich, cierpiącym dodam odwagi, w osłabłych wleję siłę, upadłych wezmę na skrzydła i uniosę ku górze.

Poszedł więc.

Przed nim stała ciżba ciemna, wyjąca głosy tysięcznymi i narzekaniem, jękiem, rozpaczą i szyderstwem, aż serce się krwawiło.

— Powiedzcie mi boleść waszą, wypowiedajcie choroby, ja was ulecę.

Biędni wszyscy rzucili się nań i poczęli wołać każdy swoje wskazując ranę, a on radził, pocieszał, godził i zamilował ich, aż do poświęcenia za nich życia.

Wtém poczęli go pytać jedni:—Czemu nas nie leczysz? Pytali go drudzy:—Ktoś ty jest żebyś niezgojone i tysiące lat krwawiące mógł zagoić razy? Szemrali inni:—To zdrajca który nas uwodził! Krzyczeli ostatni:—Zabijmy go aby nie ważył się z nas szdyzić, nas przedawać za bluszczu gałązkę. Nie jesteście szyderstwo, śmieć obiecywać nam szczęście?

A przeciwnicy szeptali:—Patrzcie, nie duchto ciemności, nie wysłanieczeto piekielny? Ukamienujemy go! ukamienujemy!

Aż wrzawa powstała i zgiełk straszny, podniosły się ręce, kamienie, i padły na piersi anioła. On, chciał wołać o pomoc z niebios, o posłuchanie u ludzi, ale głosu dobyć nie mógł tak wielkiego, aby go usłyszała ciżba namiętna.

Zaćmiło mu się w oczach łzawych, krew trysnęła niemi, gniew podrzucił piersią, a przekleństwo boleści wyrwało się przez usta sine.

Przekleństwo! przekleństwo! najstraszniejszy z upadków ludzkich, najnikczemniejszy z wyrazów, największa ze zbrodni. Albowiem nie dotyka dzisiaj tylko, ale jutra i całej przyszłości niewidzialnym sposobem.

Duch wygnaniec wyparł się ludzkości, odepchnął ją i myśląc że umrze a pragnąc już śmierci bodaj na wieki, zsunął się na ziemię chłodną.

Ciżba podniosła go, piekielnemi skoki depcąc mu głowę, i piersi a szalejąc; ale on nie uczuł tego, nie widział, bo spał i marzył dawno.

Duch jego ciężki przekleństwem własnym, mozolnie ciągnął się ku niebu.

Ale nie stało mu siły na przebycie progów żywota, tak wielkiem brzemieniem ważyła na nim wina.

Bóg spojrział i ulitował się upadłego anioła, a duchy bracia wszyscy, jedną łzą politowania nad nim zapłakali.

— Do niebios! do niebios! na spoczynek mnie przyjmijcie! wołał upadły jęcząc boleśnie.

— Nie! rzekł głos potężny. Niebo jest miłością samą, a ty w nie niesiesz nienawiść; niebo jest spokojem, a tyś udręczony jeszcze i rozpacz dźwigasz na barkach; niebo jest wypoczynkiem i nagrodą, a tyś nie walczył z sobą i nie pokonał siebie; znijdź na ziemię i żyj jeszcze.

Przebudził się duch wygnaniec.

Głucha cisza, cisza piekieł panowała dokoła niczém nieprzerwana: na niebie miasto słońca krwawe jakies brzaski i czarne osłony, ognie płonęły na spopielalych dolinach, a gęste dymy poruszały się leniwo między niebem a ziemią. Cizby ludu już nie było przy nim; pozostał sam jeden; przekleństwo tylko kamieniem leżało na jego piersiach.

Ciężko mu było powstać i podnieść się na nogi, powietrze nieprzełknięte dusiło, zwłókl się przecie i powolnie ku świtającej słabo jutrzence posunął.

Aż ujrzał przed sobą znowu ludzi, znowu wrzawę, cierpienie i boleść. Ale już nie rzekł jak wprzódy: lecz być będę, radzić wam będę, będę was wspomagać; nie wspinał się na wyżyny aby sypać obietnicami zgłodniałym; poszedł pracować w ciszy, w ukryciu, nie rachując na nagrody, owszem spodziewając się cierpienia.

A zewsząd popychano go mówiąc: — Pocoś ty tutaj? Idź precz! idź precz od nas!

I szedł duch, ale powracał niepostrzeżony, błogosławiąc tym co go kamienowali.

Długie lata przeszły w nienagrodzonej pracy i pocie, aż poranku jednego znużony, zdrętwiały od otaczającego go chłodu, usiadł unioł na kamieniu i zwątpiewając o sobie zapytał w duszy:

— Jestlim ja światu potrzebny?

I tysiąc szyderskich odpowiedziały mu głosów:

— Idź precz, zawadą tylko jesteś!

Drugie tysiąc powiedziały mu:

— Jesteś zwadą i zamieszaniem; idź precz!

Duch zapłakał gorzkimi łzami w duszę swą i ręce mu opadły i rozpaczył o sobie.

— O! ciężkie, rzekł, ciężkie jest życie ludzkie! Nacóż się ono przydało? Sobie wystarczyć nie mogę, a drugim dopomódz nie potrafię i pocóż to życie??

Mówiąc to usnął duch i powłókł się ku niebiosom, a tak był słaby, że zemdlony pochylił się na ich krańcach i upadł.

Pot ciekł strugami z jego czoła, łzy lały się z oczów, krew z ran płynęła. Towarzysz zbolalą tulił głowę i spiekle mu ocierał usta.

— Bracie, bracie, wołał chór duchów, znowu upadłeś; bo zwątpienie upadkiem jest jako przekleństwo, rozpacz słabością i grzechem. Tylko wiara i nadzieja wiedzą do czynu.

A głos Boga zagrzmiął z góry:

— Zwróć się jeszcze na ziemię!

— Powrócić! Jakże powrócę, poruszając się ciężko do lotu płakał biedny wygnaniec. Siły moje wyczerpały się, duch upadł a cierpienie strawiło mnie jako trupa trawi wiekowy grób.

— Niech ten pocałunek cię orzeźwi!

I przez usta towarzysza pocałunek miłości z całych niebios siłą spłynął na anioła wygnańca. Rozjaśniło mu się oblicze, zabiło znowu serce, skrzydła podniosły, uleciał swobodnie.

A ziemia była w brzaskach różowej jutrzenki wschodzącego dnia, w jasnościach poranku, i wszystko na niej śpiewało i radowało się jakby przeczuwało pod skorupą doczesnego, jakieś inne wieczne życie.

Anioł zstąpił do nowych cierpień i pracy.

Ludzie spojrzeli na przybywającego obojętnie i pominięli go ze wzgardą. Ich obojętność zapłacił uśmiechem odważnym i szedł dalej.

Zszedł się z drugimi którzy go powitali szyderstwem a oddał im je przebaczeniem.

Inni potracili go z gniewem; gniew wywzajemnił im miłością i politowaniem.

Posilony niebieskim pocałunkiem niczem się nie zrażał, nie zniechęcał, wstrzymywać nie dał. Lecz powoli otwarły się też oczy ludziom i w chwili ciszy zawołał z nich jeden:

— Zaprawdę, wiele nam dobrego uczynił, błogosławmy go, błogosławmy!

A za tym jednym krzyknęła cizba co go przeklinała i kamienowała: — Błogosławim! cześć ci! bądź uwielbiony, bądź wynagrodzony uczuciem naszym za to coś ucierpiał.

Biędny duch podniesiony tém wołaniem ziemskich braci, wzrósł, spotężniał, ale duma cielesna, duma niszcząca zakolatała razem do serca jego. A serce otwarło się szeroko na jój przyjęcie, wzięło ją, aby w niém mieszkała i poczęło bić żywiej na oklaski. Duch rzekł

miotany wielkością swoją:—Jam Bogu równi! jam wielki, jam najwyższy!

Wtém zciemniało, wszystko dokoła zagasto, ciżba odstępiała go i poszła wieńczyć innego już wielkiego wygnańca niebios, kamienując nim wybranego na potępienie. Anioł sam pozostał z wielkością swoją.

Lecz téj mu nie wystarczało na życie, chłód jakiś grobowy go otaczał, żarł sam siebie i głodnym był jako wprzód. Począł szukać lauru na skroni i suche tylko znalazł na niej gałęzie, szukał wspomnień wielkości dla pokarmienia duszy, a znalazł kości ich tylko wyschłe i zimne.

Wtém we śnie znów ujrzał niebo ku któremu podlecieć już nie mógł, najwięcej bowiem upadł dumą, co go więziła w zimnych ziemi dolinach. Jeden tylko wierny towarzysz niebieski stał mu u boku ze łąką litości na oczach.

— Bracie! bracie! spytał tęsknemi słowy anioł, nie uniesieszli mnie ztąd do kraju mego, do niebios?

— A! pragnąłbym, lecz nie podźwignę cię. Okułeś się ciałem, skamieniałeś w dumie; zwróć oczy wyżej i proś Ojca.

Któż wypowie modlitwę upadłego? Słuchał jój Bóg i duchy, a w ciągu upokorzonej pieśni opadały brzemiona upadków z niebieskiego wygnańca. Naostatku, najleniwiej opuściła go ziemaska дума. A głos Boży mówił z góry:

— Nie sądziecie, abyście sądzonemi nie byli! nie oburzajcie się i nie potępiajcie, abyście oburzenia i potępienia nie wywołali. Upadłeś tylekroć ile razy walczyłeś, a gdyby nie miłosierdzie, nie podniósłbyś się z upadku.

Długo rozchodziły się słowa Ojca po przepaściach etc-
ru i brzmiały tysiące lat w sercach aniołów, i wypisały
się złotemi głoski na skrzydłach duchów, i posłaniec
niebieski zniósł je aż na nasze ziemię.

Łza oburzenia wylana przez ducha wygnańca, była
ostatnią w kręgach błogosławionych.

Warszawa d. 12 grudnia 1846 r.

WYCIĄG Z PAMIĘTNIKÓW
PUŁKOWNIKA PIOTRA BAZYLEGO WIERZBICKIEGO.

WYPRAWA DO SAN-DOMINGO.

UŁOŻYŁ I WYDAŁ

Leon Potocki

Od dzieciństwa prawie będąc żołnierzem, wychowałem się, wzrosłem i zestarzałem w obozach. Przeszedłszy wzdłuż i wszerz Europę prawie całą, przez lat kilka walcząc pod skwarném niebem Antyllów, śmiało powiedzieć mogę, że wiele widział, wiele doświadczył, wiele pamiętam.

Na starość powróciwszy do rodzinnej chaty, otoczony żoną i dziećmi, opowiadając im nieraz dawną wojaczkę, gdzie człowiek był, co robił, przyszła mi myśl zebrania tego wszystkiego, co pamięcią ogarnąć mogłem; myśl napisania wspomnień moich. Nie uganiam się bynajmniej za sławą pisarską, do której żadnego prawa rościć sobie nie mogę, bo kto przez lat kilkadziesiąt był żołnierzem, ten się piórem władać nie nauczył. Piszę jednak dla dzieci moich, piszę ażeby uwiecznić pamięć

zmarłych moich współbraci, piszę nakoniec dla was współtowarzysze moi, którzy razem ze mną w domowym zaciszu, spokojnie resztę dni waszych pędzicie; dla was których liczba tak dziś małą została!

Wielkie wypadki które się przed oczami naszymi przemieły, zniknęły jak sny znikome, została po nich pamięć, którą dla potomności przechować najświętszym jest obowiązkiem! Dzieje wyprawy wojsk francuzkich do wyspy San-Domingo, mało są znane czytelnikom naszym; udział zaś, jaki w nich nasi współziomkowie mieli, grubą niewiadomością pokryty. Przedsięwzięłem zatem opisać gdzie byłem, co na własne oczy widziałem, a prostotę i że tak powiem dobroduszną opowiadań moich, niechaj mi wolno będzie okupić, najskrupulatniejszą, w najmniejszych szczegółach prawdą. Nim przystąpimy do opisanja wyprawy, która niejako wiek XIX rozpoczęła, rzućmy nasamprzód okiem na wyspę San-Domingo, przebieżmy jój dzieje, zastanówmy się nad tém czém była, i czém jest za naszych czasów.

Wyspa San-Domingo, nazywana dzisiaj Haiti, jest jedną z największych i najżyźniejszych pomiędzy wysp Antylskich. Długość jój licząc od wschodu na zachód, do stu sześćdziesięciu mil francuzkich dochodzi, szerokość do pięćdziesięciu kilku mil w niektórych miejscach.

Wyspa San-Domingo odkrytą została w roku 1492 przez Krzysztofa Kolumba, który ją przezwał podówczas Hispaniolą, od krajowców nazwana Haiti, co znaczy w ich języku górzystą; nakoniec przybrała nazwisko San-Domingo od miasta tego imienia, stolicy téj części która do Hiszpanów należała. Do roku 1665 cała wyspa bezpośrednio była ich własnością, wtedy dopiero niektóre osady holenderskie i francuzkie, zajmwszy część

jéj północną, założyły miasto Cap-Français, które za stolicę swoją na téj wyspie obrały. Odtąd posiadłości francuzkie rozszerzać się tam zaczęły i nakoniec w roku 1697 Hiszpania traktatem ryswickim, ustąpiła Ludwikowi XIV całej zachodniej wyspy San-Domingo. Jeszcze w roku 1789 ludność osad francuzkich na téj wyspie wynosiła do 523,803 głów w ogóle, z których 30,826 białych, 27,548 mulatów wolnych, i 465,429 niewolników czarnych. W osadach hiszpańskich było w ogóle 152,640 mieszkańców, pomiędzy któremi znajdowało się tylko do 30,000 niewolników. W tymże samym roku osady francuzkie za 135,620,000 franków wysyłały kolonialnych towarów do Francyi, a za 54,578,000 francuzkich towarów wprowadzały do siebie. Zmiany zaszłe we Francyi zgubny wpływ wywarły na kwitnący stan téj wyspy, a postanowienie z dnia 8 marca 1790 wyłączając wolnych mulatów od praw obywatelskich i od udziału w obradach kolonialnych, zburzyły umysły, i przygotowały wypadki, które się stały powodem tylu okrucieństw i krwi rozlewu. Napróżno w roku 1792 chciano prawa mulatów przywrócić; nadciągnęła burza i nie tak prędko uśmierzoną być mogła. Mulaci połączeni z murzynami przeciwko białym podnieśli oręż. W roku 1791 cała część północna wyspy stała się pastwą płomieni, a do dwóch tysięcy białych okrutną śmierć znalazło, bez różnicy płci i wieku. Wtedy na czele murzynów znajdowali się: Jan François, i Biassou. W roku 1791 miasto Port-au-Prince, a w roku 1793 Cap-Français spalone zostały, a straty jakie wyspa w owych czasach poniosła, dochodziły do 60,000,000 franków. Ta część mieszkańców osad w San-Domingo, między któremi dużo było emigrantów francuzkich,

w ostatecznej będąc toni, wezwała pomocy Anglików i otworzyła im bramy miasta Port-au-Prince. Druga zaś część mieszkańców połączyła się z mulatami i murzynami. Ludność cała na dwa rozdzielona stronnictwa, najzaciętszy bój pomiędzy sobą toczyć zaczęła; krew lała się strumieniami i nie było okrucieństwa, któregooby obie nie dopuściły się strony. Pomiędzy naczelnikami mulatów odznaczali się Rigaut, Beauvais, Besse i Petion, oraz murzyn Toussaint-Louverture. Ten ostatni niezłomnością charakteru i wyższością gieniuszu swojego, pierwsze pozyskał miejsce w wojsku, i gdy w r. 1798 Anglicy chorobami zmagani zostali do opuszczenia wyspy, generał angielski Maitland zawarł z nim umowę, mocą której niepodległość i neutralność San-Dominga zawarowaną została. 1 lipca 1801 roku Toussaint-Louverture zostawszy gubernatorem i dożywotnim prezydentem wyspy, jej niepodległość ogłosił. W tym samym roku Napoleon Bonaparte nie chcąc w ręku murzynów zostawić wyspę tak wielkiej wagi dla Francyi, wysłał groźną wyprawę pod dowództwem generała Leclerc na jej odzyskanie. Murzyni za broń chwycili, a powtórnie spaliwszy Cap-Français, cofnęli się w góry. Poczém oszukani kłamliwą proklamacją rządu francuzkiego, na mocy której zapewniano im wolność i niezależność, dobrowolnie broń złożyli. General Leclerc korzystając ze sposobnej okoliczności, zatrzymać kazał naczelnego dowódcę Toussaint-Louverture i odesłał go do Francyi, gdzie wkrótce w więzieniu życie zakończył. Rozpoczęły się na nowo kroki wojenne z większą niż kiedykolwiek zawziętością. Po długich i morderczych bitwach, gdy w obozach naszych choroby nielitościwie grasować nie przestawały, przy

końcu 1803 roku Francuzi opuścili wyspę, pod rozkazami generała Rochambeau, który po śmierci generała Leclerc objął był naczelne dowództwo.

Na tém się zakończyła owa sławna wyprawa, w której do trzydziestu tysięcy Francuzów a przeszło 16,000 murzynów zginęło. Dnia 1 stycznia 1804 r. niepodległość wyspy San-Domingo ogłoszono na nowo i nazwę Haïti przywrócono. Murzyn Dessalines, jeden z namiestników Toussaint-Louvertura mianowany został gubernatorem dożywotnim i objął rząd kraju. Panowanie jego, gdyż się wnet nazwał cesarzem pod imieniem Jakóba I, było nieprzerwanem pasmem okrucieństw i mordów. Kąpiąc się we krwi białych i czarnych bez różnicy, gdy przebrał nakoniec miarę, w czasie buntu od swoich zabitym został.

Inny murzyn nazwiskiem Krysztof, nastąpił po nim z tytułem dożywotniego prezydenta, który wnet zmienił na godność królewską przezwawszy się Henrykiem I królem wyspy Haïti. Panował tylko nad północną częścią tego kraju, nie chcąc bowiem uznać konstytucyi przyjętej 27 grudnia 1806 r. przez zgromadzenie stanów w mieście Port-au-Prince, zgromadzenie to utworzyło rzeczpospolitą z południowej części wyspy i obrało sobie za prezydenta Petiona. Gdy Krysztof wstępując w ślady Dessalina, został znienawidzony od wszystkich, Petion wszelkich sił dokładał do polepszenia bytu swoich współrodaków; wspierał rolnictwo, handel, rozpościarał oświatę, i miłość wszystkich umiał sobie pozyskać. Krysztof zbuntowanemu żołnierstwu nie chcąc się poddać, w roku 1820 sam się zastrzelił. Petion umarł w 1818, powszechnie żałowany.

Po nim nastąpił generał Boyer, rodem mulat, który korzystając ze śmierci Krysztofa, całą wyspę w jednę

rzeczpospolitą połączył. W roku 1825 Karol X król francuzki, postanowieniem z dnia 17 kwietnia uznał niepodległość wyspy *Haiti*.

* * *

Po przeważném zwycięztwie odniesioném przez wojska francuzkie nad wojskami austryackimi pod Hohenlinden, zawieszenie broni podpisane zostało dnia 25 grudnia 1800 roku w Stejer, przez generała Lahorie ze strony generała Morceau i przez generała majora hrabiego Grüne, ze strony arcyksięcia Karola. Poczém nastąpiły układy i nakoniec dnia 9go lutego 1801 roku zawarty został w Luneville od obu stron pożądaný pokój (a). Zaraz po zawarciu pokoju hrabia Cobenzel w imieniu swojego monarchy zażądał, ażeby w moc artykułu 15go powyższego traktatu:

„Jeńcy wojenni tak z jednéj jak z drugieój strony, oraz zakładnicy wzięci lub dostawieni w czasie wojny, którzy dotąd zwróconemi nie byli, w przeciągu dni czterdziestu od podpisania tego traktatu oddani zostali. Legiony polskie rozwiązane, a ponieważ składały się z Poluków w niewolę zabranych, aby tych jako jeńców wojennych Austryakom wydać.”

W tak krytyczném położeniu zostając, jedna część oficerów polskich, podawszy się do dymisji opuściła legiony, drudzy uważając traktat lunewilski za dłuższe tylko że tak powiem przedłużenie zawieszenia broni, Austrya bowiem, chwilowo zwyciężona, ogromny żywioł wojny w sobie tłumiła, czasu tylko do zagojenia zadanych ran i spoczynku potrzebowała; oczekiwali dalszych losu kolei.

(a) Dnia 9 lutego 1801 roku zawarty został pokój w Luneville.

Napoleon Bonaparte dopełniając niby artykułu 15go traktatu lunewilskiego, zwinął legiony polskie, część ich przeszła w służbę rzeczypospolitój cyzalspińskiej, druga przejść miała w służbę króla Etrury; lecz gdy starszyzna na to zgodzić się nie chciała, i wysłała nawet zpośród siebie deputacyą do 1go konsula protestując przeciwko temu co nastąpić miało, ogłoszono rozkazem dziennym postanowienie Napoleona Bonapartego w następujących wyrazach:

„Iż nagradzając znakomite usługi wojenne przez walecznych Polaków rzeczypospolitój okazane; 3cia pół-brygada, odtąd do wojska francuzkiego przydzieloną zostaje, z którym równych zaszczytów, praw i korzyści używać będzie i numer stu trzynastój pół-brygady przybięra.”

W ośm dni później, nadszedł drugi rozkaz, ażeby 113ta pół-brygada niezwłocznie wsiadła na okręta i popłynęła do Tulonu, Marsylii, lub tam gdzie dalsze przeznaczenie odbierze. Jednocześnie wpłynęła do przystani Livourno wojenna korweta z Tulonu, mająca polecenie konwojowania kupieckich okrętów. Zaraz po otrzymaniu powyższego rozkazu, generał Rivaud zajął się przysposobieniem żywności i wody. Pomimo rozmaitych wniosków, nikt jeszcze odgadnąć nie mógł dokąd się ta nowa wyprawa udaje, jaki ją los czeka. Nakoniec pod-inspektor popisów Soulié zrobiwszy przegląd, zamknął rachunki i oświadczył oficerom, że od téj chwili, 113ta pół-brygada zpod zarządu ministra wojny wychodzi, i odtąd od ministra marynarki zależeć będzie. Oświadczył dalej, iż czteromiesięczny żołd zaległy, z funduszów wojska lądowego zapłacony im zostanie, z kas-

sy zaś ministerstwa marynarki, odbiorą żołąd trzymiesięczny z góry na drogę.

W kilka dni później przybył z Ankony pułkownik francuzki Bernard i objął komendę 113tej pół-brygady (b). Już nakoniec wtedy tajnym nie było przeznaczenie téj nowej wyprawy do wyspy San-Domingo. Mało czasu pozostawało do żalu, a wiadomości o niefortunnym powodzeniu oręża francuzkiego na téj wyspie, wieści o nadzwyczajnej tamże śmiertelności, po przystaniach europejskich głośno się rozchodziły. Na nic się wtedy nie przydały narzekania zawiedzionych nadziei, nie pozostawało jak spełnić do ostatniej kropli kielich goryczy. Ostygł duch w najzaciętszych umysłach, pora nie była stosowną do podania się o uwolnienie od służby, a każdy żałował uporu swojego, żałował po niewczasie iż nie przeszedł w szeregi króla Etruryi. Trzy-

(b) Pułkownik francuzki Bernard, umarł z żółtej febry w Port-au-Prince. Pomiędzy jego papierami znaleziono list generała Murata do pod-inspektora Soulié pisany, naganiający mu surowo postępek jego z oficerami polskimi, których obznajomił z prawem francuzkiem, dotyczącem wypłaty należności wojsku, na morską wyprawę przeznaczonemu; dodając, że generałowi Rivaud poleconém zostało, ażeby pół-brygadzie 113 tytułem przedpłaty dwumiesięczny żołąd tylko na podróż był wypłacony, i żeby środki ostrożności przedsięwzięte zostały na przypadek gdyby Polacy na okręta wsiadać nie chcieli. Skoro ten list pokazano kapitanowi generalnemu Rochambeau, do żywego wzruszony tak czarnym postępkami, kazał obrachować zaległość żołądu i takową z kassy wojskowej w Port-au-Prince Polakom zapłacić. Pułkownik Bernard ciągle służąc przy sztabach wojskowych, żadnej nigdy nie mając pod sobą komendy, ani doświadczenia, ani dostatecznych nie posiadał wiadomości na dowódcę całej pół-brygady, i nie umiał pozyskać sobie miłości i zaufania podkomendnych swoich. Nie znając polskiego języka, chciał nasze nazwiska po francuzku przeistaczać. Przeznaczone 6 lutów tytuniu dziennie na każdego żołnierza, wydawać zakazał, a sam tytuł w Kadyxie na swoje konto sprzedawał.

naście okrętów kupieckich stało przygotowanych w przystani Livourno; zbliżał się dzień odjazdu, rozkazano mi zrobić przegląd przewozowych statków i obliczenie ładunku w miarę czego miał nastąpić rozdział całej półbrygady, którą jak zapewniano, miano przesadzić w Kadyxie na inne okręta. Na każdy okręt przeznaczono po jednej lub dwóch kompaniach, z tych granadyerska pod dowództwem kapitana Kastus i 4ta pod dowództwem porucznika Grabińskiego, płynąć miały na okręcie greckim pod flagą rossyjską. Nadszedł nakoniec czternasty czerwca 1802 roku, rozkazano 113tęj półbrygadzie picchoty około południa wsiadać na okręta, a 5ta i 68ma półbrygada stanęły pod bronią, z rozkazem użycia gwałtu w razie oporu ze strony Polaków. Ta nadzwyczajna ostrożność generała gubernatora Rivaud niepotrzebną się okazała. Polacy bowiem chociaż z rozpaczą w sercu, szalupami dostawieni do okrętów, na pokładach złożyli w milczeniu i bez szemrania broń i mundury; poczem za danym znakiem, pomimo przestróg doświadczonych żeglarzy o zbliżającej się burzy, podniesiono kotwice i puszczono się w drogę.

Zaledwo flotyla z przystani Livourno wypłynęła, okropna wszczęła się burza i okręta w rozmaite rozpedziła strony. Z tych dwa pomimo największego niebezpieczeństwa zdołały napowrót do Livourno zawinąć, trzy fale morskie zapędziły do kanału Piombino, pomiędzy lądem stałym a wyspą Elbą, okręt zaś grecki o którym wyżej wspomnieliśmy, rozbił się o skały w bliskości wieży morskiej San-Vnzenzo, i ze stu ośmdziesięciu ludzi znajdujących się na jego pokładzie, zaledwo sześćdziesięciu kilku wyratować się zdołało, z sześciu zaś oficerów jeden tylko kapitan Kastus, śmiałą przy-

tomnością żony, wraz z nią ocalonym został. Odważna ta kobieta uchwyciwszy jedną ręką męża, drugą przywiązawszy do siebie okiennicę okrętową, rzuciła się w morze i po długiej walce z żywiołami wraz z nim napół umarła, od fal morskich na ląd wyrzuconą została. Poczém kapitan Kastus zebrawszy oddział ocalałych żołnierzy, udał się z nimi napowrót do Livourno, gdzie od mieszkańców jak najlepiej przyjęci, opatrzeni we wszystko, ich kosztem na miejsce dalszego przeznaczenia byli odesłani. Reszta okrętów miotana wściekłością wyuzdanój burzy, dopiero czwartego dnia znalazła się pomiędzy wyspami Balearskimi a brzegami Hiszpanii. Po kilkunastudniowój pomyślnój żegludze, flotyla nasza już się znajdowała pod 36tym stopniem szerokości, na wysokości przylądka Gates, gdy raptem wiatr zachodni dąć zaczął, nowa wszczęła się burza, a przez kilka dni nieustannie miotając nami, rozproszywszy nasze okręta, zapędziła je pod same skały, nazwane punktem Europy, na których się wznosi Gibraltar najężony armatami angielskimi. Ucichła cokolwiek burza i flotyla szukając schronienia w Maladze, zawinęła tamże 27 czerwca, gdzie wnet i okręt na którym znajdował się szef batalionu Bolesta z dwoma kompaniami drugiego batalionu piechoty do przylądka Gates aż ponad brzegi Afryki zapędzony, przyplynał. Z największym zadziwieniem naszym zastaliśmy w Maladze konsula polskiego, który przywitawszy nas serdecznie, przyjął na obcój ziemi jak dzieci jednéj matki.

Dnia 25 lipca 1802 roku, flotyla nasza podniosłszy kotwice z wiatrem wschodnim wypłynęła z portu Malaga, a sterując ponad brzegami Gibraltaru i Algesiras w Europie a Ceutą w Afryce, tak, że obie strony łatwo

okiem rozpoznać można było, szczęśliwie nazajutrz zawinęła do Kadyxu. Pół-brygada mająca się przenieść na inne okręta na ten cel przez tamecznego konsula najęte, dwanaście dni na przygotowaniach straciła. Tam kapitanowie Szezyński i Geisztor, oraz kilku naszego stopnia oficerów, porzucili komendy i w Kadyxie pozostali. Podczas pobytu naszego w Kadyxie, oglądaliśmy nieraz Porto-Santa-Maria, gdzie się znajduje arsenał morski, i tam przypatrywaliśmy się owemu sławnemu okrętowi liniowemu, *la santissima Trinidad* zwanemu, o czterech bateriach i 140stu armatach, od którego wystrząła admirał Nelson pod Trafalgar rękę utracił, a sam zaś okręt w téjże bitwie rozbił się i zginął na nim admirał hiszpański Gravina.

12 sierpnia flotyla z pomyślnym wiatrem północno-wschodnim opuściła Kadyx, minęła cypel Tangeru, sterując ku południowi, przepłynęła pomiędzy wyspą Maderą i wyspami Kanaryjskimi, a zbliżywszy się ku wyspie Palma, przebyła pierwszy południk przecinający wyspę Ferroc. Pod 36tym stopniem szerokości wiatr się zmienił, i we dni kilka później weszliśmy na linię zwrotnika raka, przez którą przebywając dnia 5 września 1802 roku, wojsko nasze na nowo ochrzczone w imieniu Neptuna zostało (c). Komiczny ten obrzęd z wszelką uroczystością przez żeglarzy dopełniony, rozzerwał nas na chwilę. Odtąd stateczny wiatr wschodni przy pogodnym niebie, dozwolił nam sterować prosto

(c) Obrzęd tak zwany Neptuna, odbywa się następującym sposobem na okrętach przepływających linią równika. Ubięrają jednego majtkę za Neptuna, drugiego za księdza, i każdego z przepływających po raz pierwszy tę linię, zanurzają w kadzi napelnionej słoną wodą; ci tylko uwolnieni od tego zostają, którzy się majtkom okupić zdolają.

ku Antyllom. Upały nieznośne nie przestawały dokuczać, jedne nocy tylko, niejaką nam ulgę przynosiły, na rozpalonych leżąc pomostach. Około 20 sierpnia pod stopniem 24tym i minut kilkanaście szerokości, taka cisza nastąpiła na morzu, iż okręta zdawały się stać na czystém zwierciadle. Nie mogąc odgadnąć jak długo ta cisza trwać będzie, rozkazano dozorcóm żywności, stan zapasów złożyć, pozmniejszano porcyę jadła a témbar-dziej wody. Ta zaś już się psuć poczyniała. Koloru żółtego, odrażającego zapachu, napełniona robactwem, chcąc ję używać, musiano ją węglami czyścić i pomimo tego, nie dawano więcej na osobę bez różnicy stopnia jak po jednéj kwarcie na dzień. Męczarnia pragnienia przy upałach które do 40 stopni Reaumura dochodziły, spowodowała choroby i śmiertelność na okrętach naszych rozszerzać się zaczęła. Żołnierze w morze wyskakując, w pływaniu ochłodzenia szukali, co jednak smutne za sobą nieraz pociągało skutki. Kilku żołnierzy postradaliśmy z powodu, iż oddaliwszy się za nadto od okrętów, gdy podostawali kurczu, pomimo prędkiego ratunku w głębinach morskich śmierć znaleźli; inni zaś od rekiców i wilków morskich, towarzyszących zwykle okrętom, pożarci zostali. Nie mogąc przez żaden sposób zabronić kąpania się w morzu, przeznaczono godziny do kąpiei, w czasie których wykomenderowano straż; ta szrótem strzelając w morze, morskie odstraszała potwory.

D. 1 września podniósł się wiatr od wschodu, a okręta nasze przy rozpiętych żaglach z największą szybkością słone wody próc zaczęły. Odtąd przy sprzyjających nam żywiołach bez najmniejszej płynąc przeszkody, ujrzelśmy nakoniec 10 października przylądek Samana, a 12 te-

goż miesiąca wpłynąwszy do zatoki Mancenilla, około 2 po południu przed samém miastem Cap-Français rzuciliśmy kotwicę.

Nim po wylądowaniu w Cap-Français 113 pół-brygady, do opisania jój działań wojennych przystąpimy, niechże mi będzie wolno przedewszystkiém rzucić okiem na wypadki, które poprzedziły jój przybycie na wyspę San-Domingo; i chociaż w tój całej wyprawie, ta tylko część w której ziomkowie nasi udział mieli najgodniejszą jest naszego zajęcia, obszerniejsze zaś dzieje ogółu, i niefortunne koleje oręża francuzkiego na tój wyspie, do pisarzy francuzkich należą; są jednak ciekawe szczegóły, rzucające światło na całą tę wyprawę i dające poznać tak niepospolitego człowieka, jakim był dowódzca murzynów Toussaint-Louverture, które czytelnikom moim udzielić przedsięwziętem.

Po zawartym pokoju Francyi z Anglią w Amiens (d), Napoleon Bonaparte, gdy wyprawa do Egiptu niepomysłny koniec wzięła, zwrócił uwagę na opuszczoną przez Francją wyspę San-Domingo, na posiadaniu której, pomysłność handlu i potęga żeglugi polegała. Zawojowanie całkowitej wyspy, której trzecia część tylko do Francyi należała dawniej, największe korzyści obiecywało w przyszłości. Do uskutecznienia tego wielkiego przedsięwzięcia, piérwszy konsul umyślił użyć oficerów sprzyjających generałowi Moreau, a tym sposobem osłabiwszy jego partya, zmniejszyć przeszkody jakie mu przeciwnicy stawiali w widokach do wywyższenia się wiodących.

(d) 27 marca 1803 roku, zawartym został pokój w Amiens pomiędzy Wielką Brytanią, Francją, Hiszpanią i rzeczpospolitą Batawską.

Za zbliżeniem się do brzegów San-Domingo floty francuzkiej, wyprawionej z portu Brest pod dowództwem vice-admirała Villeret-Joyeuse, kapitan generalny Leclerc (e), posłał naczelnikowi murzynów Toussaint-Louverture odezwę pierwszego konsula do mieszkańców San-Domingo w ogólności, a w szczególności do czarnej ludności téj wyspy.

Zaledwo odezwa pierwszego konsula rozeszła się po kraju, Krzysztof generał murzynów jak gdyby odpowiadając na nią, dnia 3 lutego 1802, spalił miasto Cap-Français, poczem z wojskiem swoim cofnął się w góry. We trzy dni później, to jest dnia 7 lutego, wojska francuzkie wylądowały w Cap-Français wśród dymiących się jeszcze gruzów spalonego miasta, generał Leclerc wysłał do Ennery, plantacyi Toussaint-Louverture (f) synów

(e) Karol Emanuel Leclerc, był synem handlarza mąką w Pontoise, i w témże mieście się urodził 1772 roku. W 1791 wszedł jako ochotnik do 2go batalionu pułku Seine et Oise. Będąc już kapitanem podczas oblężenia Tuluzy, tam się zapoznał i zaprzyjaźnił z tym, w którego rękę spoczywały przyszłe losy Francyi. Leclerc towarzyszył Bonapartemu w kampaniach włoskich aż do roku 1796 jako pod-szef sztabu głównej armii, i odznaczył się pod Mont-Cenis, Mincio i Salo; w wyprawie do Egiptu czynny miał udział. W r. 1797, ożenił się z siostrą Bonapartego Pauliną, która później była księżną Borgheze. Powróciwszy z Egiptu, przyczynił się czynnie do wielkiego wypadku 18 brumaire; onto przeciw reprezentantom narodu wprowadził pluton granadyerów, który ich z miejsca ich posiedzeń bagnetem rozpedził. Wynagradzając go za to pierwszy konsul, mianował go generałem dywizyi z przeznaczeniem do armii nadreńskiej pod rozkazem generała Moreau. W roku 1801 wystany został na uspokojenie zbuntowanej Portugalii i w tymże samym roku mianowany kapitanem generalnym wyprawy do wyspy San-Domingo, z kąd po ciągłych niepowodzeniach przeniosł się na wyspę Tortue, w skutek cierpień moralnych i niezdrowego klimatu, umarł roku 1802, 1go listopada.

(f) Toussaint, był wnukiem Gaou-Guinou króla Arradów w Afryce. Ojciec jego w czasie wojny w niewolę wzięty i na

jego Placyda i Izaaka pasierba, wychowanych w kolegium Lamarche w Paryżu z panem Coanson ich nauczycielem, rozumiejąc, iż ten szlachetny postępek zniewoli naczelnika murzynów do złożenia w jego ręce najwyższej władzy. Powrót dzieci na łono rodzicielskie wzruszył do żywego i ojca i matkę; serca ich nie posiadały się z szczęścia, płynęły łzy radości. Korzystając z téj chwili pan Coanson zapytał naczelnika, czy jest przyjacielem

wyspę San-Domingo sprzedany, dostał się do osady Breda, należącej do hrabiego Noë. Tam przeszedłszy na katolicką wiarę, ożenił się z murzynką i z nią miał pięciu synów i trzy córki. Toussaint był najstarszym synem tego liczego rodzeństwa. Od dzieciństwa mając nieograniczoną chęć oświaty, ojciec jego chrzestny murzyn nazwiskiem Piotr Baliste nauczył go czytać i pisać, a pan Bayon Libertat z pastucha trzód i bydła zrobił go swoim stangretem. Z wysokości kozła na którym zasiadł, wyrzekł do siebie słowami Chrystusa Pana: „Z pasterza owiec, stanę się pasterzem ludzi!” Niezadługo potem czytając w dziełach Raynala: „Zjawi się murzyn, którego przeznaczeniem na téj ziemi będzie, pomsta za poniżenie własnego plemienia” zawołał z uniesieniem: „Raynal był moim prorokiem!” Zaprzyjaźniwszy się z murzynami Janem François i Biassou, znanymi z okrucieństw swoich, w powstaniu z roku 1791, wszedł do służby pod rozkazami pierwszego jako lekarz wojskowy. Przy końcu 1793 Toussaint wtrąconym został w więście Valiere do więzienia przez generała François, w którym zdolności jego największą wzbudzały zazdrość. Uwolniony z więzienia przez generała Biassou, zebrawszy 600 ludzi, przeszedł z nimi do służby króla hiszpańskiego pod dowództwo margrabiego d'Almonas gubernatora śgo Rafała. Gdy w roku 1794 rzeczpospolita francuzka ogłosiła wolność murzynów na wyspie San-Domingo, Toussaint wszedł w tajemne układy z generałem francuzkim Laveaux, który mu stopień generała brygady ofiarował. W skutek czego Toussaint na czele licznej bandy, opuścił Marmeladę, w pięć wyciął Hiszpanów, a przeszedłszy na stronę Francuzów, od pana Polverel kommissarza rzeczypospolitej, przydomek *Louverture* otrzymał. Skoro pokój między Francją a Hiszpanią zawartym został, a Jan François powołany do Madrytu opuścił wyspę, Toussaint-Louverture, sam jeden, bez zawodnika zostawszy, zaczął od uorganizowania armii murzynów, pogłębieniem wysłany przeciwko Anglikom, oswobodził północną i zach-

Francuzów? — Czyż o tém powątpiewać możesz? odrzekł Toussaint uściskawszy go z zapalem. Poczém młody Izaak opowiedział ojcu, co mu pierwszy konsul i kapitan generalny powierzył, i jakie mu do niego dali zlecenie. Pan Coasonon wystawił mu korzyści wyniknąć mogące z poddania się murzynów metropolii, starał się przekonać naczelnika o niemożności opierania się zwyciężkiem wojskom francuzkim, których sława po całym

dnią część wyspy. Gdy generał Laveaux powrócił do Francyi w miesiącu kwietniu 1796 roku, Toussaint mianowany został naczelnym dowódcą San-Domingo; a chcąc aby rząd rzeczypospolitej francuzkiej jeszcze większą miał w nim ufność, dwóch swoich synów odesłał przez szefa brygady Vincent do szkół paryzkich. Dyrektoryat widząc czyn godny dawnych Rzymian w tym ojcu oddającym w zakład własnych synów, nazwał go zbawcą wyspy San-Domingo, i udarował kosztowną bronią i bogatym mundurem, synowie zaś jego kosztem rządu wychowani zostali. Pomimo tego, ufność którą wzbudzał we Francyi Toussaint długo trwać nie mogła; wysłano zatém generała Hedouville jako reprezentanta rzeczypospolitej przy naczelnym dowódcy wyspy San-Domingo. W tymże samym czasie wybuchła krwawa wojna pomiędzy murzynami a mulatami, na czele których stanął Rigaud; tę wnet uspokoił Toussaint. Nastąpił rok 1799.—Napoleon Bonaparte zostawszy 1szym konsulem, w proklamacyi do wyspy San-Domingo potwierdził Toussaint-Louvertura w godności naczelnego dowództwa. Rozgniewany Toussaint że Bonaparte nie pisał do niego, wstrzymał proklamacyą, rozkazem tylko dziennym zawiadomił mieszkańców o zaszłych wypadkach we Francyi. Wyprawiwszy mulata Rigaud do Francyi, wtedy dopiero mógł się śmiało nazwać panem całej wyspy. Naśladując we wszystkiem 1go konsula, urządził swój dwór, ustanowił honorową gwardyą, miał zimowe i letnie pałace. Często o sobie mówiąc, mianował się Bonapartem wyspy San-Domingo, a do 1go konsula pisując, zaczynał listy swoje od tego: *Pierwszy czarny do pierwszego białego*. Traktat bazylejski ustąpiwszy Francyi tę część wyspy która do Hiszpanii należała, Toussaint udał się do miasta San-Domingo dla objęcia téj nowej posiadłości w imieniu rzeczypospolitej, otoczony licznym dworem, z największą okazałością i przepychem przebiegł kraj cały, podobniejszy do władcy onego, jak do namiestnika obcego rządu. Miał téż, nim zostać niedłu-

rozchodziła się świecie. Dodał iż rząd francuzki bynajmniej nie ma zamiaru narzucenia niewoli murzynom, nakoniec zaklinał Toussaint-Louverture ażeby się dobrze zastanowił nad tém, iż odrzucenie uporczywe podanych warunków, może największe nieszczęście sprowadzić na jego ojczyznę, i rozłączyć go na zawsze z własnymi dziećmi. Toussaint słuchał w milczeniu opowiadania syna swojego i uwag pana Coasnon. Wyraz jego twarzy oka-

go. Wiadomość o zawartym pokoju między Francją a Anglią, który dla świata całego zdawał się być zakładem przyszłego szczęścia, stała się hasłem rokoszu na wyspie San-Domingo. Toussaint wydawszy proklamacyą do wszystkich mieszkańców, już czynił przygotowania do podniesienia sztandaru huntu, gdy ujrzał flotę francuzką z 54 okrętów złożoną, zbliżającą się do przylądka Samara. „Francya, zawołał, przysłała nam wojnę, a śmierć lub niewola, to nam tylko pozostaje.” Po długiej i krwawej walce, której skutek trudnym jeszcze był do odgadnienia, gdy Toussaint-Louverture zarówno Francuzom jak własnym namiestnikom stał na przeszkodzie, pozbyć się go postanowiono. Po zawartym napozór pokoju, zaproszony do głównej kwatery generała Brunet na ucztę, aresztowany, na fregacie *La Créole* do Cap-Français dostawiony, zład z całą rodziną na okręcie Bohatér wysłany do Francji. Wylądowawszy w Brest, przeznaczono mu Bayonę za miejsce wygnania, wkrótce jednak zamknięty w zamku Joux, gdzie w kwietniu 1803 r., umarł w więzieniu nagłą śmiercią, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy zatruty. Tak skończył Toussaint-Louverture mając około 60 lat wieku. Wzniosłego charakteru i wielkimi zdolnościami obdarzony od natury, łączył w sobie szlachetny i nieugięty umysł. Budowy ciała miernej, niezbyt wysokiej, rysów twarzy pełnych wyrazu, wzroku bystrego i przenikliwego, wstrzemięźliwy w żądach, lubił okazałość i przepych, gdzie tego potrzeba wymagała. Podejrzliwy z położenia swojego i stosunków w jakich zostawał, bogobojny, mało używał spoczynku, i pracował z nadzwyczajną łatwością. Toussaint-Louverture należał do tej małej liczby wyższych ludzi, którzy wszystko czerpią sami z siebie, sobie sami wszystko winni, sami czyny własne potomności podają.

Patrz: *Histoire de l'Expedition des Français à Saint-Domingue. The history of Toussaint, London 1844. Dictionnaire de la conversation.* (Patrz Louverture.)

zywał głębokie zadumanie, poczem nauczyciel jego dzieci wręczył mu list 1go konsula zawarty w puszcze złotój. Odczytał go kilkakrotnie Toussaint, czoło się jego wypogodziło; a gdy pan Coasnon jeszcze nalegał aby się udał do Cap-Français na wezwanie kapitana generalnego, dodając, iż do jego powrotu zostanie jako zakładnik w obozie murzynów, „nie, to być nie może, zawołał Toussaint, wojna już jest rozpoczętą, wojsko chce się bić, namiestnicy moi chciwi pożarów i zniszczenia; ale jeżeli generał Leclerc życzy sobie zawieszenia broni, ja z mojej strony biore na siebie wstrzymać walkę na czas niejaki.”

Toussaint-Louverture zobowiązał pana Coasnon do zawiadomienia generała Leclerc o jego niezmiennem postanowieniu, dodając, iż sam także do kapitana generalnego napisze. Poczem udał się do obozu Krysztofa, rozłożonego w Gonaïves o dwie godziny drogi od plantacyi Ennery. Jeszcze tego samego dnia przybył do Ennery Francuz nazwiskiem Granville, nauczyciel trzeciego syna Toussaint-Louvertura z listem do generała Leclerc, w którym imieniem murzynów żądał zawieszenia broni. Panu Granville poleconém było, towarzyszyć panu Coasnon do Cap-Français i odprowadzić obydwóch synów naczelnika murzynów do francuzkiego obozu, z którymi ojciec wolał raczej raz na zawsze się rozłączyć, a niżeli zezwolić na wymagane od niego warunki. Od pana Granville dowiedział się pan Coasnon, że Toussaint oddalił się z Ennery dla zakopania skarbów swoich w górach Cahos, powyżej płaszczyzny Gonaïves, przestrzegł go zarazem o niebezpieczeństwie grożącym białym, że ich życie zawieszane na włosku mogącym być przy najpiérszjéj okoliczności przeciętym.

Toussaint-Louverture w liście swojemu do generała Leclerc nie tał mu bynajmniej złych swoich chęci, załił się na rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich, wyrzucił generałowi iż przybył z Europy aby mu wydrzczyć z bronią w rękę naczelné dowództwo wyspy, skarżył się że mu tak późno doręczono list pierwszego konsula, i oświadczył, że obowiązki względem murzynów wkładają na niego powinność wyższą nad wszelkie uczucia natury. Dodał, że jest przygotowanym rodzinnej ziemi uczynić ofiarę z własnych nawet dzieci, których napowrót generałowi odsyła, aby nie sądzono iż wdzięczność dla narodu wśród którego wychowani byli, paraliżuje jego postępowanie; nakoniec żądał kilkudniowego zawieszenia broni.

Generał Leclerc odebrawszy list powyżej wymieniony, powtórnie odesłał dzieci naczelnikowi Toussaint-Louverture, ponowił wezwanie przybycia do Cap-Français celem porozumienia się względem utrzymania na wyspie pokoju, i zezwolił na czterodniowe zawieszenie broni; po upływie którego oświadczył, iż Toussaint-Louverture jeżeli nie przystanie na warunki podane przez rząd francuzki, ogłoszonym zostanie nieprzyjacielem Francyi i wyłączonym zpod prawa. Toussaint zostawiwszy synom swoim zupełną wolność wyboru, między ojcem a narodem wśród którego wychowani byli, Izaak oświadczył iż się nigdy nie poważy podnieść oręża przeciwko Francyi, młodszy zaś Placyd rzuciwszy się w objęcia ojca, usługom jego życie swoje poświęcić zobowiązał się, dodając, iż nigdy innej woli prócz ojcowskiej mieć nie będzie. Poczém Toussaint-Louverture powierzył mu dowództwo szwadronu swojej gwardyi, na czele którego

w kilka dni później, przeciwko wojskom francuzkim stanął na linii bojowej.

Po skończoném zawieszeniu broni, rozpoczęły się na nowo nieprzyjacielskie kroki, na nowo krwawe bitwy toczyć się zaczęły. Gdy szczęście, pomimo niektórych klęsk odniesionych z początku, zaczęło sprzyjać Francuzom, generałowie murzynów, Krysztof, Clervaux, Maurepas, a za nimi obrotny Dessalines broń złożyli. Toussaint opuszczony od swoich, widząc zamysły i widoki swoje sparalizowane, ściśniony ze wszystkich stron, posłał list do generała Leclerc w którym wyraził, iż nie był dalekim do wejścia z nim w układy, zawsze jednak, w tém krytyczném nawet położeniu wyższy od innych, dał poznać francuzkiemu dowódcy, że jeżeli warunki które mu podadzą nie zgodzą się z jego przekonaniem, zerwie wszelkie układy nie lękając się bynajmniej skutków ztąd wyniknąć mogących. Kapitan generalny składając się chętnie do zgody, cofnął poprzednie postanowienie, mocą którego Toussaint-Louverture zpod prawa wyłączonym został.

Podówczas wojska francuzkie już były do 5000 ludzi utraciły w bitwach; szpitale zalegały choremi tak, że z 23,000 przybyłych z Europy, zaledwo 12,000 pod bronią liczyć można było. Wiedział o tém dostatecznie Toussaint-Louverture, ale czuł zarazem, że dalszy upór z jego strony, mógłby sprawę murzynów na zawsze o zgubę przypawić. Stanął nakoniec pokój dnia 1go maja 1802 roku. Na mocy nowo zawartego traktatu Toussaint-Louverture udał się do Cap-Français. Wjazd jego do miasta był prawdziwym tryumfem, ludność cała wyszła przeciwko niemu, matki padając na kolana

pokazywały go dzieciom, a błogosławieństwo ludu spływało na jego głowę. Poczém udawszy się do Marmelady rozpuścił swoją gwardyą, ze łzami w oczach pożegnał dawnych towarzyszków broni, i powrócił do Ennery chcąc używać spokoju w szczęśliwem domowem zaciszu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYWOTY MALARZY POLSKICH.

PRZEZ

Edwarda bar. Poastawieckiego.

(Ciąg dalszy).

Czechowicz Szymon.

Celujący malarz historyczny, przedmiotów prawie wyłącznie religijnych. Przyszedł na świat w Krakowie około roku 1695, i tu odbył zwykły bieg nauk. Wrodzona skłonność wiodła młodziana do poświęcenia się malarstwu; lecz pod tę porę nie było w Polsce łatwości sposobienia się w sztukach, a do wyjazdu za granicę, z ubogiej pochodzący rodziny, nie miał wcale zasobu. Przecie znalazł w tém pomoc u jednego z Ossolińskich, kosztem którego do Włoch wyprawiony został. Zawdzięczając tę doznaną opiekę, pisał się później na niektórych obrazach *Simon Czechowicz Pol. Dom. Ossol. Pictor Romae*. W Rzymie jako w siedlisku wzorów i mistrzów, oddał się Czechowicz z całym zapalem nauce zamifowanej sztuki. Dwaj sławni ówczesni malarze Karol Maratti i Rafael Mengs, przyjaźnią go swoją zaszczycali; pierwszy

z nich był początkowój jego nauki przewodnikiem, i wprowadził go na tę udoskonalenia drogę, po którój następnie do wysokiój chwały doszedł. Własném uczuciem kierowany, potrafił wpatrywaniem się w arcydzieła sztuki, zgłębić onój tajniki, nabyć czyste pojęcie pięknego, i wykształcić smak w sposób który się w dalszych jego tworach tak zaletnie odznacza. Wkrótce zdołał dać dowody niepospolitój zdatności i biegłości, a płody jego pędzla przez akademią ś. Łukasza kilkakrotnie nagrodami uwienieczone zostały. Lat 18 przemieszkał w Rzymie ciągle pracując, ciągle się doskonaląc. Natężona usilność w pracy, przy klimacie gorącym włoskim, tak nadwątlily zdrowie jego, iż mu lekarze powrót do ojczyzny doradzili. Rzym więc i Włochy nie bez żalu porzucić musiał.

W 33cim roku życia powrócił do Polski i osiadł w Warszawie. Odtąd w ustronném życiu sztuce swój wyłącznie oddany, nader liczne dzieła wykonywał, i do wieku nawet podeszłego w pracy nie ustawał. Malował prawie wyłącznie obrazy kościelne i przedmioty treści religijnój. Wybór onych odpowiadał wzniosłemu *Czechowicza* pojmowaniu sztuki, czystemu wyobrażeniu pięknego, dla których rodzaj ten stawał się najwłaściwszym; zgadzał się on i z uczuciami malarza i z pobożnością w którój był ciągle zatopiony, tak dalece, iż dla zupełniejszego jój oddania się bezżenne życie prowadzić postanowił, i w niém trwał aż do zgonu. Piękno obrazy tego znakomitego artysty ozdobiły bardzo wiele kościołów w Polsce, Litwie, Ukrainie, a nawet i w Szląsku; wiele ich było i jest w prywatnych domach po kraju. W Warszawie roku 1750 mieszkał wraz ze szwagrem swym Łukaszem Smuglewiczem w domu pod Nr. 59.

(Ł. Gołębiowski, Opis Warsz. 1827, str. 175). Zda-
je się iż musiał i w Wilnie przebywać, kiedy tam prac-
jego tyle się znajduje. Bawił jakiś czas w Podhoreckim
zamku u Rzewuskiego, i wiele tam obrazów pozostawił.
Około r. 1770 sprowadzony do Połocka przez rektora ks.
Czerniewicza do kollegium akademickiego jezuickiego,
dwa lata tamże blisko przemieszkał i mnogie dzieła zdo-
biące kościół i kollegium wykonał. Na starość został
tercyarzem zakonu kapucyńskiego w Warszawie. (M. Ba-
liński, Fundacya zakonu i kościoła ks. Kapucynów w War-
szawie, w Alleluja z r. 1840 str. 160, gdzie go zowie
Szymon z Lipnicy Czechowicz). R. 1778 umarł lat 83 ży-
cia licząc; ciało jego w grobach kościoła kapucyńskiego
spoczywa.

Szymon Czechowicz trzyma niezaprzeczenie pier-
wsze miejsce między malarzami polskimi przeszłych wie-
ków. Twory jego pędzla nacechowane są wielkiem
przejęciem się klassycznymi wzorami sztuki. Układ
w nich prosty, niewymuszony, lecz zawsze głęboko po-
myślany, zasada jedności ściśle zachowana, wszędzie
panuje naturalność i prawda. Rysunek jest poprawny,
koloryt niewrzaskliwy, rozważny, oku przyjemny. Ogól-
ne wrażenie zajmujące, miłe, słodczą, harmonią i wdzię-
kiem serce przenikające. Obok tylu przeważnych zalet,
nie jest wszakże *Czechowicz* bezbłędnym, i zarzucić mu
nieraz przychodzi zaniedbanie w draperyach, czasami
ciężkich i niezgrabnych. *Czechowicz* dożył czasów pa-
nowania Stanisława Augusta, pod jego niemal bokiem
pracował w Warszawie. Zadziwiającą jest rzeczą, iż
król, sztuk pięknych lubownik i znawca, nie zdawał się
oceniać wysoką zdolność malarza. Wpółśród tylu arty-
stów dla Stanisława Augusta pracujących, nie był uży-

wany *Czechowicz*, nie zaszczycił go ani jeden obstałunek królewski, i ani razu podobno dworskich nie przestąpił progów. Zaniedbanie to nieinaczej sobie tłumaczyć można, jak w ocenieniu rodzaju ówczesnego w malarstwie smaku, któremu przedmioty światowe i dziejowe miliej przypadały, kiedy *Czechowicz* same tylko kościelne i religijne odrabiał.

Wykaz obrazów *S. Czechowicza*.

1. *Nawiedzenie Pańskie*, w kościele panien Wizytek w w. ołtarzu w Warszawie. (Ł. Gołębiowski, *Opis Warsz.* 1827, str. 93, lubo A. Grabowski utrzymuje, że ten obraz T. Konicza).

2—5. *Ś. Wojciech Karmelita. Marya Magdalena. Ś. Józef. Ś. Eliaz.* W ołtarzach kościoła Karmelitów na Lesznie w Warszawie; lecz obrazy te były odnawiane. (Ł. Gołębiowski, str. 84).

6—7. *P. Jezus na krzyżu*, u spodu N. Panna i ś. Jan. *Narodzenie Zbawiciela*. W sali posiedzeń Tow. Dobroczynności w Warszawie. (Ł. Gołębiowski, str. 91).

8—11. *P. Jezus ukrzyżowany. Ś. Jan Nepomucen. Ś. Jan Kanty. Ś. Józef*. Były w ołtarzach kościoła ks. Pijarów w Warszawie. Powiada Ł. Gołębiowski st. 86, iż niektórzy te obrazy przypisywali malarzowi Mańkowskiemu; może one odnawiał.

12—13. *Przemienienie Pańskie. Ś. Wojciech*. W w. ołtarzu kościoła ks. Kapucynów w Warszawie. Ostatni mniejszy nad tamtym. (M. Baliński, *Alleluja* z r. 1840 str. 149).

14—18. *Opieka Matki Bożkiej. Zdjęcie z krzyża. Ś. Antoni. Ś. Anna. Ś. Jan Nepomucen*. W ołtarzach

bocznych kościoła Przemienienia Pańskiego ks. Pijarów w Krakowie. Te obrazy miały być w Rzymie jeszcze malowane. (J. Mączyński, Pamiątka z Krakowa 1845, II, 347).

19. W stallach kościoła ś. Anny w Krakowie mają być *Czechowicza* obrazy. (J. Mączyński. II, 202).

20—21. Klasztory Kapucynów w Zakroczymiu i Lubartowie posiadać mają obrazy *Czechowicza*. (M. Baliński, Alleluja z r. 1840, str. 160).

22. *Wniebowzięcie N. Maryi Panny*. W w. ołtarzu kościoła kollegiackiego P. Maryi w Kielcach. W Rzymie malowany i tamże kosztem biskupa krak. Felicyana Konstantego Szaniawskiego za 100 cz. zł. zakupiony i sprowadzony. (Opis hist. stat. m. Kielc, w Pam. Sandomierskim 1829. I, 73).

23. W kościele ks. Paulinów we wsi Leśna, w dawnym woje. Brzesko-Litewskim, mają być jego obrazy. (T. Święcki, Opis staro. Polski 1828. II, 225, tudzież K. W. Wójcicki Opis cudow. obrazu w Leśny, Alleluja 1843 str. 248).

24. *Ś. Ignacy Lojola spotykający się przed Rzymem z Chrystusem P. krzyż niosącym*. W jednej z kaplic kościoła katedr. wileńskiego, przeniesiony tu r. 1798 z kościoła jezuickiego ś. Ignacego; miary łokci 7½—3. (M. Baliński, Wilno.....1835, str. 175).

25. *Ś. Katarzyna*. W kościele tego imienia Benedyktynek w Wilnie.

26. *Wzniesienie do nieba archaniota Rafała, w przytomności starego Tobiasza i jego rodziny*. Przedtém w kolegium jezuickim ś. Rafała, przeniesiony do kościoła ś. Jakóba na Łukiszki. Jest tam podobno więcej robót *Czechowicza*. (J. I. Kraszewski, Wilno.... II, 354).

27. U pp. Wizytek w Wilnie są obrazy *Czechowicza*. (J. Saunders, str. 640. J. I. Kraszewski, Wilno. II, 491).

28. W kościele ś. Kazimiérza przedtém należącym do Jezuitów miały być jego dzieła. (J. Saunders, str. 640).

29—30. W Wilnie takó¿ posiadali jego obrazy prałat Dłuski i prof. Golański (J. Saunders, str. 640).

31. *Ś. Magdalena*. Posiadał w Wilnie prof. J. Saunders.

32. W kościele ks. Missyonarzów w Smitowicach, dobrach pp. Moniuszków. (J. Saunders, str. 640).

33. W Szczorsach u hr. Adama Chreptowicza. (Alex. Przędziecki w Athenaeum r. 1842, II, 187).

34—36. *Trzy głowy starców*. W Dobrowlanach u hr. Adama Günthera. (Alexander Przędziecki, w Athenaeum 1842, II, 192).

37. Portret *S. Czechowicza* przez niego samego robiony. W Postawach u hr. Tyzenhauza. (Alex. Przędziecki w Athenaeum 1842, II, 198).

38. W kościele katedralnym mińskim. (J. Saunders, str. 640).

39—40. Bawiąc w Rzymie wykonać miał obrazy dla kościołów śś. Jana i Pawła, tudzież polskiego ś. Stanisława. (Seb. Ciampi, Viaggio in Polonia. Firenze, 1831, str. 152).

41. *Czechowicz* przebywał jakiś czas w Podhorcach na Rusi Czerwonej niedaleko Brodów u Rzewuskiego. Tam kilkanaście dzieł wykonał i pozostawił. Na jednym z nich wystawiającém ś. *Franciszka*, głowa sama, znajduje się podpis malarza. (Wykaz innych jest nam przyobiecany).

42. Portret *Jana Fryderyka Sapięhy* sztychowany przez J. F. Mylius'a 1741.

43. Portret *Sebastjana Dębowskiego* biskupa, sztychowany przez *J. F. Mylius* r. 1743.

44. *Cud ś. Jana Kantego*. Obraz przytoczony przez *J. Saunders*, str. 635.

45. *Ś. Paweł po nawróceniu uleczony przez Ananiasza*. Figury wielkości prawie naturalnej. Przytoczony przez *J. I. Kraszewskiego* w *Athenaeum* 1846, III, 81.

46. *Ś. Tadeusz*, wielkości naturalnej. U *p. T. Zielińskiego* w Warszawie.

47. *Męczeństwo ś. Floryana*. U tegoż.

48. *Męczeństwo ś. Jana Nepomucena*. U tegoż.

49. *Ś. Stanisław Kostka*. U tegoż.

50. *N. Panna z synem*. U tegoż.

51. *Ś. Józef z Chrystusem P.* U tegoż.

Obrazy *S. Czechowicza* w kollegiacie akademickiej ks. Jezuitów w Połocku, około r. 1770 w ciągu lat dwóch malowane, z opisu *J. E. Lachnickiego*.

52. *Stefan Batory*, fundator kollegium połockiego r. 1579. Wielkości naturalnej, miara łokci 3½—2. W re-fektarzu.

53. *Gody w Kanie Galilejskiej*.

54. *Chrystus P. uczący w kościele doktorów*; dwaj z nich mają okulary na nosie.

55. *Chrystus P. na puszczy usługiwany przez aniołów*.

56. *Nakarmienie zgłodniałych na puszczy*.

57. *Ostatnia wieczerza Chrystusa Pana z uczniami*.

58. *Wniebowzięcie Bogarodzicy*.

59. *Ukazanie się Chrystusa P. dźwigającego krzyż ś. Ignacemu pod Rzymem*. Powtórzenie obrazu będącego w katedrze wileńskiej.

60. *Ś. Stanisław Kostka piastujący na ręku dzieciątko Jezus.* Nra 53—60 miary łokci 2—2, wszystkie w refektarzu.

61. *Chrystus Pan z sercem promienistém.*

62. *Paweł III, papież.*

63. *Grzegorz XIII, papież.*

64. *Kardynał Bellarmin.*

65. *Mikołaj Łęczycki* prowincyał lit. jezuicki.

66. *Piotr Skarga.*

67. *Wawrzyniec Ricci* ostatni generał jezuicki.

68. *Błogosławiony Franciszek de Hieronymo.*

69. *Wielebny Ludwik de Ponte.*

70. *Wielebny brat Berchmans.*

71. *Wielebny Alfons Rodriques.*

72. *Wollowicz* podkanclerzy.

73. *Żuk* dobroczyńca zakonu. Nra 61—73 owalne po 1½ łokcia wysokie, w refektarzu nad poprzedniemi.

74. *Ś. Alojzy Gonzaga* z krzyżem i lilią w ręku, gło-
wa w promieniach. Wielkości naturalnej. Owal, około 4
łokci wysoki.

75. *Ś. Stanisław Kostka, któremu ukazuje się dzie-
ciątko Jezus.* Głowa w promieniach. Owal, około 4 łokci
wysoki.

76. *N. Matka piastująca śpiące dziecię Jezus.* Kwa-
dratowy po 2½ łokcia.

77. *Ś. Stanisław Kostka w zachwyceniu, utrzymywany
przez aniołów.* Kwadratowy po 2½ łokcia. Nra 74—77
na korytarzach.

78. *Chrystus Pan na krzyżu.* Miary łokci 1 ½.

79. *N. Matka z dzieciątkiem Jezus na ręku.* Miary
łok. 1—1. Nra 78—79 w mieszkaniu księdza ministra.

80. *N. Matka z dzieciątkiem spiącém na ręku.* Około $1\frac{1}{2}$ łok. w kwadrat. W oratoryum duchowném.

81. *Błogosławiony Jędrzej Boboli.* Owal $1\frac{1}{2}$ łok. wysoki.

82. *Ś. Borgiasz otoczony aniołami w zachwyceniu przed N. Sakramentem.* Miary łokci $3\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$; uszkodzony. Nra 81—82 w zakrystyach.

83. *N. Matka ze ś. Kazimierzem, ś. Janem Nepomucenem i błogosławionym męczennikiem Jozafatem Kuncewiczem arcyb. połockim.* Osoby wielkości naturalnej. Miary łokci $8\frac{1}{2}$ —4.

84. *N. Matka oddaje dziecko Jezus w ręce ś. Stanisława Kostki; poniżej ś. Alojzy Gonzaga i ś. Franciszek Borgiasz.* Osoby wielkości naturalnej. Miary łok. $8\frac{1}{2}$ —4.

85. *Ś. Michał archanioł pokonywający szatana.* Miary łok. $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

86. *Anioł Stróż prowadzący duszę do nieba.* Łokci $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

87. *Ś. Barbara wstępująca do nieba.* Łok. $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

88. *Ś. Katarzyna męczenniczka.* Łok. $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

89. *Spotkanie ś. Elżbiety z N. Panną.* Owal 4 łok. wysoki. Nra 83—89 w kościele ś. Szczepana.

90. *Chrystus Pan krzyż dźwigający zachodzi droge ś. Ignacemu przed Rzymem.* Miary łok. $7\frac{1}{2}$ —około 3. Powtórzenie obrazów w katedrze wileńskiej i w refektarzu.

91. *Ś. Borgiasz w zachwyceniu przed N. Sakramentem.* Miary ł. $3\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$, odmienny od wyżej pod nr. 82 przytoczonego. Nra 90 i 91 w kościele ś. Krzyża.

92. *Śmierć ś. Xawerego apostoła Indyj wschodnich.* Łokci $7\frac{1}{2}$ —około 3.

93. *Ś. Szczepan wstępujący do nieba*. Ł. 8¹/₂—4. W wojnie 1812 roku mocno uszkodzony. Nra 92 i 93 w kościele ś. Xawerego na Mogile, 2 wersty od Połocka.

94. *Stefan Batory*, wielkości naturalnej. Był w domu wiejskim Spas pod Połockiem, spalony podczas wojny 1812 r.

95. *Piotr Skarga*, wielkości naturalnej. Tamże podobnemu uległ losowi, wraz z kilku innymi pomniejszemi obrazami *Czechowicza*.

Wiele szkiców *S. Czechowicza* należące spadkiem do Smuglewiczów, przeszły do zbiorów hr. Adama Günthera w Dobrowlanach i hr. Tyzenhauza w Postawach. Opisał je starannie Alex. hr. Przeddziecki w *Athenaeum* z r. 1842, II, 186—194. Szkice te całą genialnością artysty nacechowane, wielkiej są wartości dla krajowej sztuki. Zebranie onych, jak niemniej upowszechnienie sztychem obrazów samych *Czechowicza*, byłoby wielce korzystnym nabytkiem dla sztuki, a pięknym pomnikiem dla sławy samego malarza.

Przypisują mu, jako téż i Dolabelli, odznaczający się obraz *Zdjęcia z krzyża* u P. Maryi w Krakowie pod małym chórem na ścianie zawieszony; lecz to jest błędne, a obraz ten pewnie z Włoch dawniej sprowadzony został.

(O *S. Czechowiczu* pisali: Józef Saunders, *Wiadomość o życiu i dziełach Szymona Czechowicza* w *Dzienniku wileńskim* z r. 1815. II, 625—640. J. E. Lachnicki, *Wiadomość o obrazach Czechowicza...* w Połocku. *Dziennik. wil.* z r. 1817. VI, 144—152. Ossoliński, *Wiadomość.....* w *Czasop. lwowskim* z r. 1828. I, 120—125. Alex. hr. Przeddziecki, *Wiadomość o szkicach S. C.*, w *Athenaeum* J. I. Kraszewskiego z r. 1842. II, 186—194).

Smuglewicz Franciszek.

Syn malarza Łukasza, a siostrzeniec Szymona Czechowicza, przyszedł na świat w Warszawie r. 1745. Troskliwością ojca otrzymał staranne wychowanie; w szkołach publicznych, w klasie poetyką zwaną, liczył między nauczycielami Adama Naruszewicza. Z rodu artystów pochodzący, uczuł w sobie wcześniej do malarstwa powołanie, a 17letni młodzieniec dał już zdatności dowody. R. 1763 wysłał go ojciec własnym kosztem na naukę do Rzymu, gdzie wkrótce przeszedł rodzicielskie nadzieje. W drugim zaraz roku pobytu uzyskał akademicką pierwszą nagrodę, kiedy między konkursującymi współzawodnikami, znajdował się tyle słynny później francuzki malarz Dawid; odgłos takowych postępów doszedłszy do Stanisława Augusta, zjednał malarzowi królewskie zachęcenie i dary. Znaczny przeciąg czasu przepędził w Rzymie i innych miastach włoskich, doskonaląc się wposród sztuki wielkich wzorów i napływu cełujących artystów. Uczniem zaś był Rafała Mengsa, którego stał się przyjacielem i pomocnikiem. Wykonywane we Włoszech prace, zyskiwały mu poklask publiczny, a rodacy i cudzoziemcy ubiegali się o jego dzieła. Około r. 1783 powrócił do ojczyzny wzywany przez króla sztuk opiekuna. Odtąd pozostał w Warszawie, i wykonywał liczne w wyższym rodzaju dzieła. (Do téj epoki należy zamiar wydania obrazów dziejów Polski w stu rycinach).

R. 1797 wezwany został do akademii wileńskiej na profesora malarstwa, i na téj posadzie do końca życia pozostał. R. 1800 otrzymał nagły rozkaz jechania do Petersburga, gdzie mu cesarz Paweł poruczył malowa-

nia w zamku ś. Michała. Atoli podjęte tamże prace, pomimo łożoną usilność, na niekorzyść obróciły się *Smuglewiczowi*; albowiem wilgoć murów w których wykonał roboty, zaledwie wykończone wprędce poniweczyła; spęzły kolory, niknął stopniami wyraz i cała dzieł sztuka, tak, jak i wszystkie inne kosztownego gmachu ozdoby, który wkrótce jako do zamieszkania ludzkiego niezdolny, zupełnie opuszczony został. Powrócił do Wilna, gdzie w czasie całego swego zamieszkania liczne wykonywał dzieła, a roku 1807 zszedł z tego świata, w 62 roku życia.

F. Smuglewicz lubo zaiste do rzędu najpiérwszych mistrzów sztuki podwyższonym być nie może, zajmuje w niej przecie znamienity stopień. Dzieła jego znamienuje przejęcie się włoskiej szkoły wzorami, wielka siła twórcza, bogata kompozycya, zręczność w grupowaniu, szczęśliwie pomyslane postawy i wyrazy twarzy, ogólny ton oko łudzający, znajomość dziejów powszechnych i kraju własnego. Twory jego lat młodszych wyższe okazują zalety, pod koniec życia talent jego coraz się pochylał i upadać zaczął. Zarzucają mu znawcy zaniedbanie rysunku w częściach nagich, ciężkość draperyi, zwykle nieradzenie się natury, wady w późniejszych pracach silniej się okazujące. W pełnieniu obowiązków profesora nie-małe położył zasługi, poświęcał się cały usposobieniu w szkole jego będącej młodzieży, dopomagał jój szczerze, a przymiotem wyższym zdolnościom właściwym, rad udzielał wiadomości wszystkim co się po nie do niego udawali. W życiu prywatném człowiek światły, obczytany i charakteru prawego, przywiązany do kraju i rodziny. Mało o zyski dbający, odmówił kilkakrotnie korzystne wezwania panów angielskich, którzy go do swe-

go kraju zamawiali. Nie dorobił się też bogactw, pracując w zaciszu; w tych nawet miastach w których przebywał, więcej, jak to mówi jego biograf, z zdolności szacowany, aniżeli znany z twarzy.

Dzieła wykonane przez *F. Smuglewicza*:

W Rzymie:

1. *Ś. Fulgenty*.

2. *Czas odkrywający prawdę*.

3. *Zgon Annibala*.

4. *Święci Augustyn i Hieronim w postaciach naturalnych*. Obraz ten wystawiony był na loteryę w Krakowie r. 1822, i ceniony przeszło 100 cz. zł. (Krakus z roku 1822, n. 99).

W Warszawie:

5—7. *Uspienie N. Panny otoczonej 12 apostołami. Cudowne przerażenie cesarza Walensa na widok ś. Bazylego arcybiskupa cezarejskiego. Ś. Onufry znaleziony na puszczy przez ś. Pafnucego. Wszystkie trzy w kościele ks. Bazyljanów. (Ł. Gołębiowski, Opisanie Warsz. 1827, str. 88—89).*

8—10. *Ś. Wawrzyniec. Ś. Jan od krzyża. Ś. Eliasz*. W kościele Karmelitów bosych na Krak. Przedm. (Ł. Gołębiowski, str. 92).

11. *Ś. Agata*, w kościele Augustyanów. (Tenże, str. 77).

W kościele ś. Krzyża na Łysiej Górze:

12—18. *Ś. Trójca w w. oltarzu*. W sześciu innych ołtarzach takż jego obrazy. Z nich jeden *Emeryk syn Stefana króla węgierskiego*, któremu anioł z obłoków wskazuje miejsce gdzie ma wystawić klasztor. Inny, *Helena matka Konstantyna czyniąca próbę cudowności krzyża ś. na schorzałej osobie*. (K. W. Wójcicki, opis tego

kościola w Starych Gawędach. 1840. III, 315). Obrazy te na Łyséj Górze przez wilgoć zniszczone zostały, a ich odnowieniem miał zajmować się A. Blank, lecz mu śmierć tego nie dopuściła.

19. *Ś. Augustyn*, w kościele w Trzemesznie, do lepszych dzieł jego należy. (E. Raczyński, Wspom. W. Polski, II, 378).

W Wilnie:

20—39. W katedrze: *Dwanaście apostołów* każdy na jednym z 12 filarów środkowych po łokci 6—2³/₄. *Melchizedech ofiarujący Abrahamowi chleb i wino*; z prawej strony w. ołtarza. *Rozmnożenie pięciu chlebów i nakarmienie ludu na puszczy*; z lewej strony w. ołtarza. Oba te obrazy kompozycyi bogatéj. *Zabójstwo ś. Stanisława biskupa*; w ołtarzu wikaryuszowskim, łokci 7¹/₂—4³/₄. *Walka z namiętnościami i zwycięstwo nad nimi*; w kaplicy ś. Kazimierza w rogach nad chórem. *Chrystus ukrzyżowany, u stóp krzyża N. Panna, ś. Marta, ś. Jan Ewangelista i ś. Marya Magdalena*; w kaplicy ś. Maryi Magdaleny. Obraz wzniesłego pomysłu, owalny, przeniesiony tu r. 1805 z kościoła zniszonego ś. Maryi Magdaleny przy Mokrój Bramie. *Ś. Jan Nepomucen przed królem czeskim Wacławem*; w kaplicy tego świętego. Łokci 6¹/₂—4¹/₂. *Ś. Piotr w okowach*; w kaplicy tego świętego. (M. Baliński, Opis Wilna. 1835, str. 164—179).

40—44. W bibliotece publicznej akademickiej, na suficie: *Świątynia sławy do której zmiierzają lub już weszli sławni kraju polskiego mężowie, a tych Minerva wienicza. Gieniusz sławy głoszący dobra zasłużonych naukom. Praca gotuje uczonym wieńce. Tarcza mądrości zastłania poświęcających się naukom. Nad wchodem:*

obraz mały allegoryczny. (Ks. Golański w Pam. Warsz. z r. 1809. II, 201). Kompozycje znamienite.

45. *Zasłużenie N. Panny.* (Tamże, str. 200). Obraz odznaczający się.

46. *Zgon Chodkiewicza na obozie pod Chocimem.* (Tamże, str. 200). Dzieło odznaczające się.

47. W Petersburgu z rozkazu cesarza Pawła robił malowania w zamku ś. Michała, które wilgoć ścian popsuła. W kaplicy zamkowej wystawił w wielkim obrazie ś. Michała archanioła, przed którym spadają w piekło szatani. (Tamże, str. 202).

48—50. *Akt rozgraniczenia Litwy od księstwa mazowieckiego r. 1358. Sessya trybunału lubelskiego pod laską Kajetana Olizara stolnika kor. w przytomności króla Stanisława Augusta.* Łokci 7—6. Osoby historyczne są tu nadzwyczaj podobne. *P. Jezus na krzyżu,* wielkości naturalnej. Dwa pierwsze obrazy w pałacu korosteszowskim hr. Olizara, ostatni najlepszy w kościele tamecznym. (Alex. Przedziecki, Podole, Wołyń.... 1841. II, 122).

51—55. *Szymon Troczanin, pielgrzym, popiersie. Głowa starca, włoska.* Oba obrazy malowane w Rzymie. *Portret kasztelanowej z Ogińskich Ogińskiej. Ś. Stanisław napominający Bolesława Śmiatego. Ś. Jan Jałmużnik.* Wszystkie w Dobrowlanach u hr. Adama Günthera. (Alex. Przedziecki w Athenaeum z r. 1842. II, 192).

56. *Malarstwo, rzeźbiarstwo i budownictwo, podają sobie ręce,* w postaci trzech niewiast. U p. Tom. Zielińskiego w Warszawie.

57. *Cesarz Tytus daje prawa Rzymowi.* Tamże.

58. *Estera i Assuerus.* Tamże.

59. *Kupido grożący. Tamże.*

60. *Portret własny malarza, okrągły. U piszącego.*

Nadto zdejmował *Smuglewicz* różne *widoki krajowe*, których wiele posiadał kanclerz Joachim Chreptowicz, a jeden z nich *kościół ś. Anny w Wilnie*, szytchował Z. Vogel r. 1807 i zamieścił w swojej *Podróży malarskiej*. Do przedsięwziętego dzieła *Obrazów historii polskiej w stu sztukach*, przygotował wiele rysunków; dziesięć z nich w szytchu wydane zostały. Wiele jego rysunków znajdowało się w zbiorze króla Stan. Augusta, który następnie dla uniwersytetu warszawskiego nabyty został. (Ł. Gołębiowski, *Opis Warsz.* 1827, str. 89). Szkiców pozostało po nim także bardzo wiele, po różnych zbiorach przechowywane. J. I. Kraszewski, objęte jedną księgą opisał. (Athenacum z r. 1841. IV, 168 — 176). Dla artysty polskiego wszystkie te *F. Smuglewicza* rysunki i szkice wielkiej są wartości, i bliższego onych poznania godne.

Nie wiadomo dlaczego Ł. Gołębiowski i E. Raczyński przeinaczają nazwisko tego malarza, pisząc go *Szumglewiczem*, gdy się rzeczywiście *Smuglewiczem* nazywał.

(Pisma o *F. Smuglewiczu*: Wiadomość o życiu i dziełach Fran. Smuglewicza z mowy pochwalnej ks. Filipa Neryusza Golańskiego, w *Pamiętniku Warszawskim* L. Osińskiego z r. 1809, II, 194—204. Adam Szemesz w *Athenacum* z r. 1842, II, 171).

Podając do Biblioteki Warszawskiej w drugim wyciągu z wkrótce mającego wyjść ogólnego *Słownika Malarzów Polskich*, żywot S. Czechowicza i F. Smuglewicza, czynię to szczególnie powodowany nadzieją, iż posiadacze obrazów tych dwóch znakomitych naszych artystów, lub mający wiadomość o jakich nieprzytoczonych przeze mnie pracach, raczą łaskawie uzupełnić w tym względzie poszukiwania moje, o co najuprzejmiej upraszam. (*Adres*: w Warszawie, ulica Senatorska nr. 468).

KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź na recenzję dziełka „O dziesięcinach kościelnych na Rusi”, przez p. F. Z. uczynioną, a w Bibliotece Warszawskiej, na miesiąc maj, 1846 r. str. 375—384, zamieszczoną.

Z zajęciem i przyjemnością czytałem uwagi p. F. Z. nad dziełkiem mojem: „*Zbiór wiadomości historycznych i aktów dotyczących dziesięcin kościelnych na Rusi.*”

Pierwszy ten plód nieudolnego pióra mojego, bardziej z potrzeby urzędowej, niż z chęci szukania sławy na trudnym do uprawy polu literackim, publiczności okazany, niewiele spodziewać mi się dozwalał pociechy, odpowiedniej trudom i móżołom, jakie tylko prawdziwi i obeznani należycie z podobnym przedmiotem znawcy, ocenić są zdolni, zwłaszcza, gdy treść jego już sama z siebie dość drażliwa, czytelników albo za zbyt gorąco rzeczy biorących, albo przelotnie tylko dotyczących, za ledwie do właściwego stanowiska zbliżyć i do bezstronnego sądu skierować mogła.

Dzięki więc Opatrzności! która mi wzbudziła światłego i nieuprzedzonego recenzenta.

P. F. Z. po odczytaniu dziełka mego, z cierpliwością wytrawionego literata, równie bez złości, jak i bez pobłażania, głębokie myśli i rozległe wiadomości swoje, porządnie

i uczenie rozwinął; a tém samém dał mi dość jasno do zrozumienia, że młodocianej płoncy mojej, nie wzrost tamować, ale owszem, przez uprzątnienie przyległych jej a niewłaściwych przyrostów, takowy ułatwić i utrwalić zamierzył.

To téż właśnie stanowisko, jakie trafnie p. F. Z. zajął, spowodowało mię do skręślenia tych kilku jeszcze liter, iżby przedmiot, może więcéj ważny, niżby się komuś z pozoru zdawało, przez szczegółowe z dwu stron oględy, pozyskał ile być może, dokładne i dostateczne wyjaśnienie. Łatwoto bowiem wyrzec: „*lat czterysta*”, ale nie tak łatwo, pojednoczyć wypadki w toku onych zasłé, wysłedzić ich powody, poznać wzrost, odgadnąć dążność, ocenić skutki i z rozproszonych w odmęcie kilku wieków cząstek, złożyć właściwą całość. Jakkolwiek trudném jest to zadanie, jakkolwiek wiele wymaga cierpliwości, poświęcenia się, wyrzeczenia się korzyści materialnych i że po ewangelicznemu powiem, jakoby zaprzecenia się samego siebie, czyli najściślej bezstronności i mienia na oku nie siebie, tylko prawdę; przecież, kto zamilował tę drogę obsypaną eterycznym starożytności pyłem i pomknął się daleko na przód, winszuję mu tego niepospolitego szczęścia, jakim się nieochybnie napawa jego czynna dusza, w wielu wiekach niejako jednocześnie żyjąca, i radbym z serca, w pogoni spółzawodniczej, jeśli się z nim nie zrównać, to choć brzegu szaty jego, wszak bez żadnego dlań szwanku, dosięgnąć, i z samego dotknięcia, w mocnej wierze, na wzór onéj niewiasty, która z dotknięcia kraju szaty Jezusowéj uzdrowienie pozyskała, pozyskać także praktyczne pożytki nauki zdrowej, bo na prawdzie, i nauki pewnej, bo na świadectwie wieków niewzruszenie opartéj.

Wszelkie utwory saméj wyobraźni, chociażby najszyko-
wniejsze, pełne nowych i uderzających pomysłów, a nawet dążności moralnej, nigdy podobno nie wyrażą na duszy naszej tyle korzystnego piętna, ile istotne wypadki spełnionych czynów ludzkich, jakie ubiegła przeszłość w najwierniejszym obrazie, oczom potomnych przedstawia. I słowa Cycerona:

„*historja jest świadkiem czasu, posłem starożytności, życiem pamięci, światłem prawdy i mistrzynią życia*”, nigdy wartości swęj nie utracą.

Aby się więc i w przedmiocie dotkniętych w dziełku mojem kilkowiekowych wspomnień, prawda coraz i coraz rozjaśniała; zachęcony jak rzekłem, recenzją nie Zoila, lecz wyrozumiałego miłośnika starożytności i prawdy, postanowiłem z okoliczności uwag p. F. Z. domieścić i moje niektóre spostrzeżenia i usprawiedliwienia.

P. F. Z. na str. 376 mówi:

„*W takiej mnogości przywiedzionych różnorodnych świadectw, niepodobna aby każda materyja w należytym świetle wystawioną została, np. co do arcybiskupstwa lwowskiego*”
i t. d.

Nie obwinia mnie tutaj p. F. Z., usprawiedliwiać się tedy nie mam potrzeby. Nadmienię tylko, iż mając głównie na celu interes dziesięcin, a szczególnie w dyecezyi obecnie chełmskiej, powinienem też być głównie założenia swego pilnować. Wszakże jeślibym zamierzał przedmioty innéj treści zaledwie tam dotknięte, wyjaśniać obszerniej, nie brakłoby mi materyałów i do tego przedsięwzięcia. Dwukrotny albo-wiem przegląd takiego nawału ksiąg metryk królewskich, koronnych i litewskich, naprowadził mię od razu na tę myśl: *chwycić na onéj rozległej toni wszelką rybkę, iżby wielkiego nakładu usiłowań i czasu nie udaremnić*. Tym sposobem, zebrałem znaczny zapas wiadomości lub w wypisach dosłownych, lub w treści z oznaczeniem księgi i stronicy. I dosyć jest podobném, że to, co w notce (na tejsze 376 str.) p. F. Z. wyraża, o wspomnionym przeze mnie przywileju z r. 1423 p. Zubrzyckiemu nieznanym, dałoby się powiedzieć jeszcze i o innych niektórych, jakiebys może mój zbiorek wykrył i dozupełnił.

P. F. Z. na tejsze str. 376 i 377 powiada:

„*Dwa tylko nadania wyraźnie odnoszą się do dziesięciny wytycznej..... księżny Semenowiczowéj kobryńskiej i pisarza króla Alexandra Petraszki Chomicza Lubicza*”.

„Przywilej Świdrygajły, ogólnie tylko wymienia danie i dziesięciny i też sady i winy i rozpusty i poiemszczyzny i smirszczyzny.”

„Dokument pochodzący od księcia halickiego Lwa roku 1291, wspomina danie i dziesięciny miodowe i z winogradów *ij smithii* (z myta).”

„Biskup przemyski Maciej r. 1406 przyznaje, że w diecezji przemyskiej i halickiej, dziesięcina snopowa nie ma miejsca: zamiast niej pobierają biskupi pewne kwoty pieniężne, proboszczowie zaś meszne, albo w zbożu, albo stosownie do układu w pieniądzech.”

Co do powyższych przytoczeń, za potrzebne uznaję, domieścić niektóre szczegółowe objaśnienia, nie dla p. F. Z. który takowych bez wątpienia nie potrzebuje, ale dla samego przedmiotu, który winien być ile można w należytem przedstawiony światle.

Ścisłe rzeczy biorąc, jedno tylko nadanie księżny Semonowiczowej kobryńskiej (O dzieś. str. 22, n. 26) do dziesięciny wytycznej z powodu wyrażenia: „z żyta i so wsich iaryn desiatuju kopu,” ma podobieństwo. Mówię, podobieństwo, bo czyli i na tój zasadzie, wyraźnie wytykano na polu dziesiątą kopę, bez dowodów osiągniętych w tój mierze z doświadczanego poboru, nie śmiałybym twierdzić na pewno. Już zaś nadanie Petraszki Chomicza Lubicza (str. 23 n. 28), wyraźnie o dziesiątój kopie nie nadmienia.

W przywileju Świdrygajły, nie wiem dlaczego stoi u p. F. Z. wyraz „sady” nie zaś „sudy”; może być myłka druku.

Nieodrzczy byłoby zamieścić objaśnienie wspomnianych tam kilku wyrażen. Sprobuję ile zdołam; zostawiając i to, i resztę, uznaniu biegleszych w tym względzie.

Sudy i winy rozumiem sądy i kary. Już w *Prawdzie Ruskiej*, czyli w prawach z wieku XI Jarosława książęcia Rusi, syna Włodzimierza Wgo jest postanowienie o sądach duchownych, zamieszczonych i w Skorowidzu praw rossyjskich. I jakkolwiek Karamzin (Hist. państ. Ros. t. II, przekładu Buczyńskiego), uważa toż postanowienie za podrzucone około XIV wieku, było jednak niewątpliwie przynaj-

mniej od XIV wieku wykonywane przez duchownych. Po-
mienione prawa Jarosława, pozyskały i w Polsce potwier-
dzenie króla Alexandra w r. 1499, przywilejem metropoli-
cie kijowskiemu Józefowi udzielonym, względnie obrządku
greckiego. Oto są słowa przywileju:

„Sam Alexandr. Wo imia Bożoie amiń. Czynim znameni-
to sim naszym listom, chto na niego posmotryt, abo cztucz-
iego usłyszyt nyniesznym i potom buduczym, komu budet
potrzeba toho wiedati. Kłat pred Nami nareczennyi Mitropol-
it Kiiewskiy i wseia Rusi Episkop Smolenskiy Josyf, spisok
to iest switok praw welikoho Kniazia Jarosława Wołodi-
mirowicza: kotoryieź on prawa duchownyie wyłożył spraw
duchownych Hreckich, to iest z Nomokanonu wostocznoie
cerkwi, i tyi prawa w switku wypisał i zakazał aby tych dzieł
i dochodow cerkownych i sudow duchownych nichto od
swietskich ne smieł suditi i raditi, poletit wsi tyi dzieła du-
chowny w mocy Metropolita Kiiewskoho i wseia Rusi, chto
koli budet Mitropolitom, i też w moc Episkopow tych, koto-
ryi sut pod Mitropoliu wysze reczennoho Kiiewskoho; ino
dey nekotoryi Kniazia i Panowe Woiewody, Starosty, Namest-
nyki i Tywunowie naszymy, Derżawcy horodow, miest i woło-
stey naszymy, Cerkwi Bożoy i Mitropolitu i Episkopom kry-
wdu czyniwali, wchody ich cerkownyie i sudy duchownyie
wstupywali se, tyie sprawy ich Metropolii i Episkopskiie sa-
mi sprawiwali. I bił nam czołom Mitropolit Josyf, abychmo
tuiu ustawu Welikoho Kniazia Jarosława, to iest switok wy-
pis spraw duchownych Hreckich, uchwału Duchowienstwa
obyczaja wostocznoie Cerkwy, Naszym listom potverdili;
i My posmotrewszy u tot switok Jarosławli ubaczyli iesmo
iź on wsi sprawy duchownyie poletit w moc i sprawu Mi-
tropolitu i Episkopom *nad poddanyimi tyimi wsimi kotoryi
sut hreckoho zakonu*, na weczny czasy z łaski Naszoie toie
prawo, kotoreieź wypisano w switku Jarosławli, potwier-
żaiem sim Naszym listom nareczennomu Mitropolitu Epi-
skopu Smolenskomu Josyfu i wsim Episkopom w otczynie
naszoy Welikom Kniazstwie Litowskom i w Państwach na-
szych Ruskich. Maiet Mitropolit Josyf i po niem buduczy;

Metropolity i wsi Episkopy, kotoryiež pod Mitropoleiu Kiiewskoiu suditi i raditi i wsi dieła duchownyie sprawowati, chrestianstwo hreckoho zakonu, podle tych praw wypisu toho switka Jarostawła na wiecznyie czasy. I prikazuie, aby Kniazi i Panowe naszoho Rymaskoho zakonu, tak duchownyie kak i swietskiie i tež Woiewody i Starosty, Namestnyki tak Rymaskoho zakonu, kak Hreczeskoho, i Tiwuny i wsi Zakazniki, Derżawcy po horodom naszym i tež po miestom naszym Woytowie, Burmistrowie i Radcy, tyie kotoryie zdawna od Prodkow naszych prawa maiut Maythorskiie i tež wžo kotorym My tyie prawa Nemeckiiie podawali i naperod ieszcze kotorym innym miestom naszym toie prawo z łaski Naszoie dadim, krywdy Cerkwi Božey i Mitropolitu i Episkopom ne czynili. w dochody cerkownyi i wo wsi sprawy i sudy ich duchownyie ne wstupali sia, wže tyi wyszey pisanyie Derżawcy naszy, ne maiut w tyi dieła duchownyie wstupatsia, bo iesmo prikazali Mitropolitu i Episkopom, suditi i raditi i dieła duchownyie sprawowati i ludie cerkownyie zawiedati podług dawnoho obycaia po horodom i po miestom naszym. Tež kotoryi ludi Mitropolii abo Władyczyny sedit po miestom naszym, a wschotiat torhomsia obychoditi, tyi poplatki naszy maiut nam płatiti pospoł z miestom naszym po dawnomu. I tež kotoryi Kniazi i Panowie naszy Rymaskoho zakonu maiut po swoim imeniam Cerkwi zakonu Hreczeskoho i zdawna budet koto-raia Cerkow podanie Metropolie abo Władyczne, taia i te-per nechay budet Cerkow ich podania i iestližby koto-raia Cerkow była w podani zdawna Derżawcy toho imenia, ino i teper nechay tot Derżawca podaiet z błahestowenyiem Mitropolitim, nižli wžo ne maiet moczy toho swieszczennika ot toie Cerkwy ruszyti bez osmotrenyia i woli Metropoliczoiie onyi Derżawca; Tež sweszczennika Ruskoho jestliby kto soromotił abo zbił, tak ot Rymaskoiie wiery kak ot Hreckoiie maiet toho dieła smotreti Mitropolit abo Episkop, bo to jest sud duchownyi, i inyi wsi członki kotoryi wypisany u switku Jarostawli i w sem Naszym listu potwierzaiem na wiecznost Mitropolitu Josyfu i potom buduczym

Mitropolitom i wsim pod ieho Mitropoleiu Episkopom sim naszym listom; maiut oni tyie duchownyie dieła sprawowati podle obyczaja swojeie Cerkwi po dawnomu; a na lepszu iu twerdost' i peczat' naszu kazali iesmo priwiesiti k semu naszomu listu. Pisan u Wilni Leta Bożoho Tysieczna czotyrysta dewiet desiat dewiatoho (1), Marta 20 dnia. Indykt 2. Pri tom był Ochmistr Namestnik Kowenskiy pan Woytko Janowicz." (Metr. Litew. 192 str. 140) (2).

Wszak i naszój nawet pamięci dosięgły na Rusi, może i indziej, kuny, czyli żelazne że tak nazwę łapki, przy kościelnych ścianach zewnątrz będące, w które jawnych przestępców i gorszycieli, dla publicznej ich hańby, a odstręczenia drugich od podobnego postępowania, na czas pewien, do stania w takiej kunie, zamykano. Niewiasty też znane publicznie z nierządów, bywały publicznie sznurami od

(1) Jakkolwiek panowanie w Polsce króla Alexandra rozpoczyna się od r. 1501, w powyższym jednak przywileju z r. 1499, ani pomyłki w dacie, ani anachronizmu w czasie niemasz. Jednocześnie bowiem z bratem Janem Albertem, tak rządził Alexander w Litwie, jako Jan Albert w Koronie; tylko wydawane przez Alexandra dyplomata w chwilach panowania Jana Alberta, noszą tytuł z dodatkiem: „sam Alexandr.”

(2) Przywilej powyższy króla Alexandra, mianowicie względem sądów duchownych, zwierzchności kościelnej obrządku greckiego nadany, potwierdzali w całej jego mocy, następni królowie polscy, jakoto: Zygmunt I na sejmie walnym koronnym w Brześciu r. od stworz. świata 7019 (od nar. Chryst. 1511) d. 2 lipca; Stefan Batory na sejmie walnym w Warszawie r. 1585 d. 25 lutego; Zygmunt III r. 1605 d. 22 lutego, tudzież r. 1617 d. 27 lutego i r. 1621 d. 5 września; Jan Kazimierz na sejmie walnym w Warszawie r. 1658 d. 29 sierpnia; Michał Korybut na sejmie koronacji swój w Krakowie r. 1669 d. 19 października; Jan III na sejmie koronacji swojej w Krakowie r. 1676 d. 3 marca. Wreszcie, prawa, swobody i wolności obok szczegółowych wyliczeń, w wyrażeniu ogólnym: *Duchowienstwo Ruskie, osobliwie świeccy duchowni, gaudēbunt omnibus libertatibus et privilegiis juxta leges canonicas et statuta antiqua regni*", zatwierdził August II w Warszawie roku 1700 d. 15 czerwca i August III w Warszawie r. 1736 d. 30 lipca. (W Metr. król. i w dziełku p. t. *Bullae et Brevia &c.* Począjów 1767 an. pag. 42—59 in supplem).

dzwonów karane. Dotąd wreszcie na Rusi polskiej utrzymuje się gdzieś zwyczaj, iż nałogowi pijacy upamiętawszy się, przychodzą do swego proboszcza i proszą o przyjęcie ich dobrowolnego zarzeczenia się picia wódki, na czas pewien oznaczony. Kapłan, jak rzecz sama mówi za sobą, nie może nie przyjąć ich dobrej chęci, a nie mając do tego aktu w swym Trebniku czyli agendzie przepisanej formuły obrządku, dla skuteczniejszego wrażenia, wprowadza ślubującego do kościoła, modli się z nim chwilę, ubiera się w stółę, udziela mu stosowną nauczkę, i ułożywszy, jak mu roztropność i życzliwa gorliwość pasterska podyktuje, formułkę zarzeczenia się, przewodniczy ślubującemu w powolném odmawianiu takowej, unikając wszakże formalnej przysięgi, jakaby z łatwością przez ludzi (nałogom oddanych mogła być naruszoną; da mu ucałować krzyż Zbawcy, pokropi go święconą wodą, a na plebanii zapisze dla pamięci krótki akcik, przy którym wymienia i karę pieniężną na kościół za niedotrzymanie ślubu. Takowa kara przez ślubującego przyjęta, ze zwyczaju dawnego, dotychczas nosi miano grzywien, z których jedna odpowiada 20stu groszom.

Rozpusty i poiemszczyny, jeżeli się nie mylę, sąto sprawy rozwodowe i małżeńskie.

Smirszczyny, zapewne odkazy przedśmiertne, u nieznających pisma włościan, odpowiednie zapisom testamentowym dla kapłanów, iżby pamiętali o duszach ludzi zmarłych, w odprawianych stosownych nabożeństwach. Takowe odkazy, czyli to z bydła domowych, czyli z odzieży i t. p. często praktykowały się na Rusi, a mianowicie na *sorokousty*, tojest: odprawienie 40 mszów, lub inne obowiązki duchowne oznaczone. O sorokoustach wzmiankuje i król Zygmunt I, w wyroku wydanym w sprawie duchowieństwa i mieszczan wileńskich obrządku greckiego na sejmie w Brzesciu d. 16 lipca 1544 r. mówiąc: „a iestliby kto meł wolu dati sorokoust weczystyi i hodowyi i mesiacznyi na sobornuiu Cerkow i po okrestnym Cerkwam, za takoho powinni budut sweszczennicy Boba prositi, a chtoby ne

choteł dati niczoho, za takowych oni ne powynny budut sorokoustow służyty." (Metr. Litew. 209 str. 408 cz. I). Smirszczyzny takowe, nie byłyto tak zwane na Rusi polskiej *odumarszczyzny* (pensio, tributum, boum) które nie darem, lecz ciężarem bywały dla duchowieństwa ruskiego i włościan obrządku greckiego. Było bowiem zwyczajem za Jagiellonów i później na Rusi polskiej, iż po śmierci kapłanów ruskich i włościan o. g. ściągano z sukcesorów rzeczoną odumarszczyznę; w jakim zaś sposobie lub ilości, nie zdarzyło mi się wyczytać. Wiem tylko, iż od takowej odumarszczyzny król Zygmunt I przywilejem w roku 1533 w Krakowie wydanym, kapłanów ruskich i włościan o. g. w starostwie drohobyckiem uwolnił, z powodu, że mu od razu złożyli sumnę 500 ówczesnych złotych, iżby za tę kwotę, dobra jakie dla stołu swego zakupić polecił, a ich wieczyście od wspomnionój odumarszczyzny uwolnił. Takową ofiarę, król chętnie przyjął i nie tylko od rzeczonogo ciężaru ich z potomkami uwolnił, ale w dodatku obdarzył jeszcze trzema łaskami: a) dozwolił im wędzać w lasy królewskie starostwa drohobyckiego nierogaciznę na żółdzie, bez uiszczania opłaty zwanój *szerowisna* (żerowizna), prócz dwóch lasów. (Exceptis tamen duobus nemoribus seu mericis nostris Lesnensi videlicet et Isdebnicensi, in his enim duntaxat solvi nobis nostrisque successoribus szerowisnam volumus). b) Uwolnił ich od dawania podwód (ductura, powosz) dla starosty, lub kogobądź innego, prócz, jeśliby sam król tamtędy przejeżdżał, albo królewskie rzeczy przewożone były, i c) dozwolił im sprzedawać i kupować, według szacunku przez starostę oznaczyć się winnego, domy swoje prawu wołoskiemu uległe. (Potestatem liberam curias suas juri Valachico subjectas, vendendi et emendi, juxta tamen taxam et aestimationem per Capitaneum nostrum Drohobicensem pro tempore existentem, faciendam). (Metr. Kor. 48, str. 851.) W powyższym przedmiocie dodać można, iż Zygmuntowska odumarszczyzna, za króla Stefana Batorego zwała się *pogłówszczyzną* od ja-

kowej król pomieniony, przywilejem z d. 15 lutego 1585 uwolnił kapłana o. g. w Dolinie. (Metr. kor. 133 str. 84).

Przy wyrażeniu w dokumencie księcia halickiego Lwa „*ij smithij*” p. F. Z. położył w nawiasie (z myta). Ten domysł p. F. Z. nie trafia do przekonania mego. Raczej mój domysł może p. F. Z. przyjąć zechce. Ja uważam, że „*ij smithij*”, jest to samo, co: *i z mięty*. W starym zakonie, przy mowie o dziesięcinach, wprawdzie niemasz nigdzie zgoła wzmianki o mięcie. Lecz Jezus Chrystus, wyrzucając na oczy Faryzeuszom ich przewrotność, że w małych rzeczach skrupulatnymi byli, a większe za nie poczytywali, między innymi, powiedział u Mateusza ś. w rozdz. XXIII w. 23: „Biada wam doktorowie y Pharizeuszowie obłudnicy: iż dawacie dziesięcinę z *miętki*, y z anyżu, y z kminu, a opuściliście co ważniejszego iest w zakonie: sąd y miłosierdzie y wiare. To było trzeba działać, a owego nie opuszczać.” Jest też to samo i w drugim miejscu (a więcej nigdzie), u Łukasza ś. w rozdz. XI w. 42: „Ale biada wam Pharizeuszom, iż dawacie dziesięcinę z *miętki*, y z ruty y z wszelkiej iarzyny: a opuszczacie sąd y miłość Bożą. Lecz te rzeczy trzeba było czynić, a onych nie opuszczać.” Sądzę przeto, iż te dwa miejsca ewangeliczne, nastreńczyły nadawcy XIII wieku owo wyrażenie *ij smithij i z mięty*. Już zaś dochód z myta, jeśli gdzie bywał nadawany dla kościołów po miastach podczas jarmarków lub odpustów, tedy zawsze w całości, nie zaś sposobem dziesięciny, w części dziesiątej lub jakowej inniej, np. dla cerkwi w Piszczacu i po wielu innych miasteczkach.

W przytoczonych powyżej wyjątkach z uwag p. F. Z. gdzie jest mowa o nadaniach dziesięcin wytycznych, a następnie w cytacyi słów biskupa r. l. przemyskiego Macieja o dziesięcinie snopowej, z powodu tak blizkiego w kontekście zespolenia dziesięcin wytycznych i snopowych, poniewolnie prawie wpadam na myśl, czyli czasem p. F. Z. dziesięcin wytycznych ze snopowemi, za zupełnie jednoznaczne nie uważa. Jeśliby tak istotnie było, tedybym zdania p. F. Z. żadną miarą nie podzielał. Przekonany bowiem

jestem, równie z brzmienia nadań, jak i z praktyki dotychczasowej, że dziesięcina wytyczna nie może być inną jak snopową; lecz dziesięcina snopowa po większej części, a u Greko-unitów prawie powszechnie nie jest wytyczną. Samo nazwanie rzecz objaśnia, a praktyka do czasów dozwolanych i polecanych przez rząd kompozyt czyli układów, dowodnie przekonywała, iż dziesięcina wytyczna po zebraniu zbóż w kopy, wymagała wytknięcia i oznaczenia ze strony decymatora każdej kopy dziesiątej; gdy w dziesięcinie snopowej niewytycznej, uiszczano z całego pola posiadanego, kopę jedną, pół kopy lub kilkanaście snopów, które się nie wytykały, ale przez właściciela gruntu na polu w odosobnieniu zostawiały, albo przez decymatora brały tam, gdzie właściciel gruntu brać dozwalał.

Jakkolwiek rząd nasz, nie o jednostronne, lecz ogólne dobro troskliwy, uchylem dziesięcin wytycznych, przez zamianę takowych na ziarno wieczyście, lub na pieniądze na tok czasu 25-letni, dla przemiany wartości onych, stosownie do foraliów cen średnich targowych, nie mógł przez to nie umniejszyć dochodów duchowieństwa; duchowni jednak szlachetnie myślący, jako pasterze prawdziwie gorliwi o dobro i pomyślność owieczek swoich, niewątpliwie uszczerbku takowego nie żałowali i nie żałują. Bo mógłże pobór owęj dziesięciny wytycznej, zwłaszcza od włościan, którzy pracą rąk swoich przysposabiając chleb dla wszystkich, sami częstokroć, osobliwie na przednówku i w chwili zbiorów zboża, takowego najpierwéj łakną, mógłże, powiadam, obchodzić się bez narzekań i cierpień, mianowicie z powodu niemożności użycia własnego zboża przed wytknięciem dziesięciny, niemniej, z powodu zwłoki i utrudzeń, jakich nie rzadko, mimo woli i wiedzy kapłanów, dopuszczali się sami wytykacze, na których zwykle nastęrczali się ludzie lekkoduszni i dokuczliwi, istna najęta dragonia, jak ją nazwał g. u. biskup chełmski Susza, mówiąc o gwałtownych w r. 1673 zaborach dziesięcin z Rusi w Hrubieszowie? (O dzies. kośc. na Rusi str. 48).

Że istotnie takowe wytykanie dziesięcin, nieodłączném częstokroć bywało od nadużyć, nie tylko do dziś żyjący kontrzybuenci z bolesném uczuciem opowiadają, ale téż i dla rządu dawniejszego tajném to nie było, gdy w téj mierze wydawał zaradcze przepisy. Czytam np. w dekrecie króla Stanisława Augusta, na sądach zadwornych referendaryi koronnej w d. 9 maja 1787 r. co do dziesięcin ze starostwa Stoleńskiego, na rzecz proboszcza *ritus latini* w Uhrusku wydanym, między innemi i takie zastrzeżenie:

„Aby się zaś przy wytycznej snopówj dziesięcinie krzywda i zatargi tak względem dających jako téż odbierających dziesięcinę nie działy, ordynacją względem téjże wytyczy w ogólności ustanowioną i tu przyłączamy: 1^od aby wytykanie dziesięciny przez kogożkolwiek stosowane było do wygody i sposobności każdego gospodarza, to jest: gdy który gospodarz rekwirować będzie wytknięcia w swém zbożu dziesięciny, tedy to natychmiast powinno nastąpić bez zatrzymywania się do wytykania dziesięciny ogólnej całej wsi, bądź jarzynnej bądź oziminnj krescency, jak się często traliać zwykło; inaczj, gdyby rekwirujący gospodarz, nie zyskał łatwości wytknięcia sobie dziesięciny, mieć będzie wolność, zostawiwszy na polu, w przytomności bądź wójta, bądź przysiężnego, bądź w niedostatku tych, dwóch sąsiadów, bądź téż za wiadomością zwierzchności dworskiej, należącej się dziesięcinę, resztę zboża swego bezpiecznie zwozić. A wytykanie dziesięciny powinno być bez przerzucania i wybierania snopków zboża i z miejsca każdego, gdzie się jakie zboże urodzi; 2^o gdyby wypadła potrzeba przed zaczęciem ogólnego żniwa, dla pożywienia siebie, gospodarzowi któremu użać co zboża, to mu być powinno wolno, to jednak użęcie i wzięcie z pola snopków, powinno być z wiadomością właściciela dziesięciny, albo jego subalterna, a w czasie niebytności jego lub uporu, przy wójcie gromadzkim; a te snopki wzięte z pola ku potrzebie, przy odbieraniu dziesięciny, wrachowane być powinny w dziesięcinę.”

P. F. Z. (od końca str. 377 do 379) objaśniwszy zasadnie stan rzeczy i stosunki we względzie dziesięcin na Rusi od wieku XIII, głównie wziął na uwagę dekret z r. 1436 przyznający dziesięcinę proboszczowi o. ł. w Chetmie, o której autentyczności jeszcze w r. 1666 wątpiła rota rzymska, i ja nie mogłem nie wątpić, z powodów na str. 41 dziełka mojego zamieszczonych. Powody te, nie mając zkadina, czerpałem z powierzchownego obzoru, wewnętrznego układu i stosunków czasowych. Zdanie moje, jako partykularne, może być w tej mierze niedostatecznym, lub nawet mylnóm. Jakoż istotnie p. F. Z. przytoczone przezemnie dowody (a raczej powody lub uwagi, gdyż rzeczy wątpliwych, nie zwykłem dowodzić, i właśnie w miejscu powołaném, wyrażenia *dowodu* bynajmniej nie użyłem), znajduje nieprzekonywającemi. Nie gniewając się wcale o to, muie mam, iż równie p. F. Z. gniewać się nie będzie, jeśli powiem, że i jego uwagi nie ze wszystkiém są dla mnie przekonującymi. Dlatego, nie celem jątrzącej lub daremnie czas zabijającej utarczki polemicznej, lecz celem wyjaśnienia przedmiotu, o ile to tylko stać się może, niech mi będzie wolno objawić co myślę i czuję. Przedewszystkiém nadmienić mi wypada, iż na jeden przedmiot patrząc, gdyśmy obadwaj z p. F. Z. obrali dwa odmienne stanowiska, nie tak łatwo, bez wyjaśnienia natury tychże stanowisk, moglibyśmy się zbliżyć do porozumienia w opiniach naszych o przedmiocie oglądanym. P. F. Z. stanął na drodze sądowej; ja stanąłem na drodze administracyjnej: nie dziw przeto, iż opinie nasze, acz o przedmiocie jednym, nie są przecież jednakowe. U p. F. Z. dekret, jest to samo, co wyrok, a u mnie dekret, jest to samo, co postanowienie lub królewskie nadanie. I dotąd nie myślę, abym tak sądząc, dużo błędził; gdy i w manipulacjach rządów widzieć się daje, że wola panujących, w rozporządzenia stanoweze zamieniona, różne przybióracz zwykła nazwy, jak np. u nas *ukazu*, w Austrii *patentu*, w Prusiech *edyktu*, w Saxonii *dekretu*. Zapatrując się tedy na ów z r. 1436 dekret, ani pomyślałem uważać go za wyrok sądowy; ale brałem po

prostu za nadawcze postanowienie królewskie. Alboż nawet mogłem mieć jaki słuszny powód, do uważania dekretu onego za wyrok sądowy, gdy mi się znikąd zgoła nie natręcały ślady sporów dziesięciny w Chełmie przed r. 1436? gdy na Rusi chełmskiej dopiero od czasów Władysława Jagiełły zaczęły się fundować kościoły obrządku łacińskiego, i myślano nie o sporach z powodu nadań, lecz zaledwie o samych pierwiastkowych nadaniach? A jeżeli p. F. Z. do uważania dekretu pomienionego za wyrok sądowy wziął assumpt z oblaty chełmskiej 1633 r. (O dzies. kośc. na Rusi str. 39), gdzie mówi się: „*decretum regium inferius insertum, inter partes infra nominatas,*” nie mogę nie nadmienić, że właśnie w tój oblatce, *in loco loci*, to jest w Chełmie, ile podówczas w samém ognisku zamierzonego wybuchu dziesięcinnego zformowanej, nie pokładam zupełnego zaufania, zwłaszcza w onych bardzo nieszczęśliwych dla Rusi polskiej czasach, za królów Władysława IV i Jana Kazimierza, kiedyto najwięcej biskupi obrządku łacińskiego na tójże Rusi poczynili nadań dziesięciny, i kiedyto pobory dziesięcin z Rusi, jakoby orkanem jakim, w rozmaite miejsca nanoszone i niemiłosiernie wyciskane bywały. Wreszcie, radbym wiedzieć, gdzieżto są w rzeczonym dekreście te *strony poniżej wymienione* (*partes infra nominatae*)? jakie ich imiona, lub oznaczenia? Trudno bowiem domyślać się, a témbardziej uwierzyć, aby cztery one ogólniki „*schismatici, catholici, christiani, Rutheni*”, które się tam w chaotycznym pomieszaniu wzmiankują, miały być właśnie owe *partes infra nominatae*, i aby zarówno katolicy obrz. łac. to jest właściwi parafianie, jako i Rusini mający swoich parochów, kiedyś przed rokiem 1436, tak jednomyślnie zaprzeczyli dziesięcinę w mowie będącą proboszczowi o. ł. w Chełmie, że się aż ta sprawa (której jednak śladów niema), aż do króla Władysława Warneńczyka wytoczyła i do wydania onego wyroku spowodowała.

P. F. Z. na str. 380 zapytuje: „*Dlaczegoby dekret z roku 1436 miał być podrobiony? Wszakże, gdyby go kto do swoich widoków dowolnie układał, byłby go niezawodnie w inszy*

i dogodniejszy dla siebie sposób ułożył. W odpowiedzi pytam się nawzajem: w jakizby np. sposób inny i dogodniejszy dla widoków swoich można było w XVII wieku dekret ułożyć, jeżeli nie w taki, iż zamiast wyrażenia w nadaniu Zygmunta I z r. 1519 (O dzies. kośc. na Rusi str. 26 n. 40) „aby mieszczanie chełmscy, jakiegokolwiek obrządku i sekty, *uprawiający role królewskie i Lechitów*, uiszczali dziesięcinę proboszczowi o. ł. w Chełmie, niemniej oddawali kantopory z *domów Lechitów*”, raczej położoném zostało w mniemanym dekreto z r. 1436 wyrażenie bezwzględne „*chrześcian*” obejmujące Rusinów w ogóle jako chrześcian przynajmniej w XVIIIym wieku uważanych? Wprawdzie w obecném rozumieniu naszém, na zasadzie cytowanego przezemnie (O dzies. kośc. na Rusi str. 8) dekretu króla Jana Alberta z r. 1497 opartém, jest zupełnie jedno i toż samo, albo powiedzieć: „z *ról i domów chrześcian*, albo z *ról i domów Lechitów*”. I dawniej, w wieku XV, lub początkach XVI, niewątpliwie wiedziano, iż wyrazy: *chrześcianie* i *Lechici*, były w Polsce synonimiczne, i wyłącznie tylko wyznawcom obrz. łac. przyznawane (1). Ale w XVII wieku, gdy z jednej strony, jak sam p. F. Z. (str. 379) przyznaje „*dawnych stosunków ziemi chrześcian lub ziemi lachkiej do ziemi ruskiej już nie rozumiano*”, a z drugiej strony, gdy w tymże XVII wieku, i Rusini w Polsce, niewątpliwie doci-

(1) Dla poparcia powyższego wyjaśnienia, iż w XV wieku Rusinów nie nazywano w Polsce chrześcianami, nie będzie od rzeczy przytoczyć jeszcze jeden nowy dowód. Oto: z okoliczności przedstawianych Kom. Rząd. S. W. i D. dokumentów tych kościołów, gdzie kaptani obrządku łacińskiego, pobierają dziesięciny od Greko-unitów, mam obecnie pod ręką oryginał aktu kompromissarskiego z r. 1472 na pergaminie, w którym Jan Kazimirski oficyał lubelski jako sędzia polubowny, zatatwia spór o dziesięciny między ks. Klemensem parochem (o. ł.) Parczowa i Ciotkiem dziedzicem wsi Milków i Gliunystok. W tymto starożytnym autentyku z czasów króla Kazimierza Jagiellończyka, dwukrotnie powiedziano: „*singuli cmetones tam Rutheni quam Christiani de dictis villis Milkow et Gliunystok*” i wnet poniżej: „*praefati cmetones tam Christiani quam Rutheni.*”

snęli się do tytułu chrześcian: bez ochyby, nierównie korzystniejszym było dla proboszcza o. ł. w Chełmie, wystąpić jakoby z dokumentem z r. 1436, w którym wyrażono było: *z domów chrześcian gdzie Rusini mieszkają*, albo co w rozumieniu XVII wieku na jedno wychodziło, *z domów w ogóle ruskich jako chrześciańskich*; niżeli z dokumentem z 1519 r. gdzie tak jasno i do dziś zrozumiale powiedziano: *z ról Lechitów: z domów Lechitów*, to jest z ról i domów ludzi obrządc. przez Rusinów później zajętych. Dogodność tedy w tej mierze, zależała od zręcznego korzystania z wyrazu *chrześcian* już w XVII wieku do dwuznacznych liczyć się mogącego, tak, jak się działo niekiedy i z wyrazem „omnes, wszyscy” (O dzies. str. 25); gdy tymczasem wyraz *Lechici*, do podobnej korzyści posługiwać nie mógł.

A kto wie, czyli nadmieniony przywilej Zygmunta I z r. 1519 nie jest samém dopiero pierwotném nadaniem dziesięcin dla proboszczów o. ł. w Chełmie? I jeżeli czas czego innego nie wykryje, domysł takowy, zdaje się być dosyć pochopnym z tego względu, iż w przywileju onym, tak dobitne są oznaczenia: „*quod omnes et singuli cives, cujuscunque ritus et sectae fuerint, includendo etiam Judaeos*”, a nadto, są zaraz dołączone objaśnienia: „*ugros Lechitarum colentes, hoc est, illos agros, quos a primaeva fundatione et locutione oppidi Chelmensis possidebant Lechitae sive homines ritus Romani*”, tudzież „*quatuor tempora ex domibus Lechitarum hoc est, ex illis domibus, quas ab antiquo possidebant Lechitae, seu homines catholici*”. Na cóżby takie ostrożności i szczegółowe wyjaśnienia w rzeczonym przywileju, jeśli już uprzednio w Chełmie proboszczom łacińskim nadane i przez nich pobierane, a tém samém dla wszystkich, z samego zwyczaju i użycia, znane były dziesięciny? p. F. Z. wyłożywszy znaczenie dekretu z r. 1436 (przeciw czemu nic nie mam, bo i ja toż znaczenie w tym samym duchu pojmuję), w konkluzji twierdzi, że na zasadzie tegoż twierdzenia, upadają wszystkie zarzuty, jakie z treści onego wywiodłem.

Czyli wszystkie zarzuty moje upadają, o tém sądzić sam nie mogę. To tylko wiem, że nie z samej jedynie treści,

też zarzuty wyczerpywałem, ale bardziej z formy tegoż dekretu, branego przezemnie za dekret nadawczy, nie zaś sądowy, tudzież z okoliczności dość podejrzanych oblaty chełmskiej, przytém z niekompletnego wniesienia w metryki koronne, wreszcie, z niewłaściwej nazwy Krasnegostawu i t. p. Wszakże treść sama jakiego bądź dokumentu, nie może jeszcze z siebie samój dowodzić istotnego pochodzenia od tego, czyje miano tenże dokument nosi, jeśli to (mianowicie dla potomnych), stwierdzoneń nie zostanie przez dowody inne, jakoto: oryginał, confirmacją, oblatę formalną i sumienną i t. p. świadectwa wiarogodne.

Ze zaś p. F. Z. kategorycznie przechodzi przez moje uwagi szczegółowe, celem wykazania ich upadku; niech mi się godzi, również kategorycznie przytoczyć dodatkowe w tej mierze objaśnienia, które może zdołają zapobiedz takowemu, chyba nieco za zbyt na pewno przez p. F. Z. zapowiedzianemu upadkowi. I tak:

a) Dekretu pomienionego z r. 1436, nie nazwałem wyraźnie i imiennie uciążliwym i sprzecznym z ogólnymi przywilejami Władysława Warneńczyka, w duchu rozumienia XV wieku, ale tylko zaliczyłem go do uciążliwych, w duchu rozumienia wieku XVII, w którym właśnie na jego zasadzie, rozwijano skutki dla Rusi uciążliwe, a tém samém sporne z przywilejami dobroczynnemi króla Władysława Warneńczyka, któreto skutki do procesów 40letnich w Rzymie, a sporów dwuwiekowych w kraju powód podały.

b) P. F. Z. powiada: *iż cytacya osób przytomnych na początku, niezwykłą się wydaje. Przyjąwszy jednak, że te osoby należały do wydania wyroku, takie ich umieszczenie nie będzie bez przykładu. I właśnie dla przykładu, przytacza dosłownie dekret z r. 1399 (str. 381).*

Jakkolwiek przytoczony z r. 1399 dekret, jest szacownym pomnikiem odległych czasów, i zatakowe przytoczenie, od miłośników starożytności słusznie należy się wdzięczność dla p. F. Z. jako troskliwego badacza skarbów historycznych, ukrytych w pyle wieków i dotąd nieoddrukowanych; jednakowoż, ów akt kompromissarski, jak sądzę,

nie jest w naszej sprawie *locus parallelus*. W akcie kompromissarskim, arbitrowie nie są świadkami aktu, lecz osobami głównie działającymi, słusznie tedy są na czele aktu, tak właśnie jak i w dekrecie z r. 1436, jest król i jego rada. Ależ, jak tutaj z królem i jego radą świadkowie nie są łącznikiem *et i* spojeni, lecz od nich wyrazem *praesentibus w przytomności*, widocznie oddzieleni; tak témbardziej w akcie kompromissarskim, przez p. F. Z. dla przykładu przywiedzionym, świadkowie nie są wcale z arbitrami nawet wyrazem *praesentibus* bezpośrednio zetknięci, jak w dekrecie z r. 1436, lecz na samym końcu przyzwolicie zamieszczeni, co wyraźnie czytać można na str. 381: „*super quo sigilla nostra apposuimus, praesentibus nobili viro Domino Alexio Dapifero Lanciensi*” &.

Nie chcę ja tu mówić, aby forma dekretu z r. 1436 należeć miała do niepodobnych i wcale istnieć niemogących; tylkoż w kwestyi o autentyczność, gdy przykładów podobnej formy w aktach urzędowych trudno i prawie niepodobna natrafić, a i przytoczony przez p. F. Z. wcale tutaj nie posłużył; okoliczność więc taka należy do bardzo drażliwych i ledwie że nie utwierdza w domyśle, iż autor aktu w tak niezwykłej formie sporządzonego, pomimo innych ostrożności (jakich i sam fałszerz z oka spuszczać nie może), przecież się we wszelkich formalnościach dopilnować nie zdołał.

P. F. Z. na str. 382 mówi: „*imiona osób jako przytomne wymienionych, najmocniej mię skłaniają do oświadczenia się za autentycznością wyroku.*” I z trudnością przychodziło p. F. Z. wynaleźć Jana inaczéj Taszkę, jako kanclerza Jana z Koniecpola.... „*a znajdowanie się przydomku Taszka w dekrecie z r. 1436, silnie (jak p. F. Z. uważa), za jego autentycznością przemawia, bo trudno przypuścić, aby fałszerz XVII wieku, posiadał wiadomość tajną wszystkim społecznym.*” (Str. 383.)

Dopiero wspomniane zdanie p. F. Z. nie trafia do przekonania mojego. Mniemam bowiem, że niezręczny nawet fałszerz, udając coniebaż na karb dawnych dziejów, nie

mógłby zapomnieć się aż do tyła, iżby z epoki na celu mia-
nej, nie wyszukał osób istotnie podówczas żyjących, lecz
tworzył je, niby na polu romantyczném, w wyobraźni swo-
jój. Osoby wymienione w owym dekreście, mogły istnieć
ówczesnie i rzeczywiście istniały, lecz, czyli je do aktu
owego wprowadziła prawa i ówczesna ręka, czyli też nie-
prawa i późniejsza, właśnie pozostaje do zasadnego roz-
strzygnięcia. Sama więc tożsamość osób w akcie zamie-
szczonych, bez innych poważnych świadectw o wiarygodno-
ści aktu, nie może jeszcze stanowić przekonania, iżby akt
od tego pochodził, komu się przyznaje.

Że Tazka, jest to samo, co Jan z Konięcpola kanclerz
państwa, nawet bez wielkich trudności i dalekich poszuki-
wań można się było o tém przeświadczyć. Sam bowiem
Niesiecki (*Korona Polska przy złot. woln. t. II, str. 580*) tę
trudność rozwiązuje, mówiąc: „*Jan Tazka z Konięcpola
podpisał 1430 r. list Władysława króla kościołowi Wileń-
skiemu dany*”, a nieco poniżej: „*za trzech królów Włady-
sława Jagielly, Władysława Warneńskiego i Kazimięra,
przy pieczęci koronnej, mądrze i wiernie ojczyźnie służyć*”
i t. d. Zacytowany tedy rok 1430 z Niesieckiego, na raz
uchyla wszelkie kombinacye chronologiczne mniej pewne
p. F. Z. w pogodzeniu pp. Bandtkiego i Zubrzyckiego, co
do Jana Tazki z Konięcpola, który już w r. 1430 był kan-
clerzem i umarł jako kanclerz za króla Kazimięra r. 1455
(Niesiecki str. 256). A kiedy dziś, we dwieście lat z górą,
po chwili domniemywanój przezemnie suppozycyi dekretu
z r. 1436, możemy posiadać wiadomość, iż Tazka jest to
samo co Jan z Konięcpola; dlaczegozby to tajnym być mia-
ło dla wszystkich w wieku XVII żyjących? Lub mogłozby
zadziwiać, że osoba interesowana, szukając w XVII wieku
imion ludzi znakomitych przy r. 1436, rzeczywiście takowe
znalazła i na scenę wprowadziła, gdy kto inny, nie miał
potrzeby tego wyszukiwać, lub też wyszukawszy, z tém się
popisywać? Tak więc Jan z Konięcpola jest razem i Ta-
szką, ale mimo tego, azali dekret z r. 1436 jest autentycz-
nym, *lis sub iudice manet*.

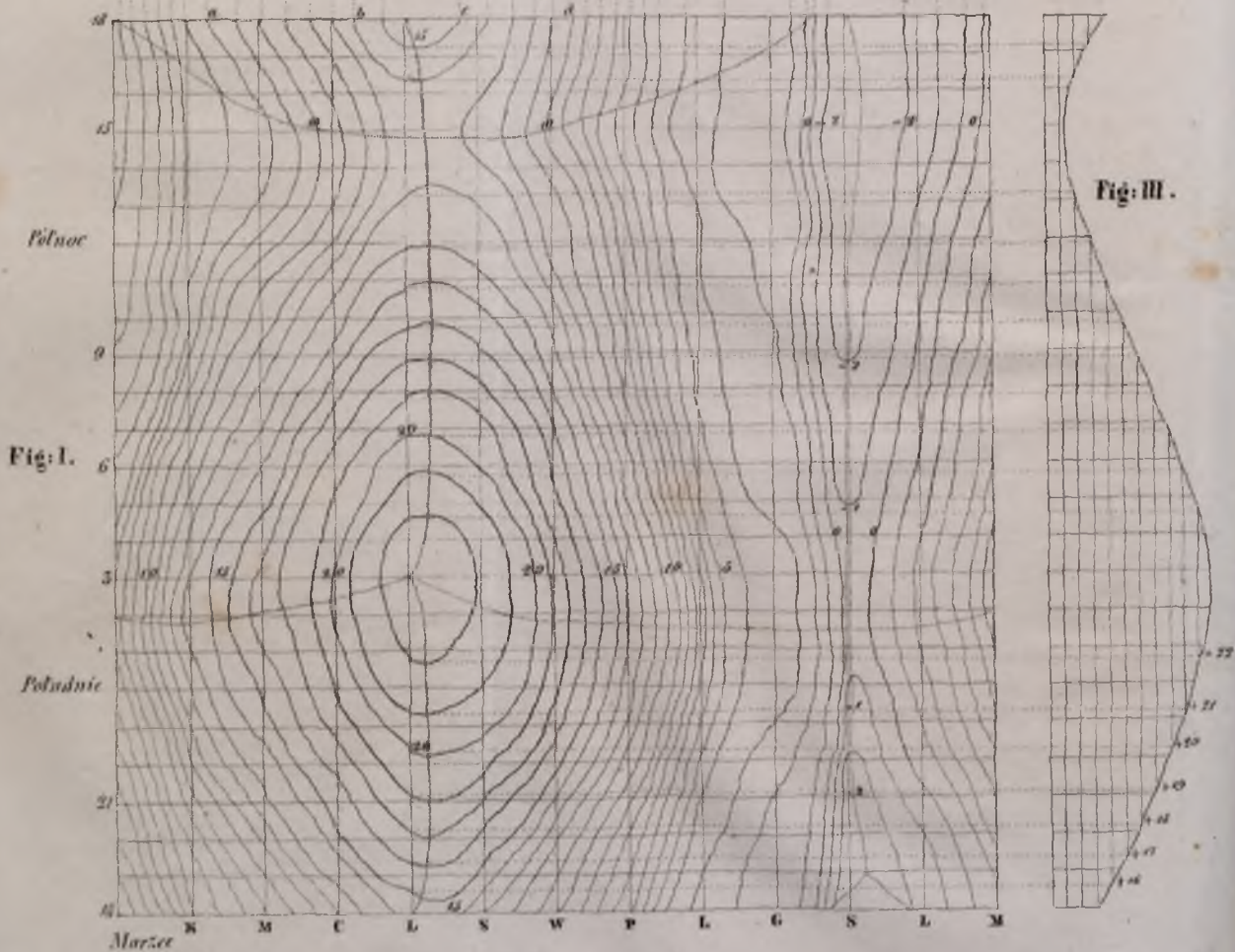
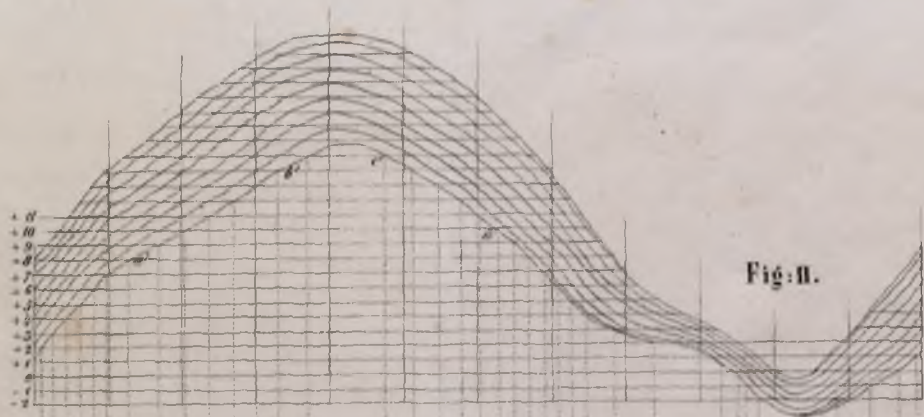
c) P. F. Z. mówi: iż dekret nie jest nadaniem: motywów zaś czyli zasad (których ja żądam), nie pisano wówczas w wyrokach.

Nadmieniłem i jak zdołałem, usprawiedliwiłem powyżej, iż dekret pomieniony, z mojego stanowiska, w drodze administracyjnej, właśnie uważałem za nadanie, nie za wyrok sądowy do wywołania którego, trzebaby było poprzedniczych przed r. 1436 sporów między stronami, których jednak najmniejszego nie ma śladu, ani prawdopodobieństwa. Motywów też dekretu wcale nie żądałem; lecz odnośnie tylko do uderzającego i niezwykłego w nadaniach wyrażenia „*lucratus est, zyskał*” niby w jakiejś spekulacji, handlu, loteryi, i t. p. nie mogłem prawie nie sformować zapytania, z kądby takowy zysk wyniknął?

d) Przyznana mi przez p. F. Z. trafność w naznaczeniu przyczyny, dla której w XVII wieku, podano do konfirmacji królewskiej, raczej dekret z r. 1436 w wyrażeniach swoich wówczas niezrozumiały, niż przywilój z r. 1519; może też posłużyć do usprawiedliwienia opinii mojej, względem nazwania dekretu onego uciążliwym, jak i powyżej (pod a), myśl moje objaśniłem.

e) Co do Krasnegostawu, że pod r. 1436 nie Szczekocinem lub Szczekaczowem nazywał się, lecz już znany był pod nazwiskiem Krasnegostawu, p. F. Z. przytacza na dowód dzieło świeżo w r. 1844 wyszłe p. t. „*Starożytna Polska*” t. II, str. 783.

Mnie się zaś zdaje, iż kiedy przytoczyłem dowód z Metryki koronnej 36tej str. 677, jako późniejszy Krasnystaw, nietylko za Władysława Warnieńskiego, ale nawet za Kazimierza w r. 1445 zwał się Szczekocinem, powinno by to być dostateczniejszém. Wszakże i w powołańm dziele „*Starożytna Polska*” t. II, str. 784 czytamy: „*Kazimierz Jagiellończyk potwierdzając i odnawiając piérwszy przywilój lokacyjny ojcowski r. 1462 w Krakowie, na prośbę szlacheznego Stanisława z Przybysławic wójta Szczekarzowskiego (raczej i niewątpliwie Szczekaczowskiego) i pisarza ziemskiego Lubelskiego, postanowił, że toż miasto inaczéj zwane*



Średnie temperatury w rozmaitych godzinach dnia w Halli.

Godziny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październik	Listopad	Grudzień	Godziny
Południe	1 ^o ,02	1 ^o ,91	6 ^o ,04	13 ^o ,25	16 ^o ,26	19 ^o ,01	21 ^o ,51	21 ^o ,11	17 ^o ,86	12 ^o ,45	5 ^o ,69	3 ^o ,46	południe
1	0,69	2,51	6,45	13,88	16,85	19,55	22,15	21,68	18,35	12,98	6,08	3,69	1
2	0,59	2,82	6,66	14,18	17,09	19,91	22,53	21,90	18,58	13,16	6,16	3,70	2
3	0,72	2,63	6,51	14,10	17,14	20,05	22,63	21,95	18,55	12,85	5,90	3,51	3
4	0,98	2,16	6,21	13,66	16,84	19,76	22,31	21,61	18,19	12,30	5,43	3,26	4
5	1,39	1,56	5,65	13,02	16,35	19,15	21,65	21,04	17,58	11,66	4,94	2,86	5
6	1,67	1,04	5,02	12,26	15,73	18,50	20,90	19,95	16,75	10,90	4,50	2,59	6
7	1,89	0,66	4,53	11,23	14,90	17,59	19,94	19,22	15,86	10,26	4,17	2,38	7
8	2,05	0,41	3,95	10,46	14,00	16,63	18,89	18,23	14,94	9,66	3,95	2,23	8
9	2,19	0,14	3,55	9,63	13,05	15,63	17,78	17,30	14,10	9,09	3,74	2,07	9
10	2,31	0,08	3,14	8,93	12,08	14,59	16,84	16,37	13,37	8,55	3,51	1,91	10
11	2,44	0,28	2,89	8,37	10,88	13,46	15,86	15,48	12,68	8,00	3,26	1,88	11
Północ	2,56	0,51	2,65	7,81	9,67	12,36	14,90	14,61	12,09	7,56	3,05	1,84	12
13	2,65	0,74	2,43	7,32	8,64	11,44	14,09	13,92	11,55	7,19	2,89	1,80	13
14	2,71	0,95	2,18	6,88	7,96	10,83	13,55	13,34	11,09	6,89	2,81	1,76	14
15	2,75	1,12	1,91	6,42	7,81	10,79	13,42	13,03	10,72	6,62	2,79	1,74	15
16	2,80	1,27	1,70	6,28	8,21	11,20	13,75	13,04	10,56	6,44	2,74	1,71	16
17	2,87	1,37	1,60	6,35	9,05	12,03	14,49	13,40	10,69	6,39	2,71	1,67	17
18	2,95	1,40	1,73	6,76	10,20	13,11	15,52	14,19	11,19	6,59	2,75	1,65	18
19	2,95	1,33	2,10	7,56	11,31	14,24	16,65	15,11	12,00	7,02	2,85	1,61	19
20	2,86	1,07	2,70	8,69	12,53	15,41	17,91	16,44	13,23	7,75	3,07	1,65	20
21	2,50	0,36	3,63	9,99	13,63	16,44	18,91	17,74	14,31	8,99	3,62	1,99	21
22	2,11	0,40	4,70	11,25	14,61	17,39	19,82	18,99	15,88	10,29	4,39	2,45	22
23	1,49	1,25	5,36	12,35	15,54	18,23	20,69	20,92	17,00	11,48	5,09	3,01	23
Średnie	2,05	0,30	3,88	10,03	12,93	15,75	18,20	17,49	14,46	9,40	4,00	2,34	Średnie

Crasnystaw, placilo rocznie z každego lanu" i t. d. Z tych wyrazów wnoszę, iż „*Starożytna Polska*”, bardziej mojemu, niż p. F. Z. zdaniu usłużyła; kiedy nie tylko w r. 1445 przemnie ku przykładowi przytoczonym, ale nawet w r. 1462, a więc w lat 17 później, jeszcze był wójt nie Krasnostawski, lecz Szczekaczowski, czy Szczekarzowski, i kiedy toż miasto, nawet pod r. 1462 bardziej po staremu Szczekaczowem, niż po nowotnemu Krasnymstawem nazywane bywało.

f i g) P. F. Z. powiada: „*że confirmacya nie ma nic wspólnego z dekretem.*”

Na drodze administracyjnej, którą (według powyższych objaśnień moich) wyłącznie miałem na względzie, confirmacya nie tylko ma wspólność, ale nadto rzeczywistą tożsamość z dekretem, gdy zwykle dosłowne onego powtórzenie zawiera.

Kończę zapewnieniem, iż prosty upór dalekim jest odemnie. A dlatego, jeśliby czas wykrył dowody gruntownie przekonywające o autentyczności dekretu w mowie będącego, a osobliwie, jeśliby się pojawił oryginał (co przecież nie jest niepodobnym), lub wynalazła się confirmacya następnych po Władysławie Warneńczyku, królów, Kazimierza, Jana Alberta, Alexandra, lub Zygmunatów Jagiellońskich i t. d. szacowny antyk takowy, niewzbudzający żadnego podejrzenia co do autentyczności, z należąną czcią odczytawszy, nie wahałbym się ani na chwilę, co do mniemania mojego dotychczasowego o jego autentyczności, *pallinodiam canere.*

W Warszawie d. 10 sierpnia 1846 roku.

Ks. Jan Pociey.

O karcie klimatologicznej miasta Warszawy, ułożonej przez pana Jastrzębowskię w roku 1846, i o małym znanym sposobie kręślenia kart meteorologicznych.

(Z ryciną i tablicą).

P. Jastrzębowski znany zaszczytnie w naszej literaturze, w tym roku przysłużył się publicznemu dobru wydaniem

pracy, dotyczącej miasta Warszawy pod wszelkimi względami klimatologii i niektórymi względami meteorologii.

Rozprawa autora o tym przedmiocie, miała być ogłoszoną pierwotnie w Pamiętniku Warszawskim umiejętności czystych i stosowanych z roku 1829, a znajdujemy ją jednak w całości dopiero w zeszycie czerwcowym Biblioteki Warszawskiej z roku 1841 pod tytułem: „Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych czynionych w Warszawie blisko przez pół wieku, tojest od roku 1779 do 1828.” W niniejszém graficzném wydaniu wypadków licznych obserwacji, trzeciém już, lecz odmienném co do układu, za środek do przedstawienia średnich rezultatów użył p. Jastrzębowski sposobu kręślenia krzywych za pomocą współrzędnych prostopadłych, sposobu bardzo dogodnego, jako dającego bezpośrednio wyobrażenie o regularności oscyllacji niektórych fenomenów, a co ważniejsza, pozwalającego powziąć pojęcie o peryodyczności fenomenów, których bieg z tablic, dopiero po długim śledzeniu dokładnie rozpoznany być może. Zresztą i to dodać należy na pochwałę użytej metody, iż za pomocą rysunku przemawiając do pojęcia, trwalsze pozostawia wrażenia w umyśle czytającego.

Ilości dane do swéj karty, szanowny autor wyciągnął z obserwacji przeszło półwiecznych, czynionych przez pana Karola Bystrzyckiego astronoma królewskiego, a następnie przez p. Antoniego Magiera, członka Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk; pierwszego, obserwatorium znajdowało się w zamku królewskim, drugiego, na Piwnéj ulicy w własném pomieszkaniu. Nauka i tyloletnia praca wspomnianych uczonych, dostateczną jest rękojmią dokładności obliczanych przez p. Jastrzębowskiego wypadków.

Chcąc dać wyobrażenie o licznych wnioskach jakie z karty meteorologicznój każdy zastanawiający się czytelnik wyciągnąć jest w stanie, wypada nam tylko wyliczyć względy, pod jakimi karta traktuje miejscowość naszą, dodając przytém, iż wszystkie linie krzywe bieg rocznych fenomenów przedstawiające, pomieszczone są na jednych osiach współrzędnych według jednakowój skali. I tak na karcie widzi-

my linie wyobrażające: 1) długość dnia, 2) ciepłota średni, najwyższy i najniższy, 3) ilość wody parującej, 4) średnią ilość wody zawieszoną w powietrzu, 5) średnią wilgotność, 6) słońce, 7) średnią ilość spadłej wody, 8) największe wezbranie Wisły, 9) panujący wiatr, 10) średnie ciśnienie powietrza.

Obok krzywych, wyobrażających bieg tych 10 zjawisk, z prawej strony umieścił autor potrzebne skale do zamiany ogólnej 100^o podziałki na szczegółowe miary instrumentów, służących do obserwacji każdego z powyższych fenomenów.

Pod kartą, znajdujemy objaśnienia i niektóre uwagi dozwalające każdemu obznajomić się, tak z metodą, małą dotąd u nas upowszechnioną przedstawiania graficznie praw wiążących dwie zmienne wielkości, jako też i ze sposobem wyciągania z niej wniosków.

Tyle dogodności i zalet, czyniących kartę klimatologiczną p. Jastrzębowskiiego wielce pomocną do poznania klimatu Warszawy i swym układem przystępną niemal dla każdego, przemawiają za jej wielką użytecznością.

Pozwoli szanowny autor uczynić parę uwag, jakie nam się nastreczyły przy czytaniu wspomnianego wyżej objaśnienia, zapewniając naprzód, iż nie piszemy je w zamiarze ubliżenia, ocenionę już oddawna zasłudze autora, ale podajemy je jedynie jako wątpliwości, wynikłe z niektórych zapewne pośpiesznie rzuconych myśli.

Autor mówi: „Dziewiąty fenomen, będący według naszego pojmowania rzeczy, bezpośrednim skutkiem przemagającego u nas, a zapewne i na całym lądzie fenomenu 7^{go} nad 3^{im}, albo właściwiej mówiąc, skutkiem ciągłego powstawania pary wodnej nad morzem i skraplania się jej w stosunku przemagającym nad lądem, jest ruch atmosfery czyli wiatr; który właśnie dla tej przyczyny wieje u nas najczęściej ze strony SW. czyli południowo-zachodniej, ku stronie przeciwnej, to jest północno-wschodniej; że w pierwszej znajdują się najobszerniejsze, najcieplejsze i najbliższe względem nas morza (Atlantyckie, Śródziemne), a przeto

najwięcej mogące wydawać pary i najpotężniej przeto ku nam popychać atmosferę, a w drugiej stronie, najobszerniejszy, najzimniejszy i najbliższy jest ląd (Azja środkowa, Syberya), a przeto najwięcej mogący skraplać téjże pary i wzmacniać tym sposobem działanie pierwsze." Powyższe tłumaczenie wiatru SW. (południowo-zachodniego) u nas szczególnie w lecie panującego, poczytujemy za niedostateczne, a samą przyczynę za zbyt ograniczoną. Przyjmując, że morze Śródziemne i Atlantyckie w połączeniu z środkową Azją mogą być przyczyną tak ciągłego prawie wiatru szczególnie latem, należałoby przypuścić, iż deszczo lub śniegi, bardzo często na ogromnych jednocześnie panują tam przestrzeniach; inaczej bowiem trudno wytłumaczyć, dlaczego znacznie cieplejsze i wilgotniejsze powietrze, przeciwnie prawom kierującym układaniem się do równowagi ciał lotnych, zdąża po powierzchni ziemi w strefy zimniejsze. W takich tylko okolicznościach wymagających zapełnienia znacznej jakby próżni, sprawionej przez skroplenie pary, można by wnosić o gwałtowném zerwaniu równowagi w atmosferze z bardzo odległych stron. Przymem dodamy, iż przyczyna przez autora podana, nie może być tak wszechwładną, bo po skropleniu pewnej części pary, pozostaje zawsze w powietrzu jeszcze znaczna jej ilość, nadto i temperatura miejsc w które ma zdążać wilgotne powietrze z tak dalekich stron, jest niezbyt wysoka. Tłumaczenie autora prędzej znalazłoby zastosowanie w strefach gorących po ulewnych deszczach jakie tam natrafiamy. Nakoniec i to za zarzut przeciw sposobowi zapatrywania autora poczytałoby można, że oparta na miejscowości hipoteza, nie jest w stanie wyjaśnić bytności tego fenomenu powszechnie spotykanego na ziemi w większych szerokościach północnych. Zdaje się, że z ogólnego skutku wolno wnioskować o bytności ogólnej przyczyny.

Oziębienie jak utrzymują, jest przyczyną częstego pojawiania się w Europie wiatru SW. w większych szerokościach, lecz powietrze ten wiatr stanowiące, pierwotnie nie z morza Śródziemnego i części oceanu Atlantyckiego przy-

ległego łądom Europy pochodzi. Zdaniem meteorologów, wiatr SW. panujący u nas, jest częścią ogólnego prądu powietrza ciepłego ku biegunom płynącego, wzamian za prąd zimnego powietrza zpod biegunów ku równikowi napływającego.

Prąd pierwszy jako cieplejszy od drugiego, blisko równika zajmuje górne warstwy atmosfery, a przeto w mniejszych szerokościach czuć się nie daje; posunawszy się zaś dalej ku północy i straciwszy przez to w znacznej części swą prędkość i temperaturę, zniżać się musi i wtedy dopiero objawiać na powierzchni ziemi. Bytność tego wiatru SW., szczególniej natrafiamy na otwartém morzu (oceanie Atlantyckim), gdzie nie istnieją przeszkody, podobne do tych, jakie natrafiamy na ziemi.

Poniżej autor mówi: „Dziesiąty i ostatni fenomen, który mamy uważać na karcie i którego zmiany są skutkiem zmieniającej się rozprężliwości i gęstości pary wodnej, a następnie prędkości i rzadkości powietrza, jest stan barometryczny powietrza. Ciśnienie to jak wskazuje kręsa 10ta i wypadki zawarte w kolumnie 10tej, jest najmniejsze w kwietniu z rana, największe we wrześniu i wieczorem; a zatém zmiany tego fenomenu, przynajmniej roczne, podobnie jak zmiany wiatru, nie przedstawiają żadnej widocznej wspólności z takimi zmianami wszystkich wskazanych dotąd 9 pojawów klimatologicznych i są wyraźnie najzawikłańszym ich skutkiem. Ztąd się okazuje, że fenomen ten, to jest ciśnienie powietrza uważane co do swoich odmian, winno zajmować nie pierwsze jak dotąd, lecz ostatnie miejsce w rzędzie fenomenów będących przedmiotem klimatologii praktycznej.” Wprzód nim uczynimy uwagi nad myślami w tym ustępie zawartemi, przypomnieć wypada, że p. Magier zapisywał swe obserwacye nad barometrem zawieszonym w pomieszkaniu posiadającym średnią w ciągu całego roku temperaturę $+ 14^{\circ}$ R. i wzniesioném na 103 stóp p. nad poziom Wisły (*).

(*) Nie wiadomo z pewnością, czyli i obserwacye p. Bystrzyckie-go weszły w skład średnich wypadków barometrycznych, oblicza-

Podobne obserwacje w tym stanie w jakim autor podaje, to jest niepoprawne ani co do temperatury, ani co do kapilarności, nie są właściwe do wyciągnięcia z nich tak pewnych wniosków o prawach, którym podlega to zjawisko, a ztąd do ocenienia ważności samego fenomenu w nauce. Wprawdzie w czasach czynionych przez pp. Bystrzyckiego i Magiera obserwacji, zaniedbywano powszechnie poprawek obserwowanej kolumny merkuryusza w barometrze; dziś jednak konieczność podobnych redukcji jest dowiedziona, skoro cel naszych obserwacji nie ma się ograniczać na zaspokojeniu ciekawości pod względem wznoszenia i opadania merkuryusza w barometrze, lecz jeżeli zamierzamy użyć barometru do porównywania parcia powietrza w różnych porach roku, różnych godzinach dnia i różnych miejscach kuli ziemskiej. Wpływ kapilarności jako bardzo mały, często bywa pomijany, lecz o redukcji wysokości barometru do 0° temperatury, zapominać nie wolno.

Naszém zdaniem, chcąc uczynić więcej pożytecznymi obserwacje barometryczne p. Magiera, jeżeli już nie poprawiać szczegółowo (co zresztą dziś zbyt cenną byłoby pracą), to przynajmniej co do średnich wypadków miesięcznych. Linia krzywa nakreślona z tak przybliżenie poprawionych średnich wypadków, zapewne wyraźniejsze, może regularniejsze a niezaprzeczenie pożyteczniejsze wskazałaby wypadki dla ciśnienia powietrza u nas. Możeby wówczas nie wolno było wyrzec tego, co autor powiedział opierając się na obserwacjach p. Magiera brutto uważanych. Podobny wniosek o braku wspólności między zmianami ciśnienia powietrza i innymi fenomenami, nie ma odpowiedniej podstawy. W każdym nawet przypadku, jedna miejscowość rzadko kiedy upoważnia do wyrokowania, a co większa, wprost

nych przez p. Jastrzębowskię. Jeśliby to rzeczywiście miało miejsce, wtedy pomyśleć, iż barometr p. Bystrzyckiego bez poprawek zapisywany był w temperaturze zmieniających się co do pół roku i dni w miejscu wyniesioném na 131 stóp, zwiększałaby się nieufność średnich wypadków. Dlatego nie śmiemy na tém opierać naszej wątpliwości.

przeciwnie inném na dokładnych obserwacyach opartych mniemaniom, o niezależności i względnej ważności zjawiska w nauce.

Trudno się także zgodzić na zdanie w przytoczonym ustępie zawarte: „że zmiany ciśnienia powietrza, są skutkiem zmieniającej się rozprężliwości i gęstości pary wodnej, a następnie prędkości i rzadkości powietrza.” Jako przeciwny dowód, przypomniemy znane wypadki obserwacji barometrycznych czynionych nad suchém powietrzem w Kalkucie, Halli, Appenrade i t. d., z których jawnie się okazuje, że ciśnienie powietrza uwolnionego od pary ma swe maximum w zimie, a minimum w lecie i że przejście z jednego do drugiego stanu, odbywa się regularnie, a ztąd, że temperatura jest główną przyczyną zmian ciśnienia powietrza, sprawiając większą lub mniejszą jego rzadkość. Drugą więc już pośrednią, chociaż także znaczne działanie wywierającą szczególnie w większych szerokościach, jest rozprężliwość pary wodnej. Dlatego zdaje się, iż powyższa myśl przypisując naprzód parze, a następnie dopiero rzadkości powietrza wpływ na oscyllacye oceanu atmosferycznego, jest błędną.

Nakoniec zrobimy tę uwagę, iż dodatkowa myśl (poniżej powyższego ustępu znajdująca się), jakoby dotąd nikt ani w meteorologii praktycznej, ani teoretycznej nie uważał łańcucha przyczyn i skutków zachodzących między fenomenami meteorologii i klimatologii, nie jest w swoim miejscu, jeżeli tylko ma na celu upomnienie się o pierwszeństwo uwag przez autora przywiedzionych. I te bowiem i wiele jeszcze innych o łączności głównych zjawisk meteorologicznych i klimatologicznych, teoretycznie i praktycznie dowiedzione już zostały. Z życzliwością wolelibyśmy widzieć wspomniany nawias odnoszącym się do pierwszeństwa przedstawienia graficznie zmian niektórych pojawów meteorologicznych i klimatologicznych dotąd (o ile nam wiadomo) tym sposobem niewyrażanych, jak również do pierwszeństwa pomysłu kręślenia wypadków z obserwacji elementów meteorologii jednej miejscowości dotyczących, na jednej karcie i na jedną skalę. Te dwa pomysły ze wzglę-

dów powyżej już przywiedzionych, chlubę naszemu autorowi przynoszą.

* * *

Sposób kręślenia praw łączących między sobą wielkości zmienne, użyty przez p. Jastrzębowskię, oddawna z wielkiem powodzeniem praktykowanym jest w matematyce (szczególniej w rachunku prawdopodobieństwa) i w meteorologii. Zamierzylismy w dalszym ciągu opisu karty klimatologicznej nadmienić o zasadzie, na której opiera się ta metoda, o zadaniach jakie przy jej pomocy graficznie rozwiązywać można; w końcu dać krótką wiadomość o sposobie przedstawiania na jednej płaszczyźnie praw wiążących trzy zmienne wielkości, zastosowanym do meteorologii.

Zacznijmy od dwóch zmiennych.

W tym celu na linii głównej stałego położenia (osi odciętych), od pewnego punktu (początku współrzędnych), odcinają się części proporcjonalne do wartości, jakie zamierzamy nadawać jednej a dwóch zmiennych wielkości np. części równe dla równych przerw czasu; następnie w punktach podziału wyprowadzają się linie prostopadłe lub pochylone pod pewnym kątem (rzędne, przystawy), do głównej linii i na nich odmierzają się długości ze skali, odpowiednie drugiej zmiennej wielkości np. stopniom termometru.

Punkta zakończające linie rzędne, łączą się ciągłą linią krzywą, i ta wyobraża prawo istniejące między uważanemi wielkościami np. prawo zwiększania się temperatury w ciągu roku. Odjemne wielkości którejkolwiek ze zmiennych, odcinają się w kierunkach przeciwnych powyższym przyjętym dla dodatnich wielkości. Dla przykładu opiszemy konstrukcyę krzywej, dla ciepłotau średniego, zamieszczonej na karcie p. Jastrzębowskię. Na tej karcie współrzędne są proste, czyli kąt pochylenia rzędnych do osi odciętych jest prosty. Oś odciętych podzieloną jest na 12 równych części przedstawiających miesiące, z tych każda część zawiera jeszcze trzy poddziały, stanowiąc terminy dziesięciodniowe każdego miesiąca. Rzędne,brane są z podziałki 100stopniowej będącej ogólną skalą dla wszystkich podziałów. Zero

termometru Reaumura odpowiada $47\frac{1}{2}$ podziałowi. Na Iwszej rzędnej, to jest odnoszącej się do 1 stycznia, od podziału $47\frac{1}{2}$ w dół (gdyż temperatura w tym czasie jest odjemną), odciętą jest odległość wyobrażająca na skali 3° R., na drugiej rzędnej należącej do 10 stycznia, odciętą jest odległość przedstawiająca 3° 1 R., na trzeciej rzędnej 20 stycznia, odległość równa 3° 2, na czwartej odległość równa 3° R. i t. d., na dwunastej rzędnej odpowiadającej 10 kwietnia, od podziału $47\frac{1}{2}$ skali 100stopniowej w górę (gdyż temperatura jest dodatnia), widzimy odległość wyobrażającą 4, 5 R., na trzynastej rzędnej, czyli należącej do 20 kwietnia, odległość równą 6° 1 i t. d. Wierzchołki rzędnych połączone, wydały krzywą linią dla ciepłostanu średniego w ciągu roku w Warszawie.

Mając nakręsloną za pomocą znacznej liczby punktów linią wyobrażającą zmianę jakiego fenomenu uważanego względnie do innej wielkości, można użyć jęj do rozwiązania niektórych zadań. I tak, trzymając się przyjętego raz przykładu t. j. linii ciepłostanu średniego, jeżeli chcemy oznaczyć średnią temperaturę jakiegokolwiek dnia roku, wyprowadzić należy z punktu (na osi odciętych) odpowiadającego żadanemu dniowi rzędnę, i przedłużyć aż do przecięcia z linią krzywą; długość jęj wzięta na skali, oznaczy szukaną średnią temperaturę w tęg epoce.

Za pomocą takięj krzywęg, można wynaleźć graficznie średnią roczną temperaturę, czyli średnią ze wszystkich miesięcy. Dlatego przypomnieć potrzeba, iż długość rzędnej wyobrażającęj średnią temperaturę roczną, jest to samo, co w geometryi średnia odległość od osi, wszystkich punktów składającęj linią krzywą, ta zaś średnia odległość punktów krzywęg, zlewa się z odległością środka ciężkości obwodu tęgże krzywęg. Jeżeli więc mechaniczne oznaczymy środek ciężkości obwodu linii krzywęg ciepłostanu w Warszawie, przez ten punkt poprowadzimy prostą równoległą od osi odciętych aż do przecięcia z krzywą, a z punktów przecięcia spuścimy prostopadłe do osi, to długość tych rzędnych wskaże średnią roczną temperaturę, odcięte

zaś im odpowiadające, dni w ciągu roku, w których ta średnia temperatura ma miejsce.

Pierwszy pomysł przedstawienia graficznie wypukłości znajdujących się na kuli, za pomocą przecięć płaszczyznami równoległymi w równych odstępach poprowadzonymi, winniśmy p. Du Carla (z Genewy); w 1771 r. proponował on akademii nauk w Paryżu użycie tego sposobu do kręślenia kart geograficznych.

A. Humboldt, którego imię przywiązane jest do wszystkich wielkich prac i ulepszeń w fizyce kuli ziemskiej, pierwszy podał myśl łączenia za pomocą ciągłych linii punktów na kuli przedstawiających, pewne zjawisko w jednakim stopniu. Jego linie jednakowej temperatury (isotherme), tyle dogodne przy badaniu rozkładu temperatury na kuli ziemskiej i na tak wiele wniosków naprowadzające, są dowodem użyteczności tego sposobu.

Upowszechnienie metody którą w krótkości opisać mamy, a którą nazwaćby można uogólnieniem sposobu Humboldta, gdyż służy do przedstawienia graficznie wszystkich praw łączących trzy zmienne wielkości, obowiązani jesteśmy p. Lalanne inżynierowi dróg i mostów w Paryżu. Podobną jest ona do używanego sposobu rysowania w kartach typograficznych pochyłości gruntu.

Wiemy, że dwie współrzędne, oznaczają położenie punktu na płaszczyźnie, odwrotnie, każdy punkt na płaszczyźnie odpowiada wartościom dwóch zmiennych. Jeżeli w znanym punkcie wyprowadzimy prostopadłą do płaszczyzny współrzędnych np. poziomą, i nadamy jej długość wyobrażającą wartość trzeciej zmiennej wielkości, wówczas wierzchołek tej prostopadłej oznaczy punkt w przestrzeni. Przypuszczając iż takich punktów znaleźliśmy bardzo wiele, to powierzchnia z nich złożona, wyobrażać będzie prawo wiążące uważane trzy zmienne wielkości. Wykonywanie tym sposobem konstrukcyi, niedogodnym byłoby w praktyce; idzie więc o to, aby na jednej płaszczyźnie przedstawić kształt i zagięcia tej płaszczyzny. Dlatego poprowadźmy szereg płaszczyzn równoległych od płaszczyzny głównej współrzędnych w ró-

wnych od siebie odstępach, płaszczyzny te przetną powierzchnią z punktów ułożoną według linii krzywych. Chcąc zachować o ile można względne położenia i dokładnie wystawić kształt tych przecięć, zrobmy ich rzut poziomy na płaszczyznę główną. Tym sposobem z przecięć poznamy nieforemną powierzchnię.

Dla przykładu założmy sobie przedstawić powierzchnię krzywą, którejby pionowe rzędnę (prostopadłe do płaszczyzny poziomej), oznaczały średnią temperaturę o pewnej godzinie dnia w pewnym miesiącu w Halli. Tabellę wypadków w podobny sposób czynionych i obliczanych obserwacji przez p. Kaemta, zamieszczamy poniżej; potrzeba więc przerysować tę tablicę.

Na osi odciętych (fig. 1), oznaczmy 12 równych podziałów wyobrażających 12 miesięcy; na osi rzędnych (poziomych) prostopadłej do pierwszej, odetnijmy 24 długości przedstawiających tyleż godzin dnia. Przez punkta podziałów poprowadzone linie równoległe od osi, utworzą na płaszczyźnie szachownicę o 288 prostokątach.

Z wierzchołków tych prostokątów, wyprowadzone linie prostopadłe do płaszczyzny poziomej i posiadające długości (według pewnej skali) wzięte z tablicy, utworzą szukaną powierzchnię. Do otrzymania przecięć użyjemy płaszczyzn równoległych od płaszczyzny poziomej poprowadzonych w równych między sobą odstępach i wyobrażających temperatury $+ 1^{\circ}$, $+ 2^{\circ}$, $+ 3^{\circ}$ — 0° — 1° — 2° — 3° R. Przecięcia ztąd wynikłe, będą liniami jednakowej temperatury w różnych godzinach dnia każdego miesiąca.

Aby nakreślić te linie jednakowej temperatury, przesuwamy szereg płaszczyzn prostopadłych do płaszczyzny poziomej przez linie wyobrażające godziny, t. j. przez linie oznaczone na figurze I cyframi 18... 15... północ 9.... Dwadzieścia cztery linie krzywe z tyłu przecięć powierzchni otrzymane, wskażą zmiany temperatury w ciągu roku uważane o pewnej godzinie dnia. Te linie łatwo z tablicy narysować można, odcinając na rzędnych (fig. 2) według pewnej skali liczby brane kolejno z poziomych kolumn tablicy załączonej.

Na fig. 2, mamy tym sposobem oznaczone kilka linii należących do różnych godzin; linia krzywa najniższa, odpowiada zmianom obserwowanym o 18tój (6 z rana). Te linie krzywe spotykając się z liniami (będącemi rzutem pionowym płaszczyzn wyobrażających stopnie termometru R.), (*) wydadzą punkta które rzucić się muszą poziomo na liniach szachownicy (fig. 1), przedstawiających odpowiednie godziny. Aby otrzymać rzuty poziome tych punktów, należy rzuty pionowe (na fig. 2 będące), odnieść za pomocą prostopadłych na linie im odpowiednie na płaszczyźnie poziomej, to jest szachownicy. Na figurze za pomocą kręskowanych linii odniesione, znajdujemy punkta a, b, c, d, dla godziny 18tój.

Niektóre linie krzywe jednakowej temperatury w ciągu roku są zamknięte; chcąc dokładniej poznać punkta ich zagięć, wypada przeciąć powierzchnię, płaszczyzną poprowadzoną przez linią wyobrażającą na szachownicy miesiąc stosownie wybrany. Krzywa otrzymana z przecięcia płaszczyzną przechodzącą przez linią miesiąca lipca, czyli bieg dzienny temperatury w lipcu (pionowa 8 kolumna z tablicy), narysowaną została na fig. pierwszej po prawej stronie; punkta jej spotkania z różnemi temperaturami, odniesione za pomocą linii kropkowanych równoległych od linii godzinowych na linie szachownicy, wyobrażają miesiąc lipiec. Zasada kręślenia krzywój i wynajdywanie rzutów poziomych jest też sama, co powyżej opisana w konstrukcyi fig. 2.

Tym więc sposobem na szachownicy otrzymaliśmy dokładnie zagięcia krzywych, odpowiadających jednakowej temperaturze w całych stopniach termometru Reaumura. Krzywe ponumerowane odpowiednio stopniom termometru przez nie wskazywanym, ułatwiają użycie. Na karcie dla wyraźności rysunku, liczby umieszczone są tylko na krzywych przedstawiających temperatury

$$- 2,^{\circ} - 1,^{\circ} 0, + 5 + 10 + 15 + 20.$$

(*) Dla krótkości, opuściliśmy potrzebne może dla dokładności opisu, lecz bardzo proste objaśnienia z geometryi wykręślnój, a ztąd zbyteczne.

Nakręslona karta w użyciu jest wielce dogodną, chcąc np poznać temperaturę średnią miesiąca listopada o godzinie 8 z wieczora, należy posuwać się linią ten miesiąc przedstawiającą w górę aż do spotkania drugiej linii godzinę 8mą oznaczającą; przecięcie tych linii zbliżając się więcej do krzywej 4^o, aniżeli 3^o wskaże, iż temperatura srodkuje między + 3^o i + 4^o R., części zaś dziesiątne na oko przybliżenie łatwo można ocenić. Daleko większą przedstawia dogodność tą metodą kręslona karta przy badaniu zmian temperatury.— Większe lub mniejsze odległości krzywych między sobą, oznaczają raptowniejsze przejścia z jednej do drugiej temperatury w kierunku prostopadłym do ich zagięć. Skoro linie krzywe zamykają się około pewnego miejsca, to wskazuje bytność pewnego punktu największego wyniesienia lubniżenia powierzchni; przeciwnie, jeżeli linie jednakowej temperatury, zamiast zamykania, skręcają się w przeciwnym kierunku, objawiają przez to wklęsłość lub równiny powierzchni. I tak widzimy na karcie, że maximum wzniesienia powierzchni, czyli maximum temperatury w ciągu roku przypada o 3ciej godzinie po południu w lipcu, największe zaś wklęsnięcie wyobrażające minimum temperatury, w styczniu między 18tą a 19tą godziną (między 6 i 7 z rana).

Łącząc za pomocą linii krzywej, punkta dotknięcia krzywych jednakowej temperatury ze stycznymi równoodległymi od osi rzędnych i odciętymi, otrzymamy rzuty poziome dwóch linii spadku powierzchni idących w kierunkach prostopadłych do osi współrzędnych. Piérwsze z tak oznaczonych linii, wyobrażać będą następstwo w ciągu roku tych godzin dnia, w których mają miejsce maxyma i minima temperatury, drugie zaś linie spadku, wskażą chwile w ciągu roku, w których przypadają maxyma i minima obserwowanych temperatur dla każdej godziny. Te linie na załączonej karcie oznaczone są kropkami.

S. P.

Parę uwag z powodu artykułu p. Rudzkiego: „O żegludze parowej S.” umieszczonego w Bibl. czerw. 1846 r.

W zeszytcie czerwcowym Bibl. Warszawskiej z 1846 roku, zamieszczonym został artykuł p. Rudzkiego, inżyniera machin przy wydziale górnictwa krajowego pod tytułem: „O żegludze parowej a mianowicie o zastosowaniu w niej śruby Archimedes’a.” Przy czytaniu téj rozprawy, nasunęło nam się parę uwag wprawdzie niedotyczących się głównej treści, lecz historii wynalazków w niej traktowanych.

Uwagi te, bacząc na wielkość odkryć tak obliwych w zastosowaniu i tak wielkie jeszcze rokujących nadzieje, zdały mi się dość ważnemi: może téż one posłużą do sprostowania myśli objawionych przez autora.

P. Rudzki wzmiankując o początku parostatków i poczytując głównie Fultona Amerykanina za ich wynalazcę, mówi dalej: „Takie było powszechne mniemanie co do historii wynalazku statków parowych, gdy w roku 1841 odkryto ważne dokumenta w archiwum biblioteki królewskiej w Salamance (w Hiszpanii). Wprzejeździe mym przez Bezières w południowej Francyi w 1843 roku, otrzymałem z uprzejmości tamecznego bibliotekarza królewskiego następujący wyciąg z bardzo ciekawego zachowującego się tam dokumentu, który później miał być podobno drukiem ogłoszony.” Niżej następuje wyciąg z dokumentu hiszpańskiego.

Przy czytaniu powyższego ustępu, nasunęła nam się następująca wątpliwość: czyby autor *w swym przejeździe* przez Francją otrzymał od bibliotekarza w Bezières wyciąg z rękopismu w treści podobnego do rękopismu hiszpańskiego chroniącego się w tém mieście, czyli téż prosto od bibliotekarza w Bezières wyciąg z dokumentu hiszpańskiego, zamieszczonego w całej rozciągłości przez autora.

Zastanowiliśmy się w tém miejscu jedynie dlatego, że według powyższego tłumaczenia myśli autora, znajdowałby się w Bezières duplikat rękopismu z Salamanki, a ztąd po-

dejrzana autentyczność tego ostatniego, tyle sławnego rękopismu, powiększonąby została; według zaś drugiej okoliczności prawdopodobniejszej, bibliotekarz udzieliłby tylko autorowi wyciągu ze znanego rękopismu. Jeżeli więc to jest tylko niejasność wysłowienia w tak ważnym miejscu, o co zresztą z pewnością autora nie śmiemy posądzić i dlatego nasze mniemanie w formie wątpliwości, podajemy, wtedy zapewnić możemy, że obszerny wypis cytowany przez autora jako nowy i jemu tylko udzielony w 1843 r., to jest w czasie jego pobytu w południowej Francji, był oddawna wszystkim znany. Albowiem dokument hiszpański, któremu autor rozprawy nadaje tak wielką wartość, nie w roku 1841 jak autor utrzymuje, lecz już w roku 1826 był odkryty przez p. Gonzalez bibliotekarza, i w tymże roku ogłoszony przez p. Navarette w *Correspondence astronomique*, barona Zach (1826). Jestto ważny szczegół, na nim bowiem opierając się, niektórzy chcą cofnąć początek statków parowych o półtrzecia wieku w tył i przypisać ich wynalezienie Hiszpanii.

Po wyluszczeniu myśli o budowie statków parowych łopatkowych, ich korzyści i niedogodności, p. Rudzki przechodzi do opisu statków parowych śrubą Archimedesą poruszanych. W tym miejscu na str. 158 utrzymuje, iż pp. Smith i Sauvage padli na myśl użycia silnika śruby Archimedesą, lecz że pierwszy pomysł w tym względzie przypisują p. Sauvage, drugiemu zaś należy się jedynie sława ulepszenia.

Historja tego tak obfitego w szczęśliwe rezultata wynalazku, jest już dziś stanowczo rozpoznana i wielce nauczająca; dlatego postaramy się sprostować podane mniemanie pana Rudzkiego.

Ani p. Sauvage ani p. Smidt nie należy się sława pierwszeństwa tej myśli.

Pominąwszy bowiem zastosowanie śruby do wyciągania wody, przypisywane powszechnie Archimedesowi, użycie tego środka za silnik do poruszania statków, natrafiamy w 1727 r. W tymto roku p. Duquest ciągnął z jego pomo-



cą statki. Następnie Paucton znany ze swych pomysłów, proponował w dziele „*Théorie de la vis d'Archimède*”, drukowanym w 1768, śrubę Archimedesesa poruszaną siłą ekwipazu do pędzenia statku w prostym kierunku. W roku 1805 p. Dallery przez wzięcie przywileju przywłaszczył sobie myśli powyższych uczonych; w tym przywileju wyrażone jest, iż za pomocą maszyny parowej, poruszane mają być dwie śruby, z których jedna na ruchomej osi na przodzie statku umieszczona, służyć ma za rudel (podobnie do tego urządzenia, jak to później w Anglii Haut wynalazł), druga zaś z tyłu statku przyczepiona, działa wyłącznie na sprawienie ruchu postępowego. Od tej epoki użycie śruby Archimedesesa stało się przedmiotem licznych poszukiwań i przywilejów; głównymi zaś którzy swemi pomysłami wpłynęli na upowszechnienie i wprowadzenie w praktykę tego motora, są p. Sauvage Francuz, Smith Anglik i Ecrisson Amerykanin. Według systematu tego ostatniego autora, w 1845 w Ameryce istniało już 60 statków parowych ze śrubą Archimedesesa.

W. J.



ROZMAITOŚCI.

Matematycy i muzyka.

Nietylko w naturze, ale i w umiejętnościach, naukach i sztukach wszystko ma z sobą związek, bo wszystko z jednej twórczej pochodzi myśli. Przecież przy oglądaniu pojedynczych konarów wiedzy i styczności ich z sobą, muzyka przedstawia się nam jako tkwiąca tyłoma korzeniami w naturze i rozwiniętych podług niej umiejętnościach stosowanych, że nie wiele jest przedmiotów umysłowych, o których obszerniej nieco traktując, muzyki dotknąćby nie wypadało. Ztąd niezmierny ogrom wiadomości koniecznych artyście jak i każdemu uczonemu we właściwej gałęzi, i ztądto jeszcze niezmierne bogactwo literatury muzycznej, nie tej (rozleglejszej jeszcze), którą stanowią dzieła sztuki, ale tej, która się przygotowaniem do niej, jej rozświecaniem teoretycznym zajmuje. Pomnąc, że w starożytności muzyka znaczyła niemal wszystko czego się uczyć wypadało od filozofii do gimnastyki, nie będziemy się dziwić, spotykając wszystkie prawie imiona filozofów, poetów, mówców, polityków i t. d. znane w literaturze starożytnej, pod rozprawami o muzyce (w dzisiejszém nawet jej ścieśnioném znaczeniu) podpisane; nie będziemy się dziwić, spotykając mnogie o niej rozprawy pisarzy średniowiecznych, którzy z jakiegokolwiek powodu starożytności się czepili; wszakże niedawno zabytki starożytne przestały być wyrocznią dla prac umysłowych, chociaż nie wszystkich. Ale szczególnie część

muzyki matematyczna obszernie opracowaną została jako najściślej związana ze spekulacją filozoficzną, chociaż dopiero blizkie nas czasy do jakkolwiek pewnego rezultatu doszły, i badania naukowe podstawą teorii sztuki uczynić zdołały. Począwszy od Pitagoresa, który muzyką sposobił swych uczniów do potężnego rozmyślenia i wiele o niej pisał, a nawet pierwszy matematycznej jej części zasady położył; od Euklidesa, zwanego ojcem matematyków, którego pisma muzyczne gruntownością i jasnością przodkują innym i najlepsze rzucają światło na muzykę starożytną; od Archimedesza, tego ojca mechaniki i wynalazcy narzędzia muzycznego *Hydraulicon* (rodzaj organów wodnych), opisanego przez Witruwiusza, aż do głośnych i dzisiejszych w matematyce imion, można by mnóstwo wymienić ludzi, obie te umiejętności traktujących. Ograniczymy się tutaj na niektórych nowszych i znakomitszych, których prace matematyczne nowe ery w tej nauce stworzyły.

Zaczynamy od pamiętnej w dziejach muzyki i matematyki epoki, którą prace Galileuszów uświetniły. Wincenty Galileusz bowiem, ojciec sławnego astronoma, był jednym z tych, którzy najsilniej przyłożyli się do reformy muzyki w XVI wieku. Historii muzyki obowiązkiem jest obszernie o tej reformie rozpowiedzieć, tutaj tyle tylko powiemy, że muzyka wyłącznie choralna i podług zasad kontrapunktu tworzona, w tym czasie poczęła się w solową przemieniać; pojawiał się śpiew na jeden głos z towarzyszeniem jakiegokolwiek instrumentu, i odtąd datuje cudowne prawie wykształcenie śpiewu, jakiego przykłady znały wieki XVII i XVIII, a obecny coraz rzadziej poznaje. Od tamtej epoki datuje rozwinięcie narzędzi muzycznych na miarę głosu ludzkiego, ztąd bogate ich zażycie w kompozycjach mianowicie instrumentalnych. Mamyż tu przypominać zmianę w pojęciach naukowych o ruchu ciał niebieskich, mężczeństwo prawie wielkiego człowieka, który pierwszy potwierdził odkrycia naszego Kopernika? Galileo Galileusz wychowany w domu miłującym muzykę, sam ją także miłował; grał na kilku instrumentach i nad jej teorią pracował. Jego *Discorsi e demonstioni mathematiche* (1638) rzu-

cily wiele światła na naturę i rozchodzenie się dźwięku, drganie strún, stosunek wzajemny (matematyczny) tonów i inne kwestye matematyczno-muzyczne.

Współczesny Galileuszowi Jan Keppler, teoretycznie i praktycznie obeznany z muzyką swego czasu, stara się dowieść w swoim: *Harmonicon mundi*, że ruch ciał niebieskich i muzyka, na jednych wspierają się prawach. Było to powtórzeniem myśli Pitagorejczyków, bez błakania się jednak po hipotezach i przywidzeniach. Któż zaprzeczy Kepplerowi, gdy dowodzi, że porządek rytmiczny po całej naturze nieci ruch, życie i spoczynek sprowadza? Z pięciu ksiąg które dzieło powyżej przytoczone obejmuje, trzecia wyłącznie poświęcona jest rzeczom muzycznym; pod ogólnym nadpisem: *de ortu proportionum harmonicarum, deque natura et differentiis rerum ad cantum pertinentium*, w 16tu rozdziałach traktuje autor różne części muzyki z wielką znajomością rzeczy.

Do połowy XVIIgo wieku kwitnął Descartes a raczėj de Cartes. W swoim *Compendium musices* (Utrecht 1650), piérwszy, oparty na rachunku matematycznym dowodzi, że jeden z intervallów muzycznych, tereya wielka, jest dobrze brzmiącą (consonans), co téż po krótkim oporze teoretycy muzyczni przyjęli (*). Jakkolwiek sam autor do téj pracy mało przywiązywał wartości i dopiero po śmierci jego drukiem ogłoszoną została, przecież niespełna w lat 10 po wyjściu na widok publiczny, przełożono ją naprzód na język angielski, dalej niemiecki a w końcu na francuzki pod tytułem: *Abrégé de la musique par Mr. Descartes, mis en français avec les éclaircissemens par Poisson*. Sam oryginał nawet wiele doczekał się

(*) Odróżnianie intervallów muzycznych jako dobrze i źle brzmiące (consonantes et dissonantes), w dawniejszych czasach dawało pochoop do przepisów w harmonii i kompozycyi bezwarunkowo obowiązujących. Obszérniej rozwinięta muzyka coraz mnićj owym przepisom ulegała, i dziś nazwy owe rutyną teoryi stariej uświęcone, są tylko próżném balamuctwem, jednym z koleów jeżdzących jeszcze naukę muzyki i utrudzających przystęp do jej jądra wszystkim, którzy z mniejszym zapasem talentu zdobyć je usiłują.

wydań. W traktacie Descarta: *de homine* i w listach (Amsterdam 1682. 4to), wiele także znajduje się spostrzeżeń matematyczno-muzycznych o dźwięku, jego powstaniu i strónach.

Do siedemnastego wieku należy wynalazca praw ciężenia Izaak Newton. Że pisał o muzyce, znać z tytułu broszury: *Letter to Mr. Harrington on the harmon: rat:* (1693), którą Hawkins w swojej historii muzyki wspomina (str. 142 tom III).

Imię Bernoullich, zaszczycało prawie cały wiek XVIII. Z trzech osób tu należących, Bernoulli Jan, jeden z największych matematyków swego czasu i członek niemal wszystkich uczonych towarzystw Europy, wślawił się pismem: „O drganiach strón wyprężonych, obciążonych w równej długości, ale różnej wagi ciężarami”, zamieszczoném w tomie 3cim pism akademii petersburskiej. Daniel Bernoulli synem był poprzedniego. Z licznych pism jego zamieszczonych w rocznikach akademij paryzkiej, berlińskiej i petersburskiej, dotyczą muzyki: „Badania o drganiu sztab, równocześnie wydobywających się z nich tonach rozmaitych i różnych drgań kierunkach i o drganiu powietrza w piszczalkach organów.” Jakób Bernoulli syn Daniela, pracował także nad akustyką: przeciw jego badania we względzie drgania powierzchni płaskich, zapewne tylko z fantazyi czerpane i na prawdopodobieństwie oparte były, bo w praktyce potwierdzenia nie znalazły.

Żaden jednak z matematyków tak daleko się nie posunął w swoich pracach muzykę obchodzących, jak współczesny Bernoullema Leonard Euler; proponuje bowiem nowy systemat muzyczny. W dwudziestu dwóch mniejszych i większych pismach treści muzycznej, traktuje muzykę tylko jako matematykę stosowaną. Wiele jego prac wielkiej są wagi dla akustyki, np. *de motu aëris in tubis*, w której mieszczą się szczegóły ważne dla budowy urządzeń muzycznych dętych i nauki o przeprowadzaniu głosu. Często jednak wdaje się w spekulacye abstrakcyjne i tworzy hipotezy niezdatne do praktyki. Tu przedewszystkiém należy: *Tentamen novae theoriae musicae, ex certissimis harmoniae principis dilucide expositae*. Petrop: 1739. (Próba nowój teoryi muzyki z najpewniejszych praw harmonii wywiedziona). Jeden z lexykografów muzy-

cznych Gerber, mówi o tém dziele, „że ono jest metafizyką muzyki i wymaga wielkiej znajomości matematyki by było zrozumiane i że wiele gruntownych i prawdziwych spostrzeżeń w tém piśmie rozsypanych żalować każe, że autor nie był większym praktycznej muzyki znawcą.” To samo wnosić trzeba z listu Jana Bernoullego do autora (ucznia swego i przyjaciela), pisanego z powodu wyżej wymienionego dzieła. Przytaczamy tu krótki jego wypis:

Bazylea 11 sierpnia 1731 r.

..... Miło mi było dowiedzieć się o będącym już na ukończeniu nowym systemie muzycznym; nie wątpię, że będzie to coś wybornego i znakomity umysł autora dowodnie pokaże i przekonany jestem, że nieprędko drugie podobne pojawi się dzieło, całkiem na matematyce oparte, bo niewiele jest piszących o muzyce (a może ich wcale niema) w tak rozległe wiadomości matematyczne zaopatrzonych. Przecież trudno mi było odgadnąć prawo, z którego wywiedziona przyczyna wytłumaczyłaby, dlaczego ten w pewnej muzyce smakuje, inny nie, czemu nas jedno pociąga, drugie odpycha (1). Wprowadziliśmy ogólne pojęcie, że harmonia jest miłą, gdy jest zręcznie ułożona i konsonanse trafnie są wprowadzone; wiadomą bowiem jest rzeczą, że i dyssonanse w muzyce się używają, aby tuż następujące konsonanse tém lepiej się wydały podług znanego przysłowia: *opposita juxta se posita magis elucescunt*, (sprzeczności obok siebie leżące, wzajemnie się wyświecają); to samo dzieje się z cieniami w malarstwie, podnoszą one światło. Jak mi się zdaje, w muzyce praktycznej wyrokuje rodzaj i modyfikacye do których jesteśmy przyzwyczajeni, a to wiele zależy od właściwości i temperamentu ludzi, z których jedni to, drudzy tamto za przyjemne uważają; tak więc muzyka włoska różni się od francuzkiej, ta znów od angielskiej (2), słowem: *de gustibus non est disputandum*. Jeśli urok

(1) Przypominamy, że Bernoulli, mówi o prawach matematycznych nie estetycznych.

(2) Nie wiadomo czemu autor listu mówi o muzyce angielskiej, która nigdy znakomitą nie była, ani posiadała cechy charakterystyczne; raczej muzykę niemiecką przytoczyć należało.

muzyki na prawach z natury wywiedzionych ma się opierać, trzebaby piérwój zdefiniować co jest urok, nie zaś mówić: to jest piękne bo mi się podoba, bo to samo innemu się może nie podobać. Przecież Midas dał piérwszeństwo organkom Pana nad lyrą Apollina. Mówisz pan, że wyrok o przyjemném lub nieprzyjemném brzmieniu kilku razem odzywających się tonów, da się wywieść ze względnej ich dla siebie wysokości, czyli stosunku liczby drgań między sobą dla każdego interwalleu potrzebnych (3); ztąd bierzesz pan przepisy, podług których tony sprzągnięte być powinny, by zuające się na rzeczy ucho zadowolniły. Dla mistrza, który więcój zważa na *akuratność* w muzyce, niż na wpływ na słuchaczów, może to być dobre; dla niego dosyć szczęścia widziéć tylko na papierze, że wszystko podług przepisów zrobiono. Że jednak muzyka przeznaczona jest do słuchania, i to po więczej części dla osób nie-mysłących o drganiu strón, tém mniej liczyć je zdolnych, zatem muzyka podobać się im będzie o tyle tylko, o ile do takiego jej rodzaju są przyzwyczajeni (4). Zresztą pomysł pański dosyć mi się podoba; udoskonali on przynajmniej teorią muzyki i pokaże, że matematyk do każdej umięjętności wziąć się może, gdy przeciwnieinni uczeni, tylko na praktyce wsparci, o własnym nawet przedmiocie piszą jak ślepi o kolorach.”

Że w tej osłatniej myśli Bernoullego wiele jest prawdy, trudno zaprzeczyć; że jednak sama tylko matematyka nie zawsze wystarczy, dowodzą już zdania w przytoczonym wypisie z listu zamieszczone. Inne prace Eulera muzykę obchodzące, mieszczą się w listach jego pisanych do jednéj z księżniczek niemieckich (1763—1773) o różnych przedmiotach fizyki i filo-

(3) Ratio intervallorum pulsuum.

(4) Nie jest tu mowa o jakimkolwiek rodzaju muzyki na jednym i tym samym systemacie zbudowanym, ale o muzyce do różnych systematów należącój. Inny bowiem był system wieków średnich, inny dzisiaj; a więcze jeszcze zachodzą różnice między systemem w świecie po europejsku cywilizowanym przyjętym, a systemem ludów azyatyckich, lub innych części świata, które albo nie mają żadnej cywilizacyi, albo mało lub inaczej rozwiniętą.

zofii, w których między innemi rozprawia o podobieństwie tonów i kolorów, o dziwach ludzkiego głosu, o dźwięku, jego szybkości, o konsonansach i dyssonansach, o *unisono*, oktawie i innych interwallach i rozkoszach muzycznych.

Wprowadzając teraz Franklina między matematyków, którym i muzyka coś zawdzięcza, niewiele zdaniem naszym błędzimy. Odkrycia jego w elektryczności do dziedziny nauk przyrodzonych a mianowicie fizyki ściśle z matematyką złączoną należące, pomieścić go tu pozwalają. Jednak Franklin nie był muzykiem, a nawet część teoretyczna i praktyczna sztuki *obcemi* mu były; przecież w pismach jego są dowody, że część jęj akustyczna i estetyczna nie była mu obcą. Świadczą o tém jego rozważania śpiewu i miary więrsza najstosowniej do piosnek i spostrzeżenia nad mylną deklamacyą textu, podłożonego pod muzykę najulubieńszych aryj. Główną jednak jego dla muzyki przysługą jest wynalezienie narzędzia, które sam nazwał harmoniką i które opisał z historią wynalazku w liście do X. Becaria. Dziwnie przejmujący ton tego instrumentu, powszechny zapał jaki wkrótce po wynalezieniu w Europie obudził, wysilenia mechaników nad udoskonaleniem jego budowy, a może i romantyczne szczegóły życia jednej z kuzynek Franklina, która padła ofiarą przejmującego tonu tego narzędzia, były powodem, że do znanego: *eripuit coelo fulmen sceptrumque tyrannis*, którem d'Alembert przedstawił Franklina (wówczas ambassadora we Francyi) wchodzącego na posiedzenie akademii umiejętności w Paryżu, Chladni, znakomity akustyk dodał pentamet: *substituit Phaebi vitra sonora* (tyrę Apollina szkłem brziniącym zastąpił). Że harmonika dziś mało już komu jest znana mimo (a może i dla) bardzo silnego wrażenia, jakie na słuchaczach jęj ton wywierą, opisujemy ją tu pokrótce. Pomysł doń powziął Franklin słysząc kogoś wygrywającego piosnkę na szklankach różną ilością wody napełnionych. Główną częścią harmoniki są dzwony szklane stosownych do rozmaitości tonów wymiarów, zachodzące jedne na drugie (niedotykające się jednak) i na jednej osi osadzone, obracanej za pomocą mechanizmu kołowrotkom do przedzenia właściwego. Dzwony te w przedłużonej umie-

szczone skrzyni, obracając się razem z osią, są do drgania zmuszone naciśnięciem palców ręki wodą zwilżonych. To bezpośrednie zetknięcie się człowieka czującego z ciałem tony wydającym, niezmiernie ułatwia expressyą i pod tym względem na równi stoi z narzędziami dętymi; w tém od nich i od innych wszystkich wyższe, że się nigdy nie rozstraja. Właściwy i nieopisany urok tonu tego narzędzia, nie dozwala go zapomnieć nikomu, kto go raz posłyszał (1).

(1) Piszący to przynajmniej nigdy nie zapomni wrażenia, jakiemu uległ słysząc tony harmoniki zdolną dtonią zmarłego niedawno Franciszka Lessla wydobyte (*). Niewystowioną ich władzę podwajały jeszcze okoliczności. Było to w Wielki piątek i w kościele wiejskim tak ubogim, że organu nawet nie posiadał. Posępny mrok zaległ całą jego przestrzeń i tylko kilka lamp migotnym błyskało światłem w miejscu gdzie grób Zbawiciela był urządzone. Ciche modły i głośne westchnienia biednego wiejskiego ludu, same tylko znać dawały o natłoczonej świątyni, bo dla oka zebranych na chórze osób dla wykonania stosownego do okoliczności śpiewu ci tylko byli widoczni, których światło od grobu Chrystusowego idące otaczało. Było to niejako obrazem wielkiej tajemnicy odkupienia i dziwnie nastroiło umysły już i tak poważnie usposobione. A gdy się odezwał śpiew żalostny, tonami harmoniki jakby całunem pokryty i nieprzyzwyczajone do kościelnej muzyki serce wiejskich słuchaczy przeniknął, gdy coraz głośniejsze ich łkanie mieszać się ze śpiewem poczęły, to i muzyka omdlała, a chór powszechnego płaczu ją godnie zastąpił. Po obliczu wychodzących z kościoła, lały się łzy skruchy, boleści i wiary w lepszy żywot, a byłyto łzy rozkoszne, bo jeszcze po ich oschnięciu ten i ów poczuł wstręt od świata rzeczywistego, do którego zwolna powracał. Takich chwil mało w życiu i zapomnieć ich niepodobna.

(*) Fr. Lessel był najznakomitszym z trzech uczniów wielkiego Hajdena; jego dzieła muzyczne drukiem ogłoszone, znakomite między kompozytorami polskimi dają mu miejsce. Pozostałe w rękopiśmie, niektóre rozległego rozmiaru, wyszczególniono w pismach zagranicznych dla wiadomości wydawców. Jaki to ogłoszenie miało skutek, nie jest nam wiadomo. Jeśli jednak, jak się zdaje, w kraju naszym pozostały, niech je troskliwa zachowa opieka do chwili, w której pojęcia muzyczne u nas się rozszerzą. Niech prace zasłużonego współzłomka, zaszczyt pewnie nam przynoszące, nie zginą dla historii, jeśli dla użycia upowszechnić je niema nadziei. Dla tego rodzaju pozostałości umysłowych, w braku ludzi umięających je cenić, najstosowniejsze jest miejsce w księgozbiórce publicznym.

Diderot, samym już pomysłem do encyklopedyi, a więc do opracowania i upowszechnienia rzeczy muzycznych się przyłożył. Główną przecież jego zasługą we względzie muzycznym są zasady akustyki, zawarte w *Mémoires sur différens sujets de mathématique*. Stara się dociec przyczyn, dla których tak zwane konsonanse i dyssonanse odmiennie na słuch ludzki działają. W tychże pamiętnikach znajduje się jego rozprawa o chronometrze, zbliżka muzykę obchodząca. Ważniejsze jeszcze mają być liczne jego prace drukiem nieogłoszone, przesłane przezeń w rękopiśmie Bourneyowi, autorowi historii muzyki, z których tenże obficie czerpał. Inne prace Diderota nie tu należą, lubo często w nich spotkać można myśli wyłącznie do muzyki należące, a nawet wykonane rozprawy o niektórych jęj szczegółach.

Z pism matematycznych d'Alemberta, wymieniamy tutaj jako w obręb rzeczy muzycznych wchodzące: Badania nad linią krzywą (la courbe), jaką opisuje struna wyprężona wprawiona w drganie; akademii berlińskiej podane, i poszukiwania o ciałach brzmienych i szybkości głosu. Świadkiem rozległych w muzyce wiadomości i jęj zamiłowania są: *Elémens de musique théorique et pratique, suivant les principes de Rameau*, które chociaż podług zeznania samego d'Alemberta są tylko wypisem ze wspomnionego autora, z taką jednak krytyką są zrobione, tak w nich zręcznie oddzielono co zbyt czyste i co ciemnie objaśniono, że z tęg pracy widać myślącego muzyka, i dlatego prócz wielu wyciągów, doczekano się ono kilku wydań coraz polepszanych. Inne jego prace tu należące są: Historia muzyki we Francyi i Traktat o początku, rozwijaniu się, o związku sztuk i umiejętności. Do encyklopedyi dostarczył szereg muzycznych artykułów, a wiele tego rodzaju myśli, rozstrząsał w listach do Rousseau, Rameau i la Grange, z których niektóre w Merkurym są drukowane.

Przechodząc do najbliższych nas czasów, wspominamy sławnego astronoma Herszla. Był on synem muzyka, i do trzydziestego roku życia swego, sam jadł chleb muzyką zapracowany. W piętnastym roku służył już jako oboista w wojsku hanowerskiém, w dziewiętnastym do Anglii się udał. Zapisał do

muzyki był mu powodem do zgłębiania matematyki. Zajmując się osobiście strojeniem organu przy kościele (w Bath) którego był organistą, oddał się akustyce i pierwszy wynalazł węzły akustyczne w strúnach. W podrózach swoich po Francyi i Włoszech, dawał się słyszeć publicznie na arfie.

Szereg tych imion znakomych w dziedzinie umiejętności ścisłych, niech zakończy Chladni, twórcą akustyki przezwany, jako ten, który ją z błędów poprzedników oczyścił, innóstwem odkryć zbogacił, i tym sposobem przeważnie się przyłożył do utwierdzenia muzyki na prawach natury. Spostrzeżenie, że między wszystkimi przedmiotami fizyki, teoria dźwięku najuboższą była w opracowania dostateczne, i zamiłowanie w muzyce, której znajomość teoretyczną i praktyczną w wysokim posiadał stopniu, były mu powodem do prac całego żywota. Chcąc niektóre ze swoich odkryć w zastosowaniu pokazać i rzeczywistość ich poprzeć, wynalazł narzędzie dla miłego tonu *Euphon* zwane (*), podobne w składzie do harmoniki Franklina, w tém jednak od niéj różne, że gdy w harmonice ciałem brzienném są dzwony szklane do jednej przytwierdzone osi, euphon ma cylindry także szklane, oddzielnym sposobem pocierania w drganie poprzeczne wprawione. Inne narzędzie muzyczne jego pomysłu klawicylinder zwane, różni się od poprzedniego dodaną klawiaturą (na której *granie* podobne jest zupełnie dotknięciu w organach), a główniejszém jest, że ciałem pocierającym nie jest ręka ludzka, ani syniczek pobudzający euphon do działania, ale także szkło, co do innego rodzaju tonu jest powodem. O budowie tych dwóch narzędzi mało upowszechnionych ale ciekawych dla akustyka, obszerniejszą powziąć można wiadomość z własnego wynalazcy opisu w dziele: *Beiträge zur praktischen Akustik und zum Lehre vom Instrumentalbau etc. Leipzig bei Breitkopf u. Härtel.*

Podane tu szczegóły o ludziach, którzy albo zamiłowaniem w muzyce wiedzeni, nad matematyczną jej częścią pracowali,

(*) Euphonia, każdy miły dźwięk pojedynczy, lub zgodność kilku, mile techęca ucho.

albo z matematyki do muzyki się posunęli, najlepszym są dowodem powinowactwa obojga. Dziwna rzecz jednak, że żaden z nich w praktycznej kompozycji sił nie doświadczał. Ciekawą np. byłoby rzeczą słyszeć muzykę Eulera, choć z góry zapowiedzieć można, że nie znalazłaby zwolenników: chyba jak słusznie Bernoulli mówi, przyzwyczaiłby się do niej należało, co przecież prawie niepodobienstwemby było, oswojonym z muzyką istniejącą. Któżby dzisiaj zdołał się przyzwyczaić do malowideł starej szkoły niemieckiej, niemających stosownego oświelenia i perspektywy, a uchodzących kiedyś za arcydzieła? Z muzyką trudniejby jeszcze było, bo pominiawszy sam system, pamiętajmy, że tony na rachunku matematycznym oparte i tylko podług niego wysnute, оголоconeby być musiały z fantazyi sztukom pięknym istotnej. Tento brak fantazyi w umysłach do ścisłości matematycznej nawykłych, tłumaczy poniekąd, czemu żaden z pomienionych ludzi kompozytorem nie był, (wyjąwszy może Herszla, z urzędu organisty do improwizacji, a więc już kompozycji zmuszonego), bo ścisłość i fantazyja, sąto dwa żywioły mało z sobą zgodne. Badanie nauk przyrodzonych, pokazując trudniącemu się niemi, wielkie tajemnice natury, aż nadto są dostateczne do nasycenia jego wyobraźni. Umysł własnymi siłami prawd dochodzący a choćby tylko błędzący po hipotezach, łatwo wyrzec się może innych rozkoszy. Zrozumienie bowiem praw odwiecznych, dziwny związek wypadków i wpływ ich wzajemny jakie wtajemniczonemu w jądro rzeczy są widne, poją duszę szczęściem równém temu, jakie dla innych z arcydzieł sztuki tryska. Bo wszystko jeden ma początek, i choć różnemi drogami, do jednego zmierza celu.

Rozbiór gliny z Wielkiej Woli.

Do płodów surowych, które się w kraju znajdują i warte są bliższego badania, niewątpliwie należy glina. Jest ona

z liczby niewielu materyałów surowych, które w przerobieniu, podobnie jak żelazo nadzwyczajnie wiele wartość swoją podnoszą, a tćm samćm otwierają bogate źróćło zarobkowania ludności pracującej.

Zadziwiający tego przykład, podaje fabrykacya naczyń glinianych w Anglii do tak wysokiego stopnia posunięta. Weddwood zmieniając rozmaicie skład massy, namnożył mnóstwo odmian fajansów i naczyń kamiennych, i rozwinięciem ich fabrykacyi przyczynił się do pomyślności mieszkańców Staffordshire; wioski o kilka mil od siebie odległe prawie się z sobą połączyły; w niewielkim okręgu około wioski Etruria przez Weddwooda założonej, liczą 140 pieców, których wyroby do 50,000 osób zajmują.

Składy gliny znajdują się we wszystkich formacyach ziemi, leżących powyżej skał pierwotnych; niekiedy zajmują obszerne przestrzenie. Lecz jaki jest jej początek, potrzeba było wielu doświadczeń, ażeby to pytanie z niejaką pewnością rozwiązać. Rozbiór chemiczny okazuje, że glina jest krzemianem glinki, że pochodzi z rozkładu ciał związek ten zawierających; jednak nie mamy wyraźnych śladów, któreby w badaniach do pierwszego jej źródła doprowadziły. Z jakiej skały mogła się utworzyć? jakim sposobem została przeniesiona na miejsca w których się teraz znajduje? jedna tylko glina porcelanowa czyli kaolin, w pierwotnym swoim pokładzie leżący, obok skał w których się utworzył, daje nam sposobność do odgadnienia, jakie mogły nastąpić przemiany chemiczne feldspatu gdy się w ziemię porcelanową przemieniał.

Proces tćj przemiany objaśnili Malagutti i Brogniart. Według ich doświadczenia część zasadnicza kaolinu jest: $=\text{Al} \frac{1}{2} \text{O}_3 + \text{Si} \text{O}_3 + 2 \text{A}_2$, a zatem feldspat $=\text{Al}_2 \text{O}_3, 3 \text{Si} \text{O}_3 + \text{KOSiO}_3$, rozdziela się na $\text{Al}_2 \text{O}_3 \text{SiO}_3 =$ kaolin $3 \text{SiO}_3 \text{KO} =$ krzemian potażu nierozpuszczalny, gdy feldspat jest zwyczajny albo $3\text{SiO}_3 \text{NaO}$ gdy jest albitem.

Lecz obadwa te krzemiany alkaliczne temi samymi działaniami rozkładowemi dalszej zmiany doznają. Krzemian sody $= 3 \text{SiO}_3 \text{NaO}$ wydaje SiO_3 krzemionkę i $\text{NaO} + 2\text{SiO}_3$ krzemian sody rozpuszczalny. Z krzemianu potażu $3 (\text{SiO}_3 + \text{KO})$

$= 9 \text{ SiO}_2 + 3 \text{ KO}$ tworzy się krzemionka (SiO_2) tudzież $3 \text{ KO} + 8 \text{ SiO}_2$, krzemian potażu taki sam z jakiego szkło rozpuszczalne powstaje.

Podobne zmiany następują w gruncie zawierającym domieszkane szczątki skał feldspatowych; wyjaśnienie ich tłumaczy, jakim sposobem rola po uiejakim spoczynku w czasie ugorowania, bez zasilenia nawozem, do pierwiastkowej żyzności powraca; na czym zależy żyzność, którą się grunta gliniaste odznaczają.

W skutku zmian wspomnianych, musi nastąpić zupełna desagregacya cząstek feldspatu. Ciało to w budowie swojej tak wyraźnie krystaliczne, traci związek fizyczny między cząstkami; zamienia się na materią proszkowatą, w dotknięciu delikatną, która w najwyższym stopniu posiada urabiałość; to jest z wodą tworzy ciasto miękkie, dające się z największą łatwością w najdelikatniejsze wydrążenia form wcisnąć; tak pozbawione sprężystości, z zupełną powolnością poddaje się działaniom mechanicznym i każde wciśnięcie zachowuje bez zmiany.

Własność ta wszystkim gatunkom gliny wspólna, szczególnie ją odznacza.

Lecz pomimo podobieństwa w charakterach fizycznych, skład chemiczny gliny, może być bardzo zmienny. W kaolinie znajdować się mogą cząstki minerału jeszcze nierozłożone, które się dadzą oddzielić przez szlamowanie; nadto stan krzemionki w glinie zawartej może być rozmaity. Z objaśnienia procesu zamiany feldspatu na kaolin widocznie się okazuje, że krzemionka może być w stanie odosobnionym, połączona z gliną, i jako krzemian alkaliczny rozpuszczalny, którego część może być działaniem wody wprowadzona; dlatego glina porcelanowa nawet z tego samego pokładu w rozmaitych miejscach wzięta, miewa skład odmienny.

W kaolinie z Limoges, znaleziono: 43% krzemionki, 40% glinki (*Berthier*); w późniejszym rozbiorze, Brogniart i Mala-gutti otrzymali 42% krzemionki, 34,6 glinki.

Tym samym sposobem i z takich materiałów zapewnie, tworzy się glina zwyczajna czysta, lecz nie tak łatwo odga-

dnąć jój pochodzenie, znajduje się bowiem winnych geognostycznych stosunkach; składy jój zwykle są odległe od okolic zawierających skały, które dostarczyć mogły materiałów do wyrobienia jój służących. Rozwiązanie tego przedmiotu, należy do badań geognostycznych; pod względem zaś przemysłowym więcej nas zajmuje poznanie składu chemicznego.

Glina zwyczajna, podobnie jak porcelanowa, jest krzemianem glinki; lecz oprócz niego zawierać może inne pierwiastki, pochodzące ze związków, które razem z krzemianem glinki wchodziły do składu minerałów, tworzących skałę na glinę zamienioną, albo domieszały się jako materje obce, w przenoszeniu cząstek gliny z miejsca w którym się wyrabiały, do dzisiejszych jój składów. Dlatego pod wspólnemi własnościami fizycznemi, ukrywają się odmienne przynioty chemiczne; szczególniej zachodzi różnica co do zachowania się w wysokich temperaturach. Wiadomo, że z tego powodu rozróżniamy glinę ogniotrwałą i topliwą. Ostatniej własności nabywa od kwasorodków zasadowych, mianowicie od żelaza, wapna i magnezyi. Jeżeli ich w swoim składzie nie zawiera, lecz z samej krzemionki i gliaki powstaje, wówczas nie topi się ogniem pieców naszych i z tego względu wartość jój wiele w przemyśle wzrasta. Glina ogniotrwała jest poszukiwana do budowy przystawy (Gestell) pieców wysokich hut żelaznych, na naczynia ogniotrwałe w fabrykach stali, na tygle do topienia szkła w hutach szklanych i t. d. Nakoniec może być użyta na wyroby garncarskie, których tak wielka jest rozmaitość zaczynając od cegły, aż do najwytworniejszych i kosztownych naczyń porcelanowych. W takim zamiarze ocenienia wartości przemysłowej, przedsięwzięto rozbiór gliny nadesłanej przez Wgo Skorkowskiego, ze wsi Wielka Wola, w gubernii radomskiej, powiecie opoczyńskim.

Glina z Wielkiej Woli jest zupełnie biała, w dotknięciu tłustą; z wodą łatwo się rozrabia i długo w zawieszeniu zostaje.

Przez szlamowanie, bardzo mało zostawia materij grubszych (=0,877%). W narysie nabywa blasku, w tygielku platynowym wypalona, zatrzymuje kolor zupełnie biały; na-

bywa wysokiego stopnia twardości; traci 12, 42—12, 78% wody.

Z kwasami nie okazuje wzburzenia. Z powyższych własności wnosić można, że nie zawiera kwasorodków metalicznych; nie okazuje bytności węglanu wapna.

Dla przekonania się o składzie, przedsięwzięto rozbiór chemiczny, używając zwykłego postępowania.

Glinę mialko utartą, wypaloną, topiono z potrójną ilością mieszaniny węglanu potażu i sody w tygielku platynowym, który umieszczono w tygielku heskim. Rozrobienie tej gliny jest dosyć trudne, chociaż w piecu ciągowym wystawiono ją przez czas dosyć długi na ogień białości. Materią stopioną rozpuszczono w kwasie solnym rozwolnionym; odparowano do suchości; masę suchą skropiono kwasem solnym; po jakimś czasie ługowano wodą. Krzemionkę zebraną na filtrze, wysuszono, wypalono, probowano czy jest zupełnie czysta.

Roztwór od krzemionki strącono amoniakiem.

Glinka oddzielona, była zupełnie biała, bez śladów żelaza; w czasie zbierania się glinki i filtrowania, utrudniano przystęp powietrza, dla zapobieżenia strącaniu się węglanu wapna. Z roztworu od glinki odcedzonego, strącono wapno szczawianem potażu; mały osad wapna na futrze wymyty, spalono wraz z filtrem, pozostałość obiano węglanem amoniaku, i po 24, god. odparowano i lekko wypalono. Roztwór od szczawianu wapna gotowano z węglanem sody, dopóki się zapach amoniaku wywiązywał.

Tą drogą otrzymano następujące wypadki:

	a)	b)	c)
gliny palonój.	1 st 213	1,878	1,198
krzemionki	0,719	1,121	0,706
glinki.	0,470	0,719	0,466
wapna	0,01	0,015	0,008

W analizie a) glina nie była dobrze rozrobiona; przy rozpuszczaniu w kw. solnym, część materji została nierozpuszczoną, krzemionka więc zawierała glinę, dlatego wypadki tej analizy odrzucamy.

Nowsze doświadczenia chemików okazały, że prawie wszystkie gatunki gliny badane, zawierają małą ilość materij alkalicznych. Dla przekonania się czy glina z Wielkiej Woli zawiera alkali, wzięto 4^{gr}.749 gliny surowej = 4^{gr}.134 gliny palonej, pomieszano z feldspatem i kw. siarczanym; przez ogrzanie mieszaniny w naczyniu platynowém uszedł fluorek sylvicium; wypalając zaś do czerwoności, oddalono nadmiar kw. siarczanego.

Pozostałość wylugowano wodą, roztwór strącono węglanem ammoniaku, odparowano do suchości, pozostały siarczan alkaliczny rozpuszczono w wodzie. Strącono chlorkiem baryum, nadmiar barytu oddalono węglanem ammoniaku, rozciek odparowano, pozostałość wypalono dla odpędzenia soli amoniakalnych, pozostały chlorek alkali rozpuszczono w wodzie, do roztworu dodano chlorniku platyny; w kąpeli wodnej odparowano do suchości. Pozostałość obłano alkoholem który pozostawił 0,169, chloro-platynianu potassum = 0,0326, potażu czyli 0,686% potażu w glinie surowej, albo 0,788 w palonej.

Z powyższego rozbioru, skład gliny z Wielkiej Woli w stu częściach będzie następujący:

	1.	2.	w glinie wypalonej
Krzemionki	59,744	58,938	51,308
Glinki	38,291	38,898	33,866
Wapna	0,800	0,668	0,580
Potażu	0,788	0,788	0,686
Wody	—	—	12,780
	<hr/> 99,623	<hr/> 99,284	<hr/> 99,220

W rozbiorze 2, stosunek kwasorodu, wody, glinki i krzemionki jest, 4. 5,6. 9,4 — co prowadzi do wzoru: $2Al_2O_3 + 3SiO_3 + 4aq$. Wzór ten empiryczny jest z tego względu godny uwagi, że przedstawia 2at kaolinu = $2(Al_2O_3 + SiO_3 + 2aq) + 1a$ krzemionki = SiO_3 . Czy część plastyczna, to jest krzemian glinki, w rozmaitych gatunkach gliny ogniotrwałej jest jednakowego składu, i taki jak w kaolinie, okazały późniejsze doświadczenia, gdy zbierzemy większą liczbę wzorów racjonalnych, jakie Malagutti i Laurent na glinie porcelanowej wykonali.

Uważając rozbiór powyższy pod względem technicznym, można z niego wnioskować: że glina z Wielkiej Woli należy do gatunków w wysokim stopniu ogniotrwałych; szczególnie zaś będzie przydatną na przystawy w piecach wysokich, służących do topienia rud żelaznych. Zawiera więcej glinki niż glina z Przysuchy, której w Sielpi używają; jest uboższa w krzemionkę (*), a tym samym więcej może się opierać działaniu krzemianów otrzymywanych przy topieniu rud żelaznych. Dla tej samej przyczyny można ją zalecić na tygle i na budowę pieców szklanych, na tygle do topienia stali. Najkorzystniejsze zaś byłoby zastosowanie do wyrabiania porcelany; ta bowiem gałąź przemysłu, dotąd u nas nieznana, powinna zwrócić uwagę ludzi przemysłowych. Wszystkie porcelanę nabywamy za granicą, chociaż wątpić nie można, że w kraju znalazłoby materiały do tej fabrykacji przydatne. Dlatego bliżej zastanowimy się czy glina z Wielkiej Woli może być w tym celu użytą.

Wiadomo, że do wyrabiania porcelany zwykle używają kaolinu. Czy może go zastąpić glina plastyczna, która po wypaleniu zatrzymuje swój kolor biały? Nad tym pytaniem zastanawiał się Laurent i Brogniart, lecz wypadki ich doświadczeń niezupełnie przedmiot rozstrzygnęły.

Na porcelanę sewrską biorą:

63,5 kaolinu użytego z Limoges;

10,5 piasku kwarcowego z Aumont;

5,2 krędy z Bugival.

21,0 piasku zostającego od mycia kaolinu, któryto piasek (petunze) jest mieszaniną kwarcu i feldspatu.

Porcelana z tej mieszaniny jest nadzwyczaj ogniotrwała; w składzie zawiera:

	a)	b)
Krzemionki	60,00	58,0
Glinki	35,30	34,5
Potażu	1,80	3,0
Wapna	2,50	4,5

99,60 (Berthier) 100 (Brogniart i Malagutti).

(*) Glina z Przysuchy zawiera średnio 67° krze. 33 glinki 1,5% węgla wapna.

W próbach które Brogniart i Malagutti robili używając gliny białej ogniotrwałej, z dodatkiem materij brakujących, kierowali się stosunkiem pierwiastków w analizie znalezionym, ażeby otrzymać skład zupełnie z porcelaną sewrską jednakowy. Tak np. używając gliny z Dreux wzięto;

	krzem.	glinki	wapna	potażu
69,75 gliny bezwodnej	41,64	27,89	—	—
20,71 frytty	16,36	—	0,89	3,00
6,61 czystej glinki	—	6,6	—	—
6,60 krédy	—	—	3,61	—

Stosunek normalny

massy porcelany sewrskiej 58,0 — 34,5 — 45 — 3,00.

Mieszanina dawała się łatwo urabiać, lecz w mocnym ogniu nabyła gęstości i twardości naczyń kamiennych angielskich; przytém mocno się paczyła, była trudną do emaliowania, nawet w ogniu gaarowym mało przezroczystości nabyła. Ściągnęła się o 16% i była pełną pęcherzów.

Liczne inne doświadczenia okazały, że glina według sposobu przysposobienia, mocno żarzona albo tylko surowa, co do koloru, ściągania się, wydawania pęcherzów i paczenia, daje rozmaite wypadki.

Podobne doświadczenie robiono z mieszaniną mającą skład porcelany sewrskiej tojest:

z 79,31 gliny plastycznej z Dreux;

4,51 piasku z Aumont;

12,40 frytty w piecu porcelanowym palonej;

7,98 krédy.

Naczynia z tej masy sporządzone, już w zarzewiu nabyły twardości i gęstości naczyń kamiennych; były pęcherzowate, spaczyły się i około 16% ściągnęły; lecz były białe, mniej spazzone i pęcherzowate niż poprzedzające, okazały nawet pewien stopień przezroczystości.

Nierównie lepsze wypadki otrzymano, gdy do gliny z Dreux, dodano leucytu w ilości jakiej potrzeba ażeby 3,00 potażu do masy porcelanowej wprowadzić. W jednym z doświadczeń, dla zmniejszenia zbytnej plastyczności, użyto połowę gliny palonej. Mieszanina w której nie było gliny palonej wy-

dała prawdziwą porcelanę, lecz pełno pęcherzów; druga zaś dała porcelanę doskonalszą lubo nieco pęcherzowatą, która się w paleniu nie paczyła, miała przezroczystość prawdziwej porcelany i w zupełnym wypaleniu ściągnęła się o 12%.

Z tych doświadczeń Brogniart wnosi, że w materjach plastycznych, stan części składowych wywiera wpływ nadzwyczajny na urabialność, i inne najważniejsze własności w miarę jak się używa materiałów w stanie odosobnionym lub połączonych, albo się bierze w stanie proszkowatym lub krystalicznym, w związku z wodą, albo po jej wypędzeniu przez prażenie.

Zdanie Brogniarta w tym przedmiocie niezaprzeczenie wielką ma powagę, jednak można uczynić uwagi nad jego doświadczeniami. We wszystkich wziął za prawidło, wyrabiać mieszaninę mającą skład pierwiastkowy porcelany sewrskiej, gdy tymczasem analizy Berthiego przekonały, że dobra porcelana może mieć skład rozmaity, bez uszczerbku własności fizycznych. We Francyi i Niemczech zwykle używają kaolinu, pomieszanego z roztopami alkalicznymi lub wapiennymi, przeciwnie w Piemontcie i w Anglii, służy do tego mieszanina gliny białej i materij magnezjalnych. Tak np.

Porcelana z Worcester: z Piemontu zawiera:

Krzemionki	82,0	69,8
Glinki	9,1	10,4
Wapna	1,3	2,0
Magnezyi	7,4	17,6

Podstawą porcelany piemontskiej jest magnezyt z Baldissero. Każden wyrób garncarski mający tło białe, ziarno delikatne, mogące w wypaleniu doznać takiego odmiękczenia, że nabywa pewnego stopnia przezroczystości, wyda porcelanę i można ją tysiącznymi sposobami złożyć.

Lecz niewątpliwie stan pierwiastków do złożenia masy porcelanowej użytych nadzwyczaj wiele wpływa, i zwrócenie nań uwagi jest ważniejszem, niż ściśle zachowanie tego samego składu. Gdy Brogniart użył czystej krzemionki, glinki i innych pierwiastków w takim samym stosunku, jak w porcelanie sewrskiej, otrzymał masę stopioną do emalii podobną,

napełnioną pęcherzami. (Journal für prakt. Chem. 1844. Heft 3 i 4 k. 147). Wypadek ten był koniecznym, ponieważ wszystkie pierwiastki jednostajnie rozdzielone, łącząc się w wysokiej temperaturze, tworzyły krzemian glinki, wapna i potażu, to jest wydały krzemian złożony, który jak wiadomo jest łatwiej topliwy niż krzemiany pojedyncze. „Zdaje się nawet, mówi Berthier, że topliwość krzemianów wielorakich (Silicates multiples) jest większa, niż topliwość średnia krzemianów je składających; ponieważ wiele krzemianów nietopliwych albo trudno-topliwych, przez łączenie się z sobą tworzą krzemiany podwójne bardzo topliwe, np. krzemian wapna i magnezji, wapna i glinki i t. d. (Traité des essais par la voie sèche. T. 1, k. 430).

W materiałach użytych do robienia porcelany, mamy w glinie porcelanowej gotowy krzemian glinki, oprócz tego dodaje się piasku kwarcowego, wapna i piasku od użycia kaolinu zostającego, który zawiera cząstki feldspatu. Glina jest częścią plastyczną, kręda i feldspat częścią roztopową, piasek służy do zmniejszenia plastyczności.

W kaolinie jest krzemian glinki = $Al_2 O_3 + Si O_3$ nadto kwas krzemienowy w stanie odosobnionym i krzemian potażu $3K O + 8Si O_3$. Według doświadczeń Berthiego krzemiany: $3KO_2 Si O_3$, $KO Si O_3$, $KO_2 Si O_3$, $KO_4 Si O_3$, wszystkie się łatwo topią, krzemiany glinki we wszystkich stosunkach są nietopliwe, krzemiany wapna z nadmiarem zasady są trudno-topliwe; pomiędzy stosunków: $C_1 S$, $C_2 S$, $C_4 S_2$, CS tylko ostatni okazuje ślady stopienia; lecz w miarę jak się ilość krzemionki powiększa, topliwość ich wzrasta, krzemian $3 Ca O_2 Si O_3$ ($C S_2$) i $Ca O Si O_3$ ($C S_3$) daje guzik zuzłowaty, pięknego białego koloru, przeświecający, do porcelany podobny, krzemiany podwójne są łatwiej topliwe; w naturze jest wiele tego składu minerałów łatwo się topiących, tak np. granat $3 Ca O Si O_3 + Al_2 O_3 Si O_3$; piętaacyt = $3 Ca O Si O_3 + 2 Al_2 O_3 Si O_3$). Same topią się w ogniu letrozu, mieszanina zaś mająca skład granatu, w tygielku topioną wydaje guzik doskonale stopiony, białości porcelany, bardzo twardej, nieprzezroczysty, z rozłaniem nierównym, bez blasku (Berthier l. c. k. 436).

Doświadczenia Brogniarta i Malagutti przekonały, że mieszanina zrobiona z materiałów czystych w takim stosunku jak w porcelanie sewrskiej, wydaje masę stopioną, zuzłowatą, gdy sama porcelana téj fabryki odznacza się wytrzymałością na działanie ognia. Widocznie przeto w paleniu masy porcelanowej, między jéj częściami składowemi zachodzi zupełnie inne działanie. Rzeczywiście to nastąpić powinno. W glinie porcelanowej część plastyczną stanowi krzemian glinki, którego cząstki już z sobą połączone, nie tak chętnie wchodzi w doskonały związek z krzemianem wapna i potażu, który się tworzy z krzemionki w stanie wolnym będącej i materji alkalicznej dodanej; lecz ta część plastyczna kaolinu jednostajnie rozdziela się w krzemianie topliwym, który jéj cząsteczki wiąże. Nie można jednak powiedzieć, ażeby cząstki kaolinu pozostały tu beczynnymie. Otoczone krzemianem topliwym, w wysokiej temperaturze użytéj do wypalania porcelany, wchodzi z nim w związek i odstępując mu swéj glinki i krzemionki, czynią go z tego powodu trudniej topliwym (*). Około każdej przeto cząstki kaolinu tworzy się krzemian alkali i glinki, tem trudniej topliwy, im jéj bliższy. Długo trwająca wysoka temperatura, ułatwia tworzenie się takiego związku; wszelako każda cząstka kaolinu rozchodząc się w krzemianach łatwo topliwych, nie zupełnie w nich zostaje rozpuszczona; dla téj przyczyny porcelana nie odmieka do tego stopnia, ażeby naczynia swoje postać traciły, nabywa pewnego stopnia przezroczystości, lecz nigdy nie jest przezroczystą, w rozłamie zaś okazuje się zbita, nadzwyczaj drobnego ziarna.

Uważając jakie może nastąpić działanie między częściami składowemi masy porcelanowej, nie można wątpić, że glina czysta, ogniotrwała, jest zdolna zastąpić kaolin w fabrykacyi porcelany; w takiej bowiem glinie, stosunek pierwiastków może być inny, lecz znajdujemy w niej też same części składo-

(*) Krzemiany glinki i wapna najtopliwsze, mieszczą się między (C. A) S, i (C. A) S $\frac{1}{2}$ — im więcej część zasadowa zbliża się do C $\frac{1}{2}$ A, tem też stają się topliwszymi. Jeszcze się dobrze topią, gdy zasada jest CA; lecz stają się trudno topliwymi, gdy zasada jest CA $\frac{1}{2}$ (Berthier l. c. p. 439).

we także co do formy, w składzie jej niema istotnej różnicy od kaolinu. Znajdujemy w niej krzemionkę wolną, dającą się wyciągnąć przez gotowanie z węglanem sody; glinę, którą kwas solny rozpuszcza podobnie jak z kaolinu. Gлина z Wielkiej Woli, ma skład odpowiadający 2as kaolinu + 1at krzemionki, jest więc bliską w składzie ziemi porcelanowej.

Ważną tylko byłoby rzeczą, gdyby bliżej poznano bogactwo jej składów i położenie geognostyczne; gdyby nakoniec który z fabrykantów przedsięwziął próby, jak dalece wnioski nasze urzeczywistnić się dają.

S. Zdz.

Co mogą znaczyć w literaturze i krytyce pytania o cel utworów?

Są niektóre pytania w życiu, w nauce, w literaturze, z którymi znamy się oddawna, które powtarzamy prawie co dzień i odpowiadamy na nie stanowczo mniej lub więcej, albo nie odpowiadamy już wcale, przypuszczając, że odpowiedź wszystkim wiadoma, tyle razy powtarzana, stara. Spójrzmy tym pytaniom, tym odpowiedziom nieco mocniej w oczy, przekonamy się, że nie wytrzymają wzroku naszego, będą się mieniły co chwila: i im więcej wpatrywać się w nie będziemy, tém trudniej będzie określić ich fizyonomią, uchwycić ich rysy. Jestto coś niby słońce. Któż nie zna słońca? a kto mi powie jak ono wygląda? Tak się między innymi rzecz ma z pytaniami o *celu* literatury, o *celu* krytyki. Rzecz to stara, oklepana; ale i człowiek na świecie nie młody, i życie jego nie minuta, a kto mi rozwiąże zagadkę jego istnienia? kto odważy się powiedzieć, że co było, jest i będzie, w jeden nierozzerwany łańcuch połączył, w jedną zgodną całość?

O znaczeniu literatury i krytyki, o stosunku ich do innych odrostków wiedzy a tém samym i do wiedzących ludzi, naczytaliśmy się, nasłuchali, namyślili niemało. Dlaczegoż jednakże po tém wszystkiém, ozwie się tu i owdzie głos ja-

kiś nowy, nieharmonizujący zupełnie z tém wszystkiem, co już niby rozstrzygnięte było? dlaczego znowu zdaje się jakbyśmy się nie rozumieli z sobą wcale? Spyta się kto, jaki jest cel poezyi? dlaczego, albo dla kogo istnieje? gdzie istnieje? otworzycie ciekawe oczy i śmiać się będziecie, okrzyczycie go za Wandala, za barbarzyńca! Powie wam, że sztuka istnieje dla sztuki, i chcecie mu zaraz głowę złocić; a wszak to są przekonania szczególne, przekonania nie z wiatru uchwycone: może mylne, ale ludzkie, a przekonania bronią śmieszności odbijać się nie godzi. Pokażcie mi gdzie przykład, aby prawy rycerz z arlekinem kopiją kruszył? Na wszystko jest broń właściwa, a myśli toporem z głowy nie wyrąbiesz; zranisz i nic więcej. Chociaż nieraz gapiąca tłuszcza huknie ci chórem tryumfu. Niech i tak będzie. Wszakże na dnie każdego przekonania, w dobrej wierze wyrzeczonego, bodaj najfałszywszego, leży zaród prawdy, zakład prawdy, choćby ujemny. Śmieszno jest pytać o cel poezyi w ogóle, a nie śmiesznaż będzie pytać o cel szczególnych jej utworów? Wreszcie czyż pojęcia nasze o poezyi są tak jeszcze ciasno, abyśmy je tylko do wierszowanych utworów stosowali? Czy podział na poezyą i prozę, i to jeszcze pod względem formy, może być teraz w literaturze pięknej przyjęty, w literaturze prawej, która jest słowem narodu? Poezya w świecie jest zawsze, w utworach ludzkich jest, albo jej niema; literatura niemniej przeto istnieć może. A jeżeli ten gość rzadki, niebieski, zejdzie na ziemię i zamieszka wśród ludzi, to wszystko duchem swym ożywi, na wszystkie utwory ducha ludzkiego pieczęć swą położy, bo wiejo gdzie chce.

I jakież może być cel poezyi, jaki cel belletrycznych utworów, jeżeli nie wyjawienie, wystowienie myśli żyjącej ludzkości, albo ożywienie w przeszłość zapadłych już wieków, wedle twórczej potęgi ducha? Życie ma cel. Jaki? kto stanowczo odpowie? ale go ma. Życie ma myśl, a więc utwór mistrza wzięty z życia artystycznie pojętego, będzie miał myśl, nie próżny będzie celu. Wiemy już co to jest zdejmować z natury. Wiemy, że nie idzie tu tylko o najwierniejsze

do szczegółów drobiazgowych posunięte podobieństwo i o nic więcej. To będzie podobieństwo maski woskowej, trupie, nieżywe. Życie w ogóle, w całości dopiero ma myśl skończoną; na kawałki rozczłonkowane, coś dziwnego, że nam się wyda niepojęte zupełnie, niezrozumiałe? Życie w szczególe, ma także drobniejsze swoje całości, pojedyncze doby, i jest jak łąka kwieciami zdobna, na której można nie na jeden wianek kwiatków zebrać, i nie jedno czoło nim okolić; ale nie trzeba z kosą wybierać się na kwiaty, nie trzeba goździami wianków do czoła przybijać. To też dodajemy, że natura, że życie ma być artystycznie odtwarzane.

Nie podobało się, że ktoś powiedział, że sztuka istnieje dla sztuki; i w samej rzeczy, to zdanie jest nieco za zwietrzałe, za niemieckie, a przecież był czas kiedy nie urągano mu. Jabym raczej powiedział: sztuka istnieje dla sztuki ale i dla ludzi, tak ludzie są dla ludzi i dla sztuki, a to znowu jak wszystko ludzkie i nie ludzkie, ma cel wyższy, jeden, gdzie się schodzą promienie tysiączne, z tysiąca punktów strzelające. Niech więc twory literatury tętną życiem, niech będą zdjęte z natury, niech będą całe, prawdziwe, a i myśl się znajdzie i o cel pytać się nie trzeba, ani się troszczyć o niego. Utwór literacki każdy ma cel, jeśli tak już chcecie, orzeczenie myśli w twórczej głowie zrodzonej. Mistrz co tworzy, nie z nieba zszedł na ziemię. To co było i jest, warunkuje go i znowu układa się przed sądem ducha jego, wedle potęgi jego. A jeżeli zdarza się czasem, że w głowie jakiej, błysnie myśl niewczesna, co za późno lub za wcześnie światło boże ujrzała, coś z tego? utwór taki, nie wejdzie w literaturę swój epoki i odrącony od poświęconych i profanów, chyba poczeka na sąd potomności. Utwór mówicie, nie ma celu; jabym powiedział nie ma myśli, a wtedy nie tworem jest ale zlepkiem różnorodnych części zerwanych ze wszystkich czterech stron świata, to nie twórz żywy, to nie będzie prawe dziecko ducha narodu. Ma myśl fałszywą? to nie bięda. Fałszywą? ale dla nas, a może i dla nas tylko. Bo jako w historii politycznej, tak w historii literatury ściśle

z nią złączonój, zaledwo zdanie wyrzec możemy nawet w epoce całej, a témbardziej o pojedynczych jój przedstawcach, kiedy już przeszła, zamarła. Jakby potrzeba było, aby odstąpiła na pewną odległość, by ją oko słabe jak należy obejrzyć i osądzić mogło. Żywego ciała nie pokrajesz, nie rozbierzesz, zabijesz tylko. Dlatego utwory historyczne w literaturze pięknej daleko z większą prawdą oceniane być mogą i są. Bo możemy je zwiazać z epoką właściwą, możemy żądać, aby w nich wiał wiatr tamtych czasów, aby błyszczała myśl tamtoczesna, choćby w maluczkiej swój dobie jak ją teraz pojmujemy. Ale utwory czasu naszego, kiedy sami nieświadomi znaczenia prac naszych, na każdym kroku przekonywamy się aż nadto, że cele przez nas zakładane, oznaczone za pewne, były marzeniem tylko, kiedy co chwila nowe teorye walą stare; stare nie wiekami, ale minutami, a wir życia tysiącem sprzecznych dążności w oczy bije. Czyż utwory te mogą być przez nas ocenione z taką pewnością choćby, jak tamte?

Czyż mamy przeto rzucić zupełnie krytykę i na wszystko w indyjskiej obojętności poglądać? Bynajmniej! ale brać za to co jest, nie naginać do szczególnych widoków, nie kłaść na barki jój ciężaru od którego kościby popękały. Tylu utworów spółcześni nie poznali słuchacze! to rzecz zupełnie naturalna, zrozumiała: oni pojęli po swojemu. W utworach czasu naszego jaką skalę mamy? Kodexy krytyczne, już dawno obowiązującą moc straciły. Wtedyto błogie były czasy: zacytowałeś artykuł i koniec. Teraz mierzymy myślą, ale nie abstrakcyjną, ale objawioną, która stała się ciałem i mieszka w pośrodku nas. To téż wyroki te nie z trójnoga się ogłaszają, ale w prostocie ducha, w dobrej wierze na świat posłane, i dlatego nie są ciemne, dwuznaczne. I nie idzie im o to, aby czy tak, czy inaczej się stanie, na obie strony nagiąć się dały. I autorowie téż, których nieraz taka krytyka mimo woli dotkliwiej drasnąć musi, nie powinni tego tak brać do serca, nie powinni tak głośno krzyzcć. Ich dzieła mogą jeszcze kiedyś jaśnieć jak słońce, teraz pozostaje im oburzać się na ciemnotę społ.

czesnych. To też nie biorą! powiecie. Ba! a jeżeli wam szepnę, że widziałem na własne oczy, jednego z tak zwanych autorów, co ubiczowan biczem krytyki nie mógł na miejscu usiedzieć, i gdzie tylko znalazł tę nielitościwą kartę na której jego szlacheckie imię figurowało, darł konwulsyjnymi rękami, i gniótł zaciekle! Albo ten drugi, co świętokradzkie palce zapuścił w cudzą kieszeń, aby ułoić pismo w którym o nim bardzo nawiasowo mówiono!! Żart! krzykniecie, szykana! Ależ dalibóg u nas nieraz najpoważniejsze rzeczy do ucha wchodząc, jakby na przekór usta do śmiechu krzywią, choćby do śmiechu gorzkiego. Ot naprzykład: literatura, filozofia! co może być świętszego nad te imiona, jeśli nie dla myślącego, to przynajmniej dla pragnącego myśleć? Patrzenie przecie do czego imion tych użyto nadaremnie: toć my mamy cały nieledwie dwór, całą podlegszą służbę filozofii, literatury. Mamy chirurgów filozofii, mamy terminatorów, pacjentów literatury, mamy literackie pacholęta! Pióro naciskać, silniej naciskać, bo drga oburzeniem pisząc takie dzieciństwa. Jeden z tych areydowcipnych tytułów, przypomina nam małą scenę, która się niedawno przed naszymi oczyma odegrała. Że nie jest zupełnie od naszej rzeczy, może raczycie posłuchać. Napisano dwie powiastki i pobłogosławiwszy jak przystoi, puszczone w świat. Krytyka przyjęła je, jak przyjmuje wszystko, co przed jej trybunałem staje, chętnie, bez miłości i gniewu, a wysłuchawszy całej sprawy, sąd wydała, że obie te powiastki niewiele warte. Dotąd nie ma nic dziwnego, nadzwyczajnego. Sąd ten nie wszystkim się podobał, i to jeszcze rzecz zwykła. Ale co dziwna i nadzwyczajna to to, że mąż zdaje się, czy krewny autorki, zanadto poczuwając się do obowiązków małżonka czy krewnego, bronić niby, obrażonej zamyslił. I cóż z tego wypadło? Doprawdy, wypadło niewiele a mianowicie to, że kwestya zakrawająca na literacką, zmieniła się na nie wiem jaką, dość, że nieliteracką. I między główniejszemi rzeczami rzucono kość o to, czy kobieta mająca lat 25 albo mężczyzna 40, jest młody czy nie? Szło o to, czy Julka ma serce? Argumenta przytaczano mo-

one, a między innymi znalazło się i to zapewnienie, że choćby krytyk sto razy powtórzył, że Julka nie miała serca, to broniący sto razy odpowie, że miała! Miły Boże i wartoż było choć ćwiarteczkę bibuły na to zepsuć? Co na tém zyskała lub zyskać mogła literatura, co czytający, co krytyk, co wreszcie sam broniący i broniony? Radzono też krytykowi, żeby nie tak pośpiesznie sąd wydawał. Rada prawdziwie przyjacielska; ale jak każda rada, mianowicie też przyjacielska, ma tę wadę, że z niej korzystać w żaden sposób nie można. Możeby chciano, żeby na długie wieki pograżyć się w głębokiej zadumie, i nic nie jedząc, nie pijąc, uduchowniwszy się w ten sposób, przewartowawszy foliały, dopiero odważyć się usta otworzyć? Zaprawdę takby się też należało. Otóż tedy mnie się to wszystko tak wydaje: nowe dzieło wychodzi, weźcie już literackie w ścisłej-szém pojmowaniu wyrazu każde pismo peryodyczne, czy nie peryodyczne, jako organ pewnej opinii albo raczej pewnych opinij, przez usta swojego krytyka wyjawia zdanie swoje o niém; powiada jak je rozumie w związku, ze *status quo* myśli i czynu, jak dalece widzi spełnione wymagano warunki albo ich nie widzi. I rzecz skończona. Pismo każde wzbudza mniej więcej rozległą, mniej więcej wyraźną sympatyą albo antypatyą; a przynajmniej wzbudzać ją będzie, jeśli odłoni jasno swój kierunek. I tak być musi. Gdzie jest *za tam i przeciw*. A jako herezye i odszczepieństwa w religii wcale nie dowodzą obojętności, tak też chęć rozpowszechnienia zdań naszych i obalenia przeciwnych, jasno pokazuje, że do nich jakąkolwiek cenę przywiązujemy. Na wszystko z jednaką obojętnością pogląda, wszystkiego z jednaką spokojnością słucha tylko trup, albo mędrzec bogopodobny, dla którego nikną różnice, który wszystko pojmuje w zgodnej całości jednej, ale nie ogół, bodaj myślący. Dalej, każdy z czytających, czytając już tworzy sobie zdanie o tém co czyta, albo nie tworzy. W pierwszym razie porównywa je ze zdaniem krytyków i jakie może wyciąga wnioski, w drugim chwytą się cudzego oburacz. I już spr-

wa zupełnie załatwiona. Poco się bronić, apellować i do kogo? Gdzie treść tego warta, gdzie kwestye poważniejsze mogą być dotknięte, gdzie z powodu utworu jakiego rozbija się pytanie filozoficzne, estetyczne i t. d. rozumiem pożytek szermowania. O dziele zapomną łatwo, a rozwinięte poglądy mogą światło rzucić daleko naprzód i postępującym później oświecać będą nieprzechodne dotąd zakręty. Rozumiem także kilka recenzyj jednego i tegoż samego dzieła, bodaj lichego, a tém bardziej lepszego; i to się zdarza, i dowody świeże mamy, chociaż mówiąc nawiasem, to dla czytających niektórych wielkie żniwo, ale i kłopot nie mały. Ależ potrzeba nieco więcej ufać czytającym, boć nie wszyscy do tego drugiego rodzaju należą; potrzeba nie sądzić, że krytyk z samych śpilek złożony, że na głowie zamiast włosów węże fryzuje, że żyły mu jadem wzbięrają a on sam gorszy Saturna, karmi się nowemi dziełami, dziećmi cudzemi. I w naszym téż przypadku, krytyk jak każdy domyślić się powinien, zdania się swego nie wyrzekł, nie odmienił go. Boć on nie chorągiewką na dachu. Nie chce ja tu nikomu kadzidła palić, ani mię kto słusznie obwini, że cennym rzeczom wartości z umysłu odejmuję. Piszę jak widzę; czy widzę jak jest, osądzicie. Wiem ja, że mniejsza lub większa nauka, bystrzejszy pogład, zręczne wzięcie się i świadomość stanowiska rozbiieranego przedmiotu, jednego krytyka od drugiego całém niebem przegrodzić może. Ale i to wiem także, że kto *pro virili* sąd sobie o czém wyrobi dla jakichś tam uwag w ten moment go nie rzuci. Jeżeli sumiennie postępował, to sąd jego podparty będzie tém wszystkiém, co mu jego zapasy naukowe dostarczyć mogły; jeżeli jest nieco łatwiejszego sumienia, to jeszcze trudniej z nim dojsć do ładu. Wszelkie więc takie obrony na nie się nie zdadzą.

Pan J. I. powiedział niedawno w Athenaeum, że krytyk powinien wykazać piękności dzieła i powiedzieć dlaczego to piękno co jest. Zaiste to byłby za trudny obowiązek dla sumiennego człowieka. A nie wszyscy znowu tak się roz-

bratali z sumieniem, jak się to wydało panu J. I. kiedy pisał.

Cheąc ocenić tłumaczenie, któż nie wie, że trzeba mieć w ręku oryginał? Zabiérasz się do zdania sprawy o dziele historyczném, studujesz źródła, patrzysz jak je autor ocenił, pojął, jak dalece umiał z nich skorzystać; jaka jest jego myśl i jak ją rozwinął? To przecie wszystko wiémy już dawno. A jeżeli masz przed sobą obraz życia ci społecznego? tak samo; zaglądasz do źródła, do życia samego, porównujesz obraz z pierwowzorem, szukasz prawdy, pojęcia życia, całkowitego rozwinięcia. Patrzysz jaki moment wybrał autor i jak go artystycznie odtworzył.

Może tu miejsce będzie napomknąć, że rodowód utworów podobnych dwojaki jest. Raz, autor wśród ludzi, jeśli nie z ludźmi żyjący, patrząc na różnobarwny dramat życia, uderzony jednym wybitniejszym charakterem, jedną jego stroną, poczuwa w sobie chwile poczęcia, myśl odtworzenia go w powieści, dramacie i t. d. i to co z początku było za ledwo punktem świecącym, zarodkiem, dużej pomatu, nabiera siły, żywotności i t. d. Drugi raz, ktoś dla myśli swęj teoretycznej, stwarza ludzi, tak ich przynajmniej nazywa, kładzie im w głowy i w usta myśli swoje, a raczej sam przez ich usta przemawia, i broni się i zarzuty czyni, a wreszcie, naturalna, tryumfuje. Jestto fakt nie nowy. Literatura paryzka dowodów dostarczyć może. Wedle mnie to ma fałsz w sobie, ale jestto powiecie, jeden ze środków edukacji narodu. Dobrze, wszakże jeśli cel tój edukacji ma być osiągnięty, czego naturalna czeka się, to czyż na scenę nie trzeba brać ludzi raczej, ludzi żywych, aniżeli widma powoływać do życia *ad hoc*, aby oddekłomowawszy nasze tyrady, do grobu zstąpiły?

Myśli zupełnie nowéj, nieczekanéj teoryi co do przeszłości nie przystaje, organicznie z niéj nie płynie, nikt z nieba na ziemię nie sprowadzi, w głowy ludzkie siłą nie wszepli. I Bóg sam prawa sobie przepisawszy, nie łamie ich. Przedstawiciele więc myśli żyją, idzie tylko o wyrobienie takiej lub innéj większości. Zresztą i dążność ta edukacyjna

jest wyłączną własnością tworców drugiego rodzaju. Bo przedstawiając ludziom ludzi, z różnych stron, a niekiedy oświecając najciemniejsze zakątki ich głowy i serca, jaśniej aniżeli oni sami chcą lub mogą, ułatwia się im zastanowienie się nad sobą, pojęcie się w sobie, poczucie się we własnym jestestwie. A czyż to nie edukacya? Ten więc zamiar, cel wreszcie, godzić się musi z tém cośmy na początku o znaczeniu literatury wspomnieli, ale przy ogólniejszym poglądzie błędnie, maleje, na drugie usuwa się miejsce, o niektórych tylko odłamkach czasu, głośniejszemu świadczyć może. Myśl zaś w czyjś głowie wyległa, przepuszczona przez usta dziwolągów, niby ludzi, nie bójcie się! nic wielkiego nie zrobi. Co najwięcej błysnie i zgaśnie. Niemniej przeto świętym obowiązkiem jest grubą maskę z twarzy aktorom zerwać, ich oblicze na jaw ukazać. *Il mondo va perse stesso* mówią Włosi, rozumiejąc zapewne, że świat, że życie jak wulkan wiecznie gorący, bucha i sił swoich nie trawi, ma swoje prawa i słucha ich, ale narzuconych z zewnątrz nie przyjmie. Tak wpośród zgodnie śpiewających, niechaj kto puści fałszywy ton, wszyscy zdziwieni śpiewać przestaną, rozbiegą się na wszystkie strony, a on zostanie i jego tony, nie wzruszą serc, bo będzie śpiewał dla pustych miejsc. Takie myśli nasunęły mi się, kiedyś czytałem, w grud. Bibliot. Warsz. recenzją ostatniej powieści p. Szyrmer; recenzją według mnie rozumnie i treściwie napisaną, w której nieprzyjemnie uderzyły mnie te wyrazy: „autorka założyła sobie w każdej powieści mieć cel” i t. d... Co do samej recenzji jeszcze, warto było więcej uwagi zwrócić i zanalizować rozdział *jad we krwi*; myśl ta już była w jednej powiastce tegoż autora rozwijaną, chociaż nie tak dotykalnie jak tutaj.

L. Z.

Krótki opis zjawisk jakie towarzyszyły spadnięciu aerolitu, które w dniu 21 października 1844 r. we Francji w departamencie Aveyron pod Laissac spostrzeżono.

Ciekawe zjawiska spadania z atmosfery naszej kamieni aerolitami zwanych, dotąd nie są wyjaśnione. Jakim sposobem tworzą się te ciała po największej części z metalów złożone, i zawsze cechę topliwości której uległy na sobie noszące? Czy się tworzą z pierwiastków w atmosferze naszej zawieszonych, a w takim przypadku, z kąd te pierwiastki wziąć się mogły? lub czy ciała te są małemi urwiskami obcych ziemi naszej ciał niebieskich? Jak ciekawém byłoby rozwiązanie tych zapytań, tak niemniej interesującemi są zjawiska które spadaniu aerolitów towarzyszą. Sądzimy przeto, że przyjemném będzie dla naszych czytelników, opisanie szczegółów spadnięcia aerolitu, które w dniu 21 października 1844 r. miało miejsce pod Laissac w departamencie Aveyron we Francji, a które nam pan Ad. Baisse udzielił. Kamień ten spadł między 6tą i 7mą godziną z rana; atmosfera była jasna, temperatura łagodna przy lekkim północno-wschodnim wietrze. Kilka małych tylko chmur, które lekkimi plamami pogodne niebo zasłaniały, w kierunku wiatru poruszały się zwolna. Przy takim stanie atmosfera nagle gwałtowną eksplozyą, mocno wstrząśnioną została, i to było jedynym znakiem poprzedzającym spadnięcie kamienia aerolitowego: eksplozya ta czuć się dała w okręgu przeszło 12stomilowym, wrażenie jój jednak na słuch było stosownie do miejscowości rozmaite. Podróźni którzy się znajdowali na górach Lagniolle pod Lacalm w odległości 55 kilometrów od miejsca w którym kamień upadł, słyszeli jakby przytłumiony odległy turkot który z turkotem towarzyszącym trzęsieniu ziemi porównywali. Na polach w okolicy Rhodéz wiele osób uważało odgłos podobny do odgłosu wystrzału broni palnej, inni porównywali odgłos ten z odgłosem bębna, innym znów wydawał się podobnym do grzmotu i turkotu wielu wozów. W dolinie Aveyron mię-

dzy Sévirac i Laissac około 5 mil odległości od miejsca spadnięcia kamienia, słyszano odgłosy te daleko wydatniej. Naprzód spostrzeżono 10 do 12 detonacyj, które tak szybko po sobie następowały, że je zaledwo zliczyć można było. Potém uważano świst podobny świstowi kuli armatniej wyrzuconej z działa lub innego ciała, które z wielką szybkością powietrze przecina; świst ten zakończył się odgłosem podobnym do głosu dzwonek. Kilka osób zdumionych takiem zjawiskiem, zbliżyło się do miejsca w którym uważali, że z atmosfery jakieś ciało spadło, i spostrzeżono zaraz świeży otwór w ziemi, głębokości 14 centymetrów i w nim ciało zbite przy dotknięciu gładkie. Acrolit wtoczył się mocno między inne kamienie, które w tém miejscu się znajdowały, a po odkopaniu wydobyto go. Waży on 3 funty, ciężkość gatunkowa 3,55, przyciąga bardzo mocno igłę magnesową, przy uderzeniu wydaje zapach siarki. Kształt jego jest nieregularna czterościenna piramida z zaokrąglonemi kantami, kilka kawałków małych zdają się być oderwaniami od niego. Powleczoney jest cienką, czarną, metaliczną, połyskująca skorupą. W złamie jest popielato-szary, ziarnisty, w dotknięciu szorstki. Przez szkło powiększające dają się rozróżnić 4 części główne składowe.

- 1) Ziarna jasno-szara, która jest masą główną wiązarkową.
- 2) Części zeszlone jasno-żółtego koloru, podobne do oliwinu.
- 3) Jasno-żółte, cokolwiek w czerwonawy kolor wpadające metalowe części, które zdają się być siarczykiem żelaza.
- 4) Małe, białe, połysk mające, metalowe ziarna, które połączeniem żelaza z niklem być się zdają.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Regnault przedstawił akademii paryżkiej ważną pracę, w której zamierzył zbadać, czyli zasada ściśliwości płynów sprężystych wiadoma w fizyce pod nazwaniem prawa Mariotta, stosuje się w zupełności do wszystkich gazów. Wy-
padki téj wielkiej co do liczby doświadczeń, różnaitości uży-
tych metod i aparatów pracy, są następujące:

Ściśliwość powietrza atmosferycznego nie odpowiada w całej dokładności prawu Mariotta, zżyma się ono bowiem więcej aniżeliby powinno według téj zasady; podobny fenomen przedstawia saletroród; dla kwasu zaś węglowego. prawo Mariotta nie może być uważaném nawet jako przybliżo-
ne, skoro ten gaz obserwowanym jest pod znaczniejszymi ciśnieniami.

Wodoród jak i powietrze nie podlega dokładnie zasadzie przez Mariotta odkrytej, w tém jednak różni się od niego, że zboczenia mają miejsce w przeciwném znaczeniu. To jest że skoro powietrze i inne wspomniane gazy pod pewnym ciśnieniem więcej się skupiają aniżeliby powinny według tego prawa, wodoród przeciwnie w miarę zwiększanego ciśnienia mniej się skurcza. Wodoród pod względem sprężystości porównać można do sprężyny, która jak wiadomo

tém większy przedstawia opór zewnętrznej sile, im pod znaczniejszém już znajduje się ciśnieniem.

Dotychczas przywykliśmy uważać prawo Mariotta za wyrażenie matematyczne dokładnego stanu gazowego ciała; jeżeli jaki gaz usuwa się widocznie zpod tego prawa skupiając się więcej aniżeli tego teorya wymaga, mówimy że ten gaz nie jest zupełnie sprężysty. Z powyższego przekonywamy się, iż do znacznej liczby dawniej już poznanych niedokładnie sprężystych gazów, doliczyć należy powietrze i saletroród. Wychodząc z tego punktu zapatrywania się na sprężystość gazów, skoro jakowy gaz przekracza w przeciwném znaczeniu prawo Mariotta, będące matematyczném wyrażeniem doskonałej sprężystości stanu gazowego, wówczas wypadaloby przyjąć taki gaz za więcej jak doskonale sprężysty; takim więc płynem byłby wodoród.

Daléj z doświadczeń Regnault'a wypada, że temperatura wielki wpływ wywiera na sprężystość gazów, tak np. w wyższych temperaturach sprężystość powietrza więcej się przybliża do prawa Mariotta, aniżeli w niższych temperaturach, i że różnice ztąd wynikające stopniowo zmniejszają się w miarę zwiększania temperatury, a w znacznie wysokich temperaturach te różnice przyjmują przeciwny kierunek. Podobne zjawisko Regnault spostrzegł na wodorodzie. W ogóle zdaje się, iż dla każdego gazu uważanego pod pewnym ciśnieniem istnieje odpowiednia temperatura, przy której ten gaz ściśle podlega prawu Mariotta, a niżej i wyżej téj temperatury następują zboczenia od dokładnej sprężystości lecz w przeciwnych kierunkach. (*L'Institut*, nr. 669, Octobre 1846).

S. P.

CHEMIA.

Cukier mleczny w jajach kurzych. F. L. Winkler otwierając dwa jaja kurze na miękko ugotowano, które poprzednio zdawały się być zalężone, znalazł w nich białko zna-

laż w nich białko znacznie wodniste i posiadające smak słodki. Po skrzepnięciu tegoż białka przez zagotowanie z wodą, i wyparowaniu cieczy otrzymanej, z wytrawiania wodą obudwóch jaj, wydobyto z niej około 8 gran cukru mlecznego. Nie rozstrzygnięto jednak, czy cukier mleczny zawsze się tworzy przy zalęganiu jaj, czyli téż jest to stan niewyznaczajny. (*Journal für praktische Chemie* nr. 20, z r. 1846).

J. B...a.

MINERALOGIA.

Rozbiór rudy żelaznej z Tychowa pod Itzq.

Na rudzie żelaznej z Tychowa do *brauner Thoneisenstein* należącój, znajdują się cienkie warstewki, z rozłamem promienistym budowy jak w *glasskopf*, własnościami różne od reszty masy rudy zbitej, bez jakiegokolwiek krystalicznego wykształcenia (*dichter Thoneisenstein*).

Dla przekonania się, czy te części mają skład jednakowy lub różny, poddano je rozkładowi chemicznemu, który zwykłą drogą był wykonany.

a) 100 cz. rudy w + 100° suszonej, dają 87,956 rudy palonój, a zatem 12,044% wody.

b) 1,2297 rudy w + 100° suszonej, dają 1,0816 rudy wypalonój, a zatem 0,1481 wody = 12,043%.

Rozbiór:

1) 1,9347 rudy w + 100° suszonej, dały:

0,1018 krzemionki,

1,5801 kwasorodniku żelaza,

0,2331 wody.

2) 2,028 rudy suszonej = 1,770 palonój, dały:

0,107 krzemionki,

1,6605 kw. żelaza,

0,258 wody.

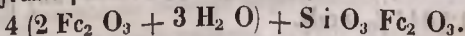
Ztąd wypadła skład procentowy:

	1) Kwasoród.		2) Kwasor. Atomy. Oblicz.			
Krzemionki.....	5,2618	2,734	5,276	2,743	1	5,378
Kwasoro. żelaza.	81,6710	25,00	81,875	25,10	9	82,046
Wody.....	12,0440	10,7	12,299	10,93	12	12,576
	<hr/>		<hr/>		<hr/>	
	98,9768		99,450			100,000

Niema więc wątpliwości, że ruda promienista z Tychowa, zawiera krzemionkę, która jest w związku chemicznym, ponieważ przy rozpuszczaniu w kw. solnym, oddziela się w postaci materji galaretowój. Ilość jęj wynosi około: 5,4% (*).

Według zdania *Breithaupt*, glasskopf brunatny, zawiera kilka p. c. krzemionki, którą on w Brauneisensteinie włóknistym za część istotną uważa, lecz zdaje się, że mogą być gatunki glasskopfu brunatnego, bez krzemionki związkowój. *Kobbel* np. w Brauneisensteinie z Kamensk w gub. permskiej, znalazł tylko 1,61%. *Daubuisson* w odmianie z Videssos, otrzymał tylko 1%; może więc będzie potrzeba odróżnić wodnian żelaza czysty, od wodnianu krzemionkę zawierającego, a przynajmniej niema żadnej wątpliwości, że *Lepidokrokit*, którego *Breithaupt* i inni mineralogowie Brauneisensteinu liczą, jest gatunkiem zupełnie różnym.

Skład rudy brunatnej, włóknistej z Tychowa, można wyrazić przez wzór racjonalny:



Mniej byłby podobnym do prawdy wzór: $6 (\text{Fc}_2 \text{O}_3 + 2 \text{Ag}) + \text{S i O}_3, 3 \text{Fc}_2 \text{O}_3$, chociaż w nim przyjmujemy wodnian $= \text{Fc}_2 + 2 \text{Aq}$, który otrzymał *Gmelin* w osadzie z chlorniku żelaza przez amoniak strąconym i w $+100^\circ$ wysuszonym.

Część zbita, na której ruda promienista osiadła, okazuje skład odmienny. Kwas solny zostawia pozostałość piaskową, bez śladów krzemionki galaretowój.

(*) 2,817 rudy suszonej w $+100^\circ$, dały 0,1555 krzem. = 5,408%.
1,282 — — 0,06639 — 5,52%

1) 2,874 rudy surowej, dają:
2,542 — palonej,

0,332 strata wody = 11,55%.

2) 2,029 rudy, dają:

1,403 $\text{Fe}_2 \text{O}_3$,

0,2343 $\text{H}_2 \text{O}$,

0,3820 mat nierozpuszczalnyj.

Ztąd wynika skład procentowy:

$\text{Fe}_2 \text{O}_3 = 69,147$ 21,00 kwasorodu 2 atomy,

$\text{H}_2 \text{O} = 11,550$ 10,268 — 3 atomy.

18,837 mat nieroz. (piasku).

99,524

Odliczając materye obce w 2,0 9 rudy, zostanie 1,647—
w nich:

$\text{Fe}_2 \text{O}_3 = 85,185$,

$\text{H}_2 \text{O} = 14,815$.

Wyrażenie dla rudy zbitej jest:

$2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$. Taki sam skład z bardzo małą różnicą
w tysięcznych częściach, *Berzelius* podaje dla rdzy żelaznej.

Mamy więc w rudzie Tychowskiiej wodnian żelaza: $2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$, który w części promienistej jest połączony z krzemianem zasadowym ($\frac{1}{3}$ krzemian żelaza); część zbita powstaje z samego $2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$ z domieszczeniem piasku. Pierwszą rudę należałoby odróżnić nazwiskiem: *krzemiano-wodnian żelaza*.

Byłoby rzeczą ciekawą badać inne rudy krajowe, czém zapewne współpracownicy Biblioteki w oddziale chemii, zająć się nie zaniedbają.

2. Węgiel brunatny.

We wsi Biernik, w obwodzie rawskim o $\frac{3}{4}$ mili od stacyi kolei żelaznej Radziwiłłów, pod warstwą ziemi na 3 łokcie i więcej grubą, znaleziono 5 warstw materyi do węgla brunatnego, mianowicie do Blatt, albo Papier-Koble zbliżonej. Niektóre kawałki są podobne do torfu, i okazują niczupel-

nie rozłożono szczątki roślinne. Wszystkie te warstwy razem wzięte, składają pokład 6 łokci gruby, i według czynionych przez właściciela poszukiwań, dosyć znaczną rozległość zajmują.

Nie mamy jeszcze podać, jakie jest jego geognostyczne położenie; lecz ze względu przemysłowego, ta masa materiału zdolnego do opalania, blisko drogi żelaznej leżąca, może być ważnym odkryciem dla uboższej klasy Warszawy, ponieważ zastąpi drzewo, nateraz wysokiej ceny. Może nawet będzie przydatny do opalania kotłów parowych, w fabrykach i lokomotywach, jeżeli ilość popiołów które zostawia, w użyciu jakich niedogodności nie okaże.

Doświadczenia z tym materiałem przedsięwzięte, okazały następujące wypadki:

Węgiel brunatny świeżo wydobyty, urobiony w kostkę 17,^{c. s.}424, waży 13,^{gr.}129, a zatem 1^{c. s.} waży 0,^{gr.}753. Po wysuszeniu w + 100° zmniejszył swą objętość na 10,^{c. s.}830 ważył 4,^{gr.}102, czyli 1^{c. s.} waży 0,^{gr.}378.

Taż sama kostka objętości 10,^{c. s.}830 w naczyniu zamkniętym zwęglona, wydała węgla 5,^{c. s.}400, ważącego 1,^{gr.}544, to jest daje węgla 50% objętości 14,35% wagi.

Spopielenie 4,^{gr.}102 węgla w + 100° suszonego, dają 0,^{gr.}240 czyli 5,85% popiołów.

Rozbiór ostateczny:

1) 0,^{gr.}310 węgla brunatnego w + 100° suszonego, z kwasorodnikiem miedzi w aparacie Liebiga spalone, dały:

wody..... 0,175 = 6,2724% H

kw. węglan... 0,633 = 56,153% C.

2) Dla skontrolowania powtórzono spalanie z chromianem ołowiu 0,^{gr.}301 materji w + 100° suszonej dały:

0,172 wody = 6,349 H.

0,609 kw. węglan. 55,639 C.

Nie oznaczano ilości azotu; mała bowiem ilość jego nie ma wpływu na wartość techniczną.

Z powyższych rozbiorów, wynika skład następujący:

	I.	II.
Popiołów	5,850	5,85
Węgla	56,153	55,639
Wodorodu	6,272	6,340
Kwasorodu) Azotu)	31,725	32,155
	100,000	100,000

Zamieniając ilość wodorodu zbytkową na węgiel, wypada obliczyć w I) węgla 63,075, w II) 62,624.

Jeżeli według tych danych, ogrzewalność węgla brunatnego z Biernik, porównamy z drzewem sosnowym, okaże się wartość równych wag jak 1 : 1,135,

równych objętości jak 1 : 0,959.

a zatem w takim samym stosunku przyjąć można wartość, jaką mieć może jako materiał opałowy (*). Lecz wartość ta byłaby zbyt wysoką, ponieważ węgiel brunatny w paleniu wywiązuje zapach nieprzyjemny, podobnie jak torf; nie równie więcej niż drzewo zostawia popiołów. W ogóle, wartość jego nie może być wyższą od torfu, a nawet nie wyrównywa niektórym jego gatunkom.

S. Ddz.

(*) Zasady takiego obliczenia wyjaśniłem w rozprawie „Badania torfu i innych materiałów opałowych”, która w najbliższym numerze Roczników gospodarstwa krajowego będzie ogłoszona.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1845.

KIJÓW.

435. *De mechanismo implicationis pilorum in Plica Polonica disquisitiones microscopicae auctore A. de Wather. Kiowiae. 1845.* (Pamiętnik lekarski Warsz. T. XVI z. 1. 1846.)

1846.

WARSZAWA.

158. Homilie o męce Pańskiej Wilhelma de la Luzerna Kardynała i Biskupa Lingoneńskiego, w przekładzie z Francuzkiego na język Polski przez X. P. Rzewuskiego, dla użytku wiernych. zwłaszcza kapłanów, na dwuletnie kazania passyjne przerobione. 8ka. Warszawa. 1846. Druk XX. Missyonarzy. Kart 4 i str. 240. Ztp. 3 gr. 10.

159. Prawdziwy Judaizm, czyli zbiór religijno-moralnych zasad Izraelitów czerpanych z klasycznych dzieł rabinów, zebrał i ułożył A. Buchner, nauczyciel języka Hebrajskiego i wykładu biblii w szkole rabinów. Godło:

Opinionum comenta delot dies,
Naturae iudicia confirmat.

Cicero L. II. de nat. Deorum 5.

8ka. Warszawa. 1846. Druk J. Jaworskiego. Str. LVIII i 167. Napisów i listy pren. kart 6. Omyłek karta 1.

1847.

WARSZAWA.

14. Dzieje Jana III Sobieskiego króla Polskiego, Wielkiego księcia Litewskiego, przez Leona Rogalskiego. 8ka wielka. Warszawa 1847. Nakład G. L. Glücksberga. Druk St. Strąbskiego. (Z ryciną). Str. 535. Ztp. 20.

15. Kodex Dyplomatyczny Polski, obejmujący przywileje królów Polskich, Wielkich książąt Litewskich, Bulle Papieżkie jako też i wszelkie nadania prywatne, mogące posłużyć do wyjaśnienia dziejów wewnętrznych krajowych dotąd nigdzie niedrukowane, od najdawniejszych czasów aż do roku 1506. Wydany za staraniem i pracą Leona Ryszczewskiego i Antoniego Muczковского, adjuktą Arhiwum Głównego Królestwa Polskiego, wzbogacony przypisami aż do nr. CVII, przez Antoniego Zygmunta Helcel. Obojga Prawa Doktora. (Obok tenże tytuł po łacinie). Tom I. 4ka. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. Napisów kart 2, str. XXXII i 367. Indexu str. LXXXII, dodatków i pomyłek str. 8. (Z 5 podobiznami dyplomatów). Ztp. 36.

16. Miljon Posagu, powieść przez Józefa Ignacego Kraszewskiego. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Tom. 1, str. 203. II, 260. W każdym napisów kart 2, i rejestru karta 1. Złp. 13 gr. 10.

17. Młoda Pszczółka. Pierwsze myśli — pierwsze pojęcia, przez Marcellego Skotnickiego. Z godtem:

Małpa naśladuje człowieka, którego się boi; ale nie naśladuje zwierząt, któremi gardzi.—*J. J. Rousseau.*
8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Jaworskiego. Str. XIV i 190. Rejestru karta 1. Złp. 6 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni i składu nut Ig. Klukowskiego, wyszło nowe dzieło na fortepian przez Józefa Sikorskiego. Cena w Warszawie i na wszystkich urzędach i stacyach pocztowych Królestwa złp. 10. Szkoła ta, jest zastosowana do stopniowego postępu uczniów i tak ułożona, że i osoby mało z zawodem nauczycielskim w muzyce oswojeni, mogą podług niej ucznia poprowadzić. Przykłady są po większej części z muzyki polskiej czerpane.

E. Bogustawski ma zamiar wydać romans obyczajowy w 8 tomach pod napisem: Daguerotypy Warszawy.

Stanisława Jachowicza dziełko p. t. „Pamiętka dla Eryczka”, będąc wciągu jednego roku rozkupione, wyjdzie wkrótce w powtórzoném wydaniu.

Filip Romanowski naucz. rysun. ogłosił prospekt na: „Teoryę pierwiastkowych zasad nauki rysunków, uważanej z punktu widzenia artystycznego”.

L W Ó W.

(Nadestano)

Z pierwszym styczniem r. 1847 rozpocznie się rok ósmy „*Dziennika mód Paryżkich.*” Pismo to wychodzi we Lwowie regularnie co dni czternaście. Do każdego numeru załączona jedna rycina z kilku osób składająca się, przedstawiająca mody paryżkie starannie wypracowane. Oprócz tego, najmniej co kwartał będą w tym roku dodawane z najpierwszych pracowni paryżkich, formy w naturalnej wielkości najmodniejszych sukni damskich i dla dzieci, peleryn, mantylek, czépków, kapeluszków, kołnierzyków, wzorków do haftów i rozmaitych innych robót damskich. Za po-

moją tych form i rysunków, można będzie łatwo przykrawywać suknie lub inne stroje najświeższej mody i uskutecznić roboty. W pierwszym zaraz numerze na rok 1847, będzie kilkanaście wspomnianych przedmiotów umieszczonych. Formy sukni męzkich w zmniejszonej lub czasem w naturalnej wielkości, będą i nadal dla krawców męzkich do każdego numeru Dziennika mód dotaczane. W dzienniku samym, oprócz opisów wszystkich nowości mody, mieszczą się powieści oryginalne, rysy obyczajowe, opisy kraju i podróże, poezye, rozprawy odnoszące się do życia społecznego i sprawozdania z teatru. Stałą przytem rubrykę Dziennika mód będzie nadal stanowić przegląd i rozbiory ważniejszych dzieł z pięknej literatury polskiej, oraz przegląd sławniejszych utworów muzycznych swoich i obcych. W tych zawodach zapewniła sobie redakcyja stałą pomoc pisarzy.

Pismo to osobiłwie polskim kobietom poświęcone, co tylko przyjemne i pożyteczne w domowym zawodzie kobiety być może a zmieści się w zakres tego pisma, podawać ma płci pięknej; kobiet więc opiece najlepiej będzie poruczyć przyszłość tego pisma.

Pomimo dodawania w następującym roku rozmaitych wyżej wspomnianych rysunków, dla Cesarstwa Rossyjskiego i Królestwa Polskiego dawniejsza cena zniża się na rok 1847. Z opłatą pocztową aż do granicy, ustanawia się roczna prenumerata na złp. 40. Prenumerować można na wszystkich pocztach Cesarstwa Rossyjskiego i Królestwa Polskiego, gdzie roczna opłata pocztowa od granicy jest już wyznaczona w roku 1840.

Ostrzeżenie.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej uprasza swych prenumeratorów, którzy chcą odbierać jéj Pismo w Cesarstwie, aby raczyli wprost od siebie przesyłać stosowną należność do Urzędu Pocztowego w Wilnie, bez odnoszenia się do niej, gdyż nie stojąc w żadnych stosunkach z tamtejszą władzą pocztową, przymuszona jest odsyłać napowrót nadsyłane kwoty pieniężne do Wilna, przez co jest narażoną na ponoszenie podwójnych kosztów portoryi, a prenumeratorowie na niepotrzebną zwłoką, która ztąd koniecznie wyniknąć musi.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



Liŝtopad 1846.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,00 metrów nad poziom morza.
Czyli w dniu 1844-1847, na wysokość

Czas	TERMOMETR		BAROMETR		Wiatr	Chmury	Widoczność
	Wzrost	Opad	Wzrost	Opad			
1	10,1	0,1	757,0	0,0			
2	10,2	0,1	757,0	0,0			
3	10,3	0,1	757,0	0,0			
4	10,4	0,1	757,0	0,0			
5	10,5	0,1	757,0	0,0			
6	10,6	0,1	757,0	0,0			
7	10,7	0,1	757,0	0,0			
8	10,8	0,1	757,0	0,0			
9	10,9	0,1	757,0	0,0			
10	11,0	0,1	757,0	0,0			
11	11,1	0,1	757,0	0,0			
12	11,2	0,1	757,0	0,0			
13	11,3	0,1	757,0	0,0			
14	11,4	0,1	757,0	0,0			
15	11,5	0,1	757,0	0,0			
16	11,6	0,1	757,0	0,0			
17	11,7	0,1	757,0	0,0			
18	11,8	0,1	757,0	0,0			
19	11,9	0,1	757,0	0,0			
20	12,0	0,1	757,0	0,0			
21	12,1	0,1	757,0	0,0			
22	12,2	0,1	757,0	0,0			
23	12,3	0,1	757,0	0,0			
24	12,4	0,1	757,0	0,0			
25	12,5	0,1	757,0	0,0			
26	12,6	0,1	757,0	0,0			
27	12,7	0,1	757,0	0,0			
28	12,8	0,1	757,0	0,0			
29	12,9	0,1	757,0	0,0			
30	13,0	0,1	757,0	0,0			

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomicznym

WARSZAWSKIEM.

Listopad 1846.

Listopad 1846.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'45", na wschód

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	762.53	763.04	762.16	762.10	- 4°0	- 0°7	+ 4°3	- 2°5	81.0
2	762.07	762.24	761.19	760.98	- 5.8	- 0.2	+ 3.1	- 2.5	88.0
3	760.53	760.66	761.10	761.82	- 5.9	- 2.5	+ 3.4	- 2.8	86.2
4	762.80	763.18	763.44	764.47	- 5.0	- 1.4	+ 2.9	- 2.0	83.5
5	765.57	766.31	765.98	766.10	- 5.7	- 1.4	+ 1.8	- 1.5	94.5
6	765.86	765.86	765.41	764.30	- 1.6	- 1.3	- 0.8	- 0.4	100.
7	763.00	763.28	762.15	761.40	- 3.6	- 2.4	- 1.3	- 2.8	98.7
8	761.52	762.02	762.04	762.66	- 5.4	- 2.4	+ 1.5	- 0.9	93.5
9	763.41	764.02	764.20	765.33	- 4.0	- 3.0	- 2.8	- 2.6	100.
10	766.40	767.12	766.67	765.73	- 2.1	- 0.9	- 0.3	- 0.3	100.
11	763.26	762.66	760.03	757.87	- 0.8	- 0.3	+ 0.1	+ 0.8	98.0
12	756.37	758.91	760.77	762.22	+ 2.1	+ 4.1	+ 0.9	+ 1.1	88.5
13	760.84	759.71	756.31	753.33	- 1.8	- 0.1	+ 0.7	+ 1.1	90.0
14	749.41	748.83	746.80	747.33	+ 3.4	+ 4.5	+ 5.5	+ 5.9	95.5
15	748.42	749.18	750.08	754.63	+ 2.2	+ 2.5	+ 1.2	- 2.5	95.2
16	757.62	759.11	762.21	764.14	- 3.3	- 1.8	- 3.3	- 7.3	87.7
17	763.81	764.02	763.24	762.42	- 3.3	- 1.0	- 1.6	- 4.5	87.5
18	760.17	760.00	758.83	758.17	- 10.0	- 6.3	- 3.0	- 6.9	94.2
19	758.18	757.90	756.69	756.28	- 10.1	- 4.3	- 1.8	- 5.0	89.5
20	756.74	757.30	756.30	755.15	- 2.9	+ 0.7	+ 2.4	- 2.6	88.5
21	753.04	753.31	752.30	752.13	- 5.2	- 1.4	+ 2.0	- 0.6	83.0
22	751.84	751.32	748.73	745.25	- 0.5	+ 0.9	+ 1.5	- 0.4	89.2
23	741.97	742.54	743.14	744.73	+ 0.8	+ 3.1	+ 3.4	+ 2.1	97.5
24	746.19	747.69	749.00	750.49	+ 1.1	+ 1.7	+ 1.6	- 0.1	95.7
25	750.46	750.90	749.49	747.21	- 0.6	- 0.8	+ 0.9	- 0.9	97.7
26	743.79	743.11	740.45	740.29	+ 1.2	+ 3.0	+ 6.6	+ 6.9	92.7
27	739.08	738.88	736.67	734.59	+ 4.9	+ 6.0	+ 6.6	+ 8.0	93.5
28	734.50	735.47	737.33	740.74	+ 7.8	+ 7.5	+ 6.8	+ 2.9	90.5
29	740.33	740.06	740.55	743.12	+ 1.8	+ 2.1	+ 2.6	+ 3.9	95.0
30	745.03	745.03	743.16	746.35	- 1.2	+ 0.9	+ 0.8	+ 0.1	90.0
Śre.	755.192	755.455	754.881	754.944	- 1° 92	+ 0° 12	+ 1° 44	- 0° 63	92.2

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 47^s.
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczu	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pogd. mgła	pogodny	pogodny	smugi	—	—	W.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	W.	PdW.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
pogodny	pochmurny	pogodny	pogodny	—	PdW.	PdW.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
mgła	mgła	mgła	mgła	—	—	PnW.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdZ.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
dészcz	pochmurny	chm. podz.	pochmurny	Z.	PnZ.	PnW.	Pn.	1.20	
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	dészcz b. dr.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	dészcz b. dr.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.80	
napót pog.	pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		0.72
pochmurny	pr. pochm.	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	zamglony	—	—	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
dészcz	pochmurny	dészcz b. dr.	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.	2.80	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
mgła	mgła	pochmurny	mgła gruba	Z.	Z.	Z.	—		
		pochmurny	pr. pochm.	—	Pd.	PdW.	PdW.		
pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PdZ.	0.50	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	chm. podz.	chm. podz.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
lek. zamgl.	pochmurny	pochmurny	napót pog.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	1.20	
napót pog.	napót pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
								6.50	0.72

Średnia wysokość barometru miesięczna	755.119	mm.	27	10.740	c.	l.
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o g. 10 r.	767.12		28	4.061		
Najniżej barometr dochodził d. 28 o g. 6 r.	734.50		27	1.601		
Średnia zmiana dzienna barometru	3.60			1.60		
Największa zmiana dzien. d. 13—14 o g. 6 r.	11.43			5.08		

Średnia wysokość barometru miesięczna jest wyższa o	4.996		27	2.215		
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	750.123		27	8.525		
Średnia temperatura Listopada wynosi	— 0° 25 C.			— 0° 20 R.		
i ta jest niższa o	1.65			1.32		
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 1.40	„		+ 1.12	„	
Największe ciepło dochodziło d. 27 o g. 10 w.	+ 8.0	„		+ 6.4	„	
Najmniejsze d. 19 o g. 6 r.	— 10.1	„		— 8.1	„	

(Termometrogaf wskazał Maximum
d. 27 wiecz. + 7° 0 R.; Minimum
d. 19 rano — 9° 1 R.)

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.33	„		1.86	„	
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 14—15 o 10 g. w.	8.4	„		6.7	„	

Średnia wilgotność miesięczna atmosfery wynosi 92,2 biorąc
100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną; albo 4,87 gram-
mów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 8; napót pogodnych 7; pochmurnych 15.
— deszczu 7 (d. 12, 13, 14, 23, 26, 27, 29).
— śniegu 2 (d. 10, 16).
— mgły 5 (d. 3, 7, 9, 24, 25).

Wody z deszczu spadło wysoko na 6,50 millim. czyli 2,92 linij
par.; z śniegu na 0,72 millim. czyli 0,32 lin. par., razem z deszczu
i śniegu 7,22 millim. albo 3,24 lin. par. co wynosi tylko trzecią
część tej ilości wody, jaka zwykle w tym miesiącu spada.

Listopad r. b. był pogodny, lecz zimniejszy o 1,32 stop. R. jak
zwykle. W stanie średnim w listopadzie, stosunek dni pogodnych
do napót pogodnych i pochmurnych jest, jak 3 : 6 : 21; w r. b. dni
pogodnych było 8; napót pogodnych 7, pochmurnych 15, co pok-
azuje że stan nieba w listopadzie r. b. był pogodniejszy niż zwy-
kle. Deszcze były rzadkie i nieobfite: Stan powietrza spokojny,
wichrów ani razu nie było.

Wiatr panujący był Południowo-Wschodni, a po nim najczę-
stszy Zachodni.

D. 1 wieczór, koło białe otaczało księżyc.

PROSPEKT.

Nakładem podpisanej Księgarni wyjdzie w Styczniu 1847 r. *pierwszy* poszyt dzieła pod tytułem:

W ALPACH

ZA ALPAMI.

PRZEZ

L. P. R....

Znanej autorki *Wspomnień o Francyi* nowe ogłaszamy dzieło, które za prawdę z bogaci ubogą w tej gałęzi literaturę naszą, i znajdzie u czytającej publiczności licznych wielbicieli. Autorka, przebiegłszy najpiękniejszą część Szwajcaryi, wprowadza zdumionego czytelnika do rozkosznej krainy południa, tej pięknej ziemi Italii, ojczyzny Petrarcki, Tassa, Rafaela, odwiecznej kolebki sztuk i umiejętności. — Tu — nie tylko teraźniejszość nam przedstawia w obrazach pełnych życia i prawdy, ale i przeszłość w szkicach lekkich lecz wiernych przypomina: nie tylko nam powiada, że tak jest, ale i dla czego tak jest: — nie tylko krajobrazy cudnej piękności maluje kolorami żywymi, przenosząc nas w te urocze okolice, ale otwiera nam i owe wzniosłe świątynie, owe słynne galerye, i tam na arcydzieła sztuki z uniesieniem a zarazem z głęboką znajomością rzeczy się zapatruje.

Dzieło to jako rzeczywistej wartości pomnik, zostanie w literaturze naszej; i obok tego dla każdego podróżnika będzie drogim przewodnikiem w wyszukiwaniu i zapatrywaniu się na pomniki sztuki i historii, w które włoska kraina obfituje. —

Cafe dzieło, ozdobione Gcią prześlicznymi rycinami na stali, wyjdzie w trzech tomach, czyli w Gciu poszytach; w osemce większej na pięknym welinowym papierze.

Cena prenumeraty złp. 30, którą częściowo po złp. 5, przy odbiorze każdego poszytu, opłacać można.

Co miesiąc łaskawi prenumeratorowie regularnie po jednym poszycie odbiorą. — Prenumerować można we wszystkich Księgarniach.

w Warszawie d. 15 Grudnia 1846 r.

FR. SPIESS I SPÓŁKA.

O odwoływaniu się od wyroków niezupełnie uniewiniających, na zasadzie artykułu 23 ustawy senackiej z d. 26 v. s. marca 1842 r. co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki.

Kwestya o możności odwoływania się od wyroków niezupełnie uniewiniających, czyli tymczasowo uwalniających, rozbięraną już była przed ogłoszeniem ustawy senackiej z dnia 26 marca 1842 r., w rozprawie umieszczonej w poszycie Biblioteki Warszawskiej z miesiąca lutego t. r. (*) pod napisem:

„Czy od wyroków pod formą tymczasowego uwolnienia zapadłych, a mianowicie od wyroku, którym obwiniony *ab instantia* lub dla braku dowodów uwolnionym, albo którym inkwizycya dla niedostatku prawnych dowodów przerwana została, rekurs w drodze kassacyi ma miejsce lub nie?”

Z wyjaśnienia kolei historycznej, jaką zachodząca kwestya w praktyce sądowej, od r. 1808 aż do ogłoszenia

(*) Tom I, str. 338.

ustawy senackiej przebiegła, okazało się: że sąd kassacyjny przyjmował i rozpoznawał rekursa od wyroków tymczasowo uwalniających, bądź że uwolnienie według ordynacyi kryminalnej pruskiej, z mocy § 409 *ab instantia*, lub z mocy § 413 w związku z § 414 dla braku dowodów nastąpiło, bądź że według procedury kryminalnej austryackiej części I, § 428, lub części II, § 386 inkwizycya dla niedostatku dowodów prawnych przerwaną została.

Sąd apellacyjny przeznaczony w r. 1814 do zastępstwa sądu kassacyjnego, z władzą ostatecznego wyrokowania, początkowo w tym samym duchu postępował; później zaś praktykę swą zmieniwszy, rekursa od wszystkich tego rodzaju wyroków, nie wyłączając uwolnienia z mocy § 409 procedury pruskiej, za niemające miejsca czyli za niedopuszczalne uznawał.

Z rozbioru teoretycznego tak przepisów proceduralnych jak ustaw organicznych sądownictwa okazało się, że jurysprudencya sądu kassacyjnego w przyjmowaniu rekursów od wszelkich wyroków tymczasowo uwalniających, odpowiednią była systematowi organicznemu prawodawstwa obowiązującego; czyli innymi słowami, że odwołanie się od wyroków tymczasowo uwalniających czyli niezupełnie uniewinających, obwinionym służyć i służyć powinno.

Zachodzącą dotąd kwestyą, przez niejednostajną praktykę sądu apellacyjnego wywołaną, rozstrzygnęła ustawa senacka z d. 23 marca 1842 r. co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki, stanowiąc w artykule 23:

„Odwołanie się do senatu od wyroków sądu apellacyjnego, równie jak odwołanie się od wyroków sądów niższych instancyj, służyć będzie skazanym,

czyto na karę, czyto jedynie na ponoszenie kosztów, jak również i *niezupelnie uniewinionym*."

W sądownictwie kryminalném tutejszém, wszelkie wyroki zapadają na podstawie procedur kryminalnych pruskiej lub austriackiej. Ustawa więc senacka pozwalając skazanym bądź na karę, bądź jedynie na koszt, jako też niezupelnie uniewinionym odwołania się do wyższych instancyj, miała oczywiście na celu wszelkie kategorie wyrokowania, jakie w pomienionych procedurach są ustanowione, a nie zawierają w sobie zupełnego uniewinienia.

Procedura austriacka zna trzy tylko kategorie wyrokowania, a mianowicie:

skazanie na karę;

uniewinięcie; i

przerwanie inkwizycji dla niedostatku prawnych dowodów.

Procedura pruska, w istocie pięć kategorii wyrokowania ustanowiła, a mianowicie:

skazanie na karę zwyczajną;

skazanie na karę podzwyczajną;

zupełne uwolnienie dla wykrytej niewinności;

zupełne uwolnienie dla braku dowodów;

uwolnienie *ab instantia*.

Co do kosztów, procedura austriacka w części I § 536 i 537, w części II § 440 rozporządza, że uniewiniony wolny będzie od kosztów; uwolniony zaś przerwaniem inkwizycji dla braku dowodów, na koszt skazany być winien.

Procedura pruska w § 617 wkłada obowiązek ponoszenia kosztów na uwolnionego *ab instantia*, w § 609 zaś uwalnia od ponoszenia kosztów zupełnie uwolnione-

go, chyba gdyby sam dał powód do inkwizycji nieprze-
zorném i nierzetelném postępowaniem.

Zupełne uwolnienie, podług § 413 i 414 jest dwo-
jakie: jedno dla wykrytėj niewinności, drugie dla braku
dowodów. Ztąd więc uwolniony dla braku dowodów,
który z tėj właśnie przyczyny, raz na zawsze za dające-
go powód do inkwizycji uważa się, zawsze skazaniu na
koszta ulegnie.

W miarę wyobrażeń i skutków prawnych, procedu-
rami tak austryacką jak pruską ustanowionych, za zu-
pełnie uniewinonego daje się tylko uważać obwiniony,
który według procedury austryackiej na zasadzie czę-
ści I § 427 lub części II § 385, stosownie do wymie-
nionej powyżej kategorii drugiej, według ordynacyi zaś
pruskiej, na zasadzie § 413 ustępu pierwszego, stoso-
wnie do kategorii trzeciej za uniewinonego jest uzna-
ny, gdy w tym wypadku wszelkie poszukiwanie prze-
ciwko niemu raz na zawsze jest przecięte (*).

Za niezupełnie zaś uniewinonego uważany jest ob-
winiony, który podług procedury austryackiej, stoso-
wnie do kategorii trzeciej, na zasadzie części I § 428
lub części II § 386, otrzymał wyrok inkwizycją prze-
rywający; podług ordynacyi zaś pruskiej, który sto-
sownie do kategorii czwartej i piątej bądź na zasadzie
§ 413, zupełnie dla braku dowodów, bądź na zasa-
dzie § 409 tymczasowo, *ab instantia* jest uwolniony,
gdyż w dwóch tych wypadkach, ma miejsce odnowie-
nie inkwizycji, za następczeniem się poszlak lub do-
wodów, które w pierwszym śledztwie nie były wiadome.

(*) Na mniej ścisłą konsekwencją procedury austryackiej w tym
względzie, zwrócono uwagę w powołanėj rozprawie w Bibliotece
Warszawskiej z r. 1842, tomie I, str. 342.

Ustawa więc senacka wyrzekła, że odwołanie się do wyższej instancyi, służyć będzie w wypadkach kategori-
cznych następujących, a mianowicie:

skazanym na karę, nie wyłączając kary podzwyczajnej podług ordynacyi pruskiej;

tym, którzy otrzymali wyrok przerywający inkwizycyą dla braku dowodów;

tym, którzy *ab instantia* są uwolnieni;

tym, którzy otrzymali wyrok na zupełne uwolnienie dla braku dowodów;

tym, którzy na ponoszenie kosztów są skazani.

Odtąd więc w zakresie sądownictwa krajowego, wszelka kwestya *in jure* co do możności i wypadków odwoływania się od wyroków niezupełnie uniewinających, zdawała się być na zawsze przeciętą.

Tymczasem nowa powstała kwestya co do możności odwoływania się od wyroku stanowiącego zupełne uwolnienie dla braku dowodów, na zasadzie ordynacyi pruskiej § 413 ustępu drugiego.

Co do téj kategorii uwolnienia, oddawna używane są w praktyce sądowej krajowej, następujące wyrażenia i cytacye prawa, a w szczególności: że sąd, z mocy § 413 w związku z § 414, albo z mocy § 413 ustępu drugiego, obwinionego zupełnie dla braku dowodów, albo dla zupełnego braku dowodów, albo dla nieudowodnienia mu czynu karygodnego, od zarzutu i kary, albo od zarzutu, albo od kary, albo téż bez ostatnich tych wzmianek, uwalnia.

Wszystko to, na jedno i toż samo wychodzi, i żadnej w niczém różnicy nie robi, a zwłaszcza uwolnienie obwinionego dla nieudowodnienia mu czynu karygodnego, oznacza uwolnienie dla braku dowodów i pociąga za

sobą zawsze podniesienie inkwizycyi przeciwko uwolnionemu, gdy się nowe nastreczają poszlaki lub dowody, które w piérwszém śledztwie nie były wiadome.

Pomimo tak uciążliwego skutku, i pomimo wyraźnego brzmienia artykułu 23 ustawy senackiej, chce się w praktyce sądowej ustalić opinia za niedopuszczalnością odwoływania się od wyroku z mocy § 413 dla braku dowodów uwalniającego.

Pobudką do téj nowéj kwestyi, do uznania niedopuszczalności odwołania się w tym wypadku, stał się restrykt ministeryalny pruski, jeszcze w r. 1817 pod dniem 24 kwietnia jednemu z wyższych sądów pruskich *Ober-Landes-Gericht*, w objaśnieniu § 413 wydany (*), którego osnowa w przekładzie polskim tak brzmi:

„Lubo podług §§ 413 i 414 między uwolnieniem dla wykrytéj niewinności, a uwolnieniem dla braku dowodów, zachodzi różnica we względzie *skutków*, jednakże w miarę przepisu § 413, *zasada* téjże różnicy w sentencji wyrażoną być nie powinna.”

„Mylną wcale jest opinia, jakoby zupełne uwolnienie dla braku dowodów w duchu § 517, stanowiło wyrok uciążliwy, od któregooby wolno było uwolnionemu odwoływać się; gdyż wynikająca z natury rzeczy możność podniesienia inkwizycyi za nastreczeniem się nowych dowodów, nie jest bynajmniej taką uciążliwością, którąby prawa, odwoływaniem się do wyższej instancyi, odwracać pozwalały.”

„Dla podniesienia inkwizycyi przeciwko uwolnionemu, zaprojektowana formuła sentencji, sama z siebie nie

(*) Umieszczony w dziele A. J. Mannkopffa: *Preussische Criminal-Ordnung, mit den ergaenzenden, abaendernden und erlaeternden Verordnungen*. Berlin. 1830. ad § 413.

byłaby dostateczną, gdy jedynie tylko z motywów wyroku i z aktów śledczych przekonać się można, czy następczone nowe okoliczności lub nowe dowody, dotąd nie były wiadome, a upoważniają do podniesienia inkwizycji."

„Objawienie w sentencji, na jakiej zasadzie zupełne uwolnienie nastąpiło, nie tylko nigdzie przepisaniem nie jest, ale oraz jest bez celu i mogłoby nadto pociągnąć za sobą ten zły skutek, iż uznany za zupełnie uwolnionego, który wszakże nie był w stanie wykazać zupełnej swój niewinności, zawszeby w publicznej opinii uchodził za podejrzanego, niemogącego inaczej odzyskać utraczonego dobrego imienia, tylko wyprowadzeniem zupełnego dowodu niewinności."

Przedewszystkiém nadmienić przychodzi, iż reskrypt ten, ani żadna inna decyzja interpretacyjna pruska po roku 1807 nastąpiona, mocy obowiązującej w sądownictwie tutejszém nie ma. Jeżeliby się więc miała okazać kollizya teoretyczna między powyższą interpretacją pruską a artykułem 23 ustawy senackiej, zawszeby téjże ustawie wyłączna moc obowiązująca służyła.

Lecz rozbiór krytyczny okaże, że nie tylko powyższa interpretacja ministeryalna, nie we wszystkich punktach jest usprawiedliwioną, ale że nawet sama ordynacya w rozporządzeniu swém co do odwoływania się od wyroku z mocy § 413, zupełnie dla braku dowodów uwalniającego, jest niepewną, wahającą się; że jeżeli redaktorowie ordynacyi, pomimo głębokiej swój mądrości w rozwijaniu systematu dowodów zewnętrznych, sami wątpliwymi pozostali względem wyraźnego dozwolenia apellacyi w zachodzącym wypadku, tedy było zadaniem późniejszej jurysprudencyi praktyką sądową za-

silanęj, wątpliwość tę rozwiązać w duchu żywotnych dążności ordynacyi, w miarę najwyższego celu wszelkiego śledztwa kryminalnego, przez ordynacyą w § 4 i 5 uznanego, polegającego na ścisłym dochodzeniu bądź winy, bądź niewinności obwinionego, i na wydaniu w téj mierze bezstronnego wyroku. Jakoż z odpowiedzi w reskrypcie ministeryalnym objętych wykazuje się, że spostrzeżenia i propozycye wyższego sądu ziemskiego, *Ober-Landes-Gericht*, które reskrypt ten wywołał, zgodniejsze były z sterującymi zasadami ordynacyi, z postępek jurysprudencyi i potrzebą praktyczną. A nawet, co jest nader ważnym, tak z stanowiska krytyki, jak we względzie ustalenia pewnej w zachodzącym wypadku zasady, że znajduje się późniejszy reskrypt ministeryalny z d. 12 listopada 1831 r. do § 515 odnoszący się, który opinią reskryptu z r. 1817, w punkcie niemożności odwoływania się, z wyższych zasad ordynacyi zbija.

Zaczynam od rozbioru samej ordynacyi co do § 413 w związku wszakże z § 409, dlatego, że w dwóch tych paragrafach objęte są trzy kategorye uwolnienia obwinionego, i że przez ich zbliżone porównanie, zasady i różnice między niemi zachodzące, jaśniej na wierzch wystąpią, a tém samym kwestya co do odwołania się od wyroku z mocy § 413 dla braku dowodów uwalniającego, z gruntu się wyświeci.

Zgodnie z reskryptem z r. 1817 przyznać należy, iż ordynacya, podług brzmienia § 413 w rzeczy samej rozporządziła, aby bądź w razie uwolnienia obwinionego dla wykrytej niewinności, bądź w razie uwolnienia go dla braku dowodów, *zupełne uwolnienie* wyrzeczonem było; bez objawienia w sentencyi istotnej zasady uwolnienia,

czy dla wykrytej niewinności, czy dla braku dowodów nastąpiło.

Lecz domniemane pobudki tegoż rozporządzenia, jakoby objawienie zasady uwolnienia w sentencji, nie miało celu i mogło szkodzić uwolnionemu, który nie był w stanie wykazać zupełnej swój niewinności, tamując mu możność odzyskania w publicznej opinii dobrego imienia, oczywiście są wątle i nieodpowiednie duchowi ordynacyi. Sentencya bowiem jest odbiciem zdania sędziów, wyrazem myśli i celu wyroku. Sentencya więc żadnej dwuznaczności pozostawiać nie powinna. Szukanie zasady uwolnienia po motywach wyroku, w wielu wypadkach wymagałoby zwoływania sądu dla rozwiązania następczej z motywów wątpliwości, czy uwolnienie zupełne dla wykrytej niewinności, czy dla braku dowodów nastąpiło. Byłby to nowy wyrok, bez względu na to, czyby ciż sami sędziowie czy inni sądzili, a wyrok ten, dla przecięcia dalszej wątpliwości, musiałby w sentencji objawić zasadę uwolnienia. Tym sposobem upadłby pierwszy wyrok, jako zastąpiony drugim wyrokiem, a nadto rozporządzenie § 413 co do nieobjawienia zasady uwolnienia, we wszystkich tego rodzaju wypadkach okazałoby się niewykonalnym. Ztąd więc cel objawienia w sentencji zasady uwolnienia leży w potrzebie praktycznej.

Punkt względem szkodliwości objawienia zasady uwolnienia w sentencji, jest naciągany, jednostronny i niezgodny z bezwzględną sprawiedliwością: albowiem przychodzi w pomoc tylko obwinionemu, który dla braku dowodów uwolnionym został, a szkodzi w istocie obwinionemu, który dla wykrycia niewinności jest uwol-

niony, gdy ostatni w miarę sentencji pozostawiającej wątpliwość względem istotnej zasady uwolnienia, dotknięty będzie, tak jak pierwszy, wątpliwą opinią. Obwiniony który wykazał swą niewinność, nigdy w żadnym przypadku i pod żadną formą nie powinien być poświęcony dla korzyści obwinionego, który nie zdołał usprawiedliwić się zupełnie z zarzutu. Między uniewinionym a podejrzanym, żadnego nie ma przymierza ani materialnego ani formalnego. Dlatego wyrok uznający pociągane go za uniewinionego, ogłaszać to powinien w sentencji, tak na cześć obwinionego jak na cześć bezwzględnej sprawiedliwości.

Lecz nadto, niepodobna przypuszczać, ażeby przezorni redaktorowie ordynacyi, kojarząc z sobą w § 413 dwie niesforne kategorye uniewinienia i uwolnienia dla braku dowodów, nie mieli w tém innej ważniejszej pobudki nad ułatwienie tym którzyby dla braku dowodów byli uwolnieni, możności odzyskania dobrego imienia w publicznej opinii.

Przyczyna połączenia dwóch tych kategoryj i nazwania ich bez różnicy *zupelném uwolnieniem*, leży w czém inném, a mianowicie w wrodzonej niedoskonałości teoryi dowodów zewnętrznych, w systemacie, który z jednej strony przepisuje, co stanowi samo w sobie dowód zupełny, lub pół dowodu, lub zbieg poszlak do wymierzenia kary bez przyznania się obwinionego dostateczny, z drugiej krępuje zdania sędziów, oddając je martwym prawidłom tychże przepisów dowodowych. Taki system pomimo wszelkiej przezorności prawodawczej, nader łatwo i nader często do mylnych lub uciążliwych rezultatów wyrokowania prowadzić może. Potrzeba więc szukać środka zapobiegającego, ile możności, błędnemu według

wyłącznych przepisów dowodowych wyrokowaniu. Potrzeba obok samowładności dowodów *in abstracto* nadanych, usamowolnić zdanie sędziego, zwłaszcza że niema granicy ani oznaki nieomylnój, gdzieby krepująca moc dowodu zaczynać się lub ustać powinna: że nadto funkcya umysłowa sędziego, w robotę mechaniczną przejstoczyć się nie da, i indywidualne, sumienne przekonanie sędziego, nie powinno być narażone na szwank sprzeczności z domniemanym dowodem prawnym.

Zaradczy w tój mierze środek, redaktorowie ordynacyi upatrywali w logiczném pomnożeniu prawnej skali dowodów, w ustanowieniu pięciu, zamiast trzech kategorii wyrokowania.

W procesie inkwizytoryjnym, systemat dowodów zewnętrznych przypuszcza z konieczności trzy kategorie, a mianowicie: pewność prawną co do winy, pewność prawną co do niewinności, i niepewność prawną łącznie co do winy i niewinności.

Lecz pewność lub niepewność, czerpana z nadanych prawem prawideł dowodowych, dopuszcza z istoty i natury swój, zmniejszenia się bądź pewności bądź niepewności, tak w miarę większego lub mniejszego zbiegu poszlak prawnych mniej więcej uzasadnionych, mniej więcej dowodzących, jako też w miarę indywidualnego domniemanania sędziego.

Ztąd wyróżniło się i wywiązało pięć kategorii następujących, a mianowicie:

1. Affirmacya, czyli uznanie zupełnego dowodu prawnego co do winy, a skutkiem tego, skazanie na karę zwyczajną.

2. Uznanie dowodu prawnego acz niezupełnego co do winy, a skutkiem tego skazanie na karę podzwyczajną, z mocy § 391.

3. Negacya dowodu prawnego, czyli niedostatek dowodów co do winy, a skutkiem tego, uwolnienie *ab instantia*, z mocy § 409.

4. Affirmacya, czyli uznanie zupełnego dowodu prawnego co do niewinności, a ztąd zupełne uwolnienie, z mocy § 413 ustępu 1go.

5. Negacya zupełnego dowodu prawnego co do niewinności, a ztąd zupełne uwolnienie, z mocy § 413 ustępu drugiego.

Różnica więc przedmiotowa kategorii negacyjnych trzeciej i piątej na tém polega, że pierwsza, do § 409 odnosząca się, oznacza uwolnienie obwinionego *dla braku dowodów winy*, druga zaś w § 413 ustępie drugim objęta, oznacza uwolnienie obwinionego *dla braku dowodów niewinności*. W pierwszym przypadku zachodzi większe podobieństwo winy, w drugim większe podobieństwo niewinności. Ostatnia kategoria przypuszcza nie tylko odparcie poszlak winy, ale *początek dowodu niewinności*, i jest tym sposobem zbliżona do kategorii czwartej, wyrażającej uznanie zupełnej niewinności: i z tego przyczyny redaktorowie ordynacyi, obie te kategorie w jednym i tymże samym § 413 połączyli, dozwalając, aby brak dowodu niewinności pokryty był wyśłowieniem *zupełnego uwolnienia*, czyli tą samą formułą uwolnienia, jaka służy uwolnionemu dla wykrytej niewinności.

Kategoryczny układ ten znajduje swe usprawiedliwienie w niemożności ustanowienia nieomylnych reguł i prawideł dowodu zupełnego, czerpanego z zbiegu poszlak i okoliczności; w potrzebie odwoływania się zawsze do indywidualnego domniemania sędziego, do dowodu czerpanego w świetle i doświadczeniu sędziego;

w krzyżowaniu się domniemań prawa i sędziego: zgoła w radykalnej trudności oznaczenia *in abstracto*, i oceny *in concreto*, co dowód, co poszlakę, co pozór stanowić powinno.

Sędzia, acz wiązany obowiązkiem wyrokowania podług domniemania prawa, mając w każdej sprawie pozostawioną wolność wyrokowania podług własnego domniemania, z powodu możności rozważania, które z pięciu kategoriycznych różnic dowodu, wyprowadzonemu śledztwu najwłaściwiej odpowiada, która z nich z toku całej sprawy mimowolnie się wyluszcza i na utwierdzenie wyrokiem zasługuje, stoi tym sposobem i pod dozorem i na straży systematu dowodów zewnętrznych; uniknie sprzeczności między samowładną mocą dowodów prawnych, a swém indywidualnym przekonaniem, i wyda wedle najwyższego prawdopodobieństwa wyrok wolny od uciążenia lub pobłażania.

Rozwinięty przez redaktorów ordynacyi system, stanowi poniekąd przymierze i równowagę między domniemaniami prawa a domniemaniami sędziego.

Gdyby zakaz podniesienia inkwizycyi rozciągał się do całej treści § 413 i tym sposobem z jednej strony była uzacnioną część położona w sumieniu i powadze sędziego, z drugiej utwierdzoną konsekwencyą zupełnego uwolnienia opartego na początkowym dowodzie niewinności, natenczas nie byłoby nic do zarzucenia przeciw połączeniu w jednym i tymże samym paragrafie dwóch kategorii zupełnego uwolnienia; lecz przywiązanie groźby podniesienia inkwizycyi do jednej z nich, to jest do zupełnego uwolnienia dla braku dowodu niewinności, znowu je rozrywa, jest sprzecznością względem sterującej zasady w zaprowadzeniu dwóch różnych kategoriycznych uwol-

nień, jednego dla braku dowodu winy, drugiego dla braku dowodu niewinności; zamieniło zupełne uwolnienie dla braku dowodu niewinności w § 413 ustępie drugim objęte, w subtylizacją, w prostą formalność prawnego znaczenia pozbawioną, i zrównoważyło je w zupełności co do skutku prawnego z uwolnieniem *ab instantia* według § 409. Cała różnica prawna między jednym a drugim sposobem uwolnienia w miarę §§ 411 i 414 znika, stawszy się próżną grą teoretyczną z domniemaniami sędziego i domniemaniami prawa.

Jedna sprzeczność lub inkonsekwencya zwykle drugą większą za sobą pociąga. W dalszych bowiem rozporządzeniach ordynacyi, w których ustanowione trzy różnice uwolnienia, koniecznie powinnyby były być wytknięte, znajduje się wzmianka tylko o dwóch sposobach uwolnienia, a mianowicie o zupełnym uniewinieniu i o tymczasowém *ab instantia* uwolnieniu. Toż w szczególności zachodzi w § 288 co do przygotowania sentencji (*Erkenntnissformel*); w § 506 co do różności zdań sędziów i ustanowienia większości głosów; w §§ 534 i 535 co do wymotywowania wyroku bez opłaty lub za opłatą kosztów; w §§ 609 i 617 co do skazania na ponoszenie kosztów sądowych; nadewszystko zaś w § 515 wkładającym obowiązek na ogłaszającego wyrok, aby objaśnił obwinionego iż mu służy możność odwołania się bądź od wyroku na karę skazującego, bądź od wyroku *ab instantia* uwalniającego.

W § 506 wyrażenie *ganz unschuldig* nie pozostawia żadnej wątpliwości, że pod tém wyrażeniem uwolnienie z mocy § 413 dla braku dowodów nie jest objęte: a ztąd potrzebaby je uważać za objęte pod wyrażeniem *vorläufige Freisprechung*.

Odnosnie do wysłowien § 413, wynika z wyrażenia w § 488 *dass der Angeschuldigte gaenzlich oder nur vorlaeufig freizusprechen* wątpliwość, do której z tych dwóch kategorii należy uwolnienie z mocy § 413 dla braku dowodów.

W § 534 i 535 jako téż w § 609 i 617 przy uwadze na boczne napisy, jeszcze większe powstaje zamieszanie wysłowien, myśli i celu: tak, że niepodobna dojść, pod którym wyrażeniem redaktorowie ordynacyi, uwolnienie z mocy § 413 dla braku dowodów objąć zamierzali.

Takaż sama wątpliwość towarzyszy wyrażeniu w § 515 co do *Lossprechung von der Instantz*, gdy się zważy, że z powodu groźby podniesienia inkwizycyi, jaka na uwolnionym z mocy § 413 dla braku dowodów ciąży, tenże za uwolnionego *ab instantia* uważany być powinien. Samo wyslowienie wszakże sprzeciwia się wcieleniu tego ostatniego do § 515, a w takim razie nie pozostawałoby jak przypisać redaktorom ordynacyi inkonsekwencyą następującą: że temu który za sobą ma początek dowodu niewinności i bliższym jest do zupełnego oczyszczenia się w wyższej instancyi, możności odwołania się odmówili, a dozwolili jej owszem temu, który będąc tylko dla braku dowodu winy uwolnionym, nie tak wielkie wzbudza domniemanie co pierwszy, za możliwością zupełnego oczyszczenia się z zarzutu.

Zgola, najpewniejszy wniosek interpretacyjny jest ten, że redaktorowie ordynacyi, utworzywszy w § 413 sposób zupełnego uwolnienia dla braku dowodu niewinności, sami nie wiedzieli, jakie mu dać znaczenie prawne w zastosowaniu i skutkach.

Atoli *ratio legis*, we wszelkich wątpliwościach prawa przeważać powinna. Dlatego mylną wcale jest opinia reskryptu z r. 1817, jakoby zupełne uwolnienie dla braku dowodu niewinności, nie było wyrokiem uciążliwym, w duchu § 517 głoścącego za stanowczą, niczém nieograniczoną zasadę: „iz každemu wolno odwoływać się od wyroku kryminalnego uciążliwego.”

Reskrypt ten wprawdzie twierdzi, że możność podniesienia inkwizycyi, nie jest taką uciążliwością, dla którejby prawo odwoływania się dozwalać miało: lecz twierdzenie to żadnym argumentem nie jest poparte, niczém zgola nieusprawiedliwione, a nawet widocznie prawu przeciwne, gdy owszem prawo w § 515 dozwala apellacyi w celu odwrócenia groźby podniesienia inkwizycyi.

Wyrok uwalniający pod groźbą podniesienia inkwizycyi, a tém samém pod zarzutem występku pozostawiający, jest w duchu § 517 wyrokiem uciążliwym (*ein nachtheiliges Urtheil*), jest wyrokiem uszczerbek na sławie obwinionego czyniącym, jego dobre imię na złą opinią narażającym, a to tém bardziej, gdy przepis następnego § 518, chce mieć uważane za apellacją wszelkie nieukontentowanie (*Unzufriedenheit*), względem zapadłego wyroku przez obwinionego objawione.

Gdyby np. obwiniony o krzywoprzysięstwo, wyrokiem z mocy § 413 dla braku dowodu niewinności uwolniony, oświadczył, że nie jest kontent z wyroku, bo będąc niewinnym spodziewał się uznania zupełnej swój niewinności, bądź w sentencji, bądź w motywach wyroku: czy w skutek objawionego tym sposobem nieukontentowania wolnoby było, wbrew przepisów §§ 517 i 618, odmawiać mu apellacyi albo takową za niedopuszczalną uznawać? — zaiste, nie.

Oczywiście więc reskrypt z roku 1817, pominął się z duchem, a nawet z wyraźnemi przepisami ordynacyi.

Jakoż w reskrypcie późniejszym ministerjum pruskiego z d. 12 listopada 1831 przepis § 515 objaśniającym, znajduje się ustęp tak brzmiący (*):

„Najwyższą jest owszem zasadą ordynacyi, ażeby obrona i wykazywanie niewinności, niczem nie były ograniczonemi; ażeby obwiniony o wszystkiem co za nim i przeciw niemu przywiedziono, jako téż o zasadach zapadłego przeciwko niemu wyroku, zupełną otrzymał wiadomość, w celu postawienia go w możności przytoczenia wszystkiego, coby zasady wyroku osłabić i jego niewinność wykazać mogło.”

Wywód ten, dostatecznie usprawiedliwia naszą teorią, że podług ducha samój ordynacyi, odwołanie się od wyroku zupełnie dla braku dowodu niewinności uwalniającego, ma miejsce.

Już wyżej nadmieniono się, że żadna interpretacya autentyczna pruska, po roku 1807 nastąpiona, w kraju tutejszym obowiązywać nie może. Z epoką tą bowiem, ordynacya kryminalna pruska, wcieloną została w kraju tutejszym do nowego organicznego porządku administracyi krajowej, i w nim tylko, dalszą swą interpretacyą znaleźć mogła, w miarę artykułu 2 uchwały, sankcyą króla saskiego z d. 18 marca 1809 objętej (**).

Otóż możność odwoływania się od wyroku, zupełne uwolnienie dla braku dowodu niewinności wyrzekającego, do wyższych instancyj, znajduje poparcie i swe

(*) Umieszczony w dziele Mannkopffa powyżej w nocie powoływaném ad § 515.

(**) Dziennik księstwa warszawskiego Tom I. 223.

utwierdzenie, tak w porządku organicznym sądownictwa krajowego, jak w ustawach oznaczających skutki do tego rodzaju uwolnienia przywiązane; a to bez względu na teorią z samego toku ordynacyi wyłamaną, jako też bez względu na reskrypt ministeryalny pruski z roku 1831.

Przedewszystkiēm nadmienić należy co do punktu nieobjawiania zasady uwolnienia w sentencyi, że w sądownictwie tutejszē, zacząwszy od r. 1808, przeciwna temu zachowywała się praktyka, gdy zawsze wymienioną bywa w sentencyi zasada uwolnienia, przez wyraźne zacytowanie odpowiednich paragrafów i użycie odpowiednich w tēj mierze wyślowień, jak się to już wyżej rzekło.

Zwyczaj ten, *usus fori*, niewątpliwie przeszedł do nas z pierwiastkowej praktyki, jaką sądy pruskie w kraju tutejszym aż do r. 1807 wykonywały, i znalazł później swe poparcie wśród właściwego sądownictwa pruskiego w doświadczeniu praktycznē owego wyższego sądu ziemskiego, który wedle reskryptu z r. 1817, usprawiedliwiając potrzebę objawienia zasady uwolnienia w sentencyi, stałe w tēj mierze formuły wyrokowania, ministrowi pruskiemu zaproponował.

W naszē zaś sądownictwie, zwyczaj ten czyli sposób zredagowania sentencyi, opiera się na porządku organicznym, na potrzebie niezbędnej. Wiadomo, że forma wprowadzania spraw, wydawania i *wygotowywania* wyroków kryminalnych, urządzoną jest na wzór postępowania sądowego cywilnego. W miarę tych form, wygotowanie motywów wyroku, nie poprzedza sentencyą, jak się to dzieje w procesie pruskim bądź cywilnym, bądź kryminalnym, lecz po niēj następuje. Motywa wy-

roku, przez pisarza sądowego wygotowywane, ściśle do treści sentencji zastosowane być powinny. Ztąd wypada, że w każdej sprawie, bądź cywilnej, bądź kryminalnej, sentencya wyrażać powinna jasno i dobitnie uchwalone przez sąd zdanie, żadnej nie pozostawiając dwuznaczności. Jak we wszelkich wypadkach skazywania na karę zwyczajną lub podzwyczajną, powoływane są w sentencji właściwe artykuły prawa, tak w razie uwolnienia obwinionego, bądź dla wykrytej niewinności z mocy § 413 ustępu pierwszego, bądź dla braku dowodu winy z mocy § 409, bądź dla braku dowodu niewinności z mocy § 413 ustępu drugiego, sentencya objawić to powinna odpowiedniem wysłowieniem i powoływaniem się na właściwy przepis prawa. Inaczej mogłaby po ogłoszeniu wyroku zupełne uwolnienie stanowiącego, zająć wątpliwość, z jakiej zasady uwolnienie to nastąpiło, czy dla wykrytej niewinności, czy dla braku dowodu niewinności, a nawet w razie niewyrażania zasady uwolnienia w sentencji, sędziowie nie mieliby żadnej kontroli sprawdzenia wygotowywanych przez pisarza motywów, i sam pisarz mógłby być nieraz narażony na wątpliwość przy wyrabianiu motywów, zwłaszcza w natłoku zapadających licznie wyroków.

Zatajenie w sentencji zasady istotnej uwolnienia, przeciwnie jest żywotnym i organicznym zasadom sądownictwa tutejszego. Administracya i wymiar sprawiedliwości nie cierpi żadnej tajemnicy. Dlatego wyrok czyli sentencya, jako urzeczywistnienie wynalezionej przez sędziów sprawiedliwości, powinna być wyraźną i zrozumiałą dla wszystkich. Sam uwolniony, nie chciałby śledzić po motywach wyroku i z nich wyrozumić jaką była i jest istotna myśl ogłoszonej sentencji.

Zachowywana od r. 1808 praktyka sądowa wyrażania w sentencji, czy obwiniony z mocy § 413 dla wykrytej niewinności, czy z zasady § 409 *ab instantia*, czy z zasady § 413 w związku z § 414 dla braku dowodów uwolnionym został, wcieliła się we wszystkie ustawy, mocą których skutki tego rodzaju uwolnień oznaczono. Uwolniony z mocy § 413 dla braku dowodów, uważany był zawsze za *pozostawionego pod zarzutem występku lub zbrodni*, dlatego, że ordynacja pruska w § 414, zagraża mu podniesieniem inkwizycyi na przypadek następczenia się nowych poszlak.

Ustawy i wypadki tego rodzaju wyłuszczone są w rozprawie na początku powoływanej (*). Teraz więc nie pozostaje, jak uzupełnić je przytoczeniem późniejszego w tym względzie rozporządzenia z roku 1845, według którego nie mogą być przypuszczeni do urzędów ci, którzy pod sąd oddani, wyrokami *zupełnie nieuniewinieni*, ale jedynie dla *braku dowodów od kary uwolnieni*, tém samém *pod zarzutem pozostali*.

Rozporządzenie to wprawdzie nie stosuje się do przewinień mniej ważnych, i ma jedynie na celu zarzuty zbrodni lub występku hańbiącego, a nadto znajdzie swe zastosowanie jedynie względem tych, którzy na służbie rządowej swój sposób do życia zakładają. Zład przecież nie można wyprowadzać wniosku, iż urzędnikowi w zarzucie zbrodni lub występku hańbiącego pod sąd oddanemu, a z mocy § 413 jedynie dla braku dowodów wyrokiem I instancyi uwolnionemu, odwołanie się do wyż-

(*) W Bibliot. Warszaw. r. 1842. Tom I od str. 362 do końca rozprawy. Na stronnicy 363 w ustępie drugim, poprawić należy omyłkę drukarską, gdyż zamiast *zastosowanie*, powinno być *zostawanie* zaś pod zarzutem...

szęj instancyi nie służy. Owszem przeciwnie, skoro bądź urzędnik pod sąd oddany, bądź osoba prywatna do odpowiedzialności pociągona, nie mogłaby być przypuszczoną do urzędu dlatego, że ciąży na niej wyrok w zarzucie zbrodni lub większego występku, jedynie dla braku dowodów uwalniający, przypuszczać należy, że powyższe rozporządzenie, nie chciałoby w téj mierze bynajmniej poprzestać na wyroku I instancyi, lecz wymagałoby raczej wyroku wyższej instancyi, to jest zdania stopniami instancyj sądowych wykrytego. Jakoż w rzeczy saméj, samo wysłowienie, sama litera rozporządzenia powyższego, zgadza się w zupełności z brzmieniem artykułu 23 ustawy senackiej i do tego wprost się odnosi. Artykuł zaś ten, zgodnie z wewnętrznym duchem ordynacyi pruskiej i reskryptem ministeryum pruskiego z r. 1831 zre-dagowany, żadnej nie robi różnicy między uwolnieniem dla braku dowodów winy z § 409, a uwolnieniem dla braku dowodów niewinności z § 413, a to tém mniej, że w obu tych wypadkach, śledztwo przeciw uwolnionemu za odkryciem nowych poszlak, podniesione być może.

Nakoniec nie można pominąć téj uwagi z wieloletniej praktyki sądowej czerpanej, że jak niepodobieństwem jest poprzestać na wyroku piérwszej instancyi, winę uznającego i karę wymierzającego, tak niepodobieństwem jest poprzestać na wyroku piérwszej instancyi, niezupełnie, czyli dla braku dowodów, bądź z § 409, bądź z § 413 uwalniającego.

Sama niedoskonałość systemu dowodów zewnętrznych powyżej wyjaśniona, trudność w ocenieniu rozmaitych poszlak i dowodów śledztwem objętych, i różne inne okoliczności sądeniu towarzyszące, wymagają dozwoleń appellacyi od wyroków niezupełnie uniewinia-

jących. Dla tych właśnie przyczyn ustanowione są instancje sądowe, a ich konieczność w każdym sądownictwie jest uznana.

Liczne znachodzą się w praktyce sądowej przykłady urojonych przestępstw, a wśród walczących i krzyżujących się między sobą poszlak i dowodów lub pozorów, wśród nastęrczających się wątpliwości w ocenieniu przedmiotowem zarzutów lub czynów; w ścieraniu się domniemań prawa i domniemań sędziego, zdanie i wyrok sędziego pierwszej instancji, bez rozbioru i sprawdzenia pozostawionym być nie może.

Ztąd widoczna, że opinia obstawająca przy niedopuszczalności odwoływania się od wyroku w zarzucie przestępstwa na zasadzie § 413 jedynie dla braku dowodów uwalniającego, nie odpowiada ani duchowi ordynacji pruskiej, ani interpretacji ministerjum pruskiego z r. 1831, ani ustawie senackiej, ani ustawom skutki uwolnienia dla braku dowodów oznaczającym.

Z rozbiieraną dotąd kwestyą prawną, łączy się druga kwestya: czy niedopuszczalność odwoływania się, przez *prostą decyzją ekonomiczną*, mogłaby być postanowioną? Kwestyą tę rozwiązuje zasada z ogółu postępowania sądowego tak cywilnego jak kryminalnego czerpana: że wyrok sądowy do wyższej instancji zaskarżony, w żadnej innej drodze i przez żadną inną formę rozpoznawanym być nie może, tylko za pośrednictwem wyroku, w wyższej instancji, po odczytaniu relacji, obrony, jako też wysłuchaniu wniosków prokuratora, zapadłego, a następnie ogłoszonego.

Lubo zasada ta w ogólnych ustawach organizacji sądownictwa wyraźnie postanowioną nie jest, jednakże łatwo szczegółowemi prawami da się usprawiedliwić. Al-

bowiem ordynacya pruska w § 478, zgodnie z procedurą austryacką w części I § 415 i w części II § 378 stanowi: że w każdej sprawie, w której *osoba pewna* do odpowiedzialności jest pociągana, ma być wydany *wyrok formalny* względem jęj winy lub niewinności. Ztąd wypływa, że i w wyższej materji, za odwołaniem się obwinionego, formalny wyrok wydany być powinien. Prosty ten wniosek wyraźnie jest utwierdzony rozporządzeniami ordynacyi pruskiej w §§ od 525 do 528 i w § 531, jako tęż procedurą austryacką w części I § 437.

Wydawanie wyroku zamiast decyzji, nie jest próżną formalnością, lecz rękojmą rzeczywistego wymiaru sprawiedliwości.

W miarę artykułu 11 organizacyi sądownictwa kryminalnego z dnia 26 lipca 1816 r., proces kryminalny dzieli się na *instrukcyę sprawy* i na *osądzenie sprawy*. Instrukcyja sprawy kieruje się prostemi decyzjami. Osądzenie zaś sprawy, w którejkolwiek bądź instancyi sądowej i z *jakiejkolwiek bądź zasady prawnej* inaczej nastąpić nie może, tylko po wprowadzeniu sprawy na audyencyą, za pośrednictwem formalnego wyroku. Ztąd więc wszelkie odwołanie się obwinionego lub warunkowo uwolnionego od wyroku niższej instancyi, tylko mocą formalnego wyroku rozpoznawane i ocenione być może, chociażby się okazało, iż jest bezzasadne lub nawet niedopuszczalne.

Dopóki nie będzie zniesiona możność podniesienia inkwizycyi przeciwko uwolnionemu z mocy § 413 dla braku dowodów, i uwolnienie to nie będzie uważane za zupełne uniewinienie, tylko za pozostawienie pod zarzutem, dopóty na zasadzie artykułu 23 ustawy sena-

kiej, w związku z procedurami kryminalnymi pruską i austryacką, odwołanie się od wyroku pierwszej instancji dla braku dowodów uwalniającego służyć powinno, a odwołanie się to, w wyższej instancji za pośrednictwem formalnego wyroku rozpoznawać należy.

August Heylman.

KORRESPONDENCYA.

Powieść.

PRZEZ

Josefa Korzeniowskiego.

Na wzgórzach lewego brzegu Teterowa rozciąga się miasteczko K.... Niewielki dom właściciela leży bliżej rzeki w ogrodzie dochodzącym do samego jój brzegu. W témto skromném i tymczasowém mieszkaniu, będzie temu lat dziesięć, zebraliśmy się raz w towarzystwie niezbyt liczném, ale ożywioném wesołym humorem i dowcipem gospodarza, i wzorowém ukształceniem gospodyni. Około godziny siódmój zawołano nas do herbaty. Przez parapetowe drzwi salonu wyszliśmy na balkon niedawno przybudowany i ubrany z prostotą i gustem. Trzy jego ściany zawieszane były białym i zręcznie sfaldowanym perkalem, czwartą, otwierającą się na ogród, rzekę i leżące za nią bory, podpięrały proste i czysto wyheblowane słupy, wokoło których wiał się bluszcz i przeskakując w zielonych arkadach od jednego słupa do drugiego, gubił się w bogatėj grupie najrzadszych krzewów, zdobiących jeden z kątów galeryi. Przed wschodami rozcią-

gał się plac czysty, ubity i usypany żwirem; po jego brzegach stały kląby z kwiatów wyniesionych z oranżeryi, a dalej gałęziły się ulice po całej przestrzeni ogrodu. Na prawo była oficyna gościenna, na lewo stary łamus, świadek zamożności dawnych dworów naszych, i starożytnie ruiny wielkiego niegdyś mieszkania ojca i dziecka terazniejszego właściciela. Było to przy końcu czerwca. Wieczór był ciepły i cichy, niebo czyste, powietrze pełne świeżości i woni. Zdaleka słyszeliśmy turkot wozów chłopskich i ryk trzód wracających z pola, przed nami cicho pluskał Teterów, rozbijając się o sterczące gdzieniegdzie kamienie, a dalej głucho szumiała puszcza sosnowa głęboka i posepnie rozłożona po całym prawym brzegu tej pięknej rzeki.

Zasiedliśmy wokół stołu i wszyscyśmy z początku umilkli. Bo gospodyni zajęta była herbatą, gospodarz poglądał na ruiny domu swych przodków, inni goście ucieszeni świeżością powietrza, przypatrywali się pięknemu widokowi, a ja patrząc zdaleka na uciekające fale rzeki, zadumałem się pomyślawszy, że jedyne serca mego życzenie, życie wiejskie, rozbija się i rozbryzguje jak te płynne i unoszące się masy, o nieruchome i twarde kamienie.

Wkrótce jednak wesoła rozmowa na nowo toczyć się zaczęła.

Przechodziliśmy od jednego przedmiotu do drugiego, od pszenicy do winogrodu, od pochyłych brzegów Teterowa do południowego brzegu Krymu, od batu kołyszącego się na niewielkich falach rzeki do okrętu miotanego bałwanami, na którym niedawno nasza gospodyni zwiedziła Palermo i Malte; niekiedy dowcipne lub chcące być dowcipnemi uwagi, przerywały opowiadania; za-

czął się i kalambur gdy rozmowa nasza, jak mieniąca się materya, przelała się z polskiego języka na francuzki. Wśród tak wesołego i swobodnego gwarzenia, oddano samej pani list dosyć gruby. Rozpieczętowała go i wydobyła dwa półarkusze na wszystkie cztery strony niezmiernie drobno i ściśle zapisane. Nie patrząc na podpis, poznała widać rękę, uśmiechnęła się i zasunawszy list w kopertę, położyła go spokojnie na stole.

Był między nami mężczyzna mający przeszło lat trzydzieści. Z łatwością przyjemną i niewymuszoną należał do naszej rozmowy, i zdawał się być w dobrym humorze. Ale na widok tego listu, zmieszał się widocznie, ściągnęły się jego brwi, pocięrał ręką czoło, jakby sobie co przypomniał i wyraźnie się zasmucił. Byłto niedawny sąsiad naszego gospodarza, powierzchowności ujmującej a nawet okazałej. Czoło otwarte i wyniosłe, wejście pewne i ze śmiałością łączące skromność, uśmiech łagodny, przez który przebijał się lekki smutek, nadawał twarzy jego wyraz pełen rozumu i wdzięku. Ubiór zupełnie czarny i staranny, podnosił jeszcze przystojną powagę jego ułożenia i ruchów.

Postrzegłszy zmianę w jego licu, gospodarz zapytał z zajęciem: — Co ci to panie Antoni?

— List ten, odpowiedział p. M... przypomniał mi wiele z upłynionych dni mojej młodości.

— Czy znasz tę rękę?

— Bynajmniej, rzekł p. M... i schylając oczy dodał: znałem podobną.

— Od kogożto? zapytał znowu nasz gospodarz obracając się do żony.

— *C'est de la femme de trente ans*, odpowiedziała ścisnąwszy misternie piękne swe usta, jakby na znak lekkiego wstrętu.

— Zostawie te depesze na jutro, rzekł mąż. Ani teraz, ani przy świetle decyfrować ci ich nie pozwolę. Zresztą musisz się domyślać treści. Zapewne się unosi nad nowym romansem Balzaka i jego wyborne i żywe obrazy w martwój i nudnej treści opisuje.

Działo się to w tym czasie, kiedy jeszcze Balzak był w ręku wszystkich, wszczęła się więc rozmowa o różnych płodach tego autora, o ich zaletach i wpływie; od ogółu przeszliśmy do szczegółów i anatomizując różne stworzenia jego imaginacyi, naturalną koleją wróciliśmy się do trzydziestoletniej kobiety.

— Balzak, rzekł jeden z obecnych, tém interesującym stworzeniem wiele złego narobił. Pod ten typ nie podchodzą wprawdzie damy, chociażby się rzeczywiście znajdowały w tym krytycznym wieku, jeżeli mają mężów których kochają, jeżeli mają córki którym potrzeba dać dobry przykład, jeżeli mają synów, nad których wychowaniem czuwać i których serca dobrém zasiać potrzeba nasieniem. Żeby być kobietą trzydziestoletnią, trzeba mieć czas i żyć bez celu, a święte obowiązki matki, żony i pani domu, zwracając myśli ku tym istotom, które społeczność i natura opiece matki i żony powierzyła, wypełniają cały byt ustawiczną przemianą czystej radości, dojmujących trosk, nieraz śmiertelnej obawy, tak dalece, że życie nie jest nigdy czcze i pozbawione wysokich celów. Nawet stara panna jest złą trzydziestoletnią kobietą.

— A toż znowu dlaczego? rzekł gospodarz.

— Przyczyna tego bardzo prosta, odpowiedział pan Ignacy. Stare panny są dwojakiego gatunku: jedne natura zasłoniła przeciw wszelkim pokusom nieprzebitym puklerzem szpetności, i te oczywiście do téj kategorii

nie należą; drugie chociaż przez jakieś przypadkowe przyczyny doszły do téj nieszczęsnej pełnoletności, są jednak ładne, są przyjemne. Te ostatnie nie są wolne od kokieterji; ale zawsze w ich zabiegach jest cel pozyskania ręki tego, którego serce podbijają. Cel taki jest pozwolony, jest uczciwy. Chcą one wyjść z dwuznacznego położenia w którym je przypadek postawił, chcą zająć pewne miejsce w społeczności, chcą przestać być ni tém ni owém.

— Cóż więc jest trzydziestoletnia kobieta? zapytała śmiejąc się gospodyni.

Spojrzał orator po otaczających go osobach, i jakby się zapewnił że żadnej z nich nie obrazi, przysunął się do stołu, oparł się obiema rękami, jak professor zaczynający lekcję i tak dalej mówił: — Trzydziestoletnia kobieta jestto seperatka, rozwódka lub wdowa, między dwudziestym siódmym i czterdziestym rokiem życia. Prawie zawsze bezdzietna, lub jeżeli ma dzieci to oddane opiece i staraniom męża. Jest powabna, sentymentalna i nie bez rozumu. Nigdy prawie nie pisze rejestru swych wydatków, ale ma niezawodnie album, w które wciąga różne tkliwe wyjątki z poezji i prozy, i zachowuje pierwsze próby młodzieńczego natchnienia tych, których serca starała się rozwijać. Nie jestto jawna kokietka, zimna i śmiejąca się, ale ofiara nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nosząca na swém licu ślady przeszłych cierpień. Już wprawdzie jój serce przeboleło, ale oczy patrzą jeszcze tak, jak gdyby chciały płakać, a usta śmieją się tym wątpliwym uśmiechem, w którym więcej wspomnień niż terażniejszej radości. Trzydziestoletnia kobieta nie myśli bynajmniej iść za mąż i dlatego nie może się jój podobać mężczyzna nawet czterdziestoletni,

mający serce i rękę wolną. Była ona w przeszłych związkach nieszczęśliwą, dlatego się ich lęka i kłusć na siebie kajdan nie myśli. Jeżeli więc przywiązuje się dla ozdobienia swojej samotności, dla nadania jakiegokolwiek celu swemu życiu, to wybiera takie istoty, z którymiby łączył ją tylko związek serca: owe dusze anielskie i niewinne, któreby można rozwijać, poetycznie kształcić, z którymi zaś łączyć się prozą małżeństwa zabrania i sumienie, aby im (jak mówią) nie zawiązać światła i przyzwoitości, aby uniknąć śmieszności.

— Jakieżto są te istoty? zapytała jedna z dam obecnych.

— Studenci, pani dobrodziko, odpowiedział orator prędko, dwudziestoletnie dzieci, które tkliwa opiekunka przybięra za synów, i którą oni z początku zwykle nazywają mamą. Dawniej te niebezpieczne dla niedoświadczonej młodzieży panie, doszedłszy do lat trzydziestu były tego przekonania, że już zeszyły z pola; zaczynały lubić spokojny kącik swojej kanapy, gdzie rozmyślały o przeszłości; zaczynały przywykać do skromnych czepeków i zakrywających gors szlafroczków; uczyć się wiska, brać się do warcabów, do szachów i nieraz nawet w woreczku ich można było znaleźć małą jaspisową lub szyldkretową tabakierkę; dziś jakby ze snu ocknione pięknym utworem swego protektora, wystąpiły na plac czynnie, zbrojno, z całym ryszunkiem elegancyi, tajemnej i zagazowanej kokieteryi, z całą artyleryą łzawych spojrzeń, melancholicznych uśmiechów i ran zadanych ręką losu i ludzi, tylko co zabliznionych. Cóż dziwnego, że młodzież niedoświadczona, pełna imaginacyi i wiary, ulega téj strategii, traci czas i zdrowie i nieraz nie odpowiada celom i nadziejom rodziców? Dla-

tego więc, chociaż z wielką przyjemnością czytałem i czytam powieści Balzaka, wolałbym aby téj szczególnie, o której mówimy, chociaż prawie najpiękniejsza ze wszystkich, wcale nie było, tak mi się szkodliwą wydaje.

— Za surowo, za surowo, panie Ignacy, rzekł gospodarz.

— Jeżeli to prawda, odpowiedział orator, że przeczytawszy Wertera jakiś Niemczyk się zastrzelił, to pewnie sam Goethe nieraz żałował że go napisał.

— To co innego, Niemczyk stracił życie, rzekła ta sama dama, która i wprzód zapytywała.

— Pani dobroduszko! odwieść studenta od nauki rzeczy użytecznych, nauczyć go tego, czego wiedzieć nie powinien, rozmarzyć jego głowę, rozkolysać serce, zwichnąć karierę, nie jestżeto narazić go na stratę połowy życia?

— Bez wątpienia, rzekła dama i twarz jej okrył lekki rumieniec. Dowiedziałem się potém, że to była wdowa.

— Zdanie twoje, panie Ignacy, nie jest (rzekł nareszcie p. M. który dotąd milczał), zbyt surowe; pomyliłeś się tylko, że pokazanie się romansu Balzaka naznaczasz za epokę, od której owe damy, mające dziś techniczne nazwanie, zaczęły być niebezpieczne dla młodzików bez doświadczenia. Zawsze tak było i Balzak nic nowego nie stworzył. Na sobie mam najoczywistszy dowód. Wszakże mogę zapewnić, że chociaż numiętność tego rodzaju bywa silna i głęboka, rozsądni rodzice mogą zapobiedz skutkom téj choroby i z niej uleczyć chorego. Sposób jakiego użył mój dobry ojciec jest dosyć oryginalny; zostaje nam jeszcze do spaceru, dodał nieśmiało patrząc na zegarek...

— Godzinka czasu! a jakżem ci wdzięczny, chcesz nam opowiedzieć, rzekł gospodarz uradowany, biorąc uprzejmie za rękę swego sąsiada.

Chętnie przyjęliśmy wszyscy jego propozycją, szczególnież sama gospodyni domu, która czémprędzej kazała zebrać przybory do herbaty, i gdy stół był już czysty, i każdy z nas poprawił się na krzesło tak, aby lepiej słyszeć, z uśmiechem zachęcającym rzekła:

— Teraz nam nikt nie przeszkodzi.

— „W roku 1820, zaczął pan M... skończyłem szkoły. Byłto czas poetyczny i mojego wieku i tego zakładu który opuszczałem z żalem. Wróciłem do domu. Z początku zajmowała mię swoboda i niezależność zupełna. Miałem swoich parę koni, na moje rozkazy oddanego człowieka, oprócz tego wierzchowca, strzelbę, dobrego psa i zdawało mi się, że mi nic nie brakło. Mój ojciec, chociaż nieuczony, lubił jednak czytać; po łacinie lepiej umiał odemnie, a polska literatura była mu daleko gruntowniej niż może dziś mnie znajoma. Pozwoliwszy mi pobujać bez żadnej kontroli, zaczął mię zwolna zapytywać o różne przedmioty z historyi, z geografii, udawał czasem że zapomniał co ten lub ów autor pisał; prosił żebym mu objaśnił jakie miejsce z Liwiusza lub Horacego: słowem zawstydział mię, wykrywał moję nieznanomość z taką dobrodusnością i cierpliwością, że narreszcie stanął przed nim z gorącą prośbą aby mię wysłał do uniwersytetu. Tego właśnie czekał mój ojciec. W kilka dni wszystko było gotowe do drogi; pożegnałem moich rodziców i wkrótce stanąłem w Wilnie. Przyjechałem tam z własnej ochoty i nie było zapewne żadnego z kolegów, któryby bardziej pragnął, niż ja wówczas, postępować i gromadzić skarby nauki, której brak tém więcej dawał mi się uczuć, im więcej korzystałem.

Wkrótce, nie moje sposobności, ale moja pilność i akuratanność, zwróciły na mnie uwagę wszystkich profesorów których słuchałem. Szczególniej polubił mię Grodek, który poznał się był z moim ojcem dawniej w Puławach, przyzywał mię do siebie, dawał książki, objaśniał wszystkie trudności i mogę powiedzieć, że się mną cieszył, jako przyszłą kolumną filologii. Wspominam o tój okoliczności, bo ona później na mój los wpłynęła. Kończył się rok, nadchodziły wakacye; mój ojciec pozwolił mi zostać w Wilnie i ja nie przestawałem czytać, pisać, tłumaczyć i uczęszczać do Grodka i do biblioteki. Nigdy nie byłem tak spokojnym, tak wesołym jak wciąż tego roku. Bo praca jest jedyném, czystém powietrzem, którym człowiek może oddychać swobodnie i zdrowo. Rozrywki sąto zapachy, które czasem przyjemnie drażnią nerwy, ale gdy są zbyt silne, zbyt zageszczone, odurzają i duszą. Tu pan M.... dobył zegarek, i spuszczać oczy skromnie, położył go przed sobą na stole. Ale gospodarz przysunął go z wolna ku sobie, schował do kieszeni i rzekł: — Oddam ci go wtenczas, jak skończysz.

Uśmiechnął się pan M... i tak dalej mówił:—Litwini w ogólności nas nie lubią. Był jednak między kolegami moimi jeden młody człowiek wielkich zdolności, z którym łączyły mię blizkie związki zażyłości i przyjaźni. Przy sobie siadywaliśmy zawsze w audytoryach, wspólnie wypracowywaliśmy skrypta, najczęściej razem łamałiśmy się z trudnościami Sofokla i Tacyta. Z początkiem wakacyj wyjechał mój towarzysz do domu niezbyt odległego od Wilna i brak jego dawał mi się żywo uczuć. Ale nie przeszło dwóch tygodni, gdy raz zszedł mię niespodzianie, zamknął leżącego przedemną Xenofonta

poodrzucał dykeyonarze, potem uściskawszy serdecznie oddał list, który przywiózł. Był to uprzejme zaproszenie od jego ojca, abym parę tygodni wolnych od nauk w ich domu na wsi przypędził i rozerwał się cokolwiek po całorocznych trudach. Wieś mojego przyjaciela nie była odległą od Wilna. Nie dałem się więc długo prosić i już trzeciego dnia o godzinie czwartej z rana stałem w lesie sosnowym, z okiem wyteżonem na drożynę, która obok mnie przebiegała, z wykierowaną tamże strzelbą, i słuchałem z coraz mocniejszym biciem serca muzyki ogarów, w jej harmonijnym *crescendo*. Dom pana marszałka W. ojca mojego przyjaciela, gdzie mnie przyjęto z ową gościnnością szczerą i otwartą, jaką tylko w naszym kraju znaleźć można, odwiedzali dość często sąsiedzi dalsi i bliżsi. Poznałem ich tam niemało, ale wszystkie te znajomości nie zostawiły we mnie żadnych śladów nadal. Tam wszakże zrobiłem jedną, która przyspieszyła uderzenie pierwszej ważnej godziny w mojem życiu. Było to 20 lipca.”

— Błogosławiony ten dzień, ta godzina, rzekł gospodarz śmiejąc się.

— „Pamiętam dobrze ten dzień, tę godzinę, odpowiedział pan M... rumieniąc się zlekka, bo wszystkie chwile trosk i cierpienia, nieskończone godziny nudów i oczekiwania, gdy miną, znikają bez śladu, a na nici życia nawlezione są tylko brylantowe paciorki chwil rozrzwinięcia, wzniosłych lub tklivych uniesień, chwil radości i szczęścia. Z takiego to różańca składa się cała nasza przeszłość. Dwudziestego więc lipca, całe poobiedzie prze spędziłem w lesie, chodząc samotnie po najukrytszych ścieszkach, leżąc i marząc pod wyniosłym i chłodnym sklepieniem związanych nad głową moją wysokich gałę-

zi, przypatrując się rozmaitym kształtom roślin i listków, słuchając świergotliwych i swobodnych mieszkańców tego najrozkoszniejszego dla mnie ogrodu. Gdy upał mijał, wracałem do domu i wyszedłszy na piaszczystą drogę, postrzegłem zbliżający się ku mnie ładny koczyc. Konie szły stępo, a w odkrytym powozie leżała niedbale rzucona, uderzająca nawet zdaleka, choć nie pierwszój młodości kobieta. Zwolniłem krok, żeby się jój dłużej przypatrzeć i postrzegłem że i ona ze mnie nie spuszczała oczu. Rysy jój twarzy były piękne, ubiór letni pełen gustu, ułożenie chociaż miękkie, niedbałe, ale pełne wdzięku. Spotkanie to zostało w mojej myśli. Gdym odszedł kilkadziesiąt kroków, obróciłem się nagle i postrzegłem, że opierając się łokciem na drzwiczkach koczycy, i położywszy na dłoni piękną swą głowę, ciągle za mną patrzała. Odwróciłem się natychmiast i gdym potem drugi raz ukradkiem spojrział, postrzegłem że bynajmniej nie zmieniła pozycyi. Dziś, rzekł p. M. po chwili, możebym to nazwał roztrzepaniem, efronterją, lub czém podobném. Wówczas miałem lat 21, wierzyłem w sympatyę, we wszelkie atrakcyje dusz, i ztąd zaczął się szereg marzeń, nadziei, chęci, zupełnie dla mnie nowy i nikt się dziwić nie będzie gdy dodam, że powabny i miły. Gdym wrócił do domu, spotkałem mojego kolegę na dziedzińcu, wyrzucał mi żem się błakał samotnie pół dnia, dodając z uśmiechem żem wiele stracił. Zapytał mnie potem czym kogo nie spotkał? Nie wiem dla czego skłamałem i odpowiedziałem, że nie. Dziesięć razy potem miałem na ustach zapytanie, ktoby była owa nieznajoma? ale to występne nie które rai się z początku wymknęło, któregom się wstydział, któreby było pociągnęło za sobą Bóg wie jakie tłumaczenia, zawsze mnie

wstrzymywało. Wieczór przeszedł mi smutno i źle spałem. Nazajutrz w parę godzin po obiedzie zaszły powozy i zapowiedziano mi, że jedziemy do pasieki na podwieczorek. Chociaż uważałem że cała familia była starannie ubrana niżby takiego rodzaju przejażdżka wymagała, nie przyszło mi jednak do głowy, dokąd jedziemy. Minęliśmy o małą milę odległą sąsiednią wioskę i wkrótce stanęliśmy przed pięknym, foremnym gajem wokół rowem obniesionym. Na prawo rozciągały się pola okryte zbożem, na lewo były folwarczne zabudowania przytykające do gaju, w środku były gustownie plecione wrota, przez które widać było niezbyt szeroką, ale czystą ulicę ciągnącą się wzdłuż tego dość obszerne go parku. Gdym zapytał jak się to piękne miejsce nazywa, odpowiedziano mi że to pasieka. Wjechaliśmy we środek. Było gaj brzozowy, przemieszany gdzie indziej grupami klonów, lip, młodej dębiny. Trawa chociaż już raz ścięta, podnosiła się zielono i bujnie; kwiatów było mało, ale powietrze było pełne woni, chłód miły, cichość uroczysta. Wkrótce powozy zawróciły się na lewo po szerokiej wysypanej piaskiem ulicy, i jakież było moje podziwienie, gdym postrzegł przed sobą wielkie koło najpiękniejszej murawy, mające w środku kląb z krzewów i kwiatów, a za nim niewielki o pięciu parapetowych drzwiach domek, pięknej architektury. Ani oficyny, ani żadnego gospodarskiego budynku nie było widać; las tylko szumił wokół tego samotnego mieszkania, i okrążała go wonia roślin i kwiatów. Śmiał się mój towarzysz postrzegłszy moje podziwienie. „Widzisz, rzekł, jakeśmy cię za wczorajszą włóczęgę ukarali. Byłbyś dziś jechał do znajomej, a tak będziesz musiał rumienić się i kłaniać, gdy twoje nazwisko wymawiać będą. Żeś nic

nie wiedział dokąd jedziemy, toś winien mojej swawolnej siostrze, która uprosiła nas wszystkich aby ci nic nie mówić. Wreszcie niebardośmy cię oszukali, bo to miejsce rzeczywiście nazywa się Pasięka, i jest własnością pani Hieronimowej P. która u nas wczoraj była." Środek domu odpowiadał jego powierzchowności; wszędzie czystość, elegancya i wygoda: miękkie sofy pod ścianami, miękkie kobierce na podłodze, zielone zastony u okien dla cienia i chłodu. Przyjęcie było uprzejme, niewymuszone, rozmowa naturalna i zwyczajna, podwieczerek prosty wiejski, słowem we wszystkiem com tego dnia widział, postrzegłem ten ton, który okazywał dobre wychowanie i znajomość świata. Pani Hieronimowa żadnym słowem, żadnym wejrzeniem nie okazała że mnie widziała kiedykolwiek, że mi się tak ciekawie przypatrywała. Wszakże, gdyśmy po podwieczorku wyszli obejrzyć czarujący gaik tej dryady, małe zdarzenie ożywiło na nowo marzenia przyśpione gładkiem i zimnym jej obejściem się. Była w jednym miejscu dolina, której oba boki podnosiły się stromo. Dla przebycia jej mój towarzysz podał rękę matce, córka uchwyciła się ręki ojca, a ja ofiarowałem moje usługi gospodyni domu. Już pierwsze dwie pary były na dole, gdyśmy zaczęli się spuszczać; ale moja towarzyszka schodziła tak zwolna, jej mała nóżka stąpała z taką bojaźnią usłużnienia się, żeśmy znacznie zostali za drugimi.

W tej ciągłej trwodze zwiesiła się silniej na mojem ramieniu i w pół cichym głosem rzekła: „Ach! przepraszam pana, jam tak niezgrabna i ciężka." Nic nie odpowiedziałem, ale bojąc się aby do prawdy nie upadła, rękę jej silniej do siebie przycisnąłem. Zwróciła wtenczas głowę ku mnie, spojrzała mi w oczy przenikającym wej-

rzeniem i rzekła: „*Je vous ai vu hier n'est ce pas?*” Zarumieniłem się. Postrzegła to i na górę weszliśmy prędko, krok jój był śmiały, szybki i pewny.

W historyi téj pani, rzekł mi mój towarzysz, gdyśmy wracali do domu, są dwie wersye: jedną z przyjacielem domu, który był przyczyną rozłączenia się jój z mężem, druga bez przyjaciela; która z nich prawdziwa nie wiem, to pewno, że mąż jój był kartownik i grubianin, mieszkał dawniej w Wilnie, a dwa lata temu umarł w Petersburgu, gdzie czas niejaki dla interesów i dla dokuczenia żonie siedział. Pani Hieronimowa mieszka zwykle w Białostockiem, gdzie ma ładną majątność, a niekiedy tylko lato przepędza w Pasiece. Moja matka niebardzo jój ufa i boi się żeby albo mnie głowy nie zawróciła, albo nie była w czém złym przykładem Karolinie. Obie obawy próżne, bo ja takich sentymentalnych pań nie lubię, a moja siostra jest nadto żywa i pusta, aby p. Hieronimowa mogła być dla niej szkodliwą.

— „Teraz pozwólcie mi państwo, rzekł dalej p. M... zrobić jedną uwagę. Gdybym do opowiadania tych nieznaczających zdarzeń był przymuszonym, opowiadałbym śmiało, bez obawy znudzenia moich słuchaczy, którzy sobie tylko winę przypisaćby musieli; ale ja sam państwu narzuciłem się i bardzo tego żałuję. Spodziewałem się być krótkim, tymczasem widzę, że niebezpiecznie jest wywoływać dawne wspomnienia, i że one za daleko unoszą. Rozgadałem się i stracimy spacer.”

— Pozwól mi pan, rzekł gospodarz z udaną powagą i poglądając na żonę, zapytać się nawzajem, czy ja tu mam prawo dać jaki rozkaz?

— Ten rozkaz, rzekła żona, ja wydam. To mówiąc pociągnęła taśmę od dzwonka, wszedł lokaj i pani O.

rzekła: odprządz konie, już nie pojedziemy. Teraz jesteś pan przymuszonym.

— „Poddaję się woli pani, rzekł po chwili pan M. i tak mówił: W ciągu mojego przebywania na wsi, miałem sposobność widzieć jeszcze razy kilka panią Hieronimową i coraz bardziej mię zajmowała. Wprawdzie postrzegłem wielomówność, którą jęj wyrzucał mój kolega, ale ta wada była okupiona tak wdzięcznym, tak melodyjnym głosem, łączyła się z wejrzeniem tak przenikliwém, że ja słuchając téj muzyki i patrząc w jęj czarne oczy, słyszałem nieraz, zupełnie nie to co mówiła, podkładałem swoje własne myśli i rojenia, i gdyby mię wówczas był kto zapytał o czém mowa? byłbym nieraz w wielkim kłopotcie. Jednego razu gdy jęj podawał szal w przedpokoju, a mój kolega wybiegł aby pośpieszono z powozem, zapytała mię prędko kiedy wyjeżdżam do Wilna? Po jutrze, odpowiedziałem.— Miałabym komis, ale nie śmiem pana prosić.— Będę pani jutro służył, rzekłem. Podziękowaniem, było lekkie ściśnienie ręki, pierwsze w mojem życiu i do dziś pamiętne. Nazajutrz o godzinie trzeciej jechałem do Pasieki. Droga była piaszczysta i otwarta, dzień parny i koń mój niosący bezwzględnie na siebie, niecierpliwego i rozmarzonego jeźdźca, stanął cały spieniony i zadyszany u wrót pięknego gaju. Gdy wjechał w jego środek i odetchnął chłodem, opamiętałem się cokolwiek i postępowałem zwolna szykując myśli i hamując rozbujałe nadzieje. Przed gankiem był człowiek, który wziął mojego konia, odprowadził go na lewo i wraz z nim zniknął. Ja zostałem jeszcze chwilę na ganku w zupełnej samotności i głębokiej ciszy. Wszedłem nareszcie. Dom zdawał się pusty. Zwolna i cicho postępując po miękkim kobiercu pierwszego

pokoju, zatrzymałem się we drzwiach w niepewności, czy iść dalej, czy zaczekać póki się ktoś nie zjawi. Nareszcie przytłumione dźwięki instrumentu, wydobyte biegłą ręką, powołały mnie naprzód. W następnym pokoju obaczyłem panią Hieronimową siedzącą przy fortepianie i przebiegającą niedbale jego klawisze. Oparty o drzwi stanąłem w milczeniu i przypatrywałem się jój nadobnym formom. Czarne jój włosy gładko przyczesane, lśniły się jak krucze skrzydła; biały szlafroczek okrywał ją skromnie, ale wyjawiał figurkę zgrabną i wciętą; dzikiego koloru lekki szalik wił się jednym końcem po jój piersiach, a drugim opadał po za krzesło na ziemię. Sądziła się samą i całe jój ułożenie miało to opuszczenie się domowe, które tylko wyrafinowana kokieterya naśladować potrafi. Przeszło kilkanaście minut; tony instrumentu stawały się coraz cichsze, nareszcie schyliła głowę i zakryła sobie twarz obiema rękami. Zdawało się że płacze. Serce się we mnie rozrywało; podszedłem ku niej, wziąłem jój rękę i patrzyłem jój w oczy z rozrzewnieniem i współczuciem. Niezmieszana, niezadziwiona podniosła głowę spokojnie; ręka jój została w moich dłoniach i łza potoczyła się po jój twarzy. „Zszedłeś mię pan niespodzianie, rzekła po chwili, i w momencie słabości i niemęztwa. W tej zupełnej samotności w której żyje, zdarza mi się to często. Taka eichość mię otacza, tak do niej przywykłam, że gdy tu siedzę, gdy zapomnę że moje palce wałęsają się po klawiszach instrumentu, przestraszam się temi dźwięki które sama wydobywam, i wtenczas lży mimowolne puszczejają mi się z oczu. Dziękuję panu za ten udział jaki zdajesz się przyjmować w mojem położeniu. Młode serca są lepsze, szlachetniejsze, wspanialsze.” Całowałem jój rękę z roz-

rzewnieniem. Ona usuwała ją z wolna, i ja nie wiem jakim sposobem przypadłem na kolana. Lekki rumieniec wystąpił na jęj lica; kładąc drugą rękę na mojej głowie nachyliła się i pocałowała mię w czoło. Potém poważnie powstawszy zapytała wiele mam lat?—Dwadzieścia jeden, odpowiedziałem.—Za lat pięć, rzekła, będę miała dwa razy tyle, mogłabym być matką pana. Siądźmy i pogadajmy. Rozmowa nasza była długa. Pytała mię o rodzinne strony, mówiła o uniwersytecie, o profesorach. Zapytywała o nauki które lubię, które słucham. Czulem żem był zmieszany, niezgrabny, żem odpowiadał źle, niezręcznie, że język mój plątał się i odmawiał swęj posługi. Przeciwnie, ona mówiła wiele i dobrze, szczególnież o sobie, o swoich zajęciach, o trudnościach i próbach przez które przeszła, o cierpieniach i smutku z któremi się już oswoiła, jak z przyjaciółmi.

Wymowa, dodał po chwili pan M... nie jest nigdy bezwarunkową. Wiele w nięj zależy od daru mówcy, ale wiele także od usposobienia słuchacza. Słowo jest ziarno, słuchacz jest rolą. Nic się nie urodzi i z najzdrowszego ziarna, jeżeli pada na nieprzygotowaną ziemię. Nie wiem jakbym dziś znalazł to wszystko co pani Hieronimowa mówiła, ale wówczas wydawała mi się prawdziwie wymowną. Tak przeszło godzin parę, wreszcie spojrziała na zegarek i rzekła powstawszy:— teraz jedź pan szczęśliwie. Ludzie są źli, szczególnież sąsiedzi. Mam znajomych w Wilnie, mam i takich których lubiłam, zobowiązywałam i którzy mię szarpią. Powiedz im pan gdy się zdarzy sposobność, żeś mię poznał i opowiedz jakąś mię widział. Po młodém sercu twojem spodziewam się prawdy. Oto jest komis jaki panu dać chciałam. Drugi zwyczajniejszy jest ten, abys mi pozwolił do siebie kilka słów napisać

i nie odmówił swój posługi gdy potrzebować będę czasem książek lub nut. *Maintenant adieu, partez.* To mówiąc podała mi rękę; odurzony ucałowałem ją, wyszedłem zwolna do drugiego pokoju, i gdym się obrócił chcąc jeszcze raz na nią spojrzeć, znalazłem drzwi zamknięte. Koń mój stał już przed gankiem; ledwie miał dosyć sił dosiąść go, i rzuciwszy cugle na jego szyję, puściłem go powoli i zatopiony w myślach przyjechałem do domu.

Gdym w kilka dni potem nad Xenofontem siedział, kształty liter greckich dziwne mi się wydały. Nie mogłem się przenieść w tak odległe wieki i zdarzenia, nie mogłem nadać téj swobody myśli, jakiej wymaga nauka, z obecném życiem niemająca żadnego związku. Nieraz szukając wyrazu jakiego w dykcyonarzu, zapominałem porządku alfabetu greckiego; gdym go sobie przypomniał, zapominałem jakiegom wyrazu szukał, i często zmęczony przewracaniem daremném nabitych słowami ćwiartek, obłąkiwałem się do reszty, wpatrywałem się w wyraz i nie mogłem go przeczytać, papier przemieniał się w aksamitny gazon, słowa zbiegały się w kłęb roślin i kwiatów, brzozy i klony zaczynały koło mnie szumić, wesole sikory świegotwały skacząc po gałązkach, a dalej lśniły się szyby pięciu czarownych okien, zpoza których wyglądała twarz z lekkim rumieńcem, z wejrzeniem pełném duszy, z ustami pełnemi harmonii i wymowy.

Z początkiem roku szkolnego zbiegali się towarzysze z nowemi siłami do pracy, a ja straciłem dawne; wszakże zachęcony ich przykładem, orzeźwiony ich świeżą i niezmezoną jeszcze ochotą, zacząłem powracać do dawnego porządku i akuratności. Wtenczas właśnie odebrałem piérwszy list pani Hieronimowej. List ten pisany jeszcze po polsku, nie mógł być niebezpiecznym, za-

jął mi jednak dwa dni czasu nim załatwiłem czego po mnie wymagał, nim odpisałem. Moja odpowiedź była długa. Wymowniejszy byłem z piórem w rękę, w pokoju zamkniętym na klucz, gdy przedemną był tylko papier, a wokół wspomnienia chwil upłynionych, niż w przytomności tych ocz przenikliwych i pod czarami tego słodkiego głosu. Drugi jój list już po francuzku, był prawie tak obszerny jak ten, który pani trzymasz w rękę i bodaj czy nie drobniej i ściślej pisany. Odtąd zaczęła się korespondencya coraz częstsza, coraz obszerniejsza, coraz pełniejsza wylania i uczucia, ale niewychodząca z granic prostój życzliwości i form grzecznych. Trawiłem nieraz pół dnia na decyfrowaniu jednego listu, noc przechodziła na odpisywaniu: a tak wpółsensny i rozmazony przychodziłem na lekcye, których nie słyszałem, straciłem nic we wszystkich prawie przedmiotach i nie mogąc już związać jednej materyi z drugą, zacząłem coraz rzadziej uczęszczać do uniwersytetu. Postrzegł to Grodek, zaczął się na mnie krzywić, ale jam go unikał bojąc się jego wymówek. Przeszło parę tygodni bez żadnego listu. W tym czasie wytechnienia, żarciki mojego kolegi, wiadomość odebrana z domu, i niespokojność rodziców do których dawno nie pisałem, obudziły we mnie postanowienie nie poddawać się czarom już rozwinętego uczucia. Gdym w takiój walce przechadzał się raz po pokoju i coraz bardziej się ukrzepiał, wszedł służący Grodka prosząc w imieniu pana, abym do niego przyszedł. Rad byłem temu zdarzeniu sądząc, że sam widok dobrego staruszka, jego rada, jego upomnienie jeszcze bardziej mię umocni i uzbroi. Ubrałem się prędko, lecz wyszedłszy na ulicę, postrzegłem człowieka w ele-

ganckiej choć niebłyszczącej liberyi, który decyfrował numer kamienicy gdzie mieszkał.

— Fatalność, nieszczęście, zawołał pan Ignacy, poprawiając się na krześle i uderzając o stół palcem. Najlepsze chęci pójdą w niwecz.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy, nawet p. M... który tak dalej mówił: Twarz tego człowieka zdawała mi się znajoma. — Kogo szukasz kochanku? zapytałem. Spojrzał na mnie i zawołał. — Aha! zdaje mi się że pan jesteś pan M... Na znak potwierdzenia oddał mi bilecik. Rozerwałem go chciwie i szedłem naprzód żeby skryć przed lokajem pomieszanie i radość. Kilka słów tylko było ołówkiem napisanych. „Przyjechałam dla interesów, jestem zmęczona i chora.” Niżej były te słowa: „Możesz mi pan kilka chwil udzielić? A potem niżej: „*Ne suis-je pas une vieille folle de croire, que vous viendrez à l'instant?*” Zapytałem człowieka gdzie jego pani mieszka. Nazwał mi dom, i wkrótce znikłem z jego oczu. Zapomniałem o Grodku, o wszystkich klasykach starożytnych i nowych; uniwersytet ze wszystkimi gmachami, z całą mądrością, jaką z pięćdziesięciu ust wylewał, zakrył się przed moimi oczami mgłą nieprzejrzaną.

Tydzień przeszedł szybko, a gdy przeszedł, gdy wyjechała, pierwszy list którym odebrał, zaczynał się od tych słów: „*Antoine! cher ange!*” Jak szły potem moje studia, łatwo się domyśleć. Akuratnym tylko byłem w odpisywaniu na jej listy. Jeżeli chodził do uniwersytetu, to machinalnie, bez energii, bez przygotowania, bardziej aby się czemkolwiek rozerwać, niż żeby się czego nauczyć, żeby postępować za ciągiem rozwijających się prawd i zdobywać trudem i usilnością jedną po drugiej te piękności, które się tają w księgach starożytnych pisarzy.

Dobry nasz filolog starał się jeszcze zwerbować mię pod swój sztandar. „Gdzie to się wasyndzi tak absentuje? rzekł mi raz, jak mi żal że wasyndzi zupełnie się zaniedbał.” Słuchałem ze spuszczonei oczami tych wymówek nieocenionego staruszka. Wstyd oblewał moje blade lica, ale gdym wrócił do domu, zastałem list, rzuciłem się nań z chciwością i tęsknota nieopisana opanowywała moje duszę.

Gdy się sanna ustaliła, widywałem ją każdego tygodnia. Dzień, dwa dni przepędziłem z nią razem. Raz zastałem ją chorą i nie szcędząc ani jój ani siebie, bez względu coby powiedziano w sąsiedztwie, nie odstępowałem od jój łózka. Z moich rąk przyjmowała lekarstwa, na moich rękach zasypiała. Tak nas raz zastał lekarz miejscowy; widziałem na jego twarzy podziwienie i wtenczas zrodziła się we mnie myśl, oddać rękę téj kobiecie, która mi z takim wylaniem oddała swój honor i serce. Tak przeszło blisko trzy tygodnie. Postrzeżono moje nieobecność w Wilnie, i gdym wrócił ukarano mię tygodniowym aresztem. Wspomnień miałem wiele i każdej poczty odbierałem list niemniejszy od tego, który stał się przyczyną, że państwo tu siedzicie gdy wieczór tak cichy i niebo tak pogodne. Nie było więc to więzienie karą tak surową jak mniemali ci, którzy mię na nią wskazali. Ale przyczyna téj kary stała się głośna. Dowiedział się o niej mój uczony opiekun i szczerze się zasmucił; mój towarzysz, gdym mu objawił postanowienie żenienia się z panią Hieronimową, gdy spojrział na moje twarz bladą, oczy zapuchłe od płaczu, postać stanowczą, nie śmiał się, nie żartował, ale zamysłony wyszedł. Wogólności stan mój był przykry; uczucia moje zdawały mi się głębokie, a jednak niekontent z siebie, wstydzilem się ich prawie, zwłaszcza wówczas,

gdy mi przychodził na myśl mój rozsądny ojciec, który nie mógł pochwalić mojego postępowania i zezwolić na spełnienie moich życzeń. W takiej walce i zdrowie moje uciepić musiało. Szczęściem nadeszła wiosna i ja całe dni przepędzałem na wzgórzach otaczających miasto, nad pięknymi jego wodami i oddychając świeżem i balsamicznem powietrzem rozkwitającej natury i sam przychodziłem do siebie. W tym czasie odebrałem list od mego ojca, krótki ale stanowczy. Kazał mi uwolnić się z uniwersytetu i przyjeżdżać natychmiast, dodając, że moja matka chora, żebym pośpieszał, jeżeli ją chcę zastać. Krótko trwała walka, czy mam pojechać pożegnać kochankę. Obrazy które mi nasunęła zatrwożona imaginacya, blask pogrzebowych pochodni, głos księży i dzwónów, poważna twarz ojca, smutek i groźny wyrzut na jego czole, pokonały moje synowskie serce. Napisałem więc list krótki ale malujący stan mojej duszy, przyłączyłem swój adres i list ojca i wyprawilem sztafetą, sam zaś w kilkanaście godzin już byłem w drodze do domu.

Nieszczęściem, czy może szczęściem dla mnie, różne przeszkody zatrzymywały bystrość mojego biegu. Ledwie jedenastego dnia po wyjeździe z Wilna zbliżyłem się do domu. Z niecierpliwością i trwogą obaczyłem wznoszący się wśród topoli dach rodzinny. Wspomnienia dzieciństwa, nadzieja obaczenia tak dobrze znajomych twarzy, szum drzew, których wszystkie kształty tak mi były pamiętne, łoskot młyna przy którym usypiałem w dzieciństwie, cała ta przeszłość mieszała się z obawą zastania smutku i żałoby w tym samym domu, gdzie miał znać tylko radość. Konie leciały szybko, dzwonek rozlegał się wokoło; zapewne odgłos jego wywołał mego ojca na ganek, gdzie go już zastał. Wskoczyłem z po-

wozu i rzuciłem się do nóg jego płacząc. Podniósł mnie z powagą i dobrocią.—Twoja matka zdrowsza, już wstaje, uspokój się, nie płacz, rzekł i uściskawszy poprowadził mnie z sobą. Któż nie doznał i nieszczęśliwy kto nie doznał tego uczucia bezpieczeństwa, jakim oddycha serce dziecka pod dachem rodzinnym? Jeżeli nawet byt indywidualny każdego członka rodziny już zaczyna się rozwijać, mniej cierpi gdy się tuli pod skrzydło, pod którym się wylągł, gdy się ucieka pod obronę tego ducha opiekuńczego domu, któremu Rzymianie stawiali ołtarze, a którego reprezentantem w każdej rodzinie jest ojciec. Gdym się rozgościł, z pierwszych wrażeń uspokoił, mój ojciec oddał mi list pani Hieronimowej, patrząc mi w oczy z powagą. Zacerwieniłem się i przeklinałem w duszy wszystkie przeszkody, które mi nie pozwoliły stanąć wcześniej i przedsięwziąć środki do utajenia mojej korespondencji.

— To ręka kobiety? rzekł surowo.

Potwierdziłem cichym, ledwie słyszonym głosem. Nic nie odpowiedział i wyszedł. Za każdą pocztą oddawano mu wszystkie listy do rąk (taki był jego rozkaz); on mi moje zawsze sam wręczał. Trwało to przeszło półtora miesiąca. Moja matka wyzdrowiała zupełnie, ale była smutna i unikała prawie rozmowy ze mną. Nie byłem szczęśliwym. Obejście rodziców moich było zimne, kochanka była daleko i w tęsknocie za mną, zajęcia nie miałem żadnego, słowem, nie wiedziałem co z sobą począć. Jednego ranku dla rozerwania się zacząłem porządkować swoje papiery. Między innymi przyszła kolój i na serdeczną korespondencyą. Otworzyłem więc szkatułkę gdzie były listy pani Hieronimowej. Leżały one wprawdzie każdy w swojej kopercie, ponumerowane,

z nadpisem którego dnia, o której godzinie który z nich był odebrany. Wysypałem je wszystkie na kanapę chcąc według numerów uszykować. Tylko co się ta nieszczęsna operacya zaczęła, gdy wszedł mój ojciec. Nie było czasu sprzątnąć, skryć téj kieszonkowej biblioteki, tak jawnie przeciwko mnie świadczącej. Spojrzał mój ojciec na tę gromadę kopert pełnych i wyciągając rękę w milczeniu jeszcze jeden list mi podawał. Nie miałem siły wziąć go i rozpieczętować. Z głową schyloną, z sercem miotaném dziwnymi uczuciami stałem w milczeniu i bez ruchu. — Nie chcesz! rzekł po chwili, przydaję więc złoto do złota, i rzucił list do innych. Nie śmiałem powiedzieć Habdank. Żal niewypowiedziany mię ogarnął gdym postrzegł, że wszystkie uczucia, całe serce téj kobiety, którą kochał, leżało tu rozlane w tysiącnych ćwiartkach pod surowém okiem zimnego i mającego nas sądzić człowieka. Gdym przyszedł do siebie i podniósł oczy, postrzegłem, że mój ojciec usiadł przy moim skarbie i założywszy ręce patrzył na mnie spokojnie i poważnie jak gdyby czekał objaśnienia. Gdym milczał, rzekł nareszcie: — Więc ten cały szereg listów od niej?... i to w przeciągu kilku miesięcy? Masz, mój synu, korespondentkę zawziętą i niezmordowaną.

— Jestto kobiéta, mój ojczy, pełna rozumu, pełna uczucia, która mię kocha, żyje w zupełnej samotności, i nie dziw, że pisze do mnie wtenczas, gdy mię nie widzi.

— I ty ją kochasz? zapytał mię łagodnie.

Rzuciłem się do nóg jego; przyznałem się. Kazał mi usiąść i zaczął ze mną rozmowę, nie jak ojciec surowy i niewyrozumiały, ale jak przyjaciel pełen życzliwości i rozsądku, wchodzący w moje położenie i dzielający jego trudności. Nadzieja okrasila moje twarz rumieńcem

i nadała żywość moim słowom i opisom. Staralem się wystawić panią Hieronimowę z najpiękniejszej strony, opisywałem jęj poświęcenie się, jęj szlachetność w nieprzyjmowaniu mojęj ręki, obowiązki moje dla nięj malowałem tak, iż nie było dla mnie innego środka jak dotrzymać danego jęj słowa, do którego przyjęcia skłoniłem ją długimi prośbami, płaczem i smutkiem, który mi zagrażał zupełną utratą zdrowia.

— O związkach twoich, rzekł mój ojciec, dowiedziałem się wtenczas gdyś był w areszcie. Nie dziw się mój synu, mojęj trwodze. Pani Hieronimowa P... nie była mi wystawiona tak jak ją ty malujesz. Odwołałem cię z Wilna i nie żałuję tego. Nie przykazuję ci abyś o nięj zapomniiał, władza ojcowska nie rozciąga się tak daleko. Wreszcie zanadto cenię twoje szczęście, abym ci zagraadzał do niego drogę, ja, który z obowiązku i z popędu serca usłać ci do niego ścieszkę powinienem. Nie mówię tu o różnicy waszego wieku. Tyś młodzieniec, ona kobiéta i kobiéta niemłoda. Gdy ty będziesz mężczyną, ona będzie starą. Śmiać się z was będą, ale mniejsza o sądy ludzkie, możesz ją kochać, szanować, możesz mieć z nią pokój w domu i być szczęśliwym. Najglówniejszą jest rzeczą dla rodziców, charakter tęg osoby, któręj mają powierzyć szczęście swojego dziecka. Nim ci więc stanowezo pozwolę, lub położę moje niecofnione veto, muszę wprzód z gruntu poznać panią Hieronimowę. Grodek, donosząc mi z żalem o twojęm obłąkaniu, wspomniiał o niektórych zdarzeniach całemu Wilnu znajomych.....

Zerwałem się z krzesła.—Siądź mój synu, rzekł dalej mój ojciec z powagą, nie powinienes się dziwić, że sprzyjający ci i uczony staruszek, z żalem pisał ileś czasu

stracił. On, który umie tak wiele, który wie z jakim trudem nabywa się każda gruntowna wiadomość, wie także najlepiej jakim nieocenionym skarbem jest czas, i nie może patrzeć bez smutku na tych, którzy ten drogi dar Boży marnują i garściami wyrzucają za okno. Nie mógł się on stać adwokatem p. Hieronimowej, która była przyczyną tego z twojej strony marnotrawstwa. Chociaż więc i ty pewnym jesteś, że taki człowiek nie od siebie nie przydał a powtórzył tylko powszechne pogłoski, ja jednak ostrożnie je rozbiéram i ślepo im nie wierzę. Drugi list odebrałem od twojego przyjaciela. Nie masz potrzeby czerwienić się. Było to jego obowiązkiem mnie uwiadomić i powinieneś w tém widziéć dowód jego przyjaźni. Serce jego bez grzechu. On nie aprobuje twego wyboru. Że zaś mógł się unieść przyjaźnią dla ciebie, że się mógł pomylić w zdaniu o kobiecie, której może nie pojął; że, jako młody, mógł za lekko osądzić jéj obyczaje i charakter z przypadkowych okoliczności, które często jak połamane zwierciadło w bezkształtnej postaci odbijają najpiękniejsze lice, dlatego i jemu przez pół wierzę. Ty znowu, mój synu, odmalowałeś mi ją zupełnie inaczej, ale i ty nie jesteś bezstronnym i ciebie zaślepia namiętność, dlatego i na twojem zdaniu zupełnie polegać nie mogę. Zostaje więc nam rodzicom, pragnącym twego szczęścia, jeden środek. Tu, dodał pokazując na stos listów, maluje się pewnie serce twojej kochanki, tu odbija się jéj charakter, jéj skłonności, tu ona przelała się sama z ciałem i duszą. Jakkolwiek praca będzie wielka, ale jakaż ofiara jest dla rodziców za trudna! Te listy nam powierzysz, przejrzymy je z matką i wtenczas...

— Mój ojcze! rzekłem zmieszany, te listy były do mnie pisane, sąto tajemnice, sąto szepty duszy w duszę, dla ucha postronnych niedosłyszane, niepojęte.

— Tém wierniej mi usłużą. Może z początku jest w nich cokolwiek hipokryzyi, jak we wszystkich początkowych listach zakochanych i kobiet i mężczyzn; jestto dym który zwykle poprzedza wybuchnienie płomienia, dalej będzie on czysty, i przy jego świetle rozpoznam wszystkie zakątki jój serca.

— Mój ojcze! rzekłem błagającym tonem.

— Chyba że się boisz, abym w nich nie znalazł potwierdzenia tego, co mi napisał Grodek i twój przyjaciel. W takim razie nalegać nie będę, zbytym cię żalował, żeś się dał wyprowadzić w pole.

— Nie, mój ojcze, rzekłem powstając, tego się nie boję; możesz zimną ręką grzebać w jój sercu, wszędzie znajdziesz tylko najszczerze żądanie mojego szczęścia.

— Więc pozwalasz?

— Z tym warunkiem, mój ojcze, że mi pozwolisz pojechać do Wilna i tam skończyć uniwersytet.

— I po skończeniu uniwersytetu wrócić do domu z synową. Zgoda. To powiedziawszy zaczął z powagą zbierać moje listy, porządkować je według numerów, liczyć z największą akuratnością, i gdy to wszystko było skończone, kazał sobie przynieść serwetę, zawiązał je i wyszedł. W ciągu téj długiej operacji stałem bez ruchu oparty o ścianę, nie miałem żadnej myśli, żadnej obawy, żadnej nadziei. W tém odrętwieniu machinalnie spojrzałem na kanapę. Mój ojciec delikatny i litościwy zostawił tam ów list ostatni, jeszcze zapieczętowany. Upadłem przed nim na kolana, jakby przepraszając nicobecną kochankę, zem dopuścił podjąć tajemniczą zasłonę

jéj myśli i uczuć. Zacząłem czytać, lzy rzewne puściły się z moich oczu i przyniosły mi ulgę.

Cały ten dzień nie widziałem moich rodziców; nazajutrz wszedł mój ojciec z całym pakietem zawiązanym w serwetę, a za nim człowiek, który przyniósł pół rzyzy czystego papieru. Gdym patrzył na to wszystko z podziwieniem, rzekł mój ojciec: — Wzięliśmy się kochany synu nie do swojej rzeczy. Twoja matka słaby ma wzrok, a ze mnie nieszczególny Francuz. Niczego więc dojść nie mogliśmy. Masz więc twój skarb napowrót. Oryginały niech zostaną przy tobie; ale oto masz papier, przepisz je wszystkie czytelnie dla matki, a dla mnie przetłumacz po polsku, i wtenczas, dodał stanowczo, pojedziesz do Wilna. Nie czekając mojej odpowiedzi, wyszedł.

Spojrzelśmy po sobie z uśmiechem, a pan M... który im dłużej mówił, tém bardziej twarz jego przybierała wyraz melancholiczny i smutny, jakby nie dostrzegając naszego poruszenia, tak mówił dalej: — Długo myślałem jakiby miał cel mój ojciec w tém osobliwszém zdarzeniu? nakoniec wpadłem na myśl, że mi chce dać czas do zastanowienia się, chce znużyć moje cierpliwość, i tém samém lekarstwem które zdrowemu dało chorobę, wyleczyć chorego. Gdym sobie przypomniiał całe jego postępowanie ze mną, jego rozmowę tak niemilosiernie loiczną, jego udaną powagę, a nadewszystko to lekkie usunienie różnicy wieku, com ja we własném przekonaniu poczytywał za niewyciężoną przeszkodę; przekonałem się, że cel mego ojca nie inny, że żartował sobie z moimi uczuciami, które były tak głębokie i szczere. Postanowiłem więc zniweczyć jego plany i natychmiast wziąłem się do roboty. Z tém postanowieniem wrócił mi dobry humor i wszystko wokoło mnie okryło się da-

wnemi kolorami. Przy obiedzie śmiałem się, rozmawiałem o różnych rzeczach, ale o mojej korespondencji, o tym trudzie herkulesowym, który miznaczono, nie było żadnej wzmianki. Przed wieczorem wziąłem się znowu do pracy. Okno mojego pokoju, przy którym stał stolik, wychodziło na ogród. O kilka kroków, szła uliczka samotna i przez nikogo nicuczeszczana. O godzinie drugiej po północy jeszcze siedział i pisał. Noc była ciepła, okno otwarte, cisza tak zupełna, że nawet płomień mojej świecy się nie migał. Wtém, zdawało mi się że usłyszał kroki przechodzącego człowieka, wyjrzałem chwilę przez okno i poznałem postać mojego ojca, który poważnie przesuwiał się między drzewami i w bocznej ulicy zniknął. Mój ojciec niespokojny o mnie, nie śpi dotąd, pomyślałem, sumienie mię tknęło i w ten moment zagasiłem światło. W pierwszych dniach, praca szła mi dość żywo i nie psuła humoru. Gdy był z rodzicami, naciągałem do niej niekiedy rozmowę; raz nawet wspominałem o Biblii, o Jakóbie, który siedm lat pasł owce dla pozyskania ręki Racheli. Mój ojciec zawsze udawał że nie rozumie moich aluzyj i zwracał rozmowę do innych przedmiotów, niekiedy wszakże we dnie, a w nocy najakuratniej przechodził pod moim oknem i spozierał, czy piszę. Dwudziestoletni filozof chciałem omylić doświadczenie starego i znającego serce ludzkie człowieka. Im więcej wczytywałem się w listy pani Hieronimowej, tćm bardziej zacząłem postrzegać w nich nadzwyczajną monotonię. Te same myśli, te same uczucia powtarzały się co moment; jednostajne obrazy, niekiedy w odmiennćj a często w tćjże samej postaci, jawiły się natrętnie. Z początku to postrzeżenie było myślą przelotną, którą odpędzałem jak niemiłe wi-

działo; stopniami, stopniami zamieniło się w przekonanie i stało przy mnie jak mara niezbędna, która kładła zimną rękę na mojem sercu, i z drzewa mojej miłości zrywała listek po listku, kwiatek po kwiatku. Tu wstyd mię oblał, tu niewdzięczność taka gryzła i dręczyła. Dla pokonania się pisałem noc całą, i gdym rano wszedł do pokoju rodziców, zastałem ojca siedzącego smutno z założonemi rękami, a matkę we łzách. Ten widok znowu mię przeraził i sumienie moje obudził. Odtąd rzadkom się pokazywał, ale rzadziej także siadywałem przy moim stoliku. O godzinie dziesiątej już było w pokoju moim ciemno. Niekiiedy znużony mechaniczną robotą, do której przysiadłem się czasem, nie przewidując jój końca, odsuwałem ze wstrętem papier w pół zaczętego peryodu. Potém wstydząc się uczucia tak krzywdzącego kobietę, która może w tój samój chwili duszą i myślami unosiła się nademną, wybiegałem z domu, dosiadałem konia i błąkałem się bez celu po polach i lasach. W takim stanie, w takiój walce przeszło blisko trzy miesiące. Tu pan M. schylił głowę i zamilkł zupełnie.

— I nie przepisałeś wszystkich listów? zapytał po chwili gospodarz.

— Było ich przeszło dziewięćdziesiąt, rzekł pan M. nie patrząc na nas.

— Zostałeś więc pan w domu? rzekłem.

— Skończyłem uniwersytet w Berlinie, odpowiedział.

— A pani Hieronimowa? zapytał pan Ignacy.

— Odbierałem jeszcze od niój coraz radsze listy, żaliła się na moje milczenie, nakoniec i sama umilkła. Szanowałem tę dumę obrażonego serca. Co się zaś z nią stało, dotąd nie wiem. Nie chciałem się dowiadywać; bałem się aby cokolwiek nie zepsuło moich iluzyj. Pragną-

łem i pragnę dotąd, dodał z lekkim westchnieniem, aby w myśli mojej została taką, jakąm ją widział i znał w Pasiece.

To rzekłszy, powstał i poszedł ścieżką ku Teterowu. Zostaliśmy w milczeniu i patrzyliśmy nań z interesem. Długo widzieliśmy go błakającego się nad brzegami rzeki, nikt z nas nie śmiał pójść za nim; nakoniec zmrok wieczora zakrył go nam zupełnie. Do wieczery pan M. nie przyszedł, a gdyśmy się nazajutrz na śniadanie zbrali, powiedziano nam, że o godzinie czwartej rano wyjechał.

Wtenczas rzekł pan Ignacy: — Jak dziwnie los człowieka zależy często od drobnych okoliczności! Gdyby pani Hieronimowa była pisała wyraźnie, gdyby pisała po polsku, miałaby dziś młodego męża, który ją dotąd kocha.

NIECO O ŚWIĘTOPIETRZU W POLSCE,

ZEBRAŁ

Tymoteusz Lipiński.

Tempora mutantur.

Do wielu niedostatecznie jeszcze wyjaśnionych faktów w dziejach polskich, należy i pobożna danina zwana *Świętopietrze*, czyli *grosz świętego Piotra*. Zastanawiał się nad tém z właściwą sobie gruntownością Naruszewicz, nagromadził ze źródłowych pisarzy ważne wiadomości, i przekazał je nam tu i owdzie rozproszone, w nieoszacowanej swój pracy; drugim był Czacki, który zamieścił w Litewskich i Polskich prawach 1800 roku, obszerniej zaś w rozprawie 1802 r., o dziesięcinach, zajmujące a nieznanie Naruszewiczowi o Świętopietrze szczegóły (1). Po tych dwóch niezmiernych badaczach, nikt się nie zajął dokładnym obrobieniem tego historycznego ustępu, i nie przedstawił go w należyłym świetle, ale co większa: nikt po nich kroku nawet na tém ciekawém nie postawił polu. Sądzę, iż nie będzie

(1) O dziesięcinach w powszechności, a szczególniej w Polsce i Litwie i t. d., ob. Roczniki Tow. Przy. nauk 1, 360, i Nowy Pam. Warsz. 1802 r. T. V, s. 80.

od rzeczy, gdy zbiorę w jedną całość i ponowię dla odświeżenia w pamięci to, co wzmiankowani dwaj uczeni nasi w tym przedmiocie wyrzekli, tak w samym texcie dzieł swoich, jak i w przypiskach; pochoop zaś do niniejszego przedsięwzięcia nastęrcza mi nader ważny z tego względu przywilej miasteczka *Główna* pod 1427 r., że znajduje się w nim wzmianka: ażeby mieszczanie wnosili denar ś. Piotra.

Podatek, czyli grosz ś. Piotra, wyraża Naruszewicz, stanowią kronikarze nasi za czasów Kazimiérza I, syna Mieczysława II i Ryxy (Reginy), córki falcgrafa reńskiego. Ustąpiwszy z kraju Kazimiérz, miał zostać mnichem w klasztorze Benedyktynów w Kluniaku czyli téż Leodyum we Flandryi (1). Uwclniony od ślubów zakonnych przez Benedykta IX, wrócił do Polski 1040 r. dla objęcia rządów, lecz wprzód przystać musiał na następujące warunki: że Polacy mieli głowy golić obyczajem zakonników, nosić przepaski białe w przedniejsze święta, naksztalt stuly z ramienia lewego do boku prawego, i płacić pewną daninę pieniężną, którą Gallus, albo raczej jego fałszerz zowie Szwantopetrze, *solidus B. Petri*. Kadłubek, jako o mnichostwie, tak i o podatku zamilczal; Boguśał nazywa ten pieniądz *denarium*, dając po jednym od każdój głowy bez braku; przypisnik Kadłubka, słowo w słowo przepisał z Boguśała. Jan kronikarz, żyjący około 1355 r. powiada: że ten pieniądz miał na sobie wyrażoną głowę ś. Jana; umniejsza on pogłównie, mówiąc: iż dawano *singulis annis de singulis familiis unum denarium*, ale przydaje do pieniądzy owies: *duas*

(1) Upowszechnioną baśń o mnichostwie Kazimiérza, pierwszy zbił z wielką pracą i dokładnością Naruszewicz.

mensuras avenae S. Petro Romae pro lumine. Anonim, pisarz dziejów szląskich, poszedł za Bogufałem względem pogłównego; Długosz nazywa tę monetę *nummum usua-lem* (w kraju używaną), stanowi pogłównę, ale od niego szlachtę uwalnia: *nobilium capitibus circumscriptis.*

Zwyczaj wnoszenia wzmiankowanej daniny do skarbu papieskiego, nie za Kazimiérza I, lecz z wprowadzeniem u nas wiary wziął początek. Nietylko zaś Polacy, ale i inne świeżo nawrócone narody, jakoto: Węgrzy, Angli-
cy, Duńczykowie, Czesi, przez wdzięczność i uszanowanie głowy kościoła, postępowały często ś. Piotrowi daninę coroczną w pewnych summach. Królowie i książęta chrześcijańscy, czynili to czasem dla względów prywatnych i zjednania sobie protekcyi Rzymu, lub dla nabożeństwa i potrzeb politycznych. Znajdujemy ślad w Dytmarze, iż Polacy od chwili zaszczerpienia wiary, dawali pewną składkę pieniężną papieżowi, i że Bolesław Chrobry zwał ją przyczynę na cesarza Henryka II, jakoby dla jego zasadzek nie mógł przestać *promissum census S. Petro.* Znajdujemy także w życiu ś. Romualda, pisaném przez ś. Piotra Damiani spółczesnego Chrobremu: iż ten monarcha dla otrzymania korony od papieża, chciał posłać do Rzymu *copiosum auri pondus.* Nie wiadomo, czy Bolesław Chrobry wykonał obietnicę swoją po 1014 r., i czyli syn jego Mieczysław II to uczynił. Papież, którzy naówczas od wielu innych książąt chrześcijańskich tę pobożną odbierali daninę, utrzymywali zawsze do niej swoje prawo. Pobożność dała mu początek, czas i okoliczności odmieniły dobrowolną w pierwsi-
stkach ofiarę w zwyczaj, a z tego wywiązał się niejakiś obowiązek. Kazimiérz pan pobożny, mógł wskrzesić, co przodkowie jego obiecali i zaniedbali: wszakże uczynił

to, nie za uwolnienie swoje od kaptura, ale z wrodzoną pobożności i poszanowania stolicy świętej, z obyczajów innych narodów, jako też dla zjednania pomocy głowy kościoła przeciwko Czechom. Grosz więc ś. Piotra, musiał być we zwyczaju przed Kazimierzem, lecz pobór onego domowemi wojnami, niezrządem kraju i zuchwałstwem mnogiego jeszcze pogaństwa będąc zatarty, przez tegoż króla został odnowiony. Ściągnięte corocznie z mieszkańców i do Rzymu przesyłane pieniądze, nie były bynajmniej znakiem hołdownictwa, ale przysługą pobożną na budowę kościoła ś. Piotra i na utrzymywanie lamp przy jego grobie.

Pod 1045 r., wspomina Długosz o wysłanym przez Benedykta IX do Polski nuncyuszu, z przypomnieniem Kazimierzowi I obiecane go podarunku: i że król zwoławszy na ten koniec radę, ogłosił powszechnym wyrokiem, wybieranie poglównego po jednym groszu ze wszystkich wsi, miast i miasteczek, w metropoliach gnieźnieńskiej i krakowskiej, oraz dyecezyach im podległych (1). Walka między trzema papieżami wszczęta, zakryła przed nami nazwisko tego, który się u nas o danię ś. Piotrowi upominał. Innocenty III w liście pisanym 1207 r. do duchowieństwa, przykazuje Polakom: aby grosz ś. Piotra (*Apostolo census debitum*), dobrą i kurs mającą monetą krajową, nie brakowaną wyplacali; papież zaś Innocenty IV wyprawił 1245 r., legata Opizona

(1) Nie po groszu, ale po obolu (*obulus* to samo co *denar*) od głowy pisze Długosz: *decreta et innovata est solutio unius usualis obuli de capite in provinciis Gnesnensi et Cracoviensi, et dioecibus eisdem subnectis, videlicet: Posnaniensi, Plocensi, Crusviciensi, Wratislaviensi, Lubieciensi, Culmensi et Camenecensi*. Grosze dopiero za Wacława (1300 — 1305) w Polsce nastały, a denarów 18 szło na grosz.

dla wybierania świętopietrza. Władysław Łokietek, w nadziei pozyskania u Jana XXII sprawiedliwości z Krzyżaków, a razem utrzymania korony, odnowił około 1317 r., wybieranie groszów ś. Piotra. Bo lubo z dawnych lat, z każdego domu i rodziny płacono na fabrykę i na światło kościelne po trzy denary i przetaku owsa, chybiał atoli częstokroć ten podatek dla wojen, niedostatku, owszem i dla niechęci dopełniania postanowień rzymskich, jako dla kraju uciążliwych. Lecz Łokietek dla tém łatwiejszego dokonania swoich zamiarów, przywrócił zwyczaj starożytny z tą odmianą: iż odtąd od każdej głowy jeden denar kursującej monety miał być statecznie wypłacany, wyjąwszy szlachtę. Mieli wprowadzić Polacy zawsze tę darowiznę za uciążliwą, wszelako jak świadczy Długosz, trwał ów podatek nieprzerwanie za jego czasów (1).

Posłuchajmy teraz, co w tymże przedmiocie pisze Czacki. Księga zbioru funduszów dyecezyi krakowskiej, zwana *liber beneficiorum*, przez Długosza sporządzona, zachowała nam wielość dani, którą wówczas będące wsie płaciły do Rzymu (2). Zygmunt I wyjednał u Leona X, iż dochód z Świętopietrza, przeznaczony został z woli papieża na poprawę zamku kamienieckiego, który uważany był za przedmurze przeciw potędze tureckiej. Co do wielkości summy z tego źródła, dwa niemal zupełnie zgodne znane są dowody, jakoto: w aktach Drzewickiego kanclerza W. K. na s. 174, zaświadcza król 1510 r.,

(1) Jan z Niedzielska Długosz kanonik krak. zmarł 1480 r. nominatem na arcybis. lwowski.

(2) Ze zlecenia bis. Zbigniewa Oleśnickiego, ułożył Długosz 1448 r. spis funduszów i posiadłości kościołów. Wielce szacowny ten zażytek, pięknie na pergaminie pisany, przechowuje się w archiwum kapituły krakowskiej.

że z rąk Jana Konarskiego bis. krak. odebrał 420 grzywien rocznego dochodu; akta zaś kapituly krak. zawierają kwit króla 1538 r. dany Stan. Borkowi kolektorowi za pięć lat z summy 4200 zł. ówczesnych. Ustąpienie grosza ś. Piotra, ponawiano ze strony papieża co lat dziesięć, i takie jedno *breve* pod 1513 r., posiadał Czacki w oryginale. Z instrukcyi 1539 r. przez Zygmunta I, Wilamowskiemu bis. kamieniec. do Pawła III danej, a w zbiorze Stan. Górskiego, czyli raczej w aktach Piotra Tomickiego będącej, okazuje się: że Stan. Czarnkowski poseł w Rzymie, wyjednał dla królów polskich ustąpienie rzezonój daniny bez oznaczenia czasu.

Do tego podatku należała za rządów Władysława Łokietka: Polska, Mozowsze, księstwa Zatorskie i Oświęcimskie (*Hanow: Preussische Sammlung I, 403*). Arcybiskup gnieźn. oskarżył mistrza krzyżackiego, że grosza ś. Piotra nie daje ⁽¹⁾; ten zaś oświadczył: że go Prussy nie dawały, i dawać nie powinny, lecz wszyscy co kujawskiego biskupa duchownej władzy są podległymi, płacić mają. Archiwum sekretne królewieckie, zawiera liczne dowody, jak papieże żądali tej daniny z Prus, a jak się mistrze krzyżaccy jój opierali. W bibliotece zamkowej w Warszawie *fasc. I*, mówi Czacki, równie jak i w archiwum, jest protestacya 1321 r. przeciwko natrętnemu wymaganiu tej opłaty, a ja mam oryginalne z 1445 r. *breve* Eugeniusza IV, w którym zbierania z Prus grosza ś. Piotra i odesłania do Rzymu żądał. *Grunow* w swojej kronice pisze pod 1521 r., że Prussy płacą do Polski grosz ś. Piotra. Płaciła tedy Polska, włączając nawet wrocławską dycęzyą, nie rachując Prus

(1) Po niemiecku: *der Petersphennig*.

książęcych i malborskiego Wtwa, nakoniec nie obejmując ziem i województw ruskich, w przestrzeni 5,175 mil kwadr., podług obrachunku za Zygmunta I, na lat pięć złp. 4200, czyli na rok 840 złp. ówczesnych (1). Łany poddane téj summie opłacały po 2 grosze, niektóre po jednym. Już za Zyg. Augusta, nierównie mniejszą ilość pieniędzy wnoszono do skarbu; ostatnie zaś pokwitowania wydał król z odebrania téj daniny za lat 14 (od 1536 do końca 1549 r.), kolektorowi Borkowi 1553 r. i za tyleż lat wicekolektorowi Walent. Brzostowskiemu d. 20 marca 1564 r. Okazuje się: iż od 1550 do końca 1563 r., z całej metropolii gnieźnieńskiej, jako téż i z dyecezyi wrocławskiej, było przychodu w ogóle złp. 5,246, gr. 15, den. 14 (2). Z czego:

	zł. 895, gr. 10
na wydatki wybierania.	zł. 351 — 5, den. 14
	ogółem zł. 1246. — 15. — 14.
Dła króla przeto z lat 14, zostało zł. 4000 (3).	

(1) Ob. o dziesięcinach Roczn. P. N. I, 360; w téjże zaś saméj rozprawie umieszczonej w Nowym Pam. Warsz. 1802 r. V, 80, czytamy: „Łatwo czytelnik może poznać, jak była mała liczba łanów znoszących ten ciężar, kiedy do téj składki należały województwa i ziemie, mające płaszczyzny mil kwadr. 4725.”

(2) Na dzisiejszą monetę, przeszło 10 razy więcéj.

(3) Rachunek ten podany przez Czackiego, lecz błędnie wydrukowany w I tomie Roczn. P. N. sprostowatem, czerpiąc dowody z samego źródła w arch. główném. Również mylnie przytoczona jest księga i stronica pierwszego kwitu, który wraz z drukiem pokwitowaniem, dosłownie tu wypisuję.— *Quitatio vnrbilis Stan. Borek, de pecunia ex denario S. Petri collecta—Sig. Augustus etc. Significamus tenore praesentium quorum interest universis. Quia venerab. Stan. Borek iuris utriusque doctor, Decanus Cracov., Cantor. Gnezn., Cancellarius et Canonicus Vratislaviensis, Custos Sandomir., Secretarius noster, ac denarii S. Petri*

Jan Albertrandy (Dzieje król. pols. lat porządkiem opisane, 1768 r.) napomknąwszy o Świętopietrze (s. 12), wyznaje: „którego roku ustało i z jakiej przyczyny, nie wiadomo.” Lecz co jemu i innym nie było wiadomém, wysledził pracowity Czacki, i taką nam w swych badaniach nad Świętopietrzem podał ostateczną wiadomość: Kardynał Commendoni nuncyusz w Polsce, w korespondencyi urzędowej z Rzymem 1565 r., szczególnież w listach do Karola Boromeusza, poczytując jeszcze tę daninę za własność stol. apostoł., ob staje: aby ten poda-

in provincia Gnesnen. a sede Apostolica serenissimo olim bonae memoriae parenti nostro Sigismundo regi primum, denique nobis donati, collector generalis fidelis dilectus, fecit nobis veram, exactam et sufficientem rationem de denario S. Petri praedicto per annos quatuordecim continuos, incipiendo videlicet post priorem ejus rationem ab A. D. 1536 inclusive, usque ad A. Dni 1549 eciam inclusive exacto et collecto, in qua quidem ratione demonstravit sufficienter, quantum pecuniarum ex eo ipso S. Petri denario, per hoc temporis collegerit et perceperit, quantum deinde ad praefati seren. olim parentis nostri, ac nostra mandata in manus generosi olim Severini Boner Castellani....., Burgrabii, Zuparii et magni Procuratoris nostri Cracov. dedit et consignavit, quantum ad inaurandas imagines summi altaris ecclesiae Cracoviensis majoris, ac in cursores cum processibus missos exposuit, quantum item archivio Romano singulis annis missit, et quantum denique thesauro nostro regio intulit. Ita quod comperimus nos ex ratione praedicta cum nobis serenissimoque olim Domino parenti nostro nihil mansisse debitorem, quare commendantes fidem eius et diligentiam singularem, ipsum una cum successoribus suis, ex denario S. Petri praedicto per hoc totum temporis quo collectorium eius gessit officium, quietamus perpetuo, et liberum pronunciamus. Harum quibus manu nostra subscripsimus, et sigillum nostrum appendi iussimus testimonio literarum. Datum Cracoviae sabbato post fes. exaltat. S. Crucis proximo A. D. 1553. (Księga metr. Z. S. 84, s. 246) — Quietatio Valentini Brzostowski ratione praestitionis denarii S. Petri. Sig. Aug. etc. Quia honorabilis Valentinus Brzostowski Mansionarius ecclesiae majoris et Notarius capituli Cracov. fecit atque reddidit nobis sufficientes rationes ex officio vicecollectoriae denarii S. Petri, quod ex

tek był wybierany. Cele jego są widoczne, gdy o hołdownictwie mniemaném Polski, i władzy nad nią papieża, samemu królowi namienić zlecił. Kiedy coraz bardziej pomnażali się dyssydenci, a bojaźń surowości kościelnych ustawała, Polaków zaś łagodzić Rzym żądał, upadł sam z siebie podatek. Odtąd o opłacie Świętopietrza, zupełnie w aktach jest milczenie.

Otóż wszystko, co z pism Naruszewicza, Czackiego i z archiwum głównego królestwa, dało się wyczerpując o Świętopietrze w Polsce; a że wspomniałem na czele o przywileju Główna, przytoczę więc z tego zabytku pra-

commissione venerabilis olim Stan. Borek Decani Cracov., Secretarii nostri, denarii S. Petri gnalis collectoris ab A. D. 1550. usque ad annum 1563 inclusive administravit: demonstravitque nobis clare per medium venerab. Simonis Lugowski Canonici Posnan. et thesauri nostri Notarii, quantum pecuniae ex omnibus decanatus, archidiaconatum Cracovien., Sandomirien. et Curzelovien., et item quantum seorsim ex archidiaconatibus Gnesuen., Lancicien., Lovicien. et Uniciovien., Calissien. et Vielunen., nec non Posnan., Varsevien., Wladislavien., Ploecn. seu Pulthovien., Wratislavien. seu Culmen. episcopatus per hos vicecollectoriae suae quatuordecim annos percepit et exegerit, videlicet florenos 5246, grossos 15, denarios 14, quantum denique pecuniae thesauro nostro, hoc est in manus Magni. Spithek Jordan de Zakliczin Palatini moderni Cracov. et protunc regni Thesaurarii, ac deinde venerab. olim Raphaëlis Wargawski Praepositi Cracov. et thesauri nostri Notarii, florenos videlicet quatuor millia intulerit et consignaverit. Item, quantum officio archivistarum Romanae curiae florenos 895, gr. 10, ac item in salarium vicecollectoris cursores, et processus per diocesim saepius missos, florenos nempe 351, gr. 5, den. 14 expenderit et erogaverit. Itaque de omnibus et singulis eisdem superscriptis summis, praenominatum Valen. Brzostowski, cum ipsius successoribus quietandum duximus et quietamus, ac ipsum nihil omnino nobis eo nomine debere pronuntiamus perpetuo et in aevum, et ita occasione eiusmodi pecuniarum, eundem ubique indemnem reddere, evincere, tueri et intercedere, contra quascunque personas, verbo nostro regio pollicemur ac promittimus.—Datum in conventionem gnali Varsseviensi 20 marcii 1564. (Ks. metr. X. B. 96, s. 336.)

wodawstwa krajowego niektóre miejsca, z tém nadmienieniem: iż lubo krocie nadań i przywilejów miejskich przewertowałem, po raz wszakże pierwszy zdarzyło mi się znaleźć wyrażenie nadawcy, obowiązujące mieszczan do wnoszenia Świętopietrza.

Początek owego przywileju, jest taki: „In nomine Domini amen. Quoniam cunctorum memoria peritorum, nisi veridicis, realibus et publicis scriptis fuerint roborata, proinde nos Jacobus heres, dominusque oppidi Glowno, Subpincerna Sochaczov. de speciali donacione seren. Principis et Domini, Dni Ziemoviti D. G. Ducis Masovie noviter erecto, in iure solito et consueto civium civitatis Ravensis, quo uti consueverunt, ad noticiam tam presentium, quam futurorum perpetuam, deducimus per presentes.” Poczém następuje 5 artykułów, w których objęte są powinności i daniny pieniężne przez mieszczan uiszczać się mające. Trzeci artykuł opiewa: „*Denarium vero S. Petri, cui expedit semper importare tenebuntur.*” Zakończenie: „In cuius rei testimonium, sigillum nostrum est apensum. Datum et actum in Glowno in nostra curia, feria 6 in vig. S. Crispini A. D. 1427, presentibus strenuis, nobilibus et honorabilibus viris: Dno Thoma de Walewice Vexil. Sochaczov. et Nicolao de Trassow Vexil. Ravensi terrarum, Joanne de Osse, Stanislao de Domaradzyn, Paulo de Domaradzyn heredibus, Stanislao de Strykow Plebano, et Bartholomeo Plebano de Brathoszewicze, ac alijs plurimis fide dignis hec sunt finaliter completa (1).”

(1) Kopia urzędowa zdziałana 1823 r. z oryginalnego przywileju, znajdującego się w Głównie.— Miasteczko to nad rzeką Mrogą, leży na gościńcu idącym ze Strykowa do Łowicza. Już na początku 16 wieku, należało do rodziny Miszewskich, z tych Sta-

Zniknęło, jakeśmy wykazali Świętopietrze od lat przeszło 280, pamięć tylko po sobie zostawując w przysłowiu: *podrwił Świętopietrze*, które zamieszczone jest w zbiorze przysłów 1619 r. pod tytułem: *Przypowieści polskie* przez Salomona Rysińskiego zebrane. Znaczenie tego przysłowia, stało się dla późniejszych pokoleń zagadką; przytaczając je w swój olbrzymiej pracy uczony Linde, położył przy nióm znak zapytania; dawne zaś wyrażenie, *podrwić co*, objaśnia: przez głupstwo co popsuć, pogorszyć. Zajrzyjmy do dzieła 1830 r. wydanego: *Przysłowia narodowe* przez K. W. Wojcickiego t. II, s. 243, gdzie znajduje się następujące wyjaśnienie: „przysłowia tego używamy, gdy chcemy wyrazić: że się kto wydrwi lub wykręci z jakowój powinności włożonej na siebie, np. jak widzę, umiesz podrwić Świętopietrze, boś się gracko wywinął. Ty mnie podrwisz Świętopietrze, nie dam sobie zamydlić oczu”. Szanowny autor upewniał mię: iż przytoczone tu, i inne tym podobne sposoby mówienia, słyszał z ust ludu pochodzące.

niślaw, wyjednał u Zygmunta I bawiącego w Wilnie przywilej 1522 r., uwalniający świezo zgorzałe miasto od opłaty wszelkich podatków publicznych do lat 10, od czopowego zaś tylko na kwartał. (Ks. metr. 35, s. 813). Przychylając się August III do prośby dziedzica Baltazara Ciecierskiego Stolnika ziemi drohickiej, udzielił mu pod d. 9 stycznia 1745 r. przywilej, zaprowadzający jarmarki: na M. B. Gromniczną, w wigilią B. Ciąta, w wigilią ś. Piotra i Pawła, i na ś. Mikołaj. (Ks. kancel. 102, s. 156.) — Podług taryfy 1775 r. Główno w Wtwie i ziemi rawskiej, własność successorów Ciecierskich, liczyło 60 domów opłacających po 5 zł. podatku podymnego.

ŚLADY

historii naturalnej wszechświata.

(Ciąg dalszy).

II. *Materyały składające ziemię i inne ciała przestrzeni.*

Hypoteza obłoczków prawie koniecznie przypuszczać każe, że materya tworzyła pierwotnie jedną masę. Wdzieliśmy, iż jednakowe prawa fizyczne rządzią całością; mamyż przyjąć że i skład całości był jednostajny, czyli że się składała z podobnych pierwiastków? Trudno jest nie wpaść na ten wniosek, przynajmniej z tém ograniczeniem, że pod wpływem zapewne szczególnych okoliczności, towarzyszących utworzeniu się ciał niebieskich, jedne z nich zawierają pierwiastki brakujące w innych i wzajem pozbawione są takich, które się w tamtych znajdują, lub nawet że niektóre ciała składają się całkowicie z pierwiastków niewchodzących do składu innych.

Co są pierwiastki? nazwanie to zastosowali chemicy do pewnej ograniczonej liczby substancyj (54 do 55), które kojarząc się z sobą, tworzą wszystkie przedmioty znajdujące się wewnątrz i zewnątrz naszój ziemi. Zowią się one pierwiastkami albo prostemi substancjami, ponieważ dotąd niepodobna jest rozłożyć je na inne, dla-

czego zachodzi domniemanie, że są pierwotną podstawą wszech rzeczy. Wprawdzie nasunięto myśl, że mogą one być tylko modyfikacyami pierwotnej formy materji, które powstały pod pewnemi warunkami; lecz jeżeliby nawet tak było w istocie, mało by to obeszło sposób nasz zapatrywania się na układ świata. Analogia naprowadziłaby nas na wniosek, że skojarzenia materji tworzące tak zwane pierwiastki, są równie powszechne, równie gdziekolwiek zdarzyć się mogące, jak działanie prawa ciężenia i siły odśrodkowej. Musimy ztąd powziąć domniemanie, że gazy, metale i inne proste znane nam substancje (a nadto te wszystkie których nie znamy), istnieją lub zdolne są dostąpić istnienia pod właściwemi warunkami, tak dobrze w systemacie gwiazdowym 35,000 razy więcej od nas oddalonym niż Sirius, jak w granicach naszego systematu słonecznego lub naszej ziemi.

Materia, czy ją uważać będziemy za złożoną z około 55 pierwiastków, czy tylko z jednego, może się znaleźć w położeniach nieskończenie urozmaiconych, pod wpływem różnych okoliczności, albo wyrażając się więcej filozoficznie, pod rządem różnych praw. Znajomy tego przykład stawia nam woda; w temperaturze niższej 32^o Fahrenheita (0^o Reau.) zamienia się w lód, podniósłszy temperaturę do 212^o Fahr. (80^o Reau.), przechodzi w parę, zajmując daleko obszerniejszą przestrzeń niż w poprzednim stanie. Gazy poddane ciśnieniu stają się cieczami; gaz kwasu węglanego ciśniony ciężarem równającym się kolumnie wody na 1230 stóp wysokości, w temperaturze 32^o Fahr. przyjmuje kształt cieczy; inne gazy wymagają rozmaitych wysokości ciśnienia do téj przemiany; lecz wszystkie, zdaje się, doświadczają jéj, jeżeli

zarządzimy ciśnienie zastosowane do przypadku (*). Ciepło jest potęgą wielki wpływ mającą na objętość i inne własności materji. Chemik może obliczyć z dość wielką dokładnością, jakiej potrzebaby dodatkowej ilości ciepła, aby zamienić w parę wszystkłą wodę naszego planety; jak wiele więcj ciepła uwolniłoby kwasoród rozlany po połowie blisko w ciałach stałych, a nakoniec jaka jeszcze dodana ilość ulotniłaby całość, co można uważać za równoznaczne z przywróceniem jój do pierwotnego stanu obłoczkowego. Z równą pewnością może chemik wyrachować, jakie byłyby skutki znacznego zmniejszenia się temperatury ziemi, jakie zmiany zaszyłyby w każdej z składających ją substancyj i o ileby objętość całości zmniejszyła się.

Ziemia ze wszystkimi swemi substancjami, ma obecnie pewną objętość zależącą od temperatury teraz istniejącej; wiedząc przeto, że materja ziemi i planet z nią stowarzyszonych była kiedyś rozlana po całej przestrzeni opisanj drogą Urana (**), nie możemy wątpić po tém co znamy o potędze ciepła, że obłoczkowa forma materji, miała za warunek bardzo wysoką temperaturę. Materja obłoczkowa przestrzeni, przed utworzeniem się ciał gwiazdowych i planetarnych, musiała być powszechną ognistą mgłą. Tę ideę zaledwie ogarnąć zdołamy, chociaż niepodobna się oprzecz rozumowaniu wiodącemu nas do jój uznania. Formacja systematów z téj materji, niesie z sobą jakowąś zmianę pod względem stanu ciepła.

(*) Dotąd jeden wodoród stale się opiera wszystkim doświadczeniom czynionym w celu zamienienia gazów w cieczę.

Przyp. Tł.

(**) A raczej nowj planety Le Verriera.

Przyp. Tł.

Gdyby ta siła działała dalej z pełną swoją pierwotną energią odpychania, skupienie skutkiem przyciągania nie mogłoby było nastąpić. Nie znamy dosyć praw ciepła, abyśmy byli w stanie podać, w jaki sposób zaszła potrzebna zmiana pod tym względem, lecz możemy odszukać ślady kilku kroków i następstw tego procesu. Uranus powstał zapewne kiedy materya naszego systematu była najgorętszą, Saturn przy cokolwiek mniejszém cieple i t. d. Doskonale to przypada do miary z nadzwyczajną rzadkością materyi starszych planet. Saturn np. nie jest gęstszy ani cięższy od substancyi korkowej. Być może, że jeszcze się dosyć ciepła pozostaje w tych planetach, aby wynagrodzić im to, co tracą przez odległość od słońca i szczupłą ilość ciepła czerpaną z jego promieni. Być może również, gdy Merkury jest dwa razy téj gęstości co ziemia, że materya jego znajduje się w stanie zimna, które tylko zrównoważa większy udział téj planety w promieniach słonecznych. W ogóle przeto wszystkie dzieci słońca równego może doświadczać ciepła. Lecz gdzież się podziało ciepło rozlane niegdyś po całym systemacie a teraz nieznajdujące się już w planetach? Mamy zasadę mniemać, że ciepło owe składa świetną powłokę słońca, w której mieści się według zdania obecnie przyjętego jego ciepłodawcza potęga. Albo może składa ono zapas dający środek do utrzymania rozmaitych działań, których widownią planety przeznaczony były zostać.

Wszystkie poprzednie uwagi zmierzają do przekonania nas, że kula ziemską jest exemplarzem innych tego rzędu ciał przestrzeni, pod względem materyi składowej, jako téż pod względem praw fizycznych i chemicznych, które nią rządzą, z tém ograniczeniem wszakże,

że w różnaitości materyałów składowych przytrafić się mogą odcienia, a nawet niewątpliwie przytrafiają się, w warunkach działania praw, a tém samém w skutkach przez nie sprawionych. Tak np. mogą być na ziemi substancye nieznanujące się w innych ciałach; substancye będące u nas w stanie stałym, mogą być gdzieindziej ciekłe lub lotne. Tém większą mamy zasadę do uczynienia takich wniosków, widząc, że niéma nic szczególnego lub właściwego tylko ziemi w jój astronomiczném położeniu; jest ona trzecią w szeregu planet, w szeregu stanowiącym tylko jeden systemat z niepoliczonój ilości innych tworzących pojedynczą grupę. Jeżeli tak wyrazić się wolno, powiemy, że ziemia przedstawia wszystkie cechy zaliczające ją do gminowładztwa. Ztąd nie możemy przypuszczać, żeby miała coś sobie właściwego, coby nie było własnością mnóstwa innych ciał, tych wszystkich które mają podobieństwo do niój pod względem kosmicznych stosunków. Jest tedy wielce interesującym pytaniem poznać, jakie są materyały tego egzemplarza ciał przestrzeni, jaki jest zasadniczy charakter przedmiotu pozostawionego naszój bezpośredniej obserwacyi, jakby na próbie tłumy światów tak licznych, jak drobne ziarnka chmury piaskowój wzbitej na pustyni, i których rozpostarcie się nie stoi na przeszkodzie.

Ciała stałe, ciekłe i lotne kuli ziemskiej, dają się wszystkie sprowadzić do 55 substancyj zwanych elementarnymi. Z tych czterdzieści przedstawia wszystkie cechy metalów, 12 jest niemetalicznych, a trzy pozostałe są substancjami pośrednimi, sprzęgającemi z sobą dwie wielkie grupy. Pomiedzy niemetalicznymi pierwiastkami, cztery, mianowicie kwasoród, wodoród, saletroród i chloryna znajdują się w stanie gazów: brom jest w zwy-

klęj temperaturze ciecżą: inne (oprócz fluoru, który nie daje się odosobnić a ztąd fizycznych cech jego rozpoznać nie można), są ciałami stałemi.

Kwasoród jest najobfitszém ciałem na kuli ziemskiej; stanowi on $\frac{1}{5}$ część naszej atmosfery, $\frac{8}{9}$ ciężaru wody, i wchodzi w znakomitym stosunku do wszystkich rodzajów skał natrafianych w skorupie ziemi. Wodoród składający z kwasorodem wodę i wchodzący w skład niektórych mineralów, obfitością swoją najbliżej może do kwasorodu przystępować. Saletroród tworzący $\frac{4}{5}$ części atmosfery, jest również szeroko rozpostartą substancją. Metal silicium który połączony w równych częściach z kwasorodem tworzy krzemionkę będącą zasadą połowy prawie skał w skorupie ziemi, wielce znakomitą gra rolę. Aluminium, zasada metaliczna aluminy, materiału obficie w wielu skałach znachodzącego się, ważne także zajmuje miejsce. Nie ustępuje mu węgiel w małym stosunku wchodzący do składu atmosfery, lecz stanowiący główny pierwiastek substancyj zwierzęcych i roślinnych, i wszystkich ciał kopalnych należących do ostatniej kategorii, pomiędzy któremi węgiel ziemny wydatnie zajmuje miejsce. Pospolite metale, żelazo, cyna, miedź, srebro, złoto, są pierwiastkami stanowiącemi stosunkowo nieznaczną część dotąd zbadanej wierzchniej skorupy.

Zasługuje na uwagę, że substancje proste powszechnie się znajdują w kształtach złożonych. Tak, kwasoród i saletroród, chociaż zmieszane tworzą powietrzną powłokę ziemi, nigdy się same nie znajdują w naturze. Węgiel jest czysty tylko w dyamencie. A nawet metaliczne zasady ziemi, chociaż chemik w stanie czystym wydać je zdoła, rychło zawierają związki, paląc się od

wilgoci. Kojarzenie się ciał prostych i złożonych jest zasadą szeroko władającą w naturze. Mało jest skał np. któreby nie były złożone przynajmniej z dwóch rozmaitych materij, a każda z tych ostatnich znowu jest związkiem elementarnych substancyj. Jeszcze bardziej zadziwiającém jest w zasadzie powinowactwa to, że wszystkie pierwiastki łączą się z sobą w stosunkach matematycznych. W stanie gazowym jedna ich objętość łączy się z jedną, dwoma, trzema lub więcej objętościami drugiego pierwiastku, zostawiając nietknięty wszelki, jeżeliby jaki był, nadmiar. Pod względem wagi, związki chemiczne podlegają także stałym i niezmiennym prawom najwyższej piękności i prostoty. Ztąd niektórzy wnoszą, że materya jest złożoną z nieskończonej drobnych cząstek czyli atomów, z których każdy do swego należy pierwiastku i (ulegając w tém ukrytemu dotąd prawu), może kojarzyć się tylko z oznaczoną ilością atomów drugiego pierwiastku. Mają téż substancye szczególne upodobania jedna w towarzystwie drugiej. Zostaje się jedna skojarzona z drugą, aż póki trzecia się nie zbliży, wtedy pierwsza opuszcza drugą i przywiązuje się do trzeciej. Gdy czwarta się przymiesza, trzecia często króć porzuca pierwszą i łączy się z nowym przybyszem.

Taki jest zarys wiadomości jaką udziela nam chemia co do materyałów składających kulę ziemską. Lecz nieskończenie większego interesu nabiera ta wiadomość gdy zważymy, że prawdopodobnie jednakowe są materyały wszystkich ciał przestrzeni i prawa pod któremi wszędzie wchodzi z sobą w związki, z taką odmianą jedynie, jaka pochodzi z miejscowych i przypadkowych różnic.

Zapatrując się na kosmogoniczne urządzenie kuli ziemskiej, uwagę naszą szczególnie ściąga na siebie księżyc. Według hipotezy obłoczków, księżyce uważają się jako massy zrzucone ze swoich ciał głównych w ten sam sposób, w jaki te ciała były zrzucone ze słońca. Droga księżycyca uważaną być winna za stanowiącą granicę masy ciała głównego w czasie zrzucenia; podobnie prędkość jego obiegu równa się prędkości obrotu ciała głównego w epoce oddziału. Najdalszy np. z księżyców Jowisza krąży wkoło tego ciała w odległości 1,180,582 mil (*), okazując nam że planeta miała kiedyś około 3,675,501 mil obwodu, zamiast co teraz średnica jej wynosi tylko 89,170 mil. Ta wielka masa potrzebowała cokolwiek więcej nad 16 dni 6 $\frac{1}{2}$ godzin (dzisiejszy peryod obiegu skrajnego księżycyca), aby raz jeden obrócić się około swój osi; księżyc najbliźszy musiał się utworzyć kiedy planeta ścisnęła się już do 309,075 mil obwodu i wirowała w 24 $\frac{1}{12}$ godzinach.

Podobne rozumowania naprowadzają nas na wniosek, że masa ziemi w pewnej epoce po zrzuceniu ze słońca, miała 482,000 mil średnicy, czyli była 60 razy większą niż dzisiaj.

W tej epoce masa potrzebowała więcej cokolwiek czasu niż wynosi peryod obiegu księżycyca czyli dni 29 $\frac{1}{2}$ do wirowego obrotu, kiedy obecnie ziemia obraca się około osi w niecałych 24 godzinach. Czas jaki upłynął między utworzeniem się księżycyca a ściśnieniem się ziemi do terażniejszej objętości, zapewne dochodzi jednę z tych liczb, któremi astronomia szczerze szafuje, lecz pod których ogromem umysł nasz upada.

(*) Mile zawsze rozumieją się tu angielskie. *Przyp. Tł.*

Obserwacya powierzchni księżycy ziemskiego przez teleskop wiele zmierza do utwierdzenia hipotezy, że wszystkie ciała przestrzeni składają się z podobnych materij z niejakiemi tylko odmianami. Nie widać aby nasz księżyc był zaopatrzony gazową powłoką, która na ziemi spełnia tak ważne funkcyę. Niéma nigdzie śladu wody na jego powierzchni, a jednak powierzchnia ta podobnie jak powierzchnia kuli ziemskiej, nacechowana jest nierównościami i śladami działań wulkanicznych. Nierówności owe i działania wulkaniczne daleko są większego rozmiaru jak te, które obecnie istnieją na powierzchni ziemi. Jakkolwiek zaś z powodu większej siły ciężenia na części zewnętrzne, można było przypuszczać, iż góry na księżycu, przy równych zkądinąd okolicznościach, muszą być o wiele mniejsze niż na ziemi, to jednak w wielu miejscach dochodzą one wysokością najwznieślejszych Andów. W ogólności góry na księżycu są niezmiernie strome i ostre w zarysach, czego można było oczekiwać po planecie, której zbywa na wodzie i powietrzu, czynnikach niszczących chropowatość powierzchni naszej ziemi.

Działania wulkaniczne odbywają się na zdumiewającą skalę. Oneto powodują jasne miejsca na księżycu; niedostatek ich wyróżnia części ciemniejsze, zwykle, lubo błędnie, zwane morzami. W niektórych stronach jasna materya wulkaniczna nietylko zalega duże pasy, ale nawet promieniuje w długich potokach, w których znowu widzimy podrzędne ognisko siły tego samego rodzaju. Inne jeszcze przedmioty, zwracają uwagę: są to góry obrączkowe, góry podobne do krateru wulkanów ziemskich, okolone bezpośrednio obszernemi i głębokimi rowami, zstępującemi niżej poziomu, któ-

re znowu są otoczone wałem gór wznoszącym się wysoko nad górę środkową i mającym wewnątrz tarasy téj samej wysokości co środkowa wyniosłość. Znalezione jasne miejsce w południowo zachodniej stronie, zwane od astronomów *Tycho*, dające się z łatwością rozpoznać gołym okiem, jest jedną z tych gór obrączkowych. Jest na księżycu góra mająca 200 mil średnicy z rowem na 22,000 stóp głębokim czyli dwa razy wysokości Etny. Rzeczą jest zastanowienia godną, że mapy Humboldta wulkanicznego okręgu w południowej Ameryce i mapa wulkanicznego niegdyś okręgu Owernii we Francji przedstawiają rysy mające uderzające podobieństwo do wielu części powierzchni księżycowej, jak ją widzimy patrząc przez mocne szkło.

Takie znamiona księżycy nie pozwalają nam mniemać, aby obecnie mógł być widownią życia, tak jak ziemia, i zdają się nieledwie zaświadczać, że nigdy nią zostać nie może. Lecz nie powinniśmy zbyt nagle tworzyć podobnych wniosków. Księżyc może tylko znajduje się na wcześniejszym stopniu postępu przez który ziemia już przeszła. Pierwiastki na których zdaje się że mu zbywa, znajdują się może tylko w innych związkach niż na ziemi, i mogą się jeszcze w równy sposób rozwinąć. Morza mogą jeszcze wypełnić głębokie wydrążenia na jego powierzchni; atmosfera może jeszcze rozpostrzeć się naokoło. Jeżeliby te wypadki zaszły, fenomena meteorologiczne i życia organicznego rozpoczną się, i księżyc podobnie jak ziemia stanie się zielonym i zamieszkanym światem (*).

(*) Pomiędzy najbardziej nadzwyczajne fenomena umiejętności natury, policzyć należy spadanie kamieni meteorycznych. Okoliczność ta o której długo powątpiewano, jest obecnie stwierdzo-

Przynosi to mocny dowód na korzyść jakiegokolwiek hipotezy, jeżeli wszystkie odnoszące się do niej zjawiska, zostają z nią w harmonii. Taki przypadek zachodzi z hipotezą obłoczków, a nawet zjawiska z nią sprzężone, nie dają się wytłumaczyć przez żadne inne przypuszczenie. Widzieliśmy jakie powody skłaniają do uczynienia wniosku, że materya pierwotnie zostawała

na nagromadzeniem świadectw stanowczych i wiarogodnych. Widziano jak spadały kamienie i podnoszono je jeszcze gorące; nie może już zachodzić wątpliwość co do rzeczy, lubo tłumaczenie jest niezmiernie trudne. Uważając te kamienie, znajdujemy że wszystkie są do siebie podobne w ogólnych znamionach; zwykle składają się one z materyału ziemnego mającego rozpięzłość między swoją substancją kulki i małe masy metalicznego żelaza, zawierającego nikiel. Kamienie często bywają pokryte cienką, szklaną powłoką, jakby częściowe stopienie już się zaczęło. Wiadomo także, że wielkie kawały miękkiego kowalnego żelaza, również zawierającego nikiel, bywają znajdowane w różnych miejscach daleko od siebie odległych, pojedynczo na ziemi leżące, jak np. w południowej Ameryce i w Syberyi, i nie można mieć wątpliwości o meteorycznym pochodzeniu tych mas. Czyniono domniemania, że kamienie meteoryczne pochodzą z księżycy, skąd były z taką gwałtownością wyrzuczone z wulkanów iż dosięgły sfery przyciągania ziemi. Obecnie upowszechnił się sposób widzenia, przypuszczający istnienie w przestrzeni licznych ciał drobnych krążących po mniej lub więcej regularnych drogach około słońca i większych planet, i podlegających w pewnych okresach takim perturbacyom, że ruch ich zostaje zupełnie zwichniętym i że naostatek spadają na powierzchnię ziemi lub innych planet, których przyciąganie było przyczyną sprawiącą zwichnięcie ich obiegu. Jakiegokolwiek przecie może być ich pochodzenie, za ogólną zgodą uważane są jako obce ziemi; fizyczny ich skład jest zupełnie różny od wszelkich znanych minerałów, lecz nadewszystko zwraca uwagę i szczególnie godną jest zaślawnienia jako umacniające to cośmy przytoczyli na dowód twierdzenia, że wszystkie członki systematu słonecznego, a może i innych systematów mają skład podobny, okoliczność, iż żadne nowe pierwiastki nie znalazły się w tych ciałach, zawierających zwyczajne materyały ziemi, tylko skojarzone w sposób zupełnie nowy, niepodobny do wszystkiego co znamy w mineralogii ziemskiej.

w stanie masy rozlanej, której składowe cząstki trzymane były w rozdziale przez działanie ciepła; że różne jej bryły skupiły się w słońca, które zrzuciły z siebie planety; że też planety z początku ogromnej objętości, stopniowo, skutkiem oziębienia, ścisnęły się do dzisiejszych wymiarów. Co do naszej ziemi, ujrzymy zastanawiający dowód, że znajdowała się w stanie ciekłym w czasie ostatecznym stwardnienia swego, w tém, że jest obrzękła przy równiku, to jest, że ma kształt, jaki zlekką obracające się ciało przyjmuje i przyjąc musi nieuchronnie, pod wpływem siły odśrodkowej. Ta obrzękłość daje stosunek średnicy ziemi w kole równika, do średnicy między biegunami jak 230:229; a takie właśnie zboczenie od kształtu regularnej kuli powinno było zajść, jak dowiedziono, w skutku wielkości masy i prędkości ruchu wirowego. Równie wyraźny dochował się nam pomnik wysokiej pierwotnej temperatury w zapasie ciepła dotychczas istniejącego w wnętrzu ziemi. Temperatura powierzchni ziemi zależy tylko od działania ciepła słonecznego na składające ją materiały. W punkcie cokolwiek niższym, lecz różnym według różnicy klimatów, ustaje wszelkie działanie promieni słonecznych. Tu dopiero zaczyna temperatura zostawać pod wpływem zupełnie innej przyczyny; widocznie ma swe źródło we wnętrzu ziemi, i wzrasta w miarę jak głębiej i głębiej zstępujemy, w stosunku 1 stopnia Fahrenheita ($\frac{4}{9}^{\circ}$ Raun.) na każde stóp sześćdziesiąt. Tęj wysokiej temperatury jeszcze inne są dowody w fenomenach wulkanicznych i źródłach gorących, równie jak w zbadanej gęstości całej masy ziemskiej. Gęstość ta wynosi, jak już nadmieniliśmy, $4\frac{1}{2}$ ciężkości wody, waga zaś głównych substancyj stałych, składających zewnętrzną

skorupę, jest dwa i pół raza większa od ciężkości wody. Waga ta, gdyby kula ziemską była ścisłą i zimną bryłą, wzrosłaby mocno ku środkowi; woda nabyłaby gęstości żywego srebra już o 362 mil pod powierzchnią, inne materyały w proporcyi, a gęstość ich jeszcze mocniejby się zwiększyła w większych głębokościach.

Zostaje nam tedy jedynie do przypuszczenia, że materyały ziemi wewnętrzne są, w jakikolwiek sposób, wielce rozrzedzone i rozpostarte: cóż zaś innego takby je rozrzedziło jeżeli nie gorąco? W istocie istnienie wewnętrznego ciepła, resztki tego które na początku wszystkie materyą trzymało w stanie lotnego chaosu, liczy się do najmocniej uzasadnionych odkryć nowoczesnej umiejętności, i utwierdza w wysokim stopniu teorią Herszla o tworzeniu się światów (*). Zobaczymy później jakie ślady pozostawiło działanie tego ciepła na powierzchni ziemi w czasach odległych, działanie które przecież od dawna całkowicie ustało. Ciepło środkowe doszło przed wiekami punktu stałego, w którym prawdopodobnie pozostanie się przez wieki, gdyż oziębiona skorupa, będąc złym przewodnikiem ciepła, nie dopuszcza jego zmniejszenia się.

III. Ziemia utworzona. Czasy skał pierwotnych.

Jakkolwiek dotąd nie zapuszczono się pod ziemię głębiej nad trzy tysiące stóp, w wielu razach przecież możemy przez inne środki obserwacyi wnioskować, jaka jest natura jej substancyi w głębokości mil wielu. Widzimy

(*) Badania w tym przedmiocie były czynione głównie przez niegdy barona Fourier, sekretarza akademii nauk paryżkiej.

np. górę złożoną z pewnej substancji; do jej nachylnych boków przypierają warstwy czyli łóżyska innych skał, z kąd naturalnie wyciągamy wniosek, że substancja góry zagłębia się pod warstwy do niej przypierające; oddalając się od góry przechodzimy przez wystające kanty skał warstwowych, dalej idąc napotykamy różne inne skały warstwowe, wszystkie w podobny sposób ułożone, aż nakoniec dochodzimy do miejsca gdzie zaczynają się przeciwne kanty tychże samych łóżysk; przebywamy potem wszystkie te skały w odwrotnym porządku i wreszcie przychodzimy do innej rozległej góry, złożonej z podobnych materiałów co pierwsza i w podobny sposób ginącej pod przyległymi warstwami.

Z tych okoliczności wyprowadzić możemy wniosek: że skały warstwowe zajęły wydrążenie utworzone przez skałę obu tych gór, i rachując grubość na prost przez skały warstwowe, moglibyśmy powiedzieć do jakiej głębokości skała góry dochodzi. Tym sposobem można dojść z znaczną pewnością, jaki rodzaj skały znajduje się o wiele mil niżej powierzchni ziemi.

Wnętrze ziemi zostało już rozpoznane w ten sposób na wielu punktach, i powzieliśmy dość dokładną wiadomość o jego ogólnym układzie. Zdaje się, że zasadnicza skała ziemi jest twardej budowy i krystaliczna w swoim układzie. Tej skały, granit, rzecz można, jest typem, jakkolwiek rozbiega się na wiele odmian. Ponad tą skałą, wyjąwszy małą stosunkową ilość miejsc, gdzie występuje ona nad poziom, tworząc góry, inne skały są ułożone w warstwach mających pozór pierwotnego osadzenia przez wodę. Lecz te ostatnie skały nigdzie nie mogły spokojnie pozostać w pierwotnym swém ułożeniu.

Silne wstrząśnienia ze spodu połamały je w wielkie pochylone massy, a przez szczeliny wielokroć wyrzuciła się materya skalna mniej lub więcej podobna do pierwotnej spodniej krystalicznej massy. Ta materya skalna musiała zostawać w stanie roztopionym od gorąca w czasie swojego wyrzucenia, bo często znajdujemy, że wpłynęła do bocznych szczelin i wypełniła je. Są nawet przykłady, że skutkiem wstrząśnień rozpekła się i że nowa tego samego rodzaju materya roztopiona, wyrzuciła się na wierzch przez otwór. Naostatek, w skorupie tak ułożonej są kotliny zawierające żyły metalu. Tak więc natopkaliśmy naprzód wielką spodnią masę złożoną z krystalicznej skały i bezpośrednio zapewne spoczywającą na roztopionej materji wypełniającej wewnątrz; dalej pokłady czyli warstwy wodnego pochodzenia, potem nieregularne massy roztopionej skały spodniej, różnemi czasy wulkanicznie wyrzucone na wierzch i zamieszane między skały wodne, które przez nie połamane zostały w massy i gwałtownie wyparte z pierwotnego poziomu.

Taki jest rys układu skorupy ziemskiej, o ile zbadać ją możemy. Na pierwszy rzut oka uderza nas w tę scenie sam nieład, lecz przypatrując jej się staranniej, łatwo odkrywamy w niej regularność i porządek, z których wiele korzystać możemy do odszukania śladów historyi ziemskiej kuli.

Osadzenie skał wodnych i wyrzucenie wulkanicznych, zaszły niezaprzeczenie po ustaleniu się ziemi w teraźniejszym kształcie. Należą one do rzędu wypadków powtarzających się do dnia dzisiejszego pod wpływem przyczyn z których zdołamy sobie zdać sprawę. W ogólności sąto stosunkowo niedawne wydarzenia. Wyoso-

bniając je z powyższych badań, możemy wyobrazić sobie ziemię w pierwszym jój stanie, jako kulę tych co dzisiaj wymiarów, jako masę z wierzchu przynajmniej składającą się z krystalicznego rodzaju skały, otoczoną wodami terazniejszego oceanu i gazami terazniejszój atmosfery, różniącemi się wszelako znakomicie od stanu w jakim się obecnie znajdują tak pod względem temperatury, jak pod względem składających je materyałów. Wypada nam dalej przyjąć, że wielka masa ciał stałych naszej ziemi, istniejąca naprzód w formie obłoczków czyli pary, skupiła się bezpośrednio w skałę krystaliczną budowy, jakiej przykład przedstawia nam granit. Stan ten jest w wysokim stopniu stanem skojarzenia, bo skała ta zawsze się składa z dwóch lub nawet czterech substancyj, krzemionki, miki, kwarcu i hornblendy, które łączą się z sobą w kształcie ziarn lub kryształów i z których każda składa się z związku prostych czyli elementarnych substancyj. Sądząc z wypadków i dotąd trwających stosunków musimy przypuścić, że ciepło uwięzione we wnętrzu ziemi było więcéj natężone, lub miało większą wolność działania w pewnych miejscach niż w innych. Pierwsze stały się widownią wulkanicznych działań i uwydatniły położenie swoje wybuchem zpod spodu trapów i bazaltów t. j. skał złożonych z materyi krystalicznej, roztopionój przez natężenie gorąca i rozpostartój na powierzchni w rozmaitym stanie stosownie do okoliczności pod któremi wypartą była; część jój np. wyrzuconą została pod wodą, reszta w otwarte powietrze, które to okoliczności sprawiły znakomitą różnicę w jój budowie i powierzchni.

Wielkie zapasy podziemnego ciepła, znakomitój także były wagi w utworzeniu skał wodnych. Te skały we-

dług Sir Johna Herschel mogły uleść działaniu gorąca w następujący sposób:

Kiedy powierzchnia pewnej masy skalnej tworzy dno morza, ciepło trzymane jest w pewnej odległości od tej powierzchni skutkiem zetknięcia się jej z wodą; mówiąc językiem fizyki, masa skalna, promieniuje ciepło w morze, i przez to znacznie się oziębia. Lecz jeśli nowa warstwa osadzi się na dnie morskiem, ciepło wewnętrzne ogarnia skałę poprzednio dno tworzącą; za przybyciem warstwy następnej, ciepło przejmie warstwę pierwszą osadzoną i sprawi w niej te wszystkie zmiany, które od temperatury są zależne. Dzieje się wówczas zupełnie tak samo, jak gdy wdziewamy na siebie kilka sukien jedna na drugą; wewnętrzne ciepło przejmuje wtedy odzież naszą po kolei. Suknia trzecia z rzędu (przypuszczając że mamy ich na sobie cztery), zagrzewa się tak mocno jak może z początku była rozgrzana pierwsza.

Mówiąc w tém miejscu o skałach osadowych, uprzędzamy właściwą kolęję. Należy naprzód okazać jak takie skały zostały utworzone, czyli jakim sposobem zaczęło się warstwowanie. Geologia zaświadcza nam jak najwyraźniej, że pierwotna masa krystaliczna nie była doskonale gładką kulą, około której igrałyby woda i powietrze. Były nierówności na powierzchni, nierówności drobniogone zapewne jeżeli je przyrównamy do całej bryły ziemskiej, lecz prawdopodobnie większe niż te, które obecnie na niej istnieją. Te nierówności zostały może spowodowane przez niejednostajne stygnięcie masy, lub przez przypadkową i miejscową ociążałość materyałów, lub wreszcie przez miejscowe działania skupionego

ciepła wewnętrzne. Jakąkolwiek przecież dany temu przyczynę, dość, że były na powierzchni granitowe góry, pomiędzy które morza wpadły głęboko, okrywając je nawet w całości, lub w części.

Jest znowu faktem, o którym pierwsze zasady geologii nas zapewniają, że ciała stałe na naszej ziemi znajdujące się, nie mogą na chwilę być wystawione na działanie wody lub atmosfery bez doświadczenia zmiany; zaczyna się natychmiast ich zwietrzenie.

To działanie, możemy być tego pewni, odbywało się z równą co obecnie nieochyбноścią w pierwszych wiekach naszej ziemi, lecz prawdopodobnie na daleko wspanialszy rozmiar. Materye zwietrzone naniesione w sąsiednie głębie i tam złożone, utworzyły najdawniejsze skały warstwowe; pierwszym z kolei był systemat łupku gnejssu i miki, napotykanym w górnej krainie (highlands) Szkocyi i na wschodzie Anglii.

Mamy jasne świadectwo, że najwcześniejsze warstwy zostały utworzone pod wpływem daleko mocniejszego ciepła niż te, które działało w późniejszych epokach świata; albowiem blaszki schistów gnejssu, miki, chloritu, są skrecone w sposób, który tylko bardzo wysokiéj temperatury mógł być skutkiem. Zdaje się, że morza w których te osady zostały utworzone, znajdowały się w wzburzonym stanie kotła napełnionego wodą wrzącą. Taki ich stan niemało zapewne powiększał rozkładającą siłę oceanu.

Najwcześniejsze skały warstwowe, nie zawierają w sobie części któreby nie znajdowały się w pierwotnym granicie. Materiał ich jest ten sam, lecz formy i zpowinowacenia odmienne, zkad zostały nazwane przez p. Lyell skałami metamorficznymi (przetworzonymi). Dlaczego nie-

które z nich składają się prawie wyłącznie z jednego tylko z materyałów granitu, schist miki np. z miki, skały kwarcu, z kwarcu i t. d.? Przyczyny tego są dwojakie: chemiczne i mechaniczne. Dajmy że rzeka niesie z sobą pewną ilość materyału, widoczną jest rzeczą iż grubsze cząstki najpierw osadzi, lżejsze zabierze dalej. Temuto przypisać należy, że niektóre materyały zwietrzonego granitu osadzone zostały w jedném miejscu, inne w innym (*). I znowu przyjąć wypada, że niektóre z tych materyałów były w stanie chemicznego rozpuszczenia w morzach pierwszych wieków. Zgodnie z prawami chemicznymi, jedne z tych materyałów zostały stracone osobno lub w odmienném zpowinowaceniu na dno, tak, iż oddzielne utworzyły skały.

(*) Patrz poszukiwania geologiczne (Geological Researches przez De la Beche).

MYŚLI O ŚPIEWIE SŁOWIAŃSKIM

PRZEZ

Ludwika Peittera z Peitterberku.

Gdy daleko posunięta oświata Południa, wpływem swym przyczyniła się do podniesienia małej za czasów pogaństwa cywilizacji narodów Europy północnej, wpływ ten nie działał jednostajnie na wszystkie gałęzie oświaty, ani też na wszystkie części narodu w jednym i tymże czasie i jednakim sposobem. Pierwsze oznaki téj oświaty Południa, objawiły się na Północy z przyjęciem wiary chrześcijańskiej, za którą tuż poszło wyższe rozwinięcie sztuki wojennej, jako warunek dalszego bytu politycznego. Obok tego, duchowieństwo opiekowało się spuścizną nauk i piśmiennictwa po Grekach i Rzymianach, bardziej je przechowując tylko, aniżeli samodzielnie uprawiając w języku umarłym i dla narodu niezrozumiałym. Pierwszą dla narodu korzyścią z owego postępu, było w ogólności wydoskonalenie nabożeństwa, które przez długi czas bardziej na uczucie, aniżeli na ducha działało, tudzież lepsze obcznanie się z użyciem

broni i niektórych przyrządów mechanicznych. Pismo nowe, powstałe po niedokładnych runach, przechodziło powoli od książąt do panów, w części do szlachty i szczupłej liczby uczonych, a z niem języki stare, umarły, wraz z dochowanemi skarbami ducha. Pośród takich żywiołów oświaty, wystąpiło także na jaw umnictwo, ale ono we własnej swojej ojczyźnie tak już upadło z dawniej wysokości, że mogło tylko służyć za zarody, które dopiero na obcym gruncie i zupełnie innym trybem miały się w kwiat silny i zdrowy rozwinąć. Ten nowy rozkwit rozumu, czyli to jego odrodzenie, nierozzerwanie złączone było z poprzedniem powszechniejszemu i wyższemu rozwinięciem ducha i życia rodowego. Wtedy dopiero, gdy zaczęto uprawiać myśl nie w językach umarłych lecz w żyjących, gdy tą drogą znajomość pisma stała się przystępniejszą dla ogółu, gdy z językiem ojczystym i jego właściwą narodowością zaczęła nabierać wyższego ukształcenia, a mianowicie na poezji utwierdzać swoje prawa, wtenczas dopiero umnictwo i poezya w formach lub dźwiękach, bujno i plennie rozkwitły. Zjawisko to nie odnosi się do pewnego czasu lub danego narodu; spostrzegamy bowiem zarówno u Egipcyan, Greków, Rzymian, Indyan i Arabów, że umnictwo wtedy dopiero zbliżyło się do doskonałości, gdy religia, poezya i nauka wiekuista głęboko zapadły do żywota narodu, i z nim się ściśle połączyły.

Dlatego umnictwo w całym rozgałęzieniu swoim, gdziekolwiek na wyższy pomknęło się szczebel, nosi na sobie niestarte piętno charakteru narodu, z kąd powstały tak nazwane *szkoły*, np. szkoła włoska, francuzka, niemiecka.

To się szczególnie objawia w muzyce, która w wieku niniejszym i poprzedzającym tak znakomitego i zadziwiającego nabyła wzrostu, że właśnie narody, najwięcej z uprawy téj sztuki słynne, zdobytą sławę zawdzięczają umyślnemu i wytrwałemu postępowaniu z dążnością narodową, i że w szkołach najznakomitszych wirtuozów Francuzów, Włochów lub Niemców wydatnia się jak najdokładniej cecha narodowa. O żadnej jednak gałęzi muzyki nie można tego z większą słusnością powiedzieć, jak o *śpiewie*, który bezpośrednio zależy od języka i poezyi narodu, który bez ćwiczenia i nastroju, stanowi przyrodzoną własność i najprostszego człowieka, a w ustach każdego narodu, dla téjże przyczyny, jest odgłosem jego ducha, jakby pradziadem owego późniejszego umnictwa, które dopiero jako potomek oświaty i cywilizacyi, weszło do żywota narodu.

Jakkolwiek dotąd pod względem wyższej, systematycznej umiejętności śpiewu, żaden szczepek słowiański nie może się pochlubić takimi znakomitemi utworami, któreby go mogły godnie postawić obok starszych świetnie wzrosłych szkół narodowych Włochów, Francuzów i Niemców; przecież w wielu już miejscach rozłogich krajów słowiańskich poczynione są godne uwagi początki, które zaiste rokują powstanie i to snąc rychłe, szkoły nowéj. z cechą wybitną, bogatą i narodowo artystyczną. Rękojmią tego jest ożywianie się zarodków, które uzdolniają język do śpiewu, przechowując niewyczerpane bogactwa melodyi i właściwości pieśni narodowych, wypastowanych własną myślą i czuciem Słowian pod niebem dzielnic słowiańskich. O ożywianiu tych zarodków w naszych czasach, przemawia najbardziej pełne i szczerne rozwijanie się poezyj lirycznych, obudzo-

na wzajemność obszernych i rozmaitych pism literackich, popęd gorliwy do zbadania przeszłych wieków i losów, troskliwe usiłowanie w wynalezieniu i zachowaniu początków dawniejszej cywilizacji odwiecznej oświaty słowiańskiej. Słowianie, w powszechnym wiele rokującym dążeniu, ażeby przez dopełnienie i rozszerzenie cywilizacji, którą w minionych stuleciach wstrzymywały liczne a straszne pogromy polityczne, mogli znowu stanąć obok najpiérwszych narodów świata, muszą szukać wzmożenia we wszystkich gałęziach oświaty, i zaiste nie pominą jednej z najszlachetniejszych, śpiewu i muzyki. Dla nabrania wszakże pewnego sądu, czém w części jest obecnie śpiew słowiański, i czém w większej części ma być w przyszłości (a nieochybnie takim będzie), potrzeba przedewszystkiém szczegółowo roztrząsnąć i wyswietlić: *język, pieśni narodowe, liryczność, tegoczesne utwory muzyczne i pozostałe szczątki z wieków średnich.*

Choć z żalem wyznać muszę, że niedostateczne wiadomości może nie pozwalają mi dokonać téj pracy ze wszelką ścisłością i dokładnością, w śmiałości przecież swojej tę znajduję otuchę, że inni, którym bardziej sprzyja miejscowość i okoliczności, błędów moich sprostawać nie omieszkają.

A. Język.

Język, uważany jako narzędzie poezji i śpiewu, to jest bez względu na wysłowienie myśli, słuchem tylko oceniany, dwojakim sposobem na tenże słuch działa: akustyką i rytmem.

Pod względem *akustyki*, język dzieli się na spółgłoski i samogłoski. Spółgłoski języków słowiańskich mają tę

szczególnością własność, że wymówienie ich z trudnością cudzoziemcom przychodzi. Ta okoliczność u większej części cudzoziemców, a nawet u wielu zwolenników słowiańskich, będących pod kierunkiem obcych nauczycieli, i którym wygodniej się zdawało iść po drodze już ubitej i szerokiej, aniżeli własnym usiłowaniem nową sobie utorować, zrodziła takie twierdzenie, że języki słowiańskie niezdolne są do śpiewu i nie mają wartości pod względem muzyki. Opieszałość w nauczaniu się nowego przedmiotu, przy rozpoczęciu nowego zawodu, przesady narodowe i uporeczywe uprzedzenie, miały wielki wpływ na wydanie powyższego wyroku. Dla okazania jego bezzasadności, przytaczamy następujące uwagi:

Słowianin, w wymówieniu swoich spółgłosek, żadnej nie doznaje trudności, a zatém i przeszkody; wszak cudzoziemca i bez tego nikt nie będzie zmuszać, ażeby śpiewał w jakim języku słowiańskim. Że naprzykład język niemiecki w ustach Niemca jest narzędziem do śpiewu zdolnym i stosownym, temu chyba tylko nierozsądek i złe chęci zaprzeczyćby mogły; niemniej atoli pewną jest rzeczą, że narody obce z wielką trudnością nabywają niemieczyny, i że spółgłoski niemieckie wymawiają po największej części twardo i chropawo. Znam Francuzów i Włochów, którzy łatwiej i rychlej nauczyli się języka słowiańskiego, aniżeli niemieckiego. To przecież nie przeszkodziło temu, że wielka, wyborna szkoła niemiecka zakwitła i wciąż kwitnie, i że Niemiec w żadnej obcej mowie tak dobrze nie śpiewa jak w swojej własnej. W końcu zbyt mało dotąd zważano na to, że właśnie w tych spółgłoskach słowiańskich, które tak dalece pod względem śpiewu zrażają cudzoziemca, dla Słowianina wszakże żadnej rzeczywiście przeszkody nie

stanowią, spoczywa silne poparcie cechy charakterystycznej. Co do dźwięczności śpiewu, spółgłoskom można zaiste przypisać podrzędne tylko działanie, dlatego, że w ustach dobrego śpiewaka służą one bardziej do kojarzenia a nigdy do tworzenia dźwięków, gdyż cała siła głosu na samogłoski uderza.

Co do dźwięku samogłosek, między językami słowiańskimi, język czeski brzmi najcieniżej i najostrzej, wielkoruski najgłębiej i najpełniej. Pomiedzy temi dwoma naczeczami, spostrzega się niby stropniowanie światła, czyli przejście od cieńszego do szerszego głoskowania w językach słowiańskich, które pod tym względem w następującym idą porządku: czeski, illiryjski, maloruski, polski, wielkoruski.

Narzecze czeskie ma wprawdzie tyleż samogłosek co i ostatnie: *a, e, i, o, u*, oprócz właściwej sobie nadto dwugłoski *ou*, która w śpiewie równa się głosce *o*, ponieważ głos wytrzymuje się na pierwszej głosce tej dwugłoski; ale stosunek w używaniu głosek ostrzejszych *i, e, a*, w narzeczu czeskim tym głoskom dosyć sprzyjający, stanowi przyczynę cieńszego brzmienia. Kręskowanie samogłosek, przez co one się przedłużają w śpiewie gdzie nuty wskazują długość dźwięku, nie tyle ważne jest co do akustyki, ile co do rytmu. Jedyna wada w czeskim zgłoskowaniu zależy na tém, że się niekiedy wydarzają sylaby bez samogłoski pisane, lecz brzmienie ich rzeczywiście odpowiada *e* niememu u Francuzów, które u Niemców wprawdzie się pisze, ale tém częściej się nie wymawia. Gdy przecież ta trudność ani Francuzów, ani Niemców nie odstraszyła od śpiewania w języku własnym, więc i Czech namyślać się nie powinien, zwłaszcza, że w porównaniu z obudwoma, znakomite jeszcze

ma pierwszeństwo pod względem zgłoskowania. Łatwo się na to zgodzimy zważając, że naprzód, te niewyraźnie słabo brzmiące sylaby, którym i bez tego żaden uważny kompozytor nuty przedłużonej nie da, w czeszczyźnie daleko rzadziej się napotykają, aniżeli w niemczyźnie lub francuzczyźnie (*), powtóre, że nader przykre w śpiewie głoski *û* i *ö* w języku czeskim wcale się nie napotykają.

W illiryjszczyźnie znajdujemy wprawdzie wszystkie sylaby z samogłoskami, jednakże niekiedy ta samogłoska się nie wymawia, to jest, ma wtedy brzmienie *e* niemego albo raczej przytłumionego, jak w owych sylabach, które Czech pisze bez samogłoski. Pięć samogłosek języka illiryjskiego *a, e, i, o, u*, wchodzą téż do składu języków: małoruskiego, polskiego i wielkoruskiego. Polskie głoski nosowe *a, e*, nie stanowią tu wyjątku pod względem śpiewu, gdyż w nim mają brzmienie głosek *o, e*. O tém jeszcze napomknąć tutaj wypada, że Polacy i Rossyanie wyraźnie odznaczają wysokie i głębokie *o*. Używanie miękkiego *i* i twardego *y* nie jest ważne w muzyce, dlatego dalszy tu wykład na nic się nie przyda.

Po rozważeniu wszystkiego co się wyżej przytoczyło, okazuje się, że pod względem zgłoskowania, języki polski, wielki i małoruski z zupełną słusnością mogą stanąć obok włoskiego, to jest najłagodniejszego i najdzwięczniejszego ze wszystkich znanych języków, gdyż czeszczyzna i illiryjszczyzna ustępują im w zgłoskowaniu, z powodu owęj półgłoski przytłumionego *e*; przed niem-

(*) Tak np. nie jest wcale rzadkością napotykać w zbiorach lirycznych czeskich wiele poezyj po sobie idących, w których niema ani jednej sylaby bez czystej pełnej samogłoski, co równie i o pieśniach narodowych powiedzieć można.

czynną przecież i francuzczyzną zawsze na szczególne zasługują pierwszeństwo.

Rytm (akcent), ten najważniejszy żywioł w muzyce, jój dusza i twórca charakterystyki, w narzeczach słowiańskich zupełnie odmienne przybiera postaci. Widzimy, że rytm Czecha i Polaka od stałego ogólnego zależy prawdziwie z nielicznymi od niego odstępami. Lecz gdy prawidło to u Czecha i Polaka, odwrotnie sobie jest przeciwne, tedy język czeski i polski rządzą największe i najwyżbitniejsze opaczności w rytmie słowiańskim. Illiryszczyzna z małemi wyjątkami przyłącza się pod względem rytmu do czeszczyzny; małoruszczyzna znacznie zbliża się do polszczyzny, wielkoruszczyzna zaś, niemająca żadnego stałego rytmu i nielubiąca żadnego wymiaru, zajmuje poniekąd środek pomiędzy innemi narzeczami słowiańskimi. One, stosownie do tego co się wyżej powiedziało, pod względem rytmu, do następującego uszykować się mogą porządku: czeski, illiryjcki, wielkoruski, małoruski, polski.

W czeszczyźnie, z wyjątkiem niektórych końcówek na *sky* lub *cky*, (*ovsky*, *iuský*, *ecký* i t. d.), akcent kładzie się zawsze na pierwszej syllabie. Niekiedy wprawdzie ostatnia albo która z pośrednich sylab przedłuża się za pomocą kréski (´), co przypomina ruszczyznę, która na takie sylaby cały akcent kładzie; dobrze wszakże zważyć powinniśmy, że takowe kréskowane sylaby w czeszczyźnie przeciągają się tylko wymawiają, a obok tego cały przycisk głosu pada na pierwszą sylabę, chociażby ona jak najkrócej wymówioną była. To niezależne zachowywanie przeciągań obok akcentu w brzmieniu słów czeskich, niemało przydaje charakterystyki rytmowi cze-

skiemu. Rozmiary rytmiczne tego języka przemawiają za szczególném jego powinowactwem z ogólném prawidłem co do podziału taktu muzycznego, gdy pojedyncze słowa obok liczby ich sylلاب, będziemy uważać i badać tak, jak pojedyncze takty. Tak np. niektóre słowa czeskie dwu, trzy lub czéto-syllabowe, brzmią zupełnie jakby dwu, trzy lub czéto-taktowe.

Pod względem rytmu, illiryjszczyzna bardzo się zbliża do czeszczyzny; nadmienić tylko wypada, że pojedyncze podnarzecza illiryjskie w rytmie nieco się różnią pomiędzy sobą.

Wielkoruszczyzna, która przycisk głosu kładzie na przemian, to na piérszój, to na środkowej lub ostatniej sylلابie, wiele się tém przyczynia do swobody i różności, przez co ma piérszeństwo przed wielu językami, a do świetnej sprawy muzyki, wiele bogatych nastrocza środków.

Małoruszczyzna, cechuje się również silnie odzywającami się końcówkami, lecz w całości ma wiele rytmicznego podobieństwa do polszczyzny.

Polak z nader rzadkimi wyjątkami przedłuża sylلابę przedostatnią. Ztąd pochodzi, że koniec każdego zdania, każdego wiersza, jeżeli tylko nie zatrzymuje się na wyrazie jednozgłoskowym, tworzy *trochaeus*. To trocheiczne uderzenie na końcówki tak już u Polaków weszło we zwyczaj, albo raczej tak gwałtowną stało się dla nich potrzebą, że w poezyach swoich bardzo mało używają rymów męzkich, a przeciwnie samych żeńskich. Ta okoliczność wymaga od tworzącego śpiew polski znakomitego wyćwiczenia, by nie wpadł w jednodźwięczność rytmiczną; czego się niéma obawiać w czeszczyźnie, gdzie się przedłużają zgłoski początkowe; w cze-

szczyźnie téż, wyrazy jednakowój liczby zgłosek wydają rymy żeńskie, nierównój liczby, męzkie. Należy wszakże mieć na uwadze, że *trochaeus* słowiański w porównaniu do końcówek trocheicznych wyrazów francuzkich, które prawie zawsze, i niemieckich, które bardzo często kończą się na *e* nieme lub przytłumione, o wiele jest wyższy; ostatnią bowiem w nim zgłoska prawie zawsze (w polszczyźnie i ruszczyźnie bez wyjątku) zwykła miewać samogłoskę dźwięczną; dlaczego także do przekładania śpiewów włoskich, gdzie ostatnia zgłoska rymu żeńskiego wymaga częstokroć w muzyce tonów pełnych, wyższych, każdy słowiański język nierównie jest zdatniejszy, aniżeli francuzki lub niemiecki. Jako materyał do muzyki, język polski ze względu na głoskowanie, odznacza się szczególną dźwięcznością, a przytém rytm jego znakomite przedstawia zasoby dla sprawy muzycznój. W użyciu spółgłosek, Polak wpada w ostateczności; w żadnym albowiem innym narzeczu słowiańskim, nie wydatnia się tak dobitnie owa sprzeczność pomiędzy największą miękkością i twardością. Zgodzić się przecież musimy na to, że w tworzeniu tych spółgłosek, spoczywa godna podziwienia loika, najwielostronniejsza i najwyrazistsza charakterystyka.

Małoruszczyzna przy całej niegiętkości w zgłoskowaniu, ma przyjemny, bardziej miękki, niż twardy układ spółgłosek i rytm dość ustalony.

Wielkoruszczyzna, z tém pełnym i szerokim głoskowaniem, z miękkiém po największej części brzmieniem spółgłosek, z tym rytmem tak swobodnym i rozmaitym, jest niezaprzeczenie wytwornym materyałem dla bujuie krzewiącej się wszechstronnój szkoły umniczej.

Narzecze illiryjskie, pod łagodnym niebem, w sąsiedztwie plemion greckich i włoskich, przyswoiło sobie piętno ducha południowego. Ztąd powstała w nim mieszanina zalet północnych i południowych, słowiańskiej i włoskiej dźwięczności, słowiańskiej i rzymskiej siły; to mu nadaje wdzięk właściwy i nadzwyczajną wartość pod względem poezji i muzyki. Rytm również korzystnie działa jak i czeski.

Język czeski odznacza się przed wszystkimi współzawodnikami słowiańskimi, brzmieniem nieco ostrym ale jedrnym, i niedościgłą a jemu najwłaściwszą energią i charakterystycznością w rytmie. Burze gór pogranicznych i Tatrów słowiańskich, szumiały nad tym plemieniem, i odgłos w jego piersi znalazły. Dlatego też wieśniacze, bohaterские śpiewy rękopisu Królodworskiego, w nową także szacie terażniejszej czeszczyzny nie tracą swojego prawego wdzięku.

B. *Pieśni narodowe.*

Zdolność i wielka łatwość w wyrażeniu myśli i uczuć w pieśniach z serca idących, jaką obdarzeni są w ogólności Słowianie, zwłaszcza wieśniacy ściśle połączeni z przyrodzeniem, u wszystkich plemion tego wielkiego narodu od najdawniejszych czasów zrodziła niezmierną obfitość takich pieśni gminnych. Jakkolwiek pieśni nie mogą odpowiedzieć wszystkim wymaganiom ukształconego umnictwa, przecież już sposób ich powstania dowodzi, że się w nich najczyściej i najwyraźniej odbija wpływ, jaki na śpiew narodowość wywiera. Przy bliższym zastanowieniu się, znajdujemy w nich nadto tak znaczne zasoby melodyi, uczuć, humoru, oryginalności

i różnaitości, że troskliwe zajęcie się ich śledzeniem, bez względu już na narodowość, musi dla wiedzy muzycznej przynieść wieloraki i ważny pożytek. Wiadomo powszechnie, że melode narodowe słowiańskie przez cudziemskich także kompozytorów bardzo często używane bywają, jako wyborne temata, a polonez zajął już stałe miejsce w muzyce europejskiej.

Położenie geograficzne, niejednakię barwy charakterystyka słowiańskich narodów, nareszcie rozdział rytmiczny ich narzeczków, musiały zaiste rozmaicie skutkować na ich melode narodowe. Pomimo tego, dają się dostrzegać pewne i stałe zarisy rodowe, które mówią o pierwotném, wspólném ich pochodzeniu z jednego źródła, i na podobieństwo szeroko rozwijającęj się wstęgi, nieobebrzaną gromadę pieśni narodowych słowiańskich wiążą w jedną olbrzymią całość.

U wielu narodów słowiańskich, spostrzegamy jednostajne melode, chociaż z różnym textem. Jakkolwiek nie można wątpić, że niektóre z tych melodyj dopiero w późniejszym wieku przejść mogły od jednego narodu do drugiego, niemniej jednakże ze słusznych przyczyn da się wyprowadzić ten wniosek, że wiele ze wspólnych melodyj nie dopiero później przez drugi szcep słowiański przyswojone zostały, lecz że obu są wspólną, pierwotną własnością. Sądzymy, że pod tym względem wyrokuje stanowczo rytm i miejscowe upowszechnienie. Jeżeli jaka pieśń powszechną jest u jednego narodu z właściwym jego narzeczu rytmem, i melodya téjże u ludu sąsiedzkiego rzadziej się napotyka z nieprawidłową intonacją pojedynczych zgłosek textu, możemy wtedy nieomylnie utrzymywać, że ta pieśń jest pierwotną

własnością pierwszego ludu, a przez drugi przywłaszczoną została. W krainach, gdzie dwa ludy słowiańskie sąsiadują z sobą, napotykanie bywają u jednego ludu liczne melode narodowe, które przez rytm swój bardziej zbliżają się do melodyi drugiego ludu; u tego zaś gdzie pierwotnie powstały, już dawno w zapomnienie poszły albo się przynajmniej zmieniły. Lecz gdy pewna melodia zarówno jest znaną dwóm narodom słowiańskim, zarówno przypadającą do tekstu i w ogólności czysto-narodową, należy ją uważać jako ich wspólną, odwieczną własność. Tak np. melodia pieśni polskiej narodowej: *Stała się nam nowina, pana pani zabiła* i t. d. oczywiście wzięta jest z pieśni słowiańskiej *cerne oci, poide spat* i t. d., ponieważ nie przypada do rytmu polskiego tekstu, i cała technie bardziej duchem pieśni węgiersko-słowiańskich aniżeli polskich. Przeciwnie melodia polskiej pieśni biesiadowej: *Pije Kuba* i t. d., z pominięciem przydanego zakończenia, w zupełności zgadza się z czeską melodyą do pieśni: *Já mám kone* i t. d.; ale melodia ta tak dalece ma jednego ducha i ogólne piętno słowiańskie, a obu językom tak jest właściwą, że wcale nie za śmiały byłby domysł, jeżelibyśmy chcieli w niej widzieć śpiew najpierwotniejszy, który stokroć już text swój przemienił. Ze wszech miar nader ważną byłoby rzeczą, gdyby zbieracze pieśni, o ile możliwości wiernie oznaczali, w jakich stronach ta lub owa pieśń się śpiewa.

Te okoliczności stwierdzają domysł, że chociaż śpiewy narodowe zarówno z językiem ulegały powszechnemu i nieustannemu odnawianiu i przerabianiu, przy czém wiele starych melodyj na zawsze zaginęło; jednakże nuta wielu pieśni może być pierwotną pomimo wie-

lokrotnej zmiany swego textu. W pieśniach narodowych, obok wspólnego początku, spostrzegać się daje i późniejszy wpływ na siebie rozmaitych plemion słowiańskich.

Wpływ sąsiednich narodów, niestowiańskich i ich melodyj narodowych na melodye słowiańskie, uważam za mało znaczący, gdyż z jednej strony pieśni w języku obcym, niezrozumiałym, same już przez się nie mogły być bardzo przystępne, z drugiej znowu strony istniejąca między cudzoziemcami a Słowianami jużto nieszczerłość, jużto nietajona nieprzyjaźń, stawiały tamy wszelkiemu zbliżeniu się.

Trzy szczególnie wydatne rytmy narodowe spostrzegać się dają w niezliczonych pieśniach słowiańskich, a ich bogata śpiewność niezaprzeczony stawia dowód, jak dalece język i umysł narodów pochopne są do muzyki. Do tych trzech rodzajów rytmów używam nazwiska *mazura*, *krakowiaka* i *poloneza*, bez względu na to, że te trzy rodzaje pod wspomnionemi nazwami oddzielnie już się wykształciły w narodzie polskim; powodowani zaś do tego byliśmy tą myślą, że pod temi nazwami najśnadniej i najzupełniej wyświetli się główny charakter wspomnianych rodzajów pieśni. Jakkolwiek pod te trzy główne nuty nie dadzą się podciągnąć wszystkie słowiańskie pieśni narodowe, trudno atoli byłoby przydać do nich czwarty jeszcze rodzaj, któryby przez rozciągłość swoją i cechę wybitną a dawną, jednakowe z tamtymi miał znaczenie. Teto trzy nieomylnie od początku już narodu słowiańskiego trwające nuty zasadnicze, przy rozejściu się plemion, pod rozmaitym wpływem, uległy pewnym zmianom; ztąd pochodzi jedność co do głównej formy, różnica co do wyrazów.

Czech, który wiele ma pieśni na nutę mazura, zwykł je wszakże śpiewać wolniej aniżeli Polak; ponieważ Polak przy każdej takiej nucie zarazem tańczy, do czego Czech inne nuty obiera, i ztąd pieśniom mazurowym nadaje cechę elegiacko-naiwną.

Melodya krakowiaka przelewa niejako zapał do skoku. Na tę nutę Czechowie mnóstwo też mają tańców, razno przeto na nią i wesolo śpiewają, wybierając ją do textów lekkich i żartobliwych.

Nuta polonezowa, która zresztą w śpiewie prostsza jest aniżeli w muzyce instrumentalnej, podlega o ile mi wiadomo u narodów słowiańskich, niewielu charakterystycznym zmianom, i w ogólności nie jest tak powszechna jak nuta mazura lub krakowiaka.

Jakkolwiek pewną jest rzeczą, że każdy naród w szczególności właściwy sobie charakter przenosi także na swoje pieśni, musimy przecież wyznać, że bliższe oznaczenie tego charakteru u Czechów jest najmniej snadne; u nich to bowiem szczególną jest własnością, że charakter ich nie leży jak na dłoni i nie daje się przeniknąć od razu. Moznaby go słusznie przyrównać do laski Brutusa, która zewnątrz drzewem, wewnątrz złotem była. Chociaż bezpieczna szczerota częścić się u nich istotnie objawia, jednak równie często pod tą pozornie dziecinną niewinną szatą, ukrywa się surowa prawda, wytrwałość w postanowieniu, jakhy dlatego, ażeby obcego spozstrzegacza w błąd wprowadzić i z niego się naigrawać.

Pieśni narodowe węgiersko-słowiańskie, zupełnie zgadzające się z duchem czeskich, tém właśnie się cechują, że najczystiej i najdobitniej zachowały charakter prawoczeski, a ztąd najpierwotniejsze i najprzenikliwsze mają melodye. W Czechach, gdzie zmiany trybów życia

politycznego i domowego bywały nierównie częstsze, gwałtowniejsze i prędze, aniżeli na górach węgierskiej Sławonii, więc też i pieśni narodowe częstszym zmianom ulegać musiały. Czech oddawna już zapomniał o bojach z ducha narodowego wynikłych, sławionych ustami śpiewów narodowych, a z niemi i śpiewów natchnionych wieszczów; rzadko się już napotyka pieśń, któraby wojny szwedzkie pamiętała. Nadmieniam tu mimochodem, że jedna z nich: *Zle mamicko, zle, Brandeburci zde* i t. d. przypadkiem przeszła i do Słowaków. Lecz Słowak pamięta jeszcze o zapasach z Turkami i śpiewa o nich.

Polak najczęściej razem śpiewa i tańczy. On jest nawskróś sangwinikiem, i mało snadź posiada pierwotnych pieśni, których melodye nie mogłyby zarazem służyć do tańca. Jego śpiew narodowy nosi sobie tylko właściwą cechę, zależącą na owój szalonej burzliwości melodyi, która od śpiewu natychmiast do nóg przechodzi, i dlatego nie może słyszeć dobrego mazura, ażeby przytém zaraz piętami *holubca* nie wybijał i o podłogę nie stukał; a jeżeli niezawsze zmienia nutę podług życzenia, umie jój przecież nadać jakąś wyrazistą giętkość, przez co każda pieśń w jego ustach przybiera zupełnie innego ognistszego ducha aniżeli u innych Słowian. Jego pieśni w ogólności tchną wesołością. W pieśniach polskich rym żeński tak dalece przemaga, że męzki do osobliwości należy, i zwykle świadczy o ruskiem lub czeskiem pochodzeniu melodyi, w której się okaże. Chociaż jednak z powodu rymu żeńskiego *trochaeus* panuje, Polak przecież właściwemi obrotami umie uniknąć jednodźwięczności. To się dzieje mianowicie przez to, że pierwsza nuta się skraca i zamienia jakby na przednutę (*Vorschlag*),

gdy druga przedłużona wnet ostro po niej następuje. Jest jakaś rytmiczna dowolność, która będąc użyta pomiędzy sprzecznie brzmiącymi nutami, silny i wyrazisty skutek sprowadza. Mazur przez Polaków wyrobiony, odznacza się wytwornością, elektryzującą rzeczywiście do tańca, do wypitki i wybitki, staje się jednak prawym rycerzem gdzie potrzeba; także grzecznym i pieśczośliwym, gdy idzie o pleć piękną i miłość.

Krakowiak śmiały i odważny jak mazur, nieco mniej od tego miewa natchnienia a więcej żywiołu prozai-cznego.

Pieśni małoruskie nie tyle się odznaczają cechami zewnętrzными, ile głównie panującym w nich głębokim uczuciem, i są zaiste najtkliwsze pomiędzy słowiańskimi. Małorossyanie, naród z przyrodzenia łagodny, spokojny, dumający przez wiele wieków, zmuszeni byli mimowolnie powołanie swoje zamienić na burze krwawych bojów; ztąd też melodye ich, tchną niewypowiedzianą rzewnością. Najlepiej nas o tém przekona porównanie rozmaitych *kołomyjek* (t. j. melodyi małoruskiego krakowiaka) jak je na rozmaitych miejscach grają i śpiewają. Dalsze mniej lub więcej dobitne własności pieśni małoruskich są: częste użycie rymu męzkiego, przeciąganie końcówek albo całych rymów żeńskich, charakterystyczny *rozstrój* (dissonance) w melodyi, skracanie pierwszej zgłoski, a przeciąganie drugiej, co wszakże nie jak w polskich pieśniach dobitność, lecz przeciwnie roz-wlekłość nuty sprowadza. Właściwym rodzajem pieśni małoruskich są *dumy*. Jestto śpiew opowiadający, treści historycznej, jednodźwięczny, nuty przedłużonej, nieforemnej. Te śpiewy sąto krajowe *improwizacye*, śpiewane przez wędrownych bandurzystów czyli lirników,

ukraińskich bardów. Niektóre pieśni, mówiąc nawiasem, Małorossyanie mają wspólnie z Czechami. Poępnny, żalony wyraz melodyj małoruskich, nadaje im właściwy charakter melancholyczny, o którym niektórzy błędnie utrzymują, jakoby u *wszystkich* Słowian był panującym. Czech np. ma również tkliwe ciężkiej myśli śpiewy, ale to stanowi tylko podrzędną, nie zaś główną cechę całości jego uczuć. Polak jest wyłącznie sangwiinikiem; Illiryjczyk pije wiele dobrego wina, które zaiste nie da się zakorzenieć wszelkiemu smutkowi, a Wielkorus, który i owszem ma także pieśni tkliwe, przecież w ogólności uchodzi za żywego, dobrodusznego, wesołego chłopka, i prócz smutnych, jeszcze więcej wesołych pieśni śpiewa.

Z pieśni narodowych wielkoruskich, niewiele poznać mogłem, a te mają dźwięk przyjemny, ujmujący, zupełnie słowiański. Z obcych źródeł wyczerpnałem to, że Wielkorus ma we zwyczaju do każdej pracy, do każdego położenia i okoliczności w jakich się znajduje, słowem przy każdej zręczności, pieśni sobie układać i śpiewać, które częstokroć noszą na sobie piętno życia zewnętrznego i czystej loiki. Rozsadowienie się na nicobejrzaną przestrzeni tego słowiańskiego plemienia, samo przez się domyślać się każe o posiadaniu najrozmaitszych pieśni bez liku. Sąto pieśni męża, który się natrzasa z burzy Lodowatego morza, który białemu i leśnemu niedźwiedziowi śmiało w oczy zagłada. Wćimy, że Wielkorus jest dobroduszny i zarazem chytry; dwa te przymioty rodzą myśl dobrą, która się we wszystkich jego pieśniach przebija.

Takoz o pieśniach illiryjskich nie mogę dokładnej zdać sprawy. Najśmielsze i najodważniejsze awanturnictwo

w oddzielnych niesfornych bojach i wspaniałej zamęt bitwy, to stanowi treść narodowego bohaterskiego śpiewu Illiryjczyka; a jako bohater występuje w nich bądź hajduk zaskoczony i wypatrzony w swojej kryjówce, przekładający śmierć z bronią w rękę nad śmierć z głodu, i w rozpaczliwej utarczce wzywający ducha na stosie trupów tureckich, bądź śmiertelnie raniony młody wojownik, nad którym trzyma się w równi wierny, biały orzeł i w smutku pośród gradu kul, nie opuszcza umierającego pana. Widać, że wiele pieśni illiryjskich powstało przy huku dział i szczęku pałaszy. Po zważeniu wszelkich okoliczności, nie bez przyczyny robię tu wniosek, że pod względem *słowiańsko-narodowej romantyczności*, illiryjskim śpiewom narodowym należy się pierwszeństwo przed innemi.

Jeszcze mi pozostaje jedną zamieścić uwagę, że kto chce badać pieśni narodowe z pewnym zamiarem, powinien tak o nich trzymać, jak o samym kmiotku, który je śpiewa. Jakkolwiek ten ostatni występuje często niepozornie i niezdobnie, jakkolwiek rychło wyjawia nieukryte wady swoje, przecież nie można zaprzeczyć jego nicocenionych przymiotów. Siła, jędrność, nieustrasżoność i miłość są mu wrodzone, a niema na świecie żadnej cnoty, która by nie powstała pierwotnie w piersi człowieka, czyto prostego, czy wykształconego. Prostý człowiek czuje radość i smutek, i umie je wywnętrzać; to jego poczyna. W zakresie swych wiadomości i pojęć umie przetrawić myślą to, czego w życiu doświadczył, i myśli te czasem bardzo trafnie jednoczy; to jego loika. Cnota i genialność nie są przywilejem pewnej klasy; podają ręce człowiekowi nie pytając się o jego stan, i z tego stanowiska trzeba się zapatrywać na *pieśni naro-*

dowe. Kto w nich pilnie śledzić będzie prostactwa i grubości, ten je znajdzie; lecz kto ma ochotę i wolę poznać w nich jędrność i poetyczność, nie dozna w poszukiwaniach zawodu. Jak możemy prostego i rażnego chłopka poważać i potrzebować nie oblekwszy go wprzódy w jedwabne rękawiczki, tak również nie strońmy od przyswojenia sobie świeżej, śmiałej melodyi narodowej, dlatego tylko, że nie ma obłudnej szaty salonu.

C. *Liryka.*

Ponieważ doskonałe uprawianie śpiewu, które zadość ma czynić pojęciom i potrzebom class wyższych, dalej postępowym wymaganiom społeczeństwa, jego rozciąglejszym wiadomościom i rozwiniętej wiedzy umniczej, nie może się nie opierać na dostatecznie wykształconej tym wymaganiom odpowiadającej liryce, ponieważ następnie liryka jako używana przez muzykę do jej utworów, wzajemnie także działa na śpiew jej dodany, tedy w rozprawie o śpiewie narodowym, w żadnym razie nie może być obojętną rzeczą pogląd na jego materialną podstawę, na niezbędnie poprzedzającą go lirykę narodową.

Liryka może być narodową co do języka, co do przedmiotu i co do ducha.

Narodowość co do języka, jakkolwiek ważna, sama przez się dostateczną być nie może; nie można bowiem zaprzeczyć, że bez względu na język, przedmiot i duch, mogą być niezastosowane do narodu albo wręcz mu przeciwne.

Co do języka i przedmiotu, liryka może być narodową; obok tego przecie można przedmiot narodowy sko-

jarzyć z myślami i uczuciami, których naród za swoje nie uzna.

Co do języka, przedmiotu i ducha, narodowemi są pieśni ludu, lecz i w liryce wyższej może nastąpić zjednoczenie tych wszystkich własności, które sprowadzają najwyższy polot, charakterystykę najdobitniejszą.

Chociaż narodowość przedmiotu bezwarunkową wartość swą zachowuje, niemniej wszakże jest pewna, że narodowość ducha nie łączy się z nią koniecznym, nierozzerwanym związkiem; jedne bowiem i te same przedmioty, choćby i obce były, u różnych narodów różne téż myśli i uczucia obudzać mogą. Gdy np. Szyller pisał swą Maryą Stuart, Dziewicę Orleańską, Don Karlosa, wybrał przedmioty obce, lecz jego pogląd na nie był niemiecki, natchnął je niemieckiem uczuciem, niemieckim duchem. To samo powiedzieć można o wielkim synu Albionu (Shakspeare), który się uwiecznił przez Otella, Romea i Julię i wiele innych dzieł mistrzowskich.

Narodowość co do przedmiotu i co do języka jest więc plastyczną, przedmiotową; co do ducha zaś, podmiotową. Następnie możemy rozróżnić dwa stopnie liryki narodowej: najwyższy, gdy język, przedmiot i duch są narodowe, co przedstawia stanowisko liryki najważniejsze, godne wszelkiego usiłowania do jego osiągnięcia. Lecz że w ogólności cywilizacja naszego wieku musi dosięgąć przedmiotów daleko za granicą naszego kraju i narodu będących, liryka więc musi (pozostając wierną językowi i duchowi), dla udokładnienia i uzupełnienia siebie, oprócz ojczystych, zajmować także i inne powszechnie przedmioty, jeżeli w obliczu cywilizacji nie ma się wydać jednostronną i ograniczoną.

Te uwagi zdają się być szczególnie przydatne do wytknięcia granic, za jakie użycie melodj narodowych w śpiewie wyższym przekraczać nie powinno. Skoro więc przedmiot liryczny jest narodowym, lub za takowy uważany być może, niema w tém niestosowności, jeżeli kompozytor do głównego wątku muzyki, wtrąci z wyborem i smakiem napomknienie z pieśni narodowych. Gdy wszakże przedmiot poezji za narodowy uważany być nie może, wówczas użycie melodj narodowych zwłaszcza noszących oddzielną charakterystykę, musiałoby się wydać niezwykłym i nienaturalnym; śpiew jednak przy prawém brzmieniu języka narodowego i wyrażeniu własnych uczuć, mógłby jeszcze nadać barwę narodową szkole umniczej.

Podług obecnego stanu, liryce polskiej należy się pierwszeństwo pomiędzy wszystkimi słowiańskimi. Kompozytor posiada już bogaty zasób wszelkiego rodzaju. Czyniąc w zupełności zadość trzem wspomnionym warunkom, wystąpiła ona z mocą i świetnością, a w dążeniu do innych celów mających rozszerzyć i uzupełnić sferę umniczą, znaczne już zrobiła postępy. Odznacza się ona fantazyą ognistą, językiem kwiecistym i pełnym obrazów, który co do formy, w szalonym niekiedy polocie, wpada w koleje zadziwiające, nadzwyczajne. Przy takiej poezji, kompozytor powinien być bardzo oględny i wywieszony; bo jak z jednej strony ma się strzedz, aby zbyt widocznym brakiem jedności i symetryczności planu, nie nadwężył układu całej kompozycyi, tak znowu z drugiej strony, poezye takowe nastęczają mu zręczność do obrotów śmiałych i zdumiewających formą, przez co częstokroć toż piętno genialności przybrać jest w stanie.

Liryka także Wielkorusów na znakomity wzniosła się szczebel i pomyślnie użyła do poezji żywiołu narodowego. Dotąd wszakże stanowisko jój jest bardziej uniwersalne, odległe, anizeli domowe, narodowe. Lecz liryka wielkoruska we wszystkich rodzajach tak dalece postąpiła, że żądania kompozytorów muzycznych wielostronnie zaspokoić i do utworzenia jędrnych poematów silnie zachęcić ich może.

Cel liryki Małorusów z rozważenia tylko stosunków miejscowych i politycznych należycie pojęty być może. Z tego wypływa, że poezya Małorusów, co do mnogości i uniwersalnej wszechstronności, nie wyrówna wielkoruskiej, lecz zato w swych dobrowolnie wytkniętych granicach, zachowuje czystszy duch narodowy, bardziej pierwotną i swojską charakterystykę.

Czesi, którzy od niejakiego czasu z jędrniejszemi i bogatszemi siłami zmierzają naprzód, z przemienném szczęściem pracują nad tém, ażeby z jednej strony liryce swojej zjednać prawdziwą, czystą narodowość, z drugiej znowu, ażeby w duchu najgłębszą i najszybszą stronę podnieść do najwyższego szczytu poezyi. Występują uzbrojeni, nie ażeby zdobywać i niszczyć twory innéj dążności, lecz aby swe własne utrzymać i ochronić. Duch czeski zawsze się takim okazywał. Jeszcze przed niedawnym czasem ubogi stan poezyi mógł zrzędać to, że i czescy kompozytorowie, którzy zkażdym nie byli obojętnymi dla rzeczy krajowój, kiedy niekiedy tylko dawali do textów czeskich nader skromne kompozycye, jakby jałmużnę dla żebraka, gdy tymczasem w językach obcych skupiali stosy utworów wielkich i znakomitej wartości. Lecz dzisiaj, gdy czeska liryka kwitnąc radośnie z każdym dniem coraz piękniej się rozwija, możemy oczeki-

wać, że niejednen kapłan boskiego umnictwa niepodzielone siły swoje na powiększenie utworów narodowych obróci.

Illiryjska także mowa nie jest nieczynna. Jakkolwiek nie doszła jeszcze do tego stopnia, ażebyśmy mogli dojrzeć w niej pewien cel charakterystyczny, przecież wolno się tego spodziewać, tém bardziej, że wielki zapal do ukształcenia się duchowego, jakim każdy Illiryjczyk jest przejęty, słuszną czyni nadzieję, że liczne braki tym rychlej i chlubniej w przyszłości zapełnione zostaną.

D. Stanowisko śpiewu.

Jakkolwiek kształcenie śpiewu, jako sztuki, u żadnego jeszcze plemienia słowiańskiego w kompozycji i wykonaniu nie postąpiło dotąd tak dalece, ażeby mogło już stanowić szkołę narodową na godnym stopniu, niemniej przecież blizkim jest tego stanowiska, aniżeli by temu chętnie uwierzyć chcieli ludzie nieświadomi i naszej sprawie nieżyczliwi. Dla zachowania należytego porządku, musimy nadmienić przedewszystkiém o kościelnym śpiewie słowiańskim ze starożytności dochoowanym. Tak zaiste, słowiańska muzyka w starożytności pomknęła się była na taki szczebel ukształcenia, na jaki tylko w ogólności można było przy ówczasowym stanie nauk, poezji i umnictwa. *Umnictwo słowiańskie* w całej wschodniej strefie Europy rozszerzone, w czasie swego rozkwitu, żadnemu iście w całej Europie nie ustępowało, a nawet tylko nie chcę rozstrzygać, czy Słowianie w owiej epoce, pod względem śpiewu kościelnego, przodkować i za wzór służyć nie mogli.

Rozważmy wartość owych starodawnych chociaż nie bez skazy zachowanych śpiewów kościelnych polskich i czeskich, które od wnuków do wnuków i aż do nas w puściznie przeszły: owych niezliczonych uszłych zagłady w trzydziestoletniej wojnie szczątków kancyonałów czeskich, z których najstarszy mi nie znany z czasów hussyckich pochodzi; nakoniec całej niniejszej liturgii wschodniego słowiańskiego kościoła, zawierając twierdzeniom ruskich kapłanów, którzy pisane w języku kościelnym pieśni za również dawne uważają, jak i swoje obrządki; zastanówmy się przytém, że jednoczesne zaprowadzenie chrześcijaństwa pomiędzy większą częścią narodów słowiańskich, przy jednostajnych okolicznościach, poszło ze stolicy cywilizacji umniczego Carogrodu, a wzdry się mocniej przeświadczymy, że starosłowiański śpiew kościelny kształcił się na byzantyńskim, jedno z nim ma źródło i też pierwotną formę, jednostajnym trybem i w jednęże epocę rozszerzył się pomiędzy słowiańskimi na chrześcijaństwo nawróconemi plemionami. Tutaj upatrujemy wspaniały, wszelkiego poważania godny związek, który daleko mocniej, anizeli prostoduszne pieśni narodowe, najrozległej kojarzył żywot duchowny starego słowiaństwa. Równie jak pieśni narodowe i formy języka, duchowny ten żywioł w późniejszym czasie różnym podlegał losom i przygodom.

Wspomniony kancyonał czeski z czasów hussyckich (zbiór arcybogaty), okazuje nam tę gałąź umnictwa na stopniu tak doskonałym, że go na ówczesne czasy pod względem technicznym, a jeszcze bardziej duchownym, za nader wysoki uznać musimy. Muzyka ta co do najistotniejszych cech swoich, opiera się na zasadach ogólnego starosłowiańskiego śpiewu kościelnego, lecz zara-

zem wydatnia się w niej samodzielność, daleko posunięty rozkwit, który wielebne śpiewy ojców naszych nacechował siłą męską i wzniosłością nadziejską. To rozwijanie się sztuki muzycznej, zdaje się, długi czas odbywało się z wytrwałą gorliwością; przecież snąć nie można by już było wyjaśnić należycie rzeczy, gdybyśmy chcieli śledzić nici umniczego postępu, pod gruzami zapadłych wieków.

Ten skarb umnictwa narodowego, wraz z językiem starosłowiańskim kościelnym, zachował się nienaruszony do dnia dzisiejszego w pieśniach nabożnych ruskich, serbskich i bułgarskich. Wyłączanie muzyki instrumentalnej w obrządku wschodnim, oraz zupełna niemożność użycia innego języka i form obcych, stanowiły przez tyle wieków silną oporę przeciw wpływowi wszelkiej obczyzny. O ile poznałem starosłowiańskie śpiewy liturgiczne, mają one więcej łagodności, lecz mniej jedności aniżeli wspomniane śpiewy staroruskie. Muzyka kościelna Europy zachodniej, która dotąd troskliwie przywłaszczała sobie wszelkie postępy w technice i teorii, przewyższa pod tym względem słowiańską; ta bowiem ostatnia przez tyle wieków tradycyjnie tylko się zachowując, wcale się nie rozwijała; zato wszakże współczesnemu umniectwu które się zrosło w znamienitą szkołę, sprawiedliwie zarzucić można, że nietylko często odznacza się duchem świeckim, zmysłowym, ale jeszcze częściej przez niepożyteczne i niewczesne popisywanie się uczonością szkolną i ćwiczeniami artystycznymi, takie wywiera działanie, które myśli do nabożeństwa wcale nie podnosi. Śpiew cerkiewno-słowiański potrzebuje teraz odnowienia co do techniki i teorii, przyczem wszakże z najbaczniejszą przeczornością postępować należy; nie-

chaj śpiew ten tchnie takim duchem pobożności, taką myślą głęboką, ażeby mógł być uważany za ogólną zasadę, przy każdym usiłowaniu poprawienia śpiewu słowiańsko kościelnego.

Przy téj zręczności przychodzi mi na myśl, zbiór nowoczeskich śpiewów kościelnych wydanych przed kilku laty w Pradze, do których dołączono także część dawniejszych. Nowe te śpiewki podane z chwalebnią skwapliwością przez wielu szanownych kompozytorów, zawierają rzeczywiście trochę dobrego. Ale jakimże duchem tchnie większa część tych utworów? Tu wdzięcznie odzywa się Spohr i Weber, tam dynda resztką niemieckiego harbeutla z przeszłego stulecia. Weźcie Kozaka, Czarnogórcę albo Krakowiaka, dajcie mu na głowę pudrzastą perukę z harcapem, a na to wsadźcie trójgraniasty doktorski birecik, a będziecie mieli figurę, nie wiele co śmieszniejszą jak owe teksty czeskie w tém germańsko-muzykalném przebraniu. Chociaż przypuścim, że to porównanie nieco przesadzone, przecież zawsze pozostanie prawda, że na téj drodze nie możemy oczekiwać nic zbawionnego.

Z przyczyn także zasługujących na uwagę możemy się na to zgodzić, że śpiew w dawnych wiekach będąc połączony z obrządkami, nie pozostał także bez wpływu na wybrańsze klasy narodu, a nawet po dobrym namyśle możemy twierdzić z pewnością, że Minezengerowie niemieccy i Trubadurowie francuzcy, pomiędzy licznym, mocnym i niezbyt rzadko cywilizowanym rycerstwem słowiańskim, musieli mieć także braci swoich za pośrednictwem sztuki spokrewnionych.

Było to nawet w duchu średnich wieków, śpiew cerkiewny, jako ważniejszy, podawać do potomności za po-

mocą pisma, a inne pieśni miłosne i biesiadowe, jako owoce natchnienia chwilowego i przemijającego, zostawić pamięci pojedynczych piewców. Zdaje się to być następstwem wieku, że te ostatnie śpiewy, odpowiadające w ogólności powadze pieśni narodowych, przewyższały je pod względem formy, wyrobionej nie bez wpływu śpiewu kościelnego. Trudno wątpić, ażeby plody liryczne doszły do nas z owych czasów, jak np. Krółodworski rękopis, nie miały być *śpiewane*. Na poparcie tego twierdzenia, mam jeden tylko pewny, to jest piśmienny dowód, a mianowicie staroczeską pieśń używaną przy picciu, którą przed kilku laty poznaliśmy pod nazwaniem *pieśni hussyckiej*, a z której wirtuoz Liszt ułożył koncertową sztukę na fortepian. Czy pieśń ta pochodzi z czasów hussyckich lub nie, niech kto inny rozwiąże, zawsze jednak pozostanie dobrą, i jedną z tych pieśni, która w głównej swej myśli zachowuje charakter słowiański, to jest *praceski*.

Jeżeli zwrócimy uwagę na utwory muzykalne z czasów najnowszych, spostrzeżemy przedewszystkiém, że szczególnie w Rosyi znakomite już poczyniono kroki w uprawie nowożytnego śpiewu słowiańskiego. Teatr narodowy, wzrastająca tam poezya liryczna, podróże i kształcenie się ruskich artystów za granicą, ustawiczne wędrówki największych wirtuozów zagranicznych do Petersburga i Moskwy, wszystko to musiało się stać wielką podniętą, po której zaczynają już okazywać się wszelkiego poszanowania godne owoce. Lecz wpływ ten różnorodnych żywiołów obudza w nas obawę, że jedność charakteru w tej nowo powstającej szkole będzie narażona na wiele przeszkód. Ruskie zastępy własnych mają śpiewaków, którzy chociaż obecnie są samoukami tyl-

ko, do ulepszenia wszakże śpiewu niemniej znacznie się przykładają.

Rossyianie nareszcie odznaczają się obszernym głosem; w całej Europie najgłębsze głosy, zwłaszcza basowe, pomiędzy nimi znajdziesz.

Polak sam do wytrwałego i zmuśnego przykładania się do teoryi (niezbędnie potrzebnej do wzniesienia się w świecie muzyki), rzadko ma ochotę. Wrodzony zmysł do muzyki i śpiewu, pysznie wzrastająca poezya liryczna, nie jeden już piękny kwiat wypiastowały w sferze umnictwa, i jeszcze więcej wypiastują ich w przyszłości. Dotychczasowe usiłowania do polepszenia śpiewu przez scenę, z powodu braku sił, nie zaprowadziły daleko; w przyszłości przecież nie bez przyczyny można od tego więcej oczekiwać. Utwory wszakże śpiewne lepszych polskich kompozytorów tę mają zasługę, że są czysto swojskie i pod tym względem najwięcej zajmujące.

Najstosowniej postąpię, umieszczając tu w skróceniu własne słowa zdolnego artysty polskiego.

Stanisław Moniuszko, w ogłoszeniu o wychodzącym w Wilnie *Śpiewniku domowym* mówi między innymi: „Jeżeli piękna poezya z piękną skojarzona muzyką, mogą zachwycać najmniej muzykalne serce i ucho, tedy i słabsza i mniej szczęśliwa muzyka przy wyborniej poezyi musi być mile przyjęta. Od pół stulecia przeszło zjawiają się pojedyncze śpiewy swojskie, które różnego doznają szczęścia na scenie w operetkach, a obok tego badacze przodki i języka polskiego, wydają ważne rozprawy o *metryczności* i *rytmiczności*, i zaprawiają go do wszelkich potrzeb muzyki; słowem, dla miłośników śpiewu i artystów, z każdym dniem ułatwia się możność uprawiania pomyślnie tej świeżej niwy, która dotąd nie przyniosła

jeszcze bogatego plonu. Zewsząd slyszymy narzekania na brak śpiewu domowego, chociaż rzeczywiście artystów z powołania o to obwiniać nie można. Według możliwości środków i bodźców, starają się oni jak najusilniej uchylić brak takowy. Że pomnę wielu innych dawniej zasłużonych, *Nowakowski* (*) w Warszawie, a *Wojkowski* w Poznaniu, wydali śpiewy w których się wyraźnie przebija nauka, lekkość, a także wielka zgodność muzyki z myślą i prozodyą wyrazów; dar najznakomitszy, jakim tylko wirtuoz muzyczny chlubnie odznaczyć się może w swoim zawodzie. Nie śmiemy tedy powątpiewać, że po tak szczęśliwych początkach, snadniej już będzie po téjże drodze dalej postępować (**).

„Piękne i wzorowe te przykłady staną się zapewne mocną pobudką dla każdego, kto w sobie czuje zdolności, aby na téj drodze sił swoich doświadczył. Mniej więcej szczęśliwe usiłowania, utworzą z czasem zbiór przykładów czyli materyał, z którego pomału powstanie szkoła, rozwinie się krytyka rozsądna, na znajomości rzeczy oparta, a z upowszechnieniem pojmowania kompozycji, znajdą już artyści narodowi ochotę do wdzięcznej pracy. Możemy owszem spodziewać się tego ze względu na to cośmy powiedzieli, zwłaszcza, że teraz okazało się już kilka śpiewów wyższego stylu w muzyce. Świadczą one o przyjmowaniu się u nas poezji muzycznej; potrzeba jęj czucia, które już się wyrabia w wirtuozach narodowych.”

(*) Moniuszko ma tu na myśli przedwcześnie w Warszawie zmarłego młodszego brata artysty dramatycznego Nowakowskiego, który oddawna już do ozdób teatru polskiego we Lwowie należy i tam także dobrym jest kompozytorem. *Przyp. Tł.*

(**) Z liczby innych kompozytorów, których można było tutaj przytoczyć, przypomnę, oprócz starszego Nowakowskiego, tylko Wysockiego, Syrewicza i Wielhorskiego. *Przyp. Tł.*

Gdyby Polacy mieli takie zapasy dokładnie wyrobionych sił muzycznych jak Czesi, gdzieżby już zaszli z tym swoim duchem! Przy wielkiem rozgałęzieniu należyście ukształconej sztuki muzycznej w Czechach, nietylko w miastach i miasteczkach, ale także w niezliczonym mnóstwie wiosek (*), przy tym ogromie zdolności muzycznych, co sprawia, że od tylu lat mnóstwo artystów ustawicznie rozchodzi się po wszystkich częściach Europy, oddawna posiadali Czechowie w swoim ręku środki do prześcignienia najzaszczytniej reszty pobratymczych plemion, przez założenie nietylko dobrej, ale sławniej i świetnej słowiańsko-narodowej szkoły śpiewu wyższego.

Przed niewiele dopióro laty przystąpili do wykonania tej sprawy. Niemniej przecież to co dotąd uczyniono, godne jest wszelkiego poważania i oceny. Od początków już tego stulecia, wydawane były niektóre pojedyncze kompozycje pieśni czeskich, po największej części drobiazgowe, lecz poczet ich był tak szczupły, a forma jakkolwiek w sobie częstokroć szczęśliwa, tak niepozorna, że nie wyrwały się za obręb przyjaciół swojego artysty, i tém bardziej nie mogły być uważane za podstawę do nowej samoistnej szkoły. Znakomitszy poczet utworów, który już przedź mógł oznaczyć i ustalić charakter narodowy i wyraźną samoistną dążność, okazał się zaledwie, kiedy zawczasie zmarły *Chmieleński* począł wydawać zbiór śpiewów czeskich pod nazwą *Wieniec*. Ale i wtedy jeszcze większa część mężów, używających największego zaufania w kraju dla rozciągnięcia ich wykształcenia muzycznego i dowiedzionych zdolności, i wię-

(*) Mało wiadomą jest rzeczą, jakie skarby dokładnych wiadomości muzycznych znajdują się u większej części nauczycieli wiejskich w Czechach, i jak wielki zład pożytek dla młodzieży.

ksza część naszej arystokracji muzycznej, w czysto narodowej dążności bądź żadnego, bądź bardzo mały przyjęła udział, i owszem wyłącznie obcej tylko szkole swe usługi poświęca. Dziwném więc może się wydać zdanie, że ta właśnie okoliczność przyczyniła się do *znacznego wzrostu* nowo powstającej szkoły. Gdyby nasza narodowa szkoła muzyki, zależała tylko od popędu i rządu artystów mających wpływ przeważny i sławę ustaloną, wieleby z nich przeniosło do niej ducha ulubionych mistrzów swoich; do śpiewu mającego być narodowym, wtrącaliby pożyczone obce formy: byłiby Francuzów, Włochów i Niemców ubrali w skórę czeską i tym sposobem naszej muzyce narodowej dali odzież pstrokatą mięsopostnego rycerza, znanego pod nazwą arlekina. Lecz inaczej się stało. Najczynniejszymi stronnikami nowego ojczyzno- przedsięwzięcia, byli mężowie młodzi, zaledwie rozpoczynający swój zawód, którzy dopiero musieli obierać cel swego dążenia i przybrany charakter utrwaląć. Mieli oni przed oczyma przykład pięknie budującej się literatury narodowej, widzieli jak żywioly wszystkiego co jest swojskiém, były przez mężów czcigodnych i wysoce uczonych śledzone, badane, i na świat boży na widok wszystkich narodów wystawiane; a ta bohaterska czeska myśl, która język i ducha przodków naszych wydarła niegodnemu zaniedbaniu dwóch wieków, natchnęła poświęcające się ręce do wzniesienia narodowego śpiewu czeskiego na miejsce dostojne, odpowiednie duchowi narodu. Jakkolwiek przewaga narodowych sił czeskich wzdą jeszcze na drugiej została stronie, przecież od tąd pory nowo powstająca szkoła, stale coraz świetniej się rozwijała, bo jój zwolennicy nie byli to ludzie, coby się zwracali z połowy drogi, albo dopytywali o nagrodę za podjęte prace.

Początkowe te usiłowania, dzielne znalazły poparcie w założonej w Pradze akademii ś. Zofii. Zasłużony jój przewodnik p. *Aloizy Jelení*, sam wyborny kompozytor, dla młodzieńczego zakładu swego wydał wiele pięknych czeskich śpiewów męzkich, które co do układu i wykonania wolne od wszelkiej przygany, a nawet świetne co do treści, silnym wpływem swoim zniweczyły wiele niewczesnych napadów na śpiew czeski, i niejedną nędzną myśl w samym zarodku stłumiły. Zbadanie ducha, który ten zakład jawnie ożywia, obeznanie się z treścią tych mistrzowskich czeskich zbiorów, które od początku do końca tchną miłością i czcią dla ziemskiego pana i jego wysokiej rodziny, naprowadzić musi bezstronnego sędziego do wyznania, że kształcenie sztuki śpiewu nie mogło być skuteczniej i dzielniej połączone z krzewieniem tych uczuć, co dla panującego domu zadowolenie, a dla dążności terażniejszego ducha w narodzie zbawienie przyniesie. Czy rozumny bowiem człowiek mógłby pomyśleć, ażeby na Czechów można było głębiej i przenikliwiej działać *śpiewem niemieckim*? Przychylna troskliwość władzy z jednej strony, a wdzięczność Czechów z drugiej, są tak nieomyślne, że ztąd najlepsze mogą wypłynąć skutki.

Również korzystnym być może dla téj nowój szkoły, rozszerzenie teatru czeskiego i przedstawianie oper w języku czeskim. Jeżeli publiczność dotąd na tłumaczeniach oper przestawać musi (*), to przecież potrzeba tylko dobrej woli do tego, ażeby wkrótkim czasie w Pradze wystawionych było więcej *dobrych* oryginalnych oper czeskich, na pociechę przyjaciół naszej muzy.

(*) Dotąd znam tylko trzy oryginalne opery czeskie.

W ogólności u nas, Czechów, nie idzie o to, ażebyśmy dopięro pozyskali środki i siły, lecz bardziej o to, ażebyśmy tych w istocie *dostatecznych* sił, jakie mamy, nie marnowali dalej na rozdzielaniu, a kojarzyli je ku społecznemu celowi. Co dla nas za pożytek, że chętnie się przyczyniamy do wzrostu obcej szkoły, iście bogatęj, ale bliżkieję przekwitu? Ażali obcy potrzebują naszego wsparcia w umniczej dążności swojej? — Bynajmniej! Czy cudzoziemcy będą nam wdzięcznymi za takową pomoc? — Bynajmniej! Ażali nas samych, by z najlepszych utworów, tak ocenią w obczyźnie, jakbyśmy mogli spodziewać się tego w swoim własnym narodzie? — Bynajmniej! Czy wreszcie na tęg niwie, gdzie nas nic prócz oderwanęj pobudki artystycznej nie podnieca, możemy wystąpić z tąż siłą i z tymże skutkiem, jak tam, gdzie nas napelniają natchnieniem i z sobą unoszą wspomnienia błogiego dzieciństwa? — Bynajmniej i jeszcze raz bynajmniej!

Juliusz Cezar wołał być piérwszym na wsi, niż drugim w Rzymie. A my, którym potrzeba tylko połączyć swoje siły, abyśmy w rodzinie największego narodu w Europie, w dziedzinie najszlachetniejszego umnictwa, na długo piérwsze zajęli miejsce, dlaczegóżbyśmy woleli w szeregu obcych obojętnych ku nam narodów, jako towarzysze dzierżyć trzecie lub czwarte miejsce, albo snąć wyglądać, jak piąte koło u woza? Zaprawdę, jeżeli nam po zaspokojeniu własnych potrzeb zbywa jeszcze sił na inny użytek, lepiejbyśmy postąpili wspierając nimi pokrewne, słabsze plemiona, zamiast co marnujemy je bezpożytecznie w cudzych krainach, w usiłowaniach, z któremi nic nas nie wiąże.

Illiryjczycowic wydali także na świat niektóre śpiewy oryginalne, chwalone jako szczęśliwe prace. Z serca ży-

czyśmy, ażeby te próby się krzewiły, doskonaliły i utworzyły własną szkołę narodową. Niechaj tylko Illiryjczycy pilnie budują swoje melodye narodowe, i dobrze się przypatrują postępom u drugich Słowian, ażeby się ustrzedz na tój drodze ducha obcego, np. włoskiego, i nie wydawać na świat nienarodowych, i tém samém martwych płodów.

Przypuszczając także, że starsza szkoła muzyczna w *chwili obecnej* większą przynosi korzyść, aniżeli szkoła słowiańska zaledwie w zawiązku będąca, przypuszczając, że tam chciwemu zabawy rzкомо do ust padają dojrzale (i przejrzałe) owoce, które tutaj dopiero potrzeba doglądać, szczepić i pielęgnować; wtedy zgodźmy się również i na to, że wpływ umnictwa zagranicznego jest chwilowy, przelotny, i na wybrane tylko klasy ludzi działanie swoje wywiera. Z kształceniem własnej szkoły narodowej połączona jest nadzieja, że na *przyszłe* także pokolenia skutecznie działać możemy, a w potomności z miłością dla kraju obudziłoby się uwielbienie i wdzięczność dla twórców i ojców tój szkoły, za tak wiele cenną ich ducha i siły pamiątkę. Owoce podobnych usiłowań nie byłyby snąc tak późne, ażeby się ich doczekać nie mieli mężowie, którzy takowe z pracą zaszczepiali, wytrwale i z miłością pielęgowali.

Porównajmy okoliczności, przy których dojrzaly szkoły umnictwa obcego, z okolicznościami, jakie się przedstawiają później idącym Słowianom i zobaczmy, na którą stronę przechyla się większa korzyść. Kiedy się stare szkoły tworzyły, sztuka drukarska była jeszcze w kolebce, z nader małym wpływem i nieświadoma swojej mocy. Żyjące języki z których uszczerbkiem martwe się kształciły, były zaniedbane, surowe; ich niewidoczny

wzrost do najwyższego stopnia niejednostajny, w piśmiennictwie każdej krainki, a nawet każdego miasta były tak nieprawidłowe i rozerwane, jak to dzisiaj w najprostszych tylko i najbardziej skażonych narzeczach widzieć się daje. Narodowość działała wprawdzie na umnictwo, ale to jój działanie było przygodne, bez żadnego celu, od artystów pogardzone, którzy rzadko tylko rzetelnie ją poznawali, a więc za przedmiot umyślnego, dobrze pojętego badania nie obierali. Teorya wówczas była prawie nieznaną, i musiała się z mnóstwa dokonanych już utworów układać, porządkować i doskonalić. Teraz zmieniły się te okoliczności; druk jest najczynniejszy, narody słuchają jego głosu, stomilowe przestrzenie nie mogą już jak dawniej rozrywać związku duchowego. Języki słowiańskie, co do własności i czystości, żadnemu innemu w Europie nieustępujące, dosięgły już szczytu żywota duchowego, podług obecnego układu świata, i jako języki piśmienne, skoncentrowały się już także stosownie do potrzeby czterech głównych plemion. W poznawaniu narodowości, w jój dokładném i gorliwém śledzeniu, w jój użyciu do wyższych celów duchownych, w téj chwili *żaden inny naród* z nami mierzyć się nie może. Teorya umnictwa udoskonaliła się, na równi z naukami najbardziej rozwiniętymi. Przyjdziemy jeszcze do tego, że z powodu podobieństwa między sobą języków słowiańskich, śpiewy jednego plemienia, z zatrzymaniem taktu oryginalnego, bez wielkiej trudności, będą mogły być używane od innych także Słowian, jak się o tém z doświadczenia przekonałem (*). A że dla zaspokojenia pierwszych potrzeb, li-

(*) Prosiłem kilku śpiewaków polskich, ażeby chcieli spróbować niektórych pieśni czeskich zebranych przez Jelenia. Acz

czne próżnie mogą być tymczasem zapełnione przekładami dzieł obcych, dopóki miejsca ich wszechstronnie nie zajmą własne utwory, widzimy w tym przyjazną wieszczbę, pod którą śmiało przystąpić możemy do tworzenia narodowych szkół umnictwa, cechując je ogólnym słowiańskim znamieniem.

Dotąd sztuka służy tylko do zabicia wolnych godzin, do pokazania dobrego tonu, lub do zaspokojenia próżności, jest igraszką czyli przedmiotem mody; jeżeli służy do gromadzenia pieniędzy jest rzemiosłem; ale wtenczas dopiero staje na swojej wysokości i godna jest, ażeby człowiek poświęcił dla niej swój żywot i siły, kiedy w słowie wynurza najgłębsze uczucia, najwznioślejsze i najszczytniejsze myśli swoje.

Byłoby to pocieszne zjawisko, gdyby Słowianin w upojeniu swojego uczucia chciał arją Donizettego ulżyć sercu swojemu. Czyż ci obcy śpiewacy znają naszą sławę?

Przełożył z czeskiego, *Aloizy Kuczyński*.

z początku przez grzeczność tylko dla mnie to uczynili, potem przecież tak się im to podobało, że z własnego już natchnienia powtarzali.

Przyp. Tl.

MESSYADA,
FRYDERYKA BOGUMIŁA KLOPSZTOKA.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO, WIERSZEM MIAROWYM

przez

Józefa Karola Juszkowskiego.

Wstęp.

Mysli, jakie lat temu cztery rzuciłem w jednym z pism czasowych (*), o potrzebie miarowości dla naszego języka i jej ważności w piśmiennictwie naszym, zasługują na powszechniejsze uznanie. Istotnie, czas zdaje się nadzedł, aby arcydzieła pierwszego rzędu pisarzy z różnych wieków i narodów, miarowym wierszem pisane, mogły się na nowo ukazać naukowemu światu, okryte szatą polskiej mowy w takiejże formie, lecz zasadzonej na duchu naszego języka i prawidłach dzisiejszej muzyki.

(*) Obacz list mój do redakcyi Pielgrzyma, umieszczony roku 1842 w *Pielgrzymie* za miesiąc grudzień na stronnicy 264—269, a napisany z okoliczności podania do tegoż czasopisma, próby mojego przekładu Przemian Publiusza Owidyusza Nazona, który wypracowałem z pierwotworu łacińskiego wierszem miarowym według własnej teoryi.

W wyborze jednéj z żądanych prac moich, nie wahałem się i na chwilę podać nateraz do Biblioteki, próby mojego przekładu Messyady Klopsztoka, com go wypracował z pierwowortu niemieckiego, wierszem miarowym według własnej teoryi. Nie wahałem się mówić i na chwilę, albowiem Messyada nie ukazała się dotąd w naszym języku nawet prozą. A przecież dzieło to jest jedném z najoryginalniejszych, jakie kiedy wzniósł gieniusz i bujność wyobraźni wydały. Nastręcza dla naszego języka bogate żniwo: bo opiewa rzeczy, jak się wyraża nasz wiekopomny Krasicki, zpod obrębu zmysłów wyjęte, rzeczy w duchowym świecie wydarzone; bo wprowadza istoty nadprzyrodzone, bo wreszcie rozrzewnia czułością i na podziw zachwycającą smętności barwą. Nie sąż w niém porównania Homera godne? Nie jaśniejeż w niém mowa blaskiem świetnym, wspaniałym? nie utrzymujeż się ciągle na stopie godności i szlachetnego wytworu? a poezya, okazała a nawet śmiała dla świętości, którą w swych szrankach stawia, nie nosiż na sobie pieczęci boskiego natchnienia? Słowem, Messyada nie umieszczaż Klopsztoka w poczecie twórców epepei? Ztąd téż trudno opisać, jak wielkie wrażenie uczyniła na umysłach ta poezya nowa, tak pod względem przedmiotu, jaki ośmieliła się wziąć w swe ramy, jak dla niezwyčajnej harmonii sześciomiar (hexametrów), co taką swobodę nadają wyobraźni. Owionęła ona niby szalem całe Niemcy, i zjednała wielkiemu wieszczowi podziw wszystkich uczonych w Europie. Nie na zwoźniczém spółczuciu, lub wątych zasadach gruntowało się to uniesienie. Owym poematem, jedynym w swoim rodzaju, zaćmił Klopszok, choć zrazu trzy pierwsze pieśni tylko wyszły na widok publiczny, zaćmił mówię,

wszystkich pisarzy swój epoki, których usiłowania i spółzawodnictwo ograniczały się jedynie na mniej więcej wierném odbiciu płodów umysłowych Francyi i Anglii, i stanął niespodziewanie na czele szkoły, z której później wyszli Goethe i Szyller.

Nie tu jest miejsce przytaczać chlubne świadectwa mężów, mających powagę w powszechném piśmiennictwie, o wartości *Messyady*. Nie mogę atoli milczeniem pominąć trafnego zdania pani Stael, zdania wiele mówiącego, aczkolwiek treściwego. „Gdy zaczynamy czytać ów poemat”, powiada ta uczona i myśląca kobieta, „zda się nam, żeśmy weszli do wspaniałego kościoła, wśród którego obijają się o nasze ucho poważne tony organów, i to wzruszenie i zebranie ducha, jakie wlewają w nas świątynie pańskie, ogarniają duszę podczas czytania *Messyady*.”

Wielocenném jest także porównanie Klopsztoka z Miltonem, ręką pani *Karlowitz* skreślone. Oparte na gruntownej znajomości głośnych w nowoczesnym piśmiennictwie poematów obu tych znamienitych wierszopisów, godne zaiste jest starożytnego ryłca Kwintyliana lub pióra wymownego Labarpa.

„*Messyada* jest poniekąd dalszym ciągiem *Raju utraczonego*. Idąc za najpowszechniej przyjętém mniemaniem, należałoby ją uważać jako naśladowanie tego sławnego poematu; ale to mniemanie jest mylne, albowiem lubo z jednego punktu wyszli oba ci wielcy poeci, różną przecież udali się drogą, i do innego przybyli kresu.”

„Milton maluje tryumf ducha złości, i upadek rodu ludzkiego; Klopsztek opiewa zwycięstwo Boga miłosierdzia i pojednanie rodu ludzkiego z swoim twórcą. Milton, urodzony i wychowany wśród wojen domowych,

włożony do sporów religijnych, roztrząsań politycznych i wszelkich burz życia publicznego, wystawia w szatanie uosobienie ducha niepodległości, a w Przedwiecznym obraz tych łagodnych jednowładzców, którzy stają się nieubłagani, a niekiedy nawet okrutni, gdy ich lud nie przestaje na szczęście w takim kształcie, w jakim się im podoba go mu udzielić. Dlatego też nie można się wstrzymać od uwielbienia szatana; kochamy go niemal, ponieważ czujemy, że wielkość jego i szlachetność nie pozwalają mu być posłusznym Panu, co mimo całej swojej dobroci i większej nadeń mocy, nie ma owych śmiałych rzutów myśli, które wznosząc umysł, wprawiają go w obłąd, i które nas zawsze zachwycają, ponieważ są w pełnozgodzie z naszymi własnymi dążnościami. Klopszok, który w całym ciągu życia swojego te tylko znał burze, jakie wzniewały w nim wzruszenia co je sam w sobie czerpał, co je, niby świętą tajemnicę w obrębie własnego serca mieścił; dał szatanowi tę jedyną rolę, jaką filozofia religii winna i może mu nadać: wystawił go jako istotę złośliwą, którą bezrozumna pycha i miłość nieporządku popchnęły do buntu przeciw sprawiedliwości Bożej, co ją nienawidzi, nie dlatego, że ona chce ją ujarzmić, lecz że chce na ziemi królestwa pokoju, swobody i wszelkich cnót zdążających w ślady obu tych córek niebios. Wierszopis ten zarazem i zdrowym obdarzony rozsądkiem i pełen zapału, wstrzymuje się ile możliwości od ukazania obrazu bóstwa jako istoty oderwanój; a gdy natura przedmiotu do tego go zmusza, otacza ją świętymi pomrokami: albowiem czuje, że gieniusz ludzki, jakożkolwiek wzniosły, chcąc odmalować to bóstwo, zniża je w drobnych wymiarach skali ziemskiej. Nie tak się rzecz ma z Bogiem, który

się stał człowiekiem; wzięwszy na siebie ciało ludzkie, chciał się uprzystępnić naszym zmysłom. Tegoto Boga obrał Klopsztek za bohatera swojego poematu, i właśnie rozwijając wcielenie tego źródła miłości i miłosierdzia, wznosi duszę czytelników do wysokości, która będąc prawie idealną, nie przechodzi granic pojętności ludzkiej. Taż sama różnica, jaka zachodzi między zasadniczą myślą *Raju utraconego* a pomysłem *Messyady*, przebija i w szczegółach. Równie jak Milton, zadziwia i przeraża Klopsztek okazałością i śmiałością opisów okolic niebieskich, w których wyobrażenia wielkich poetów ma zawsze upodobanie. Lecz u Milтона, niebo winno swą zdumiewającą piękność odbłaskowi olbrzymiego światła, jakie bunt szatana rzuca na nieskończoność; u Klopsztoka, stworzenie świata, niby ujęte w siatkę pełnozgody niebieskiej, jest niezmiernym obrazem, którego każdy szczegół przedstawia widok wspaniałego i spokojnego szczęścia, jako przyrodzonego wpływu królestwa sprawiedliwości; a ta sprawiedliwość, u Milтона władza samowolna, jest u poety niemieckiego następstwem doskonałości, którą dobroć nieskończona przechyla ku pobłażaniu tego wszystkiego, co jest słabością i błędem. Jakoż myśl tę rozwinął z podziwu godnym talentem w scenach sądu, wniebowstąpienie Chrystusa poprzedzających, a mianowicie też w charakterze upadłego anioła, który w *Messyadzie* gra rolę pod imieniem Abdyjela - Abbadony. Utwór ten jest jednym z najbardziej pocieszających, jakie kiedy głowa poety-filozofa wydała; umieszcza on żal nawet w piekle, i rozciąga działanie litości Bożej aż do otchłani potępienia. Milton celuje w malowidła namiętności, wszakże ogranicza się na ukazaniu ich w sposób okazały i upajający, bo czaro-

wać i wzruszać jest jego najwyższém zadaniem. Klopszok i jednego wieszka nie pozwolił sobie napisać, któryby się minął z celem uczynienia ludzi lepszymi i szczęśliwsiemi. To téż całkiem przeciwne farby widać na paletach tych dwóch wielkich malarzy serca ludzkiego. U Miliona, miłość jest bóstwem uwieńczoném różami, którego rozkoszny uśmiech przeobraza życie ziemskie w chwilę uroczystego wesela i błogiego szczęścia: i taką miłością kochają się Adam i Ewa, a ich rozmowy, słusznie podziwiane, podnoszą wyobraźnię i sprawiają bicie serca. U Klopszoka, miłość jest wypływem Bóstwa, co przypominając nam nieustannie zacność naszego pochodzenia, wznosi nas i uświęca: i taką miłością kochają się Cydli, córka Jaira, i Semida, sierota z Naim, oboje wskreszeni przez Chrystusa. W téj młodej dziewicy, którą nam przedstawia obdarzoną niebiańską pięknoscią, dobrocią i niewinnością anielską, maluje swoje drogą Mettę, gdy jeszcze nie śmiała mieć nadziei, że kiedyś może zostać jego żoną: i każe się nam domyślać, czego wówczas sam doświadczał, gdy kręśli namiętność niemniej czystą, lecz silniejszą, Semidy. Ten ustęp, który zdaje się być wziętym z życia aniołów, jeszcze większego przyczynia rozrzewnienia, skoro znane jego źródło; skutek jego słodki, dobroczynny, gdy tymczasem ustęp innej Cydli i Giedora, w pieśni piętnastej, obudza bolesne uczucie, ponieważ poeta opowiada w nim śmierć Metty, którą prawie we wszystkich swych poematach opiewał pod imieniem Cydli. Czujemy, że tworząc ten ustęp, skrapiał łzami papier: płaczemy razem z nim, lecz nie śmiemy go żałować: boleść bowiem, kiedy tak szlachetnie jest religijną, odpycha litość, aby nas całkiem zostawić podziwowi i poszanowaniu. Przyjaźń nie mogła zna-

leżć miejsca w *Raju utraconym*; w *Messyadzie*, jak we wszystkich utworach Klopsztoka, to uczucie jest hołdem świętym a niepamięć na jego obowiązki, największym występkiem.”

„Czynić dalsze porównanie, byłoby to rozbiierać *Messyadę*, a ten poemat każe się czytać; rozbiór dalby o nim niedokładne, a często nawet mylne wyobrażenie.”

W naszym piśmiennictwie, niejedyn rys znamieny *Messyady*, ukazał autor rozprawy: O literaturze romantycznej, umieszczonej w N^{rac}h od 38 do 42 *Dziennika Warszawskiego*, wydawanego przez Jana Kazimierza Ordyńca. Ciekawych odsyłam do téjże rozprawy. Przytoczę tu tylko jedną z niéj uwagę, która zasługę Klopsztoka położoną dla całego świata przez napisanie *Messyady*, w jasnym wystawia świetle.

„*Messyada* mniej może rozmaita anizeli poema *Miltona*, niemniej jednak zdaje się być pod względem jedności natchnienia, wysokości pomysłów ciągle utrzymanej, najpiękniejszym podobno hołdem, jaki poezya nowożytna oddała kiedy chrystyanizmowi (*).”

Teto wszystkie wyżej wyliczone powody skłoniły mnie, żem się zajął lat temu dziesięć przekładem rzezonego poematu, i żem się dla uczynienia przysługi naszemu językowi i piśmiennictwu, nie dał odstręczyć od pracy trudnościami, jakie bez końca w nim napotykaemy. Aby się nie zdawał przesadzać w namienieniu téj ostatniej okoliczności, i chcieć powiększać wartość méj za-

(*) Obacz w wyżej namienionej rozprawie osobno poświęcony artykuł Klopsztokowi, na stronnicy 11 tomu XIV *Dziennika Warszawskiego*.

slugi, posłuchajmy co o trudnościach owych mówi (*), w podanej przez siebie Wiadomości o Klopsztoku, baronowa *Karlowitz*, najnowsza tłumaczka francuzka *Messyady*.

„Aby się zapoznać z duchem i stylem Pisma Świętego starego i nowego przymierza, słuchał Klopszok kursów teologicznych, i nie troszcząc się bynajmniej o to, czy go rozumieją tacy czytelnicy, którzy podobnych nauk nie odbyli, zda się, iż chciał nastęrczyć teologom przyjemność w wykładaniu osobom świeckim owych miejsc, które przejął z pism świętych, a które objaśnić przepisami nie sądził za rzecz niezbędnie potrzebną.

„Dlatego też nietrudno słyszeć w Niemczech szczerze wyznanie osób, nawet rzeczywistą wartością zaleconych, że nie miały odwagi i wytrwałości postępować za myślą zawsze szlachetną i wzniosłą tego poety, wśród zastosowań do miejsc biblijnych, gdy ją świetna budowa okresów, liczne przewroty szykowe, i mnogie wyrażenia i wyrazy nowe, czynią częstokroć całkiem niezrozumiałą. Bardzo mało zresztą jest wierszy w *Messyadzie*, któreby czytelnik nawet znamienicie wdrożony do tego rodzaju poezyi, mógł za pierwszym ich czytaniem zrozumieć. Jest ich znaczna liczba, z których każdy wiele mnie godzin rozmyślenia kosztował, nimem zdołała uchwycić myśl prawdziwą.

O tych trudnościach, mówi także autor wyżej rzeczowej rozprawy O literaturze romantycznej jak następuje:

(*) Obacz stronnice III dzieła: *La Messyade, poème en vingt chants, par Klopstock. Traduction nouvelle par Madame la Baronne A. de Carlowitz; précédée d'une Notice sur l'auteur. Paris, Charpentier, éditeur, 29, rue de Seine-Saint-Germain. 1842.*

„Zarzucają Klopsztokowi, że niedosyć ściśle połączył jego (poematu Messyady) części, że w swoich pomysłach zbyt surowych, za nadto zaniedbywał przyjemności imaginacyi; nakoniec, że niezawsze unikał w wysokich krainach, do których się podnosi, styczności z subtelnościami teologicznymi. Lecz te błędy, które są tylko przesadą piękności jego dzieła, nie przeszkadzają wcale, abyśmy nie cenili głębokich znajomości ducha chrześcijaństwa, uczucia religijnego studyowanego pod wszelkimi jego formami, i języka poetycznego najswobodniejszego, że tak rzekę, co do warunków materialnych bytu. Klopsztek w ciągu swojego długiego poematu, nie popadł w żadną z tych wad, które zarzucaliśmy Miltonowi.”

I w inném miejscu tenże autor tak mówi: „Można wprawdzie zarzucić poezyi jego zwyczajną ciemność; myśl autora niknie w śmiałości przekładni, i zdaje się niekiedy, że nie mógł inaczej znaleźć mocy wyrażenia, jedno poświęcając mu jasność myśli; lecz ta wada zaledwie jest wadą w oczach ludu nawykłego do rozwagi, który lubi napotykać abstrakcye metafizyczne pod szatą poetyczną.”

Jeżeli niełatwo rozumieć Messyadę Klopsztoka, jakże nierównie trudniej oddać ją w obcej mowie! Niezbity niemyślności tego twierdzenia dowód, skoro usiłowania tylu tłumaczyw francuzkich pomysłny nie uwieńczył skutek. Istotnie, te przekłady, które wyszły jeszcze za życia Klopsztoka, tak są dalekie od pierwowortu, że je on sam poczytywał za największą klęskę w swém życiu.

Jakoż pp. *Anthelmi* i *Junker*, którzy roku 1772 wydali przekład pierwszych dziesięciu pieśni Messyady, ni by uwzięli się, aby pod ich piórem owa wzniosła, wspa-

niała i śmiała w niej poezya zniknęła. Zamiast owego zadziwiającego, porywającego poematu, ukazali jego przestroj w jakieś płaskie i dziwaczne narzekania.

Nie był szczęśliwszym i *Petit-Pierre*, który w trzy lata później ogłosił drukiem w *Neuschâtel* nowe tłumaczenie tychże samych pieśni.

Oba te przekłady takiego kłopotu, że nie powiem zgrozy, nabawiły Klopsztoka, że z obawy, iż go może nigdy nie zrozumieją Francuzi, sam dla nich przełożył swój poemat prozą łacińską, poświęciwszy lat niemało tak mozolnej pracy.

Co do pani *Kurzrock*, która pierwsza w Akwizgranie roku 1801 wydała na widok publiczny wszystkie dwadzieścia pieśni Messyady, pracę téj tłumaczki, posiadającą może wszystkie potrzebne zdolności do zrozumienia i ocenienia Klopsztoka, lecz nieznającą ani ducha, ani mechanizmu języka francuzkiego, sam Klopszok osądził. Gdy opuściła prasę, przeczytał ją siedmdziesięcio siedmioletni naówczas starzec, i oburzony, że się widział, on, poeta, najboleśniej być dotkniętym w swych najmilszych upodobaniach, zawiedzionym w najstodszych nadziejach, rzekł w poufałym gronie przyjaciół, zbywając igraszką słów zdanie o pracy pani *Kurzrock*: „Prawdziwa to *kurzrock* (krótkostrojna) ta pani *Kurzrock*! Niedarmo ma to nazwisko: miara jój talentu jako tłumaczki, zupełnie przypada do długości jój spodniczek.” Ztąd i baronowej *Karłowitz* słuszny sąd o pani *Kurzrock*, że jój przekład jest jedynie zbiorem grubych błędów przeciw pierwszemu prawidłom grammatyki, zbiorem niezrozumiałych wyrażen, śmiesznych obrazów i wyrazów dziwacznie nagromadzonych.

Roku 1825, wydał pan Horer w Paryżu swoje tłumaczenie Messyady. Dość jest przeczytać kilka jego stronnic, aby powziąć przekonanie, że niema nic z nią wspólnego.

Wszyscy ci tłumacze francuzcy zapomnieli istotnie o obowiązkach, jakie czekają każdego, kto w szlachetnej walce z swym pierwotwórcą na krok mu nie chce ustąpić, kto w trudnej przekładania sztuce chce głośno pozyskać imię, bogacąc język własny darami uszczkionemi na niwie obcej mowy. Dobrze te obowiązki skreślił pan *Pongerville* w przedmowie do swego przekładu Raju utraconego Milona. „Nie dosyć to, powiada on, że tłumacz gruntownie obeznanym jest z obu językami. Musi on jeszcze pilnie śledzić i zgłębiać język poetyczny, przedewszystkiém jemu dogadzać i wiernie służyć. Biada tłumaczowi, jeżeli na swą sztukę wkłada więzy mechanicznego postępowania! Jego przekład będzie natomiast tylko przerysem pozbawionym życia.... Ścisła sumiennosc tłumacza wiedzie go po wązkiej ścieżce, na której najmniejszy usterk strąca go ze szczytności w śmieszność. Podając się każdemu tonowi obcej mowy, nie powinien nigdy spuszczać z oka tych warunków, jakie na niego wkłada jego własna mowa.”

Najnowszą, jak już powiedziałem, tłumaczką Messyady, jest baronowa *Karłowicz*. Poczytuje ona prace swych spółzawodniczych poprzedników za niebyłe, za żadne, i wyznaje, że to właśnie jej przekonanie, iż ów poemat można dotąd uważać jako wcale nietłumaczony po francuzku, skłoniło ją do pracy ciernistój, olbrzymiej. To pewna, że o baronowej *Karłowicz* nie można tego powiedzieć, co Klopszok wyrzekł o pani *Kurzrock*: wątpię atoli, czy opuszczać (niekiedy po kilkanaście wierszy), do-

dawać, skracać i zmieniać, jestto wiernie tłumaczyć, czy to wszystko wchodzi w liczbę warunków sumiennego tłumacza. Wszakże baronowa *Karłowicz* za samo przysłużenie się piśmiennictwu francuzkiemu swą pracą, otrzymała wielką nagrodę Montyona.

Cóż powiem o swojej pracy? Zostawiam jęj ocenienie światłu naszych uczonych i znawców obu języków. Wspomnę tylko, że jeżeli baronowa *Karłowicz*, najlepsza tłumaczka Messyady u Francuzów, miała tyle do pokonania trudności, choć ów poemat przełożyła prozą; jakież mnie się dostały w udziale, com go przełożył takimże wierszem, jaki zaleca pierwotwór, to jest miarowym? Nie wiem także, dlaczego bym i to miał zamilczyć, że gdy przekład pani *Karłowicz* doszedł rąk moich, i gdym go porównał z moim i pierwotworem, nie zmieniłem i słowa w własnym tłumaczeniu. Korzystałem tylko z jęj przypisów i dodałem treść każdej pieśni, którą naśladując wydawców starożytnych epików, w swoim przekładzie umieściła. Podobny zwyczaj zdaje mi się być chwalebny, bo ze wszech miar naukowo użyteczny. Tym sposobem czytelnik może za jednym niemal rzutem oka ogarnąć związek, jaki zachodzi w układzie całego dzieła.

Redakcja *Pielgrzyma* w r. 1845 we wrześniu, umieściła w swym czasopiśmie wyjątek z czwartęj pieśni Messyady przekładu Jana hrabiego Tarnowskiego wierszem rymowym. Czytałem także początek czwartęj pieśni Messyady, przełożony wierszem rymowym przez Michała Kołpaczkiewicza, a umieszczony lat temu przeszło trzydzieści w *Nr*^{ach} 19 i 20, tomie IV *Dziennika Wileńskiego* z roku 1816. Zostawiam wyrzeczenie zdania o tęg pracy światłu naszych uczonych. Powiem tylko, że po-

mijając wewnętrzne moje przeświadczenie, iż miarowe wiersze, miarowo przekładać należy, jeżeli i z wewnętrznego wierszopistwa, jakie pierwotwór zalecn, chcemy się polskiemu czytelnikowi wyliczyć, wątpię, czy szczególnież téż Messyady przekład udać się może w formie rymowej. Będą to, mówiąc w duchu pani Stael, tony brzękliwego klawikordu, zamiast poważnych, uroczystych organów.

Kończę wstęp ten uwagą, jaką pani *Karlowitz* zakończyła swoje *Wiadomość o Klopsztoku*, a co chciałbym mieć zastosowaném do polszczyzny i Polaków. „Jeżeli mi się udało przelać choć część piękności Messyady w język francuzki, winna mieć we Francyi to samo powodzenie, jakie miała w Niemczech, i wtedy moralność publiczna użyszcze niemało. *Męczennicy Szatobryanda* (*Chateaubriand*), *Rozmyślenia Lamartyna*, niejednego zapaleńca obłąkaną głowę naprowadziły na drogę rozsądku. Dzieło *Klopsztoka* tenże sam sprawi skutek; i nigdy zaiste bardziej jak dzisiaj, nie dała się czuć potrzeba dzieła, któreby posłużyć mogło za przeciwtruczną na obłądy piśmiennictwa tegoczesnego. Wszystkie umysły mniej więcej zostały oburzone lub spaczone, wszystkie serca mniej więcej zranione lub zepsute temi niebezpiecznemi płodami, które pod pokrywką wzniesienia się nad przesady i nadużycia, uważają występki jako nieuchronne następstwo naszych instytucyj socyalnych, a zbrodnią jako najpotężniejsze i niemal najszlachetniejsze użycie siły moralnej.”

Mam nadzieję, że jeżeli pani *Karlowitz* przekład tak dobrze był przyjętym, że ją publiczną zań nagrodą uczczono, chociaż wykonała swą pracę prozą; to ziomkowie moi usiłowań moich nie zechcą przyjąć obojętnie, a to tém bardziej, że mój przekład dokonany został wierszem miarowym.

Pisałem w Warszawie, dnia 6 października 1846 r.

niepamiętajcie waszych imion, ponieważ nie macie
 wspaniałego imienia, jak imię Pańskie, które jest
 święte i wielkie. Dlatego nie macie prawa
 mówić, że jesteśmy bogami, jak mówią
 ludzie, którzy nie wiedzą, kim są. Dlatego
 nie macie prawa mówić, że jesteśmy bogami,
 jak mówią ludzie, którzy nie wiedzą, kim są.

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

TREŚĆ PIEŚNI PIÉRWSZEJ.

Zbawiciel oddala się od ludu chcącego ogłosić Go kró-
 lem i wstępuje na górę Oliwną, aby ponowić Ojcu swo-
 je przyrzeczenie, że dokona dzieła odkupienia. Jego mę-
 ki zaczynają się. Gabryel, Jego sługa na ziemi, wraca do
 niebios z Jego modłami. Przebywszy słońce i drogę na-
 powietrzną, co niegdyś łączyła ziemię z niebem, przyby-
 wa ów anioł do przybytku. Wprowadza go Eloa, naj-
 większy z Serafów, a Gabryel kładzie kadzidło na ołta-
 rzu odkupienia. Przedwieczny zapala ofiarę, i daje roz-
 kazy Eloi, który je udziela wszystkim nieśmiertelnym,
 aby obchodzili drugi sabat stworzenia świata. Gabryel
 odbywa posłannictwo do aniołów stróżów ziemi, zamie-
 szkujących słońce we wnętrzu kuli ziemskiej. Zastaje
 tam dusze zmarłych dzieci, które w tej tajemnej siedzi-
 bie uczą się, jak zasługiwać na szczęśliwość niebieską.
 Udaje się potem Gabryel do słońca, gdzie dusze patry-
 archów zgromadziły się wokoło Uryela na szczycie świą-
 tyni słonecznej.

Śpiewaj, bezśmiertna duszo, grzesznych ludzi zbawienie,
Co go w Śwém człowieczeństwie na ziemi dokonał Zba-
wiciel,

Co niém ród Adamowy Bożej wrócił miłości,
Gdy zań cierpiał, śmierć poniósł, i w chwale odszedł do
Ojca.

Tak Przedwiecznego spełniła się wola. Napróżno wzniósł
głowę 5.

Przeciw Bożemu Synowi szatan; daremnie Judea
Przeciw Niemu powstała: zgotował On wielkie zjednanie.

Ale, o dzieło! co Sam cię zna tylko Wszechmiłosierny!
Zdołaż z ciemnej oddali do ciebie się zbliżyć myśl wieszczą?
Poświęć ją, Duchu Twórczy, którego tu kornie przyzy-
wam, 10.

Spraw, by Cię naśladowała, boskich pełna uniesień,
Pełna bezśmiertnej mocy, niebiańską rozkwitła pięknnością.
Ogniem ją Swoim zapal, Ty co Boże przepaści
Widzisz, co kościół Śwój święcisz w zdziałanym z prochu
człowieku!

Czyste bądź serce! a zdołam chociaż chwiejącym się gło-
sem 15.

Śmiertelnika, Bożego Pojednawcę opiewać,
I z odpuszczonym usterkiem przebiezdz zawód straszliwy.

Ludzie, jeśliście zdolni tę szczytność ogarnąć umysłem,
Że Stworzyciel świata był pojednawcą; słuchajcie
Pieśni mój: wy przedewszystkiém, o szczypty szlachetnych
poczecie, 20.

Wy miłośnicy serdeczni Pośrednika drogiego;
Z przyszłym sądem świata, duszo otuchą zażyła,
Słuchaj mnie, wtóruj Wiecznemu boskiém życiem Synowi.
Blisko świętego miasta, co teraz ślepotą skalane, 25.

Co koronę wybranych w niewiadomości rzuciło,
Co było niegdyś miastem Pańskiej chwały, kolébką
Świętych ojców, dziś ołtarz krwią od morderców zbroczony;
Tute, Odkupiciel od tego się ludu oderwał,
Co Go uczcił wprawdzie, ale nie z takim uczuciem, 30.

Jakie od zmayı wolne przed okiem Boga wszechględném.
Ukrył się Jezus skalanym. Leżały tu różczki palmowe,
Co je lud stał orszakowy; brzmiało i głośnie Hozanna;
Lecz nadaremnie. Nie zuali Tego co królem Go zwali;
Zbyt na wzroku upadli, nie dojrzeli w Nim Bóstwa.
Bóg Sam zstąpił z niebios. To przeważne wołanie: 35.
„Otom Go ubłogosławił, i jeszcze ubłogosławię!”

Było przepowiednią obecnego im Boga.
 Ale grzechem zmasani, nie mogli pojąć w Nim Bóstwa.
 Zbliżał się Jezus tymczasem do Ojca, co z ludu przewiny,
 Dlań bowiem głos ten stał się, wstąpił gniewny do nieba. 40.
 Bo raz jeszcze Syn uroczyste chciał Ojcu obwieścić
 Postanowienie przymierza, by swych ludzi ocalić.

Leży góra ku wschodniej Jerozolimy stronie,
 Która na swoim szczycie już nieraz Bożego Jednawcę,
 Jakby w świętym przybytku kryła, gdy noc samotne 45.
 Z okiem w Ojca wlepioném na modlitwach przepędzał.
 Na tę górę szedł Jezus. Pełen Jan pobożności,
 Postępował za Nim aż do grobów proroków,
 By jak przyjaciel Jego Boski, na modłach noc przetrwał.
 Ztamtąd wznosił się Pośrednik na sam góry wierzchołek. 50.
 Tam z wysokości Moryi opasał Go wkoło blask ofiar,
 Co Przedwiecznego Ojca aż dotąd jednały w obrazie.
 W chłody Go wzięły palmy. Wiewy co łagodniejsze,
 Tchom obecności Boga podobne, obiegły twarz Jego.
 Seraf zaś, co Jezusowi ku służbie zesłany był ziemskiej, 55.
 Gabryel zowie się w niebie, stał w uroczystej postawie
 Obok otchnionych dwóch cedrów, i myślał o ludzkim zba-
 wieniu,

I o tryumfie wieczności, gdy mimo niego Zbawiciel,
 Naprzeciwko Ojcu idąc, przeszedł w cichości.
 Wiedział Gabryel, że już czas odkupienia się zbliżył. 60.
 Tą zachwycony rozwąga, rzekł głosem pełnym korności:
 „Chceszli, o Synu Boży, tu na modłach noc przeżyć?
 „Lub czy Two ciało znużone żąda krzepiącej orzeźwy?
 „Mamli Twój głowie bezśmiertnej nagotować przychyłek?
 „Oto cedrowa latorośl już ramię wyciąga zielone, 65.
 „Toż balsamu krzew miękki. Przy grobowisku proroków
 „Mech spokojny, tam niżej rośnie na ziemi chłodzistej.
 „Mamże Ci, Synu Boży, z niego łoże przyrzadzić?
 „Ach jakżeś, Zbawco, znużony! Jakież trudy ponosisz
 „Tu na ziemi, z gorącej do rodu Adama miłości!” 70.

Rzekł. Błogosławnym go wzrokiem Pojednawca obdarza.
 Stawa z prawdą w obliczu, kędy szczyt niebu poblizszy.
 Tam był Bóg. Tam się modlił. Brzmi pod Nim ziemia od-
 dzwiękiem,
 A rozgłośna pochutń przez bezdna przedziera się bramy,
 Skoro od Niego w głębie, głosu potęgę zachwyca. 75.
 Boto już nie był głos przekleństw, głos w grozie burzy zwie-
 szczony,
 W piorunującej gromami głos wyrzeczon nawałnicy.

Głos, który ziemia słyszała, było głos Błogodawcy,
Co w nieśmiertelnej piękności przedsięwziął ją kiedyś od-
święcić.

Wokół leżały pagórki zmrokową tchnące łagodą, 80.

Jakby na obraz rajski, urokiem wdzięków rozkwitłe.

Jezus mówił. On i Ojciec w głąb' poglądali

Snowy bezkresnej: to tylko wyrzec człowieka głos zdoła:

„Boże Ojczy, dni zbawcze, dni wiecznego przymierza,
„Już się do mnie zbliżają, dni do dzieł większych wybra-
ne 85.

„Nad stworzenie samo, coś go z Swym Synem dokonał.

„Świecą mi one wspaniale i tak pięknie, jak niegdys,

„Kiedyśmy w czasów kolój wglądali, widzieli świetniejsze

„Dni przyszłości, móm Bożém naznaczone spojrzeniem.

„Tobie tylko wiadomo, jak jednozgodnieśmy wtedy, 90.

„Ty, mój Ojczy, i Ja, i Duch zakręsilili zbawienie.

„W odwieczności ciszy, samotni, i okrom stworzenia,

„Byliśmy razem. Pełni naszój Bożój miłości,

„Poglądaliśmy na ludzi, których jeszcze nie było.

„Błogie rajy dzieci, ach twór nasz, jak nędzni się stali, 95.

„Niegdyś bezśmiertni, a teraz proch, i grzechem zmazani!

„Ojczy, jam widział ich nędzę, a Ty łzy moje. Tu rzekłes:

„Stwórzmy na nowo naszego obraz Bóstwa w człowieku!

„Więc tajemnica nasza stanęła, krew przejednania,

„I stworzenie człowieka na obraz Przedwiecznego wzno-
wione. 100.

„Tu własnowolniam się obrał na czynu Bożego spełnienie.

„Ojczy Przedwieczny, Ty wiész, to widzą niobiosa, jak
z serca

„Megom poniżenia pożądał od chwili zamiaru!

„Ziemi, jak często byłaś, w swój otchłannój oddali,

„Mym ulubionym, wybranym przedmiotem! O Chanaan, 105.

„Święta ziemi! jak często me oko było wlepione

„W ten pagórek, com go przymierza krwi pełnym już wi-
dział!

„O jakże serce mi bije, z przepętnionych w nióm pociech,

„Zem już tak dawno człowiekiem, że sprawiedliwych już
tylu

„Wkoło mnie się gromadzi, że wkrótce wszelki ród ludzki
110.

„Mnie się poświęci! Oto tu leżę, Boży mój Ojczy,

„Jeszcze na obraz Twój w rysy człowieczeństwa przybrany,

„W modłach do Ciebie: lecz wkrótce, ach wkrótce sąd Twój
morderczy

- „W krwawej mnie stawi szpetności, i w prochu umarłych
pogrzebie.
„Już, o Sędzio świata, już słyszę, jak zdala sam jeden 115.
„Idziesz, i niezblągany swoje niebiosa przebiegasz.
„Już mnie przeszywa dreszcz całemu duchów rodowi
„Niepojęty, tak, choćbyś w Bożym je gniewie miał stracić;
„Niepojęty! Oto widzę nocny ogrójec
„Przed mém okiem leżący, na maruy proch padam przed
Tobą, 120.
„Leżę, modlę się, Ojcze, sprężam się w pocie śmiertelnym.
„Patrz, tu jestem, mój Ojcze. Oto gniew Wszecmocnego,
„Oto Twe sądy chcę nosić z postuszeństwem bez granic.
„Tyś Przedwieczny! Żaden stworzony duch nie jest zdolny
„Pojąć i ucuć gniewu Bożego, co Nieskończonemu 125.
„Śmiercią karze wieczną. Bóg tylko mógł Boga przejednać.
„Powstań o Sędzio świata! Skarz mnie! Oto tu jestem.
„Przyjmij mą wieczną ofiarę w hołdzie Swego zjednania.
„Jeszcze wolny, jeszcze mogę Cię prosić, a niebo
„Z Serafinami się dla mnie otwiera i wiedzie w pokrzykach,
130.
„W tryumfalnej świetności na wzniosły Twój przestół (*),
mój Ojcze!
„Lecz ja chcę cierpieć, co żaden nie ogarnie Serafin,
„Ni wzniosłomyślny Cherub w głębokiej przejrzy rozwadze,
„Cierpieć chcę, najstraszliwszą śmierć chcę ponieść Przed-
wieczny!”
Dalej mówiąc rzekł: „Mą głowę wnoszę ku niebu, 135.
„Rękę w obłoki, i przez Siebie Samego przysięgam,
„Com jest Bóg jak Ty, że rodzaj ludzki wybawię.”
Rzekł i powstał. Gdy stał przed Bogiem, jaśniała w obliczu
Szczytność, pogoda duszy, powaga i miłosierdzie.
Niesłyszalny aniołom, li sobie z Synem pojęty, 140.
Rzekł Przedwieczny Ojciec, pogłędne zwracając oblicze
Ku Pojednawcy: „Moję głowę w niebiosach rozciągam,
„W nieskończoności prawicę, i powiadam Ci Synu,
„A na Moję Przedwieczność przysięgam, że grzechy odpu-
szczę.”
Rzekł i umilkł. A gdy z sobą mówili Przedwieczni, 145.
Całą wskrosz przeszło przyrodę z głębokiej korności wstrzą-
śnienie.
- Dusze podówczas wszczęte, myśleniem jeszcze niezbrojne,
Drżały i czuły poczęły. Straszliwy dreszcz zdjął Sorafa,

(*) Tron.

Biło mu serce, a w jakiej ziemia ciszy przed burzą,
Takie wokoło niego wszechświata było milczenie. 150.

Błogość zachwycenia i życia wiecznego uczucie
Słodko pojące, wstąpiły w przyszłych chrześcian dusze.
Ale znartwiały i tylko jeszcze rozpaczy przystępne,
Przeciw Bogu buntowi zmarłe duchy piekielne,
W przepaść runęły z przestołów. Gdy każdy przepadł się,
w bezdno, 155.

Przytłoczyła każdego opoka, werwała się głębia
Z gwałtownością pod każdym, i grzmotem ryknęły podpie-
kła.

Stał jeszcze Jezus przed Bogiem; i odtąd początek mąk
Jego

W sprawie zbawienia, przeczucie które w straszliwej poblizy
Graniczyło z pewnością, że z wysokości swych niebios 160.

Sąd miał ponieść, nędzników wyrokiem dźwigać przewinę,
I w strumieniach krwawych umrzeć śmiercią krzyżową
Na Golgocie. W oddali Gabriel leżał na twarzy
W kornych modłach, nowemi wysoko wzniesiony myślami.
W czasie, który przeżył, jak tylko dusza wystawie 165.

Może sobie wieczność, gdy się myślnie rozłącza
W szybkim locie z ciałem, w tyłowiekowym przeciagu
Jeszcze tak wzniosłych myśli nigdy w sobie nie uczuł.
Bóg, pojednawcy, przedwieczna miłość Bożego Rozjemcy,
Wszystko się przed nim rozjaśnia. Bóg utworzył te my-
śli 170.

W nieśmiertelnika duszy. Widzi on teraz w Przedwiecznym
Skarb nieprzebran miłosierdzia istotom stworzonym
otwarty.

Powstał, stanął zdumiały, i modlił się: drżało mu serce
Z niewymownego wesela, a émiacój światłości strumienie
Wylewały się z niego. Pod nim w blasku niebieskim 175.
Rozpłynęła się ziemia. Ujrzał to Boży Pośrednik,
Że jasnością napełnił całej góry wierchołek.

Rzekł: „Gabryelu, osłoń się, wszakżeś mym sługą na zie-
mi!

„Pośpiesz zanieść tę modłę przed Ojca mego oblicze,
„By najzaciejsi z ludzi, błogostawieni ojcowie, 180.
„By zgromadzone niebiosa spełnienie się czasów poznały,
„Co z serdecznym, gorącym za niem tęskniły pragnieniem.
„Tam świeć blaskiem anioła, jako poseł Jezusa.”

Z boskopogodną postawą, w milczeniu wzniosł się Serafin.
Patrzył za nim Jezus z góry Oliwnój. Już widział 185.
Co u przestołu Bożej wielkostożności (*) uczyni,

(*) Majestat.

Zanim tenże słońce niebios mocen był dosiędz w pośpiechu.

Terazto zaszły nowe, pełne tajemnic rozmowy,
Między Nim a Przedwiecznym, rozkrywającój los treści,
Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzy-
gnięń, 190.

Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach co miały,
W oczach wszystkich stworzonych Boży okup uwielbić.

A tymczasem Serafin jako poranek pośpieszał
W mroczne niebios kończyny. Tu krąg wypełniają li słońca:
I by osłona usnuta z promieni pierwotnej światłości, 195.
Blask ich przeciąga wkółniebie. Zaden zwierzchny krąg
ziemi

Wypalnemu niebios nie nastęcza się oku.

W dali, przelotnie potacza chmurna przyroda. Tam śpieszą
Ziemie niedojrzane, jak pod stopą wędrowca
Blachy kurz, czerworojny, co wzbija się i znów upada. 200.
Wkoło nieba tysiączne stoją drogi otworem,
Drogi bezmierne, nieścigłe, opasane słońcami.

Świetnobłystą drogą, przeciw ziemi idącą,
Płynął niegdyś do raju, zaraz po jój stworzeniu,
Strumień pogody niebiańskiej u stóp przestolu wytrysty. 205.
Nim lub jego pobrzeżem wyniesioném barwami,
Spółzawodnemi tęczy lub rozświtowi jutrzenki,
Przychodzili wówczas ku zażyłości poufnój
Bóg i anieli do ludzi, Lecz szybko on wrócił do źródła,
Gdy już w widzialnej piękności nie chcieli bezśmiertni
ogłądać 210.

Strony, która im śmierci spustoszenie stawiała.
Odwrócili się wtedy ze zgrozą. Cichych gór pasmo,
Kędy był ślad Przedwiecznego; szeleszczące gaiki,
Co obecności Bożej tchnienie lało w nie życie; 215.
Błogie, spokojne doliny, z rozkoszą niegdyś zwiedzane
Od niebiańskiej młodzi, cieniste chłodniki, gdzie ludzie
Pierw rozplywając się z pociech i słodkich uczuć, płakali,
Że ich wiecznemi Bóg stworzył; —ziemia nosiła nateraz
Brzemie przekleństwa, została dla dzieci jój, wprzód nie-
śmiertelnych, 220.

Wielkim grobem. Lecz kiedyś, gdy odmłodzone jutrzenki
Wyjdą w blasku tryumfu z dnia sądneho popiołu;
Wówczas kiedy Przedwieczny wszechobecnym poglądem
Wszystkie światów okręgi z Swemi niebiosy połączy:
Wtedy i strumień żareczny (*) ze swojój niebieskiej stu-
dnicy 225.

W okazalszój świetności do raju nowego się spuści.

(*) Eteryzny.

Ujrzy znów jego pobrzeże zstępujących na ziemię
Niebios mieszkańców, spółników nowego zboru bezśmier-
tnych.

Tąto świętą drogą postępował Serafin,
I do nieba się zbliżał Bożej wielkostojności. 230.

Pośród słońce zgromadzenia, promienieją niebiosa,
Krańce, nieogarnione, wszechświata pierwowzór, pełnia
Wszelkich widzialnych piękności, co jak pierzchliwe potoki,
Rozlewają się wokół po nieskończonej przestrzeni.

Gdy postępują, brzmi na skrzydłach wiatrów z ich głę-
bi 235.

W ciąg słonecznych krańców pełnozgodą dźwiękowa.
Pieśni Bożych lutnistów w czarownym życia rozkwicie
Rozlegają się z mocą. W takiej zjednoczeń rozkoszy
Dźwięki i chwala przed Tym się unoszą, co ucho udział.
Jako radosny wzrok Jego, dzieł swoich weseli się kształty,
240.

Tak dowolą słuch Jego, czarowne niebios śpiewania.

Ty co mię pieśni niebieskich uczysz, co żyjesz z anioły,
Patrzysz na Boga, co słyszysz głosy górne, bezśmiertne,
Wskaż mi, Syonko, pieśń, co ją teraz śpiewali anieli.

„Bądź pozdrowiona, święta Bożej pojawy dziedzin! 245.

„Tu my Boga widzimy, jakim jest, jakim był, jakim będzie.

„Oto Błogosławion bez zastony, a nie w pomroce

„Zdała śledzącym Go światom! Na Ciebie patrzym w zgro-
madzeniu

„Twoich Wybranych, a Ty błogosławnym szczycisz je wzro-
kiem.

„Tyś doskonały bezkreśnie! Masz imię w swoich niebio-
sach: 250.

„Niewystłowionego zowią u siebie Jehową!

„Śpiew nasz ożywczy siłą pierwotnego natchnienia,

„Na Twój się obraz zdobywa, lecz próżno; na blask Twój
zwrócone,

„Ledwie myśli zdolają wzniesić się do pojęć o Tobie.

„Sameś Ty w Swojej wielkości doskonały, Przedwieczny!
255.

„Każda myśl, co się Sam w niej, Piérwsza Przyczyno, prze-
glądasz.

„Jest wznioślejsza, jest świętsza, niż pogodna rozwaga,

„Którą stworzone rzeczy z Swój górnój siedziby rozbiérasz.

„Przecież i prócz Siebie widziéć jestestwa masz wolą,

„I zostawić na nich ożywiającé Swe tchnienie. 260.

„Naprzódeś stworzył niebiosa, potem nas, ich mieszkańców.

„Jeszcze was wtedy nie było, Ty młodszy ziemi okręgu,
„I wy słońce, księżycy, wy ziemi spółtowarzysze.

„Pierwszy płódzie stworzenia, czegoś doznał w swój zjawie,
„Gdy wśród nieścigłej wieczności, Bóg się do ciebie nachylił, 265.

„Obrął za miejsce Swojej wielkostojskości, widoku?

„Twój niezmierny okrąg wywołany do bytu,

„W kształt się udzielał Jego; głos twórczy unaszał się jeszcze

„Razem z pierwszym szumem zatopów w morz zwierniadlanych;

„Krańce ich, co się jak światy, w góry pospołu zebrały, 270.

„Usłyszały go; ale nie było jeszcze bezśmiertnych!

„Wtedy stanął, Twórcu, na wzniosłym Swym nowym przestole

„W siebie pogłębny, samotny. O radujcie się Panu!

„Wtenczas stworzył was, wtenczas, Serafy, twory duchowe,

„Płodnomyślnie, wielmożne, pełne myśli Utwórcy, 275.

„Które Sam z Siebie w was szczepi, byście je kornie zgłębiali.

„Chwałogłos, uroczysty Chwałogłos, pierwsza Przyczyno,

„Niechaj Ci od nas brzmi bezprzestannie! Do samotności

„Rzekłeś: nie bądź!—do istot: stańcie się!—Chwałogłos Panu!”

 Pośród pieśni, którą zawsze śpiewają niebiosa 280.

Po Trójświętnicy, święty Pośrednika posłannik

Stanął rozświetlony na słońcu nieba najbliższym.

Wszędy milczą teraz Serafy, święcą pojrzenie,

Co promieniało na nich z Boga za Chwałośpiew Pański.

Ponad słońcowém morzem émiącego je ujrzą Serafa. 285.

Bóg nań poglądał, z Bogiem niebo. On modlił się klęcząc.

Dwakroć w tym czasie, w którym Cherub imię Jehowa,

I Trójświętnicę wieczności w strzelistej modlitwie wymawia,

Darzy go Bóg wejrzeniem. Tu Pierworodny przestolem,

Wraz pośpieszy, przed Boga uroczyście go zawieś.

Bóg go nazywa wybrańcem, niebo Eloa. Nad innych, 290.

Których Bóg stworzył, jest większy, najbliższy Niestworzonego.

Jakże jest piękną myśl Bożego wybrańcy Eloj!

Piękną jak cała człowieka dusza, Bogu stworzona,

Kiedy nieśmiertelności godna zatapia się w myślach. 295.

Wkołogłębny wzrok jego piękniejszy nad ranek wiosenny,

Milszy od gwiazd, gdy się przemkną przed Stworzyciela obliczem

W krasie młodzieńczej i światła pełni, z urokiem dni swoich.

Bóg go stworzył najpierw. Udzielał mu ciało żareczne

Z zorzy porannéj. Gdy się stał, obłoczyste niebios 300.
 Oplynęły go wkoło. Z otwartemi ramiony
 Bóg go wychylił z obłoków, i rzekł błogostawiając: „Stwo-
 rzeńcze,

„Otom jest!” I ujrzał przed sobą Stwórcę Eloa,
 Patrzył nań z zachwyceniem, i stał i w natchnieniu wylewie
 Patrzył znowu, i zachwiał się gubiąc się w Boskiem spojrze-
 niu. 305.

Wreszcie przemówił, powiedział Przedwiecznemu swe
 myśli,

Wszystkie myśli i wszystkie nowe, wzniosłe uczucia,
 Co przenikały jego wielkie serce. Wprzód światy
 Wszystkie przeminą, wprzód z swego na nowo wynurzą się
 prochu,
 Wprzód jeszcze mnogie setnice w bezmierną zapadną się
 wieczność, 310.

Nim najwznioslejszy z chrześcian, uczuć domierzy wielkości.
 Na świeżowstałych promieniach, w całym piękności swéj
 blasku

Spuścił się teraz Eloa do posłanniczego anioła,
 Aby go zawieść przed ołtarz Jednawcy. Jeszcze był zdala,
 A Gabryela już poznał. Rozpływał się Seraf z zachwycen
 315.

Gdy bezśmiertnego zobaczył, z którym dawniej oglądał
 Każdy zakres stworzeń Bożych, i jego mieszkańców,
 Co nienasładowniejszych razem z nim czynów dokonał,
 Niż się na nie zdobył, przez swoich najlepszych, ród ludzki.
 Pełni miłości ku sobie uwielbili się teraz. 320.

Rąco, z otwarciem ramion, strzelistém, serdeczném poj-
 rzeniem,

Pospieszyli do siebie. Drżenie ich zdjęło z radości,
 Gdy uścisnęli się oba. Takie ogarnia dwóch braci,
 Co cnotliwi, śmierci za Ojczyznę pragnęli,
 Gdy bohaterskiej krwi pełni, po czynach się ujrzą wieczy-
 stych, 325.

I w objęciu się rzucają przed Ojcem większym od siebie.
 Widzi ich Bóg, błogostawi. Przyjaźni urokiem wspaniali,
 Postępowali oba przed przestół wszechświata Rozkazcy.
 Więc zbliżyli się tam gdzie najświętszy Boży przybytek.
 Obok wielkostożności Pańskiej, na górze niebieskiej, 330.
 Jest Przeświętni osłona. Za nią wkół tajni Wiecznego,
 Oblask stróżuje prześwietny. Święty pomrok li wnętrze
 Kryje oku aniołów. Tę mroczystą obłogę
 Widzów niebieskich wzrokowi Bóg roztwiera niekiedy,

Wszeczmoc zwiastującemi pioruny. Patrzą i wielbią. 335.

Oto na Przeświątncy wstępie stanął w omgnieniu

W góry kształt, bezobłocznie, przed Gabryela obliczem

Oltarz Jednawcy. Widzi go, idzie w uroczej piękności,

I z kapłana godnością, niesie dwie czary ze złota

Pełne świętego kadzidła, i przed nim stawa zdumiały. 340.

Przy nim stanął Eloa, i Boskich łął dźwięków strumieniem

Z arfy, by Seraf oliarny, do górnej zagrzał się modły.

On go słucha, więc arfa, pani sere wielowładna,

Wznosi duch jego płomienniej. Rozgrzały wre jak wszeczh-

morze,

Kiedy w burzy zwieszczony po niém głos Pański przechod-
dzi. 345.

W Boga patrząc Gabryel, śpiewał głosem przemożnym.

Teraz słyszy Ojciec Przedwieczny, słyszą niebiosy,

Twą, Pośredniku, modlitwę. Sam Bóg zapalił oliarę

W sposób cudowny; a święty dym z modlitwą pospołu

Wzniósł się i coraz się wznosił, i w kłębach wił się do Bo-
ga, 350.

Jako kiedy z gór ziemnych całe niebo pokraża.

Dotąd zwrócone ku ziemi miał Jehowa oblicze.

Bo aż dotąd jeszcze Syn z głębokości Swój duszy

Z Ojcem prowadził rozmowy, rozkrywającój los treści,

Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzy-
gnięń, 355.

Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach, co miały

W oczach wszystkich stworzonych Boży okup uwielbić.

Teraz wzrok Przedwiecznego na nowo niebiosy nappełnił,

Z uświęceniem, w cichości każdy ten Boży wzrok spotkał.

Wszyscy na głos czekają Pański. Głębokiem milczeniem 360.

Cedr niebieski był zdjęty, milczało wszechmorze u brzegu;

Stał wśród kruszcowych gór ożywczy wiatr niewzruszenie

Na wysokościach, i czekał z rozpostartemi skrzydłami

Na Bożego głosu zstąpienie. Do czekającego

Po Przeświątncy piorunne zlekka spuściły się burze, 365.

Lecz Bóg jeszcze nie mówił. Święte burze piorunne

Li zbliżającą się Bożą oznajmiały odpowiedź.

Gdy umilkły, otworzył radosném przestołów spojrzeniem

Bóg w swój zjawie Przeświętnią, by do myśli wysokich

Przedwiecznego, spragnione przygotować przestoły. 370.

Wtedy boskomyślny z powagą obrócił się Urym,

Cherub Urym, bliższy Wiecznego Ducha powiernik,

Do wielkiego Eloa, i rzekł: „Co widzisz, Eloo?”

Seraf Eloa powstał, postąpił na przód, i mówił:

- „Tam u złotych słupców, są myślógubne wierzchnice (*) 375.
 „Opatrzności pełne, więc księgi żywota, otwarte
 „Tchom przemożnych wiatrów, co przyszłych chrześcian
 „Nowym nagrodnym imionom, niebios otworzą bezśmier-
 mianom,
 tność.
 „O jak się księgi sądu, podobne powiewnym chorągwiom
 „Wojujących Serafów, otwierają straszliwie! 380.
 „Jakież zabójczy wzrok dla dusz przeciw Bogu powstałych!
 „O jak się Bóg rozkrywa! W jak świętej cichości, Urymie,
 „Błyszczą świeczniki w srebrzystych obłokach; tysiące ty-
 sięcy
 „Błyszczą tych nawzorów gromad z Bogiem zjednanych!
 „Zlicz tę świętą liczbę, Urymie.” „Światy, Eloa, 385,
 „Czyny aniołów w zwiędzone, pociechy ich, zliczyć możemy:
 „Lecz miłosierdzie Boże, skutki wielkiego zbawienia,
 „Nie są dla nas liczebne!” Tu rzekł Eloa: „Tam widzę,
 „Jego sądczą stolicę! Straszliwyś, Zbawco i Sędziol
 „Patrz na wzniosłą Jego stolicę. Zdała zabija! 390.
 „Patrz na pomsty żar! Oto w piorunujących obłokach
 „Wicher Go wznosi okropny. Przebacz o Zbawicielu,
 „Przebacz, sędzio świata, śmiercią zbrojny wieczystą!”
 Taką Eloa i Urym wiedli z sobą rozmowę.
 Siedm kroć razy piorun pomrok święty otworzył, 395.
 I w łagodnym pokręgu głos Przedwiecznego się spuścił:
 „Bóg jest miłość. Byłem nią przed mych jestestw bytnością.
 „Kiedym światy stwarzał, byłem nią także. Spełniając
 „Czyn najtajniejszy, czyn najwznioślejszy, i dzisiaj nią jestem.
 „Ale macie przez śmierć mego Syna, światów Sędziogo, 400.
 „Całkiem mię poznać, i nowe Straszliwemu dać modły.
 „Gdyby was w dzień ów, Sędziogo ramię nie wsparło, prze-
 minąc
 „Musielibyście przy śmierci tak sławnej: bo byt was skoń-
 czebny.”
 I Przebtagalny umilkł. Podziwienie głębokie
 Święte ręce złożyły przed nim. Tu na Eloę 405.
 Skinął, a Seraf zrozumiał mowę w obliczu Jehowy,
 Ku niebieskim się widzom zwrócił, i do nich przemówił:
 „Patrzcie na Przedwiecznego, wy sprawiedliwi wybrańcy,
 „Dzieci święte. Poznajcie serce Jego: najmilszą
 „Byliście Jego myślą, gdy okup Boży rozważał. 410.
 „Ogień was zajął święty, sam Bóg wam da to świadectwo,
 „Dni odkupienia, i jego Zbawiciela oglądać.
 „Błogosławienie wam, Pana dzieciom, z Ducha zrodzonym!

(*) Tablice.

- „Dzieci, radujcie się, w Ojca patrzycie, w jestestw Jestestwo!
 „Onto Początkiem, On Końcem, On Miłosierdziem jest wie-
 cznym! 415.
- „Ten co zprzed wieków jest, co Go żaden twór nie ogarnie,
 „Bóg, Jehowa, do was po ojcowsku się chyli.
 „Ten posłannik pokoju, od Jego Syna przybyły,
 „Do górnego ołtarza gwoli waszój przybieżał.
 „Gdyby was nie obrano świadkami wielkiego zbawienia; 420.
 „Byliby w ciszy dalekiej, w niewybadanej tajności,
 „Porozumieli się z sobą. I wy, o ziemscy rodzeńcy,
 „Macie dni spełniać radośnie, w wieczystych wesela pokrzy-
 kach,
- „A my z wami! Przeglądać cały ten rozciąg zakryty
 „Zbawy waszój będziemy, ujrzemy te tajemnice 425.
 „Z rozpogodniejszym wzrokiem, niż Zbawiciela waszego
 „Przyjaciele pobożni, rzewliwi, w ciemnościach obłądni!
 „Lecz prześladowey przepadli!... Tych dawno Przedwieczny
 wymazał
- „Z świętych ksiąg żywota! Ale swym wybawieńcom
 „Ześle Boże światło! Krwi przejednania nie będą 430.
 „Oni łzawém okiem oglądali. O ujrzą,
 „Jako źródł jego przed nimi w wieczny się żywot przetoczy.
 „Będą oni tutaj w pociechach na łonie pokoju,
 „W tryumfie obchodzić święta wiecznego spoczynku i świa-
 tła.
- „Wy zaś Serafy, i dusze, zbawieni Rozjemcy przodkowie,
 435.
- „Rozpocznijcie święta wieczności. Z nieskończonością
 „Odtąd ich trwanie. Ziemskie dzieci jeszcze śmiertelne,
 „Do was, w rozrodów rozrody, wszystkie gromadzić się
 będą,
- „Póki kiedyś skończone, nowemi ciałami odziano
 „Po dokonany sądzie do chwały niebieskiej nie dojdą. 440.
 „Teraz zaś idźcie od nas, wy święte przestołów anioły,
 „Bożych stworzeń władzcom oznajmcie, aby na obchód
 „Dni tych wybranych, dni pełnych tajemnic byli gotowi.
 „Wam też z rodu ludzkiego pobożnym, wam przodkom
 Rozjemcy,
- „Bo z téjże kości śmiertelnej, którąście w prochu złożyli
 445.
- „Na dojrzałość wstania z martwych, pochodzi Zbawiciel,
 „Bóg i człowiek!—wam także ta pociecha jest dana,
 „Co ją Bożem Swém sercem czuje li Bóg w zupełności.
 „Nieśmiertelne dusze, pośpieszajcie do słońca,

„Które okrag z bawienia oświeca. Tam patrzcie z oddali 450.
 „Na pojednawcze czyny waszego Zbawcy, i Syna.

„Na tę świetną drogę zstąpcie. Ze wszystkich obrębów

„W szacie ponownej piękności wygląda was bezmiar przy-
 rody.

„Bo po tych wieków obiegu, chce Sam obchodzić Jehowa

„Dzień Bożego pokoju, drugi wznioślejszy spoczynek. 455.

„Jest on szczytniejszy, niżeli dzień ów sławny, dzień przez
 was,

„O wzniesione jestestwa, seraficzne zastępy,

„Świętém głoszony pieniem, coście go w święto stworzenia

„Po dokonaniu światów święcili. Wiadomo wam, duchy,

„Jako świeża przyroda w godnej miłości nadobie 460.

„Wzniosła się wtedy, jak w waszém towarzystwie jutrzeźki

„Dały pokłon Stwórcy. Lecz teraz jego Zbawiciel,

„Syn nieśmiertelny, daleko większych czynów dokona.

„Spieszcie, oznajmcie stworzeniom. Dzień Jego spoczynku
 się wnosi,

„Z dobrowolną teraz, wzniosłego Zbawcy pokorą. 465.

„Bóg Jehowa go zowie Spoczynkiem wiecznego przymierza.”

Umilkł zdumiony Eloa, a niebiosa w milczeniu

Na Przzeświewtęnią pojrzały. Na posłannika Chrystusa

Skinął Bóg: on wstąpił kędy przestół najwyższy.

Tam względem cudów przy śmierci Syna, tajne rozkazy 470.

Do Uryela i ziemi orędowników otrzymał.

A tymczasem z swych stolic zeszedli niebiescy władnicy.

Szedł i Gabryel. Gdy do ołtarza ziemskiego się zbliżał,

Uderzyły słuch jego pojęki, eo z górnych szły sklepien,

I płaczącym głosem ludzkiego pragnęły zbawienia. 475.

Lecz nad inne głosy głos pierwszego człowieka

Pełnobraźmiennie się szerzył. Myślał o wiecznym upadku.

Tento jest ołtarz, kędy nowego, krwawego przymierza

Prorok ujrzał na Patmie wyobrażenie niebieskie.

Tamto gdzie górny sklep, męczenników wzniosły się gło-
 sy 480.

Narzekalnie, tam dusze tży ronily anielskie,

Aby światów Sędzia odwlekl dzień pomsty straszliwy!

Kiedy już zstąpił Seraf do ołtarza ziemskiego,

Przeciw niemu widzialnie uspieszyl z goracém pragnieniem

Adam: napowietrzne, z pogody ciało zdziałane, 485.

Błogosławnego ducha ostoną kryło wielebną.

Pięknęj był postaci, jako Boży ów obraz

W myśli Stwórcy, gdy stał wielomysłny na utwór Adama,

I w błogosławném łonie raju życiem tchnącego,

Święta się pod Nim ziemia werwała na przyszły byt człeka.

490.

Tak udziałany zbliżył się Adam. Uśmiech miłości

Bosko twarz jego okraślił; on głosem rzekł upragnionym:

„Bądź pozdrowion, błogosławny Serafio, pokoju zwiastu-
nie!

„Gdy nas twego wzniosłego doszła wieść postannictwa,

„Wzniósł się mój duch w radości. O drogi Wybawicielu,
495.

„Gdybym Cię także tutaj, jako ten Seraf. mógł widzieć

„W stroju człowieczej piękności; w owój postaci litości,

„Którąś obrat, by w niej upadłe me plemię pojednał

„Wskaż mi Seralie, ślad, gdzie nim poszedł mój Wybawi-
ciel,

„Zbawca mój i przyjaciel; chcę tylko zdala iść za Nim! 500.

„To modlitwy miejsce, gdzie nasz Pośrednik oblicze

„Wzniósł i poprzysiągł przez Siebie, że dzieci Adama wy-
bawi,

„Niechaj piérwszy grzesznik ze łzami radości ogląda.

„O ojczyzno moja, ziemio! jam niegdyś był twoim

„Pierworodnym mieszkańcem! jakże tęsknę za tobą! 505.

„Łany twe rozburzone na głos piorunowy przekleństwa,

„Byłyby dla mnie miłsze, w towarzystwie Wybawcy,

„Uwinionego w śmiertelne ciało, com w prochu je złożył:

„Anizeli twa niwa wzorem niebieskim stworzona,

„Raju, niebo stracone!” Tak rzekł pełen zapału. 510.

„Twoje upragnienia, o pierwiastku wybrańców,

Rzekł przyjaznym głosem Seraf: „przełożę Rozjemcy.

„Jeśli Boża wola Jego, rozkażeć Adamie,

„Byś w unізonej Go ujrzał Boga wielkostoјności.”

Teraz Cherubi w miłczeniu opuścili niebios, 515.

I rozpierzchli się chyżo po wszystkich świata okręgach.

Sam tylko Gabryel zmierzał do ziemi błogosławionój,

Którą sąsiedni okrąg gwiazd bliżej przemijających

Swém wszechobecném zaraniem w pełni zacisznej pozdra-
wiał.

Naraz zabrzmiały wokóło nowe ziemi imiona. 520.

Gabryel słyszał te miana: „Tyś między ziemiami królowa,

„Tworów rozwaga, niebios przyjaciółka najmiłsza,

„Druga siedziba Wszchemocy Bożój, tyś świadkiem bez-
śmiertnym

„Tajemniczej a wzniosłej sprawy wielkiego Wybawcy!”

Tak anielskiemi głosy napełniony brzmiał okrąg. 525.

Słyszcy je Gabryel wždy lot swój nagli, stanął na ziemi.

Jeszcze się Sen pochylał, chłód jeszcze w dolinach uge-
szczał,

Ciche zaś, ciemne i tłumne obłoki kryły gór pasmo.
 Gabryel szedł w pomroku, i wzrokiem szukał tęskliwym
 Boga, Pośrednika. Znalazł Go w niskiej dolinie, 530.
 Co wśród wierzchołków niebieskiej zwieszała się góry Oli-
 wnej.

Tu ponurzony głęboko w myślach Boży Rozjemca,
 Zasnął. Opczynny skłon, Bożego Syna był łozem.
 Widzi Go Gabryel snem zjętego słodkim i lekkim,
 Staął w cichości zdumiony, i patrzy jak wryty na piękność,
 535.

Obrazowi ludzkiemu Bóstwa złączeniem nadana.
 Miłość pogodna, rysy uśmiechu Bożego, łask pełne,
 Dobroć, łagodność, nieoschłe łyzy miłosierdzia wiecznego,
 Ducha przyjaciela ludzi skręśliły w obliczu;
 Ale senna postawa odbicie stawiała w zacięniu. 540.
 Tak napółpoznalne ziemi rozkwitłej oblicze
 Seraf wędrowny widzi w zmrokach pory wiosennej,
 Kiedy gwiazda wieczorna wejdzie w niebios zacisze,
 I przez zamierzchłe poliście mrugnie na mędrca, by wlepił
 W nią swe oko. Nakoniec po długim dumaniu rzekł Seraf:
 545.

„Ty, którego wszechwiedność niebios zapełnia przestrzenie,
 „Co mnie słyszysz, choć Twe ziemne ciało snem zjęte,
 „Z troskliwością skwapliwą spełniłem Twoje rozkazy!
 „Z ich dokonaniem, z ludzi pierwszy, o wzniosły Rozjemco,
 „Odkrył mi, jak gorąco pragnie Twe widzieć oblicze. 550.
 „Teraz ztąd pośpieszam, tak wielki Twój Ojciec rozkazał,
 „Dzieło Bożego zjednania uroczyste spóświetnić.
 „Wy zaś, pobliskie twory, milczcie! Mgnienia najszybsze
 „Upłynęło czasu, gdy jeszcze wasz Twórca jest tutaj,
 „Są wam droższe niechybnie, aniżeli te wicki, 555.
 „Coście w nich ludziom służyły z czujnym i pilnym stara-
 niem.

„Milcz, powietrzna wrzawo w tej grobowiska samotni,
 „Albo się wznies łagodnie z wdzięcznolotnemi poszepty.
 „I ty, z tona swojego, okoliczny obłoku,
 „Szerzej cichości łej zdroje na chłodniste ocienia. 560.
 „Ukój szmer, cedrze, ukój gajku gdy we śnie Stworzyciel!”
 I z troskliwą brzmiennością zgasł głos Nieśmiertelnika.

On na zebranie pośpieszał świętych orędowników,
 Którzy, wiernicy Boga i Jego pieczy zakrytszej.
 W potajemnej ciszy ziemią z nim razem władają. 565.
 Tym miał donieść jeszcze, nim na słońce się wzniesie,
 O błogostawnych duchów pragnieniu, o blizkiem zjednaniu,
 I o drugim, wielkiego Darzyciela Spoczynku.

Ty co po Gabryelu rządzisz okręgiem zbawienia,
 Boski stróżu matki tylu dzieci bezśmiertnych, 570.
 Które jak swe towarzysze, pierzchliwe wieki, pośpiesznie
 I w nieprzebranęj pełni górnym dziedzinom posyła,
 Wieczystego ducha zgruchotaną chałupkę
 Grzebiąc pod wzgórek, co na nim przebieżny nie spocznie
 wędrowiec;

O ty uwielmożnionej kiedyś ziemi obrońco, 575.
 Przebac, Serafie Eloo, przyjacielowi przyszłemu,
 Jeśli twoję siedzibę od Raju stworzenia ukrytą
 Na wskaz Syonu śpiewaczki śniertelnikom ukaże.
 Jeśli on w głębiach myślnych, pełen zacisznej rozkoszy,
 I w prześwicie obrębu pogodnych natchnień się gubił; 580.
 Jeśli myśl jego z myślami zespoliła się duchów,
 I rozkrytą duszę przejął mowy niebianów:
 O to go słuchaj, Eloo, gdy jako młodzież niebieska,
 Śmiało i wzniosłe nie śpiewa wielkości człowieka przepadłój,
 Lecz poddanych śmierci, zmartwychwstaniu święconych
 585.

Na zgromadzenie niebianów, na radę stróżów prowadzi.
 W cichym niezględnym obwodzie północnego bieguna
 Leży północ pustelna, zciężała; a z niej obłoki
 Płyną bezprzestannie, jako morskie opady.
 Tak śród Bożych ciemności, co je Mojżesz przywołał, 590.
 Niegdyś nurt leżał Egipski, w czarnaście krawędzi ujęty,
 Toż wielkostupia (*) odwieczne, królów groby dumiące.
 Żadne jeszcze oko nie widziało tych łańców
 Cieśnią niebieską okolnych, co w nocnym zagrzeżły zamarcu
 Niezamieszkałe, gdzie nie brzmi człowieczego głos dźwięku,
 595.

Gdzie żaden zmarły nie leży, i żaden z martwych nie wstanie.
 Ale je myślom głębokim święceni, i wzniosłój rozwadze,
 Uwielbiają Serafy, gdy po górach tamecznych,
 Jak gwiazd gromady się snują i w cichości proroczej
 Słodko osłojni, w przyszłą śmiertelnych zbawiennosc wglą-
 dają. 600.

Pośród owych smugów wznosi się brama anielska,
 Oredownika ziemi do jego przybytku wiodąca.
 Jako czasu zimy silniejącej, dzień święty
 Na śnieżyste góry wchodzi po dniach osępiatych;
 Chmury i noc pierzchają przed nim, niwy zlodniałe, 605.
 Bujne, przejrzyste lasy swą twarz odemgła i błyszczą:
 Tak szedł Gabryel ninie po wierzchowiskach północnych,

(*) Piramidy.

I beśmiertnika stopa stanęła przy bramie prześwietej,
 Co się jak chrzestne Cheruba skrzydło, przed nim rozjęła,
 I znów z ręczością za nim zawarła. I idzie Serafin 610.
 W ziemi przepaściach. Tam przetaczają się wokół wszech-
 morza

Do bezczłecznych brzegów, wolnobieźnym przeciągiem.
 Wszyscy ich synowie, nieukrócone zatopy
 Za nim płynęły grzmiąc z głębi, jako gdy burza się zerwie
 Z łona pustyni. Szedł i przybytek jego już zbliżka 615.
 Przed nim się jawi. Brama udziałana z obłoków
 Umkła się jemu i przysła przed nim, w niebnego kształt bla-
 sku.

Pod śpieszącego się stopą zmierzch ustępował pierzchliwy
 W mknieniach rozścielnych. W bliskości za nim w ślady stóp
 jego,

Wkraczał u czerni brzeźnej, jak powiewy płomienne. 620.

I nieśmiertelny przyszedł na zgromadzenie aniołów.

Tam gdzie zdala od nas do środka pochyła się ziemia,
 Sklepnny się okrąg pojawia pełen niebieskich powiewów.
 Tam łagodniejsze słońce, lśniącym się blaskiem zwieńczone,
 Ruchem unasza się wolnym. Z niego życie i ciepło 625.

W żyły ziemi spływają. Z tym pomocnikiem poufnym
 Górny krąg promienisty tworzy wiosnę kwiecistą,
 I ogniopelne lato, schyłemi kłosa ocieźne,
 I winogradną jesień. W właściwych sobie obrębach
 Nigdy wschodem nie błysło, i nigdy zapadem nie gasło. 630.
 Wieczny z rumieńcem obłocznym wokół niego uśmiecha się
 ranek.

Tamże niekiedy Ten, co wszystkie niebiosza napełnia,
 Głosi swe myśli aniołom cudownie znakami w obłokach,
 I przed nimi się jawią Opatrzności następstwa.
 Tak rozkrywa się Bóg, gdy po burz dobroczynnych prze-
 chodach. 635.

Na ukojonych obłokach tęcza rozbłyśnie wspaniała,
 Tobie, ziemio, przymierze i bujność Bożą zwieszczając.
 Seraf Gabriel ninie na to słońce się spuścił,
 Co niewidziane od nas, wewnętrzne ziemi pokłady
 I żywotne w niej tchnienie statecznym promieniem za-
 sila. 640.

Takim księżycu naszego towarzysz. Nie widzisz, jak krąży;
 Bo zeń wytryska tylko blask mroczny, wrychle rozpierzchły,
 Także niemierzchnie: tak spojona jego wysoba (*).

(*) Materya.

Lecz Wenusowe istoty, toż na Jowiszu go widzą,
 Także wysoki Saturn. Niebnego kłosu mieszkańcy, 645.
 Oksiężyconej gwiazdy nie widzą biegów dalekich.
 Wokół Serafa zebrali się ludów orędownicy,
 Aniołowie wojny i śmierci, co w losu zakrętni (*)
 Aż do Bożej prawicy wiodącą nie uspołeczniają;
 Co w zakrytości dostojnie królów czynom panują, 650.
 Gdy oni tryumfem je święcąc, by z czynów swych rosłą
 w podniosłość.

Więc i stróże enotliwych, szczupłego grona szlachetnych,
 Myślącemu mędrcom w ustronie towarzyszący,
 Gdy z społecznego koła przed ziemską chwałą ucieka,
 I wiekuistej przyszłości księgi w modłach rozkrywa. 655.
 Są oni także tajnie na owym zebraniu obecni,
 Gdzie chrześcianin żarliwy, Boże zstąpienie uczuwa,
 Kiedy naród bratni krwią uświęcony przymierza,
 Przed Pojednawcą w enych pieniach, ducha gorącość wy-
 lewa.

A gdy dusze pośnionych chrześcian martwość swą twa-
 rzy, 660.

Znojny pot, i żalosne zwyciężkiej śmierci zarysy,
 I zmożoną przyrodę na swoim trupie obaczą:
 Tak z pocieszliwem wejrzeniem te towarzyszki przyjmują:
 „Drogie, kiedyś my wszystkie zgromadzimy oszczałki!
 „Równie i to śmiertelności pomieszkanie, te kości 665.
 „Co je przemożnej śmierci tak smutnie ręka zgwałciła,
 „Ma się z porankiem Sędziego na nowe stworzenie ocucić.
 „Oto, przyszli niebianie, jaśniejsze rzeczy pojęcie,
 „Oto pierwszy Zwycięzca czeka was, o ene dusze!”
 Dusze téż, co rzuciły swe ciała drobnieuchne w kształt
 pędów, 670.

Zgromadziły się wokół Serafa. Wzleciały niemowne,
 Z tkliwym rzewliwej młodości płaczem. Ich oko łekliwe,
 Ledwie szczupły smug ziemski dostrzedz zdołało w zdumieniu:

Przeto na straszliwą światów widownią nie mogli,
 Nieukształcone jeszcze, tak rychło wystąpić z śmiało-
 ścią. 675.

Ich obrońcy do siebie je wzięli i uczą ponętnie,
 Przy ożywczym arf dźwięku, w piosenkach wdzięcznonu-
 tliwych;
 Jak powstałi i z kąd, w jaką wielkość duszę człowieczą
 Najdoskonalszy Duch przybrał; z jak młodzieńczą rzeźwością

(*) Labiryntcie.

Po urodzeniu swém słońca, księżycy do Stwórcy pobiegły. 680.

„Na was czekają skończeni Ojcowie! Pańskie spojrzenie
 „Miłosiernego, czeka was u wiecznego przестоłu.”
 Tak nauczają oni tych uczniów godnych mądrości,
 Owęj wznioślejszej mądrości, za której cieniem polotnym,
 Cmiącym jęj blaskiem olśnieni, gonią śmiertelni obędni. 685.

Wszystkie te dusze nateraz błyszczących odbiegły poliści,
 I zgromadziły się u swych poufnych, ziemi strażników.
 Gabryel ninie ogłosił całemu duchów zebraniu
 Wszystko to, co mu Bóg o Zbawcy rozkazał obwieścić.
 Stało jak w zachwyceniu przy boskim nauczycielu, 690.
 Ponurzywszy pogodnie w głęboką rozwałę swe myśli.

Ale miłości godne dwie dusze powinowate,
 Benjamin i Jedydda, scisnąwszy się z sobą mówiły:
 „Czy to, Jedyddo, nie o przystępnym Nauczycielu,
 „Nie o słodkim Jezusie mówił to wszystko Serafin? 695.
 „W żywej mam zawsze pamięci, jak czułém nas darzył
 objęciem,

„Jak do bijącego serca z tkliwością przyciskał!
 „Łza miłosierdziu wierna, co zawsze ją mam przed oczyma,
 „Lice raz Jego skropiła, jam pocałunkiem ją otarł!”
 — „Wtedy to, Benjaminie, do naszych stojących rzekł ma-
 tek: 700.

„Bądźcie jak dzieci, chcecieli Ojca osiągnąć królestwo.”
 — „Tak jest, rzekł to, Jedyddo. Onto jest naszym Wyba-
 wcą; 705.

„Przezeń nam szczęście zakwitło! Uściskaj swego miłego!”
 Tak rozmawiały z sobą te dusze pełne tkliwości.
 Wówczas na nowe poselstwo Gabryel wznosił się. Blask
 świetny 705.

Uroczyściej jasności, do stóp bezśmiertnego opłynął.
 Taki blask sieje dzień ziemski oku mieszkańców księżycy,
 Gdy z wilgotnego mroku wychyliwszy się w zacisz,
 Zstąpi na gór ich wierzchołki, aby ich nocom przyświecać.
 Tak rozblęsniony Gabryel wznosił się i w brzmieniach we-
 selsnych 710.

Dusz i aniołów, w powietrzokrąg otworzysty się puścił.
 Zszumem, jak strzały srebrnych łuków, zwycięztwu skrzy-
 dlate,

Mirzo gwiazd leci z radością pośpieszając do słońca,
 I już na jego świątynią z powietrznych przestworów opada.
 Na owierzchu świątyni zastał dusze enych Ojców, 715.

Co niezachwianie śledzący wzrok zespoliły z promieniami,
 Dzień rozbudzony ślącemi w Chanaany doliny.
 Między Ojcami był jeden wzniosłej, myślącej postawy,
 Adam, syn ziemi ocknionej, Bożym dostojny obrazem.
 Gabryel, on, i słońca panownik czekali tęskliwie, 720.
 Pośród rozmów o ludzkiem zbawieniu na widok ogrójca.

PRZYPISY

do pieśni pierwszej Messyady.

W. 35. To przeważne wołanie:

„*Otom Go ubłogostawił, i jeszcze Go ubłogostawie!*”

Było przepowiednią obecnego im Boga.

Patrz ewangelią według św. Jana w roz. 12, w. 28. W tymto samym rozdziale mowa jest o tryumfalnym wjeździe Jezusa do Jerozolimy, właśnie w taki sam sposób, w jaki go tu Kłopsztok opisuje.

W. 105. „O Chanaano,

Święta ziemio, jak często me oko było wlepione

W ten pagórek, com go przymierza krwi pełnym już
 widział!”

Zrazu Palestynę nazywano Chanaaną, dlatego, że ją zamieszkiwali Chananejczycy, to jest potomkowie Chama, trzeciego syna Noego. Zwano ją także *Ziemią Obiecaną*, ponieważ Bóg zapewnił jej posiadanie Abrahamowi i jego potomstwu. Poraziwszy Chananejczyków i inne ludy, podówczas osiadłe w Ziemi Obiecaniej, podzielił ją Jozue na dwanaście pokoleń, i wtedy przybrała nazwisko *Ziemi Hebrajczyków*. Grecy i Rzymianie nazywali ją *Palestyną*, gdyż z Palestynami czyli Filistynami zawiązali pierwsze swoje stosunki handlowe. Wróciwszy z niewoli babilońskiej Hebrajczycy, którzy prawie wszyscy pochodzili z pokolenia Judy, nadali dawniej ziemi Chananejjskiej nazwisko *Judei*. Chrześciance nazwali ją *Ziemią Świętą*, albowiem w niejto narodził się i umarł Jezus Chrystus. Podług Piśma Świętego, sławny ten kraj dwa razy był kolébką rodu ludzkiego, bo w nim znajdował się raj ziemski, i w nim zatrzymała się arka Noego po potopie.

W. 242. „Ty co mię pieśni niebieskich uczysz, co żyjesz z anioły,
 Patrzysz na Boga, co słyszysz głosy górne bezśmiertne,
 Wskaż mi, Syonko, pieśń, co ją teraz śpiewali anieli.”

Syonka oznacza tu muzę syońską, czyli Syonu. Syon zaś była to mała góra w Palestynie, na której leżała Jerozolima. Wszakże powszechnym niemal u proroków i ewangelistów było zwyczajem, nazwisko góry przenosić i do miasta, a ten ich zwyczaj naśladował Klopsztek.

W. 454. „Bo po tych wieków obiegu, chce Sam obchodzić
Jehowa

„Dzień Bożego pokoju, drugi, wznioślejszy Spoczynek.”

W pierwowzorze zamiast wyrazu *Spoczynek* jest wyraz hebrajski *Sabat*, mający to samo co polski znaczenie. Wiadomo zaś, że się tak nazywał u Izraelitów, siódmy dzień w tygodniu, dzień, który sam Pan Bóg pobłogostawił ukończywszy dzieło stworzenia, jak o tém jest wzmianka w pierwszej księdze Mojżeszowej zwanój *Genesis* czyli Księgą Rodzaju.

W. 477. „Myślał o wiecznym upadku.”

To miejsce w pierwowzorze jest:

..... *Er dachte den Fall Aeonen herunter.*

Użył tu Klopsztek wyrazu *Aeonen* utworzonego przez siebie z greckiego przymiotnika *ἀἰνάος* albo *ἀένναος* lub *ἀενάων*, który znaczy też samo co *ἀείναος*, przez skrócenie *ἀείνωσ*, lub *ἀείνωσ*, *ἀείνωσ*, *ἀείνωσ*, a po polsku: *wiecznie płynący*, przenośnie zaś *ciągły*, *wieczny*, *trwający bez końca*. Klopsztek ten przymiotnik kładzie rzeczownie zamiast wyrazu *wiek*, którego wtedy tylko używa, kiedy chce oznaczyć czas w jego stosunkach ze światem i jego mieszkańcami. Wyrazem zaś *Aeonen*, napotykanym bardzo często w jego poemacie bohaterskim, oznacza rozmaite postaci stworzenia, w sposób, w jakim je ogarnia myśl Boża, i jak je mieszkańcy nieba pojmują i mierzą. Ile razy więc wyraz ten *wiek* będzie w ustach istot do niebieskiego świata należących, potrzeba go brać w tém znaczeniu, jakie do niego Klopsztek przywiązuje.

W. 478. „Tento jest ołtarz, kędy nowego, krwawego przymierza
Prorok ujrzał na Patmie wyobrażenie niebieskie.”

Patmos jest to mała wyspa na archipelagu greckim. Śty Jan ewangelista, którego Klopsztek nazywa często prorokiem nowego przymierza, był na nią wygnany przez cesarza Domicyana roku 95 po Jezusie Chrystusie. Właśnie gdy przebywał na téj wyspie, napisał swoje Objawienie, w pieczarze położonej nad brzegiem morza. Niedaleko téj pieczary wybudowali później chrześcijanie klasztor, który i dziś jeszcze nosi nazwisko *klasztoru Objawienia*.

W. 480. „Tamto gdzie górny sklep, męczenników wzniosły się
głosy

Narzekalnie; tam dusze żyły ronily anielskie,

Aby światów Sędzia odwlekl dzień pomsty straszliwy.”

Jestto alluzya do rozdziału 6 Objawienia, w którym śty Jan ewangelista mówi o ołtarzu odkupienia, co mu się w jego prorockiém widzeniu objawił takim, jakim go tu Klopszток opisuje.

W. 700. „Wtedyto, Benjaminie, do naszych stojących rzekł matek:

„Bądźcie jak dzieci, chcecieli Ojca osiągnąć królestwo!”

Patrz ewangelią według śgo Mateusza, w rozdziale 18.

KRONIKA LITERACKA.

*Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, od roku 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachta-
mowic Wapowskiego, ze świeżo odkrytego społecznego
rękopismu, z języka łacińskiego na ojczysty przetłóma-
czył, przypisami objaśnił, poczet rzeczy i osób dodał
Mikołaj Malinowski. W Wilnie, nakładem i czcionkami
T. Glücksberga księgarza i typografa szkół Białoruskie-
go naukowego okręgu. 1846. Tom Iszy, stron 491.*

Jeszcze tak umiejętnie i z taką usilnością wykonanej pracy, nie mieliśmy w literaturze historycznej kraju naszego. I dla- tego też poczytujemy za obowiązek zwrócić na nią uwagę czytelników Biblioteki, chociaż dotąd pierwszy tom tylko ukazał się w druku. W roku 1845, p. Kazimiérz Stronczyński zasłużony badacz starożytności krajowych, a wkrótce mający zasłynąć ważnym dziełem o Numizmatyce Piastów, stał się właścicielem nieznanego dotąd rękopismu łacińskie- go, charakterem XVI wieku pisanego, który po mozolnym wyczytaniu, pokazał się być znakomitą ową kroniką Wa- powskiego, - jakiej fragment tylko znany dotąd, umieszczony był w Kolońskiém wydaniu Kromera dziejów polskich. Od- krycie to nader zajmujące i wielkiej wagi dla historii, spra- wdzone porównaniem fragmentu drukowanego z okresem też same wypadki zajmującym w rękopiśmie, obudziło chęć

w p. Mikołaju Malinowskim obecnym wówczas w Warszawie, do z bogacenia tém nowém źródłem dziejów naszych. Powierzony mu rękopism znalazł w tym uczonym i głębokim znawcy historii krajowej nie tylko wydawcę łacińskiej kroniki Wapowskiego, ale przedewszystkiém wybornego jęz tłumacza. Pomysł szczęśliwy, i na tém większą pochwałę i wdzięczność zasługujący, im trudniejszy był do wykonania, im pracowniej i uczeniej został wykonany. Pan Malinowski wzorowie językiem polskim władający, przełożył to dzieło wybornie, a nawet prawdę mówiąc, nowe mu życie nadał, urządzając treść jego w okresy i księgi; bo w oryginalnym łacińskim rękopiśmie niema nawet śladu nie tylko podziału jakiegokolwiek, ale nawet zwykłej punktuacji; trudność zaś w wyczytaniu pisma z początku wieku XVI pochodzącego, nowych mazołów przyczyniała. Ale do wielkiej zalety w przełamaniu takich przeszkód i w podjęciu się samego przekładu, dodał szanowny tłumacz inną nieocenioną, która podnosi tę pracę około kroniki Wapowskiego do wysokiej wartości. Pan Malinowski w przypisach swoich objaśniających i prostujących autora, napisał drugie tyle o historii kraju naszego w epoce, jaką przedsięwziął skreślić Wapowski, a napisał z tak głęboką krytyką i z taką nauką, która mu jest właściwą i którą okazał wydając *Źródła do dziejów polskich* (*). Wszystko co mówimy na zaletę tłumacza, nie są to czeze pochwały. Czytelnik zamilowany w dziejach swojej ziemi, zajrzawszy w karty historii Wapowskiego, łatwo zaraz uzna, że samą tylko sprawiedliwość oddajemy tłumaczowi.

Księga pierwsza, zaczyna się od krótkiego wstępu przez p. M. ułożonego dla powiązania ciągu powieści, ponieważ rękopism niema początku. Opowiadanie autora zaczyna się zaraz na stronnicy drugiej, od opisu wypadków w Litwie zaszłych (r. 1380), poprzedzających wybór Jagiełły na tron

(* *Źródła do dziejów polskich* wydawane przez Mikołaja Malinowskiego i Alexandra Przeddzieckiego. T. II. Wilno, u Zawadzkiego. 1844.

Polski. Zawieszając zdanie nasze o pracy i zdolności samego Wapowskiego, oraz porównanie jego z Długoszem i Kromerem, które aż przy skończeniu druku całego dzieła, ostatecznie wydaném być może; to tylko winniśmy powiedzieć, że tłumacz wyborym swoim przekładem textu łacińskiego i komentarzami, zatarł wszelkie jakie się tylko znalazły błędy i usterki autora. Język p. M. czytaniem Zygmuntofskich pisarzy wykształcony, pełen prostoty, jasności i powagi, nie małą jest zaletą pisarza historycznego, w którego charakterze, p. Malinowski ma wkrótce objawić się, jako spodziewany pisarz historyi domu Jagiellońskiego w Węgrzech. Obecnie nad tém ważnym dziełem, mającém wyjaśnić znakomitą część dziejów naszych pracując, korzystał p. M. ze wszystkich źródłowych materyałów jakie w tym celu zgromadził, do zbogacenia przekładu Wapowskiego najciekawszemi przypisami. Wszędzie w nich znajdujemy nieznanne polskim czytelnikom fakta i sprostowania, któreśmy winni głębokiej jego znajomości historyi węgierskiej i cesarstwa niemieckiego; wszędzie napotykamy najsumienniejszy przytaczane dzieła głównych tego rodzaju dziejopisarzy. Ztąd czerpając p. M. oswaja nas z wielu wypadkami, które dla czytelników polskich nie mogą być obojętne. Takim jest na stronie 85, przypis zawierający wiadomość o nieszczęściach Elżbiety węgierskiej, tylekroć wspominałej w naszych dziejach, która była matką królowej Jadwigi; takim również (str. 149) opisanie zatargów Zygmunta króla węgierskiego szwagra Jadwigi z Węgrami i wpływ na ich sprawy Władysława Jagiełły i t. d. Wypadki w Litwie zaszłe, do 1414 roku, zapasy z Krzyżakami i chytre zabiegi Zygmunta Luxemburczyka do rozerwania jedności trzech ksiąg kroniki Wapowskiego. W pierwszych dwóch przedmiotach, p. Malinowski posuwa krytyczność uwag swoich do wysokiego stopnia, wzywając na pomoc wszystkie autentyczne skarby, do dziejów litewskich, po raz pierwszy z tajnego archiwum królewskiego wydobyte przez Voigta,

Kotzebue i Napierskiego, i porównywając je z tém co Długosz, Naruszewicz i Dogiel, a po nich Raczyński w swoim Kodexie dypl. lit. ogłosili. Lecz i tu za każdą zręcznością, dziejopisowie węgierscy, jak Katona, Mailath i t. d., i niemieccy, jak Pelzel, Aschbach i inni, stają na poparcie objaśnień wzbogacających tę szacowną pracę. Między innemi ciekawe są, a dotąd nam nieznanne, w przypisie na str. 197 szczegóły zjazdu cesarza Zygmunta z Witowdem w Ksmarku r. 1410, i wyliczenie podarunków od W. księcia cesarzowi i żonie jego złożonych. Dla historyi wszakże krajowój, najważniejsze jest odparcie stanowcze i dowodne (str. 62—68) dziwnego twierdzenia Teodora Narbutta pisarza dziejów narodu litewskiego, jakoby Jagiełło przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej w Krakowie r. 1387, był już chrześcianinem obrządku wschodniego pod imieniem Jakóba. Przytoczywszy p. M. wszystkie a wszystkie wyrażenia Narbutta dotyczące się téj rzeczy, wykazuje oczywiście nie tylko bezzasadność takiego zdania, ale co większa, niewierne przytaczanie przez Narbutta słów Karamzina i latopisca Rostowskiego, którym nigdy na myśl nawet nie przyszło dowodzić tego, co się Narbuttowi podobało utrzymywać. W dalszym ciągu, tłumacz Wapowskiego chociaż prostuje w wielu miejscach Narbutta, zdaje się jednak jakby usiłował wynagrodzić dowiedziony mu fałsz, bo nazbyt często powołuje się na tego pisarza, i tam nawet, gdzie źródłowi dziejopisowie jak Długosz i Voigt, a nawet Karamzin, wystarczyłyby mogli. Owszem, gdybyśmy mieli co do życzenia od p. M. w tym jego wzorowym przekładzie kroniki Wapowskiego, żądalibyśmy chyba, żeby więcej w nim było porównań krytycznych z Długoszem w przypisach, pod względem sposobu uważania wypadków jednoczesnych. Uznajemy, że to byłoby za wiele wymagać od przekładu, już i tak nadzwyczaj pracowitego i bogato pomnożonego; ale głęboka nauka p. M. pociąga nas mimowolnie do coraz większej sposobności korzystania z niój na polu dziejów krajowych, na którym tak zaszczytnie pracuje. Jedna tylko omyłka którąśmy dostrzegli w przekładzie tego tomu na str. 405, jest ta, że *Wigry* gdzie

Władysław Jagiełło r. 1418 bawiąc się łowami, mało co nie był schwytany podstępnie przez Krzyżaków, wzięto za *Węgry*. Jest bowiem w tłumaczeniu: „potém przebywszy Niemen zapuścił się do *Węgiei*, gdzie jak mu doniesiono miała znajdować się ogromna ilość żubrow.” Błąd ten, skutek jakiegoś niepostrzeżenia w ciągu mozolnej pracy, a z trudnego wyczytania rękopismu zapewne pochodzący, powinien być przy końcu dzieła sprostowany (*). Do zalet tłumacza-wydawcy Wapowskiego, któreśmy dotąd wyliczyli dodać i to wypada, że p. Malinowski nie zaniedbując niczego coby nietylko do objaśnienia i sprostowania dziejów opisanych przez Wapowskiego, lecz i do rozszerzenia ogólnych wiadomości o historii naszej postugiwać mogło; starał się umieszczać gdzie tylko wypadało ważniejsze traktaty, umowy i listy przełożone na język polski, które Dogiel i Raczynski w kodexach swoich, a Długosz, Pray, Łojko, Katona, Aschbach i inni w swoich dziełach historycznych ogłosili. Do tych ważnych i ciekawych a na polski język dotąd nietłumaczonych aktów, policzyć należy przywilój królowej węgierskiej Elżbiety matki królowej Jadwigi, dany r. 1383 Janowi książęciu mazowieckiemu na tytuł dworzanina królewskiego i pensją roczną zł. 2,400, warując, żeby się na każde zawołanie przyszłej królowej polskiej a jej córki stawił ze 30 zbrojnemi kopijnikami (str. 45); postanowienie Władysława Jagiełły w Wilnie r. 1387 wydane, względem rozkrzewienia wiary katolickiej (str. 74); list w. mistrza pruskiego Konrada Jungingen r. 1397 pisany do królowej Jadwigi, z oświadczeniem, że się będzie dopominał u Władysława książęcia opolskiego o wykupno ziemi Dobrzyńskiej (str. 129); list biskupa płockiego Kurdwanowskiego r. 1410 z Pułtuszka datowany, z prośbą do w. mistrza, ażeby w grożącej wojnie z Polską nie dozwalał niszczyć dóbr kościelnych (str. 206); dyplomata Bogusława książęcia pomorskiego tyczący

(*) Wigry albo Wygry, dawniej puszcza naokoło jeziora tegoż nazwiska, w województwie trockiém, dziś klasztor po-kamedulski w gubernii augustowskiej. Ob. Staroż. Pols. T. III. str. 382.

się wyzwolenia Kazimiérza księcia szczecińskiego, pojmanego przez Polaków w bitwie pod Grünwaldem, wydany r. 1410 (str. 246); odezwa królewska po témże zwycięztwie do miast krzyżackich, żeby mu się poddały dobrowolnie (str. 253); poddanie się w skutek tego wezwania Henryka biskupa sambijskiego (str. 255); piękny list Władysława Jagiełły do w. mistrza Henryka Plauen w tymże czasie pisany, wyrzucający mu niegodziwe postępowanie zakonu z jeńcami polskimi (str. 281); zawieszenie broni między w. mistrzem a Władysławem Jagiełłą r. 1410 w Nieszawie zawarte (str. 293 — 97); traktat pokoju między nimi w Toruniu r. 1411 zawarty (str. 299); prawo zastawne na ziemię Spiską od Zygmunta króla rzymskiego i węgierskiego królowi r. 1412 wydane, a przez żadnego z dziejopisów naszych dotąd nieogłoszone (str. 329); akt rozejmu między Polską i Litwą a zakonem pruskim, uczyniony r. 1414 przez Jagiełłę, i list króla pols. z Grodna r. 1416 do cesarza Zygmunta pisany z wyjaśnieniem przyczyn, dla których zjazd z wiarołomnemi Krzyżakami nie przyszedł do skutku (str. 381 — 89); odezwa króla Władysława Jagiełły do ziemi Chełmińskiej przy rozpoczęciu wojny z zakonem r. 1422, pełna ludzkości i łaskawego serca (str. 480) i t. d. i t. d. Wreszcie niepodobna jest w tym ogólnym rysie nieoszacowanej pracy uczonego Malinowskiego, wszystkich jego ważnych i nowych postrzeżeń do tego dzieła dodanych przytoczyć. Musielibyśmy je chyba wszystkie tu wyliczyć. To tylko jeszcze powiemy, że gdyby każda ważniejsza kronika polska, takim sposobem była w nowém wydaniu ogłoszona publiczności, wkrótcebyśmy posiadali najdoskonalszy zbiór dziejopisów, którego nam pozazdrościć można było. Krytyczny pogląd na dzieje polskie, zyskałby wiele na tém; ale do takiego przedsięwzięcia trzeba wytrwałej pracy i sumienności niezachwianej, do czego niekażdy z tych nawet którzy nad dziejami pracują, ma powołanie i ochotę. Tłumacz kroniki Wapowskiego umieścił wyborynym zwyczajem treść rzeczy u góry na każdój stronnicy, a przytém rok w jakim się wypadki działy, co niezmiernie jest dogodnym dla

czytelnika. Pan Malinowski obiecuje nam po skończeniu swojego przekładu, wydać autentyk łaciński téjże kroniki, jeżeli się potrzebna liczba prenumeratorów znajdzie. Życzymy tego z serca, a tymczasem w gorącym oczekiwaniu ukazania się dalszych tomów dzieła Wapowskiego po polsku, nie wątpimy, że książka ta umieszczona zostanie w księgozbiornie każdego miłośnika dziejów krajowych.

M. B.

Dalszy ciąg opisu Karty klimatologicznej miasta Warszawy, ułożonej przez p. Jastrzębowskiego.

W zeszytcie styczniowym Bibl. War. r. b. pod tytułem: „O karcie klimatologicznej miasta Warszawy”, pomieściliśmy wiadomość o nowém wydaniu obrazu klimatologicznego Warszawy i jój okolic. Przyczém dołączyliśmy parę uwag z powodu zamieszczonego pod wspomnioną kartą objaśnienia, wychodząc ze stanowiska naukowego (może nam właściwszego); stronę zaś praktyczną téj pracy, stanowiącą zapewne główny cel jaki sobie szanowny autor założył, zupełnie pomieściliśmy pozostawiając jój ocenienie innym. Obojętność jednak téj części publiczności, dla której karta klimatologiczna p. Jastrzębowskiego niezaprzeczenie jest najużyteczniejszą, pobudziła nas do powtórnego przemówienia w tymże przedmiocie, w celu udzielenia dokładniejszego jój opisu, a ztąd wskazania na użytki, jakie w codziennem prawie życiu z niój wyciągnąć można.

Wyłuszczone już gdzieindziej, korzyści jakie spływają na ogół z ogłaszania graficznym sposobem wypadków, treści nauk; tą drogą niezaprzeczenie najprędzej osiągnąć można cel do jakiego każda prawie umiejętność dążyć winna, upopularyzowania wiadomości naukowych.

W meteorologii, nauce chociaż dopióro w zawiązku będącej, wcześniej użyto téj metody do przedstawiania wypad-

ków licznych i mozolnych obserwacji tak w ciągu kursów dla pojedynczych pojavów, jako też na oddzielnych kartach dla głównych elementów meteorologii pewnej miejscowości. Za świeży przykład tego drugiego rodzaju, przytoczymy kartę przedstawioną towarzystwu londyńskiemu przez p. Hopkins i przez niego ułożoną z licznych obserwacji półkownika Sabine, czynionych w Bombay (*). Warszawa posiada podobną kartę klimatologiczną ułożoną staraniem p. Jastrzębowskiego, zalecającą się (jeżeli niezupełną dokładnością obserwacji niektórych pojavów), to swą wielostronnością, a szczególnie układem. Układ ten o którym dawniej tylko wzmiankę uczyniliśmy, zasługuje na bliższe poznanie ze względu swęj nowości i praktyczności. Opiszemy go szczegółowo.

Rok widzimy najprzód rozdzielony na dwa półrocza: letnie i zimowe; granicę tych okresów, różne są od przyjętych w astronomii, zasadą bowiem tego nowego podziału jest temperatura, a to w taki sposób. Półrocze letnie zaczyna się w epoce średniej rocznej temperatury i w takiejże epoce się kończy, t. j. trwa od 20 kwietnia do 20 października. Tym sposobem, do letniego półrocza wchodzi dni posiadające temperaturę wyższą nad średnią roczną (według karty + 6° R.), do półrocza zimowego dni mające niższą temperaturę od średniej.

Daléj każde z tych półroczy rozdzielone zostało na dwie równe części; lato zajęło środkową część półrocza letnie-

(*) Tabelle i graficzne wypadki doświadczeń p. Sabine, kosztem kompanii Wschodnio-Indyjskiej zostały wydrukowane, wylitografowane i przez nią na wszystkie strony obficie rozdane. Słyszeliśmy, że p. Jastrzębowski znaczną liczbę egzemplarzy swęj karty (z francuzkim textem), rozstał do różnych ważniejszych ognisk uczonej Europy. Podwójną z tęj ofiary osiągnąć możemy korzyść: główną z porównania tych wypadków (choć przybliżonych), z rezultatami innych miejscowości; tą bowiem drogą dochodzimy do ważnych wniosków meteorologii, i pośrednią, przez wskazanie innym na istnienie u nas przed pół wiekiem czynionych meteorologicznych obserwacji.

go t. j. porę roku najcieplejszą od 5 czerwca do 5 września; podobnie zima obejmuje środek półrocza zimowego, czas u nas najzimniejszy od 5 grudnia do 5 marca. Ztąd dla wiosny pozostał czas od 5 marca do 5 czerwca, a dla jesieni od 5 września do 5 grudnia. Dogodność podobnego podziału roku, szczególniej może się dać uczuć w gospodarstwie wiejskiem, w niém bowiem wszelkie prace kierują się stosownie do ożywczego działania słońca; tam nie tak długość dnia, jak raczej temperatura będąca bezpośrednim i najważniejszym jego skutkiem, obchodzi gospodarza. Lato, według podziału p. Jastrzębowskię, przedstawia okres dojrzałej roślinności, zima, chwile obumarłej natury; dwie zaś epoki wiosny i jesieni, są przejściem z śmierci do życia i z życia do śmierci ciał organicznych.

Nadto z karty się okazuje, iż w tak okrósloném lecie przypadają właśnie epoki, w których bardzo ważne zjawiska w gospodarstwie dosięgają swęgo maximum. Wtedy górują linie długości dnia, parującej wody, ilości wody w powietrzu zawartęj, pogody, i ilości spadłej wody. Słowem, wszystkie żywioły potrzebne do życia i dojrzewania roślin, najsilnieję się rozwijają. Przeciwnę zjawisko w oscyllacy tych fenomenów, przedstawia czas zimy.

Oprócz tego podziału na cztery pory roku fizyczne, na karcie znajdujemy jeszcze inny, na tak zwane pory gospodarskie, czyli ludowe. Często obijają się o nasze uszy nazwania niektórych przeciągów czasu np. godów, przednówka, różnych, siewów późnej jesieni i t. d.; za ich dawnością i upowszechnieniem świadczą nasze przysłowia. Dotąd, przynajmniej dla niektórych z nich nie oznaczono granic. Jakkolwiek dokładne oznaczenie (rozumiejąc pod tém nazwaniem określenie początku i końca) trudne a nawet jest niepodobne, gdyż te chwile z każdą miejscowością a niemal z każdym rokiem się zmieniają, niemniej przeto zgodzenie się na określenie choć przybliżone, powszechnie w mowie natrafianych nazwań, nie może pozostać bez korzyści. Niezaprzeczenie za zasadę do utrwalenia tych nazwań, posłużyć może tylko kilkonasto a tém bardzięj kilkudziesięciole-

tnie obserwacye fenomenów klimatologicznych. Na pracy pp. Bystrzyckiego i Magiera oparł p. Jastrzębowski swój podział roku na ośm pór gospodarskich. Te okresy, oddzielne posiadające nazwania u naszych rolników, mają się rozciągnąć w taki sposób:

Gody od 5 grudnia do 20 stycznia.

Zapusty od 20 stycznia do 5 marca.

Roztopy od 5 marca do 20 kwietnia.

Siewy jare od 20 kwietnia do 5 czerwca.

Przednówek od 5 czerwca do 20 lipca.

Żniwa od 20 lipca do 5 września.

Siewy ozime od 5 września do 20 października.

Późna jesień od 20 października do 5 grudnia.

Taki jest podział roku na dwa półrocza, cztery pory fizyczne i ośm pór gospodarskich; podział chociaż oparty na obserwacyach w Warszawie czynionych, mogący wszakże bez wielkiej odmiany służyć i dla bardzo znacznej przestrzeni naszego kraju, tak mało nastrożonego górami, wielkimi zbiorami wód, słowem, kraju pozostającego w tychże samych okolicznościach względem klimatu.

Mówiąc dawniej o wszechstronności karty klimatologicznej p. Jastrzębowskiego, wyliczyliśmy dziesięć pojawów przez szanownego autora nakręślonych w porządku, jaki na karcie znajdujemy. Wspomnimy tu o systemacie, jakiego autor się trzymał w powiązaniu tych napozór niezależnych zjawisk. Dotąd w meteorologii brak stałego porządku; pierwsze miejsce w układzie fenomenów, zachowują powszechnie dla temperatury w ogóle, na drugim, niektórzy mieszczą wiatry z barometrem, a na trzecim, zjawiska wodne; inni po wiatrach kładą fenomena wodne, dalej rozdział temperatury na powierzchni ziemskiej, a na końcu barometr. Wszyscy jednak, dopiero po wyżej przytoczonych pojawach, traktują inne tak zwane niestałe, jakoto: fenomena światła, elektryczne magnetyczne, czyli właściwie meteorologiczne. Jak wszędzie tak i w meteorologii każdy systemat opierać się winien na większej lub mniejszej ważności; na wzajemnej

zależności porządkowych przedmiotów, lub też na ogólnej myśli kierującej autorem w ciągu dzieła.

Śmiałe przyznanie pierwszeństwa niektórym pojawom, tak dla braku dostatecznej liczby obserwacji w różnych punktach kuli ziemskiej, jako też dla niewykrytej dotąd (a może istniejącej) zawistości niektórych zjawisk meteorologicznych, w tej nauce miejsca mieć nie może, a ztąd trudno wyrzec, który z praktykowanych układów jest lepszym. Meteorologia dotąd nie jest jeszcze nauką, dopiero zbiera i porządkuje swe materiały. P. Jastrzębowski w uporządkowaniu pojawów trzyma się tej zasady:

Na pierwszym miejscu widzimy linie krzywe dla długości dnia w ciągu całego roku, za nią jako bezpośrednią wynikłość, znajdujemy umieszczoną linią zmian temperatury średniej, największej i najmniejszej. Parowanie będące najważniejszym skutkiem temperatury, pomieszczone zostało na trzecim miejscu, wraz z średnią ilością pary w powietrzu i wilgocią powietrza. Naturalnym następstwem poprzednich jest pogoda, słońce, ilość spadłej wody, a ztąd wezbranie Wisły. Dwa nakoniec ważne w meteorologii fenomena, wiatr i ciśnienie powietrza, przez innych wyżej w szeregu zjawisk kładzione, pan Jastrzębowski na końcu ustawił, zapewne z powodu nieregularności krzywych, te pojawy przedstawiających, jako też i zależności ich od wielu z powyższych fenomenów.

Oprócz powyżej przywiedzionych powodów umieszczenia wiatrów i barometru na końcu szeregu zjawisk meteorologicznych, zdaje nam się, iż niemniej ważną odgrywał rolę sposób zapatrywania się szanownego autora na powstawanie wszystkich wiatrów. Autor bowiem jak to już w zeszytcie styczniowym Bibl. War. wspomnieliśmy, za główną przyczynę wiatrów na stałym lądzie wiejących, podaje większe powstawanie pary wodnej w jednej i większą sposobność skraplania się jęj w innych miejscach kuli ziemskiej.

• Co się tyczy ogólnej przyczyny przez autora przywiedzionej, jak to każdy zresztą osądzić może, ta jest na gruntownej

oparta zasadzie i prawdziwą. Raptowne skraplanie wody w niektórych miejscach, szczególnie w znacznej rozległości, winno i rzeczywiście sprawia zerwanie równowagi w atmosferze, a ztąd jej prądy zwane wiatrami.

P. Jastrzębowski opierając się na tej przyczynie, przy pomocy ładu zimnego środkowej Azji i ciepłych mórz Śródziemnego i Atlantyckiego, usiłuje wytłumaczyć przemagając bytność u nas wiatru południowo-zachodniego; poczytuje więc ten wiatr jako skutek sprzyjającej miejscowości.

Czyniąc uwagi nad tém tłumaczeniem autora, uważaliśmy wiatr południowo-zachodni u nas i w całej Europie najczęściej wiejący, jako cząstkę ogólnego prądu powietrza w większych szerokościach północnych, zniżającego się ku ziemi, i z tego głównie stanowiska wychodząc poczytaliśmy tłumaczenie autora za niedostateczne. Trudno jest rozstrzygnąć nieposiadając wypadków obserwacji meteorologicznych ze środkowej Azji, które z tych przypuszczeń jest prawdopodobniejszym; zdaje się jednak za drugim więcej przemawiać dowodów.

Z powyższego opisu szczegółowego karty p. Jastrzębowskiego przekonywamy się, że ta i swym układem i wielością przedstawionych pojawów bardzo może być w praktyce użyteczną.

Gospodarze wiejscy, których szczególnie obchodzą zmiany i rozmaita obfitość światła, ciepła, wody i kierunki wiatru, znajdą w niej na pierwszy rzut oka odpowiedzi na wieloliczne pytania.

S. P.

Rachel, powieść Żegoty Kostrowca (ks. Ignacego Hołowińskiego). 1847. Wilno.

Żyd Abramek był dzierżawcą karczmy *Wygody* i ojcem *Racheli*. Huczny był dzień zaręczyn *Racheli* ze ślicznym *Dawidkiem*. Grono starozakonnych wieszowało i zazdrościło młodej parze. *Rachel* z pogodnym uśmiechem, w ten

dzień pożegnała rodziców udając się na spoczynek, i w nocy — znikła.

Koło karczmy Wygody była kapliczka, a przy niej posąg N. Panny, przedmiot czci i pielgrzymki całej ludności chrześcijańskiej z okolicy. Rachel była jeszcze dziecieniem, kiedy ten posąg który codziennie widziała przed sobą, stawał jej w oczach i we śnie; umiłowała nad wszystko ten posąg i nad wszystko to imię Marya; figurze jej razem z innymi cześć oddawała i śluby święciła. Raz kiedy się bawiła na wzgórkach z towarzyszkami które przносиła pięknoscią i mową twarzy, ujrzał ją *Karol*. Ten Karol było młody, marny chłopiec, syn pp. marszałkostwa z sąsiedztwa; raz ujrawszy Rachel, umiał odtąd widywać ją często ukradkiem; nauczał ją zasad wiary chrześcijan, do przyjęcia tej wiary skłonił, i razem z *ks. Tomaszem* przeorem z *Białokoń*, ucieczkę jej ułatwił.

Niedaleko Białokoń, był też dom pp. podkomorstwa z Nasówki. Ci pp. podkomorstwo mieli dwoje ulubionych sobie dzieci: p. *Ludwika*, który świeżo z zagranicy powrócił i pannę *Jadwigę*, która lubiła tańce; druga ich córka *Klara*, która osobno była chowana, przeznaczoną była do klasztoru. Głową domu tego była pani podkomorzyna. P. podkomorzy ulegał swjej żonie *modnej*, i porządne niegdyś dochody Nasówki zamieniły się w długi; jedyną nadzieją domu był teraz p. *Ludwik*, mający na oku córkę pp. marszałkostwa *Ewelina*.

Rachel znalazła schronienie w klasztorze zakonnicy, do którego właśnie w tym czasie odwieziono i Klarę. Rachel i Klara połączyły się wkrótce przyjaźnią, lecz smutne dalej miały je spotkać wieści i dzieje. Panna Jadwiga która lubiła tańce umarła z tańców. Panna Ewelina poślubiła pustego i wietrznego pana *Ludwika*, lecz poślubiwszy go i poznawszy że wietrzny, umarła. Umarł i *Gabryel* w wojsku, wychowaniec pp. podkomorzostwa, jedyny i rzetelny przyjaciel Klary.

Tymczasem uwiadomieni żydzi o schronieniu Racheli, porwali ją, osadzili w więzieniu i wymierzali już przeciw niej cios śmiertelny, ale *Pleśniak* (niegdyś *dział kościelny*,

dalej *sluga* w Wygodzie, dziś *zebrak* i wykonawca woli ks. Tomasza), rozrzucił z towarzyszami kraty więzienia i oswobodził uwięzioną.

Oswobodzona Rachel przyjęła chrzest, ale nie przyjęła oświadczeń p. Karola. Przez ucieczkę swą stała się najprzód przyczyną śmierci matki, dalej ojca, i ślub uczyniła resztę życia poświęcić pokucie klasztornej. Wiadomość wszakże iż obudziła miłość w Karolu, obudziła w niej wzajemną: przemogła ją, lecz ta walka przemogła jęj siły, i życie jęj wkrótce zgasło.

W lat 10 p. Karol był mężem Klary (która po śmierci Jadwigi wróciła do domu rodziców) i ojcem ślicznych dzieci; ks. Tomasz umarł z cholery, p. Ludwik w Niemczech z pojedynku.

W takiej treści rozwija się powieść ks. Hołowińskiego *Rachel*; lecz zdaniem naszém, nie sięga swego celu artystycznego. Artystycznym celem powieści jest sprawić efekt, a zdaniem naszém, powieść *Rachel* nie sprawia efektu. Że ogół i szczegóły tęj powieści nie sprawiają wrażenia, jestto, jak się nam zdaje, skutkiem dwóch przyczyn:

Najprzód: Za wiele mamy wypadków, za wiele bohaterów i bohaterek w ramach nieobszernęj powiastki; w kilku rozdziałach jęj, spotykają nas (pomijając już rozwinięnie głównego charakteru bohaterki) pięć par zakochanych, cztery uwięzienia, z piętnaście śmierci i t. p. Dla powieści w formie opowiadania, żadna objętość nie jest za szczupłą; ale przygody, charaktery i sytuacje w powieści *Rachel*, rozwijają się w obrazach i dyalogach, dyalogi te musiały więc zostać niepokojone, i obrazu niedomalowane.

Powtóre: Czujemy *brak złudzenia* w sposobie wykonania powieści; w rozwinięniu jęj nie tyle widzimy rękę twórczą harmonii wypadków ludzkich, ile raczej samego autora, osoby prowadzące dyalog w powieści, mówią zwykle nie z potrzeby sytuacji, nie do siebie, ale do czytelnika. Takimi są np. zaraz przy początku opowiadanie przed Karolem swojęj historii przez nieproszonego *Plesniaka*, rozmowa *Gabryela* i *Klary* o swojęj przeszłości; wykład przez Abram-

ka i jego żonę obrzędów żydowskich, swym starym służącym zapytującym (dopiero teraz) o ich znaczenie; wykład drugi tychże, przez rabina *Echaim*, żydom oczekującym niecierpliwie na wyrok w sprawie Racheli, i taką jest wreszcie (oprócz miejsc innych) samo zakończenie powieści, w którym osoby powtarzają przed sobą ze szczegółami wypadki wiadome im od lat dziesięciu, o każdej znajomej figurze czytelnikowi. Brak złudzenia, prostą drogą wieść musi do braku efektu. Bohaterowie powieści nie obudzają w nas ani trwogi, ani wesela, ani gorszą ani budują, czujemy bowiem, iż dalszy ich los leży w dobrej woli autora.

Dodać winniśmy, że cieszymy się iż los Racheli nie robi efektu; figura ta, wychowanica nocnych schadzek, przyczyną śmierci rodziców, nieprzyjaciółka siebie i ludzi, nietyło wydaje się nam w powieści jako mogącą pociągać swoim przykładem niebios ulubienicą, jak raczej jakiegoś złośliwego ducha męczenniczką.

Zarzuty te wyrazić przeciw powieści Racheli, poczytywalibyśmy za powinność; w niejednym jej bowiem pomysle i rysie postrzegamy znakomitszą rękę pisarską. Niektóre figury jej, jak ks. *Tomasz, Pleśniak* i t. p. są nawet oryginalne; niejeden charakter kobiecy, jak np. *Eweliny*, wszędzie trafnie zeszkicowany.

Treść powieści, przeplatają też licznie opowiadane w kształcie anegdotek (przez nieukładnego, lecz powszechnie szanowanego ks. Tomasza) legendy i tradycyjne powiastki o różnych miejscach wokolicy. Zarzuty które mogły spotkać powieść z tej strony, uprzedził autor zaraz przy początku książki słowami ks. Tomasza, obróconemi do Ludwika śmiejącego się z legend i wiary krajowej. Przytaczamy tu ten urywek dialogu, jako charakteryzujący jeden z celów książki.

„Widzisz kochany Ludwiku (mówił ks. Tomasz do p. Ludwika, buntującego do szyderstwa niebroniącą się wcale p. Ewelinę z legendy z czasów Bolesławowskich o założeniu *Białokoń*), ludzie wiary zapatrując się na wszystko jako na dzieła rąk Bożych, widzą dokoła same cuda, które ustawi-

cznie wszechmocna ręka wywodzi przed naszymi oczyma: tym sposobem odnosząc wszystko do Boga, muszą mieć pociąg ku cudowności, bo ta właściwie mówiąc, stanowi główny ich żywioł. Przeciwnie ludzie *samego tylko* rozumu, przywykły we wszystkiém widzieć nie tak Stwórcę jak samo stworzenie, muszą tracić z oczu tę cudowną rękę Boga, i na wszystko poglądać jako rzecz zwykłą i mogącą się wytłumaczyć, a ztąd mają wrodzony wstręt ku wszelkim cudom, bo w nich działanie Stwórcy nie daje się w żaden sposób usunąć. Kiedy więc człowiek wiary marszczy się na zaprzeczenie jakiejś tradycyi, którą i sam nie uważa za prawdziwą, wtedy nie idzie rzecz o ten marny szczegół, ale po prostu ścięrają się dwa sprzeczne żywioły, dwa pryncypia, nie o rzeczywistość, ale sam sposób imaginacyi."

P. Ludwik zrobił na to uwagę; iż z tolerowania podobnych imaginacyi taka wynikła mieszanina, iż dziś choćbyśmy nawet chcieli, nie możemy z żadnej książki dowiedzieć się czego się mamy trzymać w katolicyzmie.

„O kochany Ludwiku, odpowiedział mu ks. Tomasz, jakże znacznie że przerobili cię Niemcy. Jestem pewny, że mimo twój skargi na brak książek czysto religijnych, nigdy ich nie szukał: bo w takim razie pewnieby ci wpadła w ręce jeśli już nie inna, to przynajmniej ta mała, cieniutka i bardzo pospolita książeczka, w której na początku A. B. C. a w końcu najczystszy i najdokładniejszy wykład nauki katolickiej.”—Autor jak samą treścią swój książki, tak i w pojedynczych zdaniach, objawia tę wiarę, iż nauka skuteczna dla ludzi winna stawać nie zewnątrz, ale wewnątrz życia towarzyskiego. Tenże ks. Tomasz który potępiał Ludwika miłującego jedynie świat, potępiał i Karola, który zaczynał czuć wstręt do świata. „Bo widzisz, mówił do niego, w mętnej wodzie nie ujrzysz swojej twarzy, tylko w cicho płynącej; ale kiedy znowu zupełnie stoi, wtedy spleśnieje i tak zarosnie, że w niej się nie przejrysz jakby w mętnej. To samo i z duszą, która w roztrzepaniu nie może siebie poznać, a w pomiarkowaniu widzi siebie dokładnie, lecz w zupełnej i ciągłej samotności tak się napłodzi pleśnią, że znów niepodobna zbadać stanu swój duszy.”

Cecha ta, iż każdy prawie charakter, każde zdanie w powieści Rachel ma za cel: udzielenie nauki religijnej, mówienie, że tak powiemy kazania, ustami romansu, nadaje tej powieści odrębną barwę od innych u nas wychodzących. Powaga jednak i surowość autora, nie zdołały w niej wcielić się w giętkość i żywość towarzyskiego opowiadania.

T.

Kompozycje na fortepian: *Bagatelles par* Listowski. *Chansons sans mots, par* Szczyński. *Valse brillante; Fantaisie sur un thème polonais, par* O. Kolberg. *Variations brillantes sur une Cracovienne favorite. Premier Caprice i Fantaisie et Variations brillantes sur un motif favori de l'opéra Lucie de Lammermoor de Donizetti, par* Pauline Fechner.

Stan sztuki lub nauki jakiegokolwiek, niezaprzeczenie najlepiej się objawia płodami we właściwych gałęziach; ich ilość i jakość pokazuje liczebnie wyższe zdolności, choćby tylko we własnym twórców rozumieniu, a ztąd znać dążności, pojęcia ogólne o rzeczy przeważające, choćby niekoniecznie na dobrą stronę. Bo łatwo stać się może i dzieje się nawet, że prosto widząca mniejszość nie zdoła słabym swym głosem zwyciężyć wrzawy mass, którym się zdaje, że równie prosto widzą i po łupinie sądzą, że zawsze w środku orzech znajdują. Dla tych zostaje doświadczenie; ostrzedz ich, jest przecie obowiązkiem. Ale cóż zrobić z ludźmi, którzy widząc owoc odległy i piękny, choć może tylko pozornie, nie raczą nawet zwrócić uwagi na padające wokoło nich owoce? Taką była nasza publiczność dawniej w wielu względach, taką i dzisiaj jest w wielu, szczególnież co się sztuk pięknych dotyczy a mianowicie muzyki. Podobna do owych wykwintnych ogrodników, coto pielęgnują zamorskie rośliny a o własnych krzewach nie wiedzą, publiczność nasza obojętną jest na mogać z jej łona

wypłynąć talenta. Spytajcie w handlach muzycznych niech wam powiedzą, czy kto się pyta o pracę rodaka artysty, czy ją kto kupi? powiedzą ci i owi, jak to kupować gdy nic nie warto? sądzą jednak na ślepo, ze zwyczaju, bo prawie nikt poznać się nie stara; swego, może i nieosobliwego nie chce, ale obce ramoty kopami sprowadza. Chce dobrego, a nie umie zachęcić, pomódz, nagrodzić; czeka aż za granicą ludzie się poznają na tém, co ma u siebie, albo mu zginąć dozwoli. Dawneżto czasy, gdy wszyscy co pisali krzyczeli na obojętność ziomków? i niedaremne były ich głosy; dziś wielu kupuje choć nietylu ileby powinno; mamyż płody naszych kompozytorów tym samym sposobem polecać? Czyż rzecz sama niedosyć za sobą przemawia? Ci oto wdzierając się do przewodniczenia kierunkowi ogólnemu, pragnąc zyskać powagę i wziętość, imię swe publicznie jako autorów ogłaszają; ci chcieliby święte dla nich chwile natchnienia uwiecznić, inni głupstwu szemrzącemu cisnąć w oczy dowód własnych prac i zdolności; toć należy wesprzeć ich starania gdy tego są godni, albo je odrzucić w przeciwnym razie. Ale do tego znać naprzód potrzeba. Aby więc chętnym zaznajomienie się podobne ułatwić, zbieramy tu prace wyżej wymienione i niewielką liczbę mających nastąpić, by je przedstawić publiczności niech się wstydy, że ich tak mało, niech się wstydy jeśli coś dobrego nie znała, i niech się wstydy jeszcze, jeśli mierne tylko lub złe napotka.

Pod nadpisem *Bagatelles* pokazały się u nas dwa małe numera, poświęcone młodzieży płci żeńskiej, o których treści uprzedzają charakterystyczne wyrazy: *Candeur* i *simplicité*. Muzyka bez charakteru nie jest, o tém wiadomo każdemu, kto słuchając jęj czuł się raz smutkiem, drugi raz radością przejęty. I nie tylko te dwie różnice tonami tłumaczyć się dają, wszelkie odcienia uczuć jakim serce ludzkie ulega, jęj języka używać mogą korzystniej nieraz, jak innych sposobów. Inaczej rzecz się ma z rysami charakteru, które się poznają raczej po zjawiskach umysłu dotykających jak uczuć, bo muzyka tylko sposobem dramatycznym pierwsze tłumaczyć może, co widocznie wymaga innych sztuk pomocy. Liryczność za-

słaba jest na to, tém bardziej, im podobne wspomnianym rysy charakteru więcj są do siebie zbliżone. Do tego potrzeba dokładnego zbadania delikatnych różnic i podobieństw, oraz zręczności w przedstawieniu. Ile z muzyki w mowie będącej widzimy, brakło autorowi obojga. Niezalecające się nowością pomysły muzyczne, dane bez opracowania charakterystycznego, dowodem są lekceważenia przedmiotu i niezrozumienia znaczenia i władzy technicznych muzyki środków, gdy silnych czasem działaczy (jak syukopy, zmiana ruchu, gwałtowne akcentowanie) użyto na przedstawienie łagodnych rysów. Wprawdzie zrobiono to nierozlegle, ale to tylko dla krótkości. Łatwość faktury, czyni te drobiazgi przystępnymi młodemu pokoleniu, któremu je autor poświęcił; brak jednak sposobności do kształcenia się na nich naukowo i poetycznie, niezdolnemi je czyni do celów pedagogicznych.

„Pieśni bez słów”, podobało się także autorowi ich, objaśnić wyrazami: *melancolie* i *chanson d'amour*. Pieśni bez słów, sąto krótkie pomysły muzyczne na instrumenta, najczęściej na fortepian przeznaczone. Ich styl zastosowanym być powinien do skromnego stylu piosnek pod wyrazy podłożonych; nie zabrania jednak sutěj czasem przygrywki instrumentalnej; bo jěj i rodzaj pierwiastkowy nie odrzuca, biorąc z niej podporę i dokładność, jakiěj nie może mieć głos ludzki w żądanym przez kompozytora stopniu. Pieśń bez słów, nie jest nową formą kompozycyi instrumentalnej, ale samoistnie przedstawiają cym się rozleglejszych form urywkami, ozdobionym nowem nazwiskiem przez Mendelsohna Bartholdy, którego sześć poszytów „*Lieder ohne Worte*” (Breitkopf i Härtel w Lipsku) są zarazem najgodniejszym naśladowania wzorem. Forma sama z siebie prosta i łatwa do utoczenia, równie jak do pojęcia, zyskała licznych przyjaciół, i dziś niema kompozytora, któryby w tym rodzaju nie pracował a wielu od niego zaczyna. Przecież nadużycie wciska się wszędy; kompozytorowie wirtuozzi niezdolni dojsć prostoty i wdzięku połączonych z istotném znaczeniem, usiłują brak ten zapełnić właściwemi sobie wybrykami instrumentalnemi, i skromne utwory na koncertowe

zamienili, zyskując tym sposobem jeden więcej środek urozmaicenia swych przedstawień formą nierozległą, a więc mniej nudzącą słuchaczów, psując jednak co pięknego, jak to dosyć jest ich zwyczajem. Co w podobnym rodzaju lepszego się znajduje, pochodzi z wynalazku melodyi, która tém rzaźniej się udaje, im prostszą być powinna, i z obmyślenia stosownych przygrywek, któreby urozmaicały myśl pierwszą i jedyną, a znaczenie jej głębszém uczyniły. Jeśli więc znajdziemy pieśni bez słów, których melodia po znanych oddawna zaulkach się tuła, a do niej przygrywkę powszednią sto razy już słyszana, nie możemy sumiennie tego kompozycyą nazwać, ale lepianką. Takiemi są właśnie pieśni pana Szczasnny. Wzdrygnie się ciekawy spojrzawszy na nie, tak czarno i najeżone wyglądają, i zadziwi się poznawszy, że tyle hałasu dla niczego, że dziewięć dziesiątych nut odrzuciwszy, zostanie melodia tak naga i nieudatna, żeby się za nią dyllutant zarumienie powinien. Tém gorzej, że podobało się autorowi lotność i rozgłos na karb cichój a rozważnej melancholii położyć. Pieśń druga *chanson d'amour*, jest w pierwszém przedstawieniu walcem znośnym jako muzyka taneczna, choć już z użycia wywołanym dla zbytniego spospolitowania; przedstawienie drugie i trzecie, chociaż raz w sieć biegaczów (tych samych co w pieśni poprzedniej ale pełniejszych) uwikłane, drugi raz potężnemi akordami obłożone, tym samym słowo w słowo jest walcem. Kto chce bliżej z przedstawieniem się poznać, niech sobie przypomni zakończenie fantazyi Thalberga z Mojżesza, a w miejsce wszystko uszlachetniającej melodyi Rossiniego, niech położy trywiałnego walca, a będzie miał pieśń miłosną! Tytuł trafny nadano dwom tym kompozycyom: „*chansons sans mots*”, zamiast *sans paroles*, bo są rzeczywiście bez znaczenia. Odmawiając autorowi zasługi wynalazku i poetycznego pojnowania uczuć, nie możemy mu zostawić mniejszój, równie jednak ważnej zasługi, technicznego wykończenia. Szczególniej pieśń pierwsza pod tym względem zawiniła. Nie wdając się już w rzeczy rutynie wiadome, przytoczymy tylko zakończenie części pierwszój akordem (sextowym), niezdolnym kończyć dla swego charakteru; to jedno uchy-

bienie w logice muzycznej (a jest ich więcej) tak jest ważne, że dla znawcy niewątpliwą jest przepowiednią tego co nastąpić może.

Jeśli teraz z kolei wspominamy o innej kompozycji tegoż autora, pod tytułem „*Valse brillante*”, to tylko dlatego, by dowieść, żeśmy w niej szukali korzystniejszych dlań spostrzeżeń; przecież i o niej to samo powtórzyć należy co o poprzednich powiedziano: wynalazku ani iskry, znajomość muzyki powierzchowna i pretensyi wiele. Bo czyż się godzi nazywać świątym, walca całkiem jakby do tańca przeznaczonemu; u czytniąż go takim zamieszczone na końcu kształtowane akorda?

Tytuł kompozycji pana Kolberga „*Fantazyja*” tak jest dzisiaj sponiewierany, że stosowną zdaje się nam rzeczą zastanowić się nieco nad nim. Fantazyja w głównym znaczeniu, jestto swobodna gra myśli nieogłędnej na utartą już drogę, na przyjęte formuły, któremi powoduje się nawet wyobraźnia. Sąto zjawiska wyjątkowego kierunku myśli, którym chwilowa impulsya za logikę służy; ich bieg i kolej zależą prawie od kapryśnego wypadku sprowadzonego niepowściąganym marzeniem, co w jednej chwili od ziemi do nieba przeskoczyć umie, zatrzymując się wszędzie ile mu się podoba. Dzieła chwil takich mają wyłączne każde dla siebie prawa, których obejrzenie rozważne drugi raz już zastosować nie zdoła. pojąć ich związku nawet nie będzie w stanie. Gdybyśmy mieli tylko płody w podobnym usposobieniu umysłu stworzone, nie mielibysmy dzieł sztuki, których zadaniem jest dążność do jednego celu; byłoby to coś jak owoc ciągłego natchnienia, które tylko chwilami dla śmiertelnych błyska; byłabyto zawsze improwizacya, nie jak owe pisane, oblane potem i njezone rozwagą autora, ale jak płód poetycznego wybryku, pojmującego się dopiero w chwili działania, niewiedzącego dokąd zabiegnie i jak długa będzie droga jego. Fantazyja taka jest podobna do szalu, w tém od niego różna, że nie jest obłądem i dlatego mniej ceniona że rzadka, nieujęta a więc niepożyteczna; a jednak takie wirowe umysłu chwile są mu wypoczynkiem i szczęściem. Fantazyja przestaje być fantazyją, gdy w materialne pochwyconą jest formy: nie wytrzyma roztrząsania, bo bez niego pracowała;

Jej początek natchnieniem zwany w skok porwała wyobraźnia i do pewnych kierując się celów, utworzyła dzieło sztuki. Ale zawsze ustępuje miejsca fantazyi jako swój rodzicielce, ilekroć tamtęj powracać się zdarza i ztądto pochodzi, że takim dwostym stępem naznaczone dzieła sztuki, potrzebują częstego oglądania by pojętemi być mogły. W témto znaczeniu pojmany wyraz fantazyi i do kompozycyi muzycznej zastosowany, znaczy utwór mniej więcej wydzierający się z obrębu formy, służący mu za osłonę i rodzajowi zakreślonej: może mieć wiele swobody, dowolności prawie, niewykraczającej jednak z granic prawdopodobieństwa i przypuszczenia dlatego, że się materją odziewa. Dzieło sztuki pod mniej szczęśliwemi okolicznościami zrodzone, wymaga pewności, skrupulatnej loiki. Fantazyi w muzyce jest jeszcze nazwiskiem upowszechnionych między wirtuozami dzisiejszemi kompozycyji potwornych, w których pokazują się coraz nowe pomysły, najczęściej komu innemu wzięte i przedrzeźniające fantazyę, która przecieź wybiierać nie umie. Pomysły te niekiedy dla zaznajomienia się, do wstępu zwołane bywają, a w dalszym ciągu różnie obok siebie posadzone lub poprzegradzane, co wszystko zależy od *savoir faire* mozolącego się kompozytora. Niema potrzeby opisywać bliżej tego rodzaju, bo znany jest wszystkim co ile tyle muzyki słuchali; lubiony od wszystkich, którym się w głowie pomieścić nie może, że muzyka to sztuka i nie godzi się jej na tandetę oddawać.

Rzecz jasna, że kompozycya p. Kolberga pod jedno z tych dwóch ostatnich znaczeń wyrazu fantazyi, podciągniętaby być mogła, ale pod żadne podciągniętą być nie może. Dla pierwszego za mało ma polotu a raczej wyskoku, dla drugiego jej szkoda; ani się ono do niej ściąga. Jestto po prostu kujawiak (obertas) na obszerną miarę rozwinięty, stosowny i w duchu późniejszych tematów wstępem poprzedzony, to smętnych, to rześkich a zawsze powabnych, rozmaicie przemienianych a zawsze ze smakiem, często z niezaprzeczoną wdzięką, albo z właściwą rodzajowi rubasznością. Rozmaitość cierpi nieco na zbyt ucinkowym stylu, w którym wyłącznie prawie autor wiązała tematów utworzył, a okali-

czność że niemal wszystko do głównych myśli się ściąga lub z nich wynika, jak z jednej strony świadczy o jedności wszystkie części kompozycji wiążącej, tak z drugiej jest dowodem zbyt drobiazgowego opracowania przedmiotu. I toć to jest najwięcej, co nazwę fantazyi do kompozycji w mowie będącej, niestosowną czyni. Autor ledwie niekiedy opuszcza myśl z której wyszedł lub do której dąży, ale zato rozwinął dosyć wyobraźni uniejącej bogactwo w jednej myśli wypatrzeć i dowiódł zręczności w ciągłym utrzymaniu płynności i życia. Jednak życie to, jakby umyślnie podniecone sztucznymi środkami nam się zjawia; dysze burzliwością, którą za głębokość i siłę zrazu ucho przyjmuje, w końcu nazwiegwałtem i szorstkością. Pochodzi to ze zbyt częstego używania twardych akordów, czasem z niezwyklego i jakby wyszukanego prowadzenia harmonii i zbytnej ufności w naturę fortepianu, zdolnego za pomocą pedału nie tylko przetrzymać uderzone już tony, ale i masę innych niedotkniętych ręką obudzić. To daje pochop do zaniedbanego prowadzenia głosów, niedopełniania akordów co do liczby tonów i tym podobnych uchybień, dziwnych zrazu efektem, męczących w końcu nadużyciem. Łatwo się tego ustrzedz, poddając się od czasu do czasu surowym pracom na głosy ludzkie, mające zakreślony obręb działania i dźwięk ciągły. Tego rodzaju studye nie tylko uczą wywijania się z trudności bez ich przeskakiwania, mnożą siłę władania materiałem, uczą skrupulatności, ale nadto chronią od jednostajności w pracach artystycznych, ułatwiając wzięcie się do innego rodzaju. Błędem jest bowiem mniemać, że zdolności w jednym tylko rodzaju rozwijane doprowadzą w nim do mistrzostwa. Jeden zawód, a w nim wszechstronność, to człowieka umacnia, a rozlicniejszemi pracą jego czyniąc, zastania go od zgubnej manieri w którą się przedzierzgnie nawet istotna oryginalność w jednej stronie wigziona. Tę ostatnią myśl nasuwają nam dziesięć mazurów tegoż autora nie do tańca przeznaczonych, o których powiedziawszy że są prawie wszystkie wyborne, dodamy tylko, że duch kujawiaków bardzo silnie w nich się przebijają. Ścisłe rzeczy biorąc, mamy prawo żądać w mazurach siły i wdzięku

skocznego, w kujawiakach rubaszości i prostoty. Jednak przeważny przykład Szopena mieszającego dwa te rodzaje tak zresztą blisko zpowinowane z sobą, wiele usprawiedliwia.

Dylletantom wszędzie i zawsze więcej się wybacza, niż ludziom z zawodu przedmiotowi jakiemuś się poświęcającym. Tak też i my zrobimy, wspominając tu o utworach pani P. Fechner, u Hoffmeistera w Lipsku na widok publiczny wyszłych (*) Wymieniamy je z krótkimi nad nimi uwagami: 1) Waryacje z ulubionego krakowiaka; początek wstępu hałaśliwy i bez symetrii; dalszy ciąg miłą rozpoczynający się myślą, niema dla niej równoważnej, sam krakowiak znany powszechnie, przeznaczony niekorzystnie; waryacje z niego bez znaczenia, bez jedności w swych cząstkach i wykończenia pomysłu: słowem, całość się nie udała; 2) „Pierwszy kaprys” we wstępie zaraz uderza zbyt czułym naśladownictwem znanego powszechnie Kaprysu Herza co do zmian ruchu i rodzajów taktu. Pomysł podobny choć tytułem usprawiedliwiony być się zdaje, jest tylko pozorną kaprysu oznaką; ma on być w myśli a nie w jej odzieniu. Osobliwość podobna raz użyta, może za oryginalność uchodzić ale powtórzyć się nie da. Są jeszcze inne szczegóły dowodzące, że autorka ów *Caprice* Herza, uważa za coś bardzo godnego naśladowania, na co się nie zgadzamy. Mimo to ten właśnie Kaprys najlepszy jest z prac pani F.; tak więc pilnującym ładu wstępem, dobrym i oryginalnym tematem w rytmie krakowiaka (którego jednak drugiej części zarzucić trzeba zbyt wyszukania na temat), jak i waryacjami niemającymi wprawdzie cechy oryginalnej przecież dosyć udatnieni. 3) Fantazyja i waryacja na temat z Łucyi z Lammermooru niemają potoczystości i pod względem pomysłów niższe są od pierwszej nawet z prac autorki tu wymienionych, a równie liczne ma wady. W ogóle mówiąc, nie brak autorce talentu skoro tyle sama przez się zrobić zdołała, bo widocznie brak wszelkiego usposobienia naukowego, koniecznego nawet dla

(*) Wszystkie prace poprzednio wymienione, wydane są w Warszawie.

drobiazgów, jeżeli one do dzieł sztuki policzone być mają. Wprawdzie trudno wymagać nauki od płci żeńskiej, gdy męzka o oświecenie się nie stara: nie brak przecie przykładów. Klara Wieck (dziś Schuman), głośna jest w Europie ze swych kompozycyj świadczących o gruntownej i rozległej nauce; w Belgii imię pani Farrenc stoi zaszczytnie obok imion zasłużonych na polu kompozycyi instrumentalnej (jak kwartet, symfonia i t. p.), że inne przykłady pomijamy. Na znakomitych talentach między kobietami w różnych rodzajach prac artystycznych i nam nie brakowało; sama tylko kompozycya muzyczna prócz Szymanowskiej nie ma drugiej reprezentantki w kraju naszym. Czy p. F. nią będzie, przyszłość pokaże. Tymczasem radzimy jej odrzucić daleko nie już niewolnicze, ale odległe nawet naśladownictwo Herza, Hüntena i wszystkich im podobnych; ich czas już minął, wkrótce minie czas Lisztów, Thalbergów i t. d. Przecież muzyka nie upadnie, gdy bez nich tak długo istniała. Uczucia i potrzeba ich wylania tonami na zawsze pozostaną; one niech będą bodźcem i wzorem, jak są prawdą; przykładów nie brakuje.

J. S.

ROZMAIŁOŚCI.

O handlu zamiennym prowadzonym przez Dniepr na morzu Czarném.

Handel zamienny.

Dniepr posługuje do spławiania na morze Czarne z nadbrzeżnych okolic, tudzież z przyległych rzekom doń wpadającym, wielu produktów w handlu poszukiwanych, a głównie: drzewa do budowl domów i okrętów, oraz opału, dziegciu, smoly, piku, potażu, węgla, przedziw lnianych i konopnych, żelaza, łożu i skór.

Odessa w której wszystkie te produkta łatwy i korzystny odbyt znajdują, ma na handel zamienny, jak dotąd jednę sól, w którą obfitują limany odeskie i dniestrowe, a która z nawiązką może odplacić wszystkie produkta dla jej nabycia na sprzedaż dostarczane. Dodać zaś do rzeczcnego handlu zamiennego możnaby jeszcze towary kolonialne, wina francuzkie a nawet krajowe, i wiele innych produktów zagranicznych, któreby miejscowa potrzeba w rozciąglejszych wskazała stosunkach, i które często w Odessie na zyskowną spekulacyą nabyćby można (1).

Dotąd cały obrót wzmiankowanych robót zostaje w ręku niedołącznóm, utrzymuje one tylko sama konieczność sprzeda-

(1) Lecz autor powinien pamiętać, że Odessa jest wolnym portem.
Przypisek p. M. Pawliszczewa.

ży produktów stron obu, a kierują niemi, że tak wyznać należy, jeno podstępne a zawodne wybiegi mitrężonych wzajemną niewiarą przekupni (1).

Gubernie Dnieprem handel wiodące.

Ziemie mogące korzystać z powyższego handlu z Odessą, zajmują gubernie: chersońska, kijowska, mińska, mohylewska, czernichowska, połtawska, ekaterynosławska i taurycka.

Gubernie: mińska i kijowska dostarczają obficie produktów leśnych, jakoto: maszty, kłody, wańczozy, knice, łąty, krokwie, drzewo opałowe, węgiel, potaż, dziegieć czysty, pik i smoły tak zwane wozową podradową; tudzież na sprzedaż rozdrowbowa, wyroby drewniane do rolnictwa i gospodarstwa, szkło, i inne mniejszej wagi produkta, okolice lasowych.

Mohylewska dostarcza głównie przedziwa konopne, lniane, płótna różnej tkaniwy, parusinę i w niewielkich partjach wyroby drewniane do rolnictwa i gospodarstwa, szkło, rohoże, i tym podobne produkta leśne mniejszego obiegu w handlu.

Czernichowska i połtawska spławiają w wielkich ilościach także przedziwa lniane i konopne, płótna niższych wyrobów, oraz jak ekaterynosławska, taurycka i chersońska łoje, skóry, wełny i zboża.

Sprzedaż produktów w handlu dnieprowym obieg mających.

W każdym rodzaju sprzedaży, im sprzedawca więcej się zbliży do ostatniego spożywającego jego produkt, tem zyskowniejszy i pewniejszy znajduje odbył. W handlu dnieprowym tym punktem głównym i niejako ostatniego spożycia jest Odessa; złąd też jedynie prawie w tém miejscu pewną sprzedaż i najlepszą cenę otrzymać można. Kijów i Kremieńczuk są tylko portami przekupniami, gdzie jak spekulanci tak i targ rzadko jest pewny i stały. Mikołajew z powodu ustanowionej tam admiralicyi rządowej, jest miejscem znakomitego potrzebowania drzewa do budowli okrętów.

1) Są przekupnie lecz więcej kupców. Domy handlowe odeckie znane są całej Europie, bo Odessa prowadzi handel z całą południową-zachodnią Europą.

Zastanowimy się nad tak oznaczonym ważniejszych produktów Dnieprem splawianych odbytem, o ile nam tego zebrane wiadomości, wśród przeszkód kwarantan, w punktach najbardziej interesujących dozwolą; zwracając uwagę głównie na produkta, leśne, handel za nie zamienny i żeglugę dnieprową.

Drzewo używane do budowli okrętów, domów i opałowe.

Maszytę przedają na morzu Czarném, acz tanięj, ale daleko łatwiej niż w porcie rygskim, gdzie kupcy bardzo są wyniślni w ich brakowaniu, i te które tam nie były przyjęte, mogą być poszukiwanemi na morzu Czarném.

W Kijowie i Kremieńczuku kupują maszytę długie od 12, do 14 sążni, a grube na 7 werszków; używane są one do barek, bajdaków i łódek. Ceny średnie a bliższe minimum (1), tak uważać można:

W Kijowie od r. as. 22 do 25.

W Kremieńczuku — 30 — 35.

Maszytę prowadzone przez Cherson do Mikołajewa i Odessy, bywają oprócz wyżej wskazanego rozmiaru długości od 60 do 90 festów (fest znaczy 12 decymów czyli cali angielskich), a grubości uważanej w dwóch miejscach, raz od komla i ta powinna być od 20 do 28 d.

Drugi raz u wierzchu 12 — 20 d.

Cena średnia, hurtowa na sztuki, oznaczonych rozmiarów, w partyi złożonej z większej części mniejszych, bez wielkiego doboru gatunku r. as. 128, 25 za sztukę.

Maszytę zaś od 75—78 do 90 festów długie i stosownie grube z dobrego sosnowego drzewa, płacą hurtownie, uważając cenę bliższą minimum od r. as. 400 do 450.

Sprzedaje wedle tych cen hurtowe odbywają się w Mikołajewie; cząstkowo zaś i drożej zbywać można w Chersonie i Odessie, gdzie najwięcej maszytę do statków tak zwanych łódki, są potrzebowane. Płacą je od 50 do 80 i 100 r. as. za sztukę; rozmiar ich wyżej oznaczony.

(1) Wszystkie ceny produktów średnio tu obliczane, są brane z bliższych minimum.

Spodziewane wolne wyprowadzanie drzewa przez morze Czarne za granicę, wpłynie zapewne na podniesienie tak tego, jak i innych materiałów leśnych.

Kupcy chętniej kontraktują las usposobiony do sprzedaży przez obdarcie na wiosnę z kory, i tak zostawiony przez lato a jesienią rąbany.

Kłody sosnowe są używane następujących rozmiarów:

Ceny na minimum:		w Kijowie	w Kremieńczuku.
Dr. 10 ar. gr. 10 do 11 i 12		w r. as. 4	do 5½. r. as. 6
— 12 — 8 — 9		— 3,50 do 4.	— 4,50
— 12 — 10 do 11 i 12		— 5,25.	— 6,50
— 18 — 8 — 9		— 6	— 6,50 do 7
— 18 — 9 — 10		— 6¼ do 7	— 7 do 7,25
— 24 — 7 — 8		— 6½ do 7½	— 7,50 do 8
— 27 — 6 — 7		— 7½ do 7¾	— 8 do 8,25

Grubość kłód bierze się rozmiarem średnicy w końcu cieńszym.

W Mikołajewie i Odessie kłody sprzedają na sążnie.

W Mikołajewie cena r. as. 1,80 bliż. minimum.

W Odessie..... 2½.

Sosny najlepiej płacone zowią po rusku łutycia, a ze wszystkich kłód wyżej oznaczonego rozmiaru, najposzukiwanisze są, zwane szesteryk, to jest, mające arsz. 18.

Wiele zależy na doborze gatunku kłód, bo to i ułatwia sprzedaż, i zyskowniejszą ją czyni. Jestto powszechną uwagą, której zawsze można trzymać się w handlu, iż na jakim bądź produkcie lub towarze spekulując, najbezpieczniej jest, acz droższych w kupnie, trzymać się pierwszych gatunków.

Nie można zakładać dobrej spekulacji na kłodach mniejszego rozmiaru jak od 9 do 10 ars. dł., bo takie mało są potrzebowane.

W formowaniu partyi kłód czyli płotów, uważać należy żeby sztuki mańoróżnej wielkości połączyć, bo chybiając temu warunkowi, zwykle się traci na sztukach większego rozmiaru.

Wańczosy (spycku) i knice splewiają na nich dębowe nieobciesane kłody, trzymające tylko żądane rozmiary. Odbyt

na nie dopięro w Odessie a więcj w Mikołajewie, stałym uważać można. Rozmiary żądane są następujące:

Dł. 22 do 30 festów, sz. 16 do 20 d. gr. 12 do 14 d.

— 24 — 30 — — 14 — 18 — 12 — 14 —

to są wańczosy pospolitsze i hurtownie przedawane.

Drugi rozmiar:

Dł. 30 do 34 festów, sz. 18 do 20 d. gr. 14 do 15 d.

— 20 — 30 — — 14 — 16 — 12 — 14 —

sąto gatunki w mniejszej potrzebowane ilości.

Ceny wańczosów, wyżj wzmiankowanego i ostatniego rozmiaru, w Mikołajewie uważają hurtowo, i razem w partyach kupują od r. as. 1,40 do 1,60 za fest.

W Odessie sprzedaż mniěj hurtowa. Wańczosy piérwszego rozmiaru mają cenę na minimum r. as. 1,50 do 1,60 za fest, a drugiego rozmiaru r. as. 1,80 do 2, za fest.

Kupują często w Odessie licząc długość na sążnie, i stosując do téj miary cenę: w Mikołajewie zaś zwykle na festy.

Trzeci rozmiar jedynie w Mikołajewie, wraz z piérwszemi dwoma w partyach do budowli wielkich statków wojennych potrzebowany jest.

Dł. 32 do 44 f. sz. 35 do 40 d. gr. 20 do 26 d. poguba 12 d.

— 20 — 30 — 20 — 25 — 16 — 20 — 3 do 15.

Jeżeli tego ostatniego rozmiaru wańczosy wchodzą do partyi zakontraktowanej, cena cali stosowana zawsze do ogólnej ilości festów, drożeje znacznie i uważać ją można bliższą minimum r. as. 1,70 do 1,75.

Knice mają ten rozmiar:

Dł. w stopie 12 do 18 fest. sz. 18 do 24 d. gr. 16 do 18 d.

Gałąż (wiet.) dł. 5 do 9 fest. gr. 14 do 16 d.

Dł. 7 do 15 fest. szer. 16 do 20 d. gr. 11 do 13 d.

Gałąż (wiet.) dł. 4 do 6 fest. gr. 10 do 12 d.

Płacą za nie w Mikołajewie, gdzie jedynie na nie do wielkich statków pokup r. as. 1,40 do 1,60 za fest.

Drzewa opałowe zwykle są używane olszowe i jesionowe; drugie mają wielką wyższość nad piérwszemi w cenie i łatwości przedaży; im są z grubszych sztuk klute, tém poszukiwansze.

Ceny na nie uważane w lecie, bliższe minimum są:
 za szań olchowych w Kijowie r. as. 8 do 11½ w Kremień. r. as. 14
 — jesionowych — — 9 do 12 i 13 — — 15.

Odessa wielką ilość spożywa. Ceny tam dochodzą niekiedy (sprzedając rozdrobno po sążniu) w środku i pod koniec zimy do r. as. 100. Średnie zaś hurtowniejsze, pod jesień uważać można za sążeń drzew jesionowych r. as. 40 — 50
 — — olchowych — 20 — 35.

Pomienione dotąd materyały, stanowią handel hurtowy, a z nich największą ilość kłód sosnowych spieniężać można.

Nie należy splawiać drzewa obrobionego czyli przygotowanego do użycia, bo trudno bardzo w tém dogodzić woli kupca i to jest przyczyną, że lepiej splawiać kłody jak tarcice. Ten przeciwny obudwóch stron dogodności rachunek praktykowany dotąd, pochodzi jedynie z wybiegów przekupni, którzy handlem władną, i sami zakładają zyskowną spekulacją na rozpiłowywaniu kłód. Właściwie zaś rzecz uważając, łatwo dostrzedz, że jak wyrobnik tak i wyrób mniej kosztują w ludniejszych lasowych guberniach, niżeli w stepowych ten las spożywających. Pomimo to jednak, podstępny przekupni potrafią pozbawiać korzyści z tego względu i pierwszego właściciela produktu, i ostatniego takowy spożywającego. Powinnyby te uwagi przynaglić niejako właścicieli ziemnych do nadania nowego i pewniejszego kierunku przemysłowi, w którego pośrednictwie ze sprzedaży swoich produktów jedyne mają źródło dochodów.

Odbyt mniejszej skali tylko znajdują następujące materyały drewniane:

Krokwie następujących rozmiarów:

Dł. 9 ar. gr. 3½ w.	Cena w Kijowie za sztukę	kop. as. 40 do 45, w Kremieńczuku kop. as. 50
— — 4	— 55	— — 60 do 65.
— 12	— 4 do 5 — 85 do 90	— — r. as. 1.
— — 3½ do 4	— 65 do 70	— — k. as. 70 do 75.

Łaty następujących rozmiarów:

Dł. 9 ar. gr. 1½ do 2.	Cena w Kijowie za sztukę	kop. as. 16 do 20, w Kremieńczuku k. as. 18 do 20
— 12	— — 30	— — 30 — 35.

Klepka dosyć jest hurtowego obiegu w handlu dniewnym, atoli dotąd na spożycie tylko szła krajowe, nie mając jak inne materyały drewniane, odbytu za granicę, któryby znacznie podrożył jej cenę.

Rozmiary żądane są:

Dł. 2 ar. 3 w. gr. $\frac{1}{2}$ w. sz. 4 w.

— $2\frac{3}{4}$ ar. — $1\frac{1}{2}$ w. 4 do $4\frac{1}{2}$ w.

Przedaż w Kremieńczuku jako i w Kijowie liczy się zwyczajnie na beczki; 20 klepek jednego z powyższych rozmiarów do których trzeba dodać 2 dna i 14 obręczy, zowią beczką.

Beczka taka klepek pierwszego rozmiaru, ma cenę w Kijowie r. as. 3 w Kremieńczuku 4,50 do 5.

W Odessie przedaż beczki pierwszego rodzaju r. as. 4,50 do 5

— — — drugiego rozmiaru — 5 — 7

Węgle splawiane Dnieprem zsyrywają w dwie wielkie rohoże zszyte, mieszczące $1\frac{1}{2}$ cz. Dwa są gatunki, jeden tak zwany samopał, drugi majdannoj lepszy.

Kul $1\frac{1}{2}$ cz. samopału, cena w Kijowie k. as. 95 do r. as. 1

— — w Kremieńczuku r. as. 1 — — 1 k. 10.

Kul $1\frac{1}{2}$ cz. majdannego, cena w Kijowie k. as. 1,45.

— — w Kremieńczuku 1,50 do 1,55.

W Odessie na krokwie, łaty i węgle odbył także daleko zyskowniej niż w Kijowie i Kremieńczuku.

Ceny w Odessie na *krokwie*:

Dł. 9 ar. gr. $3\frac{1}{2}$ w. sztuka k. as. 65 do 85 i r. as. 1.

— 9 — 4 — — 70 — 90 — 1,10

— 12 — 4 do 5 — r. as. 1,25 — 1,50 — 1,70

— — $3\frac{1}{2}$ do 4 — k. as. 85 do r. as. 1 — 1,20

Na *łaty*:

— 9 — $1\frac{1}{2}$ 2 — k. as. 70 do 80.

— 12 — — — 80 — 85.

Krokwie i łaty powinny być na miejscu w miarę obcieszane. Ceny w Odessie na węgle które przedają na czetw. dochodzą od r. as. 2,50 do 3 i 4 stosownie do gatunku.

Rozdrobne zaś tylko przedaje, i powolniejsze niż na wszystkie inne materyały leśne, znajdują następujące wyroby drewniane:

Obody berestowe. Stan. Cena.

W Kijowie r. as. 2,50, w Kremieńczuku r. as. 2,50 do 3.

Osie jesionowe sztuka.

W Kijowie k. as. 20 do 55, w Kremieńczuku k. as. 25 do 30.

Drażki brzozone.

W Kijowie k. as. 20, w Kremieńczuku k. as. 20 do 25

Łuby.

Dł. 3 1/2 ar. sz. 16 w. Sotko. r. as. 28 do 30 r. as. 35 do 37.

— 4 — — — — 35 — 40 — 45 —

W Odessie te wyroby drewniane następujące mają ceny przy częstkowej i powolnej sprzedaży:

Obody berestowe stan r. as. 3 do 3 1/2

Osie jesionowe sztuka k. as. 30 do 35 i 40.

Drażki brzozone sotko r. as. 45 do 55 i 60.

Łuby dł. 3 1/2 ar. sz. 16 w. sotko 45 do 60.

— — 4 — — — 60 do 70.

Potaż. Potaż byłby pokupniejszym, gdyby w małych szczelnie spojonych beczkach był pakowany, tak, żeby od przystępu powietrza był ochroniony, a beczki nie przenosiły wagą 20 pudów.

W Kijowie i Kremieńczuku niema prawie na ten przedmiot spekulantów; dostawiony do Odessy znajduje średnią cenę od r. as. 6 do 9. Wyrabiany z drzewa ma zawsze pierwszeństwo nad wyrabianym ze smoły, i różnica w cenie do r. as. 2, dochodzi. Dobroć gatunku oceniają tak w miejscach wyrobu, jak w Odessie po większej części przez smak ostry i kolor seledynowy; używają jednak niekiedy w Odessie i przy sposobionego narzędzia do okazania stopni ile trzyma potaż.

Smola wozowa, rodówka, dziegieć czysty i pik.

Smolę wozową sprzedają na beczki 18to werszkowe, która ma długości 36 w. a gr. czyli średnicy dna 18 w. środkowa grubość bywa różną i w miarę jak wskazuje ilość smoły, zmniejsza lub powiększa cenę beczki.

W tym roku ceny smoły tak wozowej jak rodówki, piku i dziegiu czystego, bardzo podrożały z powodu wielkiego potrzebowania.

Ceny te które dochodziły maximum, były: na *smołę wozową* w Kremieńczuku za beczkę 18 w. r. sr. 25 $\frac{1}{2}$, w Kijowie r. sr. 18 do 19; średnie zaś ceny są, za beczkę 14 do 15 r. sr. w Kijowie r. sr. 11 do 11 $\frac{1}{2}$.

Na *rodówkę* za pud r. as. 1,25 do 1,30, w Kijowie r. as. 1. średnie ceny za pud r. as. 1, w Kijowie r. as. 0.60.

Na *dziegieć czysty* za beczkę 16 w. w Kremieńczuku r. as. 250, w Kijowie r. as. 180 do 200.

Średnie ceny w Kremieńczuku r. as. 150 do 200, w Kijowie r. as. 120 do 140.

Na *pik*, w Kremieńczuku r. as. 6—6 $\frac{1}{2}$ do 7, w Kijowie r. as. 2 $\frac{1}{2}$ do 4 $\frac{1}{2}$.

W Odessie ceny były:

Pik za pud r. as. 7, średnie zaś są r. as. 3,50 do 4 $\frac{1}{2}$ i 5.

Dziegieć czysty 5 $\frac{1}{2}$ do 6 $\frac{1}{2}$ i 6 $\frac{3}{4}$ — 4 $\frac{3}{4}$ do 6.

Smola wozowa 2 $\frac{1}{2}$ do 3 — — 1,80 do 2 i do 2,25.

Rodówka 2 $\frac{1}{4}$ do 3 — — 1,50 — do 1,80.

W Mikołajewie ceny podradowe niższe były od praktykowanych wolnych sprzedaży.

Pik za pud r. as. 2,50.

Dziegieć czysty — 2,40.

Ikrianka — 1,78.

W Odessie znaczne ilości wyżej wzmiankowanego produktu spieniężać można, ale w odbyciu powolnym kupna hurtowe są rzadsze. Ceny zaś zwykle dogodniejsze niż w innych wyrażonych punktach, gdzie także bez zawarcia poprzedniczo kontraktu trudno mieć hurtowego kupca.

Płótna. W Kijowie sprzedają się po większej części proste o 10, 12, 13 i 14 a niekiedy 16 pasmach; dostarczają onych z gubernii czernichowskiej, kijowskiej i mohilewskiej. Ceny na te płótna jedne są prawie zawsze w Kremieńczuku i Kijowie. O pasmach 10 arszyn k. as. 20 do 21.

12 — — 24 —

14 — — 26

16 — — 32 do 34.

Do Kremieńczuka dostawiają *parusinę* najwięcej z gubernii mohilewskiej, z kąd ona przychodzi do Mikołajewa i Odessy. Sprowadzają też ją do tych portów i z jarmarku w Romnym na *Ilja*.

W Mikołajewie odbył na podrad w Odessie, na spożycie miejscowe i znaczny wywóz za granicę, do którego też dołączają płótna proste, mające tę cenę w Odessie:

o pasmach 10 arszyn, k. as. 24 do 26

— 12 — — 26 — 29

— 14 — — 29 — 32

— 16 — — 34 — 40

W sprzedażach hurtowniejszych cena *parusiny* w Kremieńczuku. Nr. 1 sztuka dł. 50 arsz. sz. 16 w. r. as. 54 do 57

— 2 — — — — — 53 — 56

— 3 — — — — — 43 — 45

— 4 — — — — — 42 — 43

Brezenduk (Rawentuch) — — — — — 18 — 19

Flamandzkie płótno (Flamskoie połotno) 24 — 33 — 34

W Odessie.

Nr. 1 sztuka dł. 50 arsz. sz. 16 w. r. as. 59 do 60 $\frac{1}{2}$

— 2 — — — — — 55 $\frac{3}{4}$ — 58 $\frac{1}{2}$

— 3 — — — — — 47 — 48

— 4 — — — — — 44 — 46

Brezenduk — — — — — 22 — 25

Flamandzkie — — — 24 — 35 — 36

Przędziwa konopne, lniane i liny, dostawiają w wielkich partyach z czernichowskiej, a bardziej z mohilewskiej i półtawskiej gubernii. Liny nie mają tyle hurtowego w handlu obiegu, bo raczej tylko na krajowe idą spożycie a za granicę z Odessy przędziwa najwięcej konopne wywożą.

Ceny bliższe minimum są:

w Kijowie

Za pud konopi r. as. 2 $\frac{1}{2}$ do 3 $\frac{1}{4}$

— lnu — 3 do 5

Liny nie smolone r. as. 3 do 3 $\frac{1}{2}$

— smolone — 3 $\frac{1}{2}$ do 4

w Kremieńczuku.

r. as. 3 do 4.

— 3 $\frac{1}{2}$ do 6.

— 4 do 5.

— 4 $\frac{1}{2}$ do 5 $\frac{1}{2}$.

W Odessie ceny średnie bliższe minimum:

Pud konopi r. as. 3 $\frac{1}{2}$ do 7.

— lnu — 4 do 8 $\frac{1}{2}$.

Lin niesmolonych r. as. 5 do 6.
 — smolonych — 6 do 8½.

Łoje i skóry dostarczają gubernie: półtawska, taurycka, ekaterynosławska i chersońska; stanowią one główny ich dochód, a prowadzą niemi hurtowy handel z Odessą. W Kremieńczuku zawsze wielkie ich zapasy znaleźć można, które wiosną spławiają do Odessy. Po większej jednak części po ukończeniu salhanów, dostawiają łoje i skóry lądem: i to jest czas w którym najtaniej je na miejscu można kupować. Kijów w tym względzie jest tylko punktem miejscowego spożycia, a ceny rzadko się tam różnią od kremieńczuckich.

Bliższe minimum ceny są: w Kremieńczuku, w Odessie.
 Pud łoju wołowego..... r. as. 5½ do 6½ 6½ do 9.
 — wołowego z krowim — 4½ — 5½ 6 — 8.
 — owczego..... — 4 — 4½ 6 — 7;

Skóry suche sprzedają na pudy, świeże na sztuki; kupowane na sztuki zwykle są z czterolatek i ważą od funtów 30 do puda.

Ceny w Kremieńczuku:

Za pud wołowych i krowich w hurt, r. as. 5½ do 6.
 — — — za sztukę — 5.

W Odessie robią więcej doboru; wołowe osobno, i krowie osobno kupują. Cena wołowych za pud r. as. 7 do 12½, krowich r. as. 6 do 10.

Żelazo. Kijów, Kremieńczuk i Odessa, są trzy punkta gdzie zawsze zamożne znajdują się składy tego produktu; pierwsze dwa są miejscami krajowego spożycia, trzeci zaś ma oprócz tego wielki odbyt za granicę. Ceny we wszystkich trzech często prawie nie mają różnicy; w Odessie atoli bywają niekiedy droższe w czasie wielkiego potrzebowania za granicę, a odbyt zawsze jest najhartowniejszy.

Co do gatunków najwyżej kładą żelazo sybirskie; dostarczają zaś onego mianowicie z rud sybirskich, z Brańska nad Dęsną i z fabryk rządowych w Rostowie i Bachmucie.

Średnie ceny żelaza w sprzedażach hurtowych są:
 W szynach *położnoie* pud r. as. 5 do 6.
 W zbitkach *rieznoie* — — 4½ do 5.

Używane do statków *baltoweje* pud r. as. $4\frac{1}{2}$ do 6.

W blachach na dachy — — 9.

— kotły — — 10.

Ćwieki — — 8 do 10.

Czuhun — — 3 do 4.

Kotwice przedawała admiralicya w tym roku w Mikołajewie i Chersonie ważące pudów 5 po r. as. 70 k. 60, a większej wagi kotwice w stosownej proporecy.

W fabrykach rządowych rozdzielają żelazo na dwa główne gatunki i liczą cenę w rządowych rachunkach:

Za pud położnego r. as. 2.

— sortowego — 4.

Transportują zwykle zimną żelazo łądem do Kijuwa, Kremieńczuka i Odessy z fabryk tym miejscem najbliższych; wiosną spławiają niekiedy żelazo Dnieprem do Kremieńczuka i Odessy.

Sól odeska, akiermańska i krymska. Odeską zbierają na limanach pod Odessą, akiermańską na limanie dniestrowym pomiędzy Akiermanem i Owidyopolem; pierwsza lżejszą jest od drugiej; wychodzi jęj na korzec 32 garn. pudów $7\frac{1}{4}$, akiermańskiej pudów $7\frac{1}{2}$ do $7\frac{3}{4}$. Oba te gatunki soli można mieć zawsze tanięj, uważając jednoczasowe ceny, niżli sole krymskie dostarczane z Perekopów. Najdogodnięj odeską i akiermańską albo zbierać na limanach, lub co snadniejsza nabywać z pierwszjęj ręki; pud tym sposobem wyniesie kosztu pierwotnego w średnim rachunku k. as. 8, do których należy dodać 6 k. as. podatku.

Niema podobno zyskowego rachunku na kupowaniu soli w Perekopach, którą rząd sam zbiera i sprzedaje na miejscu pud po k. as. 80 którego bądź gatunku, luboć kватka niżęj jest uważana od starozierki i krasnosierki. Najlepięj kupować sól w Odessie w końcu lata, w Perekopach zaś jedna zawsze cena.

Transport ładowy do Kremieńczuka, łatwiejszy jest zpod Odessy dla znajdującęj się tak znacznej ilości podwód, które dostawiwszy do Odessy pszenicę, szukają najmu. Średnio cenią koszt dostawy zpod Odessy do Kremieńczuka wyniesie

k. as. 30 do 40, z Perekopów do Kremieńczuka 40 do 60, z Odessy do Kijowa k. as. 60 do 80, z Kremieńczuka k. as. 25 do 35 i 40, a z Perekopów k. as. 80 do r. as. 1,20. Transportując sól bądź z Odessy bądź z Perekopów do Kremieńczuka, odliczają czumakom na ubytek $\frac{1}{2}$ %.

Jeżeli sól z wozów na bajdaki ładują, wówczas nie się nie odlicza na ubytek, i pospolicie ładujący ją znajduje jeszcze przy oddaniu zarobek.

Jeśli sól z magazynów na bajdaki ładują, zostawia się na ubytek na spławianiu, stosownie do umowy najwięcej 2%.

W Kremieńczuku najmują pospolicie magazyny do składu soli z drugiej strony Dniepru w Krukowie. Termin najmu zwykle bywa półroczny i roczny. Magazyn mieszczący sto tysięcy pudów, może kosztować rocznie średnio ceniąc r. as. 125 do 150. W Kijowie podobny najem magazynu będzie kosztował r. as. 150 do 180.

Uwaga o Kijowie. Handel soli zyskowniejby było obrócić na Kijów, bo do Kremieńczuka dwa razy tylko na rok, a do Kijowa trzy razy mogą iść bajdaki; a że każda od schodka puda soli liczona przynosi k. sr. 77 frachtu, więc każdy bajdak dałby zysku na frachcie $\frac{1}{3}$ więcej, jak zwykł posyłając go do Kremieńczuka: co już wynagrodziłoby powiększenie kosztu transportowego łodem około werst 150, a oprócz tego na kupno lub pobudowanie bajdaków i opłatę flisów, o $\frac{1}{3}$ zmniejszyłby się kapitał wkładowy, a następnie hurtowniej większymi partjami odhywałyby się spekulacye, do czego posługiwałoby ustanowienie magazynów soli w Kijowie, przez co ten punkt możnaby zrobić niejako pośredniczym w handlu zamiennym.

Zegluga dniewprowa, aż do pierwszego proggu zwanego Starokajdak o 12 werst poniżej Ekaterynosławia nie doznaje żadnej przeszkody. Od Czerkas lubo zaczyna się dno skaliste, ale nie zagraża niebezpieczeństwa.

Progi dniewprowe zaczynając się jak wyżej powiedziano od Ekaterynosławia, ciągną się werst 65, a od ostatniego licząc werst 380 do chersońskiego limanu. Można je rozdzielić na dwa rodzaje: jedne właściwie zwane progami, gdzie skały na znacznej pochyłości rzeki nadają wodzie bieg wirowy i kręty;

drugie mniejsze, które są raczej spadami wody (1). Jest takich zawad w żegludze zwanych progami trzynaście: 1. Starokajdak. 2. Surskoy. 3. Łachanckoy, są właściwemi progami; 4. Strielcza jest tylko spadem wody (2). 5. Żwaniecki, 6. Nienasyteć, progi. 7. Kriwaja, 8. Woronowa, spady wody. 9. Budyławskoj. 10. Wolnigskoj, 11. Lichny, 12. Wilny i 13. Dwa rozbojnika, progi (3). Największój przytomności sternika wymagają *Nienasyteć* i *Dwa rozbojnika*. Zrobiony kanał na omijanie Nienasytecia, załedwo małym barkom służyć może; tak jest wązki i trudne jest do niego wejście, z powodu, że nie jest do niego nakierowany bieg wody. Dwa rozbojnika jestto nagle załamanie rzeki na znacznej pochyłości pośród skał w kącie prostym (4). W Starokajdakach są włościanie skarbowi Łozmanie, których jedynym obowiązkiem jest pilnować bezpieczeństwa przprawy przez progi. Tak wszelkim splawom partykularnych jak rządowym powinni dawać pomoc; są nad nimi mianowani od korony dozorecy, których dyrektorem jest podpułkownik mieszkający w Starokajdakach. Ci Łozmanie są bardzo zręczni i znają doskonale położenie wszystkich skał progowych; powinni towarzyszyć splawom partykularnych bezpłatnie, atoli zwykle dają im gratyfikacye i starają się obowiązać dyrektora nadzoru, aby ludzi trzeźwych i doświadczonych przeznaczył do steru przprawy.

Przy zachowaniu właściwej a wyżej wzmiankowanej ostrożności i w czasie wód w miarę wysokich, żegluga nie przedstawia niebezpieczeństwa nie do uniknienia; pora dla niej przyjaźniejsza najczęściej bywa w czerwcu i lipcu. W tym czasie Katarzyna II, w towarzystwie Potemkina przebyła progi bez najmniejszego przypadku. Jeden z Łozmanów, który statkiem tę monarchinią niosącym sterował, dotąd jest między

(1) Właśnie na większych progach daje się widzieć spąd wody, na mniejszych sterczą tylko skały. M. P.

(2) Nie spąd, lecz zaporą. M. P.

(3) Liczba i nazwiska progów są mylne, jak nota przy końcu tego artykułu położona wyjaśnia. M. P.

(4) Takie załamanie podług mapy daje się widzieć u progów Budyławskiego. M. P.

dozorcami przeprawy w stopniu oficera od Katarzyny otrzymanym. Barki i bajdaki ładowane różnemi produktami, przebywają bezpiecznie (1) progi przy zachowaniu właściwej ostrożności.

Utrzymywano dotąd, że dla uczynienia Dniepru spławnym, potrzeba koniecznie siłą prochu wszystkie progi oczyścić, co jak trudną do przedsięwzięcia pracę, tak nadzwyczajny koszt przedstawia. Od czasu założenia w Rossyi korpusu inżynierów wodnej komunikacyi, dowódcy takowej, generałowie Derolant, Bethancour i terazniejszy k. Wirtemberski próżno szukali sposobów, załatwiających oczyszczenie wszystkich skał progowych siłą prochu, i zawsze zrażali się niezmiernym na to nakładem; podpułkownik Sziszof przedstawił teraz w tym celu następujący projekt, potwierdzony przez cesarza.

Naznacza on za jedyną przyczynę niebezpieczeństwa przebycia progów wiatry, bez których zrzeczny sternik potrafiłby wszystkie ominąć skały. Dla zaradzenia téj niedogodności i zapewnienia żeglugi, doradził on zrobić groblę ze skał teraz progi składających, a pierwój siłą prochu z wody wyrwanych, z prawego brzegu rzeki o 8 sążni od ziemi odległą, szeroką u podstawy na sążni 14, u wierzchu sążni 2, a wysoką sążni 4. Ta wysokość w czasie najwyższego wezbrania, o pół arszyna będzie wodę przenosić i zasłaniać od wiatru. Z obu stron téj grobli na sążni 8, wszystkie skały w rzece będą siłą prochu oczyszczone, a przed nią będzie druga z nią złączona, służąca do skierowania pędu wody w miejsce żądane. Grobla taka ma być na każdym proggu i ubezpieczyć żeglugę w dół.

Dla zapewnienia zaś żeglugi w górę Dniepru przez progi jest projekt zrobienia z lewój strony rzeki kanału przy każdym proggu (2), opatrzonego w śluzę, a przed każdym takim

(1) Nie życzyłbym nikomu takiego bezpieczeństwa. *M. P.*

(2) Takie kanały już są oddawna zrobione przy kilku progach. Przy Nienasyteckim wykopano kanał jeszcze za cesarzowej Katarzyny. Lecz niestety! sposób ten niewiele temu zaradził. Na tym kanale stoi teraz młyn. *M. P.*

kanalem grobli kierującej doń pęd wody, koszt ułatwienia żeglugi w dół ma wynosić r. as. 1,200,000. na ułatwienie zaś żeglugi w dół i górę razem 4,500,000. W spławianiu dniewym uważać należy najprzód na dobór biegłych i trzeźwych flisów: zalecają pospolicie białoruskich. Przybywszy do progów, trzeba uzyskać od dyrektora téj przeprawy rozkaz, przeznaczający do niéj w pomoc swoim flisom biegłych i trzeźwych łozmanów, których osobno ująć należy nagrodą, po przeprawie zapewnioną (1). Powszechnie jest zdanie, iż niebezpieczeństwo téj żegludze dalekoby mniej zagrażało, gdyby sternicy w czasie jéj trwania byli trzeźwi.

Spławiając drzewo w płotach, trzeba pilnować aby wiązanie było jak najporządniej i jak najmocniej wykonane, bo często jest to przyczyną tak straty drzewa, jak narażenia życia sterników, czego mianowicie doświadczoneo niedawno.

Przeznaczając statki do przeprawy progów, należy zawsze przekładać bajdaki nad barki, albowiem pierwsze cenniejsze są w użyciu za progami. Toż samo zajmujących się dotąd handlem dniewym, czasowych więcéj, niż ciągle spekulujących przekupni statki, przeprawione przez progi, zdają się tracić swoją wartość, albowiem zbywają je za bezcen. W tym roku choć lepiej niż dawniej były płacone, przedawano nie drożéj barki liczące od 5 do 10 tysięcy pudów, jak za r. as. 80 do 100, a bajdaki od 10 do 20 tysięcy pudów za r. as. 400 do 700; co w spekulacyach stałych i ciągłych, do jakich wzmiankowany handel zamienny prowadzi, inaczejby być powinno. Bajdaki przeprawione za progi, byle dobrze były zbudowane, mogą być używane do transportowania z Chersonu do Mikołajewa i Odessy produktów leśnych, takiego transportu wymagających, tudzież do dostawiania zboża do tychże punktów

(1) Żaden z flisów nie siedzi w barce czyli bajdaku; wszyscy uciekają. Zostaje tylko sam łozman czyli sternik z kajdaku lub Kamieni, jak bohater jaki. Siedzi lecz nie kieruje, ponieważ statek w mgnieniu oka przebiega spadek kilkuset sążni, pędzony gwałtownym pędem wody. Z początku tylko potrzebuje on kierunku, żeby natrafić na *farwater*, a potem już trzeba się spuścić na los szczęścia.

z portów dniewrowych poniższych progów, a mianowicie Nikopola. Bywają jeszcze przeznaczane do żeglugi do poblizszych Odessy portów morza Czarnego, a fracht w tych miejscach daleko więcej daje zysku, niżeli powyżej progów (1). Jeżeli zaś spekulant mogący odnieść taką z bajdaków korzyść, zażąda je sprzedać, inną otrzyma cenę, niżeli czasowy przekupień, który nie mogąc mieć lepszego użytku, musi brać co mu dają.

W handlu zamiennym, sprzedaż produktów leśnych i nabywania za nie soli wielką jest posługą dla spekulanta; prócz innych korzyści i z tego względu są swoje bajdaki, że nie mając tych, niepodobnaby mu było prawie znaleźć wolnych do najęcia na przeprawę produktów w dół przez progi, a prowadząc znowu sól na podwodach powyżej progów do ładowania na bajdaki, musiałby cały obrót swój spekulacyi do czasu w którymby takowe wolnemi do najęcia zastał, stosować: co by nieraz mitrężyło jego roboty. Mając zaś własne bajdaki, oprócz uniknienia powyższych niedogodności, możnaby jeszcze i na tém korzystać, że przeprowadzając je raz przez progi, za ich pomocą zmniejszałoby można transport lądowy soli z Odessy dostawiając ją aż pod Kiczkas, gdzie jest ostatnia zawada w żegludze, a transportując lądem tylko przez rozległość progów, to jest werst 65, pod Ekaterynosławiem na nowe ładować bajdaki.

*Wiadomość o progach dniewrowych, udzielona przez
M. Pawliszczewa.*

O progach dniewrowych mamy nieprzerwany szereg wiadomości, zaczawszy od X wieku. Konstantyn Porfirogenit pierwszy je opisał; później wspominają o nich różni latopisarze małosyjscy. W XV wieku opisane są w książce zawię-

(1) Fracht ten często wraca w jednem lecie kapitał wkładowy bajdaków i łódek.

rajęcej najdawniejszą hydrografią rossyjską. Beauplan zaś mówi o nich w 17 wieku. Od tego czasu wiadomości te zostały już zupełnie wyjaśnione. Najdokładniej wszakże i ze wszelkimi szczegółami opisano je w Zarządzie komunikacji dróg i wyobrażono na karcie hydrograficznej, którą i ja także otrzymałem zwiedzając w roku 1843 wspomniane progi.

Progi, sąte gromady skał, przegradzające wpoprzek rzekę Dniepr od jednego brzegu do drugiego. Niektóre z nich co zajmują tylko część koryta rzeki, to jest sterczą nie na całej szerokości rzeki, nazywają się przegradami.

Spad wody, jest na każdym proggu, na większych silniejszy, na przegradach mało znaczący: w ogólności Dniepr w przestrzeni 65 wiorst i 276 1/2 sążni, spada czyli zniża się do 20 sążni i 2 stóp. Wołospadów czyli kaskad niemasz. Na największym proggu, Nienasyteckim, Dniepr zniża się prawie na dwa sążnie, nie odrazu jednakże, lecz na przestrzeni 400 sążni.

Podług karty hydrograficznej, na miejscu przezemnie sprawdzonej, taka jest liczba i nazwisko progów dniewprowych:

I. Staro-Kajdacki, lub prosto Kajdacki.

1. Wołoszynowa przegrada.

II. Surski.

III. Łochański.

2. Strzelecka przegrada.

IV. Zwoniecki.

V. Techniński.

VI. Nienasytecki, największy prawie na połowie całego ciągu progów.

3. Woronowa przegrada.

4. Krzywa przegrada.

VII. Wołnicki lub Wownicki.

VIII. Budziłowski.

IX. Liszny (t. j. zbyteczny).

X. Wilny (t. j. wolny).

Tu z jednej strony wieś Łanowa, z drugiej zaś wąwóz Gadiuczka-batka, i progi się kończą: o 7 wiorst dalej, leżą po obu brzegach Dniepru wsie Kiczkas i Pawło-Kiczkas.

Jeżeli będziemy liczyć przegrody, a liczyć je należy bo istotnie są one równie progami, mianowicie Wołoszynowa, wcale nieustępująca Surskiemu progowi, w takim razie wszystkich progów będzie 14; bez przegród zaś, jest ich tylko 10.

Nazwiska Dwóch rozbójników nie znalazłem w źródłach historycznych; być może, że je wzięli z jakiegokolwiek dumy zaporozkiej lub hajdamackiej, w które jest tak bogatą Ukraina. Jednakże nie jest ono wcale znaném terazniejszym tamtejszym mieszkańcom.

Reakcyja w muzyce spodziewana.

Tyle już rozprawiano o wpływie muzyki na ludzi w ogóle i na kształcenie człowieka z jój pomocą w szczególe, że powtarzać to wszystko byłoby zbyt częstą rzeczą. Kto z uprzedzeniem do przedmiotu, do rozważania jego się bierze, temu zawsze wypadek badań, zgodny z piérwszém usposobieniem się okaże, bo niéma ślepszycy nad tych, którzy widziéć nie chcą. Rzecz jednak uderzająca i bolesna zarazem, słysząc wyrazy lekceważenia jednéj ze sztuk z ust ludzi ukształconych, innym sztukom winny hołd niosących. Podług nich malarstwo, snycerstwo, poezya, stanowią tryumwirat w wyłączném posiadaniu środków zawładnięcia sercami ludzkimi będący; a w potocznej mowie, artysta, znaczy malarza tylko, rzadziej snycerza; za to w zastosowaniu szczegółowym i dentystę znaczyć może. O architekturze niewiele powiedziéć umieją; wprawdzie nie śmieją odmawiać jój miejsca między sztukami pięknymi, bo świat podziwia jój płody, a potrzeba ludziom koniecznie domów do mieszkania; zeicha jednak sobie szepcą: że to matematyka stosowana, a co piękniejsze wiele winno pomocy sztuk innych. Najgorzej jednak dzieje się z muzyką; mimo największego upowszechnienia jój między ludźmi, mimo najłatwiejszego jój w życiu zastosowania, najmniej jest znana ze swojej istotnej natury

i dlatego najmniej cenioną. Uważaną bywa tylko jako środek do zabicia czasu, podżegania zmysłu słuchu, a najwięcej jako sposób uprzyjemnienia owych chwil próżniaczych, *far niente* umysłu i ciała. Owo rozkoszne użycie sztuki, wynikające jedynie z głębokiego w nią wnिकnienia sercem i wyobraźnią, mało komu jest znane; o możliwości jego przekonanych, mniej jeszcze znajdziemy. I nie dziwnego: Napoleon, ów wielki człowiek, co tak znał ludzi i rzeczy, co obdzięrał narody z pomników stawy i sztuki by niemi swój Paryż ustroić, ten sam Napoleon nie miał wyobrażenia zdrowego o muzyce. Wyrzekł bowiem do Cherubiniego (jak zapewne wiadomo), jednego z najznakomitszych tego wieku kompozytorów (†1844): „Lubię muzykę Paesiella, słodko mnie kołysz”; odpowiedź artysty cesarzowi, „chcesz muzyki któraby ci nie przeszkadzała do myślenia o sprawach państwa,” jest wyznaniem wiary muzycznej pierwszego i dowodem zrozumienia pojęć drugiego. A pojęcia te grasują straszliwie między ludźmi; artyści z zawodu działaniem swoim upowszechniają je jak mogą, bo dogadzać ogółowi korzystną jest rzeczą, i słodko zyskiwać łatwo zdobywane poklaski, czytać opłacone w gazetach pochwały i bez pracy zostać na lat kilka wielkim człowiekiem, coż dopiero bogatym! Ztąd prawie wszędzie gdzie się obrócisz ku muzyce brzmiającej, napotkasz zawód mniej więcej dokuczliwy. Niech każdy kto te wyrazy przesadnymi nazwie, wejdzie sam w siebie i sumiennie policzy opery które dla samej tylko muzyki rad słyszy (nie mówimy to o ustępach z natchnieniem często wyłanych, ale o całości jaką dzieło sztuki mieć powinno), koncerta na których nie ziewa, muzykę salonową którą sercem rozumie, kościelną nawet, która mu rozpowiada o Bogu i do niego podnosi; niech policzy swoje wrażenia i powie czy skutek odpowiada zachodom i krzątaniom jakie świat muzyczny zatrudniają? Nie zaiste, to każdy przyzna ale razem zapyta, czy muzyka zdolną jest więcej i stosowniej zajmować, gdy przy takim rozwinięciu nie może tego dokazać? Przecież na podobne pytanie odpowiadać nie potrzeba; zna świat z rozgłosu i doświadczenia co ma wartość, ale

mu brak często sposobności, częściej żądy posłyszenia czegoś lepszego; obywa się tém co mu dają, albo nieraz i tego brać nie chce, wynagradzając sobie inaczej. Bo śmiało powiedzieć można, że większa część muzyki dzisiejszej da się porównać do téj prozy rymowanej, którą mają niekiedy za poezją, albo do tych piosnek hulaeckich i dwuznacznych, w których tylko pewne usposobienia i nizkie ukształcenie smakuje; dla ludzi z lepszym smakiem i wyższą oświatą nie mają one powabu. Dające się czuć ogólnie i głośno wyznawane odstręczenie od muzyki bieżącej, pocieszająca dla niej przyszłość rokuje. Bądź potrzeba użycia artystycznego którego szczupłe dozy muzyka dzisiejsza wydziela, bądź szlachetna żądza podniesienia sztuki tak spodłonej, kazały ludziom przyjrzyć się lepiej terażniejszości i ratunku dla niej od przeszłości zażądać, zapytać się jéj o owe cuda z powieści niemal tylko dziś znane. i szukać ich pod kurzawą kilku wieków. Dowodem tego jest coraz gęstsze wznawianie na scenach europejskich, dzieł muzyczno-dramatycznych, które przeszłemu pokoleniu znane tylko były, a z dziś żyjących tylko ludziom fachowym i to niewielkiej ich liczbie nie są obce. Dotyczy się to szczególnie Glucka i Mozarta, jako kompozytorów na polu dramatyczném dotąd najznakomitszych, obok których wiek bieżący dwóch także postawić może: Rossiniego (który przecież piérwszy nadszakać publiczności i śpiewakom zaczął) i Meyerbeera, i mniej dla ciągłej powagi i surowości ulubionych, Spontiniego i Cherubiniego. Obok tych świeczników piérwszego rzędu, stoi znaczna liczba ludzi z wielkim talentem, co niekiedy nakształt geniuszu błyskał, ale się na zdobytém stanowisku utrzymać nie umiał; takimi są między innemi: Donizetti i Auber.

Ale co przed Gluckiem i Mozartem z muzyki dramatycznej istniało, nie da się dzisiaj wznowić jako bardzo ubogie w przygrywkę instrumentalną, albo na instrumenta niedoskonałe i dziś zarzucone, choć nieraz oddycha prawdą uczuć i sytuacji i uroczym pociąga śpiewem: więcój jednak dla pewnego wahania jakie zwykle cechuje epoki przechodnie. Kto więc chce dotrzeć badaniem do poprzedniego a statego

stanu, z któregooby korzyści dla przyszłości wydobyć się dały, musi się cofnąć aż do czasów Palestriny (1524—1594) oraz współczesnych, chociaż i poprzednicy jego należący do panującej wtenczas w całej Europie szkoły niderlandzkiej nie byli bez wielkich zasług. Jemu przecież należy się sława wykształcenia nowego muzycznego stylu, od swego twórcy stylem *à la Palestrina* zwanego (*), stylu pełnego sztuki i prostoty zarazem, głębokości i natchnienia prawdziwie religijnego. Niema tam wprawdzie samoistnej i z harmonią swobodnie płynącej melodyi, jaką w sto lat później Leo stworzyć umiał; ale jest wzniosła wielkość i siła uczucia którym się żadne uprzedzenie oprzecz nie zdoła. Styl ten na zawsze wartość znakomitą mieć będzie, póki drażliwość serc ludzkich na wrażenia muzyczne nie zniknie, co oczywiście nigdy miejsca mieć nie może. W nim muzyk spotka niezmiernie bogactwo środków swjej sztuki i znać go powinien gdyby nawet całe życie tylko piosnki pisać zamierzał. Cóż mówić o kompozytorach w rozleglejszych rodzajach muzyki pracujących? Z tamtego tylko źródła płynący źródł nieskażony, obmyć zdoła grzechy muzyki dzisiejszej. Słuchajmy co z tego powodu mówi Francuz, członek narodu, na którego karb Europa zwykła składać wiele przewinień swojej cywilizacji i w Paryżu z którego wędrujący wirtuozi rzucają nam w oczy zapłacone recenzje koncertów i kompozycji. „Istnienie, wytrwałość i pomyślny skutek prac towarzystwa złożonego pod kierunkiem ks. Moskwy (syn marsz. Ney) dla wykonywania muzyki klasycznej, godne są uwagi. W czasie gdy muzyka trywialna i zużyta zdaje się panować bez podziału we wszystkich salonach, w chwili gdy gust zepsuty, zdaje się być dalekim od godnego ocenienia dzieł klasycznych i poważnych; w tym samym czasie wybór towarzy-

(*) Dostyć upowszechnioném jest mniemanie, że prace Palestriny w tym stylu do znajomości papieża Piusa IV doszły, uratowały muzykę od klątwy jaką na nią ojcowie kościoła na soborze trydenckim (1562) zebrani rzucić chcieli. Błąd ten zbit dowodnie Bainsi w swoim *Memorie storico-critiche della vita e delle opere di Giovanni Pierluigi da Palestrina*. Roma 1828.

stwa, kobiety ze swego położenia w świecie najwięcej podległe kaprysom mody, zrzucają z siebie jój jarzmo, gardzą pociskami płochego żartu, i zrywają wszystkie węzły łączące je dotąd z Rossinim, Bellinim, i Donizettim *e tutti quanti*, aby część wyłączną oddawać muzyce poważnej, starożytniej, uroczystej i budzącej tylko uczucia słodkie, spokojne i pobożne. Zapewne nie błądząc mniemając, że tego rodzaju koncerta jasno wskazują zbliżającą się epokę reakcyi, i niewielkim trzeba być prorokiem by przewidzieć, że wkrótce powszechny zapał zwróci publiczność do muzyki czasów upłynionych z pogardą większej części muzyki dzisiejszej. Pierwszy ku téj reakcyi popęd dał Choron; on pierwszy dał poznać Francyi dzieła Palestryny i Marcella, oswajając publiczność z myślą, że niekażda muzyka należy do czasów bieżących. Daléj Fetis w swoich koncertach historycznych utworzył rodzaj przeglądu arcydzieł muzycznych dawnych czasów, a towarzystwo wspomniane niezawodnie do przyspieszenia biegu téj reformy się przyłoży i t. d." (*).

W Niemczech reakcyja w mowie będąca mocno już podkopała panowanie muzyki obecnej; publiczność coraz obojętniejszą się staje na jój produkcyę, ledwie kiedy niekiedy zdoła podziwiać wirtuoza wymagając od niego nie sztuczności ale sztuki. Same nakłady kosztowne dzieł muzyki już niedzisiejszych, rozrywane co prędkiej, najlepszym są dowodem kierunku ogólnego pod tym względem. Bo téż w Niemczech tylko muzyka jest popularna w całym znaczeniu tego wyrazu, a to z powodu udzielanych lekcyj przy każdej szkole, i zastosowania nauki do śpiewu kościelnego. Śpiew główną jest muzyki każdej ozdoba, a muzyka jaką jest dzisiaj, ze śpiewów kościelnych wynikła i najświetniejsza swe czasy religii winna. Połączenie więc religii z muzyką a raczej wspieranie jednej przez drugą, bardzo jest stosowne do rozprzestrzenienia i oczyszczenia obojga. Zapatrując się na rozszerzony we wszystkich krajach protestanckich system łączenia nauki religii z nauką śpiewu i porównywając wzajemne ich na siebie działanie, trudno nie

(*) Gazette musicale.

spotkać się z myślą, że jak kiedyś reformacya silną znalazła podporę w śpiewaniu przez gminy całe chorałów, tak dziś mocno się przykłada upowszechnienie tego rodzaju pieśni do religijnego ducha i koniecznie płynącej zeń moralności, jeśli jeszcze pod rozwagę weźmiemy reflexyjny charakter textu.

Z tego stanowiska zapatrywać się należy na postanowienie ministra oświecenia we Francyi, Salvandego, z r. 1845, którego główny ustęp jest następujący:

„Zważając że rozprzestrzenienie nauki śpiewu w szkołach publicznych ma przedewszystkiém na celu przyłożenie się do polepszenia moralnego i intelektualnego młodego pokolenia; że ta nauka nie przyniesie wszelkich korzyści jakie pod tym względem przynosićby mogła, jeśli nie będzie zastosowaną do poprawy języka i wyobrażeń ludu po miastach i wsiach zamieszkałego, za pomocą śpiewu na zawsze w pamięci pozostać mających; że zatem wielkiej wagi jest rzeczą nadać tym śpiewom użyteczność, do jakiej są zdolne, łącząc formy literackie proste lecz poprawne ze wszystkimi warunkami jakich muzyka wymaga; że już od dawna i zewsząd żądają zbiorów któreby tym potrzebom zadosyć czyniły, i przydatne były do nauczania wszelkich stanów młodzieży i dzieci, miłości i czci dla Boga, kraju i obowiązków; stanowią się trzy kommissye których zatrudnieniem będzie:

1) zebrać ze wszystkich poezyj klassycznych francuzkich, nie wyłączając poezyi współczesnej pierwszego rzędu wszystko, co da się podłożyć pod muzykę a ściąga się do Boga, religii, jej podań i przepisów;

2) zrobić ten sam wybór z poezyj dotyczących świetnych czynów z historyi narodowej, a mogący się okazać brak, zapełnić podaniem przedmiotu do opracowania sposobem konkursu;

3) tym samym sposobem postarać się o muzykę do poezyj wyżej wymienionych i innych, któreby w formie stosownej w poezyi i muzyce łatwo popularnemi stać się mogły, i niszczyły przesady, nałogi i zwyczaje szkodliwe wszelkie-

go rodzaju, o których wykorzenienie coraz usilniej starać się należy (*)."

Z postanowienia tego widać, że nie muzyka, ale poprawa moralna ludu jest celem jego. Mimo to nie trafniejszego nad powierzenie muzyce starania o wpojenie i zachowanie w pamięci nauk i przepisów w formie poezyi zebranych. Wszakże wyznanie samo ministra publicznego oświecenia, że muzyka do moralności ludu przyłożyć się może, jest uznaniem jój wpływu. Wpływ ten znany był starożytnym Grekom, a w połączeniu muzyki z poezją i zpopularyzowaniu obojga, leży tajemnica tych cudów muzyki, o jakich nam starożytność głosi. I rzecz uderzająca, że Francuzi, których tylokrotnie nowożytnemi Ateńczykami nazywano, jakby dla utwierdzenia tego nazwiska pierwsi dzisiaj idą drogą przez dawniej Grecyi ludzi utworowaną. I znów rzecz uderzająca, że Francuzi z łona których wyszli encyklopedyści, nauką swoją gwałtowny cios religii i moralności zadający, najpierwsi doświadczają reakcyi i propagują ją między sobą, z kąd niewątpliwie jak tylo idei reszcie Europy się udzieli. Z Francycito jeszcze przemiana rzeczy muzycznych do innych krajów się dostanie, bo z niej takie zepsucie wyszło od czasu jak Paryż odebrał Wiedniowi moc wyrokowania w tym względzie. I jeśli, jak się spodziewać należy, raz zaprowadzona nauka po licznych Francyci szkołach wszelkiego rodzaju, z wytrwałością prowadzona będzie, wtenczas i muzykalność całego kraju za lat pięćdziesiąt daleko przesięgnie najmuzykalniejsze dotąd Niemcy. Kompozycye bowiem jakich ministerstwo żądało, są zawsze na kilka (od dwóch do czterech) głosów, a w takiej liczbie że ich mechanicznie uczyć niepodobna i przygotowawczych wiadomości muzycznych wprzód udzielić potrzeba; co zresztą nie jest trudnym ani nowym we Francyci, gdzie upowszechniona metoda Wilhema (oparta na metodzie Lankastra), oddawna jest w użyciu i w samym Paryżu corocznie kilka tysięcy dzieci, a przeszło tysiąc rzemieślników kształci. Tym sposobem utworzy się nowy rodzaj muzyki, środkujący mię-

(*) Journal de l'instruction publique.

dzy dwoma ostatecznościami: surowością i komplikacją muzyki dawniej, a wyszukaniem i czczością dzisiejszej. Smak muzyczny powoli w całym narodzie zakwitnie i przygotuje do pojmowania arcydzieł, których dziś nie rozumieją ci nawet, co odebrali kosztowne i niby świetne, a rzeczywiście jednostronne a ztąd niedołężne wychowanie muzyczne.

Czas też już było pomyśleć o przypuszczeniu całych mass ludu do uczestniczenia w dobrodziejstwach cywilizacji, mianowicie co do szczegółów, których udzielanie jest wsparte zdolnością naturalną człowieka i stanie się kanałem przez który inne ważniejsze ulepszenia pójdą. Pod względem sztuk i zysk będzie w takim razie niezmierny. Dzisiaj dosyć dziwnie brzmią rozprawy o muzykalności tego lub owego narodu, gdy muzyka jak ją rozumieją bynajmniej popularną nie jest, tém mniej narodową, bo nie wspólnego niema z duchem i pojęciami ludu i nieprzystępną jest dla niego. Narodowość w muzyce do zewnętrznych znamion przywieziona, przedstawia się w formach prawie zawsze tanecznych, co jest miarą raczej charakteru narodu, nie zaś pojęć i wiedzy o sztuce, bez których sztuki niema. Jój cechy wewnętrzne chociaż istnieją, trudne są do wypowiedzenia i nie nie określającami ogólnikami zbywane bywają. Formy muzyczne ludu do niewielu tylko zadań artystycznych się przydadzą, a duch tych form z trudnością chwytany bywa przez ludzi, którzy swoim położeniem w świecie, zbyt wielki zrobili rozbrat z temi, których sobie za wzór biorą. Tak z jednej strony marne widać zapędy, z drugiej pączki niemożące nigdy rozkwitnąć chyba technieniem gieniuszu rozbudzone, o który trudno. Ale częstszymi bywał, gdyby miał zawsze sposobność wydobyć się z tłumu przez ogólne a szlachetne kształcenie. Co jest w narodzie estetycznego pojęcia, uczyniłoby szorstką pierwiastkową siłę, a taby dała życie istotne nerwom, dzisiaj najczęściej gulwaniczném drganiem poruszany. Wtenczas dopiero muzyka byłaby prawdziwie narodową; nie mogłaby być inną. J. S.

Wiadomość statystyczna o szkołach i instytucjach w Królestwie Polskiem w r. 1845/6.

Rozkład szkół na gubernie.

	W gubernii						Ogółem.
	Warszawie	Warszaw.	Radomskiej	Lubelskiej	Płociej	Augustow.	
Instytutów specjalnych	4	2					6
Gimnazyów	3	1	1	3	1	2	11
Szkół powiatowych	3	0	4	5	2	2	25
Szkół niedzielno-rzemieśn.	26	27	20	22	8	6	130
Szkół elementarnych	74	61	152	111	133	56	1,09
Instytutów prywatnych	74	39	12	8	0	5	147
Razem	117	601	189	251	153	71	1,372

Rozkład uczących się na gubernie.

Z instytutów specjalnych	456	293					749
Z gimnazyów	1,811	381	530	889	480	608	4,705
Z szkół powiatowych	413	1,220	537	456	263	90	3,015
Z szkół niedzielno-rzemieśn.	2,652	2,447	702	823	516	174	7,404
Z szkół elementarnych	2,134	30,233	9,590	6,087	6,874	3,842	64,786
Z instytutów prywatnych	3,272	1,242	331	258	214	5	5,412
Razem	10,708	41,810	11,786	8,513	8,352	4,818	86,051

W jednej gubernii Warszawskiej jest szkół 808, uczących się 52,578.

W czterech innych guberniach jest szkół 564, uczących się 33,573.

Rozkład uczących się podług wyznań.

	Katolickiej	Pravosławnej	Greko-Unickiej	Ewangelickiej	Mojżeszowej	Mohometan.	Ogółem
W Instytutach specjalnych	457	3	2	31	250	"	749
W gimnazyach	1,204	67	51	242	58	"	1,782
W szkołach powiatowych	2,081	28	5	191	52	7	3,015
W szkołach niedzielno-rzem.	6,268	15	106	836	179	"	7,404
W szkołach elementarnych	49,133	89	900	12,357	2,287	"	64,786
W instytutach prywatnych	4,167	96	4	890	229	"	5,412
Razem	67,057	298	1,120	14,537	3,031	7	86,051

Rozkład pod względem ludności.

	Ilość.		Stosunek.
	Uczących się	Ludności	
W gubernii Warszawskiej.....	52 578	1,508,821	1 : 30
„ „ Radomskiej.....	11,789	101,832	1 : 8
„ „ Lubelskiej.....	8,513	999,309	1 : 124
„ „ Płockiej.....	8,352	539,252	1 : 67
„ „ Augustowskiej.....	4,818	625,730	1 : 131
W całym kraju.....	86,051	4,798,658	1 : 56

Stosunek pod względem stopnia szkół.

	Ilość uczących się	Stosunek do ludności
W stopniu szkół gimnazjalnych.....	1,712	1 : 4800
„ „ „ powiatowych.....	9,368	1 : 600
„ „ „ elementarnych.....	74,971	1 : 65

Stosunek pod względem wyznań.

Wyznania.	Ilość		Stosunek.
	Uczących się	Ludności	
Rzymsko-katolickiego.....	67,057	3,740,818	1 : 56
Prawosławnego.....	298	4,211	1 : 14
Greko-unickiego.....	1,120	241,363	1 : 240
Ewangelickiego.....	14 537	255,799	1 : 18
Mojżeszowego.....	3,031	550,197	1 : 180
Mahometafńskiego.....	7	288	1 : 41

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Sławny meteorolog Dove ogłosił rozprawę, w której rozbięra przyczyny dziennych zmian w wysokości kolumny merkuryusza w barometrze. Główne wypadki téj obszernej pracy są następujące:

1) Zmiany dzienne na barometrze obserwowane, są wynikiłością prądów powietrznych w górę się wznoszących; nie zależą więc wcale od prądów powietrza poziomych. Pod zwrotnikami, gdzie te ostatnie prądy prawie czuć się nie dają, zmiany dzienne kolumny merkuryusza w barometrze, następują prawie jednocześnie w czasie dziennych peryodów temperatury.

2) Wszystkie przyczyny dynamiczne przez Laplace wskazane, jakoto: działanie słońca i księżyca na atmosferę, wznoszenie się i opadanie oceanu będącego ruchomą podstawą oceanu powietrznego, przyciąganie morza, razem wzięte, winny być uważane jako przyczyny drugiego rzędu, podrzędne.

3) Według Dove, przyczyny fizyczne ze względu na ich ważność, mogą być także podzielone na dwa stopnie.

Do pierwszych należą: a) gęstość powietrza zmniejszająca się z wrostem temperatury i jednocześnie zwiększająca

wysokość słupa powietrznego nad barometrem zawieszono. Ta przyczyna odbywa całkowity swój peryod w 24 godzinach. b) Parowanie wody, wzrastające z większą temperaturą. I ta przyczyna odbywa swój peryod całkowity w 24 godzinach, lecz co do natury swego działania tém się różni od pierwszej, że przyczynia się do zwiększenia całkowitego ciśnienia, wtedy, gdy poprzednia w tychże samych okolicznościach usiłuje je zmniejszyć.

Do podrzędnych przyczyn fizycznych, Dove liczy wszelkie ruchy i prądy powietrzne; te przepływy powietrza z jednego miejsca w drugie, przez swą długotrwałość, będącą skutkiem bezwładności, najwięcej przyczyniają się do nieregularności zmian dziennych barometru.

4) Im silniejsze jest działanie temperatury, tém większy objawia się jój wpływ na ciśnienie suchego powietrza: dlatego téż działanie téj przyczyny w jednej miejscowości wzrasta od zimy do lata, uważane zaś na całej kuli ziemskiej zmniejsza się postępując od równika ku biegunom.

5) Jeżeli dostateczna jest ilość wody w pewnym miejscu, wtedy sprężystość pary przez ciąg dnia, graficznie wyobrażona, przedstawia linią krzywą wypukłą; w miejscach zaś oddalonych od zbiorowisk wody słodkiej, linia krzywa sprężystości pary, okazuje wklęsłość.

6) Z kombinacji działań dwóch atmosfer przez barometr wskazywanych otrzymać można trzy przypadki: a) albo następuje zupełna kompensacya tych dwóch przeciwnie na barometr działających przyczyn; b) albo wyniknie przewyżka sprężystości pary wodnej nad zmniejszoną gęstością powietrza; c) albo téż działanie przeciwnie z poprzedniem. Dlatego téż w różnych miejscach maxima i minima dziennych oscyllacyj barometru mogą być albo skutkiem interferencyi tych dwóch przyczyn, jak to ma miejsce na morzu, albo ich zgodności (coincidence), jak to spostrzegamy w środku wielkiego lądu stałego (Syberyi).

7) Wielkość zmian dziennych barometru zależy zupełnie od wielkości zmian termometru w ciągu dnia, a ponieważ też same zmiany temperatury pod wpływem różnych miej-

scowych okoliczności mogą rozlicznie działać na obie atmosfery, dlatego w miejscach należących do téjże samój strefy, bardzo często natrafiamy na wielce różne oscylacje barometru. Rezultata powyżej przytoczone, poparte są obserwacyami z różnych punktów kuli ziemskiej. (*L'Institut. Septembre 1846*).

* Wiele jest sposobów w meteorologii do mierzenia prędkości wiatru; można jednak powiedzieć, co już zresztą praktyka okazała, że po większej części nie są odpowiednie celowi albo dla zbyt skomplikowanego składu aparatów, albo dla małej dokładności otrzymywanych wypadków. Do liczby istniejących sposobów, p. Philips projektuje jeszcze następujący, zdolny według niego usunąć błędy, jakie w innych anemometrach mają miejsce.

Zasadą sposobu p. Philips jest szybkość parowania wody na wiatr wystawionój, a ztąd prędkie oziębianie ciał jój przyległych. Bańka termometru obwinęta bawełną gręplowaną i po zmoczeniu wystawiona na wolne powietrze, jak wiadomo w skutek parowania wody, zniża swą temperaturę; parowanie to, a ztąd i zniżanie temperatury, następuje tém szybciej, im prędzej termometr poruszany bywa. Oznaczywszy dokładnie szybkość oziębiania termometru, wystawionego na wolne powietrze i poprzednio ogrzewanego ciepłem ręki, Philips powtarzał te doświadczenia z termometrem w rozmaity ruch wprawianym i ztąd wyciągnął zależność czasu ostudzania termometru od różnej prędkości prądu powietrza.

Probując na kolei żelaznej South-Western swego aparatu, umieszczonego w odległości dwóch stóp od powozu pędzącego z szybkością 36 milles na godzinę, przekonał się, że anemometr jego pomysłu dokładnie okazał prędkość biegu lokomotywy. Zdaje się więc, że na téj zasadzie zbudowane anemometra, po dokładném poprzednio wyprobowaniu każdego, dla łatwości w użyciu i swój prostoty, między różnemi sposobami do tego celu służącemi, jedno z pierwszych zająć będą mogły miejsce. (*L'Institut. Decembre 1846*).

S. P.

CHEMIA.

O nowym kwasie siarkowym zawiadomia Wackenroder, iż tenże powstaje z działania gazu siarkowego-wodorodnego na kwas 2 siarkowy (schweflige Säure). Znamię jego ma być $S_3 O_3$. (*Journal für praktische Chemie* n. 15).

* Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu, czytał w dniu 7 września r. z. p. Payen zawiadomienie o bytności olejku, który ma nadawać zapach krochmalowi. Dwa doświadczenia dotyczące się powyższego przedmiotu, wykonał on w następujący sposób:

Wziąwszy odbieralnię szklaną objętości 6 kwart, wlał w nią 3 kwarty wody zaostrożonej 5 tysięcznemi kwasu siarkowego, i tę ciecz zagotował; poczem dodawał do niej raz po razie przez urządzony stosownie lejek, pół kilogramu krochmalu rozmoczonego. Przez przyzwoite zgęszczanie, otrzymano zaledwie pół kwarty cieczy w dwóch pierwszych odbieralniach; do trzeciej przy końcu roboty przeszło kilka centymetrów sześciennych wody, w czwartej zaś rurce otoczonej lodem, znalazło się zaledwo kilka jój kropeł. Po zdjęciu zastawy (apparatu), okazała się w dwóch pierwszych odbieralniach ciecz, zbliżona zapachem do krochmalu, pływała zaś ona po wierzchu. Po odłączeniu jój eterem i następnym odparowaniu tegoż, pozostała się istota mająca podobieństwo do tłustości, krzepnąca, miękka po oziębieniu. Trzecia odbieralnia zawierała około 20 centymetrów sześciennych wody mieniającej się (opalizującej), posiadającej mocny zapach krochmalu, po której pływał olej ciekły, żółtawy, wyziewający tenże sam właściwy zapach, tylko nieco mocniejszy. Ostatnia rurka zanurzona w lodzie, mieściła w sobie obadwa ciała rozproszone w drobnych kropeczkach na jój ścianach.

Zlewając razem wypadki z obudwóch robót, otrzymano przez proste ściąganie z wierzchu, w rurce wyciągniętej włoskowato, 8 centygramów olejku ciekłego, żółtawego, posiadającego w wysokim stopniu woń właściwą kro-

chmalowi. Z cieczy wodnistej, otrzymano jeszcze 18 miligramów tegoż oleju; krochmal przeto, oprócz istot oleistych, zsiadłych, mniej lotnych od wody, zawiera jeszcze najmniej 0,0001 swęj wagi oleju ciekłego śmierdzącego.

Tak więc, kończy p. Payen, niema już żadnej wątpliwości względem tego przedmiotu, nowo przyswojonego nam; z niego rozwinać się mogą inne pytania: być np. może, że krochmalc ziemniaków patatów, zbóż i t. p. winny swój, smak właściwy, właściwym także olejkom; być nawet może, że wiadomości te posłużą do wyświeccenia jaki one wpływ wywierają przy rozwijaniu się zapachu win, woni wódek, juźto gdy będą uważane same, juź tęż gdy te olejki ulegną zmianie pod wpływem powietrza i fermentu.

Pewna ilość tego olejku, została złożona akademii. (*L'Institut* 9 Sept. 1846).

* W dniu 26 października 1846 r. czytał p. Dumas w akademii umiejętności rozprawę, tyczącą się przemiany gazu siarkowego wodorodnego na kwas siarkowy; treść jej jest następująca:

Wszyscy podróżni, którzy zwiedzali Popayan i wodospad utworzony przez Rio-Vinagre w niejakięj odległości od otworu wulkanu Purace będący uważali, że z wody spadającej powstają daleko pryskające kropelki kwaskowate. PP. Humboldt i Boussingault okazali, że ta woda kwaśna zawiera kwas siarkowy i kwas solny, wolne. P. Dumas zajął się zaś wybadaniem przyczyn tworzenia się kwasu siarkowego w powyższych okolicznościach; zwrócił on uwagę, że tenże sam przypadek spostrzega się w wyziewach wychodzących z jezior Toskańskich. Również z dołów wykopanych dla wydobywania kwasu borowego, z których nieustannie wychodzi para wodna, unosząc z sobą tenże kwas borowy, wywiązuje się w małej ilości gaz siarkowy wodorodny. Doświadczenie przeto naucza, że te pary, lub woda z niemi wychodząca, chociaż nie zawierają kwasu siarkowego wolnego, spadając na ziemię tworzą niebawem siarkan wapna przez rozkład węglanu wapna zawartego w gruncie.

Z tego się pokazuje, że wodoród siarkowy tworzy kwas siarkowy, z którego znowu powstaje siarkan wapna, tak pospolity przy miejscach wydających wyziewy powyżej wspomniane, i oprócz tego wykryty w błotach owych jezior, w ich wodzie, i w kwasie borowym otrzymanym w rzeczonych szczególnych okolicach.

Oprócz tego p. Dumas znalazł tak utworzony siarkan wapna, albowi też siarkany mataliczne, w kąpielach siarczanych w Aix w Sabaudyi. Izby z których woda przechodzi do kąpeli, po większej części wystawione są z kamienia wapiennego. Powoli ich ściany się wzdymają i pokrywają się kryształami gipsu; a to nawet tak prędko następuje, że trudno było zastąpić cegłą kamień wapienny w budowach nowych. Żelaztwo we drzwiach i oknach gwałtownie zmienia się w siarkan żelaza, i ztąd téżto drzwi w ogólności bywają opatrzone zawiasami i zasuwami miedzianymi, które się opierają lepiej, ale i te po pewnym przeciągu czasu zmieniają się w siarkan miedzi. Oprócz tych zjawisk, spostrzegano jeszcze i inne właściwe tylko tym okolicom, to jest, że zasłony płócienne służące do przegradzania chorych kąpiących się w sadzawkach, z łatwością napawają się kwasem siarkowym wolnym, i po kilku tygodniach, już kwas ten widocznie się na nich okazuje; w skutek tego, płótno powyższe mocno zostaje uszkodzone i jeżeli go bez wyprania przechowują, za lekkim potarciem rozsypuje się na proszek. Pomimo tego wszystkiego przekonano się, że pary wód w Aix nie zawierają w sobie kwasu siarkowego wolnego, ztąd więc osądził p. Dumas, że tenże kwas siarkowy tworzy się tam przez wodoród siarkowy, pod wpływem przyczyn szczególnych, do których liczy się bytowanie tamże płótna. Nie wchodząc w szczególności doświadczeń przytaczamy jedynie, że p. Dumas przyszedł do uznania téj prawdy, iż wodoród siarkowy zmieszany z powietrzem, przy wpływie ciała dziurkowatego a w szczególności płótna i temperatury nieco podwyższonej, zmienia się powolnie w kwas siarkowy (witryol).

Powyższy sposób palenia, jak widzimy, różni się zupełnie od palenia wodorodu siarkowego z płomieniem przy przystępie powietrza. W tym bowiem drugim przypadku, jak wiadomo, tworzy się woda, kwas 2gi siarkowy, prawie zawsze osad siarki i ślady kwasu siarkowego. W przypadku zaś opisywanym przez p. Dumas, to jest w gorenium powolném wodorodu siarkowego, tenże chemik nie spostrzegł ani kwasu 2go siarkowego, ani siarki, ale tylko wityrol. Przeciwnie jeżeli wodoród siarkowy jest rozpuszczony w wodzie, i skoro zostawiamy ten roztwór przy przystępie powietrza, powolne zagęszczenie następuje, a ztąd tworzy się woda i opada siarka. Wiadomo, że ten osad siarkowy odznacza głównie wody mineralne siarkowe, z których przy przystępie powietrza opada.

Następnie p. Dumas zawiadomia, że w oddzielnej rozprawie okaże, w jaki sposób metale wpływają na tworzenie się siarkanów w zetknięciu swém z wodorodem siarkowym i powietrzem; kończy zaś swe pismo dwoma następnymi uwagami:

„W wielkich miastach, a w szczególności w Londynie, uważano, że massy żelaza lub surowcu wystawione na powietrze, psuć się zaczynały, co przypisywano bytności kwasu 2go siarkowego w powietrzu, który miał powstawać z palenia węgla ziemnego; wartoby jednak się zastanowić, czyli wodoród siarkowy wyziewany przez liczne kloaki nie wpływa na to psucie się, i tworzenie ztąd siarkanów któreby mu towarzyszyło. Wywiązywanie się wodorodu siarkowego w ogólności powszechnie równie w Paryżu jak w Londynie widocznie się okazujące, może stanowić przyczynę powolnego tworzenia się kwasu siarkowego; a jeżeli znajdują się zasady solne do jego nasycenia, nawet i siarkanów. Z doświadczeń pp. Chevreul, Vogel i Lewy wiadomo, że wszędzie, gdziekolwiek tylko znajdują się siarkany alkaliczne w zetknięciu z istotami organicznymi, mogą te sole tworzyć wodoród siarkowy; z drugiej zaś strony, wszędzie, gdzie wodoród siarkowy i powietrze stykają się z szczątkami wilgotnymi roślin, powstaje kwas siarkowy (wityrol)

i siarkany. Siarka więc może się przenosić przez powietrze z siarkanów w których się znajduje (te zaś znowu bytują w wielkich massach wody), do ziemi która jój potrzebuje dla zachowania przy życiu roślin i zwierząt. W ogólności bowiem zważać należy, że siarka ważne zajmuje miejsce przy tworzeniu wszystkich istot usaletrorodnionych tak roślinnych jak zwierzęcych, które jój zawierają średnio setną część ich wagi. Tak więc 10 kilogramów istoty suchej, czyli mniej więcej to, co zawiera człowiek średniego wzrostu, zawierają 100 gram siarki; ta przeto ilość jest już znakomitą. Ztąd także wypływa, że ludność Francyi wyobraża około dwa miliony kilogramów siarki. Gdyby więc chciano wiedzieć o prawdziwej ilości siarki zawartej w roślinach i zwierzętach żyjących we Francyi, możnaby bez przesady dziesięć razy zwiększyć powyższą liczbę.

Ruch umiarkowany na kuli ziemskiej, sprowadzający nieustannie dla roślin i zwierząt tak znaczną ilość siarki, musi podlegać pewnym prawom, godnym uwagi wszystkich przyjaciół filozofii naturalnej. Nie śmiejąc utrzymywać, czyli te prawa wykryłem, spodziewam się (kończy p. Dumas), że zwracanie ciągle uwagi na tę okoliczność, przyczyni się do ich wyjaśnienia, lub przynajmniej do ich bacniejszego uważania." (*L'Institut* z 28 Octobre 1846).

J. B...c.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

RZESZÓW.

160. Grammatyka języka Polskiego przez Jana Nep. Deszkiewicza. Z godłem:

....Jedno wy mili Polacy! rozmiłujcie się języka swego. Ten niech przodkuje, ten niech dziedziczy. — *Flor. Unglerius.*

8ka. Rzeszów. 1846. Druk Franciszka Skielskiego. Str. XII. VI i 464. Złp. 13 gr. 10.

POZNAŃ.

161. Obrazy z życia i podróży. 8ka. Poznań. 1846. Nakład J. K. Żupańskiego. Druk W. Deckera i Spółki. Str. 184, i napisów kart 2. Złp. 7.

1847.

WARSZAWA.

18. Niezapominajki. Noworocznik na rok 1847, wydany przez Karola Korwella. (Rok ósmy). Ozdobiony (3) rycinami. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Kom. Rz. Sprawiedliwości. Napisów kart 2, str. 346 i rejestru karta 1. Złp. 18.

19. Nowa metoda nauczania się łatwym sposobem pierwszych zasad języków Polskiego, Rossyjskiego, Francuzkiego i Niemieckiego, dla młodzieży praktycznie ułożona w wokabulach, rozmowach i przykładach, wraz z wzorami przypadkowania i czasownia w tychże językach, oraz z zadaniami do podanych prawideł zastosowaniami przez J. M. Elkanę. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 240. Rejestru i omytek kart 2. Złp. 3 gr. 15.

20. Opowiadania Historii Polskiej dla dzieci przez Zenonima Ancyporowicza. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Str. 243, i kart 2. Złp. 5.

21. Ostatnie chwile Michała Korybuta i Elekcyja Jana III, powieść historyczna, napisał Roman Laskowski. 2 tomy. 12ka. War-

szawa. 1847. Druk Kommissyi Rz. Sprawiedliwości. (Nakład autora). Tom I, str. 254. II, 234, i w każdym kart napis. 2. Ztp. 13 gr. 10.

22. Pani Orzelska, obraz z domowego życia Polaków w pierwszej połowie XVIII wieku, przez autora Starosty Rabsztyńskiego i Zborowskich (Józef M. Wiślicki). 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Druk J. Kaczanowskiego. Tom I. Str. 226. II 258. Ztp. 10.

23. Pan Hilary, przez Marcellego Skotnickiego. Godło:

Qu'on destine mon élève à l'épée, à l'Eglise, au barreau, peu m'importe.—Avant la vocation de parents, la nature l'appelle à la vie humaine. Vivre est le metier, que je lui veux apprendre. — *J. J. Rousseau.*

12ka. 3 tomy. Warszawa. 1847. Druk J. Jaworskiego. Tom. I, str. 259. II. 257. III, 251. Ztp. 15.

24. Położnictwo Domowe czyli jasne i proste sposoby ratowania ciężarnych, rodzących, położnic i dzieci nowonarodzonych, dla osób zamężnych wszelkiego stanu, przez Dra J. K. Pietrzykowskiego. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Kart 4, str. 215 i X. Ztp. 6.

25. Przepowiednie pogody, słońca, wiatru i innych zmian powietrza. Wzięte z uważania słońca, chmur, barometru, roślin, robactwa, pajaków, ryb, ptaków, ptastwa, zwierząt, ludzi i innych t. p. martwych oraz żyjących rzeczy. Zebrał i ułożył Wojciech Jastrzębowski, professor Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie. 8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Glücksberga. Str. 15, i napisów karta 1.

26. Tajemnice Berlina, z pamiętników urzędnika sądu kryminalnego. 4 tomy, 8ka. Warszawa. 1847. Nakład S. H. Merzbacha. Druk J. Ungra. Tom I, str. 276. II 190. III, 208, IV. 196. W każdym kart napisowych 2. Ztp. 18.

27. Teatr Fryderyka Hr. Skarbka. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. (Nakład księgarni Ig. Klukowskiego). Tom I. str. III i 365. II, 419, i w każdym napisów kart 2 i rejestru karta 1. Ztp. 12.

28. Upominek Ojca dla dobrych dzieci, przez D. Puchalskiego. 16ka. Tom 1. Warszawa. 1847. Druk J. Kaczanowskiego. Str. 260 i rejestru kart 2. (XI tablic rycin z 39 fig.) Ztp. 6.

W I L N O.

29. Rachel, powieść Żegoty Kostrowca (x. Ignacego Hołowińskiego). 12ka. Wilno. 1847. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Wydanie Adama Zawadzkiego. Str. 396. Ztp. 11.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zapowiedziane dzieło J. Majorkiewicza: *Historja, Literatura i Krytyka* w ozdobnej edycji wyszło z drukarni Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości.

Kraszewskiego nową w 4 tomach powieść *Sfinx*, księgarz Merzbach drukuje swoim nakładem. Pierwszy tom już skończony.

Professora Jana Szwaynica, trzeci i ostatni tom: *Historji narodu i państwa rzymskiego* od kilku dni znajduje się już w rękach czytelników.

W tych dniach wyszły z druku: *Mazury kompozycyi Oskara Kolberga*, dzieło 8mc, i są do nabycia w składach muzycznych Warszawskich. Cena Złp. 5.

Zapowiedzianego dzieła profes. Woj. Jastrzębowskiego p. t. „*Układ świata zastosowany do potrzeb powszechnych*” wyszedł poszyt pierwszy.

Powieść H. Kock'a przełożona z francuzkiego przez J. W...cką pod tytułem: *Podejrzanie*, nakładem redakcyi *Gaz. Codziennej* wyszła na widok publiczny. Składa się z 19 głównych scen życia społecznego, obejmujących 217 stronnic na pięknym papierze. Exemplarz po złp. 5 sprzedaje się we wszystkich księgarniach Warszawskich. Skład główny w biurze redakcyi *Gaz. Codziennej* przy drukarni Banku Polskiego.

L W Ó W.

Wincenty Pol objął redakcyą *Biblioteki imienia Ossolińskich*. Józef Dzierzkowski, znany powieściopisarz, napisał powieść „*Życie jednego poety*.” Przedstawia w niej zmarłego zbyt wcześnie Dominika Magnuszewskiego.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Wydrukowano w drukarni...

Warszawa 1846

Miasto Warszawskie położone jest 114 00 metrów nad poziomem morza...

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Grudzień 1846.

Czas	TERMOBARIUM				BAROMETRUM				Wiatr	Chmury	Widoczność
	10	9	8	7	10	9	8	7			
1.00	7.9	8.0	8.1	8.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
2.00	8.0	8.1	8.2	8.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
3.00	8.1	8.2	8.3	8.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
4.00	8.2	8.3	8.4	8.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
5.00	8.3	8.4	8.5	8.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
6.00	8.4	8.5	8.6	8.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
7.00	8.5	8.6	8.7	8.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
8.00	8.6	8.7	8.8	8.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
9.00	8.7	8.8	8.9	9.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
10.00	8.8	8.9	9.0	9.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
11.00	8.9	9.0	9.1	9.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
12.00	9.0	9.1	9.2	9.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
13.00	9.1	9.2	9.3	9.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
14.00	9.2	9.3	9.4	9.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
15.00	9.3	9.4	9.5	9.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
16.00	9.4	9.5	9.6	9.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
17.00	9.5	9.6	9.7	9.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
18.00	9.6	9.7	9.8	9.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
19.00	9.7	9.8	9.9	10.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
20.00	9.8	9.9	10.0	10.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
21.00	9.9	10.0	10.1	10.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
22.00	10.0	10.1	10.2	10.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
23.00	10.1	10.2	10.3	10.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
24.00	10.2	10.3	10.4	10.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
25.00	10.3	10.4	10.5	10.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
26.00	10.4	10.5	10.6	10.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
27.00	10.5	10.6	10.7	10.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
28.00	10.6	10.7	10.8	10.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
29.00	10.7	10.8	10.9	11.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
30.00	10.8	10.9	11.0	11.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
31.00	10.9	11.0	11.1	11.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
32.00	11.0	11.1	11.2	11.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
33.00	11.1	11.2	11.3	11.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
34.00	11.2	11.3	11.4	11.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
35.00	11.3	11.4	11.5	11.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
36.00	11.4	11.5	11.6	11.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
37.00	11.5	11.6	11.7	11.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
38.00	11.6	11.7	11.8	11.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
39.00	11.7	11.8	11.9	12.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
40.00	11.8	11.9	12.0	12.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
41.00	11.9	12.0	12.1	12.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
42.00	12.0	12.1	12.2	12.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
43.00	12.1	12.2	12.3	12.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
44.00	12.2	12.3	12.4	12.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
45.00	12.3	12.4	12.5	12.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
46.00	12.4	12.5	12.6	12.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
47.00	12.5	12.6	12.7	12.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
48.00	12.6	12.7	12.8	12.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
49.00	12.7	12.8	12.9	13.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
50.00	12.8	12.9	13.0	13.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
51.00	12.9	13.0	13.1	13.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
52.00	13.0	13.1	13.2	13.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
53.00	13.1	13.2	13.3	13.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
54.00	13.2	13.3	13.4	13.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
55.00	13.3	13.4	13.5	13.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
56.00	13.4	13.5	13.6	13.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
57.00	13.5	13.6	13.7	13.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
58.00	13.6	13.7	13.8	13.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
59.00	13.7	13.8	13.9	14.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
60.00	13.8	13.9	14.0	14.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
61.00	13.9	14.0	14.1	14.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
62.00	14.0	14.1	14.2	14.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
63.00	14.1	14.2	14.3	14.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
64.00	14.2	14.3	14.4	14.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
65.00	14.3	14.4	14.5	14.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
66.00	14.4	14.5	14.6	14.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
67.00	14.5	14.6	14.7	14.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
68.00	14.6	14.7	14.8	14.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
69.00	14.7	14.8	14.9	15.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
70.00	14.8	14.9	15.0	15.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
71.00	14.9	15.0	15.1	15.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
72.00	15.0	15.1	15.2	15.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
73.00	15.1	15.2	15.3	15.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
74.00	15.2	15.3	15.4	15.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
75.00	15.3	15.4	15.5	15.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
76.00	15.4	15.5	15.6	15.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
77.00	15.5	15.6	15.7	15.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
78.00	15.6	15.7	15.8	15.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
79.00	15.7	15.8	15.9	16.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
80.00	15.8	15.9	16.0	16.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
81.00	15.9	16.0	16.1	16.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
82.00	16.0	16.1	16.2	16.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
83.00	16.1	16.2	16.3	16.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
84.00	16.2	16.3	16.4	16.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
85.00	16.3	16.4	16.5	16.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
86.00	16.4	16.5	16.6	16.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
87.00	16.5	16.6	16.7	16.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
88.00	16.6	16.7	16.8	16.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
89.00	16.7	16.8	16.9	17.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
90.00	16.8	16.9	17.0	17.1	29.85	29.85	29.85	29.85			
91.00	16.9	17.0	17.1	17.2	29.85	29.85	29.85	29.85			
92.00	17.0	17.1	17.2	17.3	29.85	29.85	29.85	29.85			
93.00	17.1	17.2	17.3	17.4	29.85	29.85	29.85	29.85			
94.00	17.2	17.3	17.4	17.5	29.85	29.85	29.85	29.85			
95.00	17.3	17.4	17.5	17.6	29.85	29.85	29.85	29.85			
96.00	17.4	17.5	17.6	17.7	29.85	29.85	29.85	29.85			
97.00	17.5	17.6	17.7	17.8	29.85	29.85	29.85	29.85			
98.00	17.6	17.7	17.8	17.9	29.85	29.85	29.85	29.85			
99.00	17.7	17.8	17.9	18.0	29.85	29.85	29.85	29.85			
100.00	17.8	17.9	18.0	18.1	29.85	29.85	29.85	29.85			

Grudzień 1846.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'45", na wschód

Dnia	Odmiany Księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sedn. dzienne
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		746.43	747.71	748.32	748.42	- 4.1	- 3.2	- 0.8	- 3.7	96.5
2		746.70	745.93	742.56	738.87	- 6.2	- 4.8	- 2.3	- 0.6	95.0
3	☉	735.29	734.63	736.60	739.12	0.0	+ 0.8	+ 2.0	+ 1.6	96.0
4		744.58	746.19	747.56	748.23	+ 0.1	+ 0.5	+ 0.6	- 0.2	93.0
5		744.29	745.06	746.66	750.15	- 1.5	- 2.1	- 3.4	- 3.1	100.
6		752.07	753.46	753.65	754.03	- 3.1	- 1.6	- 4.6	- 6.4	99.0
7		753.59	754.46	753.19	753.12	- 8.3	- 5.6	- 4.1	- 3.4	96.2
8		750.98	751.36	750.54	752.28	- 2.9	- 1.8	- 0.3	- 1.5	100.
9		754.52	755.39	754.04	750.36	- 2.6	- 1.6	- 1.3	+ 0.2	99.5
10	☾	746.49	745.74	743.90	742.21	+ 0.1	+ 0.5	+ 0.3	- 0.0	96.7
11		739.11	739.10	739.40	741.69	- 0.5	+ 0.7	+ 1.8	+ 1.2	89.5
12		741.29	740.03	731.17	724.96	- 1.3	- 0.2	+ 2.5	+ 2.6	98.0
13		731.04	734.37	737.57	738.81	- 0.2	- 0.4	- 1.3	- 6.2	95.5
14		738.45	740.37	740.75	740.87	- 8.5	- 10.0	- 11.2	- 11.7	96.7
15		740.67	740.73	740.18	741.76	- 13.4	- 10.8	- 9.3	- 12.1	97.0
16		740.05	739.75	737.04	737.59	- 12.6	- 11.0	- 9.2	- 13.6	99.2
17		738.61	740.30	740.44	741.80	- 11.0	- 8.0	- 8.3	- 9.1	100.
18	☉	743.28	745.41	747.70	751.35	- 12.9	- 10.9	- 9.3	- 13.0	100.
19		752.04	751.71	748.61	745.43	- 9.7	- 7.1	- 7.3	- 10.5	100.
20		744.12	744.44	743.37	740.21	- 5.4	- 1.8	- 0.2	+ 0.5	97.2
21		741.73	742.63	741.73	737.25	+ 1.6	+ 2.0	+ 1.8	+ 1.2	93.5
22		730.95	730.67	729.67	728.47	+ 2.0	+ 2.3	+ 2.4	+ 1.1	84.7
23		727.41	728.43	728.94	727.75	+ 2.2	+ 2.6	+ 2.3	+ 0.3	88.8
24		726.90	727.14	727.26	729.20	- 0.6	+ 0.5	+ 1.4	+ 2.2	93.7
25	☾	738.34	741.75	745.62	749.41	- 4.1	- 4.9	- 5.0	- 7.0	90.5
26		748.58	748.95	749.44	751.91	- 5.9	- 4.5	- 2.3	- 3.7	92.2
27		753.31	754.61	756.43	758.59	- 7.8	- 6.5	- 4.4	- 4.6	95.2
28		760.13	761.04	762.42	764.60	- 7.8	- 5.8	- 4.9	- 6.4	97.2
29		765.89	767.18	767.61	768.63	- 8.8	- 7.7	- 8.1	- 8.8	94.2
30		769.31	770.27	770.46	770.81	- 10.8	- 10.2	- 10.8	- 12.0	91.5
31		769.08	758.74	765.43	762.16	- 12.3	- 11.4	- 10.8	- 11.1	93.7
Śrc.		745.62	746.37	746.09	746.20	- 5.04	+ 3.94	+ 3.47	- 4.47	95.5

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1⁸. 14^m. 47^s.
względem południka paryżkiego.

Dnia	Odmiany Księżycy	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
		6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1		pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdZ.	—		
2		pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
3	☉	pochmurny	dészcz	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	Z.	Z.	2.8	
4		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnW.		
5		śnieg	śnieg	pót pogodny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	—	8.8	
6		pochmurny	pochmurny	mgła	mgła gruba	Z.	Z.	PdW.	PdW.		
7		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
8		pochmurny	dészcz	dészcz	dészcz	W.	PnW.	PnW.	Pn.	3.0	
9		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	—		
10	☾	mgła	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	—	PdZ.	Z.	PdZ.		
11		pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
12		pochmurny	pochmurny	dészcz	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	PdW.	5.4	
13		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
14		pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PdW.	PdZ.		
15		pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
16		pr. pogodny	lek. zamgl.	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
17		pochmurny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.		
18	☉	pochmurny	śnieg pruszy	śnieg drob.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
19		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.	4.0	
20		pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	PdZ.	Z.	PdZ.	Z.	2.8	
21		pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. zamgl.	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		
22		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
23		pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdW.		
24		pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.		
25	☾	pr. pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	—	0.8	
26		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdZ.	Z.		
27		pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
28		pochmurny	śnieg pruszy	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
29		pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PdW.	PdW.		
30		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
31		pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. zamgl.	PdW.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
Śrc.										12.0	15.6

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.070	27	6.730
Najwyżej barometr dochodził d. 30 o g. 10 w.	770.81	28	5.697
Najniżej barometr dochodził d. 12 o g. 10 w.	724.96	26	9.372
Średnia zmiana dzienna barometru	5.0		2.216
Największa zmiana dzienna barometru d. 24 — 25 o g. 10 w.	20.21		8.959
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	5.61		2.486
Średnia temperatura Grudnia wynosi i ta jest niższa o	-4° 23 C.		-3° 38 R.
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	1.86	„	1.48
Największe ciepło dochodziło d. 12 i 22	+ 2.37	„	+ 1.90
Najmniejsze d. 16 o g. 10 w.	+ 2.6	„	+ 2.1
(Termometrogram wskazał Maximum: + 3° 2 R., d. 12 i 22. Minimum: - 11° 2 R. d. 19 rano).	-13.6	„	-10.9
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.48	„	1.98
Największa zmiana dzienna d. 19—20	11.0	„	8.8

Średnia wilgotność powietrza wynosi 95.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; czyli 4.18 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 4; napół pogodnych 2; pochmurnych 25.

— deszczu 4 (d. 3, 8, 12, 24).

— śniegu 8 (d. 4, 5, 12, 18, 20, 28, 29, 31).

— mgły 3 (d. 6, 9, 10).

Dnia 8 przez cały dzień żłodziła padała.

Wody z deszczu spadło wysoko 12.0 millim. czyli 5,32 linij par., z śniegu 15,6 millim. czyli 6,92 lin. par., razem z deszczu i śniegu 27,6 millim. czyli 12,24 lin. par.

Grudzień r. b. był niepogodny, suchy, o półtora stopnia zimniejszy jak zwykle; środek i koniec miesiąca były mroźne, jednak mrozy nie były mocne, gdyż zaledwie 11 stopni dochodziły. Dni najcieplejsze były d. 21, 22, 23; najzimniejsze d. 14, 15, 16, 17, 18 a osobliwie d. 29, 30, 31.

Wody z deszczu i śniegu spadło o 4 linie paryżkie mniej jak zwykle.

Wiatr panujący był Zachodni; często były także: Południowo-Wschodnie, i Południowo-Zachodnie.

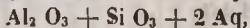
Wichrów było 4, to jest Z=3; PdZ=1.

D. 2, 25, 31, wieczór, koła białe otaczały księżyc.

Sprostowanie.— W rozbiórce gliny z Wielkiej Woli, umieszczonym w zeszycie styczniowym Biblioteki Warszawskiej na r. 1847, zaszyły błędy druku następujące:

K. 186, wiersz 10. Cały ten ustęp powinien być w ten sposób wyrażony:

Proces téj przemiany objaśnili Malagutti i Brogniart. Według ich doświadczeń, część zasadnicza kaolinu jest:



a zatem feldspat = $\text{Al}_2 \text{O}_3, 3 \text{SiO}_2 + \text{KOSiO}_3$,

rozdziela się na: $\text{Al}_2 \text{O}_3, \text{SiO}_2 =$ kaolin

i $3 \text{SiO}_2 \text{KO} =$ krzemian potażu nierozpuszczalny, gdy feldspat jest zwyczajny

albo: $3 \text{SiO}_2 \text{NaO}$, gdy jest albitem.

Lecz obadwa te krzemiany alkaliczne, temi samemi działaniami rozkładowemi dalszej zmiany doznają.

Krzemian sody = $3 \text{SiO}_2 \text{NaO}$

wydaje: $\text{SiO}_2 =$ krzemionka

i $\text{NaO}, 2 \text{SiO}_2 =$ krzemian sody rozpuszczalny.

Z krzemianu potażu = $3 (\text{SiO}_2, \text{KO})$

czyli = $9 \text{SiO}_2 + 3 \text{KO}$,

tworzy się: $\text{SiO}_2 =$ krzemionka

i $8 \text{SiO}_2 + 3 \text{KO} =$ krzemian potażu, taki sam

z jakiego szkło rozpuszczalne powstaje.

K. 189, wiersz 8 od dołu

zamiast: gliny palonéj

powinno być: z gliny palonéj.

K. 190, wiersz 17

zamiast: w glinie palonéj

powinno być: w glinie niepalonéj.

K. 194, wiersz 16 od dołu

zamiast: $3 \text{KO}_2 \text{SiO}_3 \text{KO SiO}_3 \text{KO}_2 \text{SiO}_3 \text{KO}_4 \text{SiO}_3$

powinno być: $3 \text{KO} 2 \text{SiO}_3, \text{KO SiO}_3, \text{KO}, 2 \text{SiO}_3, \text{KO}, 4 \text{SiO}_3$.

K. 194, wiersz 11 i 12 od dołu

zamiast: krzemian $3 \text{CaO}_2 \text{SiO}_3 (\text{CS}_2)$

powinno być: krzemian $3 \text{CaO} 2 \text{SiO}_3 (\text{CS}_2)$.

K. 194, wiersz 13 od dołu:

zamiast: $\text{C}_4 \text{S}, \text{C}_2 \text{S}, \text{C}_4 \text{S}_2, \text{CS}$

powinno być: $\text{C}_4 \text{S}, \text{C}_2 \text{S}, \text{C}_4 \text{S}_2, \text{CS}$.

K. 194, wiersz 6 od dołu

powinno być: granat = $3 \text{CaO SiO}_3 + \text{Al}_2 \text{O}_3 \text{SiO}_3$,

i pistacyl = $3 \text{CaO SiO}_3 + 2 \text{Al}_2 \text{O}_3 \text{SiO}_3$, same topią się w ogniu letrozu, mieszanina zaś i t. d.

W rozbiórce rudy żelaznej z Tychowca:
Na k. 210 wiersz 22 od góry
zamiast: Brauneisensteinu
powinno być: do brauneisensteinu.
Na karcie 210, wiersz 7 od dołu
zamiast: 2 Ag
powinno być: 2 Aq.
K. 211, wiersz 17 od dołu
zamiast: $\text{Fe}_2 \text{O} + 3 \text{Ag}$
powinno być: $\text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Aq}$.
K. 211 wiersz 13 i 14 : 12
zamiast: $2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$
powinno być: $2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Aq}$.
We wszystkich wzorach chemicznych zamiast Fc_2 powinno
być Fe_2 .

Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Warszawskim w roku 1846 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^s 14^m 47^s, czyli w łuku 18° 41'45", na wschód względem południka Paryżkiego.

ROK 1846	WYSOKOŚĆ BAROMETRU w milimetrach sprowadzona do 0°					TEMPERATURA podług termometru stustopniowego					Psychometr. Wilgotność średnia biorąc zupełne nasycenie za 100					S T A N N I E B A										Wysokość wody spadłej w milimetr.		KIERUNEK WIATRU									
	ś r e d n i a					ś r e d n i a					ś r e d n i a					Dni pogod.	Dni pół-pog.	Dni pochm.	Dni deszczu	Dni śniegu	Gradów	Mgły	Grzmotów	Błyskawic bez grzmotu	Wichrów	dészczu	śniegu	Północny	Północno-Wschodni	Wschodni	Południowo-Wschodni	Południowy	Południowo-Zachodni	Zachodni	Północno-Zachodni		
	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz.	10 go. wiecz.	średnia	najwyższa	najniższa	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz.	10 go. wiecz.	średnia	najwyższa	najniższa	6 g. r.																					10 g. r.	4 g. w.
Styczeń	749.37	749.76	748.88	749.33	749.33	763.59 d. 15	730.60 d. 23	- 3°.62	- 2°.80	- 1°.93	- 3°.09	- 2°.86	+ 7°.3 d. 23	- 18°.0 d. 29	92.5	89.9	91.5	92.5	91.7	5	4	22	8	5	6	6	0	21.3	13.6	15	11	8	16	17	7	40	10
Luty	745.03	744.95	744.58	746.28	745.21	759.67 d. 22	726.53 d. 18	- 2°.86	- 1°.03	- 0°.34	- 2°.26	- 1°.63	+ 6°.2 d. 27	- 18°.3 d. 17	91.9	89.0	87.7	93.1	90.5	3	4	22	5	14	6	6	10.2	43.2	2	2	8	11	16	53	16	16	
Marzec	747.44	747.69	747.03	747.71	747.47	759.96 d. 11	728.10 d. 15	+ 2°.45	+ 5°.41	+ 7°.48	+ 3°.98	+ 4°.83	- 14°.0 d. 18	- 0°.9 d. 31	95.0	83.8	73.2	88.7	85.1	3	16	12	15	4	6	35.4	5.2	6	7	21	24	6	48	12	12		
Kwiecień	746.26	746.57	745.94	746.13	746.23	753.91 d. 25	731.80 d. 7	+ 5°.88	+ 10°.68	+ 12°.68	+ 7°.78	+ 9°.23	+ 17°.1 d. 23	+ 0°.8 d. 1	89.5	64.1	56.9	82.5	73.3	6	14	10	14	4	6	32.1	32.1	8	13	17	20	13	16	19	7	7	
Maj	749.96	750.05	749.54	749.83	749.84	756.96 d. 12 i 23	740.69 d. 17	+ 8°.41	+ 12°.35	+ 14°.79	+ 9°.82	+ 11°.34	+ 26°.1 d. 23	+ 0°.6 d. 2	82.8	64.6	54.0	77.4	69.4	6	12	13	19	1	6	45.1	45.1	9	10	14	44	6	16	18	7	7	
Czerwiec	750.33	750.44	749.59	749.97	750.08	755.89 d. 22	738.15 d. 25	+ 13°.13	+ 17°.35	+ 20°.55	+ 14°.99	+ 16°.50	+ 28°.1 d. 20	+ 6°.5 d. 2	89.1	75.1	70.6	81.4	79.0	11	14	5	11	1	7	29.9	29.9	32	29	6	11	4	3	28	4	4	
Lipiec	750.20	750.20	749.49	749.61	749.87	755.65 d. 24	739.02 d. 18	+ 17°.02	+ 21°.42	+ 23°.53	+ 18°.28	+ 20°.06	+ 30°.9 d. 20	+ 12°.7 d. 27	80.9	64.1	58.2	77.9	70.3	6	18	7	11	2	2	50.3	50.3	10	17	47	5	15	7	5	3	3	
Sierpień	750.40	750.66	749.90	750.21	750.29	756.19 d. 31	745.44 d. 24	+ 18°.12	+ 22°.88	+ 25°.22	+ 19°.76	+ 21°.49	+ 30°.5 d. 3	+ 12°.2 d. 28	86.6	68.9	51.6	80.6	73.8	5	22	4	9	1	1	45.4	45.4	17	16	26	30	14	2	5	12	12	
Wrzesień	751.10	751.52	750.59	751.03	751.06	758.44 d. 10	738.78 d. 18	+ 9°.91	+ 15°.97	+ 18°.45	+ 12°.85	+ 14°.29	+ 27°.2 d. 2	+ 2°.9 d. 24	90.6	65.6	56.8	78.9	73.0	11	12	7	7	1	1	19.8	19.8	10	19	15	18	11	2	24	9	9	
Październik	750.36	750.73	750.35	750.53	750.49	763.49 d. 31	742.89 d. 15	+ 8°.58	+ 12°.48	+ 14°.03	+ 10°.01	+ 11°.27	+ 21°.3 d. 3	- 2°.0 d. 31	96.8	81.9	73.2	91.7	85.9	5	15	11	8	1	1	19.0	19.0	4	3	6	66	17	3	11	1	1	
Listopad	755.19	755.46	754.88	754.94	755.12	767.12 d. 10	734.50 d. 28	- 1°.92	+ 0°.12	+ 1°.44	- 0°.63	- 0°.25	+ 8°.0 d. 27	- 10°.1 d. 19	97.4	89.0	85.4	96.8	92.2	8	7	15	7	2	6.5	6.5	4	3	5	33	16	8	24	4	4		
Grudzień	745.62	746.37	746.09	746.20	746.07	770.81 d. 30	724.96 d. 12	- 5°.04	- 3°.94	- 3°.47	- 4°.47	- 4°.23	+ 2°.6 d. 12 i 22	- 13°.6 d. 16	97.2	94.8	93.5	96.8	95.5	4	2	25	4	8	12.0	15.6	7	9	7	24	15	24	27	4	4		
Roczna	749.272	749.533	748.905	749.314	749.255	770.81 d. 30 Grudnia.	724.96 d. 12 Grudnia.	+ 5°.80	+ 9°.24	+ 11°.04	+ 7°.25	+ 8°.33	+ 30°.9 d. 20 Lipca.	- 18°.3 d. 17 Lutego.	90.8	77.6	71.7	86.5	81.6	72	140	153	118	32	6	33	327.0	78.3	138	129	158	296	163	110	302	88	88

Średnia wysokość roczna barometru . . . 749.255 milim. czyli c. 1. 27 8.142
 Najwyżej barometr dochodził d. 30 Grudnia 770.81 28 5.697
 Najniżej d. 12 Grudnia 724.96 26 9.372
 Zmiana roczna barometru 45.85 1 8.325
 Średnia zmiana miesięczna 2.466 1.094
 Średnia zmiana dzienna 3.59 1.592
 Największa zmiana dzienna przypadła d. 11—15 Grudnia 20.39 9.03
 Średnia wysokość barometru roczna jest o 0.70 0.31
 niższa od stanu normalnego z 20 lat poprzednich. 749.955 27 8.452
 Barometr największym zmianom dziennym podlegał w miesiącach: Styczniu, Lutym i Grudniu; najmniejszym w Sierpniu.—
 Średnia wysokość barometru miesięczna była niższa, w Styczniu, Lutym, Marcu, Kwietniu, Październiku a osobliwie w Grudniu; przeciwnie w Maju, Czerwcu, Lipcu, Sierpniu, Wrześniu a osobliwie w Listopadzie wyższa, niż w stanie normalnym tychże miesięcy. Największe odstąpienia od stanu średniego, okazały miesiące: Luty, Listopad i Grudzień; najmniejsze, Maj, Wrzesień i Październik.

Średnia temperatura roczna wynosi: + 8°.33 C. = + 6°.66 R. i ta jest wyższa o 1.00 " 0.80 " od stanu normalnego z 20tu lat poprzed. + 7.33 " + 5.86 " Największe ciepło dochodziło d. 20 Lipca +30.9 " +24.7 " Największe zimno. d.17 Lutego -18.3 " -14.6 " Zmiana roczna temperatury 49.2 " 39.3 " Zmiana średnia miesięczna 4.55 " 3.63 " Średnia zmiana dzienna 2.42 " 1.94 " Największa zmiana dzienna d.16—17 Lut. 17.3 " 13.8 " Uważając miesiące: Grudzień (1845 r.), Styczeń, Luty za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj, za wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień, za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad, za jesienne; wypada:
 Temperatura zimy - 1°.61 C. i ta jest wyższa o 2°.12 C. wiosny + 8.47 " " wyższa 1.32 " lata +19.35 " " wyższa 1.25 " jesieni + 8.44 " " wyższa 0.63 " od średniego stanu tychże pór.
 Miesiące cieplejsze od stanu normalnego były: Styczeń o 2°.45, Luty o 1°.89; Marzec o 4°.42; Kwiecień o 1°.77; Lipiec o 1°.31, Sierpień o 3°.54; Wrzesień o 0°.29; Październik o 3°.25. Miesiące zimniejsze: Maj o 2°.25; Czerwiec o 1°.12; Listopad o 1°.65; Grudzień o 1°.86.

Rok 1846 pod względem ciepłostanu należy do lat gorących; wszystkie bowiem pory roczne, osobliwie zimowa, miały temperaturę wyższą niż w stanie normalnym.
 Wilgotność powietrza średnia roczna wynosi 81,6, biorąc liczbę 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, albo 7.17 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o jedną setną mniejsza jak zwykle. Wszystkie pory roczne, osobliwie lato i jesień, były bardzo suche. Miesiące najsuchsze były: Lipiec i Wrzesień; najwilgotniejsze Maj i Grudzień.
 Ilość wody z deszczu wynosi: 327.0 milim. czyli cali 12 lin: 0.96 z śniegu " 78.3 " " 2 " 10.71 razem wody z deszczu i śniegu 405.3 " " 14 " 11.67 to jest o 5 cali 8,5 lin. par. mniej od ilości wody jaka zwykle w całym roku u nas spada. Najwięcej wody spadło w Lutym i Lipcu; najmniej w Wrześniu, Październiku i Listopadzie. Rok ten należy do lat bardzo suchych.
 W całym roku było dni pogodnych 72; napółpogodnych 140; pochmurnych 153; dni słotnych 118; śnieżnych 82; mglistych 33; gradów 6; grzmotów 22; błyskawic bez grzmotu 4. Wichrów 43. Wiatry panujące były: Zachodnie i Południowo-Wschodnie.

Jeżeli rok cały uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy dni pogodne, napółpogodne i pochmurne; wypadnie w średniem przecięciu z 20 lat poprzednich stosunek dni pogodnych do napółpogodnych i pochmurnych jak 16: 33: 51. W roku 1846 stosunek tych dni jest 20: 38: 42, co pokazuje że rok ten był pogodniejszy niż w stanie normalnym. Miesiące: Kwiecień, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik i Listopad były pogodniejsze jak zwykle; przeciwnie. Luty, Maj, i Grudzień niepogodne.
 Zima, była bardzo łagodna, niestała i niepogodna, o 2,12 stopnie C. cieplejsza jak zwykle. Wody z deszczu i śniegu spadło blisko dwa razy tyle jak w stanie normalnym. Początek tej pory był ciepły i słotny, środek więcej słotny jak śnieżny, koniec odznaczał się obfitością śniegami, częstymi wichrami i zadymkami śnieżnymi. Nagłe zmiany temperatury, barometru i wiatru sprowadzały częstą odwilż, i zmianę stanu atmosfery.
 Wiosna, ciepła, dość pogodna, o 1,32 stopnie C. cieplejsza jak zwykle; dni słotnych było dwa razy więcej jak w stanie średnim. Początek tej pory był bardzo ciepły i w deszcz obfity. Środek gorący, grzmoty były wczesne, gdyż w początku Kwietnia dały się już słyszeć. Węgielacya roślin o jeden miesiąc była wczesniejszą, w końcu Kwietnia drzewa owocowe już kwitły. Koniec tej pory był chłodny i słotny.

Lato, pogodne, suche i gorące, o 1,25 stopni C. cieplejsza jak zwykle. Wody z deszczu spadło o połowę mniej jak w stanie średnim. — Początek tej pory był chłodny, środek suchy i ciepły. Koniec nadszyczał gorący i tak suchy jak w r. 1834. Grzmoty, piorany i błyskawice były tak częste jak się to u nas rzadko zdarza, i te były przyczyną wielu szkód.
 Jesień, pogodna i sucha, o pół stopnia cieplejsza jak zwykle. Wody z deszczu spadło trzy razy mniej jak w stanie normalnym. Początek tej pory był ciepły i bardzo suchy, środek gorący, koniec pogodny lecz zimny.
 D. 2 Stycznia w okolicy Warszawy, widziano błyskawice. Wisła pod Warszawą d. 3 Stycznia stanęła.
 Lody na Wiśle d. 2 Marca pod Warszawą puściły.
 D. 4 Marca Wisła wezbrała na 17 stóp i 7 cali, i ulice nadbrzeżne zalata.
 Pierwszy grzmot dał się słyszeć d. 4 Kwietnia, a ostatni d. 22 Października.
 Koła świetne otaczały słońce d. 20, 30 Kwietnia i d. 2 Maja.
 Koła białe otaczały księżyc d. 14 Stycznia, d. 6 Października, d. 1 Listopada, d. 2, 25, 31 Grudnia.
 Stup świetny przechodził przez księżyc d. 5 Października.
 Zorza zodyakalna świeciła wieczór d. 16, 20, 23 Marca.
 Zorza północna widzialną była d. 10 Sierpnia i d. 22 Września.

RZUT OKA

na systemata lekarskie i wykaz postępu tejże nauki
w nowszych czasach.

PRZEZ

Felixa Jablonowskiego.

Kto sposobu leczenia chorób tak wyuczyć się chce jak tego wymagać można po prawdziwym lekarzu, ten niezbędnie poznać musi teorye, systemy i metody leczenia przez wszystkie czasy; z tego tylko stanowiska widzieć można cały ogrom przeszłości i w całym swym blasku terażniejszość: tym tylko sposobem rozróżni się starą prawdę od nowych błędów, jak i stare błędy od nowój prawdy; słowem, do dojścia do tego stanowiska, potrzebna jest znajomość historyi medycyny. Wszystko co istnieje w przestrzeni, należy do natury, wszystko co istnieje w czasie, należy do historyi; jak w naturze cały łańcuch tworów harmonijnymi łączy się ogniwami, tak w historyi wszystkie wypadki czasu łączy jedna, nieprzerwana, chociaż różnobarwna wstęga. Natura i historia jednym podlegają prawom; przeznaczeniem natury jako

materyi, mającej w sobie samój ziarno rozplodzenia, jest ciągle tworzenie się do jój utrzymania potrzebne; przeznaczeniem historyi, jest ciągły postęp do doskonałości i w niej także jest owo ziarno rozplodnienia, ale nie materjalne, tylko duchowe. Co tu powiedziałem w ogóle o historyi, ściąga się i w szczególe do historyi medycyny; postępuje ona równym krokiem z historyą świata całego; los bowiem i powodzenie nauki medycyny ściśle jest połączony z losem narodów i państw, stopień ich oświaty wielki wywiéra także wpływ na postęp téjże nauki. Niemniej' łączy się medycyna z historyą filozofii, która jako najwyższe pojęcie wiedzy człowieka, służyła zawsze za przewodniczącą gwiazdę w każdym jój nowym systemie; filozofia prowadziła ją to na dobrą, to już częścić może na złą drogę, bo do samowoli i jednostronności. Nakoniec historya religii i prawa w ścisłym pozostaje związku z medycyną. Obrządki religijne rozmaitych narodów wielki miały wpływ na postęp i jój wykształcenie, tak jak i prawodawstwa państw, dobroczynne lub nieprzyjemne wywiérały na nią skutki; albowiem niemałą to jest rzeczą, jaki stopień zajmować winni lekarze w społeczeństwie, gdyż poważanie i godność ożywia i podnosi sztukę, lekceważenie i pogarda tłumi ją i niszczy. Historya medycyny tak jak i historya filozofii nie samą przeszłością się trudni, wnetrzem obudwóch są naukowe owoce rozumu ludzkiego, a te nigdy nie przemijają; objawiając nam prawdę, tém samym są wieczne: ciała bohaterów historyi naszej znikły z doczesném ich życiem, ale dzieła ich myśli nie zaginęły, czyny ich jako obrazy przeszłości nietylko w świątyni wspomnienia są złożone, są one i teraz równie obecne, równie żyjące jak w czasie objawienia się, bo ich żywiołem nie jest materya, tylko myśl,

pojęcie, nieginąca istota ducha, która z pokolenia w pokolenie przechodząc, wiecznie żyje; do historyi zaś przeszłość, terażniejszość i przyszłość należy. Nie jest bynajmniej celem moim wdawać się w szczegółowe opisy historyczne, wspomnę tylko pokrótce o początkach sztuki lekarskiej, dotknę głównych jój epok i zastanowię się nad nowszemi systematami i postępem nauki naszój. Medycyna tak samo jak religia, filozofia i historia bierze swój początek w podaniach, w tradycjach; powstała ona równocześnie we wszystkich narodach, a obrazy bajeczne starożytnych ludów dowodzą jój dawności bytu. Najstarszą ona jest niezawodnie ze wszystkich nauk, nawet i od filozofii. Arystoteles bowiem już powiedział: że po zaspokojeniu pierwszych potrzeb życia zaczęto dopiero filozofować, a niezawodnie ludzie pierwój chorowali niż filozofowali. Jak wszystko czego sobie starożytni wytłumaczyć nie mogli, uważali za coś nadprzyrodzonego, Boskiego i rozmaite zjawiska miały u nich swoich bożków, tak téż i medycyna u każdego z tych narodów, pod najrozmaitszemi postaciami i nazwami czczoną była. Ludzie pierwsi, jako najściślej połączeni z przyrodą i równie jak ona będąc blizkiemi bóstwa, mogli sami wprost żądać od niego rady i udzielenia tajemnic; gdy zaś późniój przez wielokrotne wykroczenia, nie czuli się być dość godnymi tak blizkiej styczności, używali do tego wybranych, którzy odosobnieni, wyłącznie tylko żyjąc z bóstwem, do niego zawsze zbliżyć się mogli, ażeby być pośrednikami pomiędzy zagniewanym bożkiem a ludźmi przeciw niemu wykraczającymi, lub téż potrzebującymi jakiejś rady. Tymto sposobem kapłani stali się i lekarzami, gdyż będąc posłannikami Boskiój jakiejś istoty, pocieszali chorych proszących o radę, ogłaszając im wyroki

bóstwa, usty swojemi. W takim stanie była medycyna u Indyan, Persów, Egipcyan, Izraelitów, Fenicyan i początkowo u Greków. Z postępem oświaty która najsilniejszego doznała popędu w Grecyi, i medycyna coraz bardziej rozwijać się zaczęła: teorye filozoficzne w walce z wykształceniem jój praktyczném, dużo się przyczyniły do jój wzrostu. W tym czasie kiedy Perykles politykę uszlachetnił do ludzkości, kiedy Sokrates mądrość z cnotą łącząc uczył niebiańskiego szczęścia przez ziemską pielgrzymkę, a wkrótce Plato i Arystoteles swój święty rozwinęli sztandar; kiedy muzy szczyliły się Aeschylesem, Sophoklesem i Arystophanem, kiedy Pindar swą lirą pod niebiosy sięgał, Herodot i Thucydides niezatar-te karty historii kreślili; kiedy Fidiasz i tylu innych kamieniom życie nadawali a pędzel Apellesa urzeczywistniał ideały piękności, wtedy i sztuka lekarska poszczyciła się mężem, który wyższém obdarzony natchnieniem, czerpiąc naukę z łona natury, stał się mistrzem po wszystkie czasy: i dlatego Hippokrates najstuszniej ojcem sztuki lekarskiej nazwany. Na 430 lat przed narodzeniem Chrystusa urodził się Hippokrates z familii Asklepiadów i był uczniem sławnego sofisty Gorgiasza i Herodika gimnastyka. On pierwszy połączył rozdzielone wiadomości lekarskie; nie wdając się w żadne abstrakcyjne spekulacye, uważał on organizm ludzki jak naturę za jedną całość. Do czterech elementów Empedoklesa które były ogień, powietrze, woda i ziemia, dodał jeszcze ciepło, zimno, suchość i wilgoć; tym odpowiadają cztery kardynalne soki ciała ludzkiego, to jest: krew, szluz, czarna i żółta żółć. Źródłem organicznego życia jest ciepło wrodzone (ἔμφυτον Δερμόν), powietrze (πνεύμα) i pierwiastek pobudzający (ενορμῶν). Równowaga i doskonałe

zmieszanie ($\chi\rho\delta\sigma\iota\varsigma$) elementów i soków ciała stanowi zdrowie, brak lub zbyt tychże stanowi chorobę. Naukę o przebiegu chorób i o dniach krytycznych jemu winniśmy, jego semiotyka w formie prognostyki jest wzorem i w dzisiejszych czasach. Terapia jego była bardzo pojedynczą; głównie licząc na siły natury, zalecił ścisłą dietę, używał kąpeli, kataplazmów, puszczenia krwi, łagodzących odwarów i środków przeczyszczających. Co się tyczy chirurgii, znane mu było leczenie ran, złamań i zwichnięć członków, równie jak i operacja kamienia i trepanacya. Anatomii bardzo mało znał, z powodu, że obrządki religijne i przesady Greków zabraniały sekcji; uczył jęj się tylko na zwierzętach. Od niego to nauka nasza poczyną swój piérwszy system, zróciwszy więzy uczoności szkolnej i tyranii kapłanów, zutworzeniem własnej teoryi medycznej, zaczęło się jęj samodzielne istnienie, które najbardzięj przez natchnienie Hippokratesa do natury zbliżone było. Zaraz po śmierci Hippokratesa w jego następcach ukazuje się duch spekulacyi i dogmatyzmu, dowodem czego utworzenie szkoły dogmatycznej, późnięj, Alexandryjskiej, nareszcie Empiryków. Jak w życiu indywidualném człowieka, po szczęściu następuje nieszczęście, po wielkich usiłowaniach zupełna bezczynność, tak samo się rzecz ma i z życiem narodów, ducha i nauk. Polityczne życie Grecyi w konwulsyjnych drganiach w bitwach pod Leuktrą i Mantyneą wyzionęło ostatnie tchnienie, a Rzym tryumfującą przyjął na się rolę, ażeby znowu późnięj się z nią pożegnać, jak aktor który zestarawszy się na scenie, ustępuje miejsca młodszym ulubieńcom publiczności. Grecya skończyła swoje posłannictwo, rzuciwszy jasne promienie światła, nauki, poezyi i sztuk pięknych po całym starym świecie; zwycię-

żona przez Rzym, ze wszystkimi swemi żywiołami które ścisłym węzłem z jój politycznym życiem złączone były, przeszła w element rzymski, którego przeznaczeniem było dalej reszcie świata przewodniczyć. Co się tyczy medycyny, Rzym pierwiastkowo nosi na sobie cechę ciemnoty i zabobonu, czego dowodem przepowiednie z przebiegu ptaków, zapytania Sybilli, wyroczni, nauka gwiazdziarska i t. p. Nie mając własnych bożków lekarskich, pożyczili ich sobie od Greków, świadkiem czego świątynia dla Apollina lekarza; czcili Rzymianie Juno i Dyane jako Lucina, Hygeę, Dea salus, a Minerwę jako Medica. Zdrowi i herkulesowej budowy ciała jak byli pierwsi Rzymianie, mało potrzebowali lekarstw i lekarzy, dlatego też sztuka lekarska była u nich w pogardzie; pogarda ta i w późniejszych jeszcze zachowała się czasach, wtedy nawet, kiedy zbytek zniszczył siły żywotne i lekarze stali się niezbędnymi. Stan ten łatwym jest do wytłumaczenia: pierwszymi lekarzami Rzymian byli Grecy, po największej części posługacze kąpielowi, jatrolipci lub farmakopole, którzy dla spekulacyi do Rzymu udali się, ażeby tam swoją niewiadomość drogo sprzedać mogli; dlatego dziwić się nie należy, że pierwszym lekarzy zwano szyderczem imieniem *vulnerarius* albo *caruifex*; później dopiero, kiedy i inne światła Grecyi do Rzymian przeszły, wtedy i medycyna rzymska przybrała barwę greckiej. Pierwszym lekarzem rzymskim był Asklepiades z Pruzy w Bitynii, 128 lat przed Chrystusem zrodzony. Zarzucając naukę Hippokratesa, utworzył nową teorię atomistyczno-mechaniczną i stał się twórcą szkoły metodystów, po której następuje szkoła encyklopedystów, do której należą: Aulus Cornelius Celsus i Cajus Plinius Secundus: za nimi idą pneumatycy i eklektycy, którzyto

ostatni, łącząc nauki wszystkich poprzednich szkół, tém samém nową utworzyli; szkoła ta utrzymywała się aż do Galena. Galen w 131 lat po narodzeniu Chrystusa, wspierając się na doświadczeniu swych poprzedników, rozrzucone ułamki nauki naszój zebrał w jedną całość i stał się twórcą nowego systematu że go nazwę filozoficzno-fizyologicznego; zbyteczną byłoby rzeczą wchodzić w szczegółowy rozbiór, gdyż system jego wszystkim nam dobrze jest znajomym, stanowi on bowiem pierwszą epokę w medycynie ad czasów Hippokratesa.

Teraz widzimy całunem pokrytą starożytność, a stanęliśmy u kolebki nowszych czasów; pogańska starożytność skończyła swoje przeznaczenie, chrystyanizm gotuje nam nowe walki, stary świat blizki skonu chwyta się najróżnorodniejszych środków ale bezskutecznie; czas jego przeminął i musiał ustąpić nowemu światłu. Chrystyanizm w walce z poganizmem ucierpiał pierwiastkowo dużo na swój czystości, albowiem pierwsi prozelici jego nie byli w stanie zupełnie się otrząsnąć z dawnych przesądów i chcieli go połączyć z filozofią Platona i wschodnimi marzeniami; z tego to ostatniego źródła pochodzi nauka o Demonach, która i w późniejszych nawet czasach, bo jeszcze za Lutra, w wyobrażeniu djabła przedstawia nam pierwiastek złego. Magia zaczęła się rozszerzać, która później na rozrutnym dworze cesarzów rzymskich, potrzebujących złota, w alchemią się zamieniła; miała równie swój udział i w medycynie, dowodem czego wiara w cudowne siły pewnych kabalistycznych nazwisk, formuły przeciw słabościom czyli zamawiania, exorcyzmy przeciwko najrozmaitszym chorobom. Z tego to powodu jak w starożytności medycyna pierwiastkowo była w ręku kapłanów, tak i tu przeszła w ręce mnichów; trzeba było

dla nauki naszej nowéj emancypacyi, ażeby mogła dalszy uczynić postępek; jak całe wieki średnie, tak i medycyna tych czasów nosi na sobie piętno religijne. Po Galenie zaczyna się upadek medycyny; z jednej strony walki religijne, despotyzm cesarzów rzymskich, zbytek mieszkańców, z drugiej strony wędrowki narodów były tego przyczyną. Przez ten czas niejako że tak powiem znalazła przytułek nauka nasza u Arabów, wszyscy jednak byli po większej części zwolennikami Galena i żaden z nich nie stał się twórcą osobnego systematu, chociaż wielu zasłużonych między nimi mężów naliczyć można. Znaczne oni mają zasługi w chirurgii, równie jak i w zastosowaniu wielu przedtém nieużywanych środków lekarskich: najbardziej kwitnący stan medycyny arabskiej był od VII do XIII wieku.

Kiedy niezgody religijne, wojny i zbytek wyгнаły nauki do Arabów, schroniły się one w Europie za mury klasztorne, i medycyna szukając przytułku znalazła go u mnichów. Ogrody ich zasiane zostały użytecznymi w chorobach roślinami, a przeznaczenie ich dostąpiło wyższego celu jaki na nich obowiązek religii włożył, to jest litości i miłości chrześcijańskiej.

W dziewiątym wieku, na zwaliskach staréj świątyni Apollina, w klasztorze Benedyktynów w Monte-Cassino, który jeszcze 541 r. po narodzeniu Chrystusa przez Benedykta Nurcia był założony, Bertharius, członek tego zgromadzenia, przez swoje znajomość w medycynie, pierwszy dał hasło do jéj emancypacyi z rąk mnichów; mnóstwo albowiem ze wszystkich stron zaczęło się do niego zjeżdżać, aby z jego nauki i światła korzystać. Prawdziwą jednak i pierwszą szkołą lekarską w Europie była szkoła w Salerno tak zwana *Civitas Hippocratica*, do

której nietylko żydzi, Grecy, Włosi i Saraceni zgromadzać się zaczęli, ale nawet i udający się ze wszech stron na wyprawę krzyżową, słabi i zdrowi z powodu bardzo zdrowego położenia, wypoczynku szukali. Z temi dwiema wspomnionemi szkołami w XII jeszcze wieku rywalizować zaczęła szkoła w Montpellier, która co do geograficznego położenia swego nie ustępując tamtym, miała doskonały szpital, a w XIII wieku szkoła ta zamieniła się w uniwersytet i wielu znakomitych liczyła mężów. Jak w Grecyi medycyna wyemancypowała się z rąk kapłanów, tak i tu nadszedł jój czas wyzwolenia się z rąk mnichów, do czego niemało przyczynili się sami księża; uważając bowiem chirurgią za coś ubliżającego stanowi lekarskiemu, obawiali się ażeby tém samém nie sięgnąć pogardy na stan duchowny, dlatego zbór w Reims 1131 roku zakazał księżom praktyki lekarskiej, a z powodu niezadośćuczynienia temu rozkazowi, późniejsze zbory w Lateranie 1139, w Montpellier 1162 i w Tours 1163, a nakoniec w Paryżu i Lateranie 1212 i 15, ten sam zakaz powtórzyły i wyjątkowo tylko laikom czyli księżom młodszym niewyświęconym, obowiązki lekarskie pełnić dozwolono, zakazując wszakże używania noża i żelaza rozpalonego. Zakaz ten leczenia mnichom, wywołał nowe korporacye, które trzymały środek pomiędzy świeckimi a zakonnikami, a które wyłącznie tylko pielęgnowaniu chorych poświęciły się.

Jeszcze przed wojnami krzyżowemi w Palestynie, utworzyły się bractwa dla pielęgnowania chorych pielgrzymów; takimi były ś. Jana, Maryanie i ś. Łazarza. Od czasu wojen krzyżowych, za przykładem Wschodu a jeszcze bardziej z przyczyny pomnożenia się chorób, podo-

bne bractwa i w Europie okazały się niezbędne i wtedy powstałi Templaryusze, Hospitalici czyli Johannici tak zwani. *Hospitalarii sancti spiritus* i Czarne Siostry. Piérwsze urządzenia szpitali datują z roku 1181 od Rogera de Moulins, gdzie wyraźnie o nadaniu takim zakładom prawdziwych lekarzy jest mowa; potrzeba prywatnych i publicznych szpitali pokazała się niezbędną, ale księża długo z rąk swoich wypuścić ich nie chcieli, aż dopiéro zbór w Wiedniu 1312 roku ostatecznie im tego zakazał i na przyszłość tylko lekarze takim zakładom przewodniczyć mieli. Odtąd datuje się zupełna emancypacja nauki naszój z rąk mnichów, która od czasów Galena przez tyle wieków prawie żadnego nie uczyniła postępu. Z jednéj strony nadanie praw lekarskich przez cesarza Fryderyka IIgo jeszcze w roku 1140 potwierdzonych potém 1365 przez Johannę Neapolitankę, z drugiéj strony zakładanie uniwersytetów a szczególniej we Włoszech, z których najslawniejsze były w Bolonii, Ferrarze, Pawii, Medyolanie i Piazenie, równie jak i we Francyi, Niemczech i Anglii, a z niemi wznoszące się biblioteki, stały się rękojmią postępu nauki, która już od tak dawna odłogiem spoczywała. Na nieszczęście powtórna emancypacja nauki naszój nie napotkała drugiego Hippokratesa, znalazła się ona z filozofią scholastyczną, która ujawszy ją raz w swe sidła długo nie popuściła. Chociaż wiek XV, odznacza się postępem z przyczyzny dwóch ważnych wypadków, to jest odkrycia Ameryki i wynalezienia druku, wypadki te na medycynę mały bardzo wpływ wywarły; prawdziwy postęp medycyna uczyniła dopiéro w XVI wieku. Paracelsus zrzuciwszy niewolnicze naśladownictwo, stał się twórcą nowego systematu. Pałac publicznie Galena i Avicenny pisma, a swój

system ogłaszając za nieomylny, nie mógł jak tylko mnóstwo sobie narobić nieprzyjaciół; sam jeden wystąpił do walki przeciwko szkołom i ich odwiecznemu naśladowaniu, dlatego ogłoszono go szarlatanem, człowiekiem bez obyczajów, zrobiono go nawet pijakiem. Dziwna że i nowsi pisarze jakim jest Sprengel podobne brednie powtarzają, a za nim wielu krytyków chcąc się popisać ze swoją erudycją co do słowa z niego odpisują, ażeby szknić drugim w oczy jakby pawiami piórkami. Paracelsus żyjąc w wieku mistycyzmu i rozmaitych przesądów, system swój duchem owych nacechował czasów: przyznać jednak należy, że zwrócenie medycyny ku praktycznemu celowi jemu winni jesteśmy. On pierwszy naprowadził nas na lekarstwa specificzne, on pierwszy zaczął używać tynktur i essencji jak nierównie mnóstwa lekarstw mineralnych, które przed nim wcale znanymi nie były, a pokazały się skutecznymi w wielu chorobach mianych za nieuleczone. Pomimo wszelkich nienawiści, szkalowania i krzyku przeciw Paracelsowi, historia, ów bezstronny sędzia, oddała mu jedna należną sprawiedliwość; od niego bowiem datuje epokę powstania naszej nauki i nazwała go twórcą szkoły chemiczno-fizjologicznej.

Odznaczającym się jest wiek XVI dla medycyny; wszystkie gałęzie téj nauki zaczęły się rozwijać a szczególnie anatomia. Dość jest wspomnieć imiona w tym przedmiocie zasłużonych mężów jakimi byli: Jakób du Bois, Vesalius, Eustachii, Gabryel Falopia, Aranzi, Varoli i Fabricius ab Aquapendente. Z postępem anatomii i chirurgia podnieść się musiała, a szczególnie przy czynili się: Jan de Vigo, Mariano Santo, Franciszek de Arce, Ambroży Pare, Jakób Guillemau, Amatus Lusita-

nus i Tagliacozzo. Okulistyka i akuszerya równie miała swych reprezentantów: Grzegórz Bartisch pierwszy wykonał *extirpatio bulbi oculi*, w akuszeryi obrót dziecięcia na nóżki zaleconym został przez Rösslina, *accouchement forcè* przy *placenta praevia* i konwulsyach przez Guillemau, sztuczne wyjęcie placenty przez Franko, również jak i pierwsze cięcie cesarskie zrobione na żyjącej kobiecie opisał Karol Etienne 1546 roku. Dziwić się należy, że w XVII wieku pomimo zaburzeń politycznych nauka jednak ciągle postępowała. W Niemczech wojna trzydziestoletnia, w Anglii walki religijne biskupów z purytanami, Stuartów ze stanami, które dopiero ze śmiercią Karola i zupełnym upadkiem Stuartów a panowaniem domu Oranii skończyły się, w Hiszpanii inkwizycya tłumy wszelkie wzniesienie się ducha. Włoskie państwa z upadkiem władzy papieżkiej coraz bardziej nikać zaczynały, a we Francyi bigoterya i zbytek, który pod Ludwikiem XIV do najwyższego doszedł stopnia, do postępu nauki pewnie się nie przyczyniły.

W tymto jednak czasie, wszystkie nauki i sztuki wyzwolone wzięły zamiast transcendentalnej dążności, więcej praktyczną. W Niderlandach zakwitło malarstwo. Muzy szczyły się Kalderonem, Cervantesem, Lope de Vega, Szekspirem i Miltonem; matematyka, nauki przyrodzone i historia zaczęły się podnosić, bo dogmatyzm porzucono, a więcej na doświadczenie rachować zaczęto. Wszystkie prawie narody współubiegały się w tém szlachetnym przedsięwzięciu: we Włoszech widzimy Galileusza, Toricellego i innych; we Francyi Dekarta, Gassendiego, Pascala: w Anglii Gregorego i Newtona; w Niemczech Praetoriusa, Keplera, Goerikego, Leibnizta; w Hiszpanii historyków Mariana i Herrera. W tymto dopiero

czasie uczeni wszyscy zaczęli się koncentrować i nawzajem udzielać sobie swych myśli i doświadczeń; od tego czasu datuje się początek uczonych towarzystw i akademij, które piérwój przez kościół prześladowane, teraz w całym świecie się ukazały, a między innymi: Academia de Lincei, del cimento, Leopoldina i inne.

Jak filozofia nosi na sobie piętno czasu, tak samo medycyna tchnie duchem filozofii; mistycyzm i sceptycyzm zamienił się w racjonalizm Kartezjusza i empiryzm Bakkona, a uboczne drogi materjalizmu Hobbesa i sensualizmu Lockego doprowadziły do filozofii natury. Po śmierci Paracelsa i system jego upadać zaczął; jak to zwykłą bywa na świecie kolejają, że po wielkich ludziach cały rój małych nastąpić musi, zanim się znowu gieniusz ukáže; stronnicy Paracelsa nie rozumiejąc go stali się po większej części prawdziwymi szarlatanami, byli i tacy którzy naukę jego połączyć chcieli z nauką Galena. Potém widzimy chemiatryków, którójto szkoły twórcą był Sylvius; przyjął on za podstawę swego systemu choroby kwasów i choroby alkaliczne, i jak w retorcie tak w organizmie chciał burzyć, mieszać, fermentować i dystallować. Po chemiatrykach następują jatromatematycy, u których fizyka i matematyka jak u tamtych chemia miała tłumaczyć wszystkie fenomena życia; założycielem téj szkoły był Jan Alfons Borelli, uczeń Galileusza, a którento system przygotował już Sanctorius Sanctori w swojej *Medicina statica*. Chociaż w téj walce systematu fizyologiczno-chemicznego Paracelsa z chemiatrykami i jatromatematykami, powaga starożytnych zdawała się być zaniedbaną, było to jednak tylko pozorném; właśnie owa chemią przeladowana metoda potrzebowała upojedynczenia, a widząc potrzebę połączenia teoryi z praktyką, doprowadziła ją

do prawdziwie Hippokratesowskiej metody, która więcej na obserwacji jak na teorii zakłada, to jest do patologii humoralnej. Nie odmawiając zasług Bagliwiemu i Ramaziniemu, cała jednak chwała należy się Sydenhamowi, który przez wielu drugim Hippokratesem nazwany został; ale właśnie dlatego że był drugim, usiłowanie jego było więcej restytuujące jak produkcyjne. Nieprzyjaciel hypotezy, ograniczył on wpływ chemicznej teorii na praktykę, nadając wartość indukcyjnej metodzie; uważał on bowiem za daleko pewniejsze używać jakiegoś środka, który w podobnych wypadkach był pomocnym, aniżeli dlatego, że z tych a nie innych pierwiastków się składa; utrzymywał, że choroba jest wegietacją pasorzytną w organizmie, który krytycznym jakimś objawieniem stara się ją pozbyć. Szczególniejszą położył on zasługę w obserwacjach epidemii, poznał on ich wpływ na przechodzące słabości, i tego właśnie z natury czerpane postrzeżenia konstytucyj epidemicznych, każą nam go jako prawdziwego mistrza podziwiać.

Wiek XVII szczyti się jeszcze jednym z najważniejszych odkryć w fizyologii, to jest odkryciem krążenia krwi przez Harweja ucznia Fabrycyusa ab *Aquapendente*; z tym nowym promieniem światła znikło wiele fałszywych teoryj fizyologicznych i patologicznych, a indukcyjna metoda zyskała nowy punkt oparcia się. Anatomia wzbogaconą została przez Pecqueta, Bartholina, Stenona, Peyera, Brunera, Wirsunga, Whartona, Leuwenheka, Williama, Cowpera, Asellego, Schneidera, Haigmora, Malpighiego i wielu innych. Drugim równie ważnym zjawiskiem w tymże wieku, było sprowadzenie chinu z Peru do Europy przez Juana del Vego lekarza vicekróla Cinchony. Corazto nowe postrzeżenia, nowe od-

krycia zbogacały pole doświadczenia i wszystkie nauki corazto więcej do praktycznego się zbliżały życia; jak w polityce i filozofii, tak samo w naukach i sztukach wyobrażenia średnich wieków w XVII skończyły się stuleciu; z wiekiem XVIII zaczyna się urzeczywistnienie i czynne działanie, a germański element wsparty filozofią Lejbnitza, wielki miał w nim udział. Pomimo tego ciągłego postępu i dążności praktycznej, żaden wiek może nie był tak bogaty w systemata medyczne jak wiek XVIII. Zaraz z początku napotykamy Stahla, Fryderyka Hoffmana i Boerhawego; pierwszy narzucając swój trudny do pojęcia czysto psychiczny system, a pogardzając fizyką, chemią i anatomią, ogłaszając je za zupełnie niepotrzebne do teorii, z powodu tego nie znalazł wielu stronników. System Fryderyka Hoffmana właściwie nie jest żadnym systematem; przyjmuje on jako pierwiastek ożywiający organizm jakiś eter i na nim całą swoją buduje teorią, i chociaż wyraźnie powiada, że wszystko co się na anatomii i fizyce nie opiera jest tylko czczym marnieniem, zapomina o tém, że jego eter ani jedną ani drugą wytłumaczyć się nie da. Mimo niedorzeczności swój teorii, Fryderyk Hoffman ma tę wielką zasługę, że teoria jego żadnego nie miała na nim wpływu co do praktyki i pod tym względem był zupełnym eklektykiem; dlatego też był jednym z najszcześniejszych praktyków swego czasu. Jeżeli teorią Fryderyka Hoffmana z trudnością uważa się za osobny system, to Boerhawego wcale za taki uważać nie należy. Wielki ten mąż sławę która nawet granicę Europy przeszła, winien tylko swój osobistości, którą sobie jako człowiek, lekarz i nauczyciel zjednał, gdyż podobna cześć od współczesnych i uczniów rzadkim jest przykładem. Boerhawe, profes-

sor w Lejden, był uczniem Sydenhama, Belliniego i Pilcaina; połączył on widoki jatromatematyczne z metodą Hippokratesa w praktyce, był pośrednikiem między dynamiczną, mechaniczną i chemiczną nauką, a nie chcąc ani ducha, ani materji, przyjął Hippokratesa ενορμῶν a z nim ideę mechanizmu i chemizmu Sylviusa, słowem, że sposób widzenia rzeczy przez niego nie jest eklektyzmem, ale mieszaniną tych trzech systematów. Jednym z najwięcej zasłużonych mężów w historii medycyny XVIII stulecia, jest Albrecht Haller; popierając Glissona i Gortera wyobrażenia własnymi doświadczeniami, stał się twórcą nowéj nauki o drażliwości. Haller rozróżniając drażliwość od czucia, uznał tém samém siłę nerwową, Unzer posunął ją daléj rozróżniając duszę od siły nerwowéj, Cullen dopiéro przyjął ją za pryncipium i podniósł do teoryi, uważając nerwy za podstawę życia i odbywania funkcyi w zdrowym i chorym organizmie i za przyczynę uleczenia.

Do tych tu wyliczonych systemów XVIII stulecia, należy jeszcze teorya gastryczna, czyli tak zwana szkoła wiedeńska i system Browna. Maxymilian Stoll mimowolnie stał się twórcą nowéj teoryi. Doskonałym będąc obserwatorem, postrzegł, że charakter epidemicznie panujących wówczas gorączek był natury gastrycznój i z najpomyślniejszym skutkiem używał środków sprawujących womity i przeczyszczających; to powodzenie jego w praktyce zyskało mu ze wszech stron uczniów, którzy naukę jego po całym prawie roznieśli świecie, i onito właściwie byli twórcami metody gastrycznój, którą do najwyższego stopnia posunął Filip Kämpf w swojej nauce o infarktach, a późniéj syn jego wprowadził użycie wisceralnych klismatów. Metoda gastryczna, lubo dużo miała

zwolenników, ze zmianą charakteru epidemii upaść musiała. Pobudzalna teoria, Browna zasadzająca się na sthenii i asthenii z przyczyny łatwego do niej przystępu, z największym entuzjazmem przyjętą była, ale nadużycie środków pobudzających przez stronników téjże metody, widzących prawie wszędzie asthenią, a ztąd niepomysłnym skutkiem uwieńczone kuracje, pokazały wkrótce bezzasadność téj teorii. Zaprzeczyć jednak trudno, że teoria Browna chociaż fałszywa, była przyczyną postępu nauki; ogłaszając wszystko cokolwiek przedtém istniało za nieprawdziwe, wywołała tym sposobem walkę, która się skończyła jój własną śmiercią.

Sądziłby kto mógł, że te ciągłe walki teoretyczne wieku XVIII wstrzymały praktyczną dążność nauki naszej: otóż bynajmniej, wszystkie jój gałęzie owszem uczyniły postęp, jakim się żaden z poprzedzających wieków poszczycić nie może. Anatomia wzbogaconą została przez Winsłowa, Garangeot, Verdiego, Disdier, Antoniego Petit, Sabatier, Albinusa, Lieberkühna, Hallera, Seomerin-ga, Coopera, Cheseldena, Huntera, Alex. Monro, Jana i Karola Bell, przedewszystkiém jednak przez wielkiego Morganiego i nieśmiertelnego Franciszka Xawerego Bishata. Z postępem anatomii i fizylogia postąpić musiała, do czego niemało w poprzedzającym wieku zrobione odkrycie Harweja, a w ósmnastym olbrzymi postęp chemii przyczyniły się. Nietylko fizylogia, ale i materya medyczna z powodu postępu chemii wzbogaconą została. Środki mineralne, ów podarek Paracelsa, zaczęły być coraz używanszemi, a szczególniej: 1) bismuth, antimon, sulphur auratum, kermes minerale, calx antimonii, cynk, cyna, ołów, miedź, saetrzan srebra, arsenik; 2) roz-

maite sole ziemne i potażowe w użycie wprowadzone były, jak np. magnesia sulphurica, wapno, woda wapienna i mydło; 3) sole neutralne, baryta muriatica, kali tartaricum, cremor tartari, kali aceticum; 4) kwasy mineralne; 5) środki roślinne także zwiększonemi zostały, a szczególnie środki narkotyczne z użyciem belladonny, hyoscyamus, datura stramonii, nux vomica, kwasu pruskiego jako aqua laurocerasi; z pomiędzy środków ostrych (acria), rus toxicodendron, pulsatilla, aconitum, colchicum, digitalis, senega, viola tricolor, gratiola, rhododendron chryzantum; ze środków tonicznych zaczęto używać polygala amara, quassia, simaruba, columbo, angustura. Dzięki jeszcze postępowi chemii, wszystkie prawie znane wody mineralne zaczęto rozbierać i z jej pomocą nowe odkrywać; kąpiele morskie zaczęły także wchodzić w użycie.

Nietylko chemia, ale nawet i fizyka przyczyniła się do wzbogacenia środków lekarskich. Elektryczność tak często wówczas używana do doświadczeń fizyologicznych i w praktyczne weszła użycie, równie jak i galwanizm; elektryczność doprowadziła do użycia magnezu, który jeszcze przez Paracelsa zaleconym został.

Szczególniejszém jednak zjawiskiem było ukazanie się magnetyzmu zwierzęcego, od jego wynalazcy Antoniego Mesmera, mesmeryzmem nazwanego, który później przez braci Puysegur do jasnowidzenia posunięty został. Rozróżnić jednak od tego należy epidemiczne konwulsje na cmentarzu śgo Medarda w Paryżu, exorcyzmy Józefa Gassnera, nekromancyą Schöpfersa i sztuki czarodziejskie Kagliostry; wszystkie te były tylko czystą szarlataneryą, było haracz XVIIIgo stulecia zabobonowi opłacony.

Pomimo wielu sprzeczek, pomimo decyzji dwóch kommissyj wyznaczonych w Paryżu, że magnetyzm zwierzęcy należy także do szarlataneryi, dziś o exystencji istotnej jego mało kto wątpi, ale i to jest pewna, że na karb' magnetyzmu wiele się dzieje niegodnych spekulacyj.

Jeżeli anatomia, fizyologia i materya medyczna znaczny uczyniły postęp, to chirurgia i sztuka położnicza także nowemi postrzeżeniami i zastosowaniami rozmaitych metod wzbogacone zostały. Cała jednak zasługa postępu chirurgii należy się Francuzom, a szczególniejszy udział mieli: Marechal, Louis, Petit, de la Peyronie, de Lamotte, Mesnard, Ant. Louis, Pouteau, Desault, Sabatier, Percy; z pomiędzy Hiszpanów Ribera i Gimbernath; w Niemczech zaczyna się także nowa epoka dla chirurgii, najzasłużeńsi są: Hejster, Platner, Kalkschmid, Richter, Siebold, Schmucker, Theden, Mursinna, Mohrnhelm, Brambilla, Plenck i Barth; w Anglii najslawniejsi anatomowie byli zarazem i chirurgami, jakoto: Cheselden, Alex. Monro, Bromfield, Pott, Arnauld, Hill, Aikin i Abernethy; wszystkich tych jednak przewyższyli swą zasługą John i William Hunter i Benjamin Bell.

Sztuka położnicza wzbogaconą została przez użycie dźwigni i kleszczy; pierwsze instytuta położnicze założone zostały w Niemczech, w Berlinie 1751, w Wiedniu 1752, a w Anglii dopięro 1765.

Z pomiędzy Francuzów szczególniej przyczynili się do postępu nauki położniczej: de Lamotte, Mesnard, Levret, Baudeloque; z pomiędzy Anglików: Smellie, Burton, Hamilton i Osborn; z pomiędzy Niemców: Röderer, Wrisberg, Ossiander, Böhmer, Stein, Stark, Zeller, Boer; z pomiędzy Hollendrów; wynalazca kleszczy Roonhajzen, Ruysch i Roëll.

Doszliliśmy nareszcie do XIX stulecia, owego wieku pełnego w wypadki, które się jeszcze w końcu przeszłego zaczęły we Francyi, a potem jakby drugą, ale niestety krwawą wędrówkę wszystkich narodów Europy wywołały. Pomimo tak burzliwego stanu politycznego, nauka nasza nic nie ucierpiała; wszystkie jej gałęzie wzbogacone zostały nowymi postrzeżeniami, które niejako tylko były dalszém rozwinięciem zaczętej dążności przeszłego wieku. Nim jednak przystąpimy do wykazania tego postępu, zastanówmy się nad systematami które w naszym wieku się nam objawiły. Wiek XIX ściśm jest połączony węzłem z poprzedzającym stuleciem; system Röschlauba który się nam najpierw przedstawia, jest prawie niczém inném tylko przetłumaczeniem na język niemiecki teoryi Browna i dalszém téjże rozwinięciem. Kiedy teorya Browna po Niemczech i Francyi rozszerzać się zaczęła, we Włoszech z téjże wyrodziła się nauka kontrastymulizmu, której twórcą był Giovanni Rasori. Wychodząc z téj zasady, że osłabienie jest łudzącém i że może być nawet przy sthenii, a bezpośrednia asthenia jest właściwie sthenią, zamiast więc Browna sthenii i asthenii przyjmuje dwa inne stany, to jest *diathesis di stimulo* w której jest powiększenie życia z naprężeniem albo skurczeniem włókien organicznych i *diathesis di contra-stimulo* w której jest zmniejszenie życia i relaxacya włókien organicznych. Z powodu przyjęcia tych dwóch stanów, system Rasorego bardzo jest podobnym do Browna, różni on się jednak głównie od niego przyjęciem chorób miejscowych, upojedynczeniem środków i zastosowaniem lekarstw specyficznych. Największa jednak zachodzi różnica w zastosowaniu terapii; jak tamten widział wszędzie asthenią i pobudzających używał środ-

ków, tak ten znowu swoją *diathesis di stimulo* i nadużywał puszczania krwi i środków deprymujących, dowodem czego upuszczenie 25 funtów krwi i zapisanie 220 gran *digitalis* w zapaleniu płuc; z całego systematu Rasorego zostało się nam użycie *tartari stibiati* w dużych dozach. Jak Röschlaub był w Niemczech propagatorem systemu Browna, tak jedyną podporą Rasorego we Włoszech był Giacomo Tomasini, którego całą zasługą są doświadczenia robione na zdrowych co do działania lekarstw. Daleko ważniejszym i w ścisłym pozostający związku z postępem patologii najnowszych czasów jest systemat Broussego; jegoto system był pierwszym bodźcem do uznania chorób miejscowych, zaprzeczając Pinelowi jego gorączek essencyalnych. Broussais utrzymywał tak jak Brown, że życie jest zależne od bodźców zewnętrznych, które czucie i kontrakcja powiększają i przez to sprowadzają irytacyę, która zarazem na wielu miejscach sympatycznie objawia się. Assymilacya podług niego jest działanie chemii żywotnej. Przyczyną chorób jest irytacya, przedrażnienie i osłabienie, które najczęściej jest tylko następstwem irytacyi; usposobienie organów jest często w stosunku antagonistycznym, tak, że tu osłabienie a gdzieindziej irytacya być może. Drażnienie przenosi się za pomocą nerwów i ztąd powstają sympatye chorobliwe, które albo są organiczne, albo téż z przyczyny związków (*sympathies de relation*), ale najczęściej równocześnie objawiające się. W skutek irytacyi następuje przyływ krwi, który jeżeli się coraz zwiększa, wtedy powstaje zapalenie; gorączka powstaje z przyczyny przejścia irytacyi na serce, albo téż z przyczyny pierwotnego drażnienia serca. Z takiego wyobrażenia o irytacyi przyszedł Broussais bardzo łatwo do zapale-

nia i dlatego wszędzie takowe widział; ponieważ najłatwiej podług niego każda irytacja na żołądek a potem na kiszki przenosi się, złąd swoją *gastro-enterite* jako przyczynę wszystkich tak zwanych gorączek essencyalnych uważał równie jak hypokondryą, dyspepsyą i t. d. za skutki chronicznej *gastro-enterite*. Wszędzie widzi irytacją, akutne albo chroniczne zapalenie, kongestją albo podzapalenie (*subinflammation*), a najczęściej *gastritis* albo *gastroenteritis*; tym wyobrażeniom odpowiednią jest i terapia; powtarzane upuszczenia krwi, ogólne lub miejscowe środki chłodzące i t. d. nawet w chorobach chronicznych. Chociaż w tym śmiałym reformacyjnym systemie postrzedz można jednostronność systematu Browna w jego wyobrażeniach o chorobach *sthenicznych* i w odpowiedniej temu systematowi nadzwyczaj szkodliwej i ograniczonej terapii, pomimo że excentryczność reformatora uderza każdego w oczy, trzeba mu oddać należną sprawiedliwość, albowiem zwracając uwagę na zmiany patologiczne organów, wskazał nam drogę miejscowości chorób, zamiast niepewnego i ogólnego pojęcia gorączek; i tego jego poszukiwania dały dążność prawdziwie fizyologiczną nauce naszej. Wśród tych walk ciągłych teoryj patologicznych, terapia rzucaną była na wszystkie strony jużto podług zasad chemików, gastryków, kontrastimulistów, lub *antiflogistyków* stosowaną była. Taki stan rzeczy z przyczyny postępu fizyologii i anatomii patologicznej długo trwać nie mógł, i dla terapii znalazł się reformator, który specyficznój idei Paracelsa podając prawdziwie fizyologiczną podstawę, przez probowanie lekarstw na zdrowym organizmie, stał się twórcą nowój nauki *homeopatyi* nazwanój. Samuel Hahnemann chociaż jest twórcą *homeopatyi*, nie był jednak piérwszym

który obrał tę drogę poszukiwania; od Hippokratesa aż do jego czasów, kiedy niekiedy byli lekarze w tój samój pracujący myśli, ale żaden tak daleko jak on nie doprowadził i z tójto przyczyny w początku przez bardzo wielu lekarzy system jego przyjętym został. Dopiero kiedy później umocniony w swych zasadach *similia similibus*, po użyciu wielkich doz do małych się uciekał i właśnie w tём zmniejszeniu zwiększenie działania chciał widziéć, kiedy później jeszcze swój Organon wydał, w którym na stare szkoły z uszczypliwą polemiką wystąpił a swoje metodę homeopatyczną jako jedynie racjonalną ogłosił; w tymto dopiero czasie powstała owa niegodna walka, która jak dla jednéj tak dla drugiejj strony niekorzystnie skończyła się. Wdawać się w szczegółowy rozbiór tego systemu równie jak i rozwodzić się nad skutkami jakie teoria ta na stan medycyny wywarła, wcale nie będę, albowiem sąto rzeczy za nadto dobrze wszystkim znane. Opuszczając rozmaite inne mniejszej wagi teorie i systemata, wspomniéć jeszcze muszę najprzód o systemie tak zwanym Schönlejna, a który jak to zaraz zobaczymy, właściwie nie stanowi żadnego osobnego systemu. Schönlejn, tak jak każdy wielki lekarz nie będąc zadowolnionym z systematów które go poprzedziły, chcąc jednak podciągnąć pod pewien porządek swe wyobrażenia, podzielił choroby na familie, gromady i rzędy, i tym sposobem wykazał stosunek medycyny z naukami przyrodzonymi. Sam uczeń nowszych czasów, umiał zastosować postęp nauk przyrodzonych do medycyny; obdarzony szczególniejszym talentem, zwłaszcza w dyagnostyce, jak i darem kombinacji stanu fizyologicznego z chorobliwym, zgłębiania przyczyny choroby, uporządkowania symptomatów i nadania im ich wa-

żności, równie jak i rozpoznania stosunków choroby ze światem zewnętrznym i zresztą samego organizmu, dlatego zyskał sobie przywiązanie swych uczniów i sławę wielkiego mistrza, jaki od czasów Boerhawego nie istniał. Wyjąwszy nowego podziału chorób, nic w Schönlejnem nowego niema; stara się on pogodzić wyobrażenia patologii solidarniej z humoralną. Podział jego naturalny jest tylko więcej pomocniczym, czystą formą, główną zaś podstawą jest fizjologia i dlatego stał się tak świetnym reprezentatem nauki naszej.

Mówiąc o tylu rozmaitych systematach, niech mi wolno będzie powiedzieć jeszcze słów kilka o jednym z ostatnich, który zupełnie osobno poza szkołą wyrodził się, a o którym nie tylko lekarze, ale i publiczność już się dowiedziała; chcę mówić o Rademacherze. Lekarz ten, 70letni starzec, po 46 latach praktyki a po 25 podług wyobrażeń Paracelsa, ogłosił nam swoje z niej rezultata. Przyjmuje on jak Paracelsus specyficznosc lekarstw, utrzymuje jak tamten, że praktyka nie z teoryi, ale teorya z praktyki wypływać powinna, przyjmuje choroby ogólne i choroby organów, stara się rozróżnić ważność jednych nad drugimi, to jest, stara się wykazać które z nich pierwotnie cierpi, zastanawia się nad stosunkiem chorób ze światem zewnętrznym, to jest, zwraca uwagę na epidemie, na konstytucye chorób; podaje nam niektóre lekarstwa przez siebie używane i zachęca do dalszych w tym rodzaju postrzeżeń. System ten skręślony stylem zupełnie oryginalnym, chcąc go zrozumieć, trzeba sobie zadać wszelką pracę; powiem nawet więcej, trzeba użyć całej cierpliwości, ażeby pojąć w niektórych miejscach ducha autora, co dowodzi, że piszący więcej był zajęty rzeczą aniżeli czytelnikiem; a ponieważ wyraża się często językiem który

sobie sam utworzył, ponieważ jego myśli nie zgadzają się z wyobrażeniami czytelnika, trzeba więc jakiegoś czasu ożeby je zrozumieć. Głos mój poprzedziła już krytyka tego dzieła w pamiętnikach naszego towarzystwa, a potem krytyka krytyki, przez szanownego prezesa; nie mając bynajmniej zamiaru odpowiadać teraz na krytykę, gdyż przytaczam tu system Rademachera tylko jako *factum* historyczne, a dzieląc zupełnie zdanie prezesa, że czas wykaże nam wartość środków przez Rademachera używanych, nie mogę wszakże się wstrzymać od zrobienia kilku uwag. System ten wywołał u nas wielką opozycją; dlaczego? czyż on nie zgadza się z widokami nauki naszój nowszych czasów?—bynajmniej. Rademacher przyjmując choroby lokalne, wchodzi zupełnie w ducha dążności anatomii patologicznej, która nam zmiany tych organów przedstawia; główny zarzut przeciw Rademacherowi jest ten, że, znalazłszy lekarstwo specyficzne na jakiś organ, nie dba już o przyczynę choroby, ale zarzut ten jest tylko pozornym dla opozycyi; właściwa przyczyna która wywołała opozycją jest ta, że Rademacher zwracając uwagę na *genius epidemicus*, przyjmuje takie konstytucye chorób które puszczenia krwi wcale nie znoszą. Zwolennicy Broussego wszędzie widzą irytacją, wszędzie zapalenie, nawet w tyfusie, a chociaż anatomia patologiczna dowiodła różnicy natury owrzodzeń od stanu zapalnego, chociaż chemia dowiodła rozkładu krwi, im się przecież zdaje, że przez upuszczenie jój, zmniejszając ilość, przywrócą przez to pierwotny jój skład. Postępowanie to jest zupełnie podobne do tego, jeżeliby ktoś chcąc zapobiedz dalszemu zepsuciu się wina, które w kwaśną fermentacją przeszło i w ocet się zamienia, chociaż-

by i półbeczki go upuścił, to jeszcze tym sposobem octu nie zamieni w wino.

Zarzucają jeszcze Rademacherowi brak znajomości anatomii patologicznej, oskultacyi i perkussyi. Piérwszy zarzut jest zupełnie niesłusznym, gdyż Rademacher przyjmując choroby organów, musiał niezawodnie' zmiany w nich patologiczne sam widzieć, gdyż on nie jest z tego rodzaju ludzi, co zwykli *jurare in verba magistri*; co się zaś tyczy oskultacyi i perkussyi, niech mi się godzi powiedzieć, że od Hippokratesa aż do Auenbruggera i Laenneka nauka ta nieznaną była, a przecież ilużto było sławnych lekarzy! Co więcćj, od czasów Laenneka aż do dnia dzisiejszego, ilużto jest reputacyą mających lekarzy którzy oskultacyi wcale nie znają, a nawet i ci którzy się mają za Laenneków i Schönlejnów, ileżto razy widzą i słyszą co innego jak to co jest do widzenia i słyszenia? Fakta mógłbym zacytować. Rademacher chociaż sam oskultacyi i perkussyi nie zna, jednakowoż wcale jój nie potępia, owszem powiada on wyraźnie, że lekarze powinni się starać wszelkimi sposobami do wydoskonalenia dyagnozy. Dzięki postępowi chemii, dzięki oskultacyi i perkussyi, doszliśmy do pewności dyagnozy, ale cóżeśmy przez to zyskali poznając chorobę i jój naturę? wieleżto jest takich, których chociaż doskonale znamy naturę, czyż mamy przeciwko nim pewne środki do ich wyleczenia? Francuzi doszli dziś do tych rezultatów, że w podobnych chorobach, gdzie dawniej *calomel*, *digitalis*, *plumbum aceticum* i t. p. zapisywali środki, dziś ordynują *eau d'orge*, albo *potion gommeuse*, cóż to dowodzi?—nic innego tylko to, że się przekonali o bezskuteczności tych środków w podobnych słabościach.

System Rademachera skoro tylko przez Francuzów poznany zostanie, niezawodnie z entuzjazmem przyjętym, a wtedy może i u nas łaskawszym będzie widziany okiem. Francya uświęca dopiero, że się wyrażę, passuje na ryceza każde towarzyskie i umysłowe przejście, i Michelet chociaż ze zwykłą dumą swego narodu słusznie jednak powiada: „Kaźda społeczna lub umysłowa zmiana, dopóty jest dla Europy bezowocną, dopóki przez Francją niezostanie wytłumaczoną, zpopularyzowaną. Reforma-cya Lutra dopiero przez gieniusz Kalwina została zdemo-kratyzowaną. Reakcja katolicyzmu stulecia Ludwika XIV, zapowiedziana została światu przez dumny dogma-tyzm Bossueta. Jak dawniej Grecya Azyi, tak teraz Fran-cya Europie przewodniczy. Przez cóż Francya zasługuje na takie posłannictwo?—dlatego tylko, że w niej tak dla teoryi jak i praktyki, pojęcie towarzyskiej ogólności prędczej aniżeli w każdym innym narodzie się rozwija.” Wracając się jeszcze raz do Rademachera powiedzieć muszę, że skoro kilka środków, co mówię, skoro je-den tylko z jego środków przez wszystkich za specyfi-czny uznany będzie, wtedy ludzkość zyszcze tyle, ile zy-skała z odkryciem specyficznosci chinu i krowianki.

Zanim ostateczne wyrzeknę słowo o systematach, zobaczmy postęp szczegółowych gałęzi nauki naszej w XIX stuleciu.

Zacznijmy od anatomii i fizyologii, owych dwóch głów-nych fundamentów medycyny. Zaczęte poszukiwania upłynionego stulecia, posunięte zostały do wysokiego stopnia doskonałości; anatomia ogólna poszukując budo-wy tkanek i odkrywając pierwotne formy tychże, stała się podstawą fizyologii i patologii, równie jak i głównym punktem oparcia się w tworzeniu jestestw organicznych,

a szczególnie człowieka. Jéjto winni jesteśmy najważniejsze odkrycia o budowie mózgu, mleczka, nerwów i t. d. postęp mikroskopii i techniki, a chirurgia, dzięki anatomii topograficznej prawdziwą zyskała przysługę. Przeszłoby to zakres celu mego pisma, chciéć wyliczyć postęp szczegółowy każdéj gałęzi anatomii, dosyć jest powiedzieć, że wszystkie wzbogacone zostały, a przytoczone tu zaraz imiona dostateczną tego dają gwarancją, jakoto, we Francyi: Bischat, Cloquet, Beclard, Chaussier i inni; we Włoszech: Caldani, Rolandi, Grimaldi; w Niemczech: Loder, Hildebrand, Soemering, Rosenmüller, Meckel, Langenbek, Bock, Hesselbach, Weber, Trewiranus, Burdach, Johannes Müller, Remak i inni a nawet i w Turcyi wydaném zostało dzieło anatomiczne, przez Chani-Zadeh-Mechmet-Aba-Oullach. Fizyologia, jako pośredniczka wszystkich gałęzi medycyny, musiała znaczny uczynić postęp, i co tyle wieków nie było w stanie dopiąć, ten krótki przeciąg czasu naszego stulecia dokażał, a to tylko przez to, że potrafił się otrząsnąć z czczych marzeń filozofii spekulacyjnej, a udał się drogą racjonalnego empiryzmu, która najprzód przez Francuzów wskazaną była, a którą potém i Niemcy udali się. Fizyologia wspierając swoje doświadczenia skalpelem i mikroskopem, równie jak i wiwiskekcyami na zwierzętach, wzięwszy w pomoc najnowsze odkrycia fizyki i postępy chemii, wsparłszy się na anatomii porównawczéj i w ogóle na wszystkich naukach przyrodzonych, a nie pomijając zbroceń patologicznych, starała się poznać życie we wszystkich jego stosunkach, i tymto sposobem stała się punktem centralnym nauki naszéj, która słuszne zyskała imię medycyny fizyologicznój. Niepodobniéństwem byłoby prawie wykazać postęp szczegółowy téj nauki, dlatego ogr-

niczam się na ogólnym tylko wykazie. Postęp fizyki przyczynił się do postępu nauki o świetle i głosie przy organach zmysłu, w poszukiwaniach o wpływie elektryczności i galwanizmu w rozmaitych chorobach, jak również o powstaniu ciepłika i jego działaniu, o wpływie powietrza, wiatrów i t. d.; fizyce winniśmy także oskultacją i perkusją. Chemia medyczna przez wydoskonalenie analizy części organicznych, a którą szczególnie Liebigh przez genialne zastosowania do wysokiego stopnia posunął, rozebrawszy krew, kości, urynę, mleko, żółć, ślinę, pot, tłuszcz, mózg, połączenia proteinowe, szluz, ropę i t. d. i połączywszy tę analizę z doświadczeniami fizyologicznymi, przyczynił się dużo do wyjaśnienia nauki o trawieniu, oddychaniu i sekrecjach. Fizyologiczne poszukiwania krwi i jej ruchu, jak i ruchu serca, kapilarności naczyń i wyżywienia, jak nierównie doświadczenia o absorbcyi, endosmozie i exosmozie, należą do najświetniejszych odkryć naszego wieku. Dzięki poszukiwaniom Ehrenberga nad infuzoryami, Bera nad rozwinięciem się jajka u zwierząt ssących, dzięki odkryciu pęcherzyków zarodkowych (Keim-Bläschen) przez Purkiniego, nauka o zapłodzeniu znaczny uczyniła postęp. Ze wszystkich jednak gałęzi najmniej znajoma część fizyologii, w naszym wieku doszła do najwyższego stopnia doskonałości, to jest fizjologia nerwów. Takito jest postęp, jaki fizjologia w naszym uczyniła wieku, a do którego przyczynili się pomiędzy Francuzów: Bischat, Dumas, Richerand, Chaussier, Cuvier, Adelon, Cloquet, Fourcroy, Vauquelin, Virej, Magendie, Prevost, Flourens, Braschet, Gerdy i wielu innych; pomiędzy Anglików: Gordon, Abernethy, Lawrence, Home, Flemming, Charl Bell, Mayo, Thomson, Blundel, Philip, Brodie, Cooper,

Johnson, Parry, Milne Edwards, Marechal Hall i inni; z pomiędzy Włochów sławniejszymi są: Scarpa, Gallini, Sementini, Rolando i Fodera. Liczba zasłużonych w fizyologii Niemców jest od wszystkich innych narodów przewyższająca, a wymienię tylko znaczniejszych: Blumenbach, Hildebrand, Rudolphi, bracia Trewiranus, Soemering, Pfaff, Gruithuisen, Lenhosek, Wrisberg, Purkinie, Siebold, Baumgärtner, Walther, Strohmejer, Szultz, Bischoff, Weber, Carus, Wagner, Vogel, Arnold, Henle, Rathke, Berres, Eberle, Remak, Arneman, Tiedemann i Gmelin, a szczególnie Johannes Müller i Valentin na wspomnienie zasługują.

Chirurgia która na początku przeszłego wieku w Anglii i Francji więcej zaczęła wchodzić w poważanie, a w końcu i u Niemców, w naszym wieku z przyczyny nauczania jej na uniwersytetach, w klinikach i szpitalach przez najgienialniejszych i najwyższe miejsca piastujących lekarzy, którzy ją naukowo i manualnie do wysokiego stopnia doskonałości posunęli, stała się dziś jedną z najlepiej wykształconych gałęzi nauki naszej. Jak mało chorób czysto zewnętrznych istnieje, tak samo i środki przeciwko tymże, tak zwane chirurgiczne, bez rozpoznania funkcji organicznych zastosowanemi być nie mogą, dopiero porównyując doświadczenia patologiczno-chirurgiczne z etyologią i symptomatologią, ze stosunkiem zewnętrznych zjawisk z wewnętrznymi, a mając uwagę na cierpienie pierwotne, dochodzi się tym sposobem do pewnych wskazań. Oskultacya i perkussya przyczyniła się dużo nie tylko do dyagnostyki, ale i do indykacyj chirurgicznych, i pomimo całej śmiałości z jaką niektóre operacye są wykonywane, dążność chirurgii nowój, jest więcej za uratowaniem i upiększeniem organizmu, aniżeli

za pozabawieniem go jakiejś cząstki. Cały postęp części operacyjnej chirurgii, to jest nadania metod wynalazku instrumentów, jak i wykonania najsmielszych operacyj, po większej części Anglikom i Francuzom winni jesteśmy, a część jej fizyologiczną, oznaczenie wskazań i upojedynczenie metod, daleko więcej Niemcom.

Rzućmy okiem na poszukiwania anatomiczno-patologiczne i fizyologiczne o powstaniu i przebiegu, przyczynach i symptomatach zapalenia z których odpowiednia dla nich nastąpiła terapia, równie i na zpowinowane z zapaleniem róże. Traktowania złamań, zwichnięć, jak i wszystkie stany chorobliwe stawów upojedynczone i pod pewne zasady podciągnięte zostały, do czego się wiele przyczynił opatrunek gipsowy i krochmalny. Ortopedia i operacje podskórne, zbawienne dla ludzkości przyniosły korzyści. Wrzody, rany i choroby skórne chroniczne, uważając za cierpienia miejscowe z przyczyny ogólnego usposobienia organizmu zyskały tém samém racjonalną terapią, do czego helkologia Rusta znacznie się przyczyniła. Operacje fistuł zyskały wielkie ulepszenia.

Nauka o aneurysmatach, telangiektazyach, nowemi metodami i postrzeżeniami wzbogacone zostały. Operacje kił z powodu postępu anatomii, nie dają dziś nic do życzenia. Leczenie zwężeń, a szczególniej kanału moczowego, z wielką łatwością się skutecznia; operacja episoraphii niedawno dopięro zaleconą została. Cała przysługa anatomii patologicznej dla chirurgii, pokazuje się w nadnormalnych utworach i degeneracyach. Wielki postęp a szczególniej we Francyi zrobiła choroba kamienia, a oprócz operacyi przez cięcie, wynalezienie kruszenia kamienia wewnątrz pęcherza. Do wynalazku XIX stulecia należy exartykulacya i resekcya szczęki; opera-

eye plastyczne wznowiono. Od czasu jak oko zaczęto uważać jako część organizmu, w którym podług praw fizjologii cierpienie ogólne może się tylko miejscowo w nim odbijać, i skoro zastosowano terapią ogólną a nie porzeczano na miejscowém leczeniu, okulistyka stała się nauką samodzielną, mającą związek z całą medycyną. Długi byłby nadzwyczaj szereg imion, chcąc wszystkich tych wyliczyć, którzy się przyczynili do postępu chirurgii i okulistyki, dlatego najzastużniejszych tylko wymienić pozwalam sobie: Delpech, Boyer, Recamier, Larrey, Dupuytren, Alibert, Biette, Richerand, Brechet, Cruveilhier, Sanson, Seutin, Begin, Lisfranc, Roux, Gerdy, Guerin, Amussat, Civial, Leroy, D'Etiolles, Lallemand, Velpeau, Jobert de Lamballe, Malgaigne, Blandin, Ricord i inni. Zpomiedzy Anglików: A. Cooper, Amesburg, Earle, Wardrop, Wilson, Thomson, Bell, Copeland, Brodie, Hodgson, Hall, Liston i wielu innych. Zpomiedzy Włochów: Scarpa, Binelli, Assalini i inni. Zpomiedzy Niemców: Zang, Klein, Richter, Walther, Kern, Jaeger, Jüngeken, Rust, Gräfe, Wathmann, Langenbek, Blasius, Textor, a zpomiedzy wielu jeszcze sławnych wspomnieć należy genialnego Dieffenbacha.

Nauka akuszeryi, która już w przeszłym wieku rozpoczętą była, z postępcm fizjologii zyskała wiele w praktycznym swém zastosowaniu co do dyetetyki, terapii i części operacyjnej. Mówiąc już wyżej o postępie fizjologii, wspomnieliśmy o poszukiwaniach płodu, ztąd nauka o zmianach miesiący i postępie ciąży. Wspomnieć także należy poszukiwania anatomiczno - patologiczne o wielkości, formie, rozmiarze, nachyleniu i połączeniu miednicy w stanie normalnym, równie jak i w zbozczeniach od tegoż, jakoto: exostozy, wyrośla, rachitis i osteo-

małacy: poszukiwania fizyologiczne stosunku płodu do matki i świata zewnętrznego, rozmiar głowy dziecięcia, klasyfikacja monstrów, opisanie anomalii sznurka pępkowego, choroby macicy i jajeczników. Najważniejszym jednak jest rzut oka na stan kobiet we względnie somatycznym i psychicznym, to jest, wyświecenie formacji kobiecy, stan dojrzałości, funkcyj płciowych i zapłodnienia, jak równie ciężarności, rodzenia, po porodzenia i karmienia. Oskultacya i perkussya nietylko patologii i chirurgii się przyczyniła, ale nawet i akuszeryi; z jój pomocą możemy zdecydować o życiu lub śmierci embryona, o położeniu, ilości, przyczepieniu się miejsca placenty i o macicznej lub zamacicznej ciąży.

Do postępu akuszeryi należy jeszcze dyagnostyka rozmaitych położeń, która w ostatnich czasach przez Naegelę i panią Lachapelle znacznie zmodyfikowaną została. Terapia także uległa znacznym zmianom, a zwłaszcza in-dykacye do założenia kleszczy, zrobienia obrotu, na sta-łych oparte zostały zasadach. Dodać tu należy wynalezienie rozmaitych a niezbędnie potrzebnych instrumentów.

Do postępu akuszeryi, Niemcy daleko więcej jak Fran-cuzi przyczynili się. Wspomnę tu znaczniejszych z obudwu tych porodów: Siebold, Puchelt, Busch, Hüter, Jörg, Meissner, Kluge, Naegele, Kilian, Carus, Weiss, d'Outre-pont, madame Boivin, Lachapelle, Dubois, Bouillaud, Velpeau, de Cazeaux i wielu innych.

Medycyna sądowa i policya lekarska z postępem che-mii, fizyologii i anatomii, w wielu punktach zyskała świetną pomoc. Chemia wydoskonalila naukę o truciznach, lepsza znajomość anatomii przyczyniła się wiele do ro-bienia obdukcji, fizyologia uzupełniła poszukiwania nad

wiekim, nad znakami *virginitatis*, zapłodnienia, pogwałcenia, nad możebnością życia nowo narodzonych; postęp dyagnostyki doprowadził nas do rozróżnienia chorób udanych od prawdziwych; terapia rozwiązała pytanie możliwości lub warunków wyleczenia, chirurgia śmiertelności obrażeń, a najwięcej można powiedzieć ze wszystkich przyczynił się postęp akuszeryi; ona bowiem rozstrzygnęła kwestyą ciężarności, monstrów, moli dojrzalności płodu, spóźnienia porodu, znaków śmierci przed porodem, wątpliwe przyczyny śmierci dzieci, i wady pomocy sztuki.

Naszemuto jeszcze wiekowi przynależy lepsze zastanowienie się nad epidemiami, rozróżnienie *contagium* od miasma, zaprowadzenie kwarantanny; brak jednak wiadomości przyczyn które te epidemie sprowadzają, jest powodem wielu nierozwiązanych dotychczas kwestyj.

Wykazawszy postęp wszystkich gałęzi nauki naszój, przychodzi mi jeszcze mówić o najgłówniejszój, to jest o patologii i o losie systematów. Od czasu utworzenia anatomii patologicznej przez nieśmiertelnego Morganiego, a wzbogacenia téjże przez Cruveillhiego i Huntera, część ta stała się prawdziwą i osobną nauką. Onato pierwsza nie troszcząc się o teorye i systemata, za podstawę swoją obrała czyste fakta i tym sposobem inną nadała dążność patologii; z jéjto przyczyny wszystkie sztuczne i naturalne podziały runąć musiały; onato dowiodła, że natura ludzka nie da się ująć w niewolnicze karby jednéj formy, nie różniąc się bowiem niczém od reszty przyrody tak jest rozmaitą i niepodobną, jak liście chociażby z jednego drzewa. Wszystkie systemata tak przeszłych jak i naszego wieku, zacząwszy od Piotra Franka, Sprengla, Pinela, Baumege, Hildebrandta, Conradiego, Troxlera,

Himlego, Bonordena, Hufelanda, Rejmana, Chulanta, Bisschoffa, Harlessa, a skończywszy na Schönlejnzie, nie wytrzymały, że się wyrażę, próby patologicznej. Nauka nasza musiało szukać innej drogi, a tę wskazali nam Francuzi, a szczególnie Andral, wprowadzając swoje kazuistyczno-kliniczną metodę, która zasada się na obserwacji podobnych, a jednak różniących się pomiędzy sobą wypadków, do której przyłączyła się statystyczno-numeryczna metoda Loujego. Wolni zatem dziś od wszelkich więzów systematyki, unikając zgubnej i nader szkodliwej jednostronności, postrzeżenia nasze zasadzać powinniśmy na podstawie anatomiczno-fizyologicznej, wsparci wiadomościami nauk przyrodzonych; a indywidualizując o ile można zjawiska chorobliwe i bacząc na wpływ epidemii i konstytucyi chorób, zmierzać tym sposobem do całości którą nam dopiero przyszłość ukaże.

Przejrzawszy jak w zwierciadle całą przeszłość, a mając przed oczyma terażniejszość, łatwo nam wnosić o przyszłości; jej zadaniem jest połączenie dogmatyzmu z empirją, idealizmu z realnością; jej zadaniem jest zapelnienie tej ogromnej przepaści między patologią a terapią. Przyszłości dziełem będzie nie tylko systematyczne uporządkowanie, ale utworzenie jednej i niczym nierozdzielnej całości. Ufni nadzieją, wdzięczni przeszłości, puśćmy śmiało nasz okręt na burzliwe przyszłości morze, a choć się zżymać i pienieć będzie, choć silne bałwany wien uderzać nie przestaną, możemy być spokojni o los jego, bo zbudowany z żelaznych prawd doświadczenia, a kierowany kompasem historyi, po burzy wśród najpiękniejszych światła promieni, do pożądanego portu pewności zawinie.

MAHMUDEK.

Powieść

PRZEZ

Władysława Strzelnickiego.

I.

Pochodzenie Mahmud-Bega i pierwsze jego losy.

Mahmud-Beg urodził się w Lenkoranie, mieście perskiem (podówczas), roku od uciezki proroka tysiąc dwieście trzynastego. Ojca miał Abdulłę, a matkę Seknę; o dalszych jego antenatach niczego się nie mógł dowiedzieć. I to także zostało niedocieczoném, jakim sposobem wiele znacząca zgłoska Beg (szlachcic) przyrosła do jego imienia? Szlachta perska nie zaprowadziła jeszcze u siebie herbarzy, nie nosi spadkowych, całe rody obejmujących nazwisk, o pargaminy heraldyczne ani ich pytaj; zgoła w tém wszystkiem co służy za podstawę rodowodom, zupełnie jest ciemna. Begów u nich mnóstwo, powierzchnia Iranu jeży się, jak przed-potopowym lasem temi dębami ludzkości, ale cóż to za ńędza, beg bez pargaminów, dąb bez korzeni! Lada powiew krytyki może

go obalić... Zaledwie dziesiąty pokaże jaki wyszarzany szpargał z pieczęcią któregoś tam chana, a i ten nie potrafi przekonać, że swojego szpargału nie znalazł gdzieś na drodze; tytułuje się begiem, i kwita. Ty mu wierz albo nie, jak sobie zechcesz, ale nie waz się jawnie zaprzeczać; jeśli zaś sam, z worka i urodzenia należysz do tłumu niższych ziemian, to jeszcze i ukłonić się musisz.

Rzecz jasna, że w takim oplakanyam stanie heraldyki, jak prawność nie może mieć żadnego punktu oporu, tak nadużycia muszą być częste. Pytam się tedy co ma począć biograf mużułmański? dokąd za źródłami pójdzie? Własne świadectwo zainteresowanej osoby i plotki miejscowe, oto są jedyne dwa źródła, jedno drugiego warte, a najczęściej jedno drugim się zbija. Tak też się miało i z Mahmud-Begiem. On sam utrzymywał stale, że jest starym jak świat szlachcicem, a tymczasem sąsiedzi jego i przyjaciele co innego prawili. Byli nawet tacy, którzy wręcz zbijali jego prawo do przyrostka. Nie mogąc pokonać tych trudności, musiałem je całkiem ominąć i przestać na datach świeższych, do jakich mię własne, na miejscu wykonane poszukiwania, doprowadziły.

Ojciec naszego rycerza był w początkach pastuchem na lenkorańskim stepie. Dochody z tego rzemiosła wystarczały mu na spokojne i skromne życie, ale Abdulla czuł w sobie wyższe popędy; tęsknił i szukał jakby się z téj sfery na obszerniejsze pole wydobyć. Między właścicielami owiec, co pod jego buławą znajdowały się, był jeden daleki krewny żony kuchcika chańskiego. Abdulla postanowił zaskarbić sobie protekęją téj szanownej osoby. Nikomu tak gorliwie nie służył, nikomu nie kłaniał się tak nisko, jak krewnemu żony kuchcika; upewniał go po kilka razy na dzień, że jest najpodlejszym

z jego niewolników. Owce krewnego żony kuchcika były nieśmiertelne, nawet kiedy inne mor niszczył, używały najlepszego zdrowia. Niejedna gosposia po powrocie trzody z pastwiska musiała opłakiwać zgon swojego ulubionego jagnięcia, kiedy w tym samym czasie żona krewnego żony kuchcika cieszyła się niespodziewanym jak gdyby z nieba spadłym przypłotkiem. Jój matki rodziły, nie będąc w ciąży; zasługi i pokłony nie poszły marnie. Abdulla został wzięty do dworu i policzony między *faraszów*. Ten ogólny tytuł obejmuje rozmaite stopnie posługaczy, począwszy od liktorów i tych co ścielą kobierce pod stopami pańskimi, do coraz niższych i niższych; na Abdullę przypadło wymiatać śmiecie z pałacowego podwórza.

Wiadomo całemu światu, co to urząd w Persyi: chyba głupca albo poczciwego nie ogrzeje. Abdulla nie był z łaski Allaha ani tym ani owym, i tak dobrze uwijał się, że dostawszy po dziesięciu latach dymissyą, mógł uchodzić za jednego z bogatszych mieszczan Lenkoranu. Ale nigdy nie widziano tych bogactw, ex-wymiatacz śmieci krył się z niemi jak ze śmiertelnym grzechem. Chodził w żebraczych łachmanach, mieszkał w ciemnej, ciasnej, błotnistej izdebce, której całą ozdobą i sprzętem był jakiś pozaprzeszło wieczny kilimek i dzban z nadtłuczoną szyjką; pokarm jego codzienny składały czarne placki, ledwie w dni bajramu pozwalał sobie urozmaicić je słonym sérem i kilką główek cebuli. Tak samo karmił żonę Seknę i synała Mahmuda. Nadeszła starość; przeczuwając że już go niezadługo Azrael ma powołać do raj, poszedł z żoną i synem zwiedzić święte miejsca: Kerbetaj, Meszedi, grób Mohammeda. Całą tę pielgrzymkę odbyli o żebranym chlebie. Z powrotem rzeczywiście za-

padł ciężko na zdrowiu, a że lekarstw bez pieniędzy w Lenkoranie nie dają, polecił się woli niebios i wyglądał śmierci. Przed skonaniem kazał się wynieść na śmiecisisko, zwalone w kącie zagrody. — Gdzie pieniądze, gdzie pieniądze! wołał w rozpacz syn, widząc że już stula powieki; — gdzie pieniądze! powtórzyła ze łzami żona, tuląc się do piersi umierającego. On milczał jak ta zimna mogiła której miał zostać mieszkańcem. — Umarł? Nie jeszcze! Zaczęli mu trąbić w uszy, Sekna w jedno, Mahmud w drugie, i póty trąbili, aż nareszcie ożył, otworzył oczy, usta, i słabym, przygasłym, ledwie dosłyszczanym głosem, głosem który już zdawał się należeć do lepszego świata, wyjąknął: — *jok*, niema! Po tym łabędzim śpiewie znowu zamknął oczy i usta, do pierwszej trąby Izrafila. Był to moment uroczysty. Wdowa i sierota spojrzeli po sobie w milczeniu jak najgłębszém, ale ich spojrzenia były wymowne. Te spojrzenia jednogłośnie wyrzekły *niema*.

Miesiąc świecił, gwiazdy świeciły, wietrzyk uwijał się mrużąc po świeżo zasypanej mogile, może śpiewał sobie po swojemu, może odmawiał paciérz za duszę Abdullę, któż to odgadnie. Abdulla zdawał tymczasem rachunek przed strasznym Munkirem ze spraw żywota. A w jego dawném mieszkaniu taki smutek, taka cichość, jak gdyby w drugiej mogile. Strapiona wdowa wyszła na podwórze, żeby snadź strumienie łez swoich gorących wypłakiwać przy romansowym blasku gwiazd i księżyca. Mahmud obrócił się do ściany, zawinął głowę w urywek stariej burki, ale daremnie: ta gorzka myśl, że od jutra trzeba będzie własnymi rękami zarabiać sobie na słony sér i na placki, spędzała sen z jego powiek. Przewróciwszy się kilka razy to na ten bok, to na drugi, wstaje,

odchyła drzwi od podwórza, i postrzega matkę grzebiącą w śmieciaku. O widoku! odgrzebała jakiś pękaty worek, i drugi.— Aha! krzyknął chwytając ją za rękę znie-nacka.

— *Aj badzil* krzyknęła złapana (*).

Tak żył i tak skończył Abdulla. Kto świadomy cywilnej organizacyi perskiego państwa, gdzie urzędnik zamiast honorarium otrzymuje prawo ssac krew podwładnych i ludu, tego nie zadziwi jego prędkie wzbogacenie się, ale nie słyszano nigdy żeby imię swoje ozdabiał szlacheckim przyrostkiem. Dlaczego? ze zbytnej skromności, czy że prawa nie miał?— Jest to zagadka do odgadnienia. Wiadomo tylko, że syn jego i następca dopóki mieszkał w Lenkoranie, nie był także niczém więcej jak prostym Mahmudem; dopiero przeniosłszy się do Baku, zagranicznego miasta, bo już wówczas należało do Rosyi, dał się tam poznać pod grzmiącym tytułem: Mahmud-Beg, Abdulla-Beg ohy, co znaczy dosłownie: Mahmud szlachcic, Abdulla szlachcica syn. Oficerom i urzędnikom tamtejszym z którymi zabięrał znajomość, rekomendował się jako Mahmud Abdullowicz, nazwiskiem Abdullow.

* * *

Prawne czy nieprawne to było wyszlachcenie się, ale syn Abdulla niewiele na niem zyskał. Nie miał on ani dowcipu, ani maniery, ani znajomości świata, jakiej stan szlachecki wymaga; zgoła nie miał tęg szaty pstrąg a błyskotnég, co choć na gminne barki narzucona, daje niejaki pozór wyższości i przynajmniej ku sobie samég uszanowanie jakieg obudza. I cofnąć się już niepodobna by-

(*) T. j. aj siostró! zwyczajny u kobiet okrzyk przestachu.

ło, więc zawisł między dwoma warstwami ludności bałkańskiej, jak między niebem a ziemią, i do żadnej przyjąć się nie mógł, bo obie go odpychały. Został pośmiewiskiem begów, celem pogardy u gminu. Przykre zaiste położenie! Ale ku końcowi fortuna w czém inném mu dopisała.

Słyszałem utrzymujących, że w krainach Islamu, na owym czarownym *Wschodzie*, do którego tak ogniście wdychamy i takie ogniste piszemy wiersze, przyjaźń bezinteresowna jest równie rzadkim klejnotem, jak prawdziwa miłość, jak każde pocziwe uczucie. Jeżeli to prawda, to możnaż nie zazdrościć synowi Abdulły? Przyjaźń sama, bez szczególnych z jego strony zabiegów, rzuciła mu się w objęcia i to jaka jeszcze! najczulsza, najczystsza! A za nią przyszła i miłość. Przyjaciel nazywał się Ali-Aga. Byłto człowiek niebogaty wprawdzie, ale z wielkiej familii, pochodził bowiem w prostej linii od dawnych szachów Szyrwanu, jak sam uroczyście zapewniał Mahmud-Bega. Spotkali się przypadkiem i zaraz do siebie przyglnęli, i świat się zdumiał ujrzawszy podupadłego szlachcica w ścisłej komitywie z parweniusem.

Odtąd Mahmud-Begowi wszystko poszło inaczej. Przestano go wyśmiewać, bo nikogo nie widywał, z jedynym Ali-Agą czas przepędzał. I mniej niż we dwa miesiące tyle interesów zrobił: ożenił się z siostrą cioteczną Alego, cudnej urody dziewczyną, kupił u niego, za bezcen prawie, dwóch niewolników z Arabii wywiezionych, sprzedał nieruchomy majątek jaki posiadał w Baku, i wybrał się w drogę do Szamachy, gdzie z porady przyjaciela miał zamieszkać. Potomek szyrwańskich szachów nie mógł się rozstać z Mahmud-Begiem, serce mu pę-

kało, ale ważne, bardzo ważne interesa zatrzymywały go... Co tu robić! Wahał się jakiś czas między przyjaźnią i potrzebą; przyjaźń zwyciężyła, pojechał.

Nazajutrz po przyjeździe do Szamachy, przyjaciel wyszperał piękny dom w mieście i dwa ogrody za miastem, które były do sprzedania. Mahmud-Beg zapłacił.

Na trzeci dzień ku wieczorowi, siedzieli już oba w głównej sali kupionego domu. Przypatrzmy się téj sali.

Ściana od podwórza składa się z dużych tafel drewnianych, wyłożonych szkiełkami różowemi, błękitnemi, zielonemi, żółtymi, w koła, gwiazdy i najrozmaitsze wzory. Tędy wchodzi światło, dla ludzi i dla powietrza, talle wysuwają się w górę. Trzy inne ściany zdobi sztuka malarska, są tam koniki czerwone i żółte, osły w derwiszowych czapkach, wielbłądy z uśmiechającemi się buziami odalyk, słonie skrzydlate i t. d. Te istoty z głównych tylko, charakterystycznych znamion poznać się dają: tak, wygięta szyja oznacza konia, osła zdradzają długie uszy, zpod czapki wysuwają się wielbłąda garby, słon ma trąbę za godło, i na przekor fizyce latają sobie po powietrzu w romantycznym nieładzie. Ziemi artysta nie odmalował, bo ziemia nic pięknego w sobie nie ma, i nie mogłaby się przyczynić do świetności obrazu. Natomiast próżne pola zappełnił bukietami złotych kwiatów z pąsowym liściem, mnóstwem zwierciadełek. Cudackie te utwory, olśnione pryzmatyczną grą światła przez szkiełka przeciskającego się, składają jakiś świat nietutejszy, coś dziwnie zamglonego, coś czarodziejsko usypiającego, jak fantazyja Szeherazady. W jednym kącie stoi kominiek marmurowy z pozłotą, z drugiego bije źródło przezroczystej jak kryształ wody, spadając w koryto przez które wycieka na podwórze. Z wierzchu przy-

murek, ciągnący się przez całe trzy ściany, jaśniej rzędem naczyń fajansowych suto ozłoconych.

W takimto przybytku, na pysznych perskich kobiercach, siedzieli założywszy pod siebie nogi dwaj przyjaciele. Ali-Aga milczał i dumał, Mahmud-Beg milczał i przesuwał w palcach koralowe ziarna różańca. Po długim, długim milczeniu, ostatni poziewając zabrał głos:

— Nikt nie jest Bogiem, oprócz Boga. Znowu długie milczenie i znowu Mahmud-Beg ziewnął i zagaił:

— Niemasz mądrości ani potęgi jak w jednym Bogu, Mohammed prorokiem jego.

I znowu przerwa. Nareszcie Ali-Aga, jak gdyby z twardego snu obudzony, odezwał się:

— Ej, gdzie tam, czy on do tego zdatny?

— Do czego, do czego? A? Mówże! o kim ty myślałeś Ali-Ago?

— O kimże mam myśleć jeśli nie o tobie. Bogatys, masz wiele, ale ten Chadzi Jusuf.

— Cóż ten Chadzi Jusuf?...

— Słyszałeś o nim?

— Od ciebie samego. Więc on bogatszy niż ja?

— Dziesięć razy. A wiesz ty jak on przyszedł do tego?

— A jak?

— Handlował. Wielka to rzecz handlować.

— Hm, ale trudna. Bo to trzeba gdzieś po morzach pływać. Co?

— Niekoniecznie. Do Tebryzu na przykład mógłbyś dojechać i na osle, a ztamtąd nakupiwszy towarów, wróciłbyś najętymi wielbłędami.

— Więc jedźmy do Tebryzu. A? Jak ci się zdaje?

— Właśnie o tém myślałem. Oj! dobrzeby to było. Nabralibyśmy tam u Frengów, za bezcen prawie, ró-

żnych rzeczy, wróciwszy sprzedali, i tybys został bogatszy od jakiego chana.

— Od jakiego chana? Oj wtenczas niktby nie ośmielił się powiedzieć że ja nie beg. Jedźmyż moja duszo. Ale jeżeli zgubimy worek (*)?

— Ej nie, to interes prosty. A zresztą, nie trzeba wszystkiego ryzykować, dosyć będzie czwartą część gotówki zabrać z sobą, a resztę zakopjemy gdzie w pewnym miejscu. Rób jak myślisz, ale moja rada taka.

Przyszły magnat szyrwański nie posiadał się z radości.

— Cudowna rada, zawołał ściskając przyjaciela, mój drogi Ali! Sam Sulejman, ojciec mądrości, lepszych rad nie dawał Maszałach; w imię Boże jutro wyjedziemy, po co zwlekać? Ale ja o tobie nie zapomnę. Zarobek rozdzielimy.

— Nie chcę ja zarobku. Dosyć mi na tém, jeżeli ty będziesz szczęśliwy.

Nim nadeszła godzina wyjazdu, Mahmud-Beg ochłoniął z pierwszego zapалу; wrodzone lenistwo i zamiłowanie kiejsu wróciło do swoich praw, ale zręczny przyjaciel potrafił go znowu na swój ton nastroić. Widać że ta podróż do Tebryzu była już zapisana w księdze przeznaczenia. Zakopali jeden duży worek, a z drugim mniejszym pojechali. Żona Mahmud-Bega, Moleka, odebrała niewielkie quantum na rozchód dwumiesięczny, bo tyle mieli zabawić.

Po kilku dniach podróży potomek Szachów zachorował i został w jednej wsi na drodze. Mahmud-Beg odebrawszy od niego dokładną instrukcją jak ma prowadzić interesa w Tebryzie, pojechał dalej w towarzystwie jednego tylko nukiera (**).

(*) T. j. jeżeli się oszukamy, zawiedziemy w rachubie.

(**) Sługi.

II.

Mahmud-Beg zastaje sam siebie w domu.

Minęły lata. Prowincye muzułmańskie z téj strony Araxu doczekały się ważnych wypadków: widziały najście wojska perskiego, jego klęski i haniebny odwrót. Stary chan Szyrwanu, Mustafa, objął był rządy nad Szamachą, ale po kilku tygodniach wątpliwéj władzy, musiał ustąpić; stolica sławnych Szyrwan-Szachów wróciła pod berło Rossyi. Te wstrząśnienia choć drobne w historyi nie mogły zostać bez pewnych śladów; przemieszała się trochę ludność prowincyi i miasta, zaszły nowe stosunki indywiduów ze zwierzchnością, niektórzy ze starych begów, co się trzymali chana, ustąpili z nim razem, inni, którzy wiernie trwali przy rządzie, w nagrodzie odnieśli różne korzyści. Tymczasem oszuści, partya jak zazwyczaj neutralna, żywili się okruszynami politycznego bankietu.

* * *

Pewnego pięknego poranku, Mahmud-Beg wracał ze swojej podróży. Ale przebóg, w jakimże stanie! sam jeden, piechotą, bosi i obszarpany. Zbliżywszy się o parę agaczów (mil polskich) do miasta, zboczył na stronę w jarek porosły krzakami, odwalił duży kamień i zaczął grzebać. Grzebał długo, widać że czegoś szukał, ale nie znalazł. Zbladł, drzączka go napadła, jął się rzucać na wszystkie strony, poodwracał wszystkie kamienie jakie były w jarku, pod każdym grzebał, i nadaremnie.

Upadł na murawę i zakrył twarz rękami. Długo, długo w takim położeniu zostawał, nie dając znaku życia ani ruchem ani głosem, wtém błoga myśl zaświtała mu w głowie.

— To Ali-Aga musiał pieniądze wygrzebać, powiedział sam do siebie wstając, może przeniósł na inne miejsce, a może zachował u siebie do mego powrotu. Tak, zapewne tak, bo komużby innemu przyszło do głowy szukać pieniędzy tu pod tym kamieniem? A mnie głupiemu zdawało się że przepadły.

Orzeźwiony słodką myślą, że wkrótce z przyjacielem i dukaty swoje uściska, przysporzył kroku. Słońce tylko co weszło, pogodny ranek usposabiał do marzenia, i Mahmud-Beg marzył, o wielkiej radości jaką sprawi kochanej Malece swoim zjawieniem się, o przyjacielu, o worku, a więcej jeszcze niż o tém wszystkiém, o dobrym obiedzie. Wymawiał sobie że porzucił skarby które posiadał, biegnąc za niepewnemi.

— Głupiec ze mnie, tak rozpamiętywał nasz pielgrzym, brałem się nie do swoich rzeczy. Poco mi było zachciewać bogactw, kiedy i tak mam dosyć i pieniędzy i wszystkiego, i jeszcze jestem sobie begiem z łaski Boga, choć temu oprócz Ali-Agi nikt nie wierzy.

Wstąpił na górę, z kąd cała Szamacha ukazała mu się jak na dłoni. Ileż w niej odmian zobaczył! Wysoko nad miasto i jego meczety wyskakiwała świątynia chrześcijańska ze złoceniem krzyżami, dalej mieszkanie komentanta, białe jak płótno z pochyłym dachem, z oknami; główna ulica niby nie ta: gdzie nic nie było, tam teraz sklepy, gdzie były domy, tam także sklepy. Wśród tych przemian, ledwie własny swój dom rozpoznał, ale i w nim postrzegł odmiany; mur naokoło podwórza dwa razy wyższy, na podwórzu coś nakształt fontanny, której przedtém nie było.... Zkąd się to wzięło? Kto na tołożył pieniądze? Ani wątpić że Ali-Aga, ten kochany Ali-Aga musi być w Szamasze....

Zeszedłszy z góry, udał się ulicą oddzielającą dwa duże ogrody, z których jeden był jego własny, a drugi darowany przezeń Ali-Adze.

— *Aj babaj!* (hej staruszk), zawołał spostrzegłszy w pierwszym człowieka zajętego podpieraniem winnych latorośli, komu ty służysz?

— Mahmud-Begowi.

— To dobrze, bardzo dobrze. Na, oto masz *peszkesz* (podarunek), i wyrzucił mu jedyny swój abaz; a gdzie Mahmud-Beg?

— U siebie w domu.

— Kłamiesz, jeszcze go tam niema, ale zaraz będzie.

— Jakto niema, jest.

To jakiś głupiec, pomyślał Mahmud-Beg, i obrócił się do drugiego ogrodu, gdzie także spostrzegł człowieka.

— *Aj ohlan!* (hej chłopcze), czyj to ogród?

— Mahmud-Bega?

— Kłamiesz, to ogród Ali-Agi.

— Ali-Aga umarł w Persyi, już i kości spróchniały.

— Drugi głupiec, pomyślał Mahmud-Beg i poszedł dalej. Dziwna rzecz że ci ludzie nie wiedzą kumu służą?

Zrobiwszy kilka kroków, stanął. Ogromne przemiany miały go spotkać za chwilę, po wielu latach tułaczki i ciężkiej biedy, miał zobaczyć własny dom swój, żonę, służących. Z żebraka zostać panem! i to zaraz, mniej jak za pół godziny! Są ludzie, których straszy każda przemiana gwałtowna, choć i na lepsze, szukali jej, znaleźli, a nie śmieją przystąpić. Mahmud-Beg był taki. Trzeba mu było oddalić trochę stanowczą chwilę, żeby tymczasem odżywić ducha, bicie serca uciszyć.... Wrócił do staruszka i usiadł koło niego na darni.

- To ty nie wiesz kto ja taki?
- Zkąd mam wiedzieć? Może *Chadzi* (pielgrzym Mekki) a może prosty żebrak.
- Ani to ani owo. Jestem Mahmud-Beg.
- Mahmudów dużo na świecie, i begów bosych także nicmało. Więc nic dziwnego że ty się nazywasz Mahmud-Beg.
- Ale słuchaj dalej. Ten dom narożny do mnie należy i ten ogród mój.
- Czy tak? Teraz wiem kto jesteś.
- A przecie. Trzeba było piérwój się domyśléeć. Ale to nie.... powiedz mi, jak dawno służysz u moiej?
- U ciebie?
- To jest, jak dawno jesteś ogrodnikiem w moim ogrodzie?
- W twoim?
- A, psi synu, z tobą jak widzę trudna rozmowa. Za kogoż ty mię masz?
- Za waryata.
- Aha, otóż do czegom ja dożył, mój własny sługa nazywa mię waryatem. Upamiętaj się stary, ja nie waryat, ja Mahmud-Beg, właściciel tego ogrodu i tego domu. Mówno prędzej, co się tam dzieje w moim domie?
- Hm..... Djabeł w nim gospodaruje. O! strasznyż bo nieład w tym twoim domie. Jedni szaleją ze zbytków i rozkoszy, drudzy za życia niosą męki Dzehennemu; jedni umierają z niestrawności, drudzy z głodu. Twój dom, to jaskinia mądrości i kościół głupstwa. O! obszerny to dom! Sklepienie raju jego sufitem, a podłogą ziemia od morza do morza. To nasz wspólny dom, i nasz i ojców naszych i potomków. My teraz na górniém piętrze, ojcowie dolne zajęli, kilka łokci pod ziemią, zimno im

tam i ciemno, a jednak bodaj czy nielepiej. Ale pociesz się bracie, wkrótce i my do nich przejdziemy, tułaczka niedługa.

— Stój, stój! Ty widzę mnie masz za waryata, a sam od rzeczy gadasz. Ot, słuchaj, opowiem ci swoje wypadki, to może przyjdiesz do rozumu i uwierzysz.

— Słucham.

— Dawno, bardzo dawno, nie pamiętam wiele lat temu, może pięć albo i więcej, wyjechałem ja ztąd do Tebryzu mając handel rozpocząć, w towarzystwie Ali-Agi i jednego nukiera. Czy nie znasz Ali-Agi?

— Słyszałem że umarł w Persyi.

— Ej nie, on i nie był w Persyi, zachorował w drodze jeszcze z téj strony Araxu, i miał powrócić. A nukier zemknął nazajutrz po przebyciu granicy. Zostałem sam jeden. Przyjeżdżam do Tebryzu. Ty nie byłeś w Tebryzie. O! wielkie to miasto, większe od Szamachy, gdzie zaś, cztery razy większe. Trzeba mi było tam nakupić naczyń wyłaczanych i szkieł różnych, jak zalecał Ali-Aga, i to u Frengów, co tam sklepy mają. Ale jak ich znaleźć? Błądzą, szukam, pytam się, na to kilka dni przeszło. Nakoniec końców, znajduję tych Frengów. Poprowadzili mię do swego sklepu. A co za sklep u nich! aż mi się oczy przymrószyły kiedym spojrział. Niemasz mądrości ani siły, jak w jednym Allahu, powiedziałem wchodząc, jak ja tu co kupię, kiedy tu samo złoto i diamenty? Ale wyobraź sobie: za parę set dukatów, nadawali mi tyle różnych rzeczy, że czterech ludzi ledwie mogło odnieść. Porozkładał ja to wszystko na stole, wtém przychodzi mój kunach (gospodarz). Ile to warto? pytam. Tyle a tyle. A ja zapłacił trzy razy więcej, więc

zjadłem błoto. Kunach kiwnął głową..... Ha giaury, damże ja wam. Biegnę do magazynu, zamknięty, biegnę po wschodach na górę, i zastaję w pierwszej izbie śpiącego na ziemi Ormianina. Byłto, jak się potem pokazało, ich służący. Ormianin czy Freng, myślę sobie, to jedna wiara. A spał twardo, bo wejścia mego nie usłyszał, i broni żadnej nie było przy nim. Więc skradam się na palcach, cichutko, dobywam kinżala, i szach obcinam mu nos. A sam w nogi. Gdyby się na tém skończyło, nie żałowałbym już straconych pieniędzy, ale Frengego zanieśli skargę do Beglar-Bega, od niego sprawa się wytoczyła przed samego Szach-Zadę (królewicza), a mnie tymczasem zatrzymano. Trwało to parę dni, nakoniec dostałem dwieście żył bawolich w gołe pięty, i oprócz tego musiałam oddać Frengom towary, a sędziom resztę pieniędzy. Zostawili mi osła i siodło. Niéma co robić, jadę nazad, już się zbliżam do granicy, wtém napada na mnie jakaś hołota. Chwytają mię, wiążą, wiozą do Turcyi i sprzedają w Karsie jednemu Ormianinowi. Służę rok, dwa, trzy, nareszcie uprzykrzyło mi się, zmykam. Ale jak tu znaleźć drogę, wypytuję się któredy do Szyrwanu, jeden mówi na prawo, drugi na lewo, trzeci śmieje się i nic nie mówi. Spotykam jakieś wojsko. Jeden szarbaz (piechur) zbliża się do mnie. *Selam alejkium, Alejkium selam* (*). Zapewnie zdaleka idziecie mówić.—Z Gandzy i z Szyrwanu.—Chwałaż Bogu, myślę sobie, aż teraz się dowiem któredy do Szyrwanu. Miałem się rozpytywać, wtém mój szarbaz, syn grzechu, chwyta mię z tyłu za ręce, obala na ziemię i krępuje.

Krótko mówiąc, dostałem się znowu do niewoli. Było tam zo mną innych wiele i Ormian i Muzułmanów;

(*) Pokój z tobą. Zwyczajne pozdrowienie muzułmańskie.

mieli nas przyprowadzić Padi-Szachowi i pochwalić się, że my, nibyto jeńcy ruscy, nałapani w czasie wojny. Na jednym noclegu ktoś tam chciał podkopać się i uciec; odkryto, złożył na mnie. Za karę odcięli mi jedno ucho. Widzisz, nie mam ucha....

* * *

— Czego ty chcesz? spytał wyciągając się jeden z nukierów obudzony przez Mahmud-Bega.

— Jakto czego, to ja, twój pan, jak się masz, wstawajże barani synu; znowu zasnął... A, to ty coś mi z drogi czmychnął i mnie samego zostawił. Damzę ja tobie. Hej, Mahmud-Beg się budzi.

— Mahmud-Beg nie wstaje tak rano. Idź sobie.

— Kto tam nie wstaje, słyszysz, ja Mahmud-Beg, syn Abdulły-Bega!

— A a a al....

Nukier obudził drugiego nukiera, który spał z nim razem i zaczęli szeptać między sobą przypatrując się z poddelba przybylcowi.

— I cóż, poznajecie mię, czy nie?

— Poznajemy, żeś się spił jak Ormianin. Idźcie sobie, bo jak się Mahmud-Beg przebudzi....

— Co? Mahmud-Beg? A ja kto?

— Ty? jakiś obszarpaniec. Co nam do tego.

— A nie Mahmud-Beg?

— Ma się rozumieć że nie.

— I ten dom nie mój?

— Nie.

— A czyjże?

— Mahmud-Bega, tego co jeszcze śpi.

— I wy nie moi?

— Nie. Ale pókiż tego. Precz pijaku bo kijem dostaniesz....

Mahmud-Beg traci cierpliwość, podnosi swój kostur pielgrzymi, uderza nim po głowie jednego z nukierów, drugiego zmusza do ucieczki, sam bieży po wschodach prosto do téj izby, co w niéj kiedyś, przed pięcią laty, parę rozkosznych nocy przepędził na łonie swéj Maleki; otwiera drzwi i staje jak wryty. Był tam Ali-Aga i Maleka..... Oboje krzyknęli.

III.

Przyjaciół.

Na ulicy spotkali się derwisz Mustafa z golibrodą a raczej z goligłową Weli.

— Pokój z tobą, zagabnął piérwszy, co tam słyhać w mieście?

— Alboż nic nie wiesz? Dziwne rzeczy słyhać! złodzieje byli u Mahmud-Bega, zacny to pan, niechaj prok nie przestaje opiekować się nad nim, i nad jego brodą, która mi niemało abazów przynosi. Tak, tak, i to kiedy, w biały dzień, kiedy nikt już nie spał w mieście.

— Wiém ja o tém.

— Zrobił się hałas, nadbiegło kilku essaułłów z policy, ale jednego tylko schwyтали, reszta rozbiegła się.

— Cóż się z tym jednym dzieje?

— Siedzi w więzieniu. Rozповідаł mi o nim jeden mirza (pisarz) z dywanu. Chce się nieborak wywinąć, udał waryata.

— Waryata?

— A tak, namawiali go żeby się przyznał, ale gdzie tam, o niczym słyszeć nie chce. Krzyczy na całe gardło że on nie złodziej, zadaje fałsz żonie Mahmud-Bega i nukierom, co świadczą przeciwko niemu; utrzymuje że to jego żona, jego nukieri, że nawet ten dom jego, co go w nim złapali. Siebie nazywa Mahmud-Begiem, a Mahmud-Bega jakoś inaczej. Słowem bredzi jak prawdziwy waryat.

— I dobrze robi. bo zawsze lepiej zostać waryatem niż powieszonym. Ale czasem w bredniach waryata kryje się szubienica dla rozumnych, o tém wiedzą derwisze.

Ostatnie wyrazy zwrócił do trzeciej osoby, co niepostrzeżona od golibrody, z boku przysłuchiwała się rozmowie, i dodał po cichu:

— Nie marszcz brwi wspaniały Ago, derwiszowi można usta zawiązać, byleby nie innym sznurkiem jak szczero-złotym.

— Albo takim, jeżeli tamten się przerwie, odparł trzeci biorąc się za kinzał.

* * *

Mahmud-Beg leży w kącie podłużnej izby, ciemnej, wilgotnej, a gęsto zaludnionej i patrzy na sufit. Zdaje się być obojętnym, nie narzeka, nie przeklina, ale w głosie u niego taki gwałt, jak na bazarze w dzień targowy; płaczą się myśli, obrazy, zachodzą jedne za drugie, to pierzchają, to znów występują. Czasem zdaje mu się że śpi, i pobrząkuje kajdanami żeby się przebudzić. Jego towarzysze, synowie siedmiu grzechów głównych, śmieją się, gwarzą, złorzeczą to swemu losowi, to prawom, to sobie nawzajem. Mahmud-Beg tylko milczy, nie wtrąca się do nich, nie zważa na ich rozmowy. Jedno go tylko zajmuje, kiedy usłyszy o karach, jakie spotykają zbro-

dniarzy, wyteęza ucho. Nie jesteście on zbrodniarzem, przynajmniej ile pamięta, nigdy nie miał złej woli, ale ktoś to wie, wszakże i w Tebryzie miał się za niewinnego, kiedy Ormianinowi słudze Frengów co go oszukali, obciął nos, a przecie inaczej osądzono. Kto wie, mruzczał sobie po cichu, czy mię szatan nie prowadzi do złego mimo wiedzy mojej? Czy to wszystko prawda, co mnie się zdaje, czy ten dom, niechby się zapadł na cały agacz w ziemię, był kiedy moim domem, a Maleka moją żoną, czy ja sam jestem Mahmud-Beg, a nie biedny głupiec?

Gdyby mu nie przerywano tych dumań, syn chańskiego Ferasza byłby stopniowo doszedł do zupełnego zwątpienia o siebie i swoim rozumie. Ale inaczej się stało.

— Wpuść nas, odezwał się ktoś za drzwiami złamanym pół tatarskim, pół ruskim językiem, chcemy widzieć tego co to dziś posadzony. Oto jest na tytuń, a oto piśmo z dywanu.

— Dobrze, ale niedługo się bawcie.

Stuknęły rygle, drzwi rozwarły się ze skrzypem, i Mahmud-Beg ujrzał wchodzącego Ali-Agę, a za nim derwisza. Na ten widok odzyskał całą moc umysłu.

— A, i tuś mię znalazł! zawołał zrywając się z ziemi i z ust jego jak kipiący strumień popłynęły przekleństwa, (zostawiamy je domysłom czytelnika). Precz mi z oczu, pókim ci głowy temi łańcuchami nie rozstrzaskał. Potém obróciwszy się do żołnierza który trzymał straż wewnątrz więzienia:—Weźno tego oszusta, on tu chce bunt zrobić, więzienie podkopać, weź go, weź, pchnij bagnetem!

— Uspokój się, powiedział obojętnie Ali-Aga, wszyscy tu wiedzą żeś waryat, a ten żołnierz nie rozumie twego krzyku. Usiądź lepiej i posłuchaj co ci powiemy.

— Nie chcę ja słuchać, ani siadać, ani patrzeć na ciebie! precz, precz, zatykam uszy.

— Jak ci się podoba. A my tu przyszli dla twego dobra.

— Dla mego dobra? I dla mego dobra wysłałeś mi krew, gadzino! Dla mego dobra posłałeś mię do Tebryzu, żeby zacapić wszystko co tylko miałem, i majątek i żonę? Ale doczekam ja się że ci napluje w brodę i skalam moją twego pradziada, tak, tak, doczekam się! Oj będzie tobie!

Więzień wykrzyczał swój zapamiętał i ochłonął nieco. Ali-Aga zauważywszy to, udał że się zbiera do wyjścia.

— Bądź zdrow kiedy tak. Ale pamiętaj że będziesz żałował.

— Idź do swego ojca szejtana, czego ja mam żałować, że mię już drugi raz nie będziesz mógł oszukać czy co? Idź, idź... Albo zresztą, no mówcie co tam mieliście mówić, mnie to wszystko jedno byleby krótko.

— Najprzód trzeba ci wiedzieć, że ja tu mam znaczenie i wpływ. Najpiérwsi urzędnicy dywanu są moimi przyjaciółmi. Kara-Beg (burmistrz) w każdym zdarzeniu zasięga méj rady, i sam komendant nie ma tajemnicy przedemną.

— I sam komendant?

— Niech derwisz powie.

— Oj co prawda to prawda, potwierdził derwisz, nie jeden potępiony odzyskał wolność za wdaniem się twojém, jak ten Chadzi-Geraim, coto swego chłopca zastrzelił, albo ten Kerim-Sułtan co udusił żonę; ich krewni przybiegają do ciebie, ratuj Mahmud-Begu! abyś jedno słowo powiedział, i obu wypuścili, albo....

— Ale za to iluż nieprzyjaciół swoich sprzątnąłem! przerwał Ali-Aga.

— I to prawda, wszystkich sprzątnąłeś po jednym, co ci źle życzyli.

— Owoż tedy, ciągnął dalej potomek szachów, postrzegłszy że więzień zaczyna patrzeć na niego wielkimi oczami, los twój jest u mnie w pantoflu. Jak ja zechcę to zginiesz, a jak zechcę to cię uwolnię.

— Zginę? A za co?

— Nie wiesz za co? Patrz jego, jakie niewiniątko! A kto zabił nukiera dziś rano?

— Jakto, na śmierć?

— Na śmierć.

— No i cóż, zabiłem bo był mój, albożem go nie kupił u ciebie za czyste pieniądze? Jeszcze i drugiego zabiję, żeby się nauczył swojego pana poznawać. Żałuję żem i ciebie tak nie przywitał, i kochanej Maleki, jak tego psa.

— Cha! cha! cha! ty widzę głupszy jesteś jak ja myślałem. Zabijasz i zabijasz, i zdaje się tobie że można. Ależ to przecie ludzie a nie muchy. Najprzód nie dowiedziono jeszcze, czy masz jakie prawo do nukierów.

— Dowiodę, dowiodę. I tego dowiodę żeś ty oszust, nie Mahmud-Beg.

— Nie tak ci to łatwo przyjdzie. Alboż zapomniałeś jak dzisiaj jeszcze śmieli się w dywanie z twoich dowodów? Myślą że alboś waryat, albo udajesz waryata. A gdyby i przyszło do tego, żeby usłuchali twoich bredni, cóż ztąd, posłą zapytanie do Lenkoranu, czy był tam jaki Mahmud-Beg i syn bega? i odbiorą odpowiedź że był tylko Mahmud syn wymiatacza śmieci przy dworze chańskim. Więc posłą do Baku. Ale w Baku i ja także nazywałem się Mahmud-Begiem, tyłkom tobie je-

dnemu powiedział, mając na to szczególne przyczyny, że się nazywam Ali-Aga. Otóż i po dowodach. Bo tu w Szamaszce nikt ciebie nie znał.

— Nikt nie znał? Hm, a ten co u niego kupiłem dom i ogrody?

— Ten wyjechał razem z tobą, a potem przystał do Persów i zginął na wojnie. Wracając do zabitego niewolnika, choćby on był twoim bez żadnego sporu, to ciebie nie usprawiedliwia. Tu teraz nie tak sądzą jak za chańskich czasów, tu mówią że i niewolnik nie niewolnik. Gdybyś mu był tylko rękę uciął, albo oczy wylupił, to i za to byłbyś powieszony.

— Gdybym był tylko... Co? i to swemu własnemu niewolnikowi? A jeżeli zabiłem?

— To tém bardziej, takie tu teraz prawa, niechaj derwisz powie.

Derwisz zaczął wyliczać przykłady, ale więzieln przerwał:

— A jeśli odwołam wszystko, jeżeli powiem że to Ali-Aga prawdziwy Mahmud-Beg a nie ja?

— Niewolnika nie wskrzesisz, zarzucił Ali.

— Więc niema ratunku, więc zginąłem, będę wisiał?

— Taka twoja kolój.

— Oj! oj! Trzebaż mi się było urodzić!

Mahmud-Beg upadł na słomę i gorzko zapłakał. Przez kilka minut trwało milczenie, przerywane tylko jego szlochami, wreszcie potomek szachów zabrał głos.

— Bądź zdrów Mahmudzie. Niosłem tobie pomoc, a tyś mię odepchnął, nazwał oszustem, wydziercą twojego dobra, Bóg wie czem, bądź zdrów.

— O nie, ty mię nie opuścisz! zawołał syn Abdully chwytając go za połę cz uchy (*). Przebacz mi, ja cię niewinnie posądzałem. Przebacz! Ty zawsze byłeś moim przyjacielem, dobroczyńcą i teraz jesteś, ty mię nie opuścisz Ali-Ago. Źle mówię Ali-Ago, Mahmud-Begu, prawdziwy Mahmud-Begu, co ja za pies żebym cię inaczej nazywał!

— A, jeżeli tak, jeżeli mi ufasz, to ja nie zapomnę o tobie. Dopóki nie nadejdzie twoja ostatnia godzina, choćby to miało trwać tydzień i więcej, będę ci co dzień przysyłał placki i inną żywność.

— Nie chcę ja żywności, nie chcę téj ostatniej godziny! Ratuń, ratuj Ali.... Mahmud-Begu duszo moja, światłości oczu moich! Wszystko co mam, co miałem chcę mówić do ciebie należy! Wszystko do ciebie, ktoby śmiał temu zaprzeczyć? Ratuń tylko!

— No, no, uspokój się, zobaczą co będzie można zrobić. Bądź cierpliwy.

Odkąd rozmowa stała się głośniejszą, wszyscy więźniowie słuchali, ale nikt nie rozumiał, bo nie wiedzieli o co rzecz idzie. Mimo tego ostrożny Ali-Aga wychodząc nie zapomniał powiedzieć w głos do derwisza.

— Trudna z nim sprawa. Widać że oddawna ma pomieszanie.

Goście wyszli, Mahmud-Beg towarzyszył im do samych drzwi, czołgając się u nóg Alego.

* * *

Wziętość i wpływy, jakimi się chlępił potomek szachów, nigdy nie miały miejsca, jednakże nietrudno mu było wyrobić uwolnienie Mahmud-Bega, ile że w téj sprawie on sam był powodem. Poszedł do dywanu i powiedział że człowiek mieniący się Mahmud-Begiem jest

(*) Czucha, zwierchnia suknia z wylotami.

żebrakiem ze wsi, a do tego cierpiącym pomieszanie zmysłów i że przez omyłkę został zatrzymany i wzięty, przyszedłszy do niego po jałmużnę w tym właśnie czasie, kiedy złodzieje wkradli się z innój strony. Derwisz poparł interes zapewnieniem, że zna oddawna tego żebraka.

Ale nie było zamiarem Alego, wrócić Mahmud-Begowi wolność bezwarunkową. Miał on inne widoki. Mahmud-Beg był niebezpieczny dla niego tak w więzieniu jak i na wolności, trzeba było odjąć mu sposoby szkody. Kiedy oddano rozkaz uwalniający, potomek szachów poszedł z nim sam do kazamatów.

Tymczasem Mahmud-Beg siedzi przy drzwiach, wycęża słuch, każde stąpanie, każdy szmer mocniejszy na korytarzu, wprawia go w gorączkę. Zawiedziony kilka razy, już traci nadzieję, już ma z podsłuchów odstąpić i rzucić się na swój barłóg, ale słyszy stąpanie kilku ludzi, słyszy i rozmowę coraz wyraźniejszą, coraz bliższą, wreszcie odróżnia głos Ali-Agi. Wierci się klucz w ogromnym zamku, ale tak długo, tak nieznośnie długo odskakują rygle, raz, dwa... Mahmud-Beg chce dopomódz, podpira drzwi plecami, drzwi otwierają się nagle, Mahmud-Beg pada na łono przyjaciela z głośnym powitaniem.

— Ciszój głupcze, możesz wszystko zepsuć....

— Alboż.... co tam słyhać?.... Straszno synowi Abdully, jak gdyby już stał pod szubienicą, nie śmie zapytać się wyraźnie.

— Milez i uważaj co powiem. Ten żołnierz z młotkiem rozkuje ci kajdany. Siadaj i wystaw nogi.

— A potem?

— Potem uciekniesz.

— Ucieknę? Oh straszno, Ali-Ago!

— Robiłem co mogłem, ale komendant nie chce słyszeć o twojem uwolnieniu. Utrzymuje, że dla przykładu koniecznie trzeba cię stracić.

— Koniecznie? więc ucieknę?

— Ciszéj, mówię że uciekniesz, niech tylko kajdany rozkują. Przekonaj się z tego Mahmudzie jak ciebie kocham.

— Ty mój zbawca, dobrodziej! O! ja zawsze tak myślałem. Ale cóż powiedzą ci ludzie, i ci co u drzwi stoją z karabinami, i co na korytarzu.... Oj, wiele ich tam!

— Wszyscy przekupieni, co było pieniędzy oddałem im. Teraz mnie samemu czureka nie będzie za co kupić. Ale mniejsza o to, cieszę się przynajmniej że cię ocalał. Słuchaj, trzeba żebyś uciekał daleko, jak najdalej, i nigdy nie wracał do Szamachy, bo przepadniesz.

— Do Szamachy? nie wrócę póki życia. Co mi po tej suce? Tfu, tfu, tfu, pluję jój w brodę.

— No, teraz pójdziemy.

Mahmud-Beg skradał się przez korytarz jak kot do myszy. Litościwy przyjaciel chciał go opatrzyć kilką abazami (*) na drogę, zapewniwszy że je pożyczyl na wielki procent u lichwiarza, ale Mahmud-Beg nie już nie słyszał jak skrzyp zawiasów i sztuk ryglów za sobą, nie widział jak czyste pole przed sobą. Podkasał poły, strzasnął z nóg pantolle, i dalej w nogi.

IV.

Mahmudek.

Nie mamy dokładnych wiadomości, jak sobie radził nasz bohater na wygnaniu; jestto najciemniejszy peryod

(*) Abaz szyrwański, piętnaście groszy.

jego historyi, i on sam nie lubił o nim wspominać, trzeba jednak domyśleć się, że niebardzo mu się źle powodziło, bo do samego końca zachował wyraz obojętności na twarzy, rumieniec, i figurę znacznie naprzód wystającą. Takim go zobaczyła Szamacha, kiedy po kilku latach zjawił się na jej ulicach, pędząc przed sobą dwie krowy objuczone wiązkami chróstu. Był to dzień targowy, rynek kipiał ludnością, z kąd wygnaniec powziął nadzieję że niczyjjej uwagi nie zwróci na siebie. Tak się też stało, sprzedał swój towar i szczęśliwie powrócił. Ośmielony tym pierwszym krokiem, zaczął odwiedzać miasto ledwo nie co tydzień, mając zawsze coś do sprzedania, drwa, mąkę albo owoce. W początkach ostrożny i lękliwy, mijał o kilka ulic dom Ali-Agi, nie ogłaszał krzykiem dobroci swoich produktów, jak to zwykli robić inni przekupnie, drżał i odwracał się kiedy mu się zdawało że ktoś z przechodzących dłużej na nim wzrok zatrzymał, ale potem stopniowo oswoił się z tém wszystkim. Kiedy pierwszy raz zobaczył w tłumie Alego, zachwiały mu się nogi, tylko co nie przykląkł, za drugim razem spojrzął na niego z podełba, za trzecim pozdrowił i zapytał: czy nie łaska winogrodu kupić? Potem często spotykali się, ale żaden nie wspominał o przeszłych wypadkach.

Ale po niejakiem czasie zbrzydła Məhmud-Begowi praca i tułaczka, postanowił wrócić do dawnego sposobu życia. Co mi po tém, myślał sobie, że mię te chłopcy karmią suchemi szurekami, co ich sami nie mogą przełykać, kiedy za to pracować muszę. Ot, zostanę ja w mieście, Ali-Aga nic nie powie kiedy dotąd nic nie powiedział, i zacznę sobie po dawnemu próżnować; enszał-

łach, jeżeli się tak Bogu podoba. A co do czureków, to zawsze znajdzie się ktoś taki co mię nakarmi.

Zrobiwszy to mądre postanowienie, syn wymiatacza śmieci wziął staranie około swój powierzchowności; chciał bowiem uchodzić za porządnego człowieka, za szlachcica. Przy jego wytartym kontuszu wisiał jeden tylko rękaw, drugi kiedyś tam w przedhistorycznych czasach miały psy oderwać; obwinął ten jeden około ramienia, i z pozostałym kawałkiem drugiego to samo zrobił: nikt nie postrzeże niedostatku. Większeto byłoby nieszczęście gdyby kuszaka (pasa) nie dostawało, ale kuszak jest, i to jaki jeszcze! ten kuszak z Bagdadu ród swój wywodzi, a że stracił barwę i zewnętrzne błyskotki młodości, to za to pamięta świetne czasy Chalifów, czém, żaden nowy kuszak nie może się pochwalić.

Przystrojenie głowy nie było tak łatwe, a to rzecz także niemaléj wagi! Wszystkie dostojne głowy Szyrwanu nakrywają się śpiczastymi czapkami z drobnym kędzierzawym barankiem, zwykle zagranicznym; one, to jest czapki nie głowy, są najlepszą wskazówką kto czego wart, tak, że jeśli chcesz ocenić człowieka, przypatrz się tylko jego czapce. Czapka Mahmud-Begowa mogłaby go wystawić w niekorzystnym świetle, nie miała śpiczastéj formy, i uderzała ogromem swoich rudych kudłów. Syn chańskiego wymiatacza śmieci w téj swojej czapce podobny był do grzyba. Bięda! jednak zrobił co można było, ostrzygł i poczercił.

Nie zapomniał téż o kinzale. W Szamasze w owym czasie nikt nie mógł nosić kinżałów jak tylko begowie niezaprzeczonej rodowitości; noszone nieprawnie, ulegały konfiskacie, to téż zaraz na początku jakiś sługa policyjny zagabnął Mahmud-Bega o jego kinzał; ale nasz

rycerz wywinął się nie odwołując się nawet do swego szlachectwa, bo dowiódł, że straszna broń co ją nosi u pasa, składa się tylko z pochwy i rękojeści, a żelaza niema, i że zatem kinżalem właściwie nie jest.

Może kto ciekawy jak wyglądał syn Abdully co do własnej osoby swojej. Brzuch był jego osobą. Kiedy wchodził we drzwi, brzuch pokazywał się naprzód, za nim szły ramiona spadziste, opatrzone parą rąk długich po kolana i wiszące niedbale jak gdyby niepotrzebny dodatek, nareszcie głowa i popach (czapka). Twarz miał okrągłą, wiecznie czerwoną i w głodzie i w dostatkach, oczy jasno-siwe, kolor niepospolity w jego ojczyźnie! Miał brodę i wąsy, ale niekażdy ich dostrzegał, bo były czerwone jak twarz i tak rzadkie, że każdy włoszek rósł sobie po swojemu nie ocierając się o sąsiadów. Nie potrzebujemy przypominać, że jedno ucho stracił w niewoli perskiej.

Przyprowadziwszy do porządku toaletę, zaczął pielgrzymować z ulicy na ulicę, od domu, do domu, dając pierwszeństwo tym ulicom i domom, w których postrzegał więcej dymu z kominów. Nie uszło to jego uwagi, że Rossyianie i w ogólności Europejczycy gościnniejsi są od wyznawców koranu, i nadto że jadają zawsze o jednej porze; częściej też ich odwiedzał. Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że przy takim sposobie życia, nigdy żołądkowi swemu nie robił ofiary z sumienia, nie trzymał się taktyki zwyczajnych pasibrzuchów, która zależy na pochlebstwie, ogadywaniu, roznoszeniu nowinek, i tak dalej. O, bynajmniej! Mahmud-Beg przyszedłszy z wizytą, siadał sobie, uśmiechał się i milczał, a w jego uśmiechu, postawie, w jego twarzy zawsze jednakowej, niedostępnej żadnemu wyrazowi, było coś tak

i głupiego i wesołego razem, że wszystkich ucieszało. To też obecność Mahmud-Bega niemal wszędzie była pożądana. Prawda że czasem miewał małe przykrości, gdzie się tylko zjawił sypały się żarty bez końca, a między temi żartami bywały i bolące. Nikt mu zaś nie dawał się tyle w znaki jak dziatwa na ulicach, nieraz galopem musiał umykać od małych łotrów, co go szarpali i trącali na wszystkie strony. Ze starymi łotrami miewał także dużo kłopotu. Ale znosił to wszystko ze stoicką rezygnacją, i nigdy na los nie sarkał.

Do téj epoki należy jedno ciekawe faktum. Jest zwyczaj u ruskiego gminu, zdrabniać imiona osób, w których coś pociesznego widzi, szczególniej cudzoziemskie; tak naprzykład: Niemiec Johan staje się Johaszką, żyd Abraham Abramką, Tatarzy przemieniają się w Abdul-ków, Dżafarków, Jususków. Tym samym sposobem żołnierze garnizonu szamachańskiego przechrzcili Mahmud-Bega na Mahmudka. A Mahmud-Beg rozumiał, że to jest wierny przekład jego imienia z przyrostkiem, i zaczął się tak rekomendować swoim nowym znajomościom ruskim. Potém to przeszło i do krajowców, i skończyło się na tém, że Mahmud-Beg na zawsze już pozostał Mahmudkiem. Tak go też nazywać będziemy w dalszym ciągu niniejszej biografii.

V.

Tragedya o Szachu Hussejnie. Mahmudek hetmanem.

Przeszła zima, nastąpił miesiąc moharrem, w którym Muzułmanie Szyici obchodzą pamiątkę jednego ze swoich męczenników Szach-Hussejna. Trzeba tu o tém Hussejnie parę słów powiedzieć.

Ali piérwszy wezyr Mahammeda i czwarty po nim chalif (następca) miał dwóch synów, Hassana i Husejna, którzy po jego śmierci powinni byli objąć chalifat. Ale Moawia, wódz z pokolenia Safi, otruł Hassana i tron sobie przywłaszczył. Po Moawie nastąpił syn jego Jezyd. Ten lękając się zemsty Hussejna, który został przy życiu, wysłał przeciwko niemu wodza swojego Ibu-Zjada, i prawy dziedzic chalifatu znalazł śmierć na polu bitwy, razem z dziećmi i całą rodziną swoją. Byłoto w Kerbelaju nad Eufratem. Odtąd Kerbelaj jest celem pobożnych pielgrzymek, a rocznica śmierci Hussejna obchodzoną bywa z należytą wystawą.

Uroczystość trwa dziesięć dni (*), zamyka się widowiskiem teatralném, dawaném bezpłatnie na czystém polu, misteryą, w której bezbożny Ibu-Zjad pojedynkuje się kolejno z synami Hussejna, ich żonami i dziećmi i wszystkich zabija bez żadnej litości. Po każdym zabójstwie powietrze napelnia się głośném, chóralném szlochaniem kilkunastu tysięcy widzów, ale kiedy kolej dochodzi do samego Hussejna, widzowie wpadają w zapamiętałość, lecą tłumem na zabójcę, ten zmyka do miasta, widzowie za nim, tu ich spotyka grad kamieni puszczony z piąter i płaskich dachów przez Sunnitów, zawziętych wrogów Hussejna i jego sekty, rozruch się sroży, wzmagą, już i krew widać miejscami, aliści wojskowych z koszar występuje trzecia sekta, bierze udział w wojnie religijnej i kolbami karabinów bez trudności tamte dwie rozprasza.

(*) Ile mi się zdarzyło czytać opisów tego święta w podrózach, żaden nie zgadza się z tém co sam widziałem, i nawet jedne z drugimi nie zgadzają się. Trzeba więc wnosić, że w różnych miejscach różnie obchodzone bywa, chociaż jednakowo co do głównej osnowy.

Udający Ibu-Zjada, odbiera znaczną zapłatę ze składek miejskich.

Środki przedsięwzięte przez policją szamachańską zmniejszają stopniowo efekt tego widowiska; dziś nie inaczej ono się dozwała, jak za poręką znaczniejszych obywateli z Sziiitów, że rozlewu krwi i zamieszek nie będzie. Sam hetman Izysda nie ulega już tak wielkiemu niebezpieczeństwu, ale za to na długi czas staje się celem nienawiści i pogardy u swoich. Zaproponowano ją synowi Abdułły. Pieniądze, ale pogarda! pomyślał naprzód Mahmudek, a potem, pogarda, ale pieniądze i zgodził się hetmanić przeciwko następcy chalifatu.

Odebrawszy honorarium z góry, schował je głęboko w zanadrze, uzbroił się od stóp do głowy, wsiadł na dzielnego rumaka i wystąpił w szranki. Niedaleko od miejsca na którym miał staczać pojedynek, wznosiło się rusztowanie, a na rusztowaniu siedział Izysd otoczony swoim dworem, i jakiś poseł europejski, Frenk-Elezi, Tatar z dużą brodą i ogoloną głową, na której miał stosowany kapelusz z piórem, przy szpadzie, we fraku, szerokich tatarskich hajdewerach i papuciach. Nieprzyjaciel zajmował przeciwną stronę; tamto się odbył prolog i pierwsza scena tragedyi. Wśród nieskończenie długich tyrad, jakichby się nie powstydział najwymowniejszy z Rasynowskich Rzymian, Szach-Hussejn, wysyłał kolejno synów swoich na boje. Ten, na kogo kolój padała, po długich pożegnaniach, lamentach, dosiadł konia, spotykał przygotowanego już na wszystko Mahmudka i zaczynał do niego przemowę, czy go nie wzruszy; ale Mahmudek odpowiadał tylko monosyllabami albo zupełnym milczeniem; był on nieugięty jak opoka. Następowaly gonitwy. Po kilku obrotach, Mahmudek strzelał z pistoletu w górę, przeciwnik spadał na ziemię nieżywy. Kiedy mężczyzn

nie stało, przyszła kréska na kobiety. Nadaremnie każda otuliwszy się czadrą (*), a to raz ze skromności, a powtórze żeby nie pokazać brody i wąsów, piskliwym, drapiącym, gwizdzącym, zgoła prawdziwie kobiecym głosem wzywała litości. Syn Abdulły nie miał żadnego względu na płęć, bo tuchodziło o dobro jego pana, Szacha-Izyda. Potém dziatwę wymordował.

Po każdym pojedynku przychodziła żałobna processya z kilkunastu Sziiitów w zakrwawionych sukniach, z poranieniami głowami i piersiami, wołając chórem: Szach-Hussejn! Waj Hussejn! wyniosła trupa za szranki. Naród płakał i przeklinał zabójcę.

Osierociały Imam nie mając już kim się wyręczyć, wystąpił sam. Mahmudek zadrzał: pamiętał on, jakie prowadzi następstwa ta ostatnia scena, mógł się stać ofiarą wściekłego gminu, za udane zabójstwo nieudaną śmiercią zapłacić.... Kiedy święty zapaśnik stanął przed nim i zaczął swoje długie wyzwanie, Mahmudek nie doczekawszy się końca zawrócił konia, chciał drapnąć; na nie-szczęście tuż zaraz złapano za cugle, koń się wspina, Mahmudek spada na ziemię, a przywalony ciężką koliczuga podnieść się nie może. Obskakują go zewsząd.....

Nie zginął hetman Izyda w téj ciężkiej potrzebie, ale zginęły jego abazy, co je miał w zanadru, a za cały zarobek kilka ogromnych sińców zostało.

* * *

W tym samym czasie przejeżdżali tamtédy komendant z naibem (**). Kiedy się zbliżyli, wszystko wróciło do porządku, Mahmudka uwolniono.

(*) Czadra, zastona kobieca biała albo w kraty pasowe z czarnymi.

(**) Do 1841 r. prowincye muzulmańskie dzieliły się na magaty, nad któremi przełożeni byli naibowie, z krajowców obierani.

— Jak się ty nazywasz, ty, ty, co cię tam szarpali? zapytał komendant.

— Mahmud-Beg.

— Jakto, jesteś Beg i najmujesz się za błazna?

— Chciałem zarobić na czureki.

— Dobrze— odejdz.

Mahmudek ledwie wyjąkał swoją odpowiedź! Piérwszyto raz zdarzyło mu się stanąć oko w oko przed rządcą Szyrwanu. Ale odszedł pełen dumy, że go ten zaszczyt spotkał.

Komendant spytał naiba:

— Co to za człowiek? czy się dobrze prowadzi?

— Jak najlepiej (naib nigdy nie słyszał o Mahmudku), prowadzi się jak najlepiej.

— Ale biédny?

— Jak najbiédniejszy.

— No, to daj mu jaki przytułek u siebie; zrób go tam *essaul'em*, czy co; niechaj ma żołdzik jaki taki i nie potrzebuje rzucać się na podobne zarobki.

Urząd *essaul'a* (dziesiątnika) zajmuje najniższe miejsce w hierarchii policyjnej, ale u Tatarów, którzy pańiętają chańskie rządy, nie jest bez znaczenia. Wszakże Abdulla był tylko wymiataczem śmieci!

VI.

Dzisiejsze obyczaje. Derwisz. Huczny wjazd Mahmudka na bazar.

Słońce chyli się i blednie, zawisło nad Achsuńskimi górami i patrzy ztamtąd na Szamachę i zdaje się mówić: ludu proroka, porzuć sprawy światowe, oto godzina

namazu! Mollowie wlaźszy na meczety, rozbijają powietrze hymnami. Słyszą to ludzie, widzą że słońce zachodzi, a o namazie nie myślą. Bazar nie przestaje kipieć ruchem i gwarem. Takie to dziś czasy, takie obyczaje, ledwie gdzieś zawarły się drzwi jakiego ciemniejszego sklepu, ledwie kilku starców znajdziesz nad sadzawką w Kerwan-Saraju, zajętych pobożnym opłukiwaniem pięciu członków. A dzisiejsi ludzie pomędrzeli: dawaj im pieniędzy, dawaj uciech wyklętych, dzisiejsi kłaniają się rozpuście jak ich ojcowie kłaniali się czarnemu kamieniowi Mekki. Ot naprzykład ten młokos co sobie podgolił brodę naśladowując giaurów, i czapkę na prawe ucho zawiesił—patrz go—z jakim on pośpiechem omija drzwi meczetu—a dlaczego?—pilno mu do tancerek.... Jak ten drugi zdaje się szukać czegoś... nie może iść prosto, bo w nim wina więcej jak w armeńskim burdiuku (*). Zapytaj tego handlarza gałganów jedwabnych, z kim on się tak serdecznie ściska: pewnie z Ormianinem albo z żydem co mu dopomógł w szachrajstwie! Gotów psa uściskać i nazwać bratem, gotów rozprzedać, głoskę po głosce, wszystkie księgi koranu. Gdzież są dawne czasy! Gdzież te czasy kiedy w dniach Bajramu pełne bywały świątynie nasze, przedsionki ich i podwórza, kiedy w godzinach nabożeństwa prawy Muzułmanin zapominał o wszystkiém, i śpieszył na brzeg wody, i po należytem oczyszczeniu się, klęcząc na rozścielonym kobiercu odprawiał modły i marzył o rozkoszach siódmego raju! Kiedy nikt nie zdradzał ustaw proroka, nie bratał się z niewiernym, nie jadał z jednego z nim naczynia! O gdzież są poczciwe dawne czasy!

(*) Burdiuk, worek ze skóry zdjętej całkiem z barana albo z wołu.

Tak gderzą szamacheńscy *babaje* (starcy), patrząc na młode pokolenie, i kiwają głowami. Ale gdzież *babaje* nie gderzą! Ludzkość idzie w górę, doskonali się, ogłędza, jak tego nasi mędrcy Frengistanu jasno dowiedli, a tymczasem ci co przeżyli swój postęp i cofają się już, radziby przekonać świat, że i on się cofa razem z nimi. Byłoby im lepiej przed laty, ale im tylko samym, wówczas żyli życiem nie wspomnieniami, mieszkali w czarnoksięskim pałacu młodości i nadziei: wiatr powyłukał okna ich pałacu, opadły sztukaterye ze ścian i krużganków; nudno im teraz, chłodno, to i gderzą sobie na pociechę. Przyjdzie do tego mój czytelniku, jeżeli dla ciebie już nie przyszło, że i my narzekać będziemy na zgorzenie wieku jak ci *babaje* i kiwać głowami. Tymczasem zobaczmy co się dzieje na bazarze.

Bazar szamachański jest osią miasta, jego *sensorium commune*, jego duszą, jego i głową i żołądkiem. Tu się krzyżują, potracając, roztrącając wszystkie sprawy; tu znajomy szuka znajomego, przyjaciel przyjaciela, wróg wroga; tu handel, przemysł i rękodzielnictwo, wzięwszy się za ręce tańcząc kółkiem aż do zawrotu głowy, jak stambulscy derwisze. Tu wszystko masz na wierzchu czego tylko do zaspokojenia ciała i duszy potrzebować możesz. Głodnyś? Oto te kłębiące się w górę wyziewy pochodzą z kotłów płowu (*), ten baran jeszcze żywy, za dwie, trzy minuty, zmieni się w kawałki soczystego *kababu*. Cierpisz niemoc jaką? Udaj się do *hakima* (lekarza), poznasz go po lancecie z którym stoi u drzwi swojego kramiku czyhując na praktykę. Nie powiadaj mu co cię boli, siądź tylko, wystaw rękę, nogę, nos albo ucho, bo to

(*) Płow, piław, kasza ryżowa sypka.

wszystko jedno, i natychmiast ozdrowiejesz kosztem pary funtów krwi wypuszczonej. Chcesz mieć nowe pantofle, czuchę albo szarawy? W tym oto rzedzie sklepów pracuje cech krawiecki, w tamtym szyją się pantofle. Chcesz mieć rozum? Ten wrzaskliwy przybytek jest właśnie przedsiönkiem meczetu, gdzie wśród tłumu drobnych i dorosłych adeptów ujrzysz Minerwę wschodnią w inkarnacyi rudobrodego mołły, trzymającego w jednej ręce koran, a w drugiej pęk żył bawolich.... Ciekawys nowinek zagranicznych? Oto ciągnie karawana perska, oto arby (*) tyfliskie, a ten jeździec z chorągiewką w dzikim pstrym ubiorze, jestto czousz (woźny) zwiastujący powrót pielgrzymów z Mekki.

Albo stań i słuchaj. Ludność bazaru składa się z aktorów i figurantów; ostatni gwizdzą sobie albo śpiewają pieśni improwizowane; o tych mniejsza, ale posłuchaj aktorów. Każdy obwołuje się całą potęgą piersi swojej. Za jednym razem usłyszysz i odę pochwalną gorącym czurekom, i legiendę o talizmanie, mającym własność chorych uzdrawiać, zdrowych w zdrowiu umacniać, rozweselać smutnych, zgoła zapobiegać wszelakim klęskom tego padolu, i sto i oko bajek o świeżych towarach, tak świeżych, że wielbłądy, co je przywiozły, jeszcze dotąd sapią; i elegie oszukanych, nad przepadłemi pieniędzmi, i tysiąc powieści w scenach... A obok tego brzęk dzwonek karawany, ryk wielbłądów i osłów, skrzypienie arb nigdy niesmarowanych.

Wśród téj ruchomój, migotnej mozaiki stworzeń przesuwających się w różnych kierunkach jak cienie fantazmagoryi, oko zawadza jednak tu i owdzie o stałe

(*) Ogromne woziska o dwóch kołach.

gruppy, na których może wypocząć. Sąto kółka ciekawych ściągnięte jakim widowiskiem. Pierwsze miejsce zajmuje monomachia baranów. Najniewinniejsza w świecie zabawa: stronom nigdy nie chodzi o to, która którą zabije lub okaleczy, ale która pierwsza zwinie chorągiewkę. Dalej monomachia kogutów. Tu już wcale co innego! Tu tyle zaciętości, oporu, tyle rycerskiego animuszu! Słowo słowo jak między ludźmi. Dalej małpeczka rokiąca przedziwne grymasy. Dalej figlarz z bębenkami. Dalej figlarz na linie. Dalej figlarz z kinzałem, którym ot ot przebija się na wylot.

Ale najwięcej gawiedzi zastaniesz przy bazarzu, derwiszu. Obsiadłszy go naokoło kilką rzędami, w pewnym jednak oddaleniu, żeby i mimice, jakiej wymaga opowiadanie, dosyć pola zostawić, połykają uszami jego wyrazy, oczyma giesta najmniejsze. Kupiec odbiegł swoich towarów, rzemieślnik warsztatu, kucharz garnków i kotłów, podróżny stanął niebaczny ani na drogę, ani na konia swego który stęka pod ciężarem jeźdźca i tłómków, nawet kilka obładowanych wielbłądów zatrzymało się.... I wszystko to zapomina o bożym świecie, i jakby zaczarowane, kilka godzin nieruchomie przepędza. Czasem tylko wyraźniejsze ruchy i wykrzyknienia bazarza, odbijają się machinalnie w kole słuchaczy.

Rycerzem powieści jest na ten raz Iskender dwurożny (Alexander W.). Miał ten sławny szach szczególne upodobanie w derwiszach; wszystkie im pieniądze oddawał i klejnoty na nieprzyjaciolach zdobyte, ziemie tylko zostawując sobie. Ale też niedarmo. Oni byli jego pochodniami, w każdej ważniejszej sprawie zasięgał ich światła. Nigdy zaś nie pomogli mu tyle, jak podczas pamiętnej po wszystkie wieki wojny z olbrzymami

Jadzudź i Modzudź. Kilkakrotne natarcia zostały odepchnięte, fortele żadne nie udawały się, już się był nieprzyjaciel okopem z narzuconych jedna na drugą gór ubezpieczył. Widząc że to nieprzelewki, wojak o dwóch rogach zwołuje derwiszów. Zbierają się świeczniki Islamu. A był między nimi jeden, jak księżyc między gwiazdami, jak piątek między dniami, imię jego Alisker (czy nie Kalisten?). Onto piastował urząd pierwszego wezyra. Owo ten gospodarz mądrości usiadł na poduszce z najdroższego złotogłowiu, poprawił pasa, pogłaskał się po dłużęj, czarnęj, aż do ziemi sięgająćj brodzie i przebieirając palcami dyamentowe paciorki, tak przemówił: „O Padi-Szachu, ognisko świata! Niemasz Allahów, jak jeden Allah, a Muhamed prorokiem jego.” Monarcha kiwnął głową na znak że i sam nieinaczęj myśli, co spostrzegłszy mówca nabrał otuchy i rzecz dalej poprowadził, ale już w niezrozumiałym ani dla nas, ani dla reszty słuchających języku *farsi*. Nie wiemy więc co uradzili derwisze, i jaki był koniec wyprawy.

* * *

Niejednego zadziwi ten Alexander W. na szamacheńskim bazarze. Ale pasowanie się starego Wschodu z *czouszem* greckiej kultury, jest jednym z tych granitowych faktów, nad któremi czas nadaremnie tępi sobie zęby. Wię o tém każdy bez ksiąg i bez szkoły, nie znajdziesz Muzułmanina, któryby nie potrafił czegoś zabawnego powiedzieć o Iskender-Szachu. Coto za bogaty połów dla miłośnika podań, ile tu szczegółów ciekawych jakich nie znajdzie ani w Aryanie, ani w Plutarchu, ani nawet w Kwincie Kurcyuszu! Bez wątpienia więcęj takich, co je czarownica, poezya, ta druga Cyrce, przetworzyła

w dziwolągi, na niektórych jednak musiał charakter historyczny pozostać, i te czekają tylko głębszej krytyki, żeby zająć w historyi właściwe sobie miejsca. Może też doczekają się kiedyś: jednemu Ałlachowi nie tajno, jakie nam niespodzianki przyszłość gotuje.

* * *

Derwisz jest w nadzwyczajnej wnie; z ust jego leją się muzykalne dźwięki poetów, te same, na które śpiewak Giulistanu swoje *perty nizał*; podnosi głos coraz wyżej, już na hymn zarywa; gawiedź przytomna nic a nic nie rozumie, jednak patrzy mu w oczy i daje oklaski. Bo też miło patrzeć na derwisza, jakie on robi grymasy, jak się zwinnie wykręca, i przysiada i podskakuje. A jak wywija tą paleczką żelazną! Oto widać uśmiech na jego twarzy, pewnie coś wesołego opowiada, cha! cha! cha! słuchacze chórem się śmieli. Ale cóż znowu, zachmurzył się, ręce załamuje? Oj, widać źle z Iskenderem. Waj! waj! waj! krzyknęli słuchacze.

Kiedy skończył, dęszcz abazów i szajów lunął mu pod nogi. Nauka nie poszła w las, hojność Iskendera znalazła naśladowców. Ale trzeba będzie powtórzyć, bo on coś nowego zaczyna. Zebrawszy pieniądze, zawołał do rozchodzących się:

— A może chcecie świeżych nowinek o Kanly-Harunie (krwawym Harunie)? Ale słowik nie śpiewa na sucho, trzeba mu rosy. Wtenczas dopiero, co nowa kropelka na piersiach róży, to nowy ton u śpiewaku.....

Wszyscy wrócili, obsiedli go znowu, i każdy pośpieszył nowym datkiem kupić sobie materyą do wieczornej pogadanki. Kanly-Harun było najeźdnik, czyli jakby u nas powiedziano rabuś tych okolic. Podobne figury nabiérają zwykle w imaginacyi ludzkiej jakiegoś poetycz-

nego namaszczenia; lubimy słuchać o ich śmiałych czynach, o ich życiu nieskrępowaném żadną ugodą społeczną, a zatem najdobitniej pierwiastek osobistej woli wyrażającém, o niebezpieczeństwach i trudach jakie przełamać umieją, radziibyśmy usprawiedliwić ich gdzie można, a byleby nas samych zostawili w pokoju, przebaczymy im z całego serca, że komuś tam z bliźnich naszych wydarli worek albo życie. O Harunie powiadano, że był synem uczciwego domu w Karabagu czy w Persyi i najlepszym w świecie chłopakiem, ale że miał brata łotra, który się trudnił przemyca niem towarów; że broniąc tego brata napadniętego od straży pogranicznej, zabił jednego strażnika, kilku innym pozadawał rany, i że to go zmusiło prowadzić takie nieporządne życie.

Między drobną monetą spadającą zewsząd na derwisza, znalazł się złoty dukat.

— Rozumiém, rzekł podejmując go, i ciebie rozumiém, coto srogo patrzysz, nie bój się. Słuchajcież, opowiem w kilku słowach bo już zmrok zapada.

Znacie wszyscy tego opasłego Bała-Bega, coto koczował w zimie na saliańskim stepie. Otóż słońce go przypiekło, więc ciągnął sobie w chłodek między góry. Wczorajszy wieczór zastał go w dolinie nad Každy-Czajem. A krwawy Harun był wtedy na jednej z bliższych gór. Patrzy, tabor duży, jak spędzili bydło do rzeki, to omal wszystkiój wody nie wypiło. A nuż, mówi sam do siebie, wypuszcę ja swoje harty ze smyczy! Nie dla łupów, bo od tych pastuchów trudno co wycisnąć, ale tak, chciał sprobować jak mu się uda przeciwko zgrai cztery razy liczniejszej. Daje znak wystrzałem, zbiegają się dzigity (najezdniki) i znienacka dwadzieścia kulek świsnęto ku taborowi. Oj, oj, oj, jakiz tam hałas powstał! Co ży-

wo wrzasnęło jednym głosem, ludzie, baby, dzieci, psy, wielbłądy, osły. Jedni klną, drudzy płaczą, inni dają rozkazy a nikt nie wypełnia. Trzeba było zaraz przy pierwszym popłochu wrzasnąć i natrzęć, ale głęboki jar dzielił napadniętych od napadających. Musiał Harun górę objechać. A ci tymczasem ochłonęli, przyszli trochę do ładu, porobili sobie zasięki. Trudna sprawa. Harun szykuje się, wzywa Allaha i naciera. Chmury dymu buchają z zasadzek, grad wystrzałów spotyka go na połowie drogi. Zuchy nasze mieszają się niby war trącony podwodną skałą. Ale nie miesza się gospodarz odwagi, wypalił w łeb pierwszemu co zwrócił był do ucieczki, szykuje się, i znów naciera, wciska się w same serce taboru, rąbie, niszczy, trątuje. Wszystko pierzcha przed nim; tłusty Beg szuka ochrony w swoim namiocie. Wpada za nim, chciał zemsty za długi opór, podnosi chandżał i już ma ugodzić, wtém słyszy głos kobiety, ktoś go chwyta za rękę. Odwraca się?.... Czém są cuda Diwistanu, czém błękitne Peri o rubinowych warkoczach?....

Tu derwisz znów zaczął językiem Hafiza. Ale wkrótce inny przedmiot zajął powszechną uwagę.

* * *

W główną ulicę wtoczył się jeździec na ośle. Jeździec był wysoki, dorodny, a osioł malutki; burka wisząca na tamtym, zakrywała obu, tak, że zpod jój skrzydeł kosmatych, dwie tylko głowy wyglądały, osłe uszy, i sześć nóg, cztery z kopytami a dwie w pantoflach. Mniej biegły zoolog mógłby to wziąć za jedno sześcionożne zwierzę, ale niedługoby w błędzie pozostał.

Ulica ta ciągnie się w prostym kierunku przez całe miasto, a przerznawszy rynek, niedaleko od niego w pole wychodzi. Ściany jój składają się z samych sklepów.

Z pierwszego zaraz sklepu, jak tylko zrównał się z nim ów jeździec, wyrzało kilku ludzi; jeden, przypatrzwszy mu się włożył w usta dwa palce i gwizdnął. Toż samo powtórzono w sąsiednich sklepach, dalej w dalszych, a wkrótce cała ludność ulicy wystąpiła ze sklepów, i każdy pośpieszył swoim sposobem, gwiznięciem, krzykiem albo klaskaniem w ręce przywitać podróżnego. W miarę jak ten posuwał się naprzód, sklepy co zostawały w tyle, ucichały, a te co do nich dojeżdżał, rozpoczynały powitalny koncert; słowem, chłasy posuwał się z nim razem, podobny do prądu, który na sobie łódkę unosi. Z początku nasz paladin nie zważał na nic, i patrzył przed siebie z niezachwianą powagą, ale osioł wyraźnie dawał poznać, że to mu nie do smaku, spozierał niespokojnie na obie strony, wyszczerzał uszy, to prawe, to lewe naprzemian, wreszcie zaczął zlekka podrygiwać tylnymi nogami. Tu jeźdźcowi cierpliwości zabrakło.

— Z kogo wy sobie żartujecie, synowie grzechu! dam ja wam!

To powiedziawszy chciał coś wydobyć z zanadru, zapewne jaki talizman przeciw swawoli motłochu, ale odwijając burkę, uderzył połą osła po głowie, zakrył mu oczy. Przestraszone bydlę traci rozum do reszty, stula uszy, wierzga i puszcza się cwałem. Jeździec robi wolte z siodła na szyję wierzchowca. Tymczasem wrzawa rośnie, powiększona brzękiem naczyń i stukiem młotów w pobliskich kuźniach. Gdzieś strzelają na wiwat z pistoletów, życząc szczęśliwej podróży *Mahmud-Begowi*.

Mahmud-Beg grozi i przeklina, a pędzi jak wiatr. Chętnieby się wycofał na siodło, ale go nie puszcza przednia kula, wysoka i stercząca; jako jedyny środek bez-

pieczeństwa, ma przed sobą parę długich uszu, chwytając się ich obiema rękami i trzymając z całej mocy swojej, i pędzi a pędzi, nakoniec wtłacza się w środek tłumu zebranego koło derwisza, wywraca kilku, innych roztrąca, a sam traci równowagę i wali się na ziemię jak góra.

I, o dziwy! wszystko umilkło. Kto chciał klasnąć spuścił z wolna rękę i schował do kieszeni; kto chciał gwiżdżać przez palce, zostawił je w ustach jako znak zadumania; kto chciał wrzasnąć, otworzył gębę i oniemiał. Co większa, niektórzy przytomni po kilku minutach uroczystego milczenia, rzucili się nagle po osła, który pozbywszy się swojego ciężaru, bujał sobie wesoło po rynku; inni spadłą czapkę Mahmud-Begowi przynieśli, a najbliżsi dopomagali mu jeden przed drugim podnieść się z ziemi i garderobę do porządku przywrócić. Zkądże ta przemiana? — Oto Mahmud-Beg upadłszy, w tém samym okamgnieniu wy dobył i podniósł najwyżej jak tylko ręka sięgała, swój talizman. Był to talizman czworoboczny, biały, z czerwoną na środku pieczęcią.

Syn Abdullę drżał ze złości. Ale możnaż było nie ułagodzić się, kiedy mu okazano tyle dowodów głębokiego szacunku? Chybaby głazem był a nie człowiekiem. Przestał tedy na złorzeczeniach i nikogo nie obił. Nawet niezadługo odzyskał spokojność, wysapał się i patrzącego nań z uśmiechem derwisza, słowem pozdrowił pokoju.

— *Alejkium selam.* Dokądto Mahmud-Beg o téj późnej porze wyrusza? zapytał derwisz wymawiając zgłoskę beg ze szczególnym przyciskiem.

— At zwyczajnie z mocy urzędu. Wiész co Mustafu, ciężkato rzecz być urzędnikiem; zawsze to to, to owo. Najazdy zagęściły się po wsiach, jadę przywracać porządek.

— Proszę, czy aż do tego doszło, żeby taka ważna i niepospolita osoba musiała sama się satygować?

— Alboż nie słyszałeś, że napadli wczoraj na Bała-Bega? Te łotry gotowe i do Szamachy zawitać. Ale niech-no ja się wezmę do nich!

Derwisz odwrócił się i zakrzywił usta szydersko; niewiele on trzymał o władzy Mahmud-Bega, a jeszcze mniej o jego zdatości do podobnych spraw. Ale jeden z obecnych, jakiś obszarpany żebrak, pilnie przysłuchiwał się rozmowie, i na urzędnika patrzył z ciekawością. Pomógł mu potem wleźć na osła. Kiedy Mahmudek pożegnawszy derwisha ręką, a innych poważułem skinieniem głowy, ruszył, żebrak udał się za nim.

VII.

Mahmudek w strasznej tarapacie.

Ów talizman, który takie wrażenie sprawił na miejskim motłochu, było list szamacheńskiego naiba do jednego z okolicznych begów. Onego czasu w Szamasze mało jeszcze uprawiano tak nazwaną sztukę obcowania z nieobecnymi, a czerwony lak i koperty ledwie osobom wyższej arystokracji były znajome. Prosty człowiek ustępował z drogi każdemu listowi, tém bardziej zaś takiemu jak naiba, na którym pieczęć połowę koperty zajmowała.

Idźmy za Mahmudkiem. W każdym innym czasie, samotna i daleka droga, przy spóźnionej porze, byłyby mu nasunęła ponure myśli o wilczyśkach i rozbójnikach; nie należał on bowiem do tych szaleńców, *deli baszów*, co-to lubią niebezpieczeństwa, a nawet sami ich szukają.

Ale mógłże wczorajszy essaul myśleć o czém inném jak o swoim urzędzie i nieodłącznych peszkeszach (kubanych)? Nie, wilki i rozbójnicy nie mieli miejsca w tym czarownym obrazie co się rozwijał przed nim. Tam wszystko tchnęło taką pogodą, takim szczęściem! Długie rzędy chłopstwa spotkały Mahmudka z niskimi ukłonaми, gdzie tylko spojrział, tłuste barany cisnęły się nawalem do jego żołądka, a do kieszeni abazy, kochane abazy, jak do skarbcu Padi-Szacha. Syn wymiatacza śmieci, lekkim skinieniem odpowiadał na ukłony, pożerał barany, napełniał kieszenie abazami, kupował sobie nową czuchę, nowy kuszak, nowy papach, kupował i dom, lepszy od tego co go miał kiedyś. Ale ten dom? czyby nie można teraz rozprawić się z Ali-Agą? Piérwszy raz myśl taka nawiedziła go od ucieczki z więzienia, odpędził ją zaraz jak wroga kusiciela; za nową jeszcze była, za straszna dla niego.

Stońce zaszło, droga była pusta. Mahmudek jechał powoli i pochyliwszy głowę ku piersiom, budował sobie plany prędkiego zbogacenia się: list z czerwoną pieczęcią zdawał mu się pierścieniem Sulejmana! Kiedy doszedł do zenitu swych żądań, nie mogąc iść dalej, dał spocząć sercu na przedmiotach bliższych, pewniejszych, i zaśpiewał sobie.

Muzułmanie zakaukazcy są jednym z najśpiwniejszych narodów świata; niemi tylko nie śpiewają. Ale to warto uwagi, że słowa ich śpiewek bywają najczęściej składane *en promptu*. Oto jest dla próbki.

Improwizacya Mahmudka.

„A, a, a, a! głodnym i zmęczony, burczy mi w żołądku, bom głodny.”

„W pierwszej wsi zajadę do Juz-Ba zi (setnika) i powiem mu że mam papier.”

„A potem powiem Juz-Baszi, Aga, dawaj mi czém-prędzěj kunacha (*) bom głodny i zmęczony, a mam papier.”

„A Juz-Basza powie, dobrze, i każe mię zaprowadzić do najbogatszego chłopa jaki jest we wsi.”

„A a a aj! przyjdę ja do tego chłopa, a on będzie mię musiał przyjąć i nakarmić, choć niechętnie.”

„I powiem jemu: aj ty wyskubana brodo, dawaj mi płowu, psi synu, dawajże prędzěj bom głodny.”

„A on przyniesie mi pełną miskę płowu.”

„Pełniuchną misę z wierzchem i postawi przedemną.”

„A ja siądę i zacznę zajadać obiema rękami.”

„A a a aj! masło mi pociecze po brodzie, ale nie będę obcierał póki się nie najem.”

* * *

— *Selam alejkium.*

Mahmudek obejrzał się i zobaczył jeźdźca na pięknym kasztanowatym koniu, w swęj czerkiesce, uzbrojonego od stóp do głowy.

— *Alejkium selam.* Dokądto jedziesz?

— Naprzód.

— A, tojest do Fit-Dahu? A zkąd?

— Z tyłu.

— A, tojest z Szamachy? Rozumiém.

Na widok uzbrojonego jeźdźca, o takiěj porze i w takiém miejscu, Mahmudek powziął z początku pewne podejżenia, ale uspokoił się słyszac jego odpowiedzi, szcze-

(*) Kunach, właściwie przyjaciel; ale domownik albo gość i gospodarz domu, są także względem siebie kunachami.

gólniej ostatnią, bo naprzód, gdyby to był rozbójnik, toby mu nie odpowiadał na zapytania, a powtóre, jechałby z jakiego lasu, a nie z Szamachy. A przytém nie było nic rozbójniczego w jego twarzy, ani wąsów ogromnych jak ogony końskie, ani rozkłaczonej brody, ani oczu krwią zabiegłych. Podróżny miał minę młokosa, *tuksusa*, który piérwszy raz z miasta się wychylił.

Jechał jakiś czas w milczeniu, ale Mahmudka świerzbiał język, chciało mu się pogadać o swoim urzędzie, o celu w jakim podróż przedsięwziął, nie wiedział tylko od czego zacząć żeby zająć towarzysza, który jak się zdawało, cały był oddany swojemu koniowi; to go wspinał, to w cwał wypuszczał, to znowu osadzał na miejscu i trzepał po szyi.

— Wiész co, zaczął Mahmudek, zmrok zapada a do wsi mamy dobre dwa agacze. Wartoby przyspieszyć kroku.

— Alboż się boisz? Tu rozbójników niéma.

— Ej nie, nie o rozbójników mi chodzi. Ale mam w zanadrzu bardzo ważny papier, który od wilgoci wieczornej mógłby ucierpieć. Może pokazać? oto jest. A co do rozbójników ja sam ich poszukam.

— Alboż oni potrzebni tobie?

— Nie, ale ich cielska potrzebne szakalom i krukom na strawę. Bo widzisz ja jestem *essaul*. Naib wiedział komu dać takie polecenie. Przychodzi do mnie i powiada: wiész co kochany Mahmud-Begu, żadnemu *essaulowi* nie mogę tego polecić, jak tylko tobie, tobie jednemu ufam, oto siadaj zaraz na swego turkmeńskiego ogiera, albo na tego co ci chan karabadzki podarował, albo na tego co masz od komendanta, albo.... Nie, mówię, moje ogiery nieokute, a przytém coś mi niedobrze, na osłe spokojniej będzie. — No, to jedź sobie na osłe, ale

żebyś zrobił co ci powiem: zbierz w moim Magale stu zbrojnych nukierów, albo ile będziesz uważał, a to pismo z pieczęcią pokaż każdemu żeby wiedzieli od kogoś posłany, i staraj się wytropić rozbójników.

— Otóż im dasz pieprzu....

— Mam nadzieję pokazać tym psom kto ja taki, żadnemu nie przepuszczę, a samego Kanly-Haruna, enszałah złapię i żywego przyprowadzę.

— Oho! A więc do roboty, ja się nazywam Harun.

— A? Ha. Jak?

— Harun.

— Ha, Ha, Jak?

— Harun.

— Tojest Ha, Har. Jak?

— Powiedziałem.

— Har, Harun? Tojest Harun-Beg, Harun-Aga? Ja ciebie znam, ty poczciwy człowiek, znakomity człowiek, wszyscy o tém wiedzą., a ja nie, twój niewolnik.. obcas twojego pantofla. Czémże mam być więcéj?

— To złapać mię nie chcesz?

— Ja, złapać? Nikogo ja nie chcę złapać! Niechaj inni łapią, mnie nic do tego.

— A cóż Naib powie?

— Wielki mi człowiek ten Naib. Pluję mu w brodę, niechaj sobie sam jeździ i łapie.

— Czy tak? Dobry z ciebie essau! Zobaczmy co powie na to mój starszy brat, Naib szamacheński, jak się dowie że ty mu plujesz w brodę.

— Twój starszy, wasz starszy brat, Ago? tojest ten, ten zacny i wielki człowiek? prawda jakie uderzające podobieństwo rysów....

Mahmudek tą razą nie wiedział już co myśleć o swoim towarzyszu drogi, bo że i rozbójnik i brat Naiba mogli mieć jednakowe imiona, nie nad to naturalniejszego. Radby się pozbył dwuznacznej kompanii, ale nie było sposobu; ile razy zatrzymywał się albo zwalniał kroku żeby pozostać w tyle, tamten robił to samo, a wyprzedzić tém bardziej nie mógł. Tak ujechali znaczny kawał, nie spotykając nikogo.

Harun obejrzał się za siebie; wstrzymał trochę konia i rzekł:

— Ciekawym, cobyto byli za ludzie?

— A gdzie?

— Oto za nami. Raz, dwa, trzy.

— Za nami? A gdzie?

— Cztery, pięć, sześć... oj, coś wiele, a wszyscy na koniach, siedm, ośm.

— Za nami? gdzie? ja nic nie widzę, tam nic niema a może co i jest, powiedz prawdę, ku nam jadą, czy nie? aj, aj, doprawdy coś tam szarzeje.

— Wprost na nas pędzą. Czy to nie oni tylko? Bądź co bądź lepiej zemknąć póki jeszcze niepóźno. Żegnam.

Zagadkowy koleżka poprawił się na siodle i pojechał klusem, a Mahmudek, który przed chwilą szukał sposobu wydobyć się z jego towarzystwa, terazby ze skóry wyskoczył żeby zdążyć za nim. Jął się miotać na siodle, tłukł osła rękami i nogami, szarpał za cugle, ale widząc że przedział między nim i Harunem coraz się powiększa, zeskoczył i pobiegł piechotą.

— Ratujciel ratuj Harun-Begu, duszo moja, stój, zaczekaj! coś ci powiem, coś ważnego mam powiedzieć.

— Masz teraz pole do popisu, odezwał się tamten, pokaż tym psom, kto ty taki. Wszakże ci powiedział Naib...

— Ej gdzie tam powiedział, nie powiedział! Harun-Begu, światłości oczu moich, zatrzymaj się, coś ci powiem, oj zginąłem! Patrz, nie mam się czém bronić, kinżała nawet nie mam, zobacz, pochwa próżna!

— No, no, siadaj za mną z tyłu, prędzój, prędzój!

Mahmudek z niewypowiedzianą lekkością wskoczył za Haruna, koń przestraszony tym nowym ciężarem wierzgnął parę razy, ale ręce i nogi Mahmudkowe tak dobrze pracowały nad jego bokami, że się wnet pomknął jak kula. Siedzący na przodzie Harun czyto z wielkiego pośpiechu, czy dlatego żeby pogoń oszukać, skierował w bok z ubitój drogi. Potykali się co moment na skibach, przesadzali burzany. Minęli duże drzewo, dalej o kilkaset kroków paś się wielbłąd, a obok leżały dwa wory pełne czegoś, postronki i burka. Harun zatrzymał konia.

— Wiész co, my tak nie ucieczem przed nimi, prędzój czy później dogonią. Schowaj się ty w jeden z tych worków.

— Nie, nie, uciekajmy, wory małe, nie wleżę.

— Mówię ci że tak nie ucieczem, koń nie wytrzyma. Czy ty chcesz żebym i ja z twojój łaski dostał się im w łapy? Aha, słyszysz? już niedaleko. No, żwawo z konia i w wór.

Wory napelnione były mąką. Uczynny Harun wybrał większy, wypróżnił, upakował weń syna Abdulły skurczonego we troje, z wierzchu włożył burkę i dla lepszego ukrycia mąką przysypał. Niebawem i pogoń nadbiegła. Mahmudek usłyszał nad sobą rozmowę, zatamował oddech, ale nie usłyszeć nie mógł, bo wiatr unosił wyrazy. Wkrótce uczuł że go ruszają z miejsca, podnoszą, położyli na wielbłąda, krew mu głowę zalała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Oznaczenie długości geograficznej Warszawy
względem głównego obserwatorium Pulkowa,
wykonane w r. 1845 za pomocą chronometrów
pod kierunkiem O. Struwego.

PRZEZ

Jana Baranowskiego.

Różnica długości geograficznej dwóch miejsc, jest łuk równika zawarty między południkami przez te miejsca przechodzącymi, albo jestto różnica w rachubie czasu, w chwili tego samego zjawiska uważanego w dwóch miejscach, jakim jest np. zaćmienie słońca, lub przejście téj saméj gwiazdy przez południk. Jeżeli miejsce położone jest o 15 stopni na wschód względem drugiego, gwiazda przechodzi przez jego południk o 1 godzinę wcześniej; w miejscu o 30 stopni oddalonym na wschód, widzimy górowanie téjże gwiazdy o 2 godziny wcześniej i t. d. Ztąd długość geograficzną można dwojako wyrażać: w łuku, albo w czasie, na mocy tego związku, iż jednéj godzinie odpowiada 15 stopni łuku; jednéj minucie 15 minut łuku; jednéj sekundzie czasu 15 sekund łuku.

Długość geograficzna zwykle odnosi się do południka pierwszego, przez wyspę Ferro przechodzącego, albo do południka przez obserwatorium Paryżkie prowadzonego, który jest o 20 stopni na wschód względem Ferro położony; można ją także odnosić do południka obserwatorium Greenwich, pulkowa i t. d.

Wyznaczenie różnicy długości geograficznój, polega na tém: ażeby czas, jaki w pewnym miejscu zegar astronomiczny dobrze idący wskazuje, przenieść na drugie miejsce, którego położenie względem pierwszego poznać chcemy. Wyobraźmy sobie, że mamy tak dokładny zegar przenośny, że ten w ciągu podróży żadnej zmiany nie ulega; zapiszmy czas, jaki ten zegar wskazuje w chwili przejścia gwiazdy przez południk pierwszego miejsca; przenieśmy zegar ten na drugie miejsce, i uważajmy górowanie téjże gwiazdy co wprzód; różnica czasu w chwilach przejścia gwiazdy na tymże zegarze, pokaże wprost różnicę długości geograficznój dwóch miejsc. Zamiast liczenia czasu na zegarze przenośnym w chwili górowania gwiazdy, zwykle czas ten liczy się na zegarze astronomicznym wahadłowym, stale przy narzędziu zostającym, a z tego dopiero przenosi się czas do chronometru; tak samo postępuje się i w drugim miejscu.

Sposób oznaczania długości za pomocą chronometrów, powszechnie na morzu używany, i dawniej na lądzie był znany; ale wypadki niemi otrzymywane, nie były tak dokładne jak tego wymagano, z przyczyny iż wprzód nie miano tak dokładnych jak dziś chronometrów i nie zachowano wszystkich warunków i ostrożności potrzebnych. Znaczne udoskonalenie zegarów morskich pospolicie chronometrami zwanych, stało się dziś wielce użytecznym dla geografii i żeglugi, przy oznaczeniu wzglę-

dnem położen miejsc na powierzchni ziemi. Pomiędzy znakomitymi artystami dziś żyjącymi, pierwsze miejsce zajmuje zegarmistrz angielski *Dent*; zegary jego, a osobliwie chronometra, dla dokładności w wykonaniu i niskiej ceny, pierwszeństwo przed innymi trzymają. Jednostajność ich biegu jest tak dokładna, iż niektóre w ciągu kilkumiesięcznej podróży lądowej, na jedną sekundę biegu dziennie nie zmieniły, i taki bieg prawie zachowały, jak regulatory astronomiczne, stale w obserwatoryach używane.

Główne obserwatorium pulkowskie pod Petersburgiem, uposażone w kosztowne środki naukowe, posiada znaczną liczbę chronometrów różnych artystów, osobliwie *Denta*; jedne z tych są własnością obserwatorium, a drugie złożone przez artystów do rozpoznania i wyregulowania ich biegu. P. Struwe dyrektor obserwatorium, przekonawszy się z podróży lądowej odprawionej z 12 chronometrami przez syna jego Ottona do południowej Rosyi w r. 1842 dla uważania zaćmienia całkowitego słońca, i z dwóch podróży morskich, odbytych w roku 1843 i 44 do Altony i Greenwich, o dokładności wypadków na różnicę długości otrzymanych chronometrami, przedsięwziął w r. 1845 połączyć obserwatorium pulkowskie z dwoma punktami, to jest: Moskwą i Warszawą, odległemi na 674 wiorst (96 mil geogr.) i 1081 wiorst (154 mil geogr.), przez czterokrotne przewiezienie tam i napowrót chronometrów z Pulkowa do tych dwóch punktów.

W tym celu w miesiącu maju i lipcu 1845 r. pod kierunkiem Ottona Struwego (syna), odbyto do Moskwy cztery podróże tam i napowrót z 40 chronometrami, częścią w oddzielnym do tego powozie extrapocztą, czę-

ścią pocztą wozową. Pośrednim punktem, między Pulkowem a Moskwą było miasto Waldai. Oznaczeniem astronomiczném czasu w Pulkowie, zajął się sam Struwe, dyrektor obserwatoryum; w mieście Waldai oznaczał czas Liapunów, adjunkt obserwatoryum z Kazania; w Moskwie czynił postrzeżenia i porównywał chronometra z zegarem Döllen, adjunkt obserwatoryum Pulkowskiego. Z czterech podróży odbytych, otrzymano wypadki bardzo zgodne dla każdego chronometru. Ostateczny wypadek, na różnicę południków między Pulkowem a Moskwą znaleziono:

28 minut 58,2 sekund w czasie na wschód względem Pulkowa, czyli $7^{\circ} 14' 33''$ w łuku.

Ponieważ Pulków względem Paryża leży na wschód o $1^{\circ} 51^m 56^s,97$ w czasie, zatem długość geograficzna Moskwy względem Paryża wynosi:

$2^{\circ} 20^m 55^s,17$ w czasie
albo $35^{\circ} 13' 47,55$ w łuku;
względem zaś południka Ferro $55^{\circ} 13' 47,55$.

W miesiącu maju 1845 r. wezwany został do Pulkowa, adjunkt tutejszego obserwatoryum, dla ułożenia się względem planu, wykonywać się mających obserwacyj odpowiednich w Warszawie; jako też dla oznaczenia różnicy osobistój co do wzroku między nim a p. Struwem, dyrektorem obserwatoryum pulkowskiego. W połowie lipca t. r. Otton Struwe mający sobie oddany kierunek wyprawy naukowej wraz z Baranowskim, przybyli do Warszawy, gdzie ten ostatni zajął się obserwacjami potrzebnymi do oznaczenia czasu przed przybyciem chronometrów.

W Pulkowie tymczasem czyniono przygotowania do podróży; jakoż d. 25 lipca, po porównaniu chronometrów z zegarem normalnym Kessla, takowe wysłano w drogę z oficerem z głównego sztabu i konduktorem.

Pierwsze połączenie nastąpiło d. 31 lipca, w którymto dniu, przywieziono do Warszawy 40 chronometrów, i te z zegarami obserwatoryum porównano (*); następnego dnia 1 sierpnia, po powtórniem ich porównaniu z temiż zegarami, o godzinie 2, minucie 12 po północy, Otton Struwe, wyjechał z niemi napowrót do Pulkowa. Chronometra w Warszawie zostawały w spokojności, to jest wolne od ruchu powozowego przez 23 godzin i 12 minut.

Dnia 5 sierpnia t. r. powrócił O. Struwe z chronometrami do Pulkowa i tam je zaraz porównał z zegarem normalnym; w dniu 7 t. m. wyprawiono je znowu w drogę.

Powtórne przybycie chronometrów do Warszawy, nastąpiło d. 12 sierpnia o godzinie 6, m. 30 wieczór, gdzie je porównano z zegarami wahadłowemi, a w dniu 13 t. m. o godz. 11, min. 10 wieczór, wyprawiono je napowrót. Chronometra tą razą bawiły tutaj przez 28 godzin i 40 minut.

Dnia 18 sierpnia, powrócono z niemi do Pulkowa, a następnego dnia, po porównaniu ich z pendulem normalnym, wysłano je w drogę.

Trzecie połączenie z Warszawą, miało miejsce d. 25 sierpnia, w którymto dniu o godz. 3 z rana, chronometra tu przywieziono; dnia następnego o godz. 11, min. 10 z rana, po porównaniu ich z zegarami, do Pulko-

(*) Porównywanie chronometrów z zegarami wykonywał p. Prażmowski.

wa z niemi się udano. Tą razą chronometra zostawały w Warszawie przez 32 godzin i 10 minut.

Powrót do Pulkowa nastąpił d. 30 sierpnia, a d. 1 września, wyprawiono je w drogę.

Czwarta i ostatnia podróż w tym roku do Warszawy, miała miejsce d. 7 września, a d. 8 t. m. po ostatniem porównaniu chronometrów z zegarami tutejszego obserwatoryum, wyjechano z niemi do Pulkowa. Tą razą chronometra bawiły najdłużej w Warszawie, bo 33 godzin i 50 minut.

Pośrednim punktem między Pulkowem a Warszawą, było miasto Wilkomierz w Litwie, w gubernii wileńskiej, gdzie oznaczeniem czasu i porównaniem chronometrów zatrudniał się Alexandrow, oficer z głównego sztabu, zajmujący się podówczas pomiarami trygonometrycznemi na Litwie.

Połączenia powyższe, miały jeszcze i ten ważny użytek, iż przez ścisłe oznaczenie położenia Warszawy względem Pulkowa, i punktu pośredniego jakim jest Wilkomierz, otrzymano środek, dla sprawdzenia pomiarów trygonometrycznych, poprzednio w Litwie, a teraz w królestwie polskiem pod kierunkiem JW. generała Tenner prowadzonych (*).

Chronometra nie były przewożone w szkatułkach w jakich je artysta z zakładu swojego wydaje, ale każdy chronometr był wyjęty z osady i pierścienia, i umieszczony w wydrążeniu okrągłém, wysłaném sukniem, a potem wszystkie rzędem umieszczono w dużych skrzynkach, a te następnie w powozie starannie na poduszkach ma-

(*) Koszta na podróże chronometryczne do Moskwy i Warszawy, ponosił główny sztab w Petersburgu.

teracowych ułożono; ułożenie takie, do dalekiej podróży, bardzo korzystnym się okazało, zabezpieczając chronometra od nagłych i szkodliwych wstrząśnień, mogących zmieniać jednostajność ich biegu.

W ciągu każdej podróży, towarzyszył chronometrom jeden z oficerów głównego sztabu, który codziennie o pewnym czasie nakręcał chronometra i te między sobą porównywał. Nadto porównywanym był jeden chronometr bez kompensacyi, którego bieg zmieniał się z odmianną ciepła, i był skazówką do ocenienia wpływu temperatury na bieg każdego chronometru. Porównania te podczas podróży dlatego wykonywano, ażeby poznać, czy który z chronometrów przez nagłe wstrząśnienie nie doznał zmiany w swym biegu.

Najważniejszą czynnością przy powyższych połączeniach, było oznaczenie ściśle czasu bezwzględnego, to jest do południka miejsca odniesionego za pomocą postrzeżeń astronomicznych; dlatego też w stacyach tak końcowych jako i pośredniej, to jest w Pulkowie, Warszawie i Wilkomierzu, szczególną na to zwracano uwagę. Oznaczenie czasu uskutecziano przez uważanie przejścia gwiazd stałych przez południk miejsca, za pomocą lunet południkowych w dwóch odmiennych położeniach; czas liczony był na zegarze astronomicznym do biegu gwiazd urządzonym, a za pomocą tego, inne zegary stałe porównywano. Ścisłość w oznaczeniu czasu miejscowego posuniętą była do jednej setnej sekundy. Tak oznaczony czas, czyli stan zegaru normalnego, przenoszonym był do chronometrów, tak przed wysłaniem ich w podróż, jako i po ich powrocie.

Cztery podróże z Pulkowa do Warszawy odprawione, dały dla każdego chronometru siedm wypadków czyli

oznaczeń, na różnicę długości geograficzej; odległość między punktami połączeń wynosiła 154 mil geogr. i ta ośm razy z chronometrami przebieżoną została, a pomimo nierówności drogi i wstrząśnień powozu, osobliwie w czasie przepraw przez rzeki i przy zjeździe z gór, niektóre chronometra zadziwiająco jednostajność biegu zachowały, gdyż w całej tej podróży blisko dwa miesiące trwającej, na jedną sekundę dziennie biegu nie zmieniły, i bardzo zgodne wypadki na różnicę długości dały, jak to następujące dwa chronometra pokazują.

Różnica długości geograficzej między Pulkowem a Warszawą wyrażona w czasie, otrzymana:

Chronometrem Denta N. 1941		Dent N. 1630	
37 ^m	11. ^s 27	37 ^m	11. ^s 52
—	11. 14	—	11. 52
—	11. 81	—	10. 62
—	11. 90	—	11. 22
—	11. 11	—	11. 93
—	11. 12	—	11. 86
—	11. 44	—	11. 64
<hr/>		<hr/>	
średnia 37 ^m	11. ^s 40	37 ^m	11. ^s 47

dwa te chronometra dają wypadki na 7 setnych jednej sekundy, albo na $\frac{1}{14}$ sekundy zgodne między sobą (*).

Podróże lądowe odprawione z chronometrami do Moskwy i Warszawy w przeciągu czterech miesięcy, porównane z podróżami morskimi w r. 1843 i 44 z temiż chronometrami do Altony i Greenwich odbytemi. poka-

(*) Pierwszy z tych chronometrów nabyty został przez Wielkiego księcia Konstantego i użyty był do podróży morskiej w r. 1845, odbytej przez niego wraz z wiceadmirałem Lütke. Drugi chronometr oznaczony numerem 1630, nabyto dla tutejszego obserwatorium astronomicznego za 2000 złp.

zały w biegu chronometrów ten osobliwy i napozór sprzeczny wypadek, że chronometra przewożone lądem po drodze zwyczajnej daleko regularniej idą i zgodniejsze wypadki dają, niżli też chronometra przewożone okrętem na morzu, a to dla téj przyczyny, że ruchy i wstrząśnienia, jakim chronometr na lądzie w powozie podlega, są bardziej jednostajne i w kierunku z góry na dół się odbywają, przez co tylko czopy i osi kółek chronometru pionowo bywają wzruszone, a na kółko oscylacyjne nie działają; gdy przeciwnie w podróży morskich, gdzie okręt kołysaniom bocznym i nierównym podlega, wstrząśnienia na kółko kołyszące chronometru są szkodliwsze i zmiany w jego biegu pociągają większe. Zgodność wypadków na różnicę długości między Pulkowem a Warszawą większa, aniżeli w podróży morskiej między Pulkowem a Altoną i Greenwich, temiz samemi chronometrami otrzymana, potwierdza ten wniosek. Nadto z tychże podróży poznano, że zgodność wypadków dla tego samego chronometru, zależy od dokładności kompensacyi kółka wahadłowego; najlepsze wypadki dają te chronometra, w których kompensacya zupełnie jest zachowana, jak to potwierdzają dwa powyżej przytoczone chronometra Denta. Zrobimy tu jeszcze uwagę, że pomiędzy chronometrami do podróży użytymi, a które do nakręcania różnego przedziału czasu potrzebowały, te które były średniego wymiaru i co dzień się nakręcały, jednostajniejszy bieg okazały, niż chronometra wielkie co ośm dni nakręcane.

W końcu przytoczymy tu wypadki średnie, na różnicę południków między Pulkowem a Warszawą z siedmiu oznaczeń dla każdego chronometru w ciągu czterech podróży otrzymane.

Różnica długości geograficznej między Pułkowem
a Warszawą wyrażona w czasie.

Chronometr:

1.	Kessler N. 1276	daje	37 ^m 10. ^s 17
2.	— —	1290	— 12.08
3.	Hautha N.	18	— 11.53
4.	— —	26	— 11.86
5.	— —	30	— 11.82
6.	— —	31	— 11.62
7.	— —	32	— 10.90
8.	— —	52	— 11.00
9.	Denta N. 1613		— 12.27
10.	— —	1630	— 11.48
11.	— —	1635	— 10.07
12.	— —	1636	— 11.88
13.	— —	1637	— 10.52
14.	— —	1687	— 10.60
15.	— —	1730	— 10.40
16.	— —	1739	— 11.43
17.	— —	1747	— 11.70
18.	— —	1774	— 11.40
19.	— —	1776	— 12.70
20.	— —	1787	— 11.50
21.	— —	1789	— 11.99
22.	— —	1798	— 11.52
23.	— —	1799	— 11.78
24.	— —	1807	— 12.07
25.	— —	1808	— 11.25
26.	— —	1821	— 11.03
27.	— —	1827	— 10.88
28.	— —	1901	— 11.47
29.	— —	1910	— 10.21

30.	Denta N. 1913	daje	37 ^m 11. ^s 65
31.	— —	1941	— 11.40
32.	— —	1978	— 10.76
33.	— —	1979	— 13.50
34.	— —	1983	— 10.17
35.	— —	1985	— 11.78
36.	— —	1986	— 10.37

Wypadek średni 37^m 11.^s32

Obserwatorium zatem warszawskie (*) leży na zachód względem obserwatorium Pulkowskiego

o 37 minut 11.32 sekund w czasie
albo o 9° 17' 49."8 w łuku.

Ponieważ Pulkow względem Paryża leży na wschód o 1^s 51^m 56.^s97 w czasie, zatem długość geograficzna obserwatorium warszawskiego względem Paryża jest:

1^s 14^m 45.^s65 na wschód w czasie,
albo 18° 41' 24."75 w łuku;

względem zaś południka Ferro 38° 41' 24."75.

Wypadek otrzymany na długość geograficzną Warszawy za pomocą chronometrów, jest mniejszy o 1,5 sekund w czasie, od długości znalezionej poprzednio z zakrycia gwiazd stałych przez księżyc (**).

Druga wyprawa chronometryczna do Warszawy, wykonaną była w r. 1846 dla połączenia Pulkowa z niektórymi punktami południowej Rosyi. W tym celu Otton Struwe wraz z oficerem z głównego sztabu, wzięwszy z sobą 41 najlepszych chronometrów, w dniu 24

(*) Środek lunety południkowej.

(**) *Connaissance des Temps pour l'an 1846. Additions*, pag. 30 — 31.

czerwca t. r. rozpoczął podróż z Pulkowa przez Moskwę, Tułę, Orel, Kursk, Charków, Pułtawę, Krzemeńczuk, Elisawetgród, Nikolajew, Odessę, Kijów, Żytomierz, Dubno, Brześć Litewski do Warszawy. Głównemi punktami, w których czas oznaczano i chronometra z zegarami porównywano, były: Pulkow, Moskwa, Charków, Nikolajew, Kijów, Żytomierz i Warszawa. Dnia 23 lipca t. r. o godzinie 12 w nocy przybył O. Struwe do Warszawy z chronometrami i takowe porównał z zegarami astronomicznymi, do czego poprzednio oznaczony był czas przez adjunkta obserwatoryum. W dniu 29 t. m. po powtórném porównaniu chronometrów z zegarami o godzinie 10 z rana, wyjechał Struwe napowrót do Moskwy, zatrzymując się w tych miejscach co i wprzódy, dla porównania chronometrów z zegarami. Podróż z Moskwy do Warszawy, łącząca między sobą punkta pośrednie południowej Rossyi, dała jedno oznaczenie na różnicę długości geograficznej dla każdego miejsca; podróż powrotna z Warszawy do Moskwy, dała drugie oznaczenie dla tychże samych miejsc i służyła za sprawdzenie pierwszych wypadków.

DYMITR I MARYA:

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM.

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

Napisany r. 1828.

OSOBY.

WOJEWODA.

DYMITR, syn wojewody.

SZLACHCIC.

MARYA, córka szlachcica.

ANNA, jej krewna.

CYGANKA.

STEFAN, faworyt wojewody.

DWORZANIN, przyjaciel Stefana.

ŻOŁNIERZ.

ŻOŁNIERZE wojewody.

(Rzecz dzieje się w dobrach wojewody).

DYMITR I MARYA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

AKT I.

(Teatr wyobraża otwarte miejsce pod lasem; widać zamek wojewody).

SCENA I.

WOJEWODA (wychodzi), STEFAN (za nim).

Stefan (śpiesznie).

Prawdaż to panie?

Wojewoda.

Koń mój zbił się z drogi,

Nie słuchał głosu, wędziła i ręki.

Widok cyganki dał mu tyle trwogi,

Że padł podemną.

Stefan.

Lecz bez szwanku? Dzięki

Niebu! Mój blisko, racz go dosiąść panie.

Wojewoda.

Powóz przybywa. Dlaczego bezkarnie

Przy zamku moim włóczą się cyganie?

Czemu ich dawny wyrok nie ogarnie?

Wszak od lat tylu ścigać ich kazałem.

Stefan.

Twój rozkaz zawsze wiernie dopełniano;

Otwarte ucho i słuch baczny miałem,

Wioski, gościńce, lasy przezierano,

Lecz ślad ich zginął.

Wojewoda.

Tylko ja znajduję

Na drodze swojej tę cyganę starą.
 Dziś, śród zarośli gdy się przesunęła,
 Zdała się cieniem nie cielesną marą,
 Tak szybko przeszła, tak cicho zginęła;
 Jój groźna postać, zawsze mię przenika.
 Wiele mi razy zejść się z nią wydarzy,
 Niespodziewana kłeska mię dotyka,
 I wróżby gorszej czytam na jój twarzy.
 Dawne to widmo! — czasem mi się marzy,
 Żem ją znał kiedyś. W głąb się duszy wdzięra,
 Gdy obumarłą źrenicą pozięra.

Stefan.

Dziwne zdarzenie!

Wojewoda.

Każ ją szukać wszędzie.

Stefan.

Panie! jeżeli w ziemię się nie skryje,
 Jeżeli w jój żyłach krew nieskrzepła bije,
 Więcej ci drogi zachodzić nie będzie.

Wojewoda.

Gdzież to jest syn mój? nadto często gości
 W swoim ustroniu, jakby zapominał
 Że ja dni całe pędzę w samotności.

Stefan.

On nie samotny.

Wojewoda.

Widzę uśmiech złości!

Może jest winnym, lecz przypomnij sobie!
 Że on mój dziedzic, że mój włos bieleje,
 Że on zamieni w skutek twe nadzieje,
 Gdy stary pan twój twardo zaśnie w grobie.

Poślij wszelako — niech nie zapomina
 Że cieszyć ojca, obowiązek syna. (*Wychodzi, Stefan za nim*).

SCENA II.

(Ogród. Zdale z lewej widać domek Maryi).

MARYA, DYMITR.

(*Marya przykłękłszy wśród kwiatów zrywa je. Dymitr oparty o drzewo patrzy na nią*).

Marya (*powstając, opuszcza kwiaty*).

Jużem znudzona kwiatów tych widokiem.

Dawniej inaczej, żywił mię bawiły.

Dymitr.

Mnie dziś to miejsce weselszém się zdaje;

Wyższego nieba świecą mu promienie,

Żywsza zieloność osłoniła gaje,

I miłsze uszu mych dochodzi pienie.

Marya.

I głębsze także z piersi mych westchnienie.

Dymitr.

Maryo! ty moich nie dzielisz radości.

Czy ślub oziębił duszy twój płomień,

Czy już tak prędko zwiędnął kwiat miłości?

Marya.

Czy już tak prędko nieporozumienie?

Wstydź się mój mężu! związek nasz tak młody.

Dymitr.

Nigdy on, nigdy nie zrodzi niezgody;

Ale nie lubię posępności cienia,

Który oblewa twoje piękne czoło.

Marya.

Twoja to wina, że mi niewesoło.

Czemużeś pojął żonę bez imienia?

Czemuś sam możny.....

Dymitr.

Maryol tyś bogata.

Chociaż pod niską wychowana strzechą,

Piękności droga odziewa cię szata;

Ona cię czyni serc i ocz pociechą.

O! złoty promień twój anielskiej duszy,

I ojca mego rozbroi i wzruszy.

Marya.

Słodki pochlebco! pragniesz mię ukoić

Cackiem próżności, jakbym go nie znała?

Gdybyś mógł ojca mego uspokoić,

Możebym jeszcze więcej cię kochała.

Chociaż to trudno—zabrakłoby siły.

Dymitr.

O! przybądź prędko, osiwiąłe mury,

Pustynią ojca mego uweselić.

Gmach ten jak jesień, tęskny i ponury,

Tam nie ustawnej nie rozbija chmury.

Marya.

Nie mów mi o nim. Na samo wspomnienie

Twojego zamku, radość mię odbiega!

Ściska się serce, dziwne czuję drzenie,

Gdy myślę, jak tam echo się rozlega

Po głuchych salach. Dla mnie to więzienie.

Pod strzechą moją lepiej mi, weselęj,

Tu pełniej żyję, tu cię kocham śmielej.

Jak tu szczęśliwa byłam, o mój drogi!

Pókim imienia twego nie nosiła.

Miłości naszój był to ranek błogi.

Byleś przyjechał, byłem z tobą była,
 Świat znikał z myśli. Teraz chmura trwogi,
 Niebo mych rojeń cieniem zarzuciła;
 Teraz się lękam.

Dymitr.

Kogo? póki żyje,
 Niechaj bezpiecznie serce twoje bije,
 Bije dla szczęścia, dla przyszłych nadziei;
 Smutek i radość idą po kolei,
 Dziś lekki obłok serce nasze kryje,
 Jutro je może odsłonić pogoda.

Marya.

O! nie, Dymitrze! Można wojewoda
 Jest twoim ojcem; a mój ojciec stary,
 Za granicami wioski téj nieznany.
 Nie maż on słusznój się obawiać kury,
 Że był niewdzięcznym, że ukołysany
 Twoją namową i twemi prośbami,
 Oddał ci córkę? O! nas miłość mami.
 On lepiej widzi, on mój los poznaje;
 I choć mi często dziwnym się wydaje,
 Lecz on mi klęskę zapowiada — łzami.

Dymitr.

Jeżeli kochać jest tak wielka wina,
 Że w sercu ojca mego gniew roznieci,
 Ta myśl, że we mnie ma jednego syna,
 Rozbroi rękę. Z słowami uleci
 Najpiérwszój burzy groźne uniesienie,
 A czas występny zjedna przebaczenie.
 Znam mego ojca. On nad wszystko w świecie
 Trwałość i wziętość rodu swego ceni,

Nie zniszczy drzewa swego w bujnym kwiecie,
I sam nadziei swoich nie wypleni.
Nie trwoż się próżno; przyjdzie nasza pora,
I my cichego dożyjem wieczora.

Marya.

Patrzaj— mój ojciec— smutek go obciąża.
Ach! ile razy słodki sen mię złudzi,
Jego mię widok wstrząśnie i rozbudzi.

SCENA III.

MARYA, OJCIEC i DYMITR.

Dymitr.

Dobry dzień ojcze.

Ojciec.

Synu wojewody!

Dymitr.

Jestem i twoim.

Ojciec.

Nie z mojej to woli.

Błogosławieństwo przysposabia dziecię,
Jam was nie żegnał.

Dymitr.

Bóg nas błogosławił,

Ty ojcze szczęściu memu dałeś życie.

Ojciec.

A tyś mię synu mojego pozbawił.

Dymitr.

Wstydz się téj myśli!

Ojciec.

Ja się tego wstydzę,

Żem ci otworem swoje drzwi zostawił;

Że teraz w domu rozgłoszone widzę
 Ustawne troski, bojaźń, niepokoje,
 Co zewsząd łoże już obsiadły moje.

Dymitr.

Czegoż się lękasz? jest już moją żoną.

Ojciec.

Maszże ty ojca swego zezwolenie?
 Cóż na to powie gdy ją przeszczepioną
 Ujrzy pod drzew swych starożytne cienie?
 Ten lichy kwiatek zdeptany nogami,
 Który staranie moje wychowało,
 Odeśle do mnie, bym go oblał łzami,
 By na ten widok serce me pękało
 Że mu niewdzięcznym się okazać śmiało.

Dymitr.

Miej litość starcze, spojrzuj jak pobladła.

Ojciec.

To suknia strachu, niech się nią okrywa,
 Ze łzami owoc grzechu się spożywa;
 Z jej oczów także zasłona opadła,
 I dla méj głowy kara już dojrzędła.
 Przy drzwiach twojego ojca posiwiałem,
 On mnie do siebie przykuł łask ogniwem,
 Z jego rąk dach ten i tę rolę miałem,
 Lichy swój żywot, karmię jego żniwem,
 Teraz mu syna w hańbę uplątałem!
 Niechże ramieniem mnie dosięga mściwem,
 Przed ciosem jego nie szukam obrony;
 A ty sam czuwaj nad całością żony *(odchodzi)*.

SCENA IV.

MARYA i DYMISTR.

Marya.

Słyszałeś?

Dymitr.

Maryo! nie dziw się staremu,

Bojaźń jest zwykłą starości chorobą;

Na mnie polegaj, ufaj sercu memu,

Żadna mię siła nie rozdzieli z tobą.

SCENA V.

CYGANKA, MARYA i DYMISTR.

Marya.

Któż się tu zbliża?

Cyganka.

Czy mię nie poznajesz?

Marya.

Nigdyś podobno nie była mi znaną.

Dymitr.

Kto jesteś? że tak dziwną się wydajesz?

Jakżeś tu weszła że cię nie dojrzano?

Cyganka.

Dla was gościńce i obszerne bramy,

Bo zwykle z wami wasza wielkość idzie;

Cyganki żadne nie wstrzymują tamy,

My swoje drogi, swoje wnijścia mamy.

Dymitr.

Po cóżeś przysła?

Cyganka.

Wasze serca w trwodze,

Wy ślepém okiem jutra nie widzicie,
 A ja znam przyszłość; odkryć ją przychodzę
 I powiem wiele jeśli pozwolicie,
 Jeśli mi dobrém słowem zapłacicie.

Marya.

O! jak mię ona trwoży i przejmuje!

Cyganka.

Cóż tak dziwnego oko twe znajduje
 W licu cyganki, że poglądasz z drzeniem?
 Nie nowém jestem dla ciebie zjawieniem;
 Znam cię oddawna—jam cię wtenczas znała,
 Gdyś jeszcze matki kochać nie umiała.
 Dziś insza miłość serce twe zajęła,
 Inném cię odtąd przewano imieniem;
 Czy ci i pamięć z dawniejszém zginęła?

Dymitr (do Maryi).

Znałaś ją kiedy?

Marya.

Nigdy.

Cyganka.

Nie pamięta.

Wstyd mi niewdzięcznój. Jeszcze w tym ogrodzie,
 Do brzegu rzeki wiérzba przyrośnięta
 Pniem poczerniałym chyli się ku wodzie;
 Jeszcze się w falach jój gałązki myją,
 Jeszcze jój listki szybką wodę piją.

Marya.

Ty znasz to miejsce?

Cyganka.

Znam miejsc wiele, wiele;
 Niedawno pod tym cieniem spoczywałam,
 Co się na miejscu twego grobu ściele.

Marya.

Cyganko! teraz sobie przypomniałam,
Wznowiłaś pamięć dzieciństwa przygody,
Tyż mnie tonącą wydobyła z wody?

Cyganka.

Swywolne dziewczę! rączkami małemi
Ujęłaś gałąź pnącą się wysoko;
Już wtenczas chciałaś odlecieć od ziemi,
I jak perelka wpadłaś tak głęboko,
Że cię wnet żadne nie dojrzało oko;
Woda nad tobą zamknęła się zdradnie,
Wszyscy przytomni przerażeni stali,
Ja poskoczyłam, ja cię wzięłam na dnie,
I z bladym licem wydobyłam z fali;
Rodzice twoi już cię oplakali.
Teraz się pewnie cieszą?

Marya.

Nieszczęśliwa!

Dymitrze, każ jój odejść.

Dymitr.

Precz cyganko!

O dawnych czasach jużeś dość mówiła,
Weź to i obacz czy ci dobrze płacę.
Chcę ci być wdzięcznym, cenię twoją pracę,
Tyś mi największe dobro ocaliła.

Cyganka.

Ślepym jest człowiek. Dobrem swém nazywa
Napój zdradziecki co go słodko truje;
Z chwili rozkoszy, niedola wypływa,
Co gmach nadziei tajnie podkopuje;
Ścieszka do zguby gładka i zdradliwa,
Wonnym ją kwiatem żądza usypuje;

Mądry kto zdradę i ponęty minie,
Kto widzi jutro w dzisiejszej godzinie.

Dymitr.

Zkąd się ty wzięłaś? Te rozumne słowa,
Lepsze niż stan twój, starsze niż twe lata.

Cyganka.

Idę zdaleka, idę z końca świata.

Dymitr.

Któż jesteś? Przebóg!

Cyganka.

Daj mi twoje dłonie.

Pytania twoje płocze i niebaczne;
Poznasz kto jestem gdyć przyszłość odsłonię,
Gdy w sercu twojem myśl twą czytać zacznę.
Drzysz moję dziecię? Stoisz tak zdaleka,
I tobie także powiem co cię czeka.

Dymitr.

Jużeś ją dawném strwożyła wspomnieniem,
Nie chce twój wróżby.

Cyganka.

Niech mi rączkę poda

A skroń jej grubszym się otoczy cieniem,
Bo jeszcze jedna czeka ją przygoda.

Marya (prędko podaje jej rękę).

Masz, powiedz.

Dymitr.

Na to pozwolić nie mogę.

Z własnych urojeń przyszłość ci usuje,
Ciemnemi słowy twą powiększy trwogę,
I kwiat nadziei zmrozi i zepsuje.
Oddal się — znam ja waszych wróżb widziadła.

Cyganka.
Drżysz, bym zamiarów twoich nie odgadła.

Dymitr.

Ja drzę o ciebie cyganko zuchwała,
Byś na dnie Bugu wróżb swych nie sprawdzała.

Cyganka.

Szybki pęd Bugu, woda w nim głęboka,
Dna jego twoja nie dojrzy żrenica;
Księżyc w nim kąpie srebro swego lica,
I gwiazd iskierki patrzą weń zwysoka.
Lecz ja przechodzę fale nieprzebyte,
Jak ty na brzegu piaski słałdowane;
A jak twe chęci tajne i ukryte,
Równie dno Bugu widne mi i znane.
Daj mi swą rękę.

Dymitr.

Cóż jest w mojem łonie,
Coby się oka twojego lękało?
Nie trwóż jęj próżno. Oto moje dłonie:
Co w nich wyczytasz, to wypowiedz śmiało.

Cyganka.

Dumny młodzieńcze, ciemném patrzysz okiem.
Nie rządzisz losem i nie władasz sobą,
Jak nie kierujesz posepnym obłokiem
Który wiatr zmaca i pędzi nad tobą.
Wiészże gdzie pójdzie? Kiedy, jakie błonie,
Ta błędna chmura swoim dęszczem zmoczy?
Wiészże gdzie jutro serce twe utonie?
Do jakiej twarzy przylgną twoje oczy?
I ja mam mówić co na twojej dłoni
Widzę i czytam, na toż, by z jęj skroni

Krew ustąpiła? by u nóg twych padła
Jak liść jesieni zwiędła i wybladła?

Dymitr.

Szalona! Czemuż się unoszę gniewem?
W tém wasza mądrość! Zastraszać lubicie,
Bo nasza trwoga karmi wasze życie.
Dalej, odzywaj się puszczyka śpiewem,
I jeśli umiesz, powiedz co mnie czeka.

Cyganka.

Nim słońce w ogniach zachodu utonie,
Nim gwiazdy w morzu niebios utajone,
Wypłyną blade na wschodowej stronie,
Nim księżyc srebrne wydobędzie skronie,
Ty, synu pychy! opuścisz swą żonę.

Dymitr.

I prędjéj będą wróżby twe sprawdzone,
Jadę za chwilę.—Mocno się dziwuję
Mądrości twojej!

Cyganka.

Ona mnie pojmuje,

Bo dalej widzi i prędjéj zgaduje
Serce kobiety, niż mężczyzny głowa.

Dymitr (do Maryi).

Tyżbys do słów jéj wiarę przywiązała?

Marya.

Ach! gdybym kiedy cię utracić miała!

Dymitr.

Łzy w twoich oczach? mówisz z takim drzeniem?
Kto cię tu przysłał? byś piekielném technieniem
Truła nam pokój? i jak wąż zjadliwy,
Po kwiatkach naszych pierś swą przesuwała?

Precz ztąd potworze! Prorok nieszczęśliwy,
Co się zdradziecko w mgłę przyszłości wdzięra,
Gorszą od wróżb swych nagrodę odbiera.

Cyganka.

Gniw twój niebaczny. Gróżb się twych nie boję,
Nie dla mnie kary i nagrody twoje.
Nad głową moją wiele lat minęło,
Dziwne na ziemi przebyłam koleje,
Lecz moje słońce już się zasunęło;
Z siły się waszój i gróżb waszych śmieję.
Już się te brzozy dawno w proch zmieniły,
Których się różeczki we krwi méj pławiły.
Niekiedy tylko po zamglonój drodze
Przybywam w nocy, lub się zbliżam we dnie,
I biada temu do kogo przychodzę,
Jeśli nie wierzy w moje przepowiednie.
Ty za cygankę masz mię pospolitą,
I ja cię nie chcę wyprowadzać z błędu;
Lecz wróżbę moję w sercu méj wyrytą,
Bo się dopełni....

Dymitr.

Gdy to serce zdoła
Na jaki powab, dla jakiego względu
Zdradzić, i tego opuścić anioła,
Niechaj trucizna szybka jak to słowo
W proch je obróci.

Cyganka.

Grzeszysz płochą mową.

Dymitr.

To wola moja.

Cyganka.

Zadość jój uczynię.

Dymitr.

Teraz zejdz z oczu—opusc nasze progi.

Cyganka.

Pojde, lecz w mysli waszej nie zaginie
Pamiec cyganki i ta chwila trwogi.
W ciezszej sie jeszcze obaczmy godzinie.

Dymitr.

Zapomnij Maryo, o zlowieszczym glোসie
Tej nedznej wrózki. On jak spiew puszczyka
Jest tylko brzmieniem. Nic on w naszym losie
Zmienic nie zdoła, choc dusze przenika.
W te ciemne slowa pozbawiane tresci,
Nasza mysl własna, nasze trwogi mieści.
Nie wierz im Maryo! Umysl mój niezmienny,
Sprzecznych mi losów prózne wysilenia.
Dotrzymam burzy nie jak liśc jesienny
Co z tchnieniem wiatru trzęsie się i zmienia,
Lecz jak głaz, co się od fali zapicnia.

Marya.

Juz poszła.

Dymitr.

Maryo! gdzie twa mysl ulata?

Marya.

Za wrózką! Daruj serca mego drzeniu.
Slyse w jej glোসie głos innego swiata,
I coś wyzszege widzę w jej zjawieniu;
Kto wie co będzie? Nasze tajemnice
Juz może wydał ten Stefan zdradliwy.
Zazdrość mój mężu orle ma zrenice,
I wspaniałości nie zna umysł mściwy.
Lecz bądź spokojny. Choc w niewieściem łonie,

Znajdzie się jeszcze siła i odwaga.
 Bojaźni sercu, oczom łez zabronię,
 By cię nie smucić gdy się burza wzmaga.
 Już łódka nasza dąży w pełnym biegu
 Bez wiosła, gniewna ją unosi fala;
 Daremnie płakać, próżno wołać brzegu,
 Gdy brzeg zdradziecki coraz się oddala.
 Ulżyjmy nawie, ciebie niech ocala.
 Uczyni, jak inni, co morzem pływają:
 Słyszałam nieraz, że gdy maszt złamany,
 Podarty żagiel, liny popękają,
 Choć drogi ciężar, w wodę go rzucają,
 By uszli cało, by w okrętu ściany
 Łakome łupu nie tłukły bałwany.
 Czemuż się marszczysz, posłuchaj mój luby!
 Jeśli twój ojciec już uwiadomiony,
 Idź, błąd swój wyznaj, odstęp swojej żony;
 Przykry mu węzeł zerwij bez wahania.
 Ja z téj ofiary szukać będę chluby;
 Bolesną będzie godzina rozstania,
 Lecz wierz mi, trwogą nie zdrzę nikczemną,
 Gdy się ta przepaść otworzy przedemną.

Dymtr.

Bądź zdrowa Maryo! nie dla mnie twe rady,
 Nie myślisz szczerze, bym ja mógł tak snadnie
 Wyrzec się ciebie i dopuścić zdrady.
 Bądź zdrowa! Niebo naszym losem władnie.
 Jadę do ojca. Nim słońce zapadnie,
 Wrócę. Tymczasem w méj nieobecności,
 Myśl o mnie, dokończ szarfę obiecaną;
 Może niedługo darem swój miłości,
 Ujrzysz rycerza swego pierś ubraną;

Jeśli to prawda że Tatarów tłuszcza
Po kraju naszym zagony rozpuszcza.

Marya.

Ach! oby nigdy się nie przybliżyli!

Dymitr.

Gość to gwałtowny i niespodziewany.
Często, nim jeszcze zbrojeśmy włożyli,
Już niezgojone zadawał nam rany.
Często nim przyjdzie o nim wieść straszliwa,
Już się jęk starców, płacz dziewic odzywa,
Kurzą się wioski, wznoszą miast pożary.
Dziś wieść tak głośna.

Marya.

Pójdiesz więc do boju?

Dymitr.

O moja droga! Czyż mój ojciec stary
Nie ma po długim odpoczywać znoju?
Bądź zdrowa Maryo! *(Ścisła żonę, i podawszy rękę wchodzącąj
Annie wychodzi.)*

SCENA VI.

MARYA i ANNA.

Anna.

Gdzież twój mąż pośpiesza?

Do ojca.

Marya.

Anna.

Maryo! czemuś tak zmieszana?

Marya.

Niechaj cię trwoga moja nie rozśmiesza;
Była tu wróżka. O Anno kochana!
Dziwną istotę zdradza postać cała;
Jaka w niej mądrość!

Anna.

Cóż przepowiedziała?

Marya.

Że mnie mój Dymitr opuści.

Anna.

O biada!

Marya.

Śmiejesz się Anno?....

Anna.

Wróżba wielkiej treści;

I już sprawdzona. Już na konia siada

Srogi niewdzięcznik! Kochankę porzucił,

By do niej ledwie przed zachodem wrócił.

Marya.

Inne znaczenie w jój się słowach mieści.

Ach Anno! dawniej i mnie żart był miły,

Teraz do śmiechu utraciłam siły.

Czy ty co słyszysz? *(Słychać śpiewo za sceną).*

Anna.

Słyszę słowa twoje,

I szelest liści.

Marya.

Tak się teraz boję!

Cieni który obłok na murawy rzuca,

Groźne widziadła w myśli mój ocuca.

Pójdźmy nad rzekę: tu mi głowa płonie,

Powietrze wody może mię ochłodzi.

Znowu coś słyszę.

Anna.

I ja.

Marya.

W bliższym tonie,

Jakaś pieśń dziwna uszu mych dochodzi;

Czy słowa wróżki drzewa zatrzymały?
Czy mnie wzywają groźne Bugu wały?

Anna.

To coś dziwnego, któż te głosy godzi?

ŚPIEW (za sceną).

Do nas, do nas, Nimfo młoda!

Do nas Bugu żono!

Tu obejmie jego woda

Twoje śnieżne łono.

Do nas, do nas, gościu nowy!

Wśród szumiącej fali,

Znajdziesz pałac kryształowy,

I pierścien z korali.

Tu odbiera cześć uroda,

I tu wdzięki swemi,

Władać będziesz Nimfo młoda,

Zapomnij o ziemi.

Marya.

Słyszysz ostatnie słodkich tonów brzmienie?

Teraz już cicho, już ustało pienie.

Pójdźmy ztąd Anno, pójdźmy jak najdalej,

Wkrótce się poznam z temi co śpiewali.

(KONIEC AKTU PIĘRSZEGO).

AKT II.

(Sala w zamku wojewody).

SCENA I.

STEFAN i DWORZANIN.

Stefan.

Mogę się zwierzyć, ale tylko tobie.

Dworzanin (kładąc rękę na sercu).

Tu sekret milczy jak umarły w grobie.

Stefan.

Choć różni krajem, ale sercem zgodni,
Byliśmy zawsze bracia jednorodni.
Słuchaj mię zatem. Chceszże mi dopomódz
W zamiarze trudnym, wielkim, niebezpiecznym,
Lecz tak mi słodkim jak lip gęste cienie
Dla głowy skwarem przejętej słonecznym;
Tak pożądanym jak źródła mruczenie,
Dla piersi które spaliło pragnienie?

Dworzanin.

Czegoż chcesz?

Stefan.

Zemsty!

Dworzanin.

Nad kim?

Stefan.

Nad Dymitrem.

Dworzanin.

Zwierz to za gruby; może odbić strzały,
I w piersi strzelca odrzucić pociski.
Chciałbym twych łowów dzielić trud i zyski,
Aleś ty widzę za nadto zuchwały.

Stefan.

Nie dbam o siebie.

Dworzanin.

Gniw się twój zacieka.

Stefan.

Wiész co to krzywda? Znajdź mi gdzie człowieka
Coby zapomniał gdy mu kto wydzięra
Co miał najdroższe?

Dworzanin.

Cóż? kochankę?

Stefan.

Czemu

Ze śmiechem pytasz? Czy to dojrzałemu
Kochać nie wolno? Włos mój już siwieje,
Wiosna już przeszła, jesień się natrąca;
Lecz jeszcze ciało młodym ogniem grzeje,
Krew niezepłuta i dusza gorąca.
Na co ci mówić; wszak nie tajemnica
Gdzie oko moje, do czyjego lica
Przystało serce. Nim się rozwinęła
Jużem ją kochał. Gdym wesołe dziecię
Pieścił i bawił, w pęta mię ujęła,
Których przez całe nie potargam życie.
Każdy dzień wdzięki w niéj rozwijał nowe,
Serce rozmarzał i zapalał głowę.

Dworzanin.

Siwą.

Stefan.

Lecz młodą. Tajną miłość długo
Karmiłem w duszy, kryłem się z swym celem;
Byłem jéj domu wsparciem, przyjacielem,
Niejedną ojca zniewolił przysługą:

I póty czekał aż mój czas przeminął,
 Aż kwiatek dojrzał, pięknie się rozwinął
 I zwabił oczy. Przyszła ręka śmiała,
 I com dla siebie pielęgnował, chronił,
 Bez trudu wzięła, dla siebie zerwała.
 Młodzik mię ubiegł, chociaż krótko gonił.
 Przecież do walki jeszcze się ośmielę;
 Jeszcze nadzieja serce moje ludzi,
 Jeśli ta zniknie, łożę jej zaściele,
 W którym gdy zaśnie, nie wiem czy się zbudzi.
 Nic, albo wszystko. Połówek nie lubię,
 Ni pół przyjaźni ni pół nienawiści
 Nie znam, i własnej nie patrząc korzyści,
 Chętnie z tym ginę, kogo z serca gubię.
 Wziął mi kochankę, odebrać ją muszę.
 Żywa czy martwa już dla mnie stracona.
 Lecz niech on moje zrozumie katusze,
 Niech się o ból mój spyta swego łona.
 To cel mój.

Dworzanin.

Jeszczem nie znalazł cię z téj strony;
 Wiész gdzie najgłębszą można zadać ranę.
 Czy wojewoda już uwiadomiony?

Stefan.

Dotąd mu jeszcze związki ich nieznanne;
 Dziś je odkryję, trudno taie dłużej.

Dworzanin.

Powiedz, najlepiej on ci sam usłuży,
 Gniew jego prędki.

Stefan.

Zemstę w nim zapalić
 Łatwo, lecz żeby nie zląkł się rozpaczy

Syna, potrzeba syna ztąd oddalić.
Nieobecnemu pewnie nie przebaczy.

Dworzanin.

Cóż mam uczynić?

Stefan.

Stwierdzić wieść straszliwą

O najściu pogan. Zaraz się co żywo,
Zamkowy żołniierz w szeregi ustawi,
A z mojej rady ojciec go wyprawi.
Gdy dam znak, wtenczas wejść do wojewody,
Opisz rabunki, spustoszenia, szkody,
I bliskość wrogów. Wszak to nie pomnoży
Nieprzyjaciela, że się coś przyłoży.
Ty sam wyprawy będziesz przewodnikiem.
Pod twoją wszystko wyruszy opieką,
Ale rozumiesz!.... prowadź ich daleko,
Drogą niepewną, obłądnym wężykiem,
Byśmy czas mieli uprzątnąć synowę.

Dworzanin.

A co wypadnie.....

Stefan.

Biorę na swą głowę.

Dworzanin.

Niech i tak będzie.

Stefan.

Ale któż to zgadnie,

Jaka trucizna, jaka słodycz na dnie
Téj pełnej czary? co wypadków fala
Dziś niewyraźna, błyskająca zdala,
Na mój brzég rzuci? Jeśli ją zatrwożę,
Podanej ręki uchwyci się może.

Przejdziem Karpaty; wszak zna miłość moję.....
 Śmiejesz się, prawda, niedorzeczy roję.....
 Trudno odzyskać, com na zawsze stracił;
 Chwastem zarosłe szczęścia mego pole
 Nie wyda kwiatu. Myśleć raczój wołę,
 Abym się zemścił; abym mu odplacił
 Krzywdę za krzywdę i bólem za bóle.
 Precz!.... wojewoda. Bądź na pogotowiu.

SCENA II.

WOJEWODA (*z pismem*) i STEFAN.

Wojewoda.

Cieszyć się muszę, gdy rozważam w sobie
 Jak mi los służy: i szczodremi dary
 Myśli ubiega, upredza zamiary.
 Teraz spokojnie mógłbym spocząć w grobie.

Stefan.

Łaskawy panie! światło co twą głowę
 Otacza, w części na twe sługi spływa.

Wojewoda.

Z tém pismem nowa możność mi przybywa,
 Mienie się moje mnoży o połowę.
 Pan na Tarnowie do związku mnie wzywa,
 Młodą i piękną dając mi synowę.
 Razem związane nasze dwa imiona,
 Szeroko w kraju rozciągną ramiona.

Stefan.

Szczęśliwy związek jeśli się uści.

Wojewoda.

Czy wątpisz?

Stefan.

Panie, dotąd los przychylny

Większe od życzeń dawał ci korzyści;
 Cośkolwiek zasiał miałeś plon niemylny.
 Dobra to wiara. Lecz fortunę zdradną
 Trudno uwięzić, zmienne jój koleje.
 Kości szczęśliwe czasem źle wypadną,
 Bez skutku mogą zstarzeć się nadzieje.

Wojewoda.

Nigdyś podobnym nie mówił językiem,
 Dawnoż złowróbnym zostałeś puszczykiem?

Stefan.

Odkąd uważam lepiej co się dzieje.

Wojewoda.

Czemuż nie mówisz? czyliż mię uwodzi,
 Łudząc jak dziecię cackiem zakazaném?

Stefan.

O! nie! Lecz syn twój jest swój woli panem,
 Nie wiem czy z twoją tak się łatwo zgodzi.

Wojewoda.

Cóż to u Boga! zkąd ci to przychodzi?

Stefan.

Rumak to młody, ułović się nie da
 Na bujnym stepie, gdzie ma paszy dosyć.
 Za trochę siana w jarzmo się nie przeda,
 Wstrząśnie wędzidłem które nie zwykł nosić.
 Daruj mi panie, lecz ja mówię śmiało,
 Że wątpię by ci teraz się udało.

Wojewoda.

Co to ma znaczyć? gdzie ta ścieżka kręta
 Wyjdzie. Słów twoich nie potwierdza lice,
 Wzrok twój wydaje jakąś tajemnicę.
 Prawda, pamiętam, ponoś mię ostrzegał,

Że go ujęła gładka twarz dziewczyny
 O którą dawniej i tyś się ubiegał.
 Wierzę, do strachu słuszne masz przyczyny,
 Drżysz, by ta młoda pszczołka nie wyssała
 Wszystkiój słodyczy z serca twego-kwiatu.
 Nie bój się, całej woni nie zabrała,
 Całego z listków nie starła szkarłatu,
 Dość ci zostanie. Co będzie brakować,
 To można dobrą wioską powetować.

Stefan.

Żal mi że przyjąć darów tych nie mogę.
 Nikt mojej straty wrócić mi nie zdoła;
 Kościół do szczęścia założył mi drogę,
 Odkryć ją może tylko głos kościoła,
 Lecz i to ciężko.

Wojewoda.

Coś wyrzekł? szalony!

Stefan.

Bolesną prawdę. Panie! cudzej żony
 Nie mogę pragnąć.

Wojewoda.

Żony mego syna!
 Co, ona żoną jego? Nieba! Nieba!
 Córka żebraka, co z rąk moich chleba
 U mych drzwi czekał? Jeśli ta nowina
 Tchnie złością, jeśliś skłamał, wszystkie bogi
 Wezwij na pomoc, zda ci się ich ramię;
 Mógłbyś niebaczny za tę chwilę trwogi
 Swój język ujrzeć na zamkowej bramie.

Stefan.

Gniw twój, o panie, słuszny, lecz niewczesny.

Wojewoda.

Toż ma być prawda? mógłże mię tak zdradzić,
W pierś ojca rzucić pocisk tak bolesny?

Stefan.

Już nie czas wąpić, ale czas zaradzić.

Wojewoda.

Właśnie w tój porze, kiedy szczęście nowe
Do progów moich wpływało potokiem,
Tak pięknych myśli potargać osnowę,
Pole nadziei zamknąć przed mém okiem!
Nadużyć zdradnie ojca zaufania,
Bez mojej wiedzy, bez mojego zdania,
Ślubem się związać! Gdzież ten ksiądz zuchwały
Co ich śmiał złączyć? powiedz, wiészże który?
Powiesić zdrajcę, przybić go na wały
Zamku. Niech żeni wron i kruków chmury,
Gdy im na ucztę pójdzie jego ciało.

Stefan.

Wyrok twój serce jego przeczuwało,
Wiedział co zrobił i drogi tajnemi
Uszedł bez wieści.

Wojewoda.

Lecz nie uszedł z ziemi.
Znaléć go trzeba. A ten żebrak stary,
Co mém ramieniem podniósł się nad ziemię,
Także mi płaci ręki mojej dary
Że w moje gniazdo rzuca własne plemię?
Słuchaj! Tój nocy pošlesz mi tam ludzi;
Plac jego domu popiół niech zaściele,
Płomień wsi całej niech go ze snu zbudzi,
I córki jego oświeci wesele;

Każesz zaorać to siedlisko zdrady,
Zboże niech rośnie gdzie się kryły gady.

Stefan.

Łatwo wykonać coś rozkazał panie,
Bo kogoż ramię twoje nie dosięże?
Lecz syn twój przeto wolnym nie zostanie,
I zemsta związków jego nie rozpręże.
Z dymem wzniesionym nad pożarem wioski,
Ani synowa, ani twoje troski
Zniknąć nie mogą.

Wojewoda.

Z kamieniem u szyje,
Niechaj się w Bugu z winy swój obmyje.

Stefan.

Choćbyśmy kamień jój uwiązać chcieli,
Racz wspomnieć panie, kto jest jój rycerzem;
Któryż z nas na nią targnąć się ośmieli
Gdy ją zastoni piersi swych puklerzem?

Wojewoda.

Więc niema środka? więc już nie masz głowy?
Dziś, jutro, wolnym go obaczyć muszę;
Zbyć się jakkolwiek niegodnej synowy,
Odrzucić trwogę co mi dręczy duszę.
Z ocz twych postrzegam że masz plan gotowy.

Stefan.

Honor imienia twego się ocali,
Jeśli twój rozkaz syna ztąd oddali.
Panie, pogłoska właśnie się rozchodzi,
Że się zbliżają do tych stron Tatarzy;
Wieść to niepewna, ale nie zaszkodzi
Korzystać z trafu, którym los cię darzy.

Dla bezpieczeństwa już się wojsko twoje
 Co żywo zbiera. Niech na jego czele
 Syn twój dziś jeszcze pośpiesza na boje,
 A gdy odjedzie, wtenczas się ośmielę
 Spełnić twój rozkaz, wtenczas miłość moje
 Przypomnę pięknej którą z nim rozdzielię.

Wojewoda.

Przygotuj wszystko.

Stefan.

Wszystko już gotowo,
 Czekałem tylko, panie, na twe słowo.

Wojewoda.

Niéma co myśleć, wahać się nie mogę.
 Ród mój i godność prędkiej rady wzywa.
 Tajemnym ślubem zamknął sobie drogę,
 Tajemny rozwód niech zapory zrywa.
 Zdrada za zdradę; niech Tatarów goni,
 A ty rób swoje.

Stefan.

Lecz chciéj zważać panie,
 Jeśli cokolwiek zamiar twój odłoni,
 Skoro się wydasz, w domu pozostanie.
 Pragnieszli skutku? musisz zwalczyć siebie.
 Utaj połowę co ci jest wiadomém,
 Nie drażnij syna gniewnych piersi gromem,
 I żal niech na czas w sercu się zagrziebie.

Wojewoda.

Trudno to będzie, łatwiéj ci tak radzić.
 Syn cię nie zdradza, zwykleś się ukrywać.
 Ja burzy piersi swych nie umiém gładzić,
 Cichém zwierciadłem wrzących fal odziewać,

Co zawre w łonie, wnet się do ust cisnie,
 Co się tu zatli, to i w oku błysnie.
 Jednak obaczym. Kiedym musiał dożyć
 Tak ciężkiej chwili, tak ciężkiego sromu,
 Wołę się zwalczyć, wołę się ułożyć,
 Niżli dopuścić hańby mego domu.
 Ród mój wzniesiony, już pierwszeństwa blizki;
 Przez całe życie szerzyłem swe ziemię;
 Ten dom dla córek królów nie za niski,
 Z krwi namaszczonej mógłby chować plemię,
 I gdy wiek późny z siły mię obnaża,
 Gdym się na szczycie odpocząć spodziéwał,
 Na tożem zbierał, aby plód nędzarza
 Plonem mych trudów nagość swą odziéwał?
 Nie, licha sowo! ślepe czy twoje
 Nie zniosą słońca. Skrzydła twe za małe;
 Nie zdołasz wzbic się na wysoką skałę,
 Gdzie sokoł siedzi, gdzie ma gniazdo swoje.
 Rzucona z góry szpony potężnemi,
 W skrwawionych szczątkach dolecisz do ziemi.

Stefan.

Miarkuj się panie, słyszę jego kroki.
 Niech umysł mężki zapęd krwi oddala.
 Pomnij, że chwila, że dzień jeden zwłoki,
 Dom twój poniża, synowę ocala.

Wojewoda.

Na ile siły stanie serce moje
 Użyję wszystkich. Ty naszój rozmowie
 Będiesz obecnym, aby w jakimś słowie
 Nie wyszły na jaw gniew i niepokoje;
 A gdy żalowi górę wziąć pozwolę,
 Gdy ujrzysz burzę blizką wybuchnienia,

Niechaj przestrogę znajdę na twém czole
I w twojém oku słowo upomnienia.

SCENA III.

WOJEWODA, DYMISTR i STEFAN.

Wojewoda.

Witam cię synu, dawno niewidziany!

Dymitr.

Mój ojczel! nie mam się czém wytłumaczyć,

Czuję się winnym.

Wojewoda.

Wierzę.

Dymitr.

Racz przebaczyć!

Wojewoda.

Przebaczyć?

Dymitr.

Przebóg! Ojczel mój kochany!

Widzę gniew w licu i spojrzeniu twojém.

Wojewoda.

Nie mam się czego cieszyć. W swój ustroni
Przebywasz ciągle z płonnych marzeń rojem;
Tam myśl zbłąkana nie wie za czém goni.
Serce odwykły od wysokich chęci
Łatwiej się znizy, łatwiej złém przynęci.

Dymitr.

Nie trwoż się ojczel! serce moje czuje
Co mu przystoi. Prawda, lubię marzyć
W zaciszu, którém chciałeś mię obdarzyć;
Lecz ja tam obraz matki méj znajduję,
Tam się mém sercem duch jój opiekuje.

Wojewoda.

Czcze to myślenie, pajęcza osnowa,
 Jeżeli ręka myśli nie wykona.
 Bez wieńca zchodzi zapomniana głowa,
 Kiedy żądz wielkich nie ma w głębi łona.
 W bitwach, u dworu, w senatorów kole,
 Tam nie plac marzeń, lecz czynności pole.

Dymitr.

Lot twój, mój ojcze! tak wysoko wzbity,
 Że powiém łaski wzniesć go już nie zdoła.
 Czas przygotuje laur dla mego czoła,
 I same wkrótce znajdą się zaszczyty.
 A jeśli bez nich młodość mi uleci,
 Jeśli jój żadnym nie rozślwiąę czynem,
 Dość, że me czoło twoim blaskiem świeci,
 Dość mam honoru, żem jest twoim synem.

Wojewoda.

Nikczemna skromność. Tę świetność, to imię,
 Ten plon mych trudów, zyskałem daremnie.
 Zajdzie to słońce, gdy twe serce zdrzymie
 W cieniu budowy wzniesionój przezemnie.
 Największe gmachy czas zawzięty spożył,
 Gdy syn nie wzmagał, co ojciec założył.

Dymitr.

Ostre to słowa, za ciężkie wyrzuty!
 Jeżeli dotąd kraju nie zasłaniał,
 Takżem już ojcze! z honoru wyrzuty
 Bym się rzekł sławy lub się pracy wzbraniał?
 Mam silną rękę wprawioną za młodu.
 I choć mój oręż dotąd w pochwie leży,
 Ręczę, że w męztwie nikt mię nie ubieży:
 Chcę cię przekonać żem wart swego rodu,
 Że wiem kto jestem.

Wojewoda.

Tak jest, chcę dowodu.

W téj chwili wiele na tém mi zależy.

Wojna mój synu jest rzemiosłem naszym.

W cieniu sztandarów serce się sposobi,

Krwia wypisany, wyryty pałaszem

Herb, który czoło naszych zamków zdobi,

To droga twoja. Śmiałość ci przyznaję,

Tam gdzieby trzeba, nie drży twoja ręka.

Odważnie serce twoje się oddaje,

I nawet gniewu ojca się nie lęka.

Wiém.

Dymitr.

Ojcze!

Stefan.

Panie! daruj śmiałej mowie,

Krew twa i serce w synu twym uderza.

Byłem sam świadkiem, włos mi wstał na głowie,

Kiedy z oszczepem na wściekłego zwierza

Rzucił się śmiało, by strzelca ocalił.

Wojewoda.

Cóż cię tak dziwi?

Dymitr.

Próżnoby się tań

Jak mię zdumiewa głos tu podniesiony.

Jeszczem ja uszów swych nie przyzwyczaiał

Do twego gniewu, do jego obrony.

Tak nagle zmiana nie jest bez przyczyny,

Radbym jój dociec.

Wojewoda.

Nie znasz się do winy?

Ale nie teraz pora. Wieści głoszą,

Że dzicz rozpuszcza po kraju zagony,

Požary wiosek, ognie miast się wznoszą;
 Bez matek dzieci i bez mężów żony
 Idą spętane. Jeśli pragniesz sławy,
 Lepszego pola i godniejszej sprawy
 Znaléć nie zdołasz. Wojsko już gotowe,
 Czas już mój synu zająć miejsce moje;
 Weź ten miecz stary, okryj hełmem głowę,
 I dzisiaj jeszcze wyruszaj na boje.
 Chcesz?

Dymtr.

Tyż ojciec wątpisz?

Wojewoda.

Gdy powrócisz,

Do wieńca, którym imię twe zastynie
 Przydam i drugi. Na czole młodziana,
 Mirt się rozkrzewia chętnie przy wawrzynie;
 Gałązka szczęścia słodką łąką polana,
 Śmielój się wije i dłużej zieleni
 Przy męzkim liściu co się krwią rumieni.
 Twe lice w ogniu! Lubię ten rumieniec.
 Sławie i szczęściu młody wiek należy.
 Twardą ma duszę, dzikito młodzieniec,
 Gdy twarz i oko krwią mu nie zabieży
 Na samą wzmiankę chwały i kochania.
 Wkrótce się ze mną udasz do stolicy;
 Pan na Tarnowie chętną wolę skłania
 Do związku z nami. Rękę swój dziewicy
 Tobie oddaje; warta jest starania.
 Piękność i dobroć, imię i dostatki,
 Wszystko posiada. Takiój chcę synowy,
 Takiój dla wnuków swoich pragnę matki.
 To ręki twojej godne są okowy.
 Aleś ty poblady?

Dymitr.

Nie dziw się mój ojcze!
Dajesz mi żonę której nie znam, żonę
Któręj nie kocham.

Wojewoda.

I cóż cię ośmiela
Pogardzać darem ręki i urody
Pierwszój dziedziczki w kraju? przyjaciela
Mojego córki?.....

Dymitr.

Nie sam ród i mienie,
Budzi mojego serca uderzenie.
Daruj mi przeto, jeśli wyznam śmiało,
Że do tój szali gdzie me losy ważyysz,
Trzeba by serce moje coś przydało.
Inaczęj próżno w myśli swęj kojarzysz
Wielkie imiona; do podania dłoni
Nie wiem czy nawet gniew twój mię nakłoni.
Wolę lot zniżyć....

Wojewoda.

Czyś go już nie zniżył,
Mnie nie zasmucił, sobie nie ubliżył?
Czy myślisz że ja z murów mego domu
Nie widzę wszystkich śladów twojój nogi?
Wiém, gdzie twe serce dąży pokryjomu,
Jakie myśl twoja przestępuje progi.
Wiém zkąd ten upór.

Dymitr.

Ach! mój ojcze!....

Stefan.

Panie!

Wojewoda (do Stefana).

Milcz! (Do syna) A ty słuchaj. Jeśli to kochanie

Płochę i tylko zmysły twoje łechce,
 Gdy ją chcesz uwieść, ja i tego nie chcę.
 Nie dla rozpusty piękność jej wstydliva.
 Jej ojciec stracił dla mnie wiek i zdrowie,
 Niechaj nagrody za swój trud używa,
 Daj cicho spocząć jego siwój głowie:
 Mógłbyś go zabić sromotą dziecięcą.
 Lecz jeśli inne miałbyś przedsięwzięcia,
 Namyśl się wcześniej, pomnij co ją czeka.
 Byłem ich słońcem póki niżej stali;
 Za śmiała bliskość strawi ich i spali.

SCENA IV.

WOJEWODA, DYMITER, DWORZANIN I STEFAN.

Wojewoda.

Cóż tam?

Stefan.

Złe wieści. Dzicz już niedaleka.

Wojewoda.

Prędzej opowiedz, z której idą strony?

Dworzanin.

Trzema oddziały dążą ich zagony.
 Jednym pustoszą żyzne Rusi niwy,
 Drugim Halickie, trzecim nasze plony.
 Widać płomienie, słychać jęk płacziwy,
 Stoją zwaliska niejednego miasta,
 I zgroza zewsząd szerzy się i wzrasta.
 Lud zwykłym strachem napastników liczy,
 Lecz ci co śmielszém rachują ich okiem
 Mówią, że zagon téj zuchwałój dziczy
 Niezbyt potężny. Naszych dzid widokiem

Łatwo się ztrwoży, odstąpi zdobyczy,
I za Boh szybkim przeniesie się krokiem.

Wojewoda.

Tak i ja myślę. Lecz nie traćmy chwili,
Wojsko gotowe niech zaraz wychodzi.
Powiedz tym wszystkim co się zgromadzili,
Że odtąd w boju mój syn im przywoździ.

Dymitr.

Ojcze! na głos twój wszystkie krew przeleję,
Ale cię błagam, racz twój zamiar zmienić.
Zgubioną sercu memu wróc nadzieję,
Co nową siłę w moje piersi wleję,
Nowém je męstwem zdoła rozplomienić.

Wojewoda.

Nie łudź się próżno. Wybij sobie z głowy
Wszystkie nadzieje, wybór mój zrobiony.
Inszęj nie zniosę w domu mym synowy,
Pókim żyw, inszēj mieć nie będziesz żony.

Dymitr.

Jeśli tak ojcze! życia twego syna
Nie zwierzaj ślepo tēj niewiernēj dłoni.
Twojeto dzieło, twoja będzie wina
Jeśli go zdradzi, jeśli nie zasłoni.
Rozpacz mój ojcze, zły towarzysz broni.

Wojewoda.

Próżno mi grozisz, ja się grózb nie boję
I znam tę rozpacz. Jeśli serca sprawę
Przenosisz płocho nad swój ród i sławę,
Zostań. Twój ojciec zajmie miejsce twoje.

Dymitr.

Dosyć mój ojcze, śpieszę choć zraniony.
Ujrzysz czy obcych skrzydeł mi potrzeba.

Młody twój orzeł z gniazda wypuszczony,
 Za twoim śladem w twoje pójdzie strony,
 I jeśli spadnie, to spadnie zpod nieba. (Ochodzi)

SCENA V.

WOJEWODA, STEFAN.

Wojewoda.

Odszedł, i w porę. Bitwa całodniowa,
 Nigdy mi takiej męki nie zadała.
 Ciężko ściśnione piersi, płonie głowa;
 Wstydem i gniewem lice moje pała.
 Czegoż tak patrzysz? czy ci się podoba
 Kłamstwo w poważnych ustach senatora?
 Chytrość, obłuda, godnaż to ozdoba
 Tych włosów? pięknież mi przystoi zdrada?
 Nie chęć to moja, twoja to jest rada.

Stefan.

Paniel jeżeli....

Wojewoda.

Dosyć, już się stało.
 Śpiesz skutecznić zamiar przedsięwzięty.
 Zaciągnij sieci by nie uszli cało;
 Niech mię poznają. Łuk już jest napięty;
 Niech się rozłączy z wymierzoną strzałą.

(KONIEC AKTU DRUGIEGO).

(Dokończenie nastąpi).

WYCIĄG Z PAMIĘTNIKÓW
PUŁKOWNIKA PIOTRA BAZYLEGO WIERZBICKIEGO.

WYPRAWA DO SAN-DOMINGO.

UŁOŻYŁ I WYDAŁ

Leon Półochi.

(Dalszy ciąg).

Zaledwo pokój na wyspie San-Domingo przywróconym został, ucichły mordy i pożogi, a murzyn któren był za oręż uchwycił i od lat kilku krwawą wojnę toczył, powrócił do roli i spaloną chatę na nowo odbudowywać zaczął. Już z nieostygłych jeszcze popiołów wsie i miasta powstawać zaczynały, produktami krajowemi napelniały się spichrze, a okręta różnych narodów, cisnęły się do portów wyspy, niosąc wzamian za kolonialne płody, europejskie bogactwa.

Kapitan generalny Leclerc, chcąc ustalić zawarte przy-
mierze i pozyskać zaufanie i miłość krajowców, najważ-
niejsze urzęda powierzył naczelnikom murzynów: i tak,
zarząd policyi północnej części wyspy oddany został Kry-
sztofowi, zachodniej zaś części Dessalinowi. Kiedy wszy-
stko rokować się zdawało długie pasmo błogich dni dla
mieszkańców San-Domingo, nikt nie mógł przypuszczać

nawet, iż zerwanie pokoju było tak blizkiém, i niezaga-
sły, lecz przysypany tylko popiołem ogień, miał wnet
znowu wybuchnąć jaskrawym płomieniem.

W tymże samym czasie, okropna i zaraźliwa choroba
grasować zaczęła na wyspie. Pod wszelkimi oznakami
żółtej febry, której zjadliwość w owych stronach nigdy
do tego nie była doszła stopnia, pośród wojska francu-
zkiego i na flocie największy wpływ wywarła, najwięcej
dotknęła ofiar.

Choroba ta bez najmniejszych poprzedzających oznak,
częstokroć jak piorun zabijała na miejscu, czasami zaś
wolnym postępem i długim konaniem pastwila się nad
swoją ofiarą. Zaczynała się zazwyczaj od zapalenia mu-
zgu, przy najsilniejszej gorączce, największém pragnie-
niu, darciach w żołądku i ciągłym zbieraniu się na wy-
mioty. Ogień zdawał się płynąć w żyłach, a lica ciemną
purpurową przybierały barwę. Bywały przykłady, iż
chory zachowywał całą przytomność umysłu i mowę aż
do ostatniej chwili, częściej jednak zostawał w ciągłym
prawie i niespokojnym śnie, przerywanym konwulsyami.
Przy postępie choroby, czerwoność twarzy, zmieniała się
w brunatno-żółty kolor, i gdy wtedy zbawienna nie na-
stąpiła kryzys, w oddechu czuć się dawała korrupcyą,
usta lodowaciały, twarz nabrzmiała, niebieskie plamy
okrywały ciało, oko gasło, a z ust płynęła piana, spiekłą
krwią czarną zafarbowana; wtedy toczyła się ostatnia
walka śmierci z życiem, a skonanie następowało zwykle
dnia trzeciego, czasem jednak do siódmego i jedenaste-
go nawet dnia przedłużone zostawało (*).

(*) Description de la maladie, par Gilbert, médecin de l'armée
de l'expédition.

Choroba ta objawiła się nasamprzód w mieście Cap-Français. Przypisywano jój poczęcie, wyziewom pochodzącym ze źle utrzymywanych cmentarzy i bagien otaczających miasto; gdy jednak przeszła do Port-au-Prince i na całej wyspie grasować zaczęła, pokazało się, że była w powietrzu, a jój przyczyną, nie mógł być jak tylko zdradliwy klimat wysp Antylskich.

Napróżno wyczerpano wszystkie sposoby lekarskie; co jednym pomagało, szkodziło drugim, a sztuka ustąpić musiała téj pladze, którą Bóg zesłał jako przestrożę lub karę. Demoralizacya największa opanowała wojsko; opuszczony w ubiorze, smutny i zniechęcony żołnierz, choć jeszcze niedotknięty chorobą, przeczuwał że go nie minie, że daleko od rodzinnej ziemi przyjdzie mu kości położyć, i ojczyściej strzechy więcéj nie obaczy. Jedni oddawali się wynuzdanéj swawoli i bezprawiom, drudzy gotowali się na śmierć. Szpitale napełnione były choremi, którzy często leżąc na ziemi, bez najmniejszego zostawali opatrzenia. Subordynacya wszelka ustala; żołnierz był równym generałowi, nikt już nie marzył o sławie i wygranych bitwach. Przyjaźń zamilkła, zlodowaciało serce, nie słyszano więcéj ani wojennej piosnki, ani szczęku oręża. Odgłos nawet dzwonu już nie zwolywał wiernych na modlitwę, ani godzinę śmierci zwiastował; każdy się podle lękał, nikt nie śmiał westchnąć do Boga (*).

(*) Podczas grasującej żółtej febry w San-Domingo, zawiął okręt z Bordeaux, a z 48 passażerów na nim przybyłych, we dui kilka ani jeden nie został przy życiu. W przystani Cap-Français, na okręcie szwedzkim, cała osada nie wylądowawszy nawet na brzeg wymarła, tak, iż okręt niemający już właściciela, przez licytacyą sprzedany został. (*Précis de l'expédition à Saint-Domingo, par Laujon*).

Podczas gdy śmierć nieubłagana, nie przestawała zabierać napiętnowane przez siebie ofiary, Paulina, siostra 1^{go} konsula a małżonka kapitana generalnego Leclerc, przeniosłszy się z miasta Cap-Français do wiejskiego mieszkania, wśród zabaw, uczt i balów, starała się zapomnieć o niebezpieczeństwie, zarazie i śmierci. Huczna muzyka tłumiała głośnie jęki konających; nieraz wśród balu wyniesiono umierającego, a tańce przerwane na chwilę, rozpoczęto na nowo.

Korzystać z zawartego przymierza i pozbyć się Tous-saint-Louvertura, którego widokom rządu francuzkiego stawał na przeszkodzie, ten był jedyny cel pierwszego konsula, do dopięcia którego, każdy sposób zdawał mu się godziwym.

General Leclerc idąc za poradą generała Dugua, swego szefa sztabu, postanowił zwinąć gwardyą narodową, złożoną z samych murzynów, i oddziały tychże, wraz z ich naczelnikami wcielić do francuzkiego wojska. Ten krok nierozważny najgorsze uczynił wrażenie. Na energiczne przedstawienia mieszkańców żadnej nie zwrócono uwagi, a w uporze ich w wykonaniu woli rządu, uważano tylko nowy zaród przyszłego buntu, którego zawczasu przytłumić postanowiono.

General Leclerc zaprosiwszy do siebie Dessalina, wyraził mu wdzięczność za stanowcze przyłożenie się do ukończenia tak zaciętej wojny. General rzekł do niego: „Przedstawiłem pierwszemu konsulowi wierność i przychylność twoją do Francyi, wspólnej naszej ojczyzny, oczekuję co chwila z niecierpliwością stosownego dla ciebie wynagrodzenia za nieocenione twoje zasługi; miło mi będzie zadowolnienie pierwszego konsula tobie osobiście oznajmić.” Na co chytry murzyn temi odpowiedział

słowy: „Znam ja bardzo dobrze nieudolność moję, my murzyni służyć tylko białym winniśmy, żadnej innej nie żądam nagrody nad tę, ażebyś generale, kiedy powrócisz do Francyi, wziął mnie z sobą, i przyjął do usług swoich za stangreta.” Podobna mowa zamiast otworzyć oczy generałowi Leclerc i dać mu poznać całą przewrotność murzynów, wzbudziła w nim nieograniczoną ufność. Tymczasem chciwy znaczenia i wyniesienia się Dessalines, wszystkich środków używał do dopięcia swoich zamiarów. Groźnym mu był jeszcze spokojnie mieszkający w Ennery Toussaint-Louverture; i chociaż zamysłał o rychłym powstaniu, zazdrościł temu, którego wyższe zdolności i wzniosły charakter duszy, zawsze go przed nim stawiały, i zgubić go przedsięwziął.

Powiedzieliśmy wyżej jaki los spotkał Toussaint-Louvertura. Zaproszony na ucztę do generała Brunet, tam podstępnie aresztowany, wysłany został do Francyi, gdzie w zamku Joux, w roku 1803 smutnie dni swoje zakończył. Generał Leclerc chcąc się z podobnego postępuki wytłumaczyć, oskarżył Toussaint-Louvertura o tajemne spiski przeciwko francuzkiemu rządowi, opierając zaskarżenie swoje na znalezionym liście, niby pisanym do adjutanta Fontaine murzyna, w którym wszelkie zamiary swoje odkrywał. Pomimo, że podług podobieństwa do prawdy, rzeczony list był podrobionym, Fontaine razem z żoną śmiercią ukarani zostali.

Około połowy miesiąca sierpnia 1802 roku, rozeszła się na wyspie San-Domingo wieść o zdobyciu Guadalu-py przez generała Richpanse, o uśmierzeniu tamecznych mieszkańców i zaprowadzeniu na nowo pomiędzy murzynami niewoli. Podobne postanowienie rządu francuzkiego powszechną zgrozę wzbudziło, dało poznać mu-

rzynom wyspy San-Domingo jaki los ich czeka, stało się hasłem przyszłego powstania! W jednej prawie chwili, na kilku punktach wyspy wybuchły pożary buntu. W górach San-Domingo, murzyn Lamour de Rance, stanął na czele rokoszan, Sans-Souci, zbuntował się w Valière. Noël w Dondon, Sylla w Plaisance, Macaja w okolicach Port-de-Paix. Najgroźniejszym jednak pomiędzy naczelnikami zbuntowanych murzynów był Karol Belair, którego niedostępne góry Cahos obrał sobie za siedzisko. Chcąc się pozbyć tak niebezpiecznego nieprzyjaciela, generał Leclerc wysłał przeciwko niemu Dessalina, którego nie z orężem w ręku, lecz zdradą pokonać go zdołał. Udając że przechodzi na stronę zbuntowanych, Dessalines wciągnął Karola Belair wraz z żoną w zasadzkę, z kądem okutych w kajdany dostawił generałowi Leclerc. Oddani przez tegoż pod sąd wojenny złożony z samych murzynów, śmiercią ukarani zostali.

Już prawie cała ludność murzynów na wyspie San-Domingo była chwyciła za oręż, a wojna przybrała postać tak groźną, iż Francuzi znaglenni zostali poprzestając na zaczepnych kroków, broniąc się tylko od napaści, wszędzie waleczny stawiając opór.

Murzyni opanowali Port-de-Paix, gdzie 25,000 funtów prochu zdobyli, poczem cały departament północny, wyjąwszy kilku małych miasteczek powstał i połączył się z rokoszanami. Natenczas generał Leclerc, podszywany przez naczelników murzynów, którzy jeszcze w szeregach francuzkich służyli, a w których, że tak powiem ślepe miał zaufanie, zamiast iść do boju, i siłą siłą odpięrać, najokrutniejszymi morderstwami chciał postrach w szeregach nieprzyjacielskich rozszerzać. Pastwiono się na jeńcach wojennych, każdego konać musiał wśród naj-

cięższych tortur, kaźden murzyn złapany czy z bronią czy bez broni w rękę, winny czy niewinny, śmiercią był karany.

Murzyni téż ze swojej strony na francuzkich jeńcach srogą zemstę wywiérali. Przytém choroby coraz się wzmagaly, śmiertelność dziesiątkowała kaźde świeżo przybywające posiłki z Europy, tak dalece, iż z wojska francuzkiego, przybyłego do wyspy San-Domingo, zaledwo trzecia część była pod bronią, a dwudziestu generalów śmierć znalazło pod skwarném niebem Antyllów.

W tak niepomysłnej chwili dla oręża francuzkiego, zarzuciły kotwice w przystani Cap-Français okręta przewożące z Kadyxu 113 półbrygadę. Skoro o przybyciu naszym dano znać kapitanowi generalnemu Leclerc, po kilkogodzinnéj naradzie, w czasie której nikomu nie wolno było na ląd wysiadać, nastąpiło wylądowanie 1^{go} batalionu w Cap Français, drugi batalion wylądował w Môle St. Nicolas, trzeci w Port-au-Prince.

Piérwszy batalion 113tój półbrygady przyłączony do dywizyi zostającej pod dowództwem generala Clervaux, a złożonej z 10^{tej}, 13^{tej} i części 6^{tej} półbrygady wojsk kolonialnych, w których sami byli murzyni, w ośm godzin po wylądowaniu ruszył w pochód w okolice l'Alcul, gdzie się zaraz z powstańcami spotkał. W nocy z 13 na 14 września, general Clervaux, tenże sam, któren przydował w sądzie przeciwko Karolowi Belair, przeszedł do powstańców ze wszystkimi murzynom pod jego dowództwem będącemi. Polacy spostrzegłszy się wczesnie, schronili się do kościoła, gdzie się zatarasowawszy, mężny nieprzyjacielowi dawali odpór. Nim jednak połączeni murzyni całemi siłami zdolali uderzyć na kościół, kapitan Wodzyński, dowódzca batalionu, korzystając z chwili na-

mysłu lub wahania się przeciwnéj strony, spiesznym pochodem wycofał się z okropnego stanowiska swojego, a utraciwszy ze sto kilkadziesiąt ludzi, tak w zabitych, rannionych, jako i wziętych w niewolę, schronił się do twierdzy Jeantôt, pod Cap-Français, w której szef brygady Anhouil dowodził na czele szczątków 7^m półbrygady liniowej. Murzyni 17 września, o piérwszej godzinie po północy, przybyli pod Cap-Français, a spędziwszy przednie straże Francuzów, zajęli zamek Pierre Michel, lecz śmiały odpór jaki doznali pod twierdzą Jeantôt, a do obrony której niemało się przyłożyliśmy, istotnie uratował miasto Cap-Français. Powstańcy znali dokładnie słabe siły, które generał Leclerc mógł przeciwko nim stawić, pewni zatem zwycięstwa uderzyli na nas, nie spodziewając się bynajmniej, że przez walecznego Anhouil odpędzeni zostaną.

Po odniesionéj porażce, dorozumiewając się, iż posiłki przybyłe z Francyi, już się połączyły z wojskiem generała Leclerc, cofnęli się śpiesznie, pozostawiwszy nawet na placu bitwy znaczną liczbę poległych. Oswobodzone od napaści miasto Cap-Français, dało na chwile odetchnąć Polakom. Wypoczynek ten atoli zbyt był krótkim! Czulito w skutek trudów poniesionych podczas długiej przeprawy przez morze, czy w skutek pokarmów do których przyzwyczajeni nie byliśmy, choroby zaczęły pomiędzy nami panować, a gdy się do nich żółta febra przyłączyło, okropna śmiertelność przerządzać zaczęła ziomeków naszych szeregi. Z piérwszego batalionu naszego, który przy wylądowaniu liczył 984 ludzi, w przeciągu miesiąca zaledwo ośmdziesięciu kilku żołnierzy zostało pod bronią.

Drugi nasz batalion, pod dowództwem starszego Bolesty, zostawiwszy jedną kompanią na załodze w Môle St. Nicolas, ruszył z Dessalinem dowodzącym dywizyą murzynów ku Gonaiwom. Po przeprawie przez rzekę tegoż nazwiska, przy słabym oporze powstańców, dywizya dążyła ku rzece Exter. Powstańcy uchodzili przed nami po mało znaczących utarczkach, gdzieśmy kilkunastu ludzi stracili. Przeprawiwszy się przez rzekę Arbonite czółnami z drzewa mahoniowego, wyrobionemi każde z jednego kłoca, a w kreolskiej mowie zwanemi *piroque*, przeszliśmy przez płaszczyznę także Arbonite zwaną, na mil piętnaście długą, a szeroką do mil pięciu w niektórych miejscach, i przybyliśmy nakoniec do St. Marc. Dessalines oswobodziwszy pozornie tę część departamentu od Môle St. Nicolas aż do St. Marc, pozostawało mu tylko przerwane dotąd związki z miastem Port-au-Prince na nowo otworzyć i rozdzielone siły skoncentrować.

W kilka dni po przybyciu naszym do St. Marc, Dessalines z całą dywizyą murzynów, przeszedł w nocy na stronę powstańców, będących pod dowództwem naczelników Krysztofa i Pawła Louverture, brata Toussaint-Louvertura, w okolicy Verates. Nie zdążył jednak batalion jeden złożony z czterechset murzynów udać się w pochód za Dessalinem, którego zdrada dopięro za najściem dnia spostrzeżoną została. Niepodobna było jednemu batalionowi naszemu utrzymać w karności kilkuset murzynów; nie pozostawało jak tylko wytępić ich aż do ostatniego. Wykonanie podobnego zamiaru, wymagało śmiałego i szybkiego działania. General Fressinet, nasz dowódzca, rozkazawszy wystąpić murzynom do apelu, jak zwyczajnie bez broni, gdy na placu stanęli, ba-

talion Bolesty z bronią w rękę otoczył ich niespodzianie, i co do jednego bagnietami wyklął. Po tak morderczym postępku, batalion nasz opuściwszy St. Marc wsiadł na okręt i popłynął do Port-au Prince.

Śmiertelność zarówno tam jak w Cap-Français panując, co dzień po kilkadziesiąt ludzi sprzątała z tego świata. Z batalionu drugiego, którego do tysiąca ludzi liczył, w krótkim czasie zaledwo 100 ludzi zostało. Tam pochowaliśmy szefa batalionu Bolestę, oraz kapitana Osezkowskiego i Rębowskiego kapitana grenadyerów. Podobny los jaki spotkał pierwsze dwa bataliony, spotkać miał i trzeci batalion naszej 113tej półbrygady. Po przybyciu do wyspy San-Domingo, wylądowawszy w Port-au-Prince pod dowództwem generała Baudet, batalion rzeczony zajmował w departamencie zachodnim la Croix des Bouquets, Leogane, i Mirbalais. Często staczając utarczki z czarnymi, póty się trzymał, póki choroby szeregi walecznych przerządzać nie zaczęły, wtedy utracił przeszło 600 ludzi. Tym sposobem w przeciągu niespełna pół roku, nie orężem, lecz śmiertelną zarazą zwyciężeni, z 3,700 ludzi, których 113 półbrygada liczyła pod bronią przy wylądowaniu na wyspę San-Domingo, zaledwo trzystu doliczyć się mogła, a ze stu kilkadziesiąt oficerów w czynnej służbie będących, lub nadkompletnych, zaledwo trzecia część przy życiu pozostała.

Gdy resztką naszych już osobnej komendy tworzyć nie mogła, generał Rochambeau, po śmierci kapitana generalnego Leclerc objąwszy naczelne dowództwo, rozkazem dziennym 113tą półbrygadę do 84tej półbrygady wcielił. Rozkaz ten jednakże skutecznym być nie mógł, z powodu niepodobieństwa połączenia rozrzuco-

nych po całej wyspie oddziałów z 84tą półbrygadą. Tym sposobem, oficerowie po większej części pozostali bez wojska, a wielu z nich, chociaż z trudnością, dostawszy pozwolenie odpłynienia do Europy, wrócili do Francyi. Gdy jednak liczba opuszczających wyspę San-Domingo coraz się powiększać zaczęła, generał Rochambeau wydał rozkaz wstrzymujący nadal pozwolenie wracania do Europy, wyjąwszy dla tych, których kalectwo raz na zawsze niezdatnymi do służby wojskowej czyniło.

Powiedzieliśmy już wyżej, jakie niepomysłne skutki wynikły dla oręża francuzkiego ze ślepego zaufania, jakie kapitan generalny Leclerc pokładał w swoim szefie sztabu Dugua. Słuchając we wszystkiém rad jego, oburzył przeciwko francuzkiemu rządowi całą ludność murzynów, stał się przyczyną buntu, i oderwania od metropolii wyspy San-Domingo. W owym prawie czasie, generał Dugua trucizną, jak wieść niesie, odebrał sobie życie.

Wkrótce po nim, to jest w nocy z dnia 1go na 2gi listopada 1802 roku, kapitan generalny Leclerc, dni swoje zakończył. Przed skonaniem, mocno ubolewał nad smutnymi wypadkami zaszłymi na wyspie, ubolewał nad losem straconego wojska, albowiem z 34,000 ludzi składających armię francuzką, zaledwo 3000 żołnierzy zostawało pod bronią. Tak skończył Leclerc, wódz niewielkich wojennych zdolności, polityk nieznający serca ludzkiego. Nie odgadł charakteru murzynów; zjednać ich sobie nie potrafił. W czasie wojny, obok największej czynności, wahający się, niemający swego własnego zdania, nadto niewolniczo był podległym woli 1go konsula, nadto ufał drugim, za mało sobie! Ciało jego na-

balsamowane, na wojennym okręcie francuzkim Szweicborne, małżonka nieboszczyka wraz z szefem brygady inżynierów Bachelu (*), przewieźli do Francji (**).

Po śmierci kapitana generalnego Leclerc, generał Rochambeau, jako najstarszy stopniem, objął po nim tymczasowe dowództwo. Gdy na utrzymanie go przy tém dostojenstwie, prośba do pierwszego konsula od mieszkańców wyspy przesłaną została, Napoleon Bonaparte zaciągnął w téj mierze rady starego Rochambeau, któren jako ojciec, najstosowniejsze w téj mierze mógł zdanie udzielić. Zapytany waleczny towarzysz i przyjaciel Waschingtona odpowiedział, iż kto był złym synem, złym mężem, złym ojcem, nie może być zdolnym aby mu powierzono tak ważne dla Francji dowództwo, gdyż bez cnót domowych, cnót publicznych posiadać nie można.

Pomimo tego, generał Rochambeau mianowanym został kapitanem generalnym wyspy San-Domingo. Skoro objął dowództwo, sprowadził z wyspy Kuby gromady psów wprawionych do wytropienia zbiegłych murzynów. Psy te większe od naszych kundłów, węchem wytropiwszy uciekającego, zmuszały go do zatrzymania się w ucieczce, a w razie oporu żywcem go pożerały. Gdy

(*) Antoni Mitral, w dziele swoim: *Histoire de l'expédition des Français à St. Domingue, sous le Consulat de Napoleon Bonaparte*, utrzymuje, że nie szef inżynierów Bachelu, ale Humbert, jeden z najprzystojniejszych oficerów wojska francuzkiego, towarzyszył Paulinie do Francji. (Nota wydawcy).

(**) Skoro Paulina z ciałem męża swojego przybyła do Marsylii, na widok siostry lgo konsula okrytą grubą żałobą, idącą za trumną męża z matém dziecięcim na ręku, całe miasto przywdziało żałobę, a przystań i domy przystrojono czarnym kolorem. Napoleon przyjął siostrę w Paryżu ze łzami w oczach, i rozkazał z największą okazałością złożyć śmiertelne szczątki szwagra swojego w Panteonie.

psy rzucone już do Port-au Prince przybyły, użyto ich na próbę do rozszarpania murzyna wydobytego z więzienia. Potrzeba tu nadmienić, iż w owój epoce liczba uwięzionych bardzo była znaczną; więziono bowiem tych, na których padało podejrzenie należenia do buntu, a sami zaś mieszkańcy miasta, dla osobistego bezpieczeństwa, własnych niewolników pod straż miejscowej władzy oddawali.

Wybrano pomiędzy więźniami najsilniejszego murzyna, sprowadzono go do rządowego pałacu, wysokim murem obwiedzionego, poczem w przytomności generała Rochambeau, otoczonego licznym sztabem, puszczono psy, które na komendę, biędną ofiarę rozszarpały na miejscu. Po tak niefortunnej próbie, generał Rochambeau wzięwszy psy z sobą, poszedł przez Leogana w celu opanowania małego i dużego Goave. Miejsce to, ponad samem morzem położone, połączone wzgórzami z Jacmal, gdzie się jeszcze załoga z 2go batalionu 113 półbrygady trzymała, było że tak powiem kluczem całego departamentu południowego, i ważnym strategicznym punktem dla francuzkiego wojska. Znali murzyni całą ważność tego punktu, mężnie zatem stawivszy się Francuzom, odparli ich ze znaczną stratą. Przy natarciu na to stanowisko, generał Rochambeau, rozkazał psów użyć, lecz skutek bynajmniej nie odpowiedział zamiarowi. Dobosz francuzki, ranny na placu bitwy pozostawszy, gdy psy krew poczuły, z taką żarliwością rzuciły się na niego, iż pomimo prędkiego ratunku, obronić go nie zdołano. Odtąd już więcej psów nie używano do wojny.

Po téj nieszczęśliwej wyprawie, ośmieleni murzyni wymordowawszy załogę w Leogane, gdzie kilkudziesiąt Polaków śmierć znalazło, posunęli się aż pod mury miasta Port-au Prince.

Z początku murzyni obchodzili się jak najokrutniej z jeńcami polskimi. Dostyć będzie jedno przytoczyć zdarzenie, aby dać poznać czytelnikom moim, jakich męczarni ziomkowie nasi doznawali. Porucznika Madejskiego wzięwszy w niewolę, wsadzili go pomiędzy dwie deski i wzdłuż przepiłowali. Podobne pastwienie się nad nami pochodziło ztąd, iż Francuzi ciągle Polakami straszili murzynów, nazywając nas potworami karmiącemi się jedynie mięsem ludzkim. Później gdy się murzyni dowiedzieli z jakiego powodu wysłani zostaliśmy do San-Domingo, zmienili postępowanie swoje z nami, i odtąd z jeńcami naszymi z największą ludzkością obchodzić się zaczęli. Paweł Louverture, dowódzca murzynów, zgromadziwszy pewnego razu Polaków zabranych w niewolę, ofiarował im ażeby pozostali w San-Domingo z wolnym używaniem wszelkich praw obywatelskich. Pomimo tego żaden Polak nie opuścił sztandarów narodu pod któremi walczył i nie korzystał z podobnego dobrodziejstwa. Po oswobodzeniu wyspy przez murzynów, gdy w nadanej konstytucyi zawarowano, iż cudzoziemcom nie wolno będzie posiadać żadnej nieruchomości na wyspie, wyłączono jednak od tego zakazu Niemców i Polaków. Skoro generał Rochambeau potwierdzonym został w stopniu kapitana generalnego, z Port-au-Prince przeniósł się do Cap-Français.

Śmierć generała Leclerc powiększyła obawę mieszkańców sprzyjających metropolii, a wszystkich oczy zwrócone były ku Francyi. Spodziewano się przybycia nowej floty i wojska, czekano na nie, w nich bowiem ostatni spoczywał ratunek, zbawienie!

Tymczasem powstanie doszło do granic departamentu południowego, w którym dowodził generał La-

plumie murzyn; ten pierwszy wykonawszy przysięgę wierności rządowi francuzkiemu, dotrzymał jęj aż do ostatniej chwili istnienia kolonii. Płaszczyny Cul-de-sac, okolice Mirbalais, i Grand-Bois, były jeszcze w posiadaniu francuzkiem; Port-au-Prince, Saint-Marc, Saint-Nicolas i Cap-Français, miały dostateczne załogi do odparcia napadu murzynów. Część hiszpańska opierała się jeszcze rokoszanom.

Po śmierci generała Leclerc, Krysztof i Dessalines, przez czas niejaki w nieczynności zostawali, poczem połączwszy siły swoje, na Cap-Français uderzyli i opanowali wzgórze wznoszące się nad miastem. Generał Rochambeau pomimo krytycznego położenia w którym zostawał, nie tracąc głowy, wystawił baterią w plantacyi Vertière, z której dobrze wymierzonym ogniem działowym wielką klęskę zadał murzynom i do cofnięcia się zmusił. Dotąd pomimo często niepomyślnie staczanych bitew, departament zachodni po większej części był jeszcze w mocy Francuzów, departament zaś południowy utrzymywany w posłuszeństwie przez walecznego Laplume, w kwitnym zostawał stanie. Nierozsądne, a bardziej jeszcze nie do pojęcia złośliwe obchodzenie się generała Rochambeau z mulatami, stało się wkrótce przyczyną utraty wyspy San-Domingo i reszty francuzkiego wojska. Leclerc uważając, że mulaci bardziej biłym niż murzynom sprzyjają, wiele na nich polegał, sprzyjał im widocznie i umieścił ich w wojsku francuzkiem w tych samych stopniach, jakie posiadali wprzód. Tęm postępowaniem miał ich w każdym zdarzeniu na swoje usługi, gdyż był przekonany o ich niezachwianej wierności dla francuzkiego rządu.

Rochambeau przeciwnego zupełnie był zdania, a pierwszy krok jego po objęciu dowództwa generalnego, nader szkodliwe przepowiedział skutki. Przed wyjazdem swoim do Cap-Français, dał w Port-au-Prince bal na pożegnanie tamecznych obywateli, na któren wszystkich mulatów i murzynów obojęd płci, znajdujących się w mieście, zaprosił. Skoro goście weszli do pałacu rządowego, przejści zostali strachem na widok pokoi, których ściany pokryto czarném suknem i oświetcone były tysiącem świec z złotego wosku. Dziwny ten pomysł sprawił na umysłach trudne do opisania wrażenie. Zdawało się każdemu, że się nie na balu, lecz na obchodzie grobowym znajduje. Nazajutrz po owój osobliwszej zabawie, Rochambeau udał się do Cap-Français, dowództwo w Port-au-Prince i w departamencie zachodnim zostawiwszy generałowi Quentin. Kiedy generał Leclerc przybył do wyspy San-Domingo, mulaci, prześladowani przez Toussaint-Louverture, przeszli niezwłocznie na stronę Francuzów. Rochambeau nastąpiwszy po generale Leclerc, powinien był korzystać z przywiązania mulatów do sprawy metropolii. Wprawdzie Petion mulat, wiele przyczynił się wpływem swoim, że Clervoux przeszedł z wojskiem na stronę rokoszan, jednakże należało użyć z nimi obchodzenia się względnego, i nie obrażać ludzi tak pożytecznych w wojnie przeciwko murzynom. Generał d'Arbois dowodził w mieście Jeremie, położoném w departamencie południowym, w którym zamieszkała wielka liczba zamożnych mulatów, bardziej Francuzom niż murzynom sprzyjających. Generał d'Arbois, szukając niecnymi sposobami łatwego zbogacenia się, pod pozorem jakoby mulaci nie sprzyjali rządowi francuzkiemu, bez litości ich

obdzierał. Więzienia napelnione były niewinnemi; póki kto co miał, do ostatka oddawać musiał, a skoro już nie miał do dania, z rozkazu generała zaprowadzony na okręt, niby w celu przetransportowania do Cap-Français, na pokładzie zamordowany, do morza wrzucony został. W tymże samym czasie, generał d'Arbois, przybyłego z Cap-Français do Jeremi bogatego mulata nazwiskiem Bardet, tymże samym sposobem uwięzić, ze wszystkiém go złupić, a potem jako podejrzanego utopić rozkazał.

Przebrała się nakoniec miara, a okrutne postępowanie francuzkiego dowódcy, stało się hasłem do ogólnego powstania mulatów w całym departamencie południowym. Położenie generała Rochambeau codziennie było krytyczniejsze; powstanie rozszerzało się we wszystkich trzech departamentach, a liczba wojska użytego do przytłumienia zbuntowanych coraz się zmniejszała. Jeden tylko generał Laplume, wszelkiemi sposobami chciał departament południowy w posłuszeństwie utrzymać, lecz gdy po dokonanych czynie z mulatem Bardet, wszystkie umysły wzburzone zostały, już trudno było dawną spokojność przywrócić. Wtém, podobny do powyższego postępek oficera, któremu Laplume podczas wyprawy swojej do Cayes dowództwo zostawił, pogorszył jeszcze sprawę Francuzów. Oficer ten wtrąciwszy do więzienia kilkudziesiąt mulatów z korpusu żandarmeryi kolonialnej, wszystkich potopić rozkazał. Chociaż za powrotem swoim Laplume popelnione nadużycie skarcił, a sprawcę onego ukarał, poczem rokoszan aż do zachodniego departamentu zagnał, przywrócić jednak dawny stan rzeczy nie zdołał, już bowiem było za późno!

Mulat nazwiskiem Ferrou, majątny właściciel wyspy, stanął na czele mulatów połączonych z murzynami, a za-

łożywszy główną swoją kwaterę w plantacyi Drouet, wywiesił sztandar rokoszu. W krótkim czasie liczba powstańców tak się powiększyła, iż Laplume zażądał od kapitana generalnego bezzwłocznych posiłków. W tej właśnie chwili, Rochambeau pozostawiwszy generałowi Clauzel dowództwo w Cap-Français, przybył do Port-au-Prince na czele tysiąca dwóchset ludzi wyborowego wojska. Natychmiast wysłał znaczny oddział złożony z Francuzów i-Polaków w pomoc generałowi Laplume. Tymczasem naczelniczy rokoszu, Ferrou, Cangé i Jeaufroid, zajęwszy Miragoane, Aquin, St. Louis i Cavaillon, zapędzili szefa brygady Hurto do l'Anse à Veau, oblegli miasto Cayes i wezwali do poddania się generała Laplume. Przybycie generała Sarrasin z oddziałem przysłanym przez kapitana generalnego, dozwoliło generałowi Laplume odeprzeć na chwilę murzynów. Lecz gdy powstania ze wszystkich trzech departamentów połączyły się z sobą, znikła nadzieja przywrócenia spokojności na wyspie San-Domingo, a na nieszczęście zabrakło nawet Francuzom potrzebnych środków utrzymania się w obronnym stanie.

W tymże prawie czasie, kiedy panowanie Francyi na wyspie San-Domingo już dogorywało, a z licznój niegdys armii, gdzieniegdzie słabe tylko szczątki pozostały, oddawna spodziewana flota francuzka przepływała morza, niosąc ziomkom swoim pomoc i nadzieję.

Jużeśmy wyżej powiedzieli, iż po zawarciu pokoju w Luneville, część legionów polskich, wcielona do francuzkiego wojska, wysłaną została do San-Domingo, a druga część przeszła w służbę rzeczypospolitój cyzalpińskiej.

Generał Murat naczelnie dowodzący włoską armią, wysłał generała dywizyi Chabot dla przyłączenia do swo-

jego dowództwa Polaków. Przybył z nim razem były minister wojny rzeczypospolitej włoskiej Vignolle, pod prezydencją którego, szef brygady Grabiński i szefowie batalionów Małachowski Kazimierz, Zawadzki, Jasiński, Chłopicki i Białowiejski, wszyscy przez generała Murata na członków komitetu nowej organizacji wybrani, mieli pierwszą legią przestaczać, podług danej im instrukcyi. Tym sposobem sześć batalionów piechoty i artylerya piesza, podzielone zostały na dwie półbrygady. Każda półbrygada składała się z trzech batalionów, każdy batalion z ośmiu kompanij, każda kompania liczyła 220 ludzi pod bronią. Skoro organizacya tych dwóch półbrygad dokonczoną została, pierwszą wcielono do pierwszej dywizyi, a drugą do drugiej dywizyi włoskiej. Pułk zaś ułanów, pod dowództwem pułkownika Alexandra Roźnieckiego, pozostał przy generale Muracie.

W owym prawie czasie wybuchnęły zaburzenia w niektórych prowincjach i miastach włoskich. Pomimo że oficerowie drugiej półbrygady włoskiej, żyli zupełnie odosobnieni nie wdając się z krajowcami, zostając tylko w zażyłości największej z niektórymi oficerami z dawniej legii neapolitańskiej, pomiędzy któremi znajdował się szef brygady Aurore, gdy wszyscy znając dobrze szefa swojego Axamitowskiego od niego stronili, ten chcąc dać dowód swojego przywiązania do rządu, udał się czempredziej do Medyolanu, celem zawiadomienia generała Murata o odkrytym przez niego spisku przeciwko Francyi i pierwszemu konsulowi. W skutek czego wysłane zostały śpieszne rozkazy aresztowania szefa brygady Aurore, dwudziestu zaś oficerów Polaków, przywieziono dla indagacyi do Ferrary i Bononii, gdzie w tymże samym czasie zaburzenia wybuchnę-

ły. Gdy się wnet pokazało, że do nich oficerowie polscy nie należeli, natychmiast wypuszczono wszystkich na wolność. Nie poprzestał na tém Axamitowski, a uskarżając się przed generałem Muratem na prześladowanie jakie od swoich doznaje, za przychylność do rządu francuzkiego, dodał, że z jego komendy wielu oficerów podało się do dymisji, pomiędzy zaś żołnierzami nadzwyczajna panuje dezercya (*). Skoro Murat doniósł o tém raportem pierwszemu konsulowi, we dni kilkanaście wyszło najwyższe postanowienie, mocą którego nieszczęsny los moich współziomków zawyrokowany został. Półbrygada będąca pod dowództwem Axamitowskiego, do czterech tysięcy ludzi licząca pod bronią, składała część dywizyi włoskiej pod rozkazami generała Pino.

Z początkiem 1802 roku, rzeczona półbrygada rozłożoną była w departamentach Crostolo, Panaro i Reno. Pierwszy batalion stał w Reggio, 2gi w Modenic, 3ci wraz ze sztabem półbrygady w Bononii; tamże znajdowała się również główna kwatera dywizyi. Od końca maja cała półbrygada zgromadzoną była w mieście Reggio, kiedy 3go grudnia przyszedł rozkaz od generała Murata, ażeby miała się w pogotowiu do marszu. Rozkaz ten wprost przysłany szefowi brygady Axamitowskiemu, bez poprzedniego zawiadomienia o tém rządu rzeczypospolitej włoskiej. 6go grudnia Polacy już byli gotowi do marszu, tego samego dnia Axamitowski wezwany został do Parmy, gdzie zjechał sam Murat, a generał Ottavio za oddzielnym rozkazem generała Pino, przybył do Reggio, dla zrobienia przeglądu półbrygady.

(*) Było to fałsz największy, gdyż podczas wojen włoskich w oddziałach złożonych z Polaków najmniejszej nie było dezercyi, na to się nigdy Francuzi sami nie uskarżali.

wydania jej rozporządzeń potrzebnych, i karty dróżnej do Genui. W tymże czasie rozeszła się wieść, iż Polacy są przeznaczeni do San-Domingo! Nadszedł nakoniec dzień 10 grudnia 1802 roku przeznaczony do pochodu. W wilią dnia tego, Axamitowski powróciwszy z Parmy wieczorem, ogłosił, że generał Murat czeka na przybycie 2giej półbrygady, której przegląd osobiście chce zrobić. Wymaszerowali nakoniec Polacy z Reggio i nazajutrz o godzinie 8ej z rana, weszli do miasta Parmy. Kiedy przednia straż jedną wchodziła bramą, drugą Murat do Mantui wyjeżdżał. Druga półbrygada tymczasem uszykowała się na placu wielkiej przechadzki na przeciwko książęcego zamku. Wnet potem przybył adjutant naczelnego wodza z ekspedycją do szefa półbrygady Axamitowskiego, któren zgromadzonym oficerom przeczytał co następuje:

„Piérwszy konsul, nagradzając zasługi i czyny waleczne drugiej półbrygady włoskiej, wciela ją do wielkiego wojska francuzkiego, nadając jej nr. 114^{tej} półbrygady liniowej francuzkiej; a chcąc ją do dalszych podobnych czynów zachęcić, przynacza ją do San-Domingo, gdzie zawsze najbardziej odznaczające się pułki francuzkie, za nagrodę wysyłane bywały. Nakoniec skoro tylko 114 półbrygada stanie na miejscu przeznaczenia swojego, oficerowie i żołnierze zostaną naturalizowani synami Francyi, z używalnością wszelkich praw i przywilejów obywateli francuzkich.”

Po odczytaniu tego postanowienia, „niech żyje 1szy konsul!” wykrzyknęli wszyscy, poczem półbrygada udała się do koszar. Gdy piérwszy szaf przeminął, a zimna nastąpiła rozwaga, omamienie znikło i naga rzeczywistość przed oczami stanęła. Już wiadomym był los jaki spot-

kał 113 półbrygadę na wyspie San-Domingo, nie tajemniczym więc było każdemu co go czeka (*).

Dnia 11 grudnia 1802 roku, 114 półbrygada wyruszyła z Parmy. Lecz skoro wyszła za miasto, przyłączył się do niej pułk strzelców konnych francuzkich ze 400 ludzi złożony, którego podzieliwszy się na przednią i tylną straż, dostał rozkaz eskortowania Polaków. Ten postępek dotknął wszystkich do żywego, był bowiem oznaką niedowierzania, na które nie zasługiwali bynajmniej ci, którzy tyle dowodów wierności i poświęcenia ciągle dawali Francuzom.

23 grudnia 114 półbrygada przemaszerowała do miasta Novi, gdzie otrzymała rozkaz zatrzymania się, dopóki w Genui przygotowania do przeprawy ukończonemi nie będą. Zkąd wyruszywszy, 30 grudnia przybyła do Genui, i zajęła obszerne zabudowania kwarantanny, lazaretto zwane, leżące pomiędzy morzem a przedmieściem Albano. 6go stycznia 1802 roku, podczas gdy półbrygada odbywała przegląd przed generałem Gardanne, naczelnie dowodzącym w Liguryi, zawięły do genueńskiego portu trzy okręta liniowe, które przywitawszy zwyczajną salwą miasto Genuę, na którą gdy ogniem działowym z nadbrzeżnych szanców odpowiedziano, wywiesiły banderę francuzką. Była to eskadra pod dowódz-

(*) Powiedzieliśmy już wyżej, że Napoleon Bonaparte wszystkich którzy mu byli na zawadzie w dopięciu jego zamiarów, lub którym nie ufał, oddał z Francyi, a najczęściej wysłał do San-Domingo. Pomiędzy temi znajdował się generał Władysław Jabłonowski. Peten zdolności, wielkich nadziei, mianowany został dowódcą legii naddunajskiej. Znał go dobrze Bonaparte, z nim bowiem razem w szkole wojskowej w Brienne nauki pobierał, i dlatego może wysłał go po za morza. Jabłonowski zginął w San-Domingo, w wyprawie przeciwko miastu St. Marc.

twem kontradmirała Bedout z Brest wysłana, a przeznaczona do San-Domingo.

Piętnaście dni upłynęło na przygotowaniach do przeprawy, i na zrobieniu dostatecznego zapasu żywności i wody. Przez ten czas, ukończono obrachunki półbrygady 114 z rządem włoskim, sprawiono dla oficerów i żołnierzy ubiory z kitlu drelichowego i kolorowe koszule, mundury zaś i broń w pakach przetransportowano na okręta.

Szeł półbrygady Axamitowski, otrzymał tymczasem rozkaz zostania we Francyi i utworzenia zakładu z żołnierzy mniej zdolnych do morskiej podróży i wojennych trudów; chcąc jednak takowy zakład zapełnić, przymusu użyć musiał, gdyż żaden podoficer ani żołnierz nie chciał pozostać we Francyi, każdy chciał z braćmi swojemi dzielić dobre i złe koleje; chorzy nawet i ranni, opuszczali szpitale, cisnęli się na okręta, wołając, że chcą do San-Domingo płynąć!

Dzień 20 stycznia 1803 roku naznaczonym został przez kontradmirała Bedout do wsiadania na okręta, a tysiące ludu okrywając nadbrzeża przystani świadkami byli, z jaką uległością, z jakim porządkiem, poświęceniem się, bez najmniejszego szemrania, Polacy opuszczali ziemię, którą mała ich tylko liczba jeszcze oglądać miała.

21 stycznia ogłoszono rozkazem dziennym, iż generał Axamitowski za upoważnieniem naczelnego wodza zostaje w Europie z niektórymi członkami rady gospodarczej utworzonej przez niego, w celu odebrania od rządu włoskiego zaległego żołdu dla 114 półbrygady. Poczém Axamitowski zdawszy dowództwo szefowi batalionu Za-

górskiemu, pożegnał się z nami, a my z owym zaległym żołdem, którego już więcej oglądać nie mieliśmy.

Tegoż samego dnia wypłynął z genueńskiej przystani okręt liniowy *le Héros*, o 74 działach, przewożący siedm kompanij drugiego batalionu pod dowództwem Jasińskiego; za nim szedł okręt *l'Argonaute*, także o 74 działach, z banderą kontradmirałską, na którym znajdował się generał Spital dowódzca wyprawy, Zagórski zastępca szefa półbrygady, sztab, muzyka, i siedm kompanij z trzeciego batalionu pod dowództwem kapitana Tyssona. Dalej okręt o 74 działach *le Fougueux*, z siedmiu kompaniami 1go batalionu, pod dowództwem Kazimierza Małachowskiego; za nim fregata *la Pique*, o 36ciu działach, z dwoma kompaniami; fregata także o 36ciu działach *la Sagesse* z jedną kompanią, i okręt przewożowy *la Serpentine*, naładowany żywnością.

Zaraz po wypłynieniu z przystani, gwałtowna burza w różne kierunki rozpędziła flotę. 26 stycznia morze uspokoiło się cokolwiek, a nazajutrz okręt liniowy *le Fougueux*, odłączony od reszty eskadry, sam jeden płynął ku brzegom Hiszpanii, pomiędzy Katalonią, Walencyą, a Balearskimi wyspami. Pominąwszy przylądek Gates, już się do cieśniny Gibraltarskiej zbliżał, do przebycia której wiatr lubo pomyślny, nie był dosyć silnym. Pięć dni minęło, nim okręt *le Fougueux*, zdołał cieśninę przebyć. Przez ten czas malownicze widoki rozwijały się przed oczami ziomków moich. Z jednej strony miasta i zatoka Algiziras, gdzie portugalska flota na kotwicach stała, dalej miasto, przystań i warownia Gibraltaru, u nóg której na równinie świętego Rocha, załoga angielska odbywała wojskowe ćwiczenia; z drugiej zaś strony, skaliste wybrzeża Afryki, królestwo Fezu, Małpia góra, zatoka i twierdza Ceuta do Hiszpanii należąca.

27 stycznia, *le Fougueux* przepłynął cieśninę, nie widząc reszty floty; kapitan okrętu mniemał, że go o kilkanaście godzin wyprzedziła, i korzystając z pomyślnego wiatru, przed nim cieśninę przebyła i na ocean wpłynęła. Poczém z powodu że rząd francuzki w nieporozumieniu zostawał z Anglią za niedotrzymanie zobowiązań traktatu zawartego w Amiens, wiedząc że lada chwila rozpoczyna się nieprzyjacielskie kroki, rozkazał aby wszystko było w pogotowiu do boju. Otworzono na okręcie strzelnice, zatoczono działa, amunicją w składach prochowych przygotowano, załoga zaś wraz z artylerją morską, codziennie na pokładach odbywała manewra. Siódmego dnia po przebyciu cieśniny, nastąpiła cisza na morzu, poczém nazajutrz pomiędzy godziną 10 i 11 przed północą, zerwał się wiatr gwałtowny północno-wschodni. Okręt próbował szybko oceanu wody blisko brzegów Afryki, kierując się potem ku zachodowi pomiędzy Maderą a wyspami Kanaryjskimi, obok wyspy Teneryf przepłynął, na której łatwo dostrzedz można było wierzchołek góry *pic de Tenerif* zwanęj.

Od téj chwili zmierzając ku zwrotnikowi raka, podróż coraz się przyjemniejszą stawała, z powodu umiarkowanych wiatrów, wiejących ciągle od wschodu.

Skoro tylko okręt *le Fougueux* wstąpił w skwarną strefę, kapitan rozkazał porozciągać żagle ponad pokładem dla zastłonięcia ludzi od upałów słonecznych. Znając z doświadczenia szybkość biegu swojego okrętu, płynął nadzwyczajnym pędem po linii zwrotnikowej, a gdy pomimo tego nie spostrzegał reszty floty, wtedy dopiero przekonał się, iż w tyle za nim pozostać musiała jeszcze na Śródziemném morzu. Wtedy kapitan, odosobniony od dowódcy eskadry, zostawszy sam jeden pa-

nem swojej woli, kazał wydawać żołnierzom po całej porcyi żywności, która dotąd stosownie do rozporządzenia kontradmirała, w trzech częściach tylko wydawana była. Wesołą była chwila przepływu przez linię zwrotnika. W tym dniu dozwolono majtkom różnych zabaw i odbyto chrzest Neptuna. Pod samą linią zwrotnika, spostrzeżono wielką liczbę ryb unoszących się ponad powierzchnią wody za pomocą skrzel, jak gdyby latały; łowiono także wędami ryby *galera* zwane, bardzo delikatnego smaku. Pomiędzy wielu innemi gatunkami ryb znajdującemi się pod linią zwrotnikową, jest tak nazwana *la dorade*, wydająca się w morzu jakby najdroższemi wysadzana kamieniami, złotem i srebrem; wyciągnięta z wody, siedm przybięra kolorów, po zabiciu, staje się fioletową i jest dobrą do jedzenia.

Pomiędzy morskimi rybami, jest wiele szkodliwych, któremi łatwo się otruć można, od czego chcąc się ustrzedz, trzeba wrzucić w rondel w którym się ryba gotuje, jakikolwiek kawałek srebra, któren skoro zczernieje, dowodem że ryba jest jadowita i jeść ją nie można.

Po przepłynieniu przez linię zwrotnika, okręt otoczony został rośliną wodną, podobną do winnego grona, która się ciągnie pasmami na pół mili długimi. Powiadają, że pokazanie się téj rośliny zwiastuje bliskość lądu, czego doświadczył okręt *le Fougueux*, gdyż tego samego dnia, to jest 11 marca 1803 roku przed wieczorem, spostrzeżono wierzchołek góry i poznano przylądek Samana, czyli wyspę San-Domingo.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź p. Józefowi A. Czajkowskiemu na jego krytykę mojej *Grammatyki* umieszczoną w *Bibliotece Warszawskiej*.

Od czterech lat zostałem autorem w najważniejszym dla nas zawodzie, i pomimo zaręczeń i szumnych słów recenzentów o ważności krytyki (a), przekonałem się z ich rozbiórów, że powołania swego niepojmują. Ażebym ziomkowie lepiej zrozumieli co nastąpi, pozwolą mi w krótkości przedstawić dzieje mojego pisarskiego zawodu. W roku 1842 zacząłem wydawać moje *Rozprawy o języku polskim i jego grammatykach*. Zaraz najpierwszy wystąpił niby recenzent i powiedział krótko a węzłowato: że one są *śmiesznym pagnirykiem naszego języka*. Drugi nazwał *najnikczemniejszém* to *Rozprawy dziełem*, trzeci zaczął coś pisać, żartować, przyrzekł dalej rozbiierać, ale nie dotrzymał i chorągiewkę zwinął. Nie mogę powiedzieć, aby mi szczerze i sumiennie pracującemu, te łajzące wzmianki nie były bolesne: ale przecież *Orędownik*, *Tygodnik Petersburski*, *Bujnicki*, *Mickiewicz* i *F. Jezierski*, oraz dwa pisma naukowe niemieckie, uwolniły mię od odpowiedzi. Po wyjściu *Grammatyki* w tym roku już i Galicya się odezwała: losem albowiem z grona

(a) Np. i samego p. J. A. Czajkowskiego we wstępie jego recenzji.

pewnego wybrany na harcérza p. *St. Pilat* wystąpił aż we dwu pismach: *Dzienniku m6d Kulczyckiego* i *Rozmaitoœciach* we Lwowie wydawanych. Nie wypadalo zamilczêc: odpowiadzałem w tychże pismach chocia¿ na błahe zarzuty mi uczynione. Wkr6tce p. J. N. *Kamiński* w swoich *Rozmaitoœciach* umieœcił *Pogadankę*, w któr6j przez mrok i dymy przebijała siê niechêć ku mojemu dziełu. Ale ¿e tego pewno nikt nie zrozumiał, od kl6tni daleki, zostawiłem rozdmuchom wiatr6w te mroki i dymy. Wkr6tce pot6m wyszła recenzja p. *Czajkowskiego* w Bibliotece Warszawskiej œpiesznie do tychże *Rozmaitoœci* przez p. *Pilata* przesłana, na dow6d, ¿e gadanina jego ma swojê wa¿noœć. Szkoda tylko, ¿e zarzuty p. *Czajkowskiego* i *Pilata* zupełnie sã innego rodzaju! P. *Kamiński* za patriarchê w zawodzie jezykowym miejscowo okrzyczany, ju¿ œnielêj za plecami p. *Pilata* i *Czajkowskiego* wystêpuje, robi mi choć w przypisku przyçinki, ka¿e do mojego dzieła dać *wymowne orzeczenie, indukcyã*, zaleca mi szukać *podstawy w metafizyce* (zapewne *osowialej* przez niego nazwanêj), *tak zwanych predykamentach, kategoriach* i ka¿e mi *wydemontrować ich byt szczeg6łowy, wzgl6dny, z bytu og6lnego, bezwarunkowego*. Na to nie odpowiedziałem i nie odpowiem, boby p. *Kamiński* mo¿e jeszcze ka¿ał wejœć w jakã *zawisloœć magnetycznã z uczniem, kolem wiadomoœci moich w punkt ciasny sluchacza zamierzyç i ugodziç*, aby pot6m *punkt jasny, nieciasny ucznia roziskrzył siê miłoœciã*, skorobym *nacelowal ani wysoko ani nisko, ale w œrodek*. Mo¿eby mi wreszcie ka¿ał *budować wie¿ã babitoñskã*, powiedziêc: *unum versum sum universum* i po t6m wszystki6m *wywr6ciç koziołka przed publicznoœciã* (b).

(b) Niech czytelnik, mo¿e nie ka¿dy wiêdzący o głębszych badaniach p. *Kamińskiego*, odmiennie drukowanych wyraz6w za ¿art z siebie nie bierze: znajdzie je w *Huliczanie*, pod napisem: *O filozoficznoœci jezyka*. P. *Pilat*, jako uczeñ wdziêczny, przy swoim artykule i p. *Czajkowskiego* zawsze ka¿dzi p. *Kamiñskiemu* na t6j zapewne zasadzie, a rzeczywiœcie szło o wa¿nã rzecz, o umiejsczenie w *malutkich Rozmaitoœciach* na dzieło naukowe recenzji.

Tak wielka liczba krytyków, którym niewiele miałbym rzeczywiście do odpowiedzi, zmusza mię jednak do usprawiedliwienia się przez szacunek dla dobrze myślącej publiczności i Biblioteki Warszawskiej, której wiele przedmiotów było pożywnym pokarmem dla ducha. Ale odpowiadając na ladażakie zarzuty rzecz jest niełatwa, muszę więc użyć sposobu podobnego, jaki w grze szachów się używa: aby podjazdami wywołać przeciwników do otwartzszej i rozumniejszej walki i tak zapędzać do matni. Że p. *Czajkowski* liczę w rzędzie powyższych krytyków, muszę się usprawiedliwić.

I. I tak, p. *Czajkowski* z góry na mnie powstaje (w tém jedném zgodnie z p. *Pilatem*) za *cofanie języka o trzy wieki*, nazywa *śmieszłą rzezęą przywracać dawne formy*. Nie będąc z przyrodzenia gadułą, nie będę powtarzał, com w moich Rozprawach, w Grammatyce i później jeszcze dodatkowo p. *Pilatowi* odpowiedział w *Dzienniku mód i Rozmaitościach*. Ponieważ jednak p. *Czajkowski* śmielszy recenzent od p. *Pilata* pochwyił berło krytyki, a obowiązku uczenia się zaniechał i przyznaje się: że nie czytał moich Rozpraw, przeto trudniej z nim do czynienia. Przyznać wszakże muszą czytelnicy, że gdybym nawet jakąś powiastkę napisał mającą związek z piérwój odemnie wydaną, zdaje mi się wedle mego rozsądku, że krytyk i tę piérwszą choć najnudniejszą przeczytałby musiał, bo inaczej dobrego osądu o drugiej wydałby nie mógł. Cóż dopiéro w mojej pracy, w której Rozprawy są podwalinami, a Grammatyka dalszym ciągiem i rozwinięciem téj nauki zastosowaném? P. *Czajkowski* chcąc zburzyć ściany mojej budowy, szturmuje do niej pod tarczą *Mrozińskiego*. Chcąc więc całkowicie znieść mojej pracy budowę, powinien skończyć na zburzeniu podwalin, ażeby ani śladu ich nie pozostało.

Mroziński piérwszy odważył się powiedzieć: że przyjaciele XVI wieku naszego, są największymi przeszkodnikami w doskonaleniu języka; za nim p. *Czajkowski* powtarza: a więc burzyć wszystko, niech i ślady przeszłej narodowej

wielkości nie pozostaną! *Mrozińskiemu* (c) cośkolwiek odpowiedziałem; jego naśladowcom, gdy się upamiętają i po swój rozum do głowy pójdą, odpowiem jeszcze kiedyś gruntowniej.

P. *Pilatowi* w pismach lwowskich wyżej wyliczonych dałem nauczkę: co krytyk pod utratą swój sławy wiedziéć i umiéć powinien? Ale p. *Czajkowskiemu* boję się powtarzać tego: bo on sam z góry zdaje się coś rozumnego o krytyce chciał powiedziéć. W dalszym ciągu odzywa się p. *Czajkowski* do czytelników: cohy oni powiedzieli, *gdyby mistrz zamiast tonów wyliczał oktawy?* a drugi mistrz *gdyby liczył tyle kolorów, wiele jest odcieni i kombinacyj każdego koloru?* Ja się zaś do niego tylko odzywam: cohy on powiedział o sędzi, któryby potępił stronę przed przejrzeniem jój wszystkich dowodów? Otóż! ja tą stroną potępioną jestem i błagam o miłosierdzie, ale piérwój o przeczytanie moich dowodów, oraz ich zrozumienie i zhicie.

2. Gorszy się p. *Czajkowski* z takiego, wedle niego, mnóstwa brzmień naszego języka: ale nie raczy przekonywać ich fałszywości, czy narzutu, i oczekuje *wyroku od wszystkich ludzi mających jakiegokolwiek o języku i jego grammatyce wyobrażenie*. Bardzo wygodną drogę sobie obrał p. *Czajkowski*: aby za niego i do tego jeszcze krytyka, inni uczeni mówili! Zapomniał o tém, że niewszyscy znają ten przedmiot, że choć go nieco rozjaśnił *Mroziński*, przecież go nie dokończył. Potrzeba więc nad tém pracować i ziomeków oświecać. Kto będzie mówił do przekonania dowodami, ten u rozsądnych wyrok pozyska przychylny: ale i tu p. *Czajkowski* wystąpił jako nauczyciel uzbrojony tylko we wskazówkę i wyznacza nią uczniowi przedmiot do pracy.

3. Mówiąc o *dwótgłoskach*, *trójgłoskach* przezemnie podanych, tak tylko rozumuje: *wstył pisać dziś o tém*, i odkrywa przyczynę błędnego mego mniemania w tém, żem

(c) *Mrozińskiego* zasługi i błędy wymienitem w Rozp. str. 156, 159, 161, 165, 166, 170, 173, 174, 183, 185, 196, 186, 201, 202, 209, 212, 213, 215, 218, 220, 330, 233.

j za samogłoskę (d) poczytał. Ja zaś jego mniemania o mnie błędnego przyczynę w tém odkrywam, że prócz *Mrozińskiego* i to tylko z nazwiska (jak się niżej pokaże), nikogo w piśmiennictwie gramatykalnym nie zna, bo i *Kopczyński*, który zatrzymał język najpotężniej od zepsucia, dwugłoski i trójgłoski uznaje. *Mrozińskiego* zasługi wymieniłem w moich Rozprawach: ale dowiodłem i jego wpływu szkodliwego na zawrót główek. Jeżeli p. *Czajkowski* odpisze na moje niżej umieszczone zapytania, dokładniej mu jeszcze dowiodę tej rzeczy.

4. Mówię o moim układzie *przypadkowania* (e), śmieje się p. *Czajkowski* z ilości wzorów, i z wyliczania końcówek, które wskazują wzory, nawet wystawia wypadki w liczbach, wyjątków na setki liczy, odkrywa przyczynę tego w *braku wszelkiego systematu głoskowego*, uważa za niepotrzebne moje uwagi i objaśnienia, powiada, że pochodniki do grammatyki nie należą i t. d. Tak wiele zarzutów napozór tak ważnych, dla odkrycia nieznamości i niesumienności p. *Czajkowskiego* pokrótce rozbiore.

a) Dziewięć wzorów przypadkowań rzeczowników podaje: a *Mroziński*, za którym tak garluje p. *Czajkowski*, wiele podaje? Oto! na męzki rodzaj trzy wzory, na żeński cztery, na nijaki trzy. Dodawszy więc wszystko, wyniesie dziesięć wzorów. Już nie chcę wchodzić w obszerniejsze wykazanie nieładu tych wzorów: bo po co sławiony *Mroziński* zrobił swój trzeci wzór rzeczowników męzkich? dlaczego zamieszał swój wzór pierwszy rzeczowników żeńskich? a wszystkie wzory rzeczowników nijakich? Czyto do jednego wzoru należą np. *cielę* i *imię*? *Mroziński* więc zrobił więcej odemnie wzorów, a co gorsza zamieszał je prze-

(d) Tu także malutką nierzetelność p. *Czajkowski* popełnił: bo nie dodał tego, że ja nazywam *j* *graniczną* samogłoską. A dlaczego tak nazywam? znajdzie w moich Rozprawach od str. 26. Dodać jeszcze muszę i to, że o tej głosce najobszerniej napisałem, jako o takiej, o której różni różnie pisali i dotąd piszą.

(e) Dla pojęcia łatwiejszego, używam wyrazów grammatycznych *Kopczyńskiego*.

ciw własnemu układowi głosek. Jakiem przeto czołem może się naśmiewać p. *Czajkowski* z podziału moich wzorów? Powinien był raczej dowieść ich zbytku lub zamieszania, i to naocznie przekonywającemi przykładami.

b) P. *Czajkowski* wyliczył 82 końcówek rzeczowników z mojej Grammatyki: cóż ja temu winienem, że nasz język obfity tyle ich ma w imionach? a co gorsza, że kto się chce po polsku wyuczyć, powinien je mieć w głowie? Ale i tu dla pojętniejszych nie tak jest rzecz trudna, jak p. *Czajkowski* przedstawia, bo robiąc podziały wzorów powiadam np. „Wzór Iszy na imiona męzkie o twardych spółgłoskach” i wyliczam te spółgłoski. Wyliczenie więc tych spółgłosek nie jest utrudzeniem, bo je czytelnik poznał na str. 3 mojej Grammatyki, ale tylko jest dokładnością. Toż się stosuje i do innych wzorów.

c) Wyjątków na setki liczy; wypadki z dodania przypadków i wzorów w liczbach przedstawia. Gdyby policzył sumiennie, znalazłby w całym przypadkowaniu zaledwie kilkanaście wyjątków. Nie mogą się albowiem nazwać wyjątkami 2go wzoru imiona, które dla rozumowstwa naszego języka i jasności końcówkę z wzoru 1go przyswoiły do 2go przypadku. Niech uczeni tylko takie rozumne wyjątki robią, a nikt im braku natchnienia rodzinnego nie zarzuci. Wyliczam je dla dokładności, dla poszanowania zwyczaju powszechnego, wskazuję bezzasadne wyjątki i rozumowaniami nawracam na drogę narodową. W *Mrozińskiego* grammatyce, którą za największą doskonałość p. *Czajkowski* uważa, kiedy zechcę, tysiąc wyjątków wyliczę zupełnie tam opuszczonych.

d) Przyczynę wyjątków przezemnie podanych p. *Czajkowski* widzi w braku *systematu głoskowego*, że u mnie *niczém system głoskowy Mrozińskiego*, żem tego autora, zdaje się p. *Czajkowskiemu*, nie czytał. Tymczasem podział moich wzorów cały jest oparty na miękkich, zmiękczonych i twardych spółgłoskach. Niech mi wytknie p. *Czajkowski* miejsce, gdzie tego odstępiałem? A jeśli tak nie jest, kto z nas czytał i rozumiał lepiej *Mrozińskiego*? Krytyka p. *Czajkow-*

skiego tak jest powierzchowna, że nawet nad moim układem nie raczył się zastanowić, tylko się wprawiał w dodawaniu i mnożeniu moich zakończeń. Nie powtarzam tylko za *Mrozińskim* podziału głosek na *plynne, syczące, głosowe, odbite* i t. d. bo to niczego nie objaśnia, niczego nie ułatwia. *Mroziński* bystry, widząc niedostateczność i zamieszanie swoich wzorów, udaje się do wybiegu: że *prawidła*, a nie *wzory* w naszym języku panują, a obok tego przecie, jak widzieliśmy pod a) dziesięć wzorów stanowi. PP. krytycy nie przetrawiwszy dobrze tej nauki, a podobno niewiele nią posiliwszy się, zapewne mi także powiedzą: że *prawidła*, to zasada! Obaczyniż czytelniku tych *prawideł* ważność, kilka ich przytoczę. Tak np. *Mroziński* mówi: „jeżeli w jednym miejscu podniebienia wyrabiamy literę głosową odbitą, a po niej zaraz literę syczącą nieodbitą, naówczas i pierwsza zamieni się na syczącą.” W drugim miejscu powiada: „słowo wtenczas pomnaża liczbę swych sylab przybraną jedno-sylabną cechą, kiedy swęj samogłoski nie odrzuca.” W trzecim miejscu: „słowo, które nie odrzuca swęj samogłoski, przybięra po niej spółgłoskę, która samogłoskę nieodrzuconą przedziela od zakończenia cechowego” (f). Takich tysiące *prawideł* stanowi. Pytam się teraz was ojcowie i matki! czy wasze dzieci lepiej zatrzymają w pamięci podobne *prawidła* i te niby *przyczyny filozoficzne* w dziwne rusztowanie naukowe przystrojone, czyli prosty przyrodzony przechód wzorów opartych na zakończeniu i znaczeniu wyrazów? Dobrze to jest ubrawszy się

(f) Przyznać się jednak muszę, że choć czytałem *Mrozińskiego* i lepiej może jego wywód od p. *Czajkowskiego* pojąłem, zawsze *Mrozińskiemu* za podobne *prawidła* przeciwny byłem i za najwyższą doskonałość jego dzieła nie poczytałem. Nawet i do wypadków ostatecznych inaczej doszliśmy. *Mroziński* pochwycił abecadło i z niem się ciągle bawi, zrównania podobne jak wyżej przytoczone, wyprowadza nieprzeliczalne, bo i odmian w naszym języku niemała liczba. Ja szczęśliwym losem zacząłem układać spisy wyrazów zakończeniami, a z tych porównania pokazało się, że tyl-

w szlafrok krytyka, za stolikiem sędziowskim zasiadłszy, pi-sać nagany i łajań nie skąpić! ale mój zawód zaczął się od uczenia dzieci języka polskiego. Czytałem im prawidła podobne powyższym *Mrozińskiego*: biędne nie rozumiały i doskonale zasypiały; z *Kopczyńskim* daleko lepiej poszło, ale gdy później na mój układ trafiłem, nowego ucznia we trzy miesiące więcej nauczyłem, niż pierwszych w półtora roku. Przekonałem się więc dotykalnie, że na najlepszą drogę dotąd trafiłem, i niech tylko nauczyciel weźmie moją Grammatykę w rękę i z niej wszystkie przykłady naprzód krędą na tablicy, później na czysto na papierze każe przepisać, po upływie czasu na przepisaniu tych przykładów potrzebnego przekona się: że uczniowie i odmiany i pisownią pojęli i głęboko w pamięć wrażli. P. *Czajkowski* powiada: że ja nie pojąłem, czego dziś wymaga się po grammatyce? Ciekawy jestem, czego możemy więcej wymagać po grammatyce, jak wyuczenia się języka? Niech mi p. *Czajkowski* objaśni. Jeżeli on, przejąwszy się głębokością obcą w tym zawodzie, chce tę głębokość niepojętą dla Polaków odkryć, to niech sam się potrudzi! Ja piszę, jak rozumiem, i chcę aby mnie rozumiano: głębokość ciemną zostawiam p. *Czajkowskiemu*, *Kamińskiemu* i t. p. Ale niech ziomkowie będą na baczności, ażeby zamiast światła, dymów obcych nie pochwycili.

e) P. *Czajkowski* powiada: że moje uwagi i objaśnienia są niepotrzebne: nawet tak jest dobrodusznym, że jedną moją uwagę przytacza. Czytelnik może się przekonać, kto z nas powtarza słowa bez myśli.

f) Mówi p. *Czajkowski*, że i *pochodniki* do grammatyki nie należą, zapewne tylko dlatego, że ja starałem się je dokłu-

ko spółgłoski ostatnie i znaczenie wyrazów na odmiany ich wpływają, zбочeń zaś od wzorów jest przyczyną jasność mowy, jej dokładność i niecierpienie dwuznaczników. Możeż być zasada krótsza, jaśniejsza i odpowiedniejsza naszemu rozumowemu językowi? Natchnieniem zatem szczególniejszém (bo nie czytał Rozpraw moich) odgadł p. *Czajkowski* odstępstwa mojego ogólnego od zasad *Mrozińskiego*; ale grubo się pomylił nie dostrzegając niczego wspólnego z *Mrozińskim*.

dnie wyprowadzić. Ale tą mową podnosi rokosz przeciw ubóstwionemu swemu *Mrozińskiemu*: bo wszakże i on prawiła podaje tworzenia przymiotników z rzeczowników! Moja wina zapewne dlatego wielka, że ja i o innych pochodnikach nie zapomniałem. Lubo tępe mam pojęcie, wedle zdania p. *Czajkowskiego*, o wielu rzeczach, pozwoli sobie powiedzieć, że i on wzrok nienadto bystry dostał w odgadnieniu moich zamiarów. W obu moich dziełach, w mowach dwa razy mianych w zakładzie Ossolińskiego, i w odpowiedzi p. *Pilatowi* dotknąłem, na jakiej drodze jest nasz język? Dziś wszyscy widzą, czy to co nas otacza, do kształcenia języka dopomaga? wszystkiego więc dotykam, wszędzie wskazuję wedle méj przemożności drogę, na której cokolwiek postąpiłem, o niebezpieczeństwach, o fałszywych (choć w todze uczonój) prorokach ostrzegam. Nie wiem zatem czy tak wielka jest moja wina, abym w pismach poważnych zamiast dowodów łajania spotykał? Lepiejby zrobił p. *Czajkowski*, gdyby, poznawszy język ludu prostego i swoich przodków, wyszukiwał błędów moich, które, ile ułomny, popełnić mogłem, i te błędy w miłości braterskiej i oświecaniu prawdziwém prostował. Gdyby tych poznał lepiej, z których się naśmiewa, gdyby historycznie przedmiot zgłębił, z przesądów i zarozumiałości dzisiejszym niektórym uczeńcom pospolitej, się otrząsł; przekonałby się, jakim krokiem nasz język dziś postępuje, i do czego zejść może?

g) Powiada p. *Czajkowski*: że ja 12 wzorów przymiotnikom naznaczam. Kto ma moję Grammatykę lub Rozprawy, niech raczy obaczyć, jak sumiennie mój krytyk postępuje? Bo wiem z pewnością, że cztery wzory postanowiłem. Chyba p. *Czajkowski* dostał exemplarz mocą *Belzebuba* pofałszowany! Oprócz tego dodaje: że *tępy* i *głupi* są jednego zakończenia. To już nie wiem czego jest skutkiem? Bo każdy widzi, że w pierwszym przymiotniku jest *p* twarde, w drugim miękkie! Ten podział także jest zgodny z zasadą *Mrozińskiego*. Niech więc powie otwarcie p. *Czajkowski*: czy to jest drugim jego rokoszem przeciw *Mrozińskiemu*?

czy jego niewyrozumieniem? To tylko niezawodna: że gdyby zmartwychwstał ten prawodawca głoskowy, pewnoby za ucznia swego p. Czajkowskiego nie uznał.

5. P. Czajkowski w rozbiornie mojego czasowania utrzymuje, że ja powiedziałem: iż zaczynać od trzeciej osoby uważam za przyrodzeńszy porządek. U mnie zaś na str. 265 jest tak: „uważam za porządek przyrodzeńszy zaczynania od trzeciej: *bo na oko łatwiejsze jest pojęcie tworzenia się od niej pierwszój i drugiej osoby.*” Nie widzę więc potrzeby zbijania p. Czajkowskiego, kiedy twierdzenie swoje osnuł na tak sfałszowanej mojej myśli. Każdy bowiem jasno widzi: że tu położyłem dlatego tylko trzecią osobę, iż tworzenie się z niej innych jest łatwiejsze. Powinienby raczej dowodzić p. Czajkowski: że ja źle wyprowadzam od tego pierwotnika.

6. P. Czajkowski zmieszawszy wszelki ład, wraca się do tego, co ja wyprowadziłem na początku Grammatyki i gniewa się za przemianę porządku przypadków. Jeżeli się myślą zagłębimy, przyznać musimy pierworodztwo czwartemu przypadkowi nad drugim: Uczony Jordan nieco później w tém się ze mną zgadza. Pozostaje więc p. Czajkowskiemu dowieść swojego twierdzenia przeciwnego: a w tém dowodzeniu spodziewam się, że zechce pójść za zdrowym rozumem, a nie za innych języków grammatykami.

7. Żartuje też p. Czajkowski z tego: że od *przeszłego* czasu zaczynam w słowach, a nie od czasu *teraźniejszego*. Powiedziałem wyżej: że zasadą odmian naszego języka jest zakończenie i znaczenie wyrazów. Do rzeczowników i przymiotników łatwo było tę zasadę przystosować, ale do słów nikomu się nie udało: bo ich zakończenia pierwotnego nie odkryto. Ja w czasie przeszłym odkryłem to zakończenie i ztąd tego czasu trzecią osobę liczby pojedynczej na rodzaj męzki *pierwotnikiem słowowym* nazwałem i od niego jasno i zrozumiale cały rozród odmian w słowach wywodzę. Powinien więc był pokazać p. Czajkowski: że nie czas przeszły jest *pierwotnikiem*, ale czas *teraźniejszy* i tego zaraz dowieść przykładami: a pokazał-

by, że jak wypada na osądzęć rozumnego postępuje. Radzę mu jednak aby się do tój rzeczy nie brał, bo widocznie o niej żadnego nie ma wyobrażenia.

Żo słowo *być* inaczej tworzy swe odmiany, o tém dokładnie podałem 266 — 269, i niepotrzebnie p. *Czajkowski* tu się kilką językami popisuje: bo każdy wie o tém i bez niego.

8. Z liczby *podwójnej* się śmieje, przytacza nawet na pośmiewisko swój przykład. Na to czyż mam odpowiadać? nie, bo to nie jest pokrzywdzeniem mojem osobistém, ale całego narodu, jest naśmiewaniem się z całej światnej przeszłości, jest jej zdeptaniem równie, jak żyjącej dotąd mowy ludu, jest prawdziwém *plwaniem w oczy* (jak pięknie się wyraża mój krytyk) *w dzień biały*. Ludzie cnotliwi, do rzeczy krajowych przywiązani, zbierają z troskliwością nawet odłamki pamiątek z ziemi wykopanych, pieniążki, na których oblicze swego dawnego króla zobaczą. P. *Czajkowski* naśmiewa się z tego piętna dawniej naszej mowy obfitości, lekceważy odgrzebane piękne wzory liczby *podwójnej*!

9. *Jakubowicz*, którego zdaje się jakotako poważać p. *Czajkowski*, nazwał czas od tego ostatniego wytknięty *zaprzeszło-przeszłym*. Nie chciałem więc przemieniać niepotrzebnie tój nazwy. Że nie okréśliłem tego czasu znaczenia, to może być skutkiem mojego zapomnienia, skutkiem i tego, że każdy Polak przeczytawszy przezemnie przywiezione przykłady, zrozumie co one oznaczają? Ale przecież nigdybym się nie odważył za p. *Czajkowskiem* nazwać ten czas *wyrażeniem omówném*, co daleko jest ciemniejsze od pierwszego.

Że p. *Czajkowski* żartuje z powtarzania dwa razy *byli* byli óla oznaczenia *zaprzeszłości*, od całego narodu i dobrych pisarzów używanego i tu się popisuje dzikim australskim językiem, to mię bynajmniej nie zadziwia.

10. P. *Czajkowski* powiada, iż dosyć było podać pravidła: że *t* zamienia się na *c*, *r*, na *rz*, *d* na *dź* i *t. d.* Ale przejrzyjcie czytelnicy! wszystkie odmiany rzeczowników, przymiotników, przysłówków i słów, a przekonacie się ja-



kię ważności jest to prawidło? Nie będę przytaczał tu przykładów: bo moja Grammatyka każdemu na oko to pokaże. Wolałem więc częściej prawidło przemiany powtórzyć przy zdarzonej sposobności, aniżeli je niedołącznie, choćby za *Mrozińskim*, uogólniać.

11. Powiada p. *Czajkowski*: że ja na wzór czasowania słowa *daję, dajesz* i t. d. odmieniam słowo nijakie. To niesłychane z porządku już podobno *czwarte* fałszerstwo, fałszerstwo wszakże niezłośliwe, ale nieumiejętne, bo on nie pojął tego, co o słowach nijakich od str. 367 mówię, że i znaczenie słów, w skutek ogólnej języka zasady, na odmianach ich wpływa.

Przeciw *é* ściśnionemu za przykładem *Mrozińskiego* powstają zgodnie pp. *Pilat* i *Czajkowski* i zawsze mają słuszną przyczynę; bo trzeba się wyuczyć, gdzie ono być powinno? potrzeba przymusić usta do wydania tego pięknego półtonu, potrzeba przyzwyczaić ucho do tego narodowego brzmienia. Ale względem *e* otwartego zupełnie mają zdania przeciwne: p. *Pilat*, zatkawszy uszy na moje dowody, chce aby było *widzimy, musimy*; p. *Czajkowski* przeciwnie i słowom czynnym chce to *e* narzucić jak np. *czynimy, życzymy, robimy, dziwiamy się*. Otóżto jest zgoda krytyków na rozumnych powodach, to jest na każdego *widzi-mi-się* oparta, w imieniu postępu głoszona! Oto są zasady pewne dzisiejszej krytyki! Jak tych dobrowolnie, podobno nawet i gwałtownie narzucających się przewodników nazwie naród? czy ślepmi, czy jedno-okowemi? ja nie chcę uprzedzać, a moją odpowiedź co do tego zachowam na zarzuty sumienniejszych spadkobierców drogiej spuścizny. Tu tylko to dodam: że jak usta dobrze ukształcone *é* ściśnione łatwo (jak i we francuzkim języku) wymówią, tak ucho nasze łatwo je rozróżni. Nadto to *é* jest potrzebne dla jasności mowy, Gram. str. 431 potrzebne w odmianach rzeczowników str. 28, 29, 54, potrzebne i dla rozwinięcia przyrodzonego odmian w czasowaniu, str. 367 i t. d.

12. Moje wyobrażenie o *składni* wielu uczonych ustnie i listami pochwaliło, a *Kraszewski* w Tyg. Petersb. publicz-

nie ważność moich myśli uznał. W Grammatyce *wyrazy* ze swemi odmianami są jakby ciałem ze swemi członkami: *składnia* jest duszą poruszającą temi członkami, jak narzędziami. Dopóki te członki, te narzędzia są w stanie nierozwiniętym, swemu przeznaczeniu nieodpowiadającym, dopóty mogą, owszem powinnyby być doskonałone i wykształcane. Lecz skoro odpowiadają już swemu przeznaczeniu, bardzo ostrożnie w odmienianiu i przeinaczeniu isć potrzeba, ażeby całej maszyny nie popsuć. I dlatego wystąpiłem z moją Grammatyką, w której nie tak prawidła i prawa z siebie stanowią, jak raczej przyrodzone językowi i użyciem wieków ustalone wzory wskazują, jakby jakie granice na rozhukanych, bez wędzldła żadnego *postępców*. Ale składnia, jako dusza ująć się nie da w więzy, oprócz w więzy rozumowstwa, którego, jeżeli kto nie ma, prawidła nie stworzą. I dlatego o składni tak oględnie piszę. P. Czajkowski powstający na to nie zastanowił się, jak dziwnych rzeczy po grammatyce polskiej wymaga? i chce bym okuwał w kajdany istotę niepochwytną, istotę, której sam swobody największej zaprzeczyć nie może.

13. Przytoczywszy p. Czajkowski z mojej Grammatyki okres powiada o mnie: *więc u niego ile będzie słów, tyle okresów, a ile okresów, tyle zdań*. Kiedy u mnie jest tak: „jeżeli w okresie jest więcej niż jedno słowo, pospolicie spójnikami powiązanych, okres jest *złożony*, a od liczby słów oddzielnych nazwę przybierający *podwójnego, potrójnego* i t. d. Kiedy więc powiedziałem *złożony*, to ma się rozumieć z *części*, a nie z *okresów całkowitych*. Oprócz tego dwa razy tu użyty jest wyraz *okres*, a zawsze w liczbie pojedynczej.

Wyżej zaś powiedziałem: „jeżeli tylko myślę o jednej rzeczy, przedmiocie, osobie, bez porównania i stosowania jój do drugiej, bez robienia wniosków, taka myśl nazywa się *sądem*, słowami zaś oddana w mowie, lub na piśmie zowie się *zdaniem*.” Gdzież tu porównałem *okres* ze *zdaniem*? Jest to więc *piąte* z porządku fałszerstwo p. Czajkowskiego. Wybacz czytelniku! że takie błabo zarzuty zbijam; bo tu nietyl-

ko o obronę mojej Grammatyki idzie, ale też i o pokazanie złośliwości krytyka.

14. P. Czajkowski przytacza myśl moją: że dla Polaków wskazanie rzędu słów przyimkami jest niepotrzebném. Rzeczywiście tak powiedziałem: ale widząc często wymijaną drogę narodową i w tym przedmiocie, więcej zrobiłem aniżeli moi poprzednicy, więcej objaśnień dałem. P. Czajkowski w to nie zaglądnawszy, tylko uchwycawszy za słowa zdrowej przestrogi, przeciw niej piorunuje. Czy wypada krytykowi pisać recenzje nie przejrawszy wszystkiego?

15. Na uwagi humorystyczne nad moją *pisownią* nie nie odpowiem, bo i tu widać wszystkiego p. Czajkowski nie przeczytał. Proszę go tylko, aby pokazał, gdzie znalazł w mojej Grammatyce te wyrazy: *dyń, dryń, trzeń, zaraina, alexandryński*? Widać że p. Czajkowski *improvizować* bardzo lubi, co nie powinno mieć miejsca w takiej krytyce. Z tych jednak mnie narzuconych przykładów pokazuje się szkodliwe p. Czajkowskiego dążenie, wyrzucenia z naszego języka miękkich spółgłosek; wyraz tylko *cielęcina* uważa on za najmiekszy wyraz, bo mu tak Francuz jakiś powiedział. Zwietrzały to wyskok dowcipu nieznających języka!

16. P. Czajkowski dalej naśmiewa się z *Kochanowskiego, ze Skargi, z mowy ludu (g) i Kopczyńskiego*, a nie wie, kto język od złego kierunku najsilniej powstrzymał? Naród też czoło *Kopczyńskiego* wieńcem, a jego imię czcią otoczył. Czy godzi się tak urągać ludziom znakomitym? Gdyby p. Czajkowski przeczytał uważnie wszystkie dzieła *Kopczyńskiego*, nie odważyłby się na pisanie takich krytyk. Ale on chętniej czyta o języku dzikich ludów Australii i poprawy podobne naszemu narzuca.

(g) W krytyce grammatyki *Srzeńiawy* był p. Czajkowski w lepszym humorze, bo nawet cokolwiek pochwalił *Kopczyńskiego*, a o mowie ludu tak powiedział: „prostaczkowie nie doskonałą mowę ojców, ale też nie psują jej.” W tém ostatniém zgadzam się z p. Czajkowskim i dlatego w moich badaniach mowę ludu za drugie czyste źródło uważam i uważać będę, kiedy p. Czajkowski co pół roku swe zdanie odmienia.

Tak tedy gruntownie rozbięra moję Grammatykę p. *Czajkowski!* na takich mocnych dowodach się opięra! używa tęż i mocniejszych, to jest nierzadkich przycinków i dowcipkowań, bez którychby się obeszło w tak poważnej rzeczy pisząc. P. *Czajkowski* zapomniał: że krytyk dość dokuczycy może pisarzowi wyliczeniem i wykazaniem jak na dłoni błędów. Ponieważ tego ostatniego, najważniejszego osądźcy obowiązku p. *Czajkowski* nie dopełnił; przeto i ja nie widzę potrzeby dłużyć się rozpisywać. Ale w obec wszystkich przyrzekam na nowo dokładnie mojemu obowiązkowi wyjaśnienia rzeczy odpowiedziéć, skoro mi p. *Czajkowski* bez żadnych wykrętów, ogólników, samowładnych postanowień, następne pytania rozwiąże:

I. W czém ja cofam język o trzy wieki?

Uwaga. P. *Czajkowski* w tym zarzucie zgadza się z ogólnikami p. *Pilata*. Temu ostatniemu w *Dzienniku mód Kulczyckiego* N. 19 i 20, oraz w *Rozmaitościach lwowskich* N. 39 ter. roku odpowiedziałem. Ale ponieważ chciałbym dowodnie wiedziéć i w szczegółach: w czém nasz język cofnąłem? przeto niech dobrze się p. *Czajkowski* zastanowi.

II. Które przezemnie stare *formy* podane gorsze od dzisiejszego wieku?

Uwaga. Ma się rozumiéć: że p. *Czajkowski* dla przekonania rodaków, umieści obok przezemnie podanych i tegożczesne *formy*. Bo jeżeli tylko tę część wyrazów: *słowikowie, koniów, rodzaja, zmija, wzorowo, afrykański* jak *dandy* w robronie, wedle p. *Czajkowskiego* wyglądają, to mogę na to i dziś odpowiedziéć.

a) *Mroziński* powiada: że *stoń* ma 2 przyp. lic. mnog. *stoniów*, a koń, *koni*. Już pomijam nawet użycie dawne, dzisiejsze u pospólstwa dobrze mówiącego, a przez *Kopczyńskiego* w pośmiertnej grammatyce w prawidło wzięte; ale pytam się jakim prawem mógł *Mroziński* połamać wzory przyrodzone naszego języka? Wszakże *stoń* i *koń* są zupełnie jednego rodzaju, jednego zakończenia! Oprócz tego imiona żeńskie np. *broń, pogoń* i t. p. mają ten przypa-

dek *broni, pogoni*. Proszę mi więc powiedzieć bez ogródki: czy zamieszanie to wzorów i rodzajów przeciw mowie dawniej i ludu, dowodzi postępu i potrzeb cywilizacji jakiejś? U mnie wyjątku podobnego nigdzie p. Czajkowski nie wskaże!

b) *Mroziński* powiada: że rzeczowniki na *a* zakończone, w których przybierającą głoską jest miękka spółgłoska, mają 4 przyp. na *a*, np. *stajnią, studnią*, i t. d. A że wyraz *żmija* ma przybierającą mięką spółgłoskę; cóż dziwnego, że toż zakończenie nadałem stosownie do użycia wieków i ludu? Czy tu p. Czajkowski nie trzeci rokosz przeciw *Mrozińskiemu* podnosi? Nadto może znaleźć w samym *Mrozińskim* jeszcze inną przyczynę, znajdzie i w moich Rozprawach od str. 173 zacząwszy. Jeżeli sumiennie i dla dobra języka p. Czajkowski chce ze mną walczyć, powinien i moje Rozprawy choć w tym miejscu przeczytać, pomimo wyraźnego z góry odmownego postanowienia.

c) Dlaczego używam *rodzaja* w 2 przypadku? objaśniłem w Grammatyce na swoim miejscu, w Rozprawach od str. 220. A teraz zapytuję w czém samogłoska *u* daleko później od nieznamości w ten wzór wprowadzona, ma być lepszą od *a* przedwiecznej? i czy p. Czajkowski dowodzi jakiegoś wyobrażenia zdrowego o postępie, skoro sprzeciwia się końcówce przedpiśmienną jeszcze, a co większa jasności mowy tyle dopomagającą? Kto z nas prawdziwie cofa język?

d) *Słowikowie* objaśniłem w Grammatyce na swoim miejscu, a teraz tylko p. Czajkowskiego, także za *Mrozińskim* powtarzającego zapytuję: czy postęp dzisiejszy tak jest wielki, jak mu się marzy, kiedy odcieniowanie zakończeniem wyrazu jego znaczenia, własność zaszczytną naszemu tylko językowi właściwą odrzuca, i ułomne języki naśladować usiłuje?

e) *Wzorowo* przysłówki od *wzór*, kolejną przyrodzoną naszemu językowi utworzony i odemnie zamiast *foremnie* użyty, dlaczego ma być gorszy od tego ostatniego z obcego wyrazu *forma* utworzonego? Czy na używaniu obcych wyrazów *foremnie, rekomendacyjny, hipoteka, dank, fenomen,*

realny, utilitarny zależy także postęp języka naszego, dlatego tylko: że p. *Czajkowski* je powtarza bez potrzeby? Bo wszakże tego znaczenia mamy pewne i ustalone swoje wyrazy!

f) Nasze wyrazy np. *Łąka, Wisłoka* (h) stosownie do zasad samego *Mrozińskiego* tworzą przymiotniki *Łączaiński, Wisłoczański*, lub przez skrócenie *Łącki, Wisłocki*. Dlaczegoż tak śmiesznym się wydaje p. *Czajkowskiemu* przymiotnik *Afryczański*, a przez skrócenie *Afrycki* od *Afryka* pochodzący? Czy tu w natchnieniu narodowém jest za przymiotnikiem wyższych stanów *Afrykański*?

IV. Raczy p. *Czajkowski* swoje abecadło wyliczyć: abym się dowiedział, które moje głoski, dwugłoski, i trójgłoski są dziwolągami? a które chińskimi z *pazurkami* głoskami? Nakoniec i to raczy powiedzieć, czy *au, eu* są dwugłoskami, czy czemś inném?

Uwaga. Ja tego w Rozprawach od str. 25 oraz na str. 145 i 146 wywód zrobiłem. Nie chcąc dziś powtarzaniem nudzić, czekam na zabicie zamieszczonych tam przyczyn.

V. Gdzie u mnie niczém jest system *Mrozińskiego*?

Uwaga. Ma się rozumieć co do podziału tylko głosek na twarde, miękkie i zmiękczone; bo to tylko jedno za najważniejszą zasługę (choć o tém i piérwiej wiedziano) *Mrozińskiemu* przypisuję. W innych rzeczach odstąpiłem dla ważnych powodów.

VI. Jeżeli moich dziewięć wzorów na rzeczowniki jest za wiele, to zapewne któryś z nich niepotrzebnie się dołączył. Proszę więc p. *Czajkowskiego*, aby raczył wskazać:

Który mój wzór, z którym ma być połączony dla zmniejszenia ich liczby, dla skrócenia nauki, jak powiada p. *Czajkowski*, dziś tak potrzebnego? a oraz niech doda:

Którą liczbę, który przypadek dzisiejszy postęp wyrzucić lub odmienić zaleca?

Uwaga. Jeżeli p. *Czajkowski* mniejszój liczby wzorów przykładami dowiedzie; pozwolę mu zatrzeć na zwycięztwo i uznam swoje nicość. Pewny jednak jestem: że ta

(h) Nazwy wsi.

ilość wielka wzorów własnie stanowi naszego języka rozmaitości zaletę, której powiérzchownym krytykom naród odebrać nie pozwoli.

VII. Powiada p. *Czajkowski*: że u mnie niemasz żadnego układu, proszę więc jego o nauczzenie mnie:

Coto jest układ dzieła naukowego i na czém zależy?

A przytém niech przytoczy:

Które są moje prawidła bez związku? a myśli bez użytku?

Uwaga. Dotąd jeszcze rad byłem z mego układu: bo na wszystkie zarzuty krytyków, których szereg p. *Czajkowski* kończy, znajdują się odpowiedzi przewidziane i na swoim miejscu, a dzisiejsza jest powtórzeniem rzeczy w Grammatyce dowiedzionych, których p. krytyk albo nie czytał, albo nie chciał rozumieć. Co większa, przepowiedziałem zawczasu w przedmowie do Grammatyki: jacy recenzenci najpiérwsi się pokażą? i prosiłem ich o uzbrojenie się w naukę.

VIII. Niech raczy p. *Czajkowski* zawyrokować:

Czy w naszym położeniu pracować można nad językiem bez podstawy historycznej? bez porównania języka dawnego i dzisiejszego? bez zajrzenia do mowy ludu? bez znajomości złotego piśmiennictwa? Czy tylko dość jest usiąść za stolikiem i piórkiem bujające samopas myśli zebrać i to za prawidło nieomyłne narodowi narzucić?

Uwaga. PP. *Pilat* i *Czajkowski* mając mętne o postępie naszego języka wyobrażenie, nazywają *gładzeniem* języka obcinanie jego dawnych rozłożystych konarów, *obfitością*, powtarzanie obcych wyrazów, choćby nawet były własne, *cywilizacją*, wskazanie na wygnanie wieczne starych wyrazów.

IX. W czóm zależy postęp języka biorąc go tylko w granicach Grammatyki mojej?

Uwaga. Chcąc dać zdanie o jakiego autora postępie, powinien krytyk sam się naprzód pomykać, a nie około grobu *Mrozińskiego* się błąkać. Wreszcie przywiązywać się do jednego *Mrozińskiego*, czyto już jest być postępowym?

Ja odkryłom otwarcie szkodliwość *fabryki* tak zwanój *postępowej* przez niektórych uczonych założonój na psucie

języka stopniowe: po części spełniłem sumiennego przestrzegacza obowiązki, i jeżeli Bóg pozwoli, wypełniać będę.

X. P. *Czajkowski* przybrał względem mnie ton nauczycielski, często dość dotkliwie swoją przewagę czuć daje, pytam się:

Na czém tę przewagę zasadza? na jakich swoich dziełach? Niech raczy wymienić swoje prace naukowe w tym zawodzie zapewne ważne: bo do mnie parafianina, żadne dzieło jego nie doszło, oprócz grammatyki *Srzeniawy* rozbioru.

Uwaga. Ten rozbiór humorystycznym jest więcej po dobrym obiedzie listem (bo i sam autor pisze: *zaczęłem w dobrym humorze*) niż krytyką. Przy końcu tego listu przyznaje się otwarcie: że przeczytać tego dzieła całkowicie nie ma ochoty, a obok tego głębokie myśli *Srzeniawy* duchem wieszczym przyznaje. Mnie się zdaje: że i moja Grammatyka również uważnie jak *Srzeniawy* była czytana i tak głęboko rozważana, tylko już w gorszym humorze.

Jeżeli mi na to wszystko (od odpowiedzi na liczbę X p. *Czajkowskiego* uwalniam, hoby mi zrobił wielki kłopot) odpowieć mój krytyk jak należy na uczonego i poznającego choć późno swoje powołanie, będę się starał moją sprawę jakkolwiek przed rodakami bronić. Wyrok na nas obu zapewne naród wyda, co do mnie choć na spóźnionym poprzestaną, bo mię nie osobista jaka korzyść, lecz wyższe cele których p. *Czajkowski* nie dostrzega, do pracy tej zaprzęły. Może w moich dalszych odpowiedziach i ważniejszych się rzeczy dotknę, może i przyczynę wycieczek wielu dzisiejszych uczeńców na wiek nasz świetny XVIIty przed ziomkami odkryję.

Jeżeli by w odpisywaniu p. *Czajkowski* uczuł napad mnie potajania, niech się powściągnie, ręczę że najwięcej mię upokorzy, jeżeli moich błędów dowiedzie. Łajania same niczego nie dowodzą, ale są zawsze *niedorzecznością*. Niech dowody odkrywają krytyka rozum i naukę, a nie uroszczenie do nich niesłuszne, bez zasady: piórkiem trudno omamieć tak rozum, jak kuglarze laseczką łudzą patrzących oczy

Mając tyle rzeczy do powiedzenia, nie chciałem ich okraszać powiastkami i odezwami (apostrofami) jak p. *Czajkowski*. Skoro jednak rozwiąże moje zapytania, dowiódłszy jeszcze dokładniej jego nieznajomości rzeczy, będę miał sposobność i większe prawo i tego po jednej sztuce przynajmniej w upominku mu złożyć.

Niektóre rzeczy i w mojem dziele chwali p. *Czajkowski*, upewniam jednak: że jego nagany większą mi chlubę i zasługę u rozumnych ludzi przyniosą, niż pochwały.

Nieodpisanie na powyższe moje pytania, zda mi się dość ważne; nietylko ja, lecz zapewne i wszyscy ziomkowie wezmą za ucieczkę p. J. A. *Czajkowskiego* z pohojowiska.

Pisałem w Łancucie, 1 listopada 1846 roku.

Jan Nep. Deszkiewicz.

Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława III, przez Ł. Gołębiowskiego b. czynnego członka i sekretarza b. Towarzystwa Kr. Warszaw. Przyjaciół nauk. Warszawa, druk Orgelbranda, r. 1846. Tom I, str. XXV. 573, T. II, str. 478 in 8vo.

Epoka Jagiełły, ostatniego apostoła wiary chrześcijańskiej w Europie, nietylko nas obchodzi, lecz i dla niej nie może być obojętną. Owszem, jest ona żywotną częstką dziejów całej ludzkości. Jagiełło dokonywając w XIV wieku obalenia jedyne go już poganizmu między chrześcianami europejskimi, stał się rozkrzewicielem nowój cywilizacji i główném narzędziem zupełnego przekształcenia i przemarodowienia licznych i rozległe posady zajmujących pokoleń. Syn jego Władysław III, był rycerzem i obrońcą tój samój sprawy, i tój samój cywilizacji, na inném polu i z innemi przeciwnikami. Oba pod względem potęgi i znaczenia zewnętrznego wysokie zajęli stanowisko w Europie. Ztąd łatwo

jest pojąć jak wielkie jest powołanie tego, który się odważy na skręślenie tak wspaniałego obrazu, który ściągnie śmiałą rękę do przedstawienia w właściwem świetle owęj przeszłości tylu wypadkami brzemiennej, onych mężów czynu, co silną wolą swą i duchem czasu uniesieni, wywołali sprzeczne z sobą żywioły, do zbratania się na długie wieki. Do takiej pracy w swoim czasie zdolny był Naruszewicz, i dał tego dowód zostawując po sobie dzieło wielkiej wartości, którego los przeciwny znużenie dokonać nie pozwoliły. Czacki, ów niezmordowany w cnocie i pracy Czacki, miał być jego następcą, miał doświadczonóm piórem w nowe księgi wpisać dalsze dzieje, wielkimi burzami kołatanego narodu. Ale Czacki nie był jedynie pisarzem, jak Naruszewicz; czas jego był rozdzielony między czynem a piórem. Zamiast historyi, zostawił olbrzymiej nauki i ceny monografie i materiały, może ważniejsze i chlubniejsze dla niego jak tamta, gdyby ją wykonał bez takiego talentu pisarskiego jaki był udziałem Naruszewicza. Po takich próbach i usiłowaniach, p. Gołębiowski spoglądając jak sam powiada w przemowie, ze smutkiem na pozostałe zbiory, w tej chwili właściciela któryby z nich mógł użytkować, pozbawione, postanowił z treści szacownych dokumentów, zebranych w bibliotece poryckiej, której był przełożonym, ułożyć dalszy ciąg dziejów polskich, zajmujący epokę panowania domu Jagiellońskiego. Tam gdzie nic niema, dobrze jest że się coś robi, i że się nie opuszcza zręczności do zrobienia tego co można. I dlatego téż p. Gołębiowski zasługuje na wdzięczność czytelników, że się odważył dla zaspokojenia sumienia swego i przez miłość nauki, ponieść pracę, mając wzgląd nie na siły własne i okoliczności swoje, lecz jedynie na skarby około siebie zgromadzone. Autor czyniąc wielką przysługę dla dziejów krajowych, raz, przez opisanie obszerniejsze okresu dziejów naszych, którego nikt przed nim nie dotknął w języku krajowym, drugi raz, przez ogłoszenie wiadomości autentycznych a mało komu znanych, nie dopiął jednak tego co zamierzył. Lecz i nie mógł dopiąć pomimo najłepszych chęci, bo nie czyniąc nawet porównania

zdolności jego z talentami poprzedników, zakładał wiele nie tylko co do sił swoich, ale co do rozległości pola, na którym przed zaczęciem uprawy, trzeba było zarosłe i korzenie uprzątnąć. Najpięrszą wadą w pracy autora jest sam układ, sama myśl naśladowania pisarza historyi angielskiej z przeszłego wieku, Roberta Henry, który podzieliwszy całą przestrzeń życia narodu angielskiego na osobne przedmioty, oddzielnie opowiedział historią polityczną, oddzielnie administracyjną i kościelną, oddzielnie nakoniec naukową i wojenną swojego kraju, a jednakże opowiedział to w jedném wielkiém dziele, stanowiącém całość. Henry tak zrobił jak malarz, coby chciał zamiast poważnego obrazu wystawującego czyn pamiętny bohatera, porozdzielać pędzlem przestrzeń ramami objętą, na mniejsze obrazki, i w nich odmalować sceny wyrażające uczucia i postęпки które miały pobudzić tegoż bohatera do heroicznego i godnego pamięci dzieła. Zniknęła wielkość przedmiotu z całością, zmałał bohater, a twórca obrazu stracił czas i zasługę. Wreszcie co innego pisać monografie historyczne, co innego nawet tak dziwacznym sposobem skręślać dzieje narodowe dla Anglików, gdzie już tyle pracowano w tym przedmiocie. Ale u nas tak ubogich w dzieła historyczne, niemających nawet ciągłego zarysu swojej historii, czyż podobna chcieć rozrywać i utrudniać uwagę czytelnika, a nawet gubić go w odmęcie nieczespolonych z sobą wiadomości o życiu narodowém jego przodków? Henry pracowity kompilator, niemający wyższego talentu, obrał sobie drogę, jaką nie powinien był postępować pisarz polski, choćby był tak odległy w zdolnościach swych od Naruszewicza, jak tamten od Hiuma. Za tym jednak przykładem poszedłszy p. Gołębiowski, zaczął pisać dzieje wielkopomnych dla nas Jagiellonów, ale siły wiekiem stargane, nie dozwoliły mu dokonać zamierzonego dzieła. Dwoch za ledwo królów tego wielkiego rodu, opowiedział autor znamienite czyny, a i te skończył tylko w zupełności podług obranego systematu, co do polityki i wojen: reszta wiadomości pozostała w rozprawach, sięgających nawet dalszych panowań ich następców, do których zdaje się że miał pó-

zniżej ostatnią rękę przyłożyć. Nie dotknął autor żadnych faktów poprzedzających wstąpienie na tron Jagiełły, nie wystawił stanu kraju przed tym wielkim wypadkiem, spuszcza-
jąc się w tej rzeczy na Naruszewicza, którego chciał być kontynuatorem. Wyniknął ten niedostatek z samego układu dzieła, bo dopiero przy końcu jego (T. II. str. 149) znajdujemy uwagi o kształcie rządu i władzy królewskiej, ale i tu pominięta epoka Jagiełły, i mowa tylko o synie jego Władysławie Warneńczyku. Rozdział I, obejmuje same zapasy z Krzyżakami na Litwie; o Polsce zapomniano zupełnie. Dopiero w rozdz. II, opisana walka z księciem Opol-
skim; pasowanie się zaś króla z arystokracją wielkopolską, odzyskanie Rusi Czerwonój i urządzenie stosunków z książętami szlązkimi, uważane przez autora jako *pomniejsze wypadki rządowe*, opowiedziane są sposobem kronikarskim. Tymczasem wypadki te, z których się rozwinęły póź-
niej nowe losy dla Polski, wymagały głębszego zastanowienia i wyłuszczenia. Objasnienia zwłaszcza co do usamowolnienia się szlachty i nabywania coraz większej przewagi w rządzie, trzeba znowu szukać w T. II, od str. 158, pod artykułem *kształt rządu, duchowieństwo, szlachta*. Tym sposobem rozerwana uwaga czytelnika, gubi wątek całej powieści. Najlepiej obrobiona ta część dzieła p. G., która wystawia stosunki Polski i Litwy z zakonem teutońskim w Prusiech. Oprócz bowiem ogłoszonych już w owym czasie wiadomości o tej epoce przez Kocebugo, oprócz wydanej kroniki Lindenblatta, szacowne rękopisma biblioteki puławskiej, pomnożonej skarbami zebranymi w Porycku przez Czackiego, dostarczyły autorowi obfitych źródeł do tak ważnego przedmiotu. Długosz był przewodnikiem co do dat i ciągu wypadków zaszłych w panowaniu i działaniach Jagiełły w obu krajach jego państwa. Karamzina pilnował się nieodstępnie wtenczas, kiedy szło o wyłuszczenie wypadków zachodzących z państwami ruskimi. Podobnież stosunki króla z Witowdem, rozwinął autor szerzej niż dotąd je znano, bo miał dostateczne o nich wiadomości z autentyków i kopij

tak biblioteki puławskiej, jako i metryk koronnej i litewskiej. Wreszcie Dogiela Kodex był mu wielką pomocą. Nie możemy tego powiedzieć o sprawach Jagielly z Węgrami i Zygmuntem Luxemburczykiem. Na samych niemal dziejach węgierskich Praya, oparł p. G. wszystkie swoje podania, nie zasięgając głębszych w tym ciekawym przedmiocie wiadomości. Zygmunt cesarz gra wielką rolę w historii polskiej za czasów Jagielly, jego wpływ przeważny na politykę polską, potrzebuje rozciąglejszego wykładu i bystrego poglądu na ówczesny stan wschodniej Europy. Niedostatek ten również czuć się daje w tomie drugim, gdzie autor w sześciu rozdziałach (str. 1—145) opisuje panowanie Władysława III, nie wdając się w bliższe rozpoznanie tego, co było szkodliwem dla narodu w tém połączeniu dwóch koron węgierskiej i polskiej na jednej głowie, i w konieczném ztąd zaniedbaniu spraw Litwy, bliższych i pożyteczniejszych dla Polski, od nowych stosunków z Węgrami. Główną część tomu drugiego stanowią: *Uwagi i wiadomości o stanie kraju, jego rządzie, prawodawstwie i sądownictwie, o dochodach, duchowieństwie, oświeceniu i t. d. za Jagiellonów*. Istotnie wiele tu jest rzeczy ciekawych i naucających, zwłaszcza tam, gdzie autor sięga do nieznanych źródeł, to jest do rękopismów. Jednakże sąto pojedynczo rozprawy, niepowiązane z całością, i stosują się raczej do epoki Kazimiérza Jagiellończyka i synów jego, jak do samego założyciela tej dynastyi. Rozprawa o miastach, prócz kilku faktów w przypisach umieszczonych, jest tak szczupłą i powierzchowną, że żadnego wyobrażenia czytelnikowi dać nie może o swobodach municypalnych, jakie królowie z rodu tego, w Polsce i Litwie ciągle starali się upowszechniać i mnożyć. Wreszcie takie oddzielne traktaty i w taki sposób napisane, same przez się małej są pomocy dla historyi, bo już inni rozciąglój je wyluszczyli; byłyby zaś ważniejszymi, gdyby autor też same wiadomości rozsiał w ciągu swojej powieści, albo je ściślej i systematyczniej z nią połączył. Do wymienionych tu usterków autora, dodać musimy zaniedbanie zupełnie geografii litewskiej, którą

jednakże pisząc tyle o Litwie, należało bliżej poznać. Tak zawsze p. G. Wielonę, miejsce sławne w dziejach litewskich i pruskich, mianuje Wieluniem, nie starając się poprawić błędu Długosza; Gartnę, tojest Grodno, umieszcza na Żmudzi; rzekę Dubisę, nazywa Dubiszą; Mińsk miasto, Menesk i t. p. Ale pomimo tylu wad, któreśmy znaleźli mianowicie w układzie samego dzieła, i niewykończeniu jego należytém, wypada nam wyznać z całą sumiennością bezstronnego recenzenta, że ogłoszenie téj pracy p. Gołębiowskiego jakkolwiek przedawniałej, jest ważnym zjawiskiem w literaturze naszej historycznej. Bo na-przód, nie mieliśmy dotąd żadnego obszerniejszego rysu panowań obu tych królów w języku polskim, gdyż to co Albertrandi, zostawił po sobie o kilku latach rządów Jagiełły, jest jakimś szkicem żadnej prawie wartości niemającym; potem na zaletę p. G. powiedziéć możemy, że wszelkie fakta w jego książce są po większej części ze ścisłą krytyką oddane. Błędy i uprzedzenia Kocebuogo, pomyłki Karamzina, znalazły w nim ścisłego rozpoznawcę i sędziego. Autor nie swoim tylko rozumowaniem, ale powagą autentycznych świadectw, wszędzie prostował ich uchybienia. Najgłówniejszą jednak zaletą dzieła p. Gołębiowskiego, są po większej części nowe zupełnie, albo mało dotąd znane wiadomości i akta, w mnogich przypisach poumieszczane. Do takich mianowicie należy ciekawy dokument Władysława Jagiełły razem z W. ks. Witowderą i panami polskimi, w Przemyślu 23 października r. 1412 wydany, i zaświadczający o przyjęciu w zastaw od Krzyżaków Nowej Marchii, na mocy wyroku polubownego cesarza Zygmunta; także list W. ks. lit. Zygmunta Kiejstutowicza do króla (str. 549, T. I) z Lipniszek r. 1433 datowany, z odrzuceniem rozejmu z Krzyżakami i Świdrygajłłą; przywilej Witowda żydom r. 1408 w Łucku dany, zupełniejszy od tego transumtu, który został ogłoszony u Czackiego. W tomie drugim zaś zasługuje na uwagę, treść zbioru praw ormiańskich w Polsce, w przypisie pod lit. f umieszczona, i to wszystko, co autor o kopalniach soli i kruszców w na-

szym kraju, tak w texcie od str. 361 do 380, jako téż w notach str. 467—470 napisał. Jedném słowem, możemy powiedzieć ostatecznie, że praca p. G. jest nader ważną dla badacza dziejów krajowych, bo daje poznać wiele nieznanych dotąd faktów; wystarcza zaś do zaspokojenia ciekawości czytelnika, bo jest pierwszą w swoim zakresie, nim się doczekamy znakomitego a bardzo pożądanego pióra, któreby zdołało wystawić w jednym wielkim obrazie całą ośnowę dziejów dawnej Polski.

M. B.

ROZMAITOŚCI.

Dyaryusz podróży Zofii Jagiellonki 1556 r. z rękopismu ogłosił: Tymoteusz Lipiński.

Długim pasmem jada: wozy, telegi, kolebki, rydwany.

Mając mówić o podróży królowej Zofii, wypadaloby wprzód obeznać czytelnika ze szczegółami jej życia; lecz prócz wiadomości: iż była jedną ze czterech córek Zygmunta I i Bony Sforcyi księżniczki Medyolańskiej, że wydaną została za Henryka księcia na Brunświku, i że zmarła 1575 r., nic więcej z naszych dziejopisów nie da się wyczerpnąć. Współcześnie piszący Marcin Bielski, ani słowa o niej nie wyrzekł, lubo innych córek Zygmunta podaje rok, dzień, a nawet godzinę urodzenia i datę ich zamęścia; w Gornickim zaś pod 1556 r. czytamy: „rada koronna celniejsza do krola się ziechała, dla postanowienia krolewny Zophiey w stan święty małżeński o którą księżę Brunświckie przez posły swe czynił staranie. Jakoż doszło to małżeństwo, y niż krolowa Bona odiechała z Warszawy (do Włoch), krolewnę wielki poczet celniejszych dworzan y paniąt, do Brunświka odprowadził, gdzie te ceremonie z strony małżeństwa z wielką czcią korony polskiej są odprawione.” W krótszych wyrazach powtórzył to samo Neugebauer: *Sophia regis soror, Henrico duci Brunsvicensi a rege nuptui data, et Wolffenbutelum splendido cum comitatu*

ad sponsum deducta est (1). Nie pierwszją to już była młodości dziewica, gdyż przeszło lat 30 licząca, kiedy weszła w ślubny małżeński z owdowiałym i w podeszłym wieku książciem, potomstwa też z nim nie zostawiła (2).

Jakie były warunki przedślubne, ile wynosił jej posag, jakie pożycie z mężem? te i tym podobne okoliczności, zupełnie są niewiadome. Szczęśliwy traf podał mi w ręce rękopism z owej epoki, zawierający prowadzone rachunki na wydatki kuchni, piwnicy i stajni dworu królowny Zofii, udającej się do Wolfenbüttel, stolicy przyszłego swego małżonka (3). Z tych małoznaczących na pozór zapisek, przekonać się można o licznyim i świetnym orszaku towarzyszącyim królownie. Każdodziennie umieszczane najdrobniejsze wydatki, wymienione osoby dwór składające, miejsca które przebywano, gdzie i kto podejmował dostojną panią, słusznie poczytane być mogą za rodzaj pamiętników, którym brakuje tylko więcej dykcji i barwy.

Rzeczony rękopism ma kształt wązkiej, z połowicznych stronie złożonej księgi (4); na samym czele taki jest napis tytułowy: *Rationarius perceptarum pecuniarum ex thesauro*

(1) Historia rerum Polonicarum o Salomone Neugebavero 1618, str. 593.

(2) Henryk Młodszy ks. Brunświku ur. 1498 r., człowiek żywego i niespokojnego umysłu, pałający duchem rycerskim, żarliwy obrońca rzyms. kościoła, staczał boje z wyznawcami Marcina Lutra. Pojmany w niepomyślnęj bitwie, gdy 1547 r. uwolniony został, z większą jeszcze walczył zaciętością. R. 1553 stanowcze odniósł zwycięztwo, lecz drogo je przyplacił śmiercią dwóch swoich synów; pozostał mu tylko syn Juliusz, którego z powodu sprzyjania nowowiercom chciał wydziedziczyć; zmarł 1568 r. Obszerniejsze o nim szczegóły ob. w Conversations-Lexicon: *Heinrich der Jüngere*. Biograf nie raczył wspomnieć, iż Henryk miał za żonę królowę polską, o ubocznych zaś jego miosttkach rozprawia.

(3) Brunświk (*Braunschweig*) nad rzeką Oker, położony w obrebie ks. Brunświko-Luneburgskiego, szczycit się wtedy prawem wolnego miasta i należał do związku hanzeatycznego; dopiero 1754 r. począł być stolicą kraju.

(4) Takiego kształtu księgi zwano *dudkami*, i dotąd służy im ta nazwa w archiwach przechowujących dawne akta.

regni Polonie, in sumptum coquine, cellarii et stabuli Illme Virginis Regie Dne Zophie sponse Illmi Principis Ducis Brunsvicen. et Luneburgen. in itinere e Warskavia Brunsvicium ac iterum Warshaviam, factus A. D. 1556. Regestr ten wydatków pieniędzy ze skarbu koronnego danych, zaczyna się z dnia 24 stycznia, na kilka dni przed wyjazdem z Warszawy, i prowadzony jest aż do chwili powrotu dworzan do stolicy.

Najznakomitszą figurą, której jak wnosić można, poruczono przez czas podróży opiekę nad królowną, była Kościelecka Wojewodzina sieradzka (1). Inne towarzyszące matrony (*Magnifice et Generose matrone*): Kasztelanowa przemęcka (niewymieniona z nazwiska), Lwowska kasztel. kowalska (2), Tarłowa starościna pilzneńska, i Mnichowska przełożona nad pannami dworskimi. Dygnitarze dworu królowny: Zygmunt Wolski Podczaszy (*Pocillator*), Jan Tarło Krajczy (*Incisor*), Krzysztof Sobek Krajczy (*Incisor dapum*) (3), Marcin Fałęcki Podskarbi (*Thesaurarius*); Stolnicy (*Dapifferi*): Stanisław Leszczyński, Walenty Kościelski, Stan. Wąsowicz, Stan. Zimnicki; Wielki Kuchmistrz (*Coquine Magister*) Stan. Dembiński, Skarbnik czyli przełożony nad powozami (*Curruum Prefectus*), Dymitrowski (4). Niewymienieni po urzędzie: Maciej Podolski i Stan. Broniewski; starsi pokojowcy (*Cubicularii majores*): Kozłowski i dwaj Mikołajewscy. Do orszaku po-

(1) Katarzyna z Górków, żona Janusza czyli Jana Kościeleckiego.

(2) Lwowscy herbu Nałęcz, pisze Niesiecki, od Ostrorogów linią swoją prowadzą, potem od Lwówka (za Poznaniem) Lwowskiemi nazwani.

(3) Po raz pierwszy, zdarza mi się czytać o takim urzędzie wzmiankę. Czy to nie będzie Krajczy mniejszy, albo Podkrajczy, pomocnik Krajczego? *Dapes* znaczy potrawy; *dapes instituere, dapibus mensas onerare*: podawać, nosić na stół potrawy, zastawiać stół potrawami.

(4) W każdym powiecie był Skarbnik, którego obowiązkiem było, w czasie przejazdu króla lub jego rodziny, dostarczyć pod dwór i sprzęty, potrzebną ilość powozów. Skarbniczkami zwano powozy, mające z tyłu skrzynkę czyli skarbonkę na schowanie rzeczy.

dróznego należeli także: szafarz (*dispensator*), *komornik*, *staffierze* (lokaje), *mastalierze*, kucharze i ich pomocnicy (*coadjutores*), stelnasi (*redarii*), woźnice (*vectores*) i trzy praczki (*ablutrices*). Znaczniejsi dworzanie, mieli po 6, 8 i 12 własnych koni; szafarz jechał zawsze dniem wprzód, dla urzędzenia stacyi, gdzie oraz i noclegowano.

Przystępuję do właściwego dyaryusza podróży, z którego się okaże, jak krzywym dyszlem jechała królowna przez obcą ziemię. Być może, iż omijano kraje protestanckie, a obracano drogę na takie miejsca, gdzie jeszcze istniał katolicyzm.

Dnia 29 stycznia we środę, nastąpił wyjazd N. królowny z Warszawy.

Błonie. Podejmował Stan. Grudziński Ssta błoński (1).

Lowicz 30 stycz. czwartek. Podejmował przewielebny arcybiskup gnieźnieński. (Mikołaj Dzierżgowski).

Kutno 31 stycz. piątek. Dziedzie Jerzy Kuciński (*Jeorgius Kuczienski*) dostarczył: ryb, piwa beczek 3, grochu korzec, jagiel korzec, część drzewa i owsa. Wszystkich koni było 236, z tych królewskich 63, dworzan 105, furmańskich 68.

Koło 1 lutego, sobota. Podejmował Łukasz hrabia Górka (*Lucas Comes de Gorka*) Wda brzeski-kujawski.

Kleczów 2 lut. niedziel.

Września 3 lut. poniedziałek.

Poznań 4 lut. wtorek. Podejmował Jan Kościelecki (*Janusius de Cosszielicz*) Wda sieradzki (2), dnia zaś 5 lut. Łukasz hr. Górka Wda brzeski-kujawski

(1) W rękopiśmie *statio data est per* i t. d., w innych miejscach *statio dabatur*. Nie wszystkich dworzan musiano raczyć, gdyż zapisywane są wszędzie wydatki: na piwo, mięso, pieprz, ocet, jarzyny, świece i t. d.

(2) Był on oraz i Generatem Wielkopolskim. (Tytuł ten służył Starostom poznańskim). Niesiecki przytacza o nim ciekawy szczegół, dotyczący się i męża królowny Zofii: „Już go był król August wielkopolskich województw hetmanem deklarował 1563 przeciwko Erykowi Brunświckiemu xiążęciu, i on pospolitem ruszeniem Wtwa poznańskie i kaliskie w pole wyprowadził; ale tymczasem

Kościan 6 lut. czwartek. Podejmował Czarnkowski Ssta kościński.

Wschowa 7 lut. piątek. Koni JO. księżny pani jest 73, dworzan 125, furmańskich 68, inne nie nadeszły dla złej drogi.

Niemcy (*Germania*).

Glogow (Glogau) 8 lut. sobota (1).

Bączel (Bunzlau) 9 lut. niedziela.

Gierlicza (Görlitz) 10 lut. poniedziałek i 11 lut. wtorek. Na tych czterech noclegach, podejmowano kosztem JO. ks. Brunświckiego.

Budishin (Bautzen) 12 lut. środa.

Camicz (Kamenz) 13 lut. czwartek. Tu podejmowano JO. księżną panią, kosztem JO. ks. Brunświckiego.

Han (?) 14 lut. piątek.

Thorga (Torgau) 15 lut. sobota.

Julioberga (Eilenburg) 16 lut. niedziela mięsopustna.

Lipsiae (Leipzig, Lipsk) 17 lut. poniedziałek. Przez te cztery dni czyli noclegi, cały dwór podejmowany był kosztem JO. Augusta ks. Saxonii i państwa rzyms. Elektora.

Hal (Halle) 18 lut. wtorek.

Asziersliewe (Aschersleben) 19 lut. środa. Na tych dwóch noclegach samą tylko JO. księżną panią podejmowano.

Alberstatt (Halberstadt) 20 lut. czwartek. Część potrzeb dostarczył przewiel. młodszy Margrabia Brandeburski biskup halski.

Ostrowig (Osterwick) 21 lut. piątek. JO. księżną panią podejmował JO. ks. Brunświcki, dworzanom zaś zaliczono ze skarbu królestwa polskiego.

Wolfenbitel (Wolfenbützel) 22 lut. sobota.

Eryk zpędzony pod Czczewem, wrócił się z wojskiem do domu." O wkroczeniu Eryka do Prus, ob. Albertrandego: Dzieje król. pol. 1768 r. na s. 117.

(1) Nazwy miast zachowując jak są w rękopiśmie wymienione, położyłem w nawiasie terażniejsze ich nazwiska.

Zdaje się, iż Kościelecka Wdzina sieradzka z częścią dworzan i fraucymeru pozostała przy swojej pani (¹), gdyż w powrocie wzmiankowane są głównie kasztelanowe przemecka i kowalska, z wyszczególnieniem ile na ich potrzeby dziennie wydawano pieniędzy. Powrót odbywał się prostszą drogą, jakoto: na Helmstadt, Magdeburg, Czezer (*Ziesar*), Brandenburg, Spandel (*Spandau*), Berlin, gdzie przybyto 11 marca. Wszystkich potrzeb dla całego orszaku, dostarczyć kazał Margrabia Brandeburski (²); nazajutrz biesiadowały matrony z pannami i dworzanami w zamku, służba zaś w gospodzie. *Magnifice Dne matrone cum virginibus ac pedisequis in castro prandebant, officiales vero in hospitio*. Dnia 13 marca wyjechawszy z Berlina, przebywano miasta: Minichberg (*Münchenberg*), Frankfurt, Krosno (*Krossen*), Grynberg (*Grünberg*), Bledzewo, Lwowko, Buk, Poznań, Wrześnią, Kleczów, Koło i t. d., nakoniec po dwumiesięcznej wędrówce, powitano Warszawę 27 marca. Koszta tej wyprawy do Woltenbüttel i ztamtąd napowrót do Warszawy, same tylko kuchenne, piwniczne i stajenne, wykazane są rachunkiem na złotych ówczesnych 1687, groszy 21, denarów 15, co na dzisiejszą monetę wynosi przeszło dziesięć razy więcej.

Przy tej sposobności, podamy tu ważny jeden szczegół, odnoszący się do Zofii Jagiellonki. Przeżywszy ona męża, zaczęła się chwiać w wierze, jak tego znajdujemy dowód w liście kardynała Stan. Hozyusza (*Hosius*) biskupa warmińskiego, który donosząc jej z Rzymu 1574 r. o przypadającej na nią części pieniędzy z tak zwanych summ neapolitańskich po król. Bonie, wyraża: „Tego się niepomału obawiam, aby się pierwaj nie chcieli pilnie wywiadować (w Neapolu), jeśli WXM.

(¹) Fraucymer, także froncymmer, z niemieckiego *Frauenzimmer*, osoby dwór panieński składające. Współczesny Górnicki mówi o froncymmerze królowej Bony.

(²) Był nim Joachim II i miał za żonę Jadwigę, córkę Zygmunta I i Barbary Zapolya. Jadwiga urodziła się w Poznaniu 1513 r., wydana za mąż 1535 r., zmarła 1573 r.

przy jedności kościoła ś. powszechnego rzyms. mocnie stoisz. A o WXMci nie wiem jakie było powieści roztrzęsiono, żeby się WXM. nie we wszystkim z nauką powsz. koś. krześciańskiego zgadzać miała. Co żeby tak było, jako tego nie życzę, tak mi się też wierzyć nie chce, aby WXM. pierwszą chciała być, któraby takim postępkim sławny dom Jagiellonów miała pomazać. Nie daj to panie Boże! gdyby to była prawda, co tu niektórzy o WXMci wstrząsają. A tak ja WXMci prze milego Boga proszę, nie racz się WXM. dać uwodzić, ani kościoła powszechnego krześciańskiego puścić. Potrzeba tego będzie, aby WXM. jawnie to wszystkim po sobie dawała znać, żeści WXM. w namniejszej rzeczy od tej jedności w koś. Bożym oderwać się nie dopuściła; zatem ja bezpieczniej tu będę mógł WXMci służyć, cobym czynić żadną miarą nie mógł, by się co takowego miało ziścić, co tu powiadają." (1).

*Ustawa saska o banku włościańskim (Landrentenbank)
z dnia 17 marca 1832 r.*

Dla ułatwienia zamiany pańszczyzny i innych powinności włościańskich na oplatę pieniężną, po naradzeniu się z stanami naszymi w r. 1831, postanowiliśmy i stanowiąmy co następuje:

§ 1. W królestwie saskiem będzie założony bank włościański.

§ 2. Bank włościański zostawać będzie pod rękofmią rządu.

§ 3. Do banku włościańskiego wnoszone być winny wszystkie czynsze pieniężne, przypadające z posiadłości obciążonych powinnościami, ulegającemi według ustawy z dnia 17 marca 1832 r., zamianie na pieniądze, w przypadkach w których wierzyciele czynszu korzystając z służącego sobie wyboru, zamiast sami czynsz podnosić, takowy stosownie do

(1) Ambroży Grabowski: Starożytności hist. polskie II, 260.

przepisów w §§ 37 i 38 pomienionej ustawy zawartych, bankowi włościańskiemu przekażą.

§ 4. Czynsze przypadające na każdą posiadłość w skutek zamiany powinności na pieniądze, będą wpisane do miejscowego wykazu (kadastru) czynszów, zaraz po zatwierdzeniu zawartej o zamianę umowy.

§ 5. Na zasadzie miejscowego wykazu czynszów, poborca skarbowy będzie ściągał czynsze w czterech ratach, mianowicie: dnia 31 marca; dnia 30 czerwca; dnia 30 września; dnia 31 grudnia każdego roku.

Oddzielne postanowienie obejmie szczegółowe urządzenie co do poboru czynszów przez kassy skarbowe.

§ 6. Bank włościański przyjmuje przekaz takich tylko czynszów, które najmniej 12 d. gr. (pół talara, 3 złp.) rocznie wynoszą, i dadzą się wyrazić w talarach całych lub półtalarach, tak, aby kwartalne raty wynosiły najmniej 3 d. gr. albo też kwotę dającą się przez pierwszą ilość podzielić. Ztąd 12 talarów 12 dob. gr. stanowi najmniejszy kapitał czynszowy bankowi przekazać się mogący; kapitały zaś wyższe, muszą być przez tę ilość bez ułamku dzielne.

§ 7. Do czynszów wynoszących mniej niż 12 d. gr. rocznie, oraz do podobnej przewyżki nad ilość 12 d. gr. pojedynczo lub wielorako wziętą, stosuje się przepis § 38 ustawy powołanej, stanowiący iż opłaty podobne bezpośrednio na ręce wierzyciela czynszu wnoszone być mogą.

§ 8. Każdy dłużnik czynszu ma prawo za półrocznem poprzedniem zawiadomieniem upłacić całkowicie lub częściowo kapitał czynszowy w ilościach dzielnych przez 12 tal. i 12 d. gr., a tem samem czynsz dłużny umniejszyć lub umorzyć.

§ 9. Opłaty podobne na kapitał, następować winny w terminach 31 marca i 30 września, i czynione być mogą nie w kassach poborców miejscowych, lecz w kassach władz wyższych przez późniejsze rozporządzenie oznaczyć się mających; wszakże poborcy miejscowi w obowiązku są przyjmować zawiadomienia o chęci upłaty kapitału, półroczem naprzód czynić się winne i donosić o nich władzom wyższym.

§ 10. Za okazaniem kwitu na upłatę kapitału, uczynioną zostanie o tém wzmianka w księgach konsensowych i hipotecznych. Odpisaną także zostanie upłata, w wykazie czynszowym z nadmienieniem, jakiej wysokości odąd czynsz wnoszony być ma.

§ 11. Czynsze płatne do banku włościańskiego, będą ściągane pod exekucyą tak jak podatki. Stosują się do nich wszelkie przepisy wydane w przedmiotach ściągania podatków, przywilejów służących podatkom przy klasyfikacyi szacunku, oraz wynagrodzenia za uszczerbki zrządzone w poborze przez osoby, na które z mocy prawa włożona jest za to odpowiedzialność.

§ 12. Na zasadzie zatwierdzonej umowy o zamianę powinności na pieniądze, bank włościański wystawi dla każdego wierzyciela czynszu listy czynszowe, w stosunku do przypadającej dla niego, i bankowi do poboru przekazanej kwoty czynszu, rachując po dwadzieścia pięć za 1 na kapitał. Listy te, wygotowane przez siebie, bank prześle jeneralnej kommissyi do zamiany powinności ustanowionej.

§ 13. Listy czynszowe są obligacyami wystawionemi przez bank włościański na okaziciela. Wyrażoną będzie na nich kwota na którą list jest wystawiony; zobowiązanie do zapłaty kapitału w pół roku po wylosowaniu, i do uiszczenia procentu po $3\frac{1}{3}$ od sta w dwóch półrocznych terminach t. j. na Wielkanoc i na ś. Michał, a to pod rękojmią rządową.

§ 14. Listy czynszowe wystawione będą na kwoty 1000, 500, 100, 50, 25 i $12\frac{1}{2}$ tal. wraz z talonem i kuponami.

§ 15. Zarząd banku opatrzy swoim podpisem wydane przez siebie listy, talon i kupony, które według różnicy kwot różnemi literami oznaczone, w każdej zaś z sześciu klass bieżącym numerem zaliczbowane zostaną.

§ 16. Listy czynszowe mogą być wygotowane i wydane tylko na zasadzie istotnie nastąpiętego przekazu czynszu, dla czego też decyzya jeneralnej kommissyi z daty swój na każdym liście czynszowym powołaną być winna.

§ 17. Dwie trzecie od sta, które bank zyskuje pobierając od dłużników czynszu po 4% , w stosunku całego kapitału

na jaki wystawione będą listy czynszowe, przynoszące tylko $3\frac{1}{3}$ procentu, przeznaczone są na pokrycie kosztów administracji, strat doznanawanych przez opóźnienie w opłacie czynszu, tudzież zaległości niewymagalnych. Przewyżka zaś obróconą zostanie na umorzenie czynszu ciążącego posiadłości zamianie uległe, według później ogłosić się mających przepisów.

§ 18. Przepisy prawne wydane co do papierów długu rządowego saskiego, stosują się do listów czynszowych; a ztąd:

a) Według mandatu z dnia 26 stycznia 1775. (II Const. Cod. Aug. 1. str. 339) nie ulegają one windykacyi.

b) Opiekunowie małoletnich i zawiadujący funduszem kościelnym, edukacyjnym i dobroczynnych zakładów, mocni są summy pod zarządem ich zostające umieszczać w listach czynszowych równie jak w innych rządowych saskich papierach.

c) Procenta od listów czynszowych przedawniają się upływem lat trzech, kapitały upływem lat 31, tygodni 6, dni 3, licząc od dnia w którym po wylosowaniu wypłata ich nastąpić winna; przedawnione procenta i kapitały stają się własnością banku.

d) Jeżeli listy czynszowe, talon lub kupony zginą posiadaczowi, przed wydaniem mu duplikatów, dla sprekludowania wszelkich rozszczeń osób trzecich, zarządzone zostanie postępowanie edyktalne (obwieszczenie przez gazety i t. d.) a to bezzwłocznie, w razie jeżeli dowód zguby wyprowadzony został, albo zupełny, albo w połowie, albo z dopełnieniem go przez przysięgę; po upływie zaś terminu trzechletniego, co do talonu i kuponów, 10 letniego co do samych listów, jeżeli dowód zniszczenia nie był o tyle dostateczny aby na mocy jego przysięga dopełniająca naznaczoną być mogła.

Przedawnienie to zachodzi również we wszystkich przypadkach straty, w których nowy posiadacz listu, talonu lub kuponu nie jest wiadomy. Upływ przedawnienia uważać należy za ukończony co do listu czynszowego, gdy od czasu zguby, lub jeżeli czas zguby udowodnionym być nie może, od zawiadomienia o niej zarządu bankowego, upływie lat 10, a w przeciągu tym nikt oprócz zguby poszukującego nie zgłosi się o podniesienie kapitału, jeżeli ten już jest wypłacalnym, lub po odbiór

procentów, jeżeli w chwili zguby kapitał jeszcze wypłacalnym nie był. Przedawnienie nie zostaje przerwane, chociażby termin wypłaty listu czynszowego zgubionego przez posiadacza w tym czasie przypadł, lub list wylosowanym został.

§ 19. Pierwsza rata czynszu powinna być przez dłużników do banku wniesiona na d. 31 marca lub 30 września każdego roku; od tegoż terminu płyną dla wierzycieli czynszu należne im od banku procenta. Jeżeli zaś w umowie o zamianę powinności na pieniądze, inny termin dla wprowadzenia jej w wykonanie naznaczony został, strony do umowy wchodzące, winny się z sobą ułożyć co do bieżącego czynszu, aż do terminu najbliższej Wielkiéjnocy lub ś. Michała (31 marca i 30 września).

§ 20. Od najbliższego terminu wielkanocnego lub ś. Michałskiego, dłużnik czynszowy zostaje obowiązany czynsz w kwartalnych ratach do banku uiszczać.

§ 21. Zarząd banku włościańskiego prowadzonym będzie oddzielnie od zarządu wszelkich innych kass.

§ 22. Bank włościański rozpocznie swe działanie z d. 1 stycznia 1834 r. Czynsze które zostały nałożone i przyjęte za umowami przed tym terminem przez kommissyą generalną zatwierdzonemi, dopiero począwszy od przypadającej w d. 30 marca 1834 r. raty, bankowi przekazane być mogą; dotąd zaś bezpośrednio wierzycielowi opłacone być winny.

§ 23. Osobnemi postanowieniami oznaczone zostaną bliższe szczegóły urzędzeń banku włościańskiego (*).

(Następują podpisy).

(*) Instytucya, którój ustawę zasadniczą tu podaliśmy, weszła w wykonanie z obustronném zadowoleniem tak właścicieli ziemskich jako téż oczynszowanych włościan. Pierwszym datą w ręce kapitał rozrządzalny którego potrzebowali, drugim odkryła nadzieję zupełnego uwolnienia się od opłaty czynszu. F. Z.

O czarownicach w Polsce.

Czarownica, czary, oczarować, oczarowany, urok i t. d. byłyto wyrazy powszechnie używano, nietylko w kraju naszym, ale i w całej prawie Europie. Od czasu jak krzyżownicy wracali już z wypraw odbytych do ziemi świętej i przyjmowali ze Wschodu nauki i umiejętności, na badaniu rzeczy przyrodzonych oparte, których nieoświecona podówczas jeszcze Europa nie znała; zdawało się, że człowiek dochodząc, szperając i zgłębiając pod każdym względem, odniósł pewną korzyść nad przesądem i niewiedomością. Zwracając uwagę na historią, nikt tego zaprzeczyć nie zdoła, że ród ludzki po błędach wprzódę postępował, nim natrafił na drogę prawdy, i piérwój téż u kapłanów chaldejskich istniała astrolatrya i astrologia (*), nim badania astronomiczne wyjaśniły porządný system téj nauki, przynoszący największy zaszczyt rozumowi ludzkiemu. Wprzódę trudniono się alchimią, niżeli nauka chemii wydzierając tajemnicę naturze, przyniosła tyle ważnych korzyści przemysłowi ludzkiemu. Marzyło się oprócz tego ludziom o lekarstwie powszechném (uniwersalném) na wszystkie choroby, mogącém im zapobiedz, a nadewszystko oddalić i opóźnić starość, którój powszechnie uniknąć pragniono, dlatego jedynie, że ta zwykłe rodziła cierpienia, i wiodła do przybytków śmierci. Obadwa te usiłowania połączyły się w jedno, które okryto tajemnicami allegoryi i stały się powszechnym przedmiotem badań ludzkich. Miłość życia i chęć posiadania złota, kazały do nich pewną przywiązywać wiarę, a nawet drogo je opłacać. Alchimiści posuwali swoje poszukiwania na drodze ciągłych i tajemniczych doświadczeń. Topili metale, uważali z ich połączenia okazujące się massy innego koloru,

(*) W czasach grubéj ciemnoty, spodlono szlachetny cel astronomii. Przynieszał się do niéj zabobon z biegu gwiazd i planet, zaczęto wnioskować o wypadkach pospolitych i mało znaczących. To było osnową tak nazwanéj astrologii i astrolatryi, które późniejsze wieki oświecone, z rzędu umiejętności wykreśliły.

mniemano zatém, że z połączenia ostatnich, szlachetniejsze wydobędą. Niepojętą była wytrwałość, z jaką alchimiści przedsiębrali swoje poszukiwania. Przez kilka lat utrzymując ciągły ogień w piecach, topiąc kruszce, niszczyli majątki i zdrowie. Wielu nawet z nich szczytło się, że są panami kamienia filozoficznego (*). Po ich jednakże śmierci, przetrząsano i burzono domy, lecz w nich w miejscu poszukiwanego skarbu, tak pożądanego dla ludzkości, znajdowano tylko popiół i węgle. Prace jednak alchimistów, walcząc ciągle z trudnościami, przyłożyły się do wydoskonalenia wielu odkryć i wynalazków, które później przyspieszyły wzrost chemii. Skutkiem ówczesnych wyobrażeń, działania alchimistów, tudzież czarowników lub czarownic, poszukiwaniom nawet sądowym ulegały, a na tej drodze zapadły różne wyroki. Lecz i prawodawstwo i postępowanie sądowe dopóty nie osiągnęły udoskonalenia, dopóki światło filozofii nie rozjaśniło tej umiejętności, przez co długi czas ludzkość na upośledzenie, cierpienia i męczarnie wystawioną była. Nie mogąc częstokroć trafić w badaniach sądowych na doświadczenie prawdy, używano różnych prób, dla rozstrzygnięcia sporów sądowych (**): w owych zwłaszcza wiekach, kiedy we wszystkich zachodnich państwach Europy, prawa po większej części oparte były na przesądach, wiara, że istność najwyższa, na cnoty i występki ludzkie zawsze baczne rozciąga oko, upowszechniła to fałszywe przekonanie, że gdzie sądy ludzkie winy, lub niewinności, z dostateczną pewnością odkryć nie zdołają, tam odwieczna sprawiedliwość cudownym sposobem, zwykła objawiać ludziom prawdę. Ztąd powstały tak nazwane w wiekach średnich sądy boże. Nie

(*) Główną własnością kamienia filozoficznego, miało być powrócenie pierwiastkowej młodości.

(**) Próby takowe powszechnie znane były pod nazwiskiem ordaliów, czyli sądów bożych. Wyraz ten ordalia, wywodzą od języka saxońskiego Ordella, co znaczyło próbę oczyszczenia. Ustanowienie to dowodzące ciemnoty owych wieków, bardzo jeszcze długo utrzymywało się w Europie, zwłaszcza téż w Hiszpanii, Francji i Niemczech.

zwracano na to uwagi, że jakkolwiek mnóstwo mamy przykładów, że sprawiedliwość odwieczna różnemi sposobami karząc zbrodnię, niewinność zaś ocala, dlatego nie czyni cudów na każde żądanie śmiertelnych, sama bowiem w niezgłębionj swojej mądrości, upatruje ku temu czas i potrzebę. Ztąd łatwo wniesć można, że odgadywanie cudów wśród ciemnoty owych wieków, omamieniom i nadużyciom ulegać musiało, których ofiarą stawało się mnóstwo pudzi. Prawom dopiero rzymskim, z którymi coraz więcej obeznawano się, a później zaś prawom kanonicznym (*) należy się zasługa, że sądy takowe zniósły, kiedy do wykrycia prawdy, różne środki a mianowicie przysięgę i świadków nakazywały. Ze wszystkich narodów, Niemcy i Francuzi najwięcej tak nazwanych sądów bożych w zawitych prawach używali, do czego dołączyły się najwięcej upowszechnione pomiędzy nimi zarzuty o czary i czarodziejstwo. Od nich dopiero wyobrażenia te rozszerzyły się po całej Europie. Z wielu rodzajów takowych sądów bożych, czyli prób znaczniejsze tylko tu przytoczymy, jakoto.

1. Pojedynki sądowe, w których zwyciężony zawsze był za winnego uznawany.

2. Próby ognia. Obwiniony powinien był chodzić po rozpaloném żelazie, po żarzących się węglach lub trzymać w rę-

(*) Prawa te ułożone zostały na soborze trydenckim, na którym w imieniu Piusa IV papieża i wyraźnej woli jego, przewodniczył obradom ziomek nasz kardynał Hozysz arcybiskup gnieźnieński, wystany przez Zygmunta Augusta króla polskiego. Papież ucieszony pomyslném ukończeniem tego soboru, ciągnącego się przeszło przez lat 20, ustawy jego zatwierdził i rozesłał dekretalia do wszystkich państw chrześcijańskich, wydałszy bullę, ażeby wszyscy wierni kościołowi, posłusznymi byli tym ustawom. Ziomek zaś naszego w dowód najwyższego swego zadowolenia, obdarzywszy papieżkiem błogostawieństwem, udarował go kosztowną kropielnicą, wyrobioną z jednej sztuki korala, którą przez długi przeciąg czasu w Sybilli w Puławach (dziś Nowej Alexandryi), pomiędzy historycznemi pomnikami widzieć i podziwiać było można.

ku rozgrzane do czerwoności żelazo. Każde zaś oparzenie tém samém już usprawiedliwiało winę (*).

3. Próba wody gorącej. Zamaczano ręce lub nogi we wrzącej wodzie, a kto ich bez uszkodzenia z niej nie wyciągnął, za winnego uznany zostawał (**).

4. Pławienie w zimnej wodzie, czyli kąpiel czarownic. Używaną była wyłącznie dla obwinionych o czary.

5. Waga czarownic. Ważono obwinioną, a gdy ta przypadkiem lekką się okazała, a tém samém sposobną do unoszenia się w powietrzu, dowodziło to jej winy.

6. Wytrzymałość. Obwiniony musiał stać przez czas oznaczony z rękoma w górę rozciągniętemi; jeżeli zaś ręce opuścił, ten już tém samém przyznawał się do winy.

7. Wyciąganie kartek losem. Oskarżony kartki dla niego przygotowane, spod zasłony wyciągał, a jeżeli z nich krzyżkiem oznaczoną wyciągnął, tém samém już z zarzutu oczyszczony został.

8. Poświadczenie umarłych. Ciało zabitego kładziono na mary; pomówiony o morderstwo, musiał zwykle dotykać się jego, a niekiedy do samej rany rękę przykładac. Jeżeli z niej przypadkiem krew płynęła, lub się usta zmarle-

(*) Przejeżdżając przez Frankfort nad Odrą, widziałem publicznie występującego kuglarza, który pomiędzy innemi sztukami zręczności, chodził boscami nogami po rozpalonej do czerwoności szynie żelaza, tudzież wchodził w rozpalony piec, bez żadnego jednak na zdrowiu uszkodzenia.

(**) Że w Polsce były w użyciu ordalia tak zwane Sądy Boże, możemy się łatwo przekonać, z nadania Bolesława V Wstydliwego z r. 1252, Klemensowi z Ruszcy, *jure haereditario* w którym pozwalając mu sądów, nadaje mu *potestatem judicandi, ad omnem sententias juxta formam curiae nostrae, videlicet ad aquam et ferrum candens, ad duellam baculorum et gladiatorum homines suos.*

Obacz dzieło: Początkowe prawodawstwo polskie cywilne i kryminalne do czasów Jagiellońskich, kar. 130.

Prócz tego przywilój z r. 1284 Przemysława I księcia wielkopolskiego, nadany Żegocie, wojewodzie krakowskiemu, przy nadaniu mu dóbr: *Omnibus etiam ibidem utantur juribus, prout nostra consuevit, ferro, duello, aqua in mittendum.* Przywilój ten znajduje się w archiwum główném w Królestwie, pod nr. XVII.

go zapieniły, jeżeli tenże twarz zmieniał, lub zadrżał, wtedy obwiniony pospolicie uznawany był mordercą.

Tymto sposobem w owych wiekach ciemnoty, siła i zęczość zastępowały częstokroć miejsce sprawiedliwości, przesady, zabobny zagłuszały zdrowe o rzeczach wyobrażenie, niewiedomość i ciemnota tryumfowały nad rozumem, a występki i zbrodnia brały przewagę nad niewinnością.

Powody, które upoważniały niejako sądy ówczesne do pociągania czarownic do surowej odpowiedzialności w obliczu prawa, a następnie użycia przeciw nim praw powyższych wymienionych, jeżeli te zwłaszcza miały na celu wyjaśnienie prawdy, było wyrzekanie się przed djabełem (*) Chrystusa Pana, Najświętszej Matki jego, anioła stróża, śś. pańskich, przyjmując natomiast złego ducha za swego towarzysza, prosząc go o wymazanie ich z księgi żywota, a razem zapisanie w księgę potępienia, odstępując mu zarazem duszę i ciało po zejściu z tego świata, za udzieloną im przez niego pomoc, w przywiedzeniu do skutku niecznych zamiarów, lub przez złość, albo też dla zysku jaki sobie założyć mogły w szkodzeniu bliźnim. Zamiary zaś te były:

a. Sprowadzenie gradu, burzy i piorunów, lub nieurodzaju w polu.

b. Zadawanie wszelkich uroków, niemocy, chorób, w sprowadzeniu nieszczęść i klęsk różnorodnych.

c. Czarowanie bydła, owiec, ich pomor, lub odejmowanie krowom mleka.

d. Przysposabianie napoju truciznowego, lub napoju do wzniesienia zalotności.

e. Usposabianie do niepłodności niewiast zamężnych.

f. Przyspieszenie śmierci.

g. Zamawianie myśliwym strzelby.

(*) Podania ludu polskiego i kroniki zwykle przedstawiają diabła w postaci Niemczyka we fraczku, w długiej kamizelce, i rogatym kapeluszu, z kopytkami kozłemi; kroniki zaś niemieckie w kontusiku i czapce.

„Ale czarownice polskie,” jak utrzymuje nasz badacz rzeczy krajowych uczony Wójcicki (*) „ukształcone wyobraźnią właściwie rodową, rodzinne też przybrały postacie, a ta ich rodzinność bardziej się i wydatniej odbija przy wielu zwyczajach szczególnych, co żywcem do nas z przedchrześcijańskich wieków, przeniesione zostały.”

U nas po większej części czarownicą musiała być stara baba, lub przynajmniej brzydka kobieta, pospolicie wyschła, mająca twarz wielolicznymi marszczkami zoraną, oczy zropiałe i zaczerwienione, brwi wylazłe i włosy kudłate, słowem, odrażającej postaci. Przysposabiała ona czary z różnych roślin w czasie biesiad na Łysój górze, na którą zwykle leciały we czwartek po nowiu księżycowym, z odległych stron Polski, na łopacie lub miotle, po namaszczeniu się poprzednio maścią, którą przyspasabiały smażąc tam zioła, w tłustości z dzieci przed chrztem uduszonych. Lecząc, nie były one widzialne, bo miały posiadać sztukę niewidzialności (**). W nadpowietrznej tej podróży, śpiewały zwykle:

Płot, nie płot, wieś, nie wieś,
Biesie mój, ty mnie nieś!

Niekiedy czarownice według mniemania gminu, miały mieć moc użycia do jechania na Łysą górę ludzi, których gdy wysmarowały we śnie maścią, zdolni byli przemieniać się w konie (***)).

(*) W dziele: Zarysy domowe, tom 3, kar. 133.

(**) „Jest podanie ludu (mówi Karadziej w dziele swoim o czarach), że kto przed uroczystością Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny ubije węża i o głowę jego nieco białego czosnku potrze, i takowy ma przy sobie, zdolny jest widzieć lecącą w powietrzu czarownicę.”

(***) Będąc jeszcze w klasie 1szej w szkołach, między innymi mieliśmy podeszłego wiekiem i poważanego nauczyciela, który dając kilka godzin w tygodniu łaciny, w nagrodę uwagi i pilności naszej, czasem też pocieszne opowiadał nam dykteryjki; te zawsze się nam prawie, z powodu swojej nadzwyczajności podobały, i dlatego młodociana wówczas wyobraźnia, będąc niemi uderzoną, po dziś dzień wiernie je jeszcze we wszystkich szczegółach w pamięci dochowała. Miało się to stać w jedném z kolle-

Czarownicom przypisywano moc łudzenia nawet zmysłów, jakoto: wzroku, słuchu, smaku i powonienia. Dowodzi tego podanie, że jedna z czarownic przynosiła regularnie do pewnego klasztoru świeże masło. A że wioska z której przychodziła, znacznie była odległą od klasztoru, zaledwo więc w południe do furty przybywała. Wypytywała się braciszka, czy księża obiad zjedli? Kiedy zaś w czasie obiadu trafiła, troskliwie wypytywała się, czy już było po błogosławieństwie? Uderzyła braciszka ta ciągła troskliwość wiejskiej kobiety; uprzedziwszy o tém przełożonego, umówili się czekać z obiadem i błogosławieństwem, a uludziwszy wieśniaczkę, kazali przynieść masło do refektarza i one poświęcić. Stało się jak uradzono, ale jakież podziwienie ogarnęło zakonników, kiedy w miejsce świeżego masła, po błogosławieństwie gnój krwi ujrzano? Domyślono się że to sprawa szatana i czarownicy, przytrzymano ją i w ręce zwiérzchności oddano.

giów naukowych ówczesnych, za czasów Augusta III króla polskiego. Dwóch synów jednychże rodziców, pomieszczonych było u pewnego dyrektora na stancyi; obadwa odznaczali się czerstwą młodością i zdrowiem, gdy nagle starszy, mający lat 13, widocznie mizerniał i niszczyć zaczął. A ponieważ nie narzekał na żadne cierpienia i nie dostrzeżono jakich bądź symptomatów choroby, przeto téż nie wzywano do pomocy lekarza. Lecz gdy jednak chłopakczek coraz więcej na siłach upadał, co mu nawet w naukach było przeszkodą, przezorny dyrektor, uderzony nadzwyczajnemi jego snami, które zwykle opowiadał, powziął jakoweś podejrzenie, które się wkrótce w pewnośc zamienić miało. Dyrektor skrycie śledząc odtąd śpiącego chłopakczynę, pewnego razu na samym nowiu księżycy dostrzegł, jak gospodyni podniósłszy się cichuteńko z swego postania, zbliżyła się do łóżka młodzieńca i odbywszy nad nim jakoweś szepty, wysmarowała go pod pachami maścią. Dyrektor udając śpiącego widział, że ów chłopakczyna na karego zamienił się konika, a gospodyni wsiadłszy na niego, następnie kominem wyleciała. Dyrektor uważając gdzie garnuszek z ową maścią postawiła, takowy obok łóżka swego ukrył, a zwoławszy miejscowego kowala, przeprosił, że o północy zbudzić go musiał, ale skoro świt, konno do pobliskiej wsi jechać musi i dlatego kazał mu śpiesznie podkowały do okucia konia przygotować. Jeszcze kur nie zapiał, kiedy gospodyni na małym ru-

„Czarownice mnóstwo wszędzie bywało (mówi Gołębiowski) (*), oneto w nabiale, drobiu i zdrowiu, szkody zrządzały. Gdy jedzenie było przez nie zaczarowane, poznać było można po ogniu, lub kipieniu wody. Zabezpieczając się od skutku czarów, dość było obrócić wtenczas garnek uchem do ognia, oo tak miało szkodzić czarownicy, że musiała przybieść do tego domu, któremu złe zrządzić zamierzyła. Dla oddalenia czarownicy od domu, dosyć było przybić do progu końską podkowę.”

Czarownice wykopawszy kości zmarłego i odbywszy nad niemi szepty i zaklęcia, a potém takowe kości spaliwszy w ogniu na popiół, mieszały go z napojem, i dawszy komu go wypić, przez to samo śmierć mu przyspieszały.

maku napowrót kominem wróciła. Dyrektor znowu widział, że za odczynieniem przez gospodynię czarów, chłopczyna już spokojnie śpiący na łóżku leżał, a gospodyni wróciła do czeladnej izby na swoje postanie. Dawszy jój czas do zaśnięcia, wstał, wziął masę z garnuszkim, udał się do izby czeladnej, a usłyszawszy tęgie chrapanie śpiącej i znużonej nadpowietrzną podróżą, eichuteńko zbliżył się do niej, wysmarował ją łąz samą mascią, a gdy zamieniła się w klacz, na chustce wyprowadził do kowala i podkuć ją kazał; ztamtąd odprowadził do stajni i zamknął. Kogut miejscowy pierwsze pianie rozpoczął. Doczekawszy się poranku, zbudził obu braci i dopytywał się troskliwie, jaki też w tej noocy sen mieli? Starszy z nich opowiadał, że mu się zdawało, iż latał po powietrzu i że aż się gdzieś oparł na wysokiej górze i ujrzął tam grono kobiet i kawalerów Niemców, biesiadujących, przy których przysiadła się ich gospodyni. Później gwarzono i płasano. Młodszy zaś oświadczył, iż miał znowu sen, jak z panem dyrektorem i bratem swoim, byli razem na wakacyach u rodziców i grali w piłkę i palcaty. Dyrektor później udał się do miejscowego urzędu, i opowiedziawszy mu nocne przygodę oskarżył gospodynią o współnictwo ze złym duchem, oddał j podkułę w ręce sprawiedliwości, którą według ówczesnych zwyczajów, po wybadaniu i osądzeniu, w sześć niedziel za wyrokiem sądu, jako czarownicę, publicznie na stosie spalono. Takie to były podania i powiastki z owych wieków, które najlepiej dowodzą, grubych zabobonów i powszechnej ciemnoty.

(*) W dziele: Lud Polski, jego zwyczaje i zabobony, kar. 158.

„Sprawiedliwość sądowa w rozpoznawaniu i sądzeniu tego rodzaju excessów (mówi ks. Kitowicz) (*), nie zawsze była sprawiedliwą. Nie przeważała czystość sprawy, ani moc prawa, ani wierność dokumentów, a wyrok wypadł ślepo według danego rozkazu; kto według takiego miał sprawę przegrać, chociażby była najlepszą przegrał, kto zaś miał wygrać, wygrał by też była najgorszą, bo te rzeczy jeszcze przed sessyą były już ułożone. W sądach takowych, wyrokowano w sprawach o bluźnierstwo przeciw religii katolickiej, o życie jawnie gorszące, o zaniedbanie przez kilka lat przystępowania do spowiedzi wielkanocnej, o przeżycie przez rok i niedziel sześć w kłątwe kościelnej, z jakiegokolwiek przyczyny rzuconej. Sądzono tu także czarowników i czarownice. W razie kiedy obwiniony lub obwiniona nie chcieli się dobrowolnie przyznać do winy, używano na nich tortur. Tortury te miały miejsce w sprawach gardłowych lub też czarownic. Kiedy winowajca albo przez inkwizycyą, nie był dostatecznie o występki przekonany, albo też chociaż już przekonany został, ale jeszcze nie chciał przyznać się do niego, co jednak według zwyczaju we wszelkich sądach przyjętego, koniecznie po winowajcy wymagano, wtenczas brano go na tortury, których żaden kryminalista uniknąć nie mógł, wyjąwszy, jeżeli się do występków przyznał dobrowolnie. Jeżeli zaś w czasie męczarni na torturach przyznał takowy, a potem znowu zapierał, wtenczas męczono go powtórnie. Jeżeli silnemi były podejrzenia, a winowajca tortury wytrzymał bez przyznania się, wówczas stanowczo uwolniony zostawał. Lecz i strona oskarżająca, wolna była od kary za udręczenie winowajcy, zwłaszcza kiedy walczyły przeciw niemu mocne podejrzenia. Tortury te czyli sposoby męczenia, zniewalające do wyznania winy, w miastach znaczniejszych były następujące: przed ratuszem była tak urządzona piwnica, że w ścianach jój osadzony był hak żelazny gruby z kołkiem wysoko od ziemi na pół trzecia ło-

(*) Opis obyczajów i zwyczajów polskich, wydanie ś. p. Edwarda Raczyńskiego, w Poznaniu r. 1840. Tom 1szy, kar. 233.

kcia do posadzki w środku piwnicy utwierdzony, tam stawiano stołek. Na nim kat sadzał więźnia, wiązał mu w tył ręce jednym powrozem, drugim wiązał nogi, końce zaś powrozu przywiązał mocno do kółka niższego; przez powróż u rąk przełożył inny postronek, przez kółko wyższe pojedyncze przewleczony, raz drugi około ręki okręciwszy trzymał, aby mu się w ciągnięciu nie wymknął. Przywiązawszy tak więźnia, stanął przy nim w pewnej odległości. Na boku przy ścianie naprzeciw więźnia, stawiano stolik i stołki, kałamarz, pióro i papier, za którym zasiadał wójt z dwoma ławnikami. Gdy tak już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, imieniem skarżącego w krótkiej przemowie upraszał owego sądu, że ponieważ więzień dobrowolnie wzbrania się przyznać do występku popełnionego, aby go wskazał na tortury, podług praw krajowych. Poczém wójt przystępując do zwykłej formy badania obwinionego, mówił wprzód do niego łagodnie, zachęcał go do szczerzego wyznania prawdy: „Nie daj się męczyć, przyznaj się raczój. Wzbranianie się w wyrzeczeniu prawdy, na nic się nie przyda; nie wybiegasz się od śmierci, bo walczą przeciw tobie nader silne dowody, żeś ty, a nie kto inny popełnił tę zbrodnią. Nie będziesz zaś mąk przygotowanych cierpieć, przez dobrowolne wyznanie winy. Sąd cię przynajmniej łaskawą śmiercią ukarać może, przez sam wzgląd na okoliczności, dla których dopuściłeś się tego występku. Przyznaj się więc, a może cię nawet sąd za twój żal i pokorę życiem udarować raczy” (*). Jeżeli więzień na te łagodne rady nie przyznawał się jeszcze, wówczas wójt zaklinał go na wszystkie świętości religii, na zbawienie duszy jego, którą dobrowolnie podaje na niebezpieczeństwo jój utraty, przez zacięty upór grzeszne ciało swoje na męki dobrowolnie oddając. Gdy i te przełożenia nie mogły jeszcze na więźniu wyrzec wyznania, wówczas wójt na instygatora zawołał. „Mów więc mistrzowi sprawiedliwości, niechaj postąpi sobie z nim według prawa.”

(*) Tamże.

Instygator zaś zawołał donośnym głosem: „Mistrzu! postąp z winowajcą według prawa.” Kat jeszcze nim przystąpił do zadawania mu męczarni, wołał po trzy kroć „Mości panowie zastolni (*) i przedstolni (**), czy z wolą to waszą, czy nie z wolą”? Instygator odpowiadał za każdym razem „Z wolą.” Dopiero kat silnie pociągnął za powróż, wtenczas ręce więźnia poczęły się wyłamywać ze stawów, ramion, podnosić się w górę tyłem głowy, postać zaś więźnia poddając się wyższą częścią ciała za sznurem, znajdowała się na stoliku, nogi zaś wyciągnięte i do haka przywiązane wisały jak na powietrzu. Wówczas więzień przerażającym głosem krzyczał nadzwyczajnie: „Nie jestem winien, nie poczuwam się do niczego! nie męczcie mnie! zaklinam was na straszny sąd Boga! puście mnie!” albo téż przyznawał się do winy, opowiadał różno występki, których się dopuszczał w życiu. Po takiem wyznaniu, nie bywał już męczony. Lecz jeżeli jeszcze trwał w zaciętym uporze, kat przyzywał wówczas swego pomocnika, i obadwa co tylko mieli siły za sznur ciągnęli. Wówczas więzień wyciągnięty był jak stróna, ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostej linii z ciałem nad głową, w piersiach zrobił się dół, w który tłoczyła się głowa, cały człowiek wisił na powietrzu. Wszystkie żebra, kości, stawy i żyły stały się wydatnemi. Jeżeli zdarzyło się, że więzień na torturach skonał, wszystko się natenczas kończyło i zmarłego pochowano, a sprawa upadła. Niekiedy obwinionemu kładziono na nogi ostro żelaza, karby nakształt zębów, kształt piły mające, z dwóch sztuk złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby; temi śrubami ściągano żelaza zębate na wierzch piszczeli nóg, które pod spodem przymocowane były. Te więc coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból sprawiały. Mistrzowie żelaza podobno dybom, po swojemu nazywali butami hiszpańskimi (***). Utrzymywano powszechnie, że nie

(*) Za stołem siedział wójt z ławnikami.

(**) Przed stołem stał instygator i pachotcy miejsca.

(***) Śmiało utrzymywało się, że rodzaj ten tortur rodzinne ma nazwisko, gdzie ludzkość zawsze na najokropniejsze cierpie-

było zbrodniarza, któregooby obuwie to do przyznania winy nie przymusiło. Kropienie gorącą siarką, przykładanie do boków blach rozpalonych, nie było tak bolesne, jak buty hiszpańskie. Kiedy miano czarowników lub czarownice torturami probować, golono im zwykle włosy na głowie, utrzymując, że we włosach kryje się djabeł i nie dopuszcza czarownicy sumiennego wyznania prawdy, i że ukryty we włosach, za niego, lub za nią, znosi męczarnie, biorąc za powód owe spokojne wytrzymywanie tortur wyżej wymienionych, co zapewne z omdlenia, lub opuszczenia sił pochodziło, nie zaś z pomocy szatana. Żydom pospolicie (jak to utrzymują pisarze), o jaki bądź występek obwinionym i na tortury skazanym, regularnie to uskutecziano. Choć nieraz winowajca jak żyd bez mydła ogolony tortury wytrzymał, i nie chciał przyznać się do winy, kat udawał wówczas, że mu jakiś wielki czarownik tortury oczarował, iż swego skutku osiągnąć nie mogły. Skoro zaś przyznał winę, zdejmowano mu z nóg buty hiszpańskie, sadzano na stołku, wzięwszy potem za ręce powykręcane, odkręcano je napowrót z nowym bólem, potem złożywszy je na krzyż, przed piersi więźnia, kolanem między łopatki tłocząc, tym sposobem naprowadzono w stawy; co było nierównie boleśniejszym niż same tortury. Takowe męczarnie były niekiedy powtarzane do trzeciego razu, po kilkodniowym jednak odpoczynku. Poczém dopiero następował wyrok śmierci, lub uwolnienie, a to podług okoliczności. Tortur jednak nie nakazywał sąd szlachecki, ale jeżeli sądy wójtowskie, albo gród skazywały kogo na nie, wtenczas odsyłano go na wykonanie onych do urzędu miejskiego. Toż samo czyniono z wyrokami kryminalnemi, w których na końcu po wyroku już śmierci, zwykle dodawano: *pro cuius modi executione reum ad officium scabinale civitatis praevenit remittit* (*).

nia wystawianą była. Nie dziwną to nawet jest rzeczą, gdyż naród, tak jak Hiszpanie, na niskim zawsze stopniu cywilizacji będący, blizkim też był barbarzyństwa, a tém samém obfity zawsze w najokrutniejsze wynalazki.

(*) Tamże, tom II, kar. 38.

Nader ciekawemi i zajmującemi są indagacye sądowe przedsiębrane przeciw czarownicom, a razem wyroki w tych sprawach przez sądy na nie wydawane. Umieszczamy tu wyjątki z księgi miasta Turka, położonego w powiecie Koninśkim gubernii warszawśkiej, znajdującęj się w archiwum akt dawnych w Kaliszu z r. 1648, tojest w końcu panowania Władysława IV króla polskiego, syna Zygmunta III (*).

In Kosmin Maleficia.

*Actum in Kosmin Sabbatho ante Dominicam Rogationum (**)* Anno Domini 1648.

Będąc wezwani z urzędu wójtowskiego Turkowskiego na instancją p. Jakóba Ponętowskiego dzierżawcę dóbr Kosmińskich, sławetni (***) Grygier Kropidło subdelegat wójtowski, Stanisław Sojewicz, Piotr Słaby, ławnicy, Wojciech Jerzykiewicz pisarz, z Maciejem Podwójkiem, przysięgli, przed któremi *ex delatione prefati Domini tenutarii* były postanowione białogłowy niżej opisane, do której sprawy osądził jurydykcyą swoją jegomość pan Alexander z Budziszawia Wysocki, z szlachetnemi pany Łukowskim i Podstarościm Janiszewskim, i innemi, w sprawie niżej opisanęj.

Najprzód: Anna Jedynaczka *benevole* pytana, co ją do tych złych uczynków przyprawiło? odpowiedziała, że to żem pływała (****), ale nie wiem czemu; kokosz téż tam w ogrodzie znalazła Jagna Wscibidurzyna, i ta mię téż do pana odniosła i Bogdajka mię prosiła, żebym nie o téj kokoszy niekleciła; powiadają, że tam w ogrodzie ta kokosz na jajcach siadała,

(*) Wyciągi te z dawnych akt winniśmy W. Walentemu Hubert archiwistcie głównemu, archiwum głównego w Królestwie, który z polecenia rządu rewidując obecnie archiwa w kraju dla powzięcia przekonania w jakim one znajdują się stanie, w urzędowej drodze sporządzając spisy takowych, w wolnych od czynności rządowych chwilach, powodowany zamiętowaniem nauk, powypisywał z dawnych akt ciekawe te indagacye i dekreta na czarownice w różnych miejscach wydawane.

(**) W sobotę poprzedzającą dni krzyżowe.

(***) Tym tytułem oznaczano dawniej mieszczan.

(****) Co przekonywa, że ją poprzednio pławić musiano.

a kiedy jój jajca pobrano, były robaki jakieś pod nią, z czerwonymi łbami (*). Co jój oczywiście wymawiała też Wscibidurzyna: „żeś Anno zakrywała te robaki liściem kapusty i gdyś ty z ogrodu wyszła, jam to zaraz ludźmi oświadczyła. Widziałaś djabła, *e converso allegavit* zem widziała. Odpowiedziała Jedy naczka niechże tak będzie i to znowu rzekła: O wodo! wodo! tyś mię niesprawiedliwie osądziła!

Anna Bogdajka z Koźnina zeznała *benevole*: dlatego płwała, bo mię na bok wrzucono, a insze mężowie puszczały na nogi i nie chciały pływać, inszym moim towarzyszkom mówiłam w spichrzu siedząc, żeby nie kłecity lada czego, ja nie nie umiém i nie nie powiém, ale moi panowie kiedy mię jegomość kazał wypuścić, dałabym krowę, jużto próżno, by nas było osobno posadzono, tedybyśmy były się nie namawiały.

Zofia Kaliścina zeznała *benevole*: zem dlatego płwała, bom na sobie miała grzech o dziecię, którém była u Bożej męki zakopała. Jedy naczee mówiła Bogdajka: miła Anno! nie powiadajże nic, bo ciebie najpiérwój wezmą.

Anna Strzeżyduszyna zeznała: Z téj przyczyny mię wzięto, zem płwała, ale niejednakowo rzucano w wodę, jedno z ochroną, a drugie jako mogło być, tom téż od ludzi słyszała, że kiedy która czarownica, chociaż ją pogrążają, tedy ona przecie pływa jako kaczka, ale jam tylko głowę z wody wyścibiała.

Anna Jedy naczka po południu zeznała dobrowolnie: że nie nie umiém, tylko wrózenie; kiedy komu co zgingęło, tom położyła na talerzu dwa kaski chleba rzanego (*), a dwa węgle, a kasek chleba wetchnąć na igłę, a tak on chléb będzie biegał i jeżeli stanie nad chlebem, tedy się zguba powróci, a jeżeli nad węglem, tedy się już trudno powróci ma. Takimże sposobem w powietrzu mór; gdy mnie kto prosił, tom wspomniła śś. Piotra i Pawła, to kiedy stanęło na rozpalonym węglu, ten już umarł, a kiedy nad chle-

(*) Nowy przedmiot do badania dla entomologów!

(**) Razowego.

hem, to żyw został i jest ich dość żywych com im wróżyła. Nagrodę od nich miewałam dobre. Tegom się nauczyła od nieboszki Rebaskiěj.

Agnieszka Wscibidurzyna przy prezencyi urzędowój i innych osobach wymawiała w oczy Annie Jedynaczce, że na jěj łożu siedziała kokosz czarna, a kąsek popielata, i znalazła na tém miejscu robaki białe długie, na pół palca, łby miały czerwone i widziałam, że je Jedynaczka pogrzebla potajemnie i liścieniem kapuścianym to miejsce przyłożyła. Jedynaczka odrzekła, widziałas djabła, o co się długo kontrowertując rzekła Jedynaczka, niechże tak będzie jako ty mówisz, a choćby tak było, a zatym ja biegła do těj kokoszy, kiedy-bym była czarownica.

Taż Wscibidurzyna tóż twierdziła, że nieraz w swojój kapuście jaja znajdowała kokosze i schła od tego, a kiedy je wyjęła, tedy się poprawiała i to wszystko pod poprzysięgą. Ciebie Anno żeś wielka czarownica (*Ad haec allegata obmutuit*).

Po odejściu Wscibidurzyny, taż Jedynaczka zeznała, że przed żną, użyła mię w tym jedna białogłowa i dała mi groszy siedm i obrus, w którym mi dziury kazala poczynić, prosząc mię abym kupiła trucizny w Kole na szczury, udawając, że ten obrus pogryzły, alem szła do sąsiad inszych na poradę i nie radziły mi tego, wszak wiedzą o tém Łaszczykowa, Kuźmiaka, Sraczkowa i z synową.

In torturis et post torturas immutabiliter fassa est.

Anna Jedynaczka o kokosz pytana, która pomiędzy kapustą siadała, powiadała, że kokosz niosta się w kapuście, robaków jest tam dosyć takich.

Młynarka Kwiatkowska dała mi na truciznę i dziewczka o tém wiedziała Zofka Kuzniczcem mówiła, trzeba wam o tém wiedziéć, że wasza siostrzenica myśli źle o zdrowiu mężowi swemu, dała mi kukielkę w drogę, abym biegła do Koła miasta, a tę truciznę miała dać mężowi. Dlaczego by mężowi jěj o tém niepowiedziała? *Odpowiedziała*: nie miałam rozumu po temu i gdy mi od tego odradzono, powróciłam jěj te siedm groszy, a kiedy mię najmowała, te-

dy mi dała obrus i kazała mi go podziurawić, żeby mi wiara była dana, że to szczury pogryzły. Gdyśmy chodziły na chmiel do lasa, znalazłyśmy miejsce okrągłe za łąką Maćkową, i mówiły inne, że tu czarownice tańczą i niedługo wzięły mię z sobą na toż miejsce Bielicka i Kotwaska i niosło nas coś wszystkie, nie chodziłyśmy piechotą i tańcowałyśmy tam i innych dosyć było, ale nieznanome, bo miały kaptury na głębie. Grywał nam chłop nieznanomy, czarną głębę miał, na długim drewnie pijałyśmy piwo, ale nie wiem kędy je brały, zbierają się tam na Boże Wstąpienie. Kotwaska i Bielicka i były już u mnie, namawiając mię z sobą; te co były w kapturach były grzeczne, pleczyste, biedrzyste, tańcowały z pany, Kotwaska świeczkę trzymała, a szklanicę ja nalewając innym paniom.

Na Łysěj górze bywa nas tam éma, że okiem nie przejrzy, już się smarowała u Kotwaskiej, kiedy się smaruje pod pachą, to zaraz kominem wyleci, mam téż towarzysza Wciutowskiego, ale ze mną żyć nie chce, bom nie warowna (*), kazał mi sobie młodszěj szukać. Z Kotwaską Słupecki nie chce żyć, bo stara. W Kozubowie Anuleczka umie czarować. Chrzanowska IP. Wysockiemu tak czyni, żeby miała łaskę, ale sama nie ma przystępu, tylko jēj szatan. Zakopie trupi gnat i już się źle będzie miał, a gdy na szkodę ludzką czyni, te złości używają słów: „Boże byś skruszał, albo skruszała jako ten gnat skruszał.” Jadwigę Kazimierzową na Łysěj górze poznałam po pasku srebrym kręconym, miała pachotka swego Laskowskiego i innych dosyć z nią było nieznanomych. Odczyniać te złości tak: wzięwszy wódki przed słońca wejściem i utomie bzu mówić: Pomagaj jēj Panie Boże, daj zdrowie. Kiedy się mléko zepsuje, tedy je cedzę przez wianek z monstrancyi. Ktoby się chciał dowiedzieć czarownicę około Bożego Wstąpienia, w wiliją ś. Filipa i Jakóba, która się uczyni kotką, albo psem białoszyjnym, trzeba się ukląść pod broną, a na nie włożyć darń ziemię i spyta: jest tu kto? odpowie jest, ale pod ziemią. Kie-

(*) Warowna, nie była już dziewczęcą.

dyby się inaczej miał ozwać, tedyby zakłóła nożem, bo go ma zawsze przy sobie. W Dąbrowiem też sama była i uczyniłam się kotką. Chrzanowska odbierała mléko, odczyniać trzeba grabiną, brzeziną i wylać na wódkę.

Wozna z Turka, zwałyśmy ją królową, służyliśmy jój, kłaniałyśmy się jój ubogie, miała kaptur na twarzy, była w kożuchowym minderaku a w palendorze i inne z nią miały kapturki czarne na gębach.

Anna Bogdanka na torturach zasnęła, a gdy jój pytano: a śpisz Anno? odpowiedziała a śpie djabła. Bywałaś na Łysój górze? bywał tam djabeł, kędy jest ta Łysa góra? kędy urosła. Mlękóm też brała u Salwy w skorupę, uczyniłam się koteczką i Kaliścina ze mną bywała najczęściej we czwartek i u włodarza żony byłyśmy, bywając na Łysój górze, miały kapturki czarne na gębach nieznajome panie, tylko dziurką przez kapturek piły, a ci zdrajcy, oszukańce szatani, po jednéj dziurze w nozdrzach mieli, a nogi jak bociany; ta Łysa góra jest pod Poznaniem i te starsze dostatnie panie, to pijały wino, a my ubogie wsianki piwo i my im nalewamy i kłaniamy się, za każdym razem, niziutko, z wielkim strachem.

Dekret.

„W sprawie kryminalnej, która się wnosila ze złych uczynków przeciwko Annie Jedy nacze, Annie Bogdance, któreto pomienione towarzyszki, niepomme na wokacyą chrześciańską, odrzekłszy się na chrzcie ś. czarta przekłętego i mocy jego, z szatanami przymierze do złych uczynków poczyniły, niepomme na przykazanie Pańskie i miłość bliźniego i na surowość prawa pospolitego i t. d. Tedy prawo surowe magdeburgskie, przez sąd wójtowski Turkowski, one spólnie godnemi śmierci spalonej być osądziło i do spalenia przez podwójskiego sądowego podaje.”

Pomijamy inne indagacye, ponieważ te tak co do formy, jako też zeznań mało co różnią się od siebie, ale nie możemy

pominąć dwóch wyroków sądowych, gdyż takowe odznaczone oryginalnością, zasługują aby przytoczonymi były.

Dekret z r. 1664.

Pan Bóg wszechmogący od początku świata stworzył Adama i Ewę, przodków rodzaju ludzkiego, zostawił ich w raju, w roskoszach opływających, pod posłuszeństwem swoim, jednakże przykazanie jego przestąpili. Także i ta białogłowa, nie pominąc na przykazania Boskie, która podpadała pod moc sądu niniejszego, będąc w jurysdykcji JMPP. Iniłkowskich, udała się do złych spraw i czartowskich konwersacyi z innymi towarzyszkami sweni, na miejscu niezwyčajnym, z duchami Majestatowi Boskiemu przeciwnymi, biesiady zażywała i domowi zacnemu JMPP. Iniłkowskich na zdrowiu szkodziła, co ona nie będąc mekami żadnymi przymuszona, dobrowolnie przyznała i wiele innych excessów, które w procesie téj sprawy wpisane są. Tedy sąd niniejszy przychylając się do prawa i artykułów opisanych na takie złoczynę, téż Agnieszkę Podgolanekę na postrach innym, osądziło prawo na spalenie, która jest podaną do ostatniej ekzekucyi administratorowi ś. sprawiedliwości, miasta Kaliskiego. Cokolwiekby się *sukcessu temporis* na inne pokazało, takowój ekzekucyi surowój podlegać będą.

Dekret z r. 1719.

Actum in Jarocin Seria sexta post festum s. Mathaei Apostoli proxima, anno Domini 1719.

Wiadomo to jest każdemu, co dawno całemu światu jest ogłoszono, *pereat mundus, fiat justitia*, a to dla świętój sprawiedliwości mając pobudkę z pisma Ś. *Maleficos ne patiaris vivere super terram*, a najbardziej rzecz samą na tym texcie *auferes malum de medio vestri*, zgładzisz tego z pośrodka was. Tedy będąc wy oskarżeni przed sądem wójto-

dejd

wskim J. K. M. miasta Pyzdr, a za rekwizycją poważnego urzędu Jarocińskiego za waże czartowstwa, pana Boga odstępowanie, jakoście uznawały, takowy na was dekret feruje.

(Tu wymienia przestępców i przestępstwa).

Za takowy tedy występek przeciwko Bogu samemu, nie-pamiętając na przykazania pana Boga, „Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną”, a wyście się czarta chwyciły, a to dla czartostwa wielkiego, którym pana Boga ciężkoście obrażały i ludziom szkodziły, za co abyście byli od mistrza spalone, na drogach rozstajnych, skazujemy.

Zakończymy ten cały artykuł tą uwagą: że nienależy się dziwić babom, ale sądom ówczesnym, pomijając nawet przesąd wieku, iż nie zwrócił na to uwagi z naturalnego rozumu wynikłój, że jeżeli te czarownice, miały istotnie moc nadludzką w którą jak się to z całego toku indagacyi i zapadłych wyroków okazuje, toby się pewno męczyć nie dozwoliły, a nawet użyłyby téj mocy czartowskiej przeciw samemu sądowi.

K. Milewski.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Pomiędzy niezliczoną liczbą gwiazd drobnych, któremi niebo jest zasiane, znajduje się jedna siódmej wielkości, położona między konstellacją Niedźwiedzia Wielkiego a Psami myśliwskimi, oznaczona numerem 1830 w katalogu gwiazd Groombridge, a przez Argelandera w r. 1841 pilnie uważana tym się różniąca od innych, że podlega ruchowi własnemu bardzo znacznemu, bo aż 7 sekund łuku rocznie wynoszącemu (*). Ponieważ ruch téj gwiazdy z ziemi widziany, jest większy niż gwiazd innych, z tego wnosić można, że jest względem nas najbliżej położona, a następnie do dochodzenia parallaxy najdogodniejsza. Ta okoliczność dała powód p. Faye astronomowi paryzkiemu, obrania téj gwiazdy za cel swych poszukiwań. Po wykonaniu wielu ścisłych obserwacji i rachunków, otrzymał na parallaxę (tojest na kąt pod jakim wydawałby się oku z téj gwiazdy, promień drogi rocznej ziemi 21 milionów mil geograficznych wynoszący) wielkość równą 1,08 se-

(*) Położenie téj gwiazdy w r. 1840 było: wznoszenie proste $175^{\circ} 56' 0''.9$; zboczenie północne $38^{\circ} 52' 0''.15$.

kund. Z tój parallaxy wypada: że odległość gwiazdy od ziemi wynosi przeszło 190 tysięcy promieni drogi rocznej ziemi, czyli blisko 4 triliony mil geograficznych. Światło przebiegające 42 tysiące mil na sekundę, dla przyjscia od tój gwiazdy do nas, potrzebuje trzech lat. Gdyby ta gwiazda znikła, jeszczebyśmy ją przez trzy lata widzieli. W tój odległości w jakiej się gwiazda znajduje, zmiana roczna w jój położeniu 7 sekund łuku, w przestrzeni na drodze własnej gwiazdy wynosi 13 milionów mil geogr: (*Comptes rendus N. 23, 7 decembre. 1846*).

* *Areolit*. Dnia 25 grudnia r. z. w Mindenthal w Bawaryi w cyrkule Szwabskim i Neuburg, szczególne zjawisko widziano, to jest spadnięcie kamienia meteorycznego, które mieszkańców pobliskich okolic podziwieniem i przestrachem napełniło. W sam dzień Bożego Narodzenia o godzinie 2 po południu, w wspomnioném miejscu i w obwodzie blisko 18 mil, słyszano naprzód grzmot do huku odległych dział podobny, który po kilku uderzeniach przeszedł w odgłos bębnow i kotłów, a następnie przedłużonym trzęciem się zakończył. Całe zjawisko trwało 3 minuty i wszędzie zarówno było słyszaném, gdzie wydawało się każdemu, jak gdyby tuż nad głową swoją grzmot słyszał. W poblizkiej wiosce Schönenberg w zachodniej stronie Mindenthal położonej, zjawisko to postrzegło kilka osób, w postaci kuli czarnej szybko ponad domami wioski przelatującej. Jedna z tych osób widziała, jak ta czarna kula, która mu się tylko jak pięść wielka wydawała, spadła do ogrodu poniżej domu położonego i na dwie stopy głęboko w ziemi się zagrążyła. Wydobyty kamień tworzył piramidę uciętą i nieforemną z czterema ścianami węższemi, a jedną szerszą i jednym zaokrąglonym kantem. Powierzchnia tój bryły, była nierówna i czarnemi plamami pokryta. Areolit ważył 14 funtów i 17 łutów. Co do wymiaru zawierał: 8 cali w wysokości, 7 cali szerokości, a 5 cali grubości. Ciężkość jego gatunkowa była: od 3,7—3,8 razy większa od wody.

J. B.

CHEMIA.

Rozbiór chemiczny wody słonej (solanki), oraz ługów macicznych Ciechocinka, przez Dra Edwarda Stieren. (Treść z pisma: Repertorium für die Pharmacie v. Dr. Buchner N. 129. Nürnberg. 1846).

I. *Zródło słone.*

Przysłana do rozbioru woda, była przy świetle dzienném przezroczysta i niezafarbowana, za zamąceniem mieniała się (opalizowała), a skoro w spokojności ją zostawiono, osadzała męty czerwone, będące niedokwasem 2gim żelaza (Eisen-oxyd). Według więc tego, w ciągu drogi rozkład jej nastąpił, a to jak się zdaje przez utratę kwasu węglowego. Powyższa woda działała alkalicznie; w temperaturze 14,5° R. miała ciężar gatunkowy = 1,035.; za zagotowaniem w kolbie szklanej nad płomieniem lampy wyskokowej, osadzało się z niej cokolwiek żółtawego osadu, który zawierał niedokwas 2gi żelaza bez wapna. Po odcedzeniu cieczy od osadu, w wodzie znaleziono następne zasady solne: potaż, sodę, wapno i magnezję, a z kwasów lub z ciał mogących je zastąpić, kwas węglowy, kwas siarkowy, chlór i brom. Kwas krzemionkowy, k. źródłowy (Quellsäure) i żywica ziemna w małej ilości w niej zostały wykryte. Jod, lityna i glinka wcale się w niej nie okazały.

100,0 grammów wody mineralnej, wyparowane do suchości w naczyniu szklaném, i w temperaturze wyższej nad 100° C. wysuszone, wydały 4,65 gram. części zsiadłych.

Następnie wydzielał autor każde w szczególności ciało w skład wody wchodzące, poczem dopiéro:

Z węglanu baryty wyrachowany kwas węglowy, połączył z sodą na pojedynczy węglan, chociaż nie ulega wątpliwości, że w zupełnie świeżej wodzie, soda w postaci dwu węglanu a również znaleziony niedokwas 2gi żelaza w postaci dwu węglanu niedokwasu 1go i źródłanu znajduje się. Potaż obliczono z kwasem siarkowym na siarkan potażu, a co zaś pozostało nadmiaru kwasu siarkowego, dodano go do sody na siarkan

sody. Brom połączył autor z magnezynem, co się zaś z magnezji pozostało, utworzył z tego chlorek magnezynu przez zjednoczenie jej z chlorem; znalezione wapno obrócił z chlorem na chlorek wapna, a pozostały chlor z sodem obrachował jako chlorek sodu.

1) Wypadki rozbioru:

w 1000 częściach solanki.

Chloru sodu.....	37,63593
Chloru wapna	3,90510
Chloru magnezynu.. ..	2,12692
Bromku magnezynu.....	0,04460
Siarkanu sody.....	0,50195
Siarkanu potażu	0,14600
Niedokwasu 2go żelaza.....	0,01250
Węglańu sody (pojedynczego)	0,41366
Kwasu źródłowego)	
Żywicy ziemnej) ilość nieoznaczona.	
Krzemionki)	
Wody.....	955,21334

1000,00000

2) Przypuściwszy że powyższe sole mają w sobie wodę krystaliczną, i że niedokwas 2gi żelaza jest w stanie węglanu niedokwasu pierwszego, a węglan sody pojedynczy, w postaci dwu-węglańu, będzie:

w 1000 częściach solanki:

Chloru sodu.....	37,63593
(+) Krystalizowanego solanu wapna	7,67723
(+) Krystalizowanego solanu magnezji.....	5,91496
(+) Krystalizowanego wodo-bromianu magnezji	0,09280
(+) Krystalizowanego siarkanu sody (soli Glauber)	1,13477
Siarkanu potażu	0,14600
Dwu węglanu (Zweifach) nied. 1go żelaza..	0,02563
(+) Krystalizowanego dwu-węglańu sody	0,50379
Kwasu źródłowego)	
Żywicy ziemnej) w ilości nieoznaczonej	
Krzemionki)	
Wody.....	946,86889

1000,00000

II. Ług maciczny (*Mutterlauge*).

Ług maciczny w temperaturze 14,5° R. okazywał ciężar gątkowy = 1,295, był zupełnie przezroczysty, jasno żółty i całkowicie obojętny. Smak zaś miał mocny słono-gorzki, bez odznaczającego się zapachu.

1. Wypadki rozbioru:

	w 1000 częściach ługu macicznego:
Chlorku wapna	140,3870
Chlorku magnezynu	105,3614
Chlorku sodu	47,7260
Bromku magnezynu	2,9302
Chlorku potasu	3,9358
Siarkanu sody	0,3140
Żywicy ziemnej lub organicznych istot ilość nieoznaczona.	
Wody	699,3456
	<hr/>
	1000,0000

2. Przypuszczając w solach wodę krystalizacji, byłoby:

	w 1000 częściach ługu macicznego.
(+) Krystalizowanego solanu wapna.	275,98001
(+) Krystalizowanego solanu magnezji	293,00982
Chlorku sodu.	47,72600
(+) Krystalizowanego wodo-bromianu ma- gnezji.	6,09691
Chlorku potasu.	3,93580
(+) Krystalizowanego siarkanu sody (sól Glaubera)	0,70987
Istot organicznych w ilości nieoznaczonej.	
Wody	372,54159
	<hr/>
	1000,00000

Oprócz solanki i ługów macicznych, otrzymał jeszcze autor, dwie istoty stanowiące odpadki w warzelnii Ciechocińskiej, to jest osad z panwi (Pfaunenstein) i muł solny (Salzschlamm).

Podług udzielonego objaśnienia, do solanki w Ciechocinku ia 22% zgęszczonej przed zawrzeniem dodaje się niegaszo-

nego wapna; po dwóch warach, czyści się panwie, a część ostatnia pozostała, stanowi ten, o którym mowa muł solny.

Należy tutaj zwrócić uwagę, że ług maciczny rozbierny, pochodził z niewapnionej właściwie do tego celu w panwi wygotowanej 22 procentowej solanki.

III. Osad panwiowy (*Pfannenstein*).

Był w wilgotnych szaro-białych kawalkach, te zagotowane z wodą przepędzoną, zostawiły wiele osadu, który nalany kwasem solnym burzył się mocno, i pozostawiwszy gips, wydał ciecz ciemno-żółtą, zawierającą w sobie wapno, magnezją i znaczną ilość żelaza. Po zagotowaniu osadu panwiowego z wodą, i odcedzeniu ztąd cieczy, taż ciecz miała kolor brunatno-żółty, działała mocno alkalicznie, po wyparowaniu zostawiała powłóczkę, która kazała się domyślać o wolnym wapnie gryzącem, a po rozpuszczeniu tego w kwasie saletrowym dla otrzymania obojętnego roztworu, odczynniki wykryły co następuje:

Saletran srebra i chlorek barytu utworzyły biały w kwasie saletrowym nierozpuszczalny osad.

Potaż gryzący i amonia gryząca, węglan sody, i węglan amonii utworzyły także osady.

Szczawian potażu wydał widoczny osad, a po odcedzeniu od niego cieczy, i dodaniu do niej fosforanu zasadowego amonii, powstały ztąd mocne męty powoli się osadzające.

Siarczyk wodorodny amoniaku dawał kolor nasamprzód czarniawy, a wyciąg galasu takiż, lecz mniej widoczny. Sinek żelazisty potasu żółty i czerwony nie zmieniały wcale jej koloru.

Chlorek platyny i kwas winowy wykryły w stężonym roztworze, ślad soli potażowych.

Okazało się, że w 100° C. wysuszony osad panwiowy, zawiera około 38 do 39% chlorku sodu. Pozostałość składa się z węglanu wapna, wapna gryzącego, gipsu, niedokwasu żelaza, chlorku wapna, chlorku magnezynu, oraz chlorku potasu. Związków bromu wcale w nim nie znaleziono.

IV. Muł solny (*Salzschlamm*).

Muł solny Ciechociński jest w postaci wilgotnej białawej masy, rozpuszcza się prawie zupełnie w ciepłej wodzie, a ciecz zład powstająca jest żółtawa, i działa alkalicznie. Część w wodzie nierozpuszczalna, składa się głównie z wodoru wapna, gipsu, nieco węglanu wapna, niedokwasu żelaza, krzemionki i glinki. Ciecz zubożona kwasem saletrowym, dochodzona została właściwymi odczynnikami, zład się pokazał:

Że w 100 częściach w 100°C. wysuszonego mułu solnego znaleziono.

Chlorku sodu.....	63,34
Chlorku wapna.....	15,20
Chlorku magnezyju.....	4,21
Chlorku potasu.....	0,90
Siarkanu wapna oraz wodoru wapna.....	6,94
Nierozpuszczalnego w wodzie osadu, składającego się z wodoru wapna, węglanu i siarkanu wapna, niedokwasu 2go żelaza i t. p. }	9,41
	100,00

* *Oddzielanie bromku potasu od jodku potasu.* Sposób do powyższego celu podany przez p. Personne jest następujący. Dodaje się do roztworu jodku potasu, rozpuszczonego koperwasu miedzanego (siarkanu miedzi) w nadmiarze, i następnie tyle kwasu 2go siarkowego (Schweflige Säure), ażeby wszystko nabrało mocnego zapachu. W skutku tego opadnie wszystek jod w postaci jodku miedzi $Cu_2 J$, a brom w cieczy zostanie; ten jodek miedzi, odcedzi się, opłukuje, i z jego wagi obrachowuje się jod i jodek potasu. Do pozostałej od jodku miedzi, cieczy, dodawszy nową ilość koperwasu miedzanego i kwasu 2go siarkowego, i zagotowawszy to wszystko, opadnie brom w postaci bromku, a z jego wagi obliczyć można ilość bromu i bromku potasu. (Tenże sam numer powyższego pisma).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

WILNO.

162. Athenaeum. Pismo zbiorowe, poświęcone historii, filozofii, literaturze, sztukom i t. d. Wydawca J. I. Kraszewski. 6 tomów. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I str. 205. II. 220. III. 257. IV. 227. V. 235. VI. 257. W każdym tomie rejestru karta 1. Złp. 40.

163. Biblioteka Kaznodziejska, zawierająca kazania niedzielne i świąteczne, przez ś. p. Jakóba Falkowskiego Z(gromadzenia) K(aznodziejskiego) P(rowincyi) L(itewskiej) utożone. Wydanie nowe, poprawne. 6 tomów. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Tom I. str. XVI i 461. II, 443. III. 451. IV. 405. V. 376. VI. 382. Złp. 45.

164. Złoty Ołtarzyk, czyli krótkie zebranie różnego nabożeństwa. Wydanie nowe, przez jednego gorliwego kapłana przejrzone, poprawione i pomnożone. (Z edycyi oryginalnej najpoprawniejszej) 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. XXX i 654. Złp. 2.

GRODNO.

165. Poselstwo Lwa Sapiehy w roku 1600 do Moskwy, podług Dyaryusza Eljasza Pielgrzymowskiego, Sekretarza Poselstwa, z rękopisu trafem odkrytego przez Władysława Trebickiego opisane. 8ka. Grodno. 1846. W drukarni Rządowej. Nakład wydawcy Ondyny Druskienickich źródeł. Str. 44. Złp. 2.

POZNAŃ.

166. Życie świętej Genowefy, napisane dla matek, dzieci i poczciwych ludzi, którzy w swych cierpieniach szukają pociechy w Bogu i swój niewinności. Z niemieckiego powtórnie i poprawnie przetłózone. 16ka. Poznań. 1846. Druk i nakład księgarni Nowej. Str. 118 i rejestru karta 1. Złp. 1 gr. 10.

1847.

WARSZAWA.

30. Historia, Literatura i Krytyka. Pisma Jana Majorkiewicza. 8ka. Warszawa. 1847. Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Str. 349 i rejestru karta 1. Złp. 10.

31. Kilka prac literackich Teodozyusza Leliwy. 16ka. Warszawa. 1847. Druk St. Nowakowskiego, Str. 98.

32. Nauczyciel ze stanowiska moralnego i naukowego. Dzieło dla rodziców i nauczycieli, przez Felixa Jezierskiego. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Kart napisowych i rejestru 5, str. IX i 276. Złp. 6 gr. 20.

33. Nocy na cmentarzu, przez Leona Gozlan, przełożył z francuzkiego S. P. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Józefa Tomaszewskiego. Tom 1, str. 208. II. 164. III. 163. Złp. 13 gr. 10.

34. O piękności w sztuce ze szczególnym do praktyki zwrotem, napisał Julian Ankiewicz. 8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Ungra. Kart napisowych 2 str. IV. i 228. Złp. 6.

35. Podejrzenie, powieść Henryka Kock'a, przełożona z francuzkiego przez J. W...cką 12ka. Warszawa. 1847. Nakład Redakcyi Gazety Codziennj. (Druk Banku Polskiego). Str. 219. Napisów i rejestru kart 3. Złp. 5.

36. Przypadki Robinsona, przez J. H. Kampe. Wydanie piąte. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Str. 218, i kart napisowych 2. Złp. 4.

37. Typhus po polsku Dur, pojmovany i opisany przez Wilhelma Malcza, Doktora medycyny i chirurgii. 8ka. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. Str. VI i 135. kart napisowych 2. Złp. 5.

38. Wychowanie Macierzyńskie, czyli podręczna biblioteczka naukowa dla dziełek płci obojęd od lat 6 do 12. Tłumaczenie z francuzkiego Pani Amable Tastu. Polskie wydanie wielu przedmiotami pomnożone. 14 tomów. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład G. Sennewalda. (Druk J. Ungra). Tom 1, str. 164. II. 104. III. 153. IV. 141. V. 309, 91 i kart 2. VI. 178. VII. 188. VIII. 249. IX. 146. X. 102. XI. 191. XII. 321. XIII. 96. XIV. 263. W każdym tomie kart napisowych 2. Złp. 50.

39. Wydoskonalona kucharka, zawierająca w sobie opisanie potraw i różnych napojów oraz sekreta toaletowe, nowe sposoby prania bielizny i szali. 8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Jaworskiego. Str. 289, i spisu rzeczy str. 17. Napisów kart 2. Złp. 13 gr. 10.

W I L N O.

40. Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego od roku 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachtamowic Wapowskiego, ze świeżo odkrytego spóczesnego rękopismu, z języka łacińskiego na ojczysty przetłómaczył, przypisami objaśnił, poczet rzeczy i osób dodał Mikołaj Malinowski. 8ka. Tom Iszy. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart napisowych 2 i str. 491. Z prenumeratą na 4 tomy złp. 60.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

„O monetach z czasów Piastowskich i o sztuce mennicznej z tegoż okresu,” dzieło opatrzone kilkuset drzeworytami wśród tekstu i tablicami na miedzi rylcami, wypracowane przez znanego w literaturze Kazimierza Stronczyńskiego, w bieżącym miesiącu, znacznie się drukować. Prenumerata na tę ważną z wielu względów pracę w właściwym czasie ogłoszoną zostanie.

Księgarz Orgelbrand ukończył już druk dzieła, „Historia Zgromadzeń prawodawczych, Konwencji narodowej i Dyrektoryatu.

U tegoż w drukarni znajdują się następujące dzieła pod prasą, które własnym nakładem wyda: 1. Dziadek i czterej wnukowie, czyli początkowe nauki i wiadomości do czytania dla dzieci. 2. Obrazy przyrodzenia Humboldta, tłumaczył Antoni Koźmiński, 2 tomy. 3. O'Donnel, powieść Irlandzka, przez Lady Morgan, tłumaczył z ang. Ant. Koźmiński. 3 tomy. 4. Rady, przestrogi i nauki dla panien. 5. Wieczory domowe, zbiór zabawek, opisów i powiastek dla nauki i rozrywki dobrych dzieci, przez Paulinę Kraków. 6. Wspomnienia wygnanki, przez Paulinę Kraków, wydanie drugie.

Wydawca Tygodnika Petersburskiego zapowiedział, iż w tegorocznym Tygodniku będzie ogłoszony nowy utwór pani Sztyrmer pod tytułem, „Cioceczno rodzone siostry.” Jestto romans obyczajowo-filozoficzny i dzieli się na trzy epizody, dające razem poznać miejscowość odbywających się wypadków. Tytuły tych epizodów są: Kutno, Rozalin, Warszawa.

WILNO.

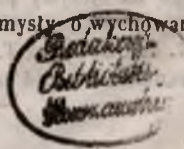
„Kollokacya” powieść oryginalna Józefa Korzeniowskiego we 2ch tomach wyszła z druku: wkrótce tegoż autora wyjdzie na widok publiczny: „Młoda Wdowa,” komedia we 3ch aktach, znana ze sceny Warszawskiej.

Księgarnia i drukarnia Zawadzkiego, która powyższe dzieła wydaje, przygotowała wydanie drugie „Powieści Nieboszczyka Pantofla” i nową pracę ks. Ię. Hołowińskiego pod tytułem: „Powieści z podań gminnych,” która, wkrótce wyda.

Kazimierz Bujnicki, wydawca pisma zbiorowego Rubon, ogłosił prospekt na 4tą seryą tegoż pisma, czyli na tom VII i VIII, które ma wydać w Wilnie u Zawadzkiego.

T. Glücksherg w Wilnie ma wydać: „Pomysły o wychowaniu człowieka,” przez Floryana Bochwica.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	756.78	27	11.477
Najwyżej barometr dochodził d. 9 o g. 10 r.	769.89	28	5.29
Najniżej barometr dochodził d. 31 o g. 10 w.	734.73	27	1.70
Średnia zmiana dzienna barometru	2.47		1.09
Największa zmiana dzienna			
d. 8—9 o g. 4 w.	7.71		3.42
Średnia wysokość barometru jest o	5.89		2.81
wyższa od stanu normalnego z 21 lat			
poprzednich	750.893	27	8.868
Średnia temperatura Stycznia wynosi:	-7° 45 C.		-5° 96 R.
i ta jest o	2.26	„	1.81
niższa od stanu normalnego z 21 lat			
poprzednich	- 5.19	„	- 4.16
Największe ciepło dochodziło d. 29 i 31			
o g. 4 w.	+ 3.5	„	+ 2.8
Największe zimno dochodziło d. 20			
o g. 6 r.	-17.5	„	-14.0
(Termometrograf wskazał			
Maximum: d. 31 + 4° 0 R.			
Minimum: d. 20 - 14° 4 R.).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.55	„	2.04
Największa zmiana dzienna d. 20—21			
o g. 6 r.	10.0	„	8.0

Średnia wilgotność powietrza wynosi 97.4; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; czyli 3.32 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 6; napót pogodnych 10; pochmurnych 15.

— deszczu 1 (d. 29).

— śniegu 3 (d. 1, 3, 26).

— mgły 6 (d. 6, 7, 8, 10, 11, 13).

Wody z deszczu spadło wysoko 5,9 millim. czyli 2,66 linij par., z śniegu 10,0 millim. czyli 4,43 lin. par., razem z deszczu i śniegu 15,9 millim. czyli 7,09 lin. par. to jest o 4,88 lin. par. mniej, jak zwykle wody w Styczniu spada.

Grudzień r. b. był mroźny, suchy, mało w śnieg obfity; pogodniejszy jak zwykle; blisko o 2 stopnie R. zimniejszy niż w stanie normalnym. Środek miesiąca był znacznie zimny, osobliwie d. 15, 16, 17, 18, 19, 20; przeciwnie, ostatnie cztery dni t. j. d. 28, 29, 30, 31 były ciepłe. Powietrze było spokojne, bez wichrów i zadymek śnieżnych.

Wiatry panujące były: Wschodnie i Południowo-Wschodnie.

D. 13 i 14 o godzinie 7 wieczór zorza Zodyakalna wyraźna.

D. 22, 25 na słońcu plamy widzialne.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIÉRSZYM

Z R. 1847,

Od redakcyi.....	Stron. I
-------------------------	-------------

Historya.

Wybór i koronacya papieżów, a w szczególności Piusa IX. Przez <i>Edwarda hr. Łubińskiego</i>	1
Wyciąg z Pamiętników pułkownika Piotra Bazylego Wierzbickiego, ułożył i wydał <i>Leon hr. Potocki</i>	102, 583
Nieco o Świętopietrze w Polsce, zebrał <i>Tymoteusz Lipiński</i> .	276
Dyaryusz podróży Zofii Jagiellonki 1556 r. z rękopismu ogłosił <i>Tymoteusz Lipiński</i>	635
O czarownicach w Polsce, przez <i>Karola Milewskiego</i>	646

Biografia.

Żywoty malarzy polskich (Czechowicza Szymona, i Smuglewicza Franciszka), przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i> (ciąg dalszy).....	123
--	-----

Nauki ekonomiczne.

O handlu zamiennym prowadzonym przez Dniepr na morzu Czarném.....	404
Wiadomość o progach dniewprowych, przez <i>M. Pawli-szczowa</i>	420
Ustawa saska o banku włościąńskim (Landrentenbank) 17 marca 1832 r.....	641

Administracja.

	Stron.
O kongresie pokutnym odbytym w Frankforcie nad Menem w końcu września 1846 r., przez <i>Fryderyka hr. Skarbka</i>	59

Prawo.

O odwoływaniu się od wyroków niezupełnie uniewinnających, na zasadzie artykułu 23 ustawy senackiej z d. 26 v. s. marca 1842 r. co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki, przez <i>Augusta Heylmana</i>	221
--	-----

Statystyka.

Wiadomość statystyczna o szkołach i instytucjach w Król. Polskiem w r. 184%	430
---	-----

Literatura.

Co mogą znaczyć w literaturze i krytyce pytania o cel utworów? przez <i>L. Z.</i>	196
Mysł o śpiewie słowiańskim, przez Ludwika Rittera z Ritterberku. Przełożył z czeskiego <i>Aloizy Kuczyński</i> ...	306

Poezya.

Messyada, Fryderyka Bogumiła Klopszoka, przekład z niemieckiego wierszem miarowym p. <i>Józefa Karola Jastikowskiego</i>	343
--	-----

Dramat.

Dymitr i Marya, dramat w pięciu aktach wierszem, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	544
--	-----

Powieści.

Eza w niebie. Fantazyja, przez <i>Józefa Ig. Kraszewskiego</i> ...	87
Korrespondencya, powieść przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> ..	245
Mahmudek, powieść przez <i>Władysława Strzelnickiego</i>	482

Sztuki piękne.

Matematyce i muzyka, przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	175
Reakcyja w muzyce spodziewana, przez <i>J. S.</i>	422

Nauki lekarskie.

Rzut oka na systemata lekarskie i wykaz postępu téjże nauki w nowszych czasach, przez <i>Felixa Jabłonowskiego</i> ..	447
---	-----

Rozbiory dzieł.

	Stron.
Odpowiedź na recenzję dziełka: „O dziesięcinach kościelnych na Rusi,” przez p. F. Z. uczynioną, przez ks. <i>Jana Pocieja</i>	139
O karcie klimatologicznej miasta Warszawy, ułożonej przez p. Jastrzębowskię, i o mało znanym sposobie kreślenia kart meteorologicznych, przez <i>S. P.</i> (Z ryciną i tablicą).....	159
Parę uwag z powodu artykułu p. Rudzkiego: „O żegludze parowej,” umieszczonego w Bibl. czerw. 1846 r., przez <i>W. J.</i> ,.....	172
Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego od r. 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachtamowic Wapowskiego. Przez <i>M. Balińskiego</i>	379
Dalszy ciąg karty klimatologicznej m. Warszawy, ułożonej p. Jastrzębowskię. Przez <i>S. P.</i>	385
Rachel, powieść ks. Ignacego Hołowińskiego, przez <i>A. T.</i> ..	390
Kompozycye na fortepian: <i>Bagatelles</i> , p. Lisowski. <i>Chansons</i> , p. Szczaśny. <i>Valse</i> , <i>Fantaisie</i> , p. O. Kolberg. <i>Variations</i> , <i>Caprice</i> , <i>Fantaisie</i> , p. P. Fechner. Przez <i>J. S.</i>	395
Odpowiedź p. Józefowi A. Czajkowskiemu na jego krytykę mojej Grammatyki, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej, przez <i>Jana Nep. Deszkiewicza</i>	609
Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława III, przez Ł. Golebiowskię. 2 tomy. Warszawa. 1846. Przez <i>M. B.</i>	628

Nauki przyrodzone.

Rozbiór gliny z Wielkiej Woli, przez <i>S. Zdzitowieckiego</i> ..	185
Krótki opis zjawisk jakie towarzyszyły spadnięciu aerolitu, we Francyi pod Laissac.....	205
Rozbiór rudy żelaznej z Tychowa pod Hżą, przez <i>S. Zdzitowieckiego</i>	209
Ślady historyi naturalnej wszechświata. (Ciąg dalszy).....	287
Oznaczenie długości geografznej Warszawy względem głównego obserwatoryum Pulkowa, wykonane w r. 1845 za pomocą chronometrów pod kierunkiem O. Struwego, przez <i>Jana Baranowskiego</i>	532
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia, przez <i>J. B.</i>	665
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	207, 432
Chemia, przez <i>J. B.</i> ... <i>ę</i>	208, 435, 667
Kronika bibliograficzna.....	214, 440, 672
<i>Doniesienia literackie</i>	215, 442 674

	Stron.
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném Warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z.	217
— — grudzień r. z.	443
— — styczeń b. r.	675
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum Warszawskiem w roku 1846 robionych.	
Ostrzeżenie.	
Sprostowanie.	

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

<i>Stron.</i>	<i>Więsz.</i>	<i>Zamiast.</i>	<i>Czytaj.</i>
355	2	z wewnętrznego	z zewnętrznego.
366	7 od dołu	otworzył radosném przestołów spojrzeniem	otworzył radosnym prze- stołów spojrzaniem.
372	8 od dołu	osłojni	ostojni.
549	9	serce	słońce.
668	7	krzywdę	krzywdą.

